











DZIEŁA  
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWÉJ.

LIBRARY OF THE  
UNIVERSITY OF TORONTO

DZIEŁA  
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH  
HOFMANOWÉJ.

WYDANIE NOWE

pod redakcyą

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

z dodaniem

ŻYCIORYSU I OBJAŚNIENÍ.

TOM XII.

INSTITUT

WYDAWNICTWA

72

00-

Tel. 26-63-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KSIĘGARZY;

GEBETHNER I WOLFF.  
MICHAŁ GLÜCKSBURG.

MAURZYCY ORGELBRAND.  
G. SENNEWALD.

EDWARD WENDE.

1877.



Дозволено Цензурою  
*Варшава, 3 Декабря 1875 г.*

1085-

Druk J. Ungra, Warszawa, Nowolipki, 2406

<http://rcin.org.pl>

JAN KOCHANOWSKI

W CZARNOLESIE.





## PARĘ SŁÓW DO CZYTELNIKA.

Przedewszystkiem winnam podobno powiedzieć, dla czego tę nową pracę moję, pamięci Brodzińskiego ośmielam się poświęcić? On mnie do niej zachęcił, wiele myśli po-  
dał, i jeżeli po długiej przerwie wzięłam się do jęj dopełnienia, i dopełniłam nareszcie, było to po części i dla tego, żeby wywiązać się z uczynionęj mu niegdyś obietnicy, i nie zmarnować użytecznych widoków, jakie wtedy otworzył przedemną. Bo *Jan Kochanowski w Czarnolesie*, którego dziś w świat nie bez obawy puszczam, już więcéj niż od lat siedmnastu jest mieszkańcem myśli mojęj; piérwszy jego pomysł przyszedł mi, pamiętam to dobrze, jeszcze w roku 1824, przy czytaniu Historji polskięj Lelewela, nad opisem świetności nauk u nas w końcu XVI wieku. Wydawałam wtenczas *Rozrywki dla dzieci*, i szukałam chciwie wspomnień narodowych; zdawało mi się rzeczą stosowną a niezbyt trudną, pod firmą Jana Kochanowskiego nakreślić z lekka, jakby żyjący obraz ówczesnej literatury polskięj, dołączyć do niego kilka scen wiejskiego życia i rozdzielić to wszystko na dwanaście artykułów, czyli na rok rozrywkowy. Inne rozpoczęte roboty, domowe nieszczęście, nie dozwoliły mi wziąć się do tęj pracy, aż w parę lat późnięj.

Wtedy wpatrując się lepiej w ów przedmiot, zaczęłam poznawać wielkie jego trudności, a strwożona niemi, napół zniechęcona, udałam się po radę i pomoc do kilku zacnych uczonych naszych, którzy od początku mego literackiego zawodu, zawsze mnie wspierali łaskawie. Na ich czele był Brodziński; podany mu planik rozważył, napisał uwagi nad nim, rozjaśnił, rozszerzył moje widoki, wzniósł we mnie ducha i zażądał, ażebym pisma o Janie Kochanowskim nie ograniczała do wydawanego dziennika dla dzieci, literatury nie brała za główny przedmiot, ale napisała dzieło osobne i ogólniejsze.

I na tém stanęło; a od tego czasu, przez lat piętnaście, tyłą rozlicznych odmian przeplatanych, zawsze tkwiła ta myśl we mnie; zbierałam materyały do jój wykonania, kreśliłam urywkowe szczegóły i obrazy, nie wiedząc jednak sama pory, kiedy się odważę ułożyć z tych zapasów jakąś całość; aż dopiero w końcu zeszłego roku, odczytawszy przypadkiem uwagi Brodzińskiego, wzięłam je mocno do serca i postanowiłam już bądź co bądź raz ową dawną myśl doprowadzić do skutku, i ozdobić pracę moję jego imieniem; a mimo różnych przeszkód i trudności, uskuteczniłam przecie mój zamiar.

Tak wytłómaczywszy dedykacją, wypada mi teraz nieco powiedzieć o samém dziele i dla kogo jest napisane. A najprzód wyznać muszę, że ja pisząc, mam zawsze pewny rodzaj czytelników przed oczyma, któremu szczególniej pracę moję przeznaczam. Wiadomo, dla kogo była *Karolina*, dla kogo *Krystyna*? Jana Kochanowskiego pisałam dla wszystkich Polek, wszelkiego stanu i wieku; a najlepiej lubię wystawiać go sobie jak będzie czytany głośno, po rozdziale, w kółku rodzinném, bądź w wieczór zimowy, bądź w poobiedzie letnie, w owych domach, gdzie-to matki otoczone dorosłemi i dorastającemi córkami, trudnią się same ich wychowaniem. Może wśród tego czytania nadejść oj-

ciec, brat starszy, wytłómaczyć, wyjaśnić rzecz nie jedną, dopełnić opuszczenie, sprostować błąd. Bo choć sumiennie powiedzieć mogę, że nad tém dziełem szczerze pracowałam, że tak w tekście jak w przypisach zebrałam wszelkie wiadomości, jakie się pomieścić dały, i jakie miałam pod ręką; przecież pewna jestem, że nasi uczeni, gdyby je wzięli do przejrzenia, mieliby co przyganić. Ale jeśli mam prawdę wyznać, nie od nich największych nagan się spodziewam: prawdziwi uczeni są wyrozumiali; jeśli więc czytać zechcą to dziełko, będą pamiętali o tém: kto je pisał i gdzie je pisał? wybaczą przeto, poprawią nawet. Od innego-to rodzaju czytelników oczekuję sroższej krytyki: oto od tych, którzy w książkach szukają jedynie zabawy, mocnego zaintrygowania, zajęcia się; u których za nic dzieło, które się nie da przeczytać jednym tchem: „Sądziłiśmy, że to romans a przynajmniej powieść historyczna — powiedzą — a tu rozprawy, opowiadania jedne dłuższe od drugich, lekcye nawet w zapytania i odpowiedzi..... Intrygi ledwie cień, miłości słaba iskierka, a rozwiązanie wiadome każdemu, co choć najkrótszą biografią Jana Kochanowskiego przeczytał.“

Takich-to czytelników chciałabym tą parą słów uprzedzić, i prosić, żeby dali pokój téj książce. Ja w niej, prócz zwyczajnych widoków moralności, miałam na głównym celu obznajmienie cokolwiek naszych Polek z rzeczami oczystemi, o których one zwykle bardzo nawiasowe mają wyobrażenie, a przeto lekce je ważą; chciałam i wskazać niektóre źródła, gdzie czerpać tych wiadomości mogą; chciałam dowieść, że kiedy ja pół roku sobie tylko obrawszy, z dziejów naszych nagromadzić potrafiłam prawie nadto ustępów, nie musi być nasza historia uboga; i warto się nią zająć, poznać ją dokładnie; warto w niej szukać pomysłów, treści do pism wiérsem i prozą, które teraz tak obficie z pod pióra naszych młodych autorek wychodzą. Lecz takie mając widoki, musiałam koniecznie być

często poważną w obrazach moich, musiałam intrygę, miłość w drugim postawić rzędzie, a naukę w pierwszym: nie mogłam być ciągle zabawną. Wreszcie, nie po raz pierwszy, i da Bóg, nie po raz ostatni to oświadczam i dowodzę: moim celem w tak niezmqczoném pisaniu nie jest zabawa, ale użyteczność.

*Pisałam w Paryżu, d. 4 Grudnia 1841 r.*

PAMIĘCI

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO

W DOWÓD

OZCI I WdzięCzności

Pracę swoję

poświęca

**AUTORKA.**





# JAN KOCHANOWSKI W CZARNOLESIE.

## ROZDZIAŁ I.

Ale począwszy od stworzenia świata,  
Aż po te nasze ostateczne lata,  
Ledwie par kilka w dziejach opisano,  
Które za prawe przyjacioły miano.

*Jan Kochanowski, Księga I, pieśń 26*

Było to 1584 roku, w drugi Piątek po Wielkanocy; czas był nadzwyczaj piękny. Jakąś omyłką, czy pośpiechem natury, od samych świąt wiał ciepły wietrzyk. Słońce dogrzewało, trawniki się zazieleniły, niektóre kwiatki pokazywać się zaczęły, nawet kilka drzew łatwowiernych listki puściło. Korzystając z téj wczesnej, a przeto tém miłszej wiosny, Jan Kochanowski siedział sobie więcéj niż od godziny, w obszernym, acz jeszcze bez cienia ogrodzie, i dumał. Z pogody wysokiego czoła, z jasności łagodnej twarzy, z uśmiechu, który i z pod gęstego wąsa wyzierał, z wyrazu

ciemnych oczów raz wkóło siebie, raz w niebo wdzięcznie patrzących, widać było lube jakieś dumanie.

I ktoby zgadł? ale czegoż wybaczyć nie trzeba poboznemu i serdecznemu pociel oto matka śniła się mu téj nocy.

Dwadzieścia pięć lat minęło od dnia, w którym cnót pełna Anna z Białaczewskich Kochanowska, zasnęła w Bogu, a zwłoki jój złożone zostały obok męża w Zwoleńskim kościele; przecież, ani syn o niéj, ani ona nie zapomniała o synu. On modlił się codzień za jój duszę, pamiętał na jój słowa; ona ukazywała się mu niekiedy przez sen, i to w taki sposób, iż ocknąwszy się, sam nie wiedział, czy we śnie czy naprawdę ją widział? a zawsze jój zjawienie się miał za dobrodziejstwo: jeżeli się trafiło w dniach trwogi lub smutku, uspokojenie mu przynosiła; jeżeli w dniach pomysłnych i błogich, zwiastowała mu nową pociechę.

W téj chwili szczęśliwy Kochanowski, chyba radości mógł się spodziewać, i właśnie dumał, zkąd i jaka to radość będzie?

W miłym acz skromnym Czarnolesie, wszystko również do pana swego się śmiało. Wioska, gniazdo i dziedzictwo ojczyste, pełna rodzinnych i młodocianych wspomnień, zamieszkała szczęśliwszym niż gdzieindziej knieciem; dom dostatni i wygodny, własną jego ręką stawiany; gospodarstwo dobrze urządzone, sad i pola obiecujące, sąsiedztwo liczne, pokrewne i zgodne; a gdy bliżej jeszcze siebie, bliżej serca spojrzął, jakież miły widok wpadał mu pod oczy? Żona, zacna Hanna Dorota Podlodowska, młoda jeszcze i piękna, nadzieją siódmego dziecięcia poważna, siedziała o kilka kroków z najstarszą córką, hożą, czarnooką, Ewą; lat siedmnaście igrało na okrągłych i rumianych policzkach dziewczęcia, i na koralowych jój ustach; lat siedmnaście objawiała wykształcona i bogata kibić; obie z matką prze·dły na wyścigi len miękki i włóknisty, a ozywiona i wesoła

ich rozmowa tłumiła wartkich kołowrótków brzęczenie. U nóg ich troje dziewcząt od lat siedmiu do trzynastu: Dorota, Marychna i Hanna, wszystkie czerstwe i udatne, siedziały nachylone nad przetakiem cukrowego grochu, z którego wyrzucały nikczemne i uschłe ziaruka; mimo gestych żartów i głośnego często śmiechu pracowały pilnie; musiały się śpieszyć, jutro ze świtem miano sadzić groch w ogrodzie: była jedna grządka dla nich przeznaczona, i już im zawczasu chrupiały i smakowały zielone a słodkie strączki. Nieco dalej, pod ciennikiem chróścianym, którego chmielowa zasłona jeszcze nie urosła, kryła się druga z kolei córka Kochanowskiego; pobożna, jak ją zwano, Ludwina. Odzież jej czarna i fałdzista, dłuższa od powszechnie używanój, mogła była ją ukryć nawet przed wzrokiem ojca; ale świeciła zdaleka nadobną bladością i świętym pokojem twarz jej, błyskały dwie białe rączki nawlekające starannie różańce z klekoczek; słyhać było lekki szmer odmawianych półgłosem pacierzy. Nareszcie, na łące dzielącej miejsce posady drużyny od obszernego dworu, wśród młodzieczonej trawy i kryjących się w niej fijołków, biegalo śpiewając dziecię, a raczej aniołek. Koszulka z krezą, jak śnieg biała, nie była bielsza od ciała, ciemno błękitny letniczek, błękitniejszy od oczów; ani krzyżyk złoty, co na piersiach wisiał, więcej złoty od włosków kręconych.

To téż jakkolwiek Kochanowski obliczał pilnie i z lubością obywatelskie i domowe skarby swoje, jakkolwiek spoglądał z upodobaniem na budzącą się wiosnę, na żonę i na starsze córki, ku téj miłej dziecinie zwracał się najczęściej wzrok jego, wlepił się w nią, i zdawało się że go oderwać od niej nie może. Nakoniec, patrząc tak długo, wstał nagle i zawołał z tryumfem, jak gdyby znalazł słowo trudnej zagadki: „Tak, on jej nie zna: on dziś przyjedzie.“

— Kto? Kogo? — zapytała ze śmiechem sama Kochanowska.—Mężu kochany—dodała—jeżeli dumając już tak da-

wno na tój tam ławie, bawicie się cichaczem złotą lutnią waszą, jeźli układacie drugą „Odprawę posłów,” drugą Helenę uwolnić chcecie: powiedzcież i nam, ubawimy się przed innemi.

— Nie—odpowiedział Kochanowski—nie tworzę ja w tój chwili pieśni żadnych, ani się przenoszę duchem w owe sławne starój Grecyi wieki, nie ścigam sławy, ni muzy; o żyjące, o serdeczniejsze rzeczy tu idzie: spełnią się da Pan Bóg marzenia moje, a wasza uciecha będzie stokroć lepszą od zabawy. Wszak mówiłem ci, Hanno, wstawszy rano o moim śnie; od początku dnia szeptało we mnie: coś miłego, pożądanego ci się zdarzy; lecz nie wiedziałem co? teraz wyraźny głos zabrzmiał mi w duszy: „Jakób dziś przyjedzie! kochany nasz Podkoniuszy.“

— Daj Panie Boże!—odrzekła Kochanowska. — I nie byłoby wcale nic dziwnego w przyjeździe pana brata; spodziewamy się go w tych czasach. Jużto blisko pięć lat jak do nas nie zajrzał, a kiedy pisał na Boże Narodzenie, wyjeżdżając do Carogrodu, zapewniał, że będzie z powrotem koło Wielkanocy; i bądź co bądź tój wiosny do Czarnolasu zjedzie. Mam nadzieję w opiekę Matki Boskiej, iż się mu nic złego nie stało w tój dalekiej drodze, a wiosnę tóż już mamy i piękną.

— I on mojej szczebiotki, mego słowiczka wcale nie widział—mówił dalej Kochanowski patrząc znowu na dziecinę. Nowa radość, którą ukochana matka zwiastowała mi dziś zjawieniem się swoim, nie może być inna: Przyjacielowi Orszulkę pokażę.

Kiedy to mówił, dziecina bawiąca się na łące rzuciła zbierane starannie trawki i kwiaty, i co tchu przybiegła, a patrząc ojcu i matce w oczy, pytała:

— Wołacie mnie: czy jest co na wasze usługi?

— Nie, pieszczoto moja — odpowiedział ojciec, biorąc ją na ręce i przytulając mocno do siebie—nic; ale powiedz



mi, ty, coś z górnych krain niedawno na moje szczęście zesłana, z aniołami w częstych rozmowach być musisz, powiedz: przyjedzie dziś ten, co go widzieć pragnę?

Z fijołków, które dziewczynka rwała i rzuciła na łące, jeden zaczął się za bramowanie letniczka; dostrzegła go, wzięła, a zamiast odpowiedzi, rwąc ostrożnie po listku, jak to u starszych sióstr zapewne nieraz widziała, mówiła z kolei przechylając śliczną główkę i patrząc na ojca: „Nie przyjedzie, przyjedzie.“ Właśnie ostatni listek urwać miała i wypadało pomyślnie słowo: „Przyjedzie“ kiedy szczekanie psów, stąpanie koni dały się słyszeć, i wnet skrzypnęły ciężkie wrota od ogrodzonego podwórca, będącego po drugiej południowej i zajezdnej stronie domu.

— Ktoś cudzy przyjechał — zawołał Kochanowski — dziewczeczki! niech jedna z was pobieży obaczyć kto taki?

Na ten rozkaz wszystkie dziewczęta się porwały. Ewa rzuciła wrzeciono, mało dbając na to że przedzę zerwała; trzy młodsze przeskoczyły przetak i wyspała się połowa grochu; Ludwina tylko na odgłos przybycia obcych osób skryła się głębiej pod ciennik, a Orszulka jak gdyby bojąc się utraty miejsca swojego, objęła szyję ojca rączkami, patrząc jednak pilnie wraz z nim w stronę, gdzie siostry pobiegły.

— To nikt—wołała zdaleka a smutnie Ewa, wracając z wolna i ledwo co wyjrzawszy za dom.

— Jako nikt? — zapytał ojciec—kiedym przecie sam słyszał.

— To nikt, to pan Franciszek: oto idzie.

I pokazał się młodzieniec może dwudziestoletni, rośli, gruby, rumiany, z wielkimi wytrzeszczonemi oczyma, który szedł zwolna, jak gdyby miał cztery razy tyle wieku. Suknia jego cała futrem podszyta z kosztownego była aksamitu, ale dobrze powalana z przodu i nieco obdarta

w około; szabla wlekła się za nim gdyby pożyczana, a pas, którego jak widać, bał się ścisnąć, zapewne przez wzgląd dla już szanownego brzuszka, spadać mu chciał, tak, że go co chwila musiał poprawiać; włosy jasne, dosyć rzadkie były roztargane, i gdzieś tam pierze z nich wyglądało: zupełnie jak u człowieka co dopiero wstał z pościeli: bułkę chleba trzymał pod ramieniem, którą ofiarował Ewie mówiąc pomału:

— Udały się dziś zemły naszej starzej Jagience i przywożę wam największą, cieplusięnką: fraszka zemły... jak się nazywa...

— Wiślickie — odpowiedziała dziewczeczka kłaniając się z uśmiechem.

— Tak Wiślickie; zawsze zapominam: głowę coraz mam słabszą—dodał bijąc się w czoło.

— A czemuż dziś tak późno w odwiedzin, panie Franciszku?—zapytała uprzejmie Kochanowska, skoro gość usiadł na ławie wedle gospodarza, i pozdrowił go ściskając mu nogi—czemu nie na obiad?

— Okrutnie późno jadacie, pani Stryjenko,—odpowiedział—a ja tak długo żadnym prawem wytrzymać nie mogę: natychmiast omdleвам.

I jął przyciskać ręką żołądek, jak gdyby mu się słabo robiło.

— Jeżeliście już dawno po obiedzie, możebyście co przekąsili—spytała się znowu—mamy jeszcze placków i kołaczy wielkanocnych łaskę Pana Boga.

— Przekąsić jak przekąsić, chyba kromkę chleba i sęra krajanke, albo kawał piernika; wysmienite wasze séry i pierniki! alebym chętniej się napił. Dziś post święty; obiad był lichey, same ryby; dokładałem jak mogłem pirogami, grochem, śliwkami, kapustą surową, i jakoś mi to pragnienie sprawiło.

— A cóż pić chcesz?—zapytał Kochanowski.



— Cokolwiek, byle mokre: piwo, wino, miód, aby chleptać.

Ewa, która czekała na rozkazy matki, spojrzała jęj tu w oczy, pytając co każe dać?

— Przynieście mu staropolskiego piwa i chleba naszego powszedniego—zawyrokował ojciec. Pan Franciszek zamłody na wino i miód.

— Ja téż tam niekoniecznie stoję o te gorące trunki, chyba z towarzyszami; wolę nawet piwo: więcéj wlać go można.

— A nie pytamy się o panią bratową?—przerwała Kochanowska. Jakże dziś jęj zdrowie?

— Zawsze źle i nie będzie nigdy inaczej; ani ję, ani pije, i tak rogata dusza u tego matczyńska: jabym dawno umarł, gdybym tak żył powietrzem.

Tu pacholek przyniósł potężny dzban piwa i dwa duże kufle szklane i postawił na stole przed Kochanowskim; Ewa wróciła z bochenkiem chleba i z solą na gładkim talerzu cynowym. Pan Franciszek wnet spełnił swój kufel i drugi i trzeci, wreszcie przypiął się do dzbana i wysuszył co do kropli; Kochanowski ledwie usta w swoim kufłu umaczał; i nie uśmiechnął się nawet na dosyć komiczną figurę, jaką wystawiał młodzieniec z owym dzbanem równie okrągłym jak on sam.

— A, Bóg wam zapłać! uraczyłem się—przemówił wesoło pan Franciszek, otrząsając się i ocierając usta rękawem—ale coś mi pan Stryj nie swój, zamyślony, smutny, bodaj czy nie... jak się nazywa?

— Kordyaczny—podała Ewa.

— Tak, kordyaczny, kordyaka; zawsze zapominam nazwiska téj plagi, bo téż spodziewam się nie nawiedzi mię nią Bóg: ona się boi dzbana. Pan Stryj może dziś z suchotami przy Piątku? To licha warto. Pościć zgoda, ale przytem jeść co się zmieści.

— Ani ja z pokusy, ani z choroby, ani też z głodu takim jak mnie widzisz—przemówił Kochanowski z półuśmiechem. Owszem od godziny myśl moja w czystych przestworach buja. Karmię się słodką nadzieją, a przed chwilą jak gdyby raj mi się otworzył... Ale jeśli ci mam prawdę wyznać, synowczyku, jakkolwiek zawszem ci rad w moim domu, właśnie w porę kiedyś się pokazał, o kim innym my tu myśleli.

— O kimże takim? Któżto ma zjechać? Może pan jaki albo mędrzec: uciekam, ja się ich boję jak głodu i wojny.

— Nie uciekaj, brat to mojej Hanny, podkoniuszy królewski, nie pan ani mędrzec, ale dzielny żołnierz i mąż zacny, jakich nawet w naszej Rzeczypospolitej mało; więcej on bitew odbył, niż ty bratku czytał o nich; mój przyjaciel pierwszy, jedyny... bo tylko jeden być może przyjaciel prawdziwy, jak Bóg jeden, jedna żona, jedna matka, i ojczyzna jedna... Nie bez tego żebyś już nie słyszał między nami nieraz imienia Jakoba Podlódowskiego, ale pewno nie wiesz; oto i te dziatki nie wiedzą i nikt wiedzieć nie może, krom Wielkiego Boga, ile między nim i mną jest stosunków i węzłów.

I tu Kochanowski zapominając zupełnie, iż przed bardzo cielesnym słuchaczem tajniki duszy swojej otwiera, tak wydał na jaw treść godzinnych dumań i lubyh wspomnień swoich:

— Myśmy z Jakóbbem pod jednemi znakami niebieskiemi, pod tą samą gwiazdą się rodzili. Ja, będzie temu wnet lat pięćdziesiąt cztery, w wigilią św. Jana, w dzień wiele znaczący w tajemnym układzie wyższych rzeczy, przyszedłem na ten świat, w Sycynie, dziś brata Piotra własności, gdzie wtedy rodzice mieszkali, niedaleko spławnej Wisły; on zaś tego samego dnia i roku, o tejże samej godzinie, urodził się w Studzienicy na głębokiem Podolu, nad

brzegami niepokonanego Dniestru. Obaśmy rośli o sto mil od siebie, niewiedząc jeden o drugim; przecież wyższa i nie-docieczona ręka, co biegiem gwiazd zjednoczyła na niebie nasze losy, sprawiła nasze połączenie na ziemi. Ojciec jego, żołnierz wielki i poseł na sejmy, niepospolitój śmiałości i wymowy, pragnąc syna widzieć człowiekiem, oddał go na dwór wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego; mnie także matka i brat w jednym czasie tam posłali. Spotkaliśmy się, i poznać zaraz można było, że przyjaźń nasza zapisana gdzieś wyżej od wieków, bo serca odrazu do siebie przystały, jakby jedno dla drugiego stworzone. Zaraz wtedy zaczęliśmy gorącą i napotém nigdy nierozerwaną przyjaźń, żyliśmy jako jedna dusza we dwóch ciałach, zachęcając się wzajemnie do cnoty, do męztwa, do nauki. On mi pokazywał jak bronią robić, a ja jego czytać i pisać douczyłem, bo nie w szkołach, ale w obozach młody wiek przeżywszy, wiele umieć nie mógł, a lubi nauki i uczonych. Jam go i w Wierze oświecił, a jak dziś pamiętam, kiedy nam przyszło pierwszą Wielkanoc przebyć razem, poszliśmy oba do spowiedzi, do jednego księdza, pożywaliśmy Świętości Pańskie u jednego stołu, przysięgliśmy przed ołtarzem być wiernymi sobie do śmierci, i nawet błagaliśmy Pana Boga ze łzami, żeby kiedy nas w jednym dniu na ten świat przysłał, żeby nas i o jednym czasie powołać do siebie raczył...

— Już co o tój młodocianej i prawdziwie dziecinnj modlitwie, to zawsze z trwogą słyszę—przerwała Kochanowska—nie wolno nikomu własném życiem ani cudzém rządzić; a czasem w złą godzinę powiedzieć co można: jest wróg co miesza ludzkie rzeczy.

A choć żartobliwie mówić chciała, przebijał przecież smutek w jój głosie, i zaszyły chmurą piękne czarne oczy. Ale Kochanowski nie zważając na słowa i na rozczulenie żony, tak mówił dalj z równą żywością:

— Od téj chwili losy rozmaicie mną miotały: najprzód, spokojny nauk wyznawca i dworzanin, byłem czas jakiś żołnierzem; dalej, żeglowałem przez morza głębokie, nawiedziłem Niemcy, Włochy, Francją; potem w królewskich komnatach bawiłem na świetnym i rozkosznym dworze; aż znowu, to ksiądz w rewerendzie, to młodzian w zalotach; pókim nareszcie nie wrócił do pól piaszczystych i do czarnych lasów, na które rad patrzyłem w młodszych leciech. Przemieniałem się wielokrotnie, gdyby Proteusz jaki, Bóg wie czemu nie kosztował; przecież ani na chwilę, ani ja dla mego Jakóba, ani on dla mnie się nie zmienił. Przygody, lata, przeszły nad przyjaźnią naszą, oto jak te białe obłoki po tym lazurze przechodzą: serce i niebo zostało jednakie. Rzadko kiedy się widujemy, gdyż on żołnierz nie dla popisu, i sługa królewski nie dla płacy, a ja cichy i samotny ziemianin; ale posyłamy sobie wzajemnie gońców, i przysięgłbym na to, że jak ja za niego, tak on za mnie dnia nie opuści bez zmówienia serdecznego pacierza, i dobrze pamięta na zmwowę jaką ma ze mną... Dziaatki moje!— dodał obracając się do córek, które wszystkie, nawet Ludwina zbliżyły się do ojca, skoro mówić zaczął i słuchały go z uwagą—dziaatki moje! każde z was gdy pożyje dłużej, pozna silną władzę pierwszych związków. Młodość, wiosna to serca i życia: co w nięj zasiejesz, wzrośnie. O! nie marnujcie uczuć waszych i myśli nie rzucajcie na wiatr; kto za młodu nic nie przysposobi, ten w wieku dojrzalszym nie będzie miał po co się schylić!

— O, zapewne!—wyrzekł pan Franciszek głosem nieco przytłumionym i przerywanym, bo czy z roztargnienia, czy ze zwyczaju, to krając kozikiem, który zawsze przy sobie nosił, to skubiąc po kawałku bochenek chleba, spożył był prawie połowę—zapewne; ja zawsze sobie myślę: jak kiedy przywiozą bardzo dobre wino z tego..... jak się nazywa..... z tego miasta nad... jak się nazywa?



— Z Kazimierza nad Wisłą—dmuchnęła z niecierpliwością Ewa.

— Tak, z Kazimierza nad Wisłą: nazwiska nic się nie czepiają mojej pamięci; otóż tedy jak przywiozą dobrego wina z Kazimierza nad Wisłą, poproszę pani matki, żeby mi pozwoliła odstawić jedną beczkę, opasać ją łańcuchem, i nie tknąć jej się aż za jakie lat dwadzieścia. Toby to dopiero kapitalne wino się zrobiło! Nie wiem czemu nie przychodzi do tego; co wstawią beczkę do lochu, to się i wytoczy: muszę się poprawić. Ale dalipan, zaledwie mówić mogę, zadusiłem się tym suchym chlebem...

— Możeby bratanek chciał jeszcze popłukać?—spytała Ewa; a złośliwy uśmiech otworzył jej usta, i ukazały się dwa rzędy zębów białych jak perły.

Pan Franciszek choć niekoniecznie bystry, dostrzegł przecież lekkiego wyrazu szyderstwa na twarzy dziewczyny i może pierwszy raz w życiu odmówił napoju. Lecz ta odmowa skróciła znacznie jego odwiedziny; widać dom mu zapachniał i swoboda jego: wstał z ławy, i powiedział:

— Panie Boże odpuść, a wszakci to ja zapomniałem pocom tu dziś przyjechał. Panią matkę coś bardzo boli, czy kolano, czy bok; doprawdy nie pamiętam, ale boli: Jagienka naraiła jej lekarstwo, i mnie przysłali po nie.

— Czemuż nie mówicie?—okrzyknęła się Kochanowska i córki.

— Wy podobno, pani Stryjenko, macie zawsze świeżo, jak się nazywa? te czarne robaki?

— Pijawki—zawołały wszystkie razem.

— Tak, tak, pijawki; otóż pani matka prosi, żebyście jej przysłali, nie wiem tam wiele, trzy czy sto?

Ledwie dosłyszała tych słów Ludwina, natychmiast wzięwszy klucze, poszła do domowej apteki i niebawem wróciła z mędlem pijawek w szklanym słoiku. Kochanowska dopytywała się tymczasem pana Franciszka o sła-

bość jego matki, ale on jęj nic więćej powiedzieć nie umiał, znać że i sam nie wiedział; widok zaś słoika przywiódł zapewne jego panięci przypomnienie szklanki, i tego co w nięj bywa, bo z niezwycajnym pośpiechem wziął pijawki, raz się tylko spytał, czy nie przebiją papięru i czy go nie ukąszą? pożegnał się, i pojechał wraz ze swoim pachółkiem, któremu jednak dla więkšej pewności i wygody własnej, oddał słoik, skoro wyjechali za wrota.

Kochanowska patrząc za nim trząsnęła głową i zamyśliła się smutnie; Ewa ruszyła ramionami, a nic nie mówiąc, jęła szukać wrzeciona w piasku; Kochanowski uśmiechnął się litościwie i powiedział półgłosem: „Pieszczoch! jedynak!“ a splotłszy ręce z tyłu, i nachyliwszy głowę, przechadzać się zaczął tam i sam po prostęj ulicy prowadzącej do domu. Ledwo parę razy ją przeszedł, ledwo żona i córki zabrały się do przerwanych zatrudnień, kiedy znowu stąpanie konia, ale nierównie prędsze niż pierwęj dało się słyszeć. Już nie czekając rozkazu ojca, dziewczęta pobiegły Kochanowski stanął rześko, wyprostował się i spojrział wesoło na żonę, która skręcając len w palcach, już ani nogą, ani ręką ruszyć nie śmiała, tylko nadstawivszy ucha, słuchała pilnie. Jakoż wnet rozległ się w powietrzu krzyk jeden, chociaż z kilku głosów złożony.

— Dobra wieść! dobra wieść! posłaniec od pana Podkoniuszego: jedzie, jedzie!

— Jedzie?—zapytali oboje, jakby własnym uszom niedowierzając — jedzie! byće<sup>7</sup> to może? A on sam z młodzieńczą prędkością pospieszył ku posłańcowi i pytał go się, czy to rzeczywista prawda, czy ma jakie pismo w dowód?

— Niéma żadnego pisania,—odpowiedział Kozak ubrany w barwę Podlodoskich brunatną z czerwoném, dziarski i urodziwy młodzieniec, do dwudziestu czterech lat albo więćej, z pięknym czarnym wąsem i krótko przystrzyżoną brodą jak axamit; lecz znacznie oszpecony szerokim pla-



strem, co pół nosa i część policzka okrywał.—Mój pan to wam jedynie oświadczyć kazali, iż zdrowi są, i jutro da Pan Bóg, przed południem tu zjadą. Zostawiłem ich w Lublinie. Żeby wam czas do jutra zająć i czekanie osłodzić, rozkazali wręczyć wam tę skrzynkę.

To mówiąc Kozak, postawił na stole spory koszyk, jakich jeszcze dziś w Turcyi używają, mocno pleciony, powleczoney ciemną skórą; gdy go Kochanowski otworzył, oczy młodszych dziewcząt patrzące weń ciekawie, obaczyły z radością wyborne bakalie tureckie: daktyle, figi, rodzenki, których część znaczna wnet przy wesołych krzykach i płasach, przeszła w ich skupione dłonie; pod spodem były powijane starannie różne wschodnie szacowności, jedwabne pasy i taśmy, hafty na skórze złotem i srebrem, przezroczyste zasłony, meszty i buty żółte, kindzały, pachnące paciorki, olejki, balsamy.

— To gościniec z pańskiej podróży do Carogrodu—powiedział Kozak. Daleka i niekoniecznie miła i bezpieczna droga, mil kto wie czy nie trzysta; dwanaście niedziel nam zabrała ze wszystkiem. Prawda żeśmy na miejscu prawie półtora miesiąca bawili, ale bylibyśmy i prędzej wrócili, gdyby nie różne korowody; bo trafiało się i złe i dobre w tej wyprawie, jak to zawsze na tym świecie; koni cudnych, prawdziwie tureckich kupiliśmy kilkanaście dla króla, lecz nie obyło się bez srogiego krwi wylewu?

— Jakto?—zawołał Kochanowski—pan Jakób znowu się bił.

— A jakże; bił się i tego: po swojemu. Dalipan było tam gorąco i żwawo, gdyby pod Połockiem.

— Ale zkądże znowu—przerwał Jan—przecież mamy pokój z Turkiem.

— Gdzietam, kiedy pokój w tych pogańskich krajach! Jużemy wszystko byli sprawili, a ujechawszy kilka mil od miasta, rozłożyliśmy się na noc w karawanserze, jak



oni tam zowią; zaledwieśmy skleili powieki, aż tu napadają na nas zbójce; było ich daleko więcej niż nas, chcieli koniecznie i koni i ludzi pojmać, do blizkiego lasu gwałtem nas ciągnęli; ale się im nie powiodło, sami uciekać musieli z duszą, i to nie wszyscy zdążyli, bo trzech trupów wzięli z sobą.

— Nie ranny przecież pan brat?—spytała troskliwie Kochanowska.

— Byli ranni i ciężko w głowę; sroga śmierć już mu w oczy zaglądała; te łotry bisurmany szczególniej na niego zazarci byli: nie wiem czy przez zazdrość jaką czy co; gdyż trzeba wiedzieć, że w Carogrodzie Turcy bardzo się dziwowali jego osobliwej urodzie, i jak dzielnie z koniem umié. Udałoć się jednak przy Boskiej pomocy i śmierć i łotry odgonić. Teraz panisko, Bogu dzięka, rześcy, zdrowi, piękni, jakby nigdy nie; zdaje się co odmłodnieli: szramę przez głowę już włosy zaczynają pokrywać.

— Toście wy byli w tej potrzebie z panem Podkoniuszym? — spytała Ewa, której dziwnie się spodobała otwarta postać i śmiała mowa posłańca. Może i ta rana ztamtąd?

— Nieinaczéj—odrzekł Kozak z uśmiechem—i chciał mówić więcej, lecz spotkawszy czarne oczy młodej dziewczyny, które uprzejmie na niego patrzyły, zamilkł nagle jak gdyby oniemiał.

— Ach! Jakób! Jakób!—wymówił Kochanowski odpowiadając myślom swoim—do bitwy jak głodny do obiadu; a kędy się obróci, wszędy boje i niebezpieczeństwa tuż za nim: zawsze kord w robocie.

— O! i będzie jeszcze, da to Pan Bóg, i nieraz—odezwał się Kozak, któremu mowa wróciła. Nie za dzisiejszego króla miecz w pochwie doleży. Jeszcze my się pomścić musimy na tych pohańcach, i za tę naszą krzywdę i za dawne Rzeczypospolitój.

— Dochodziłże przecie pan Jakób téj napaści? byłaż to jaka zasadzka?—spytał Kochanowski.

— Dopominaliśmy się sprawiedliwości w urzędzie, i nie mało czasu na tém się zmitreżyło; ale kto z bisurmanem ładu dojdzie? Przysięgali na swego proroka, że to zbójców, łotrów leśnych sprawa, przeciw ich woli i wiedzy, i że skoro którego schwytają, dostawią go nam tu, żebyśmy mu sami głowę z karku zdjęli...

— Gdyby, broń Wielki Boże, nieszczęście było się stało—zawołał tu boleśnie Kochanowski—coby tysiące ich głów pomogły!...

A chcąc rozpędzić ściśnienie serca, które go zdjęło na tę myśl samą, przerwał rozmowę i powiedział Kozakowi:

— Wszak nie odjedziesz bratku i zanocujesz w Czarnolesie; my dziś nie wieszerzamy dla Piątku, ale tobie z drogi posilić się godzi. Ewol! każ niech dadzą w stajni koniowi miejsce i obrok, a człeku w kuchni łyżkę stawy, dzban piwa i świeżej słomy na posłanie.

— Byle koń był pod dachem, ja i na gołej ziemi pod niebem się prześpię: to łoże i namiot żołnierza—odparł posłaniec.

Kochanowski już nie dosłyszał tych słów. Mnogie uczucia objęły tkliwą duszę jego; była jeszcze chwila żalu, trwogi, bo on rzecz każdą, co serca dotykała, zwykł był brać żywo, i głęboko; ale niebawem radość, wdzięczność, wszystkie inne wrażenia przemogła.

— Jakąż słodką pociechę uprosiłaś mi u wielkiego Boga, matko kochana—zawołał, wznosząc oczy i ręce w górę. Przyjaciel uszedł zdrowo niebezpieczeństwa i obaczę go jutro! W grobie jak za żywota czuwasz nad synem twoim; przez modlitwy, przez cnoty twoje Pan Bóg wygładzić raczył z pamięci swojej naganne młodości mojej postępkę, i błogosławi mi nad zasługi.

To powiedziawszy, siadł i zadumał się jeszcze głębiej

niż piérwój; nie postrzegł że powietrze ochłodziło, że sam został; nie zobaczył nawet Orszulki, co siadła na ławce około niego i usnęła oparta o jego ramię. Pani Hanna, również szczęśliwa, ale na tę chwilę więcej czynna od męża, poszła do domu i układała sobie gdzie łóżko brata stawiać będzie, jaką mu da pościel, przypominała co on rad jąda, chcąc same takie potrawy kłaść przed nim przez czas, co w Czarnolesie gościć będzie; przemyśliwała coby za przysmaki dziś jeszcze kucharzowi nakazać, żeby mimo sobotniego postu, uraczyć jutro ukochanego wędrowca. Ewa zaś ruszyła dopełnić rozkazu ojca; ale już ani pobiegła pędem strzały jak piérwój, ani nawet poszła sama. Słówkiem próśby wyciągnęła siostrę z pod chruścianego ciennika, wzięła ją pod rękę i poszły obie zwolna.

Kozak poszedł tuż za niemi, oczy mając w dół spuszczone; zdawało się, jak gdyby się wpatrywał w ślad stóp dziewczęcych, odznaczających się zlekka na piasku, którym była wysypana ulica: ale dostrzedz ich trudno było, bo już zmrok zapadał.

---

## ROZDZIAŁ II.

Jest kto na ziemi, coby żył prawdziwie  
W bojaźni Pańskiej? taki niewątpliwie  
Ma wodzem Pana, który go sprawuje,  
Temi drogami co je sam lubuje.  
Tam troski miejsca niewdzięczne nie mają,  
Ale rozkosze słodkie przebywają;  
Tam dziatek mnóstwo, podpora starości,  
I pewny dziedzic pięknych osiadłości.

*Psalm XXV.*

— To widać jakieś wcale pocziwe paniska — mówił prowadząc dalej rozmowę z Czarnoleską czeladzią przybyły Kozak, siedząc na ławie pod oknem w izbie kuchennej, i dojadając ogromnej misy klusek z olejem—u was, dalipan, lepiej ludziom niżeli w naszym Podolu, chociaż tam znowu, bez waszej obrazy, gdzie piękniej i weseliej; Tatarzyn tu podobno od Kazimierza Wielkiego nie plądrował; co u nas, dopiero dzisiejszego króla się uląkł, i to jeszcze czasami szczęścia próbuje; a co gorsze, bo częstsze, nahaj w bardzo gęstej robocie.

— Juźcić i u nas jest batóg za pasem u włodarza i mole go nie jedzą—odpowiedział kuchcik zsiadły i tłusty, Pirożkiem przezwany, poprawiając ogień w piecu — kto co zbroi, rozciągają go na pieńku i okładają nie żałując; soł-



tys kmieciom nie szczędzi także cięgow, jeśli który przewini; ale co samo panisko, rzadko kiedy biorą się do kija: pogrożą, zmarszczą czoła, najeżą czupryny, pokręcą wąsa i koniec: z włościanami a z czeladzią oni jakby z dziatwą.

— Wieleż tam jest tój dziatwy? — zagadnął Kozak. — Bieliło mi się i mieniło dziewcząt kieby motylów na łące, skorom przyjechał; chłopakam żadnego nie widział.

Bo go téż i niéma! — powiedziała z westchnieniem sędziwa już niewiasta stawiając na blizkiej kłodzie szafel czystej wody, w której płukała cienką bieliznę — już to takie moje szczęście. Miałam swojego chłopaka i umarł mi; wzięli mnie do dwora, do Studzienicy, bo ja Podolanka, na usługi wasze, i spodziewam się być tam raz jeszcze przed śmiercią; wzięli mnie tedy kiedy już pan Jakób gonił Tatarów, a nieboszka pani Podlodowska — co to jój na taki smutny koniec przyszło — była przy nadziei. Powiła wnet dziewczynę, naszą Czarnoleską panią; jam ją wypiastowała i mogę powiedzieć bez próżnej chwalby, winna mi życie, ni mniej ni więcéj, jak pani matce i panu ojcu. Możescie o mnie slyszeć? jam Nastka Petrowna, wdowa po Ostafim Hołowatym; nie powstydzę się mego imienia: i młynarza i księdza mam w rodzie, a co także nie mała rzecz, jamto Hanulkę przed Tatarami ukryła! O! już nigdy mnie od siebie paniątko puścić nie chciało: „Będziesz piastować moje dzieci, jak mi je Pan Bóg da“ — mówiła pieśczośliwie i głaskała mnie po twarzy; juźcić musiałam zostać, swojej krainy i krewniaków zaniechać! no! i proszę, i same dziewczęta sypią się nam kieby z rękawa. Sześć ich tego mamy, Panu Bogu i Matce Najświętszej na cześć i na chwałę; ale dotąd tylko jednę za mąż się godzi, i będzie go miała, skoro zechce. Ona nie osiadzie na koszu, nie: rutki siać nie będzie.

— Jakto? mówicie jedna, — zapytał Kozak — przecież dwie panny dorosłe i urodziwe mnie tu przyprowadziły?

— Jedna Bogu poślubiona — odezwał się sam kucharz,



blady i wywiędły Zubek, wbijając żółtka do ciasta, które wyrabiał w donicy.—Ledwie się urodziła, kiedy nasza pani zachorowała śmiertelnie, i pan ofiarował ją Bogu i Matce Najświętszej za życie i zdrowie żony. Rychło patrzeć, kiedy ją do klasztoru odwiozą: mężkiem oku spojrzeć na nią wara.

— A którażto ze dwóch?—przebaknął Kozak, folgując pasa, jakby go nagle ucisnął boleśnie.

— Poznać ci ją snadno—powiedziała stara piastunka—już na świętą patrzy: oczka spuszczone, twarzyczka szczupła, kieby Jezusek, palce splecione, zawsze do pacierza gotowe, suknia długa, płonista, czarna...

Tu Kozak odetchnął i uśmiechnął się mile.

— Juźcić nie dla czarnobrewój habit i welon—mówiła dalej Nastka, rada że napotkała ucho powolne gadaniu swemu; bo chociaż wielce była ważona w domu, i poruczona sobie miewała pańskie dzieci do lat trzech w szczególną opiekę, przecież już w całym Czarnolesie, tak we wsi jak we dworze nikt słuchać jój nie chciał—naszój Ewulce świat się uśmiecha i ona światu. Nie darmo ja w lubistku ją kąpałam co dnia od samego urodzenia; okrutne ma szczęście do ludzi dzieweczka. Zobaczycie, jak się jutro oblecze do pana Jakóba w tę oto bieliznę—a tak mówiąc rozciągała wyjętą szatę—jak włoży na to swój modrý kontusik, kwiateczków nakładzie w czarne włosy, nowe półbutki obuje, kieby łateczka wyglądać będzie. Jeżeli ją pan Franciszek zobaczy, wiem co się stanie.

— Co za pan Franciszek?—przerwał żywo Kozak.

— Synowiec naszego pana, dziedzic trzech wiosek i Policzny, gdzie jest nasz kościół parafialny, o pół mili drogi ztąd; syn jedyny ś. p. pana pisarza Kaspra, najstarszego z Kochanowskich, co go nasz pan i cały powiat miał za ojca: najbogatszy młodzieniec w tych tu stronach, do którego najurodziwsze dziewczki ząbki wyszczerzają, i złapaćby go rade.

— I cóż ten pan Franciszek ma do waszój panny?—naglił dalej przybysz.

— Ano poczekajcie, dyć wam powiem; to kozacka krew, to istna siarka, wszystko prędko, nagle, wtojczas. Otóż pan Franciszek zna naszą Ewulkę od pieluch; on od dawna ojca niéma; matczyisko zbiedzone, schorowane, pragnie jak zbawienia widzieć go żonatym; nasze państwo uważa go za syna, ile niemając dotąd swego. Choć tam jeden Bóg wie, co teraz jest w drodze; nasza pani prześlicznie wygląda, wszak prawda? Ja zawsze jój mówię: tym razem będzie chłopiec; i stręcę jój różne zioła i maści; mamy też i czarownicę we wsi, czarną Switkę; nie z tych złych, broń Boże, a bardzo mądra i wielemożna niewiasta: ona zawsze szepce: „Gdyby jedno wasza pani słuchoać mnie chciała, wnetbym w to pokurąła, żebyście mieli dziedzica;“ ale gdzietam, ani jój gadaj o tych rzeczach; na wolą Bożą puszcza to zupełnie: któż temu będzie krzyw, jeżeli nam siódmą powije dziewczynę? a wtedy źle się stanie. Switka mówiła mi wczora—czegom jeszcze jako żywa nie słyszała—kiedy białogłowa siedm ma dziewcząt jedna po drugiej, już nigdy chłopca nie urodzi.

— Mniejsza o to; ale pan Franciszek?—wyrzekł zniecierpliwiony Kozak.

— Otóż pan Franciszek był sobie z Ewulką od dzieciństwa jak brat z siostrą; trzy lata między niemi różnicy: nie wiem czy tam rodzice ułożyli co między sobą dla nich czy nie, ale to wiem że mnie to samój nigdy na myśl nie przyszło, choć mam ja zdawna nos do tych rzeczy. Aliści jakoś w mięsopusty, była zabawa u Podstarościego w Policzny, bo tam lud dworski zepsuty robi co jeno chce; zaprosili i mnie, a Jagienka, piastunka pana Franciszka, co do dzisiejszego dnia cesałaby go i myła, gdyby jedno się dał, powiedziała mi pod wielkim sekretem, że panicz ogniście rozkochany w naszój panience. Jam wierzyć nie chciała

z razu; ale prawda, od tego czasu wyraźnie się zaleca, prawie co dnia tu przyjeżdża; bądź w wieczór musi być choć na chwilę; ta jego klacz bułana, jużby tu z zawiązanemi oczyma trafiła; a zawsze musi Ewulce coś do zjadku przywieźć...

— A ona co na te zalecanki?—przerwał Kozak z widoczną niespokojnością.

— Ona, zwyczajnie jak młode: śmieje się i żartuje; jeśli co smacznego przywiezie, to zjé, a skoro usta obetrze, zapomni. Bóg Święty ją tam zna, czy go kocha, czy nie. Nie trudnoć przecie zgadnąć co z tego będzie? Weselisko. Nasze dziewczątka wielkiego wiana mieć nie będą, trzeba im mężów zasobnych; a pan Franciszek znowu musi wziąć żonę z głową; bo należy wam wiedzieć bratku — i tu stłumiła trochę głosu — taki to panicz jak się za dzisiejszych czasów nieraz trafia między szlachtą, ale u Kochanowskich to nowina, gdyż z nich każdy już jakby mądry się rodzi; on zaś ni książki, ni rusznicy, ni żadnej nauki ani roboty; duszy-to jedno miło, co ciału smakuje; cały dzieńby jadł, pił, weselił się, a potem drzymałby na ławie nogi na piec założywszy. O Bożym świecie nie wie; w pole, do gospodarstwa ani go napędzić: do jednej piwnicy co czasem zajrzy. Gdyby broń Boże, pani Kasprowa zamarła, albo gdyby wstąpiła do klasztoru—jak oddawna zamysła — majątek poszedłby z dymem; lepiej coby tych dostatków nasza Ewulka użyła, a warta ich. U naszego pana niczem wszystkie dziewczęta przy Orszulce, ale co u pani...

— Któraż to Orszulka?—przerwał Kozak.

— Najmłodsza, cudowne dziecię nad wiek swój, bo to niedawno wywiązane z pieluch, i niedopiastowane jeszcze. Patrząc na nią sądzićby można co ledwie gadać umieć, a ona wymową swoją i rozumem nieraz starego zawstydzi; piosnki sobie już tworzy i śpiewa je sobie; aż człowieka

strach często bierze, żeby jój nam kto nie urzekł; ja tam mierzę i odzegnywam dziewczeczkę co wieczór, kiedy ją do kołyski kładę, bo czort nie śpi. Nasz pan za dziesięciu synówby jój nie oddał, ale co u naszej pani, to i panna Ewa nie mało znaczy; prawa ręka, drogie oczko matuni: będzie rada patrzeć na nią całe życie. Ale bo też się i udała naszemu państwu dzieweczka!—mówiła dalej Nastka, widząc że gość zadumał się czy zasłuchał. — I urodzie panny Ludwiny trudno co przyganić; owszem, w całym sąsiedztwie żadna się do niej nie umywała. Już wyższa od siostry, białe to jak mléko, gdyby z jedwabiu cała i z aksamitu, taka gładka i miluchna, do ranyby ją przyłożyć; chodzenie jój ciche, mowa łagodna i rozmyślna; od samój kolébki paciérza pilnuje, dziecinnych zabaw i igrania się strzeże, nigdy w głos się nie rozśmieje, przy starszych milczy; pletliwe baśni i rozmowy płonne mimo jój uszu przechodzą; cała w postach, w dobrych uczynkach, nie wiem czém żyje, chyba modlitwą. Takiój pokory nikt nie widział, ona niczego nie godna, wszystko dla niej zadobre; gdyby jój przyszło chléb swój zarabiać na najprostszych usługach, byłaby najszcześliwsza; a że Bogu dzięki zdrowa jak rybka, kiedy ją kto chwali, zawsze powtarza: „Ja wody nosić nie warta za moją Patronką.“ Ale tamta chorując całe życie, jak mi nasza pani opowiadała, nie mogła żadnym prawem tyle robić dobrego. Bez naszej panny Ludwiny nikt ani we dworze ani na wsi oddać ducha Bogu nie umiół, ona własną ręką umarłym oczy zamyka; jak nad łóżkiem konającego usiadzie i z książki czytać zacznie słodziusienko, aniołowie zda się zstępują do izby, a czort zmyka gdyby oparzony. Będzie ona świętą, będzie; ona bez żadnej zmayı jak dziecię niewinne. Wyśni się pani matce: jeszcze z nią chodziła, kiedy widziała przez sen, iż powiła śliczną córeczkę, którą białe panny w niebo nosły; dlatego też ledwie się urodziła, kiedy przyszło na myśl naszemu Panu



przeznaczyć ją do klasztoru, i dał jęj imię owęj świętęj, któręj ciało oglądał gdzieś w dalekich niemieckich krajach. I prawdę rzekłszy, ona już dziś jakby święta; choć w czerni chodzi, jakaś łuna od nięj bije: człek grzeszny nie ma nawet do nięj śmiałości. Oto Banaszek, stróż dworski, co drzewo rąbie na podwórzu, jak ją spotka, żegna się kieby w kościół wchodził; w całej wsi kiedy kto kraju jęj szaty się dotknie a pocałuje, myśli że odpustu dostąpił; a czarna świtka ucieka przed nią jak zmyta. Co do naszęj Ewułki, do tęj każdy garnie się śmiało: pełno jęj wszędzie: od rana po całym domu ją słyhać; piosunki ciągle w ustach; to na tego się zaczy i nastraszy, to jużci w drugim końcu dworu dziewczkę którą wykręci, polechce. Dziwno mi, co jeszcze tego wieczora do kuchni nie wpadła; kurczątko tu ma za przegrodą, sama je hoduje, gotowa wstać jak kur piérwszy raz zapieje, żeby raz naraz jeść miały: bo choć do zabawy piérwsza, do roboty nie ostatnia; jęj krówki zawsze najlepięj dojrzane, grządki w ogrodzie czysto wypielone, podlane; krzak rozmarynu co go sobie na ślubny wianeczek pielęgnuje, rośnie jak na drożdżach; w wieczory zimowe żadna prządka tutejsza, ba! ja sama jęj nie nadążę: co jedno zobaczy, wszystko igielką misternie wyrobi; a jakie ciasta piec umie! niech się i nasz pan Zubek schowa— do dała pocichu spoglądając z ukosa na kucharza. To wszystko zaś jeszcze nic; królewskie serce u tego paniątka: duszęby oddała każdemu. Wszyscy we dworze, we wsi, przepadają za panną Ewą. Czy kto się rozniemoże, czy mu krzywda jaka, czy co przewinił, zawsze do nięj i przez nią. O! i teraz widzicie ją tam za wrotami?

Kozak spojrział ciekawie przez okno i dostrzegł Ewę i Ludwinę; w białych zawijkach, przy zmroku wieczornym zdały mu się obie, jak owi aniołowie, co niegdys w gościneę przyszli do Piasta.

— Wraca ze wsi—powiedziała jeszcze Nastka—widzę



dzisiaj siostrę z sobą wzięła, lubo dzięki Bogu, nié mamy nikogo na śmiertelnéj pościeli; w téj oto trzeciéj chacie po lewéj, Papisowéj dziewczyna ciężko zapadła, ale jéj nic nie będzie; po kilka razy na dzień dobiega z lékarstwami pańskimi; bo nasza pani zawołana lekarka; pewno była i u staroego Kosika i poniosła mu co z obiadu: były gotowane śliwki i gruszki, dobre jadlo dla dziada bez zębów. Ona wszystko rozda co jeno ma. Myślicie, bratku, zjadła sama dar dzisiejszy pana Franciszka? całą bułkę oddała pielgrzymowi co u nas w stodole nocuje; a z owych bakalii coście przywieźli, ledwie parę rodzenków zakosztowała: wszystkim się dostało, i ja mam moją część— a tu wyjęła z zanadrza parę daktyl i fig w szmatce.— I ja ich takóž nie zjadłam; schowałam dla mego chrzestnego Gryklikowéj chłopaka; tégó chłopak, nie urocziem, ślini się nieboże na zęby a szuka, szuka: wszystkoby jeno gryzł....

— Ależ blizkie pokrewieństwo? — zapytał Kozak, którego widać nie wiele obchodziły dzieci chrzestne sędziwéj piastunki.

-- Pokrewieństwo! — powtórzyła niechętnie — prawda. Pan Franciszek i nasza Ewulka idą od dwóch rodzonych braci, są sobie bratanki; powiadają ludzie, takim stadłom małe dzieci mrą i należy mieć pozwolenie od kościoła; ale księża w to poradzą, jeszcze dla naszego pana, co wszystko może co jedno zechce. Wy nie wiécie, nasz pan był w Rzymie, z Papieżem gadał. A jacy to panowie, senatorowie, kapłani, zajeżdżają do naszego Czarnolasu; ba! nasz pan sam mógł być kasztelanem albo biskupem, jedno nie chciał. Posiedźno tu bratku z jaki miesiąc, a napatrzysz się i nasłuchasz. To czasem zjazdy jak na odpust, a goście sznurem ciągną kieby w cudowne miejsce; a Pan Bóg widzi, nie na żadne osobliwe biesiady i pijatyki się zjeżdżają; majątek szlachecki nie po temu; a nasze państwo rządne, o mało co nie skąpe; jedno tak przez wielki szacunek. Bo może

i tego nie wiecie, co nasz pan księgi pisze, a to jeszcze wierszem, po polsku, po łacinie. Jak świat i długi i szeroki tak go znają wszędy, w zamorskich nawet krajach; jego pieśni pobożne śpiewają ludzie Panu Bogu po kościołach; i choć tu zjeżdżają mężowie mądry, nauczeni, przecie naszego pana za mędrszego jeszcze od siebie mają, i swoim ojcem, swoim księżciem go zowią. Ja tam się temu zawsze dziwuję; prawda, mnieć to co innego! blisko od dwudziestu lat, dzień w dzień, twarzą w twarz na niego patrzę, i mam u niego łaski nie przymawiając; taki mi się wydaje szlachcic jak i każdy drugi; rozmówi się z każdym, rozśmiej się z lada czego, zna się na najmniejszej rzeczy, i najlepszy gospodarz w okolicy. Na nasz Czarnolas wszyscy jak w tęczę patrzą z Policzny, z Grodka, z Sycyny, nawet z Jasieńca; z Janowca ludzie pytają: „A sieją tam już w Czarnolesie? a wypędzają bydło w pole? a cieleta czy odsadzone od krów? a co tam pan Czarnoleski o urodzajach trzyma?“ I cokolwiek w całym powiecie, ba! w całym województwie się stanie, zaraz do niego jak w dym.. Dla Boga Świętego!—zawołała tu porywając się za głowę—otóż i dzwonią...

— Co to znaczy?—zapytał Kozak słysząc odgłos jakby kaplicznego dzwonu—cerkwim nie widział blisko.

— To nasza święta panna zwołuje na pacierze wieczorne; raz jeszcze tak zadzwoni. O! bo to już nie wszędzie tak jak u nas. Nasz pan nauczony a bogobojny, co rano i co wieczór na głos z dziatwą i czeladką się modli, do chwały Bożej dom swój przyprawując. Ot widzisz, bratku, dzwonek lepszy od miotły; żywego ducha w kuchni niema: jakby wymiół. I ja idę. Zaraz, zaraz, dla Boga—dodała słysząc powtórzony odgłos dzwonka—jedno to giezłeczko dla Orszulki wyjmę; człowiek przy robocie rzadko przez dzień ma czas wspomnieć o Panu Bogu, dobrze choć w wie-

czór i rano pokłon Mu oddać. I rzecz to bardzo skuteczna, owa wspólna modlitwa; w okolicy okrutnie czort panuje: to dziecko wykrzywi, to krowom mléko urzeknie, to baby niemieją; bij, zabij, nie dogadasz się ani słowa, jakby usta zaszył: u nas przecie nigdy podobne nieszczęście się nie trafiło, choć jest we wsi czarownica. Modlitwy niewinnych dziątek najlepiej złe odganiają.

— A mnieżby tam pójść wolno?—zagadnął Kozak.

— I owszem. Państwo radzi temu będą jak was zobaczą; a co takięj drugięj Matki Boskięj jak nasza, niéma nigdzie, chyba w jednęj Jasnogórze; bo téż to skapany onego cudownego obrazu kouterfekt. Idźże zemną, bracie. Obaczysz oraz izbę pańską; jest druga daleko śliczniejsza, od wielkiego dzwonu, od gości: ta zwyczajnie todzienna.

W izbie obszernęj o trzech oknach, z długim stołem dębowym w środku, na którego jednym rogu, białym obrusem nakrytym, leżał dzień i noc bochenek chleba z solą dla gościa, w izbie zastawionęj ławami, szafami w około i rozmaitym sprzętem po kątach, przed wizerunkiem Najświętszëj Panny Częstochowskięj, jarzęcém światłem oświeconęj, klęczeli oboje Kochanowscy; obok nich, po trzy z każdęj strony, koleją starszeństwa sześć ich dziewcząt: wszyscy razem, i rodzice i dzieci ze złożonemi rękoma, z oczyma wlepionemi w twarz Matki Miłosierdzia, służyć mogli za wzór jakiemu Dürerowi, do jego prostych ale wymownych obrazów. Za niemi byli dworscy i czeladź obojęj płci, różnego wieku i stopnia, przybrani jak kogo dzwonek zastał, klęczący gdzie kto przypadł: to pod piecem, to przy ławie, to za stołem, to koło komina; włodarz i bakałarz, ten z batem za pasem, tamten z piórem za uchem; szafarz i piwniczny trzose kluczy mieli oba przy sobie, jeden trzymał jeszcze nóż stłuszczony w ręku, a drugi mokry lejek na palcu; kucharz i kuchciki, ów ubielony mąką, tamci

szczernieni sadzą i węglem; pomywaczka ze ściérką, pokojowe to z zawijką, to z duchenką; pacholki i pacholęta z miotłkami, ze szczotkami; woźnica i parobki z zgrzeblęm pod ramieniem, z barłogiem w czuprynach; stróże z siekierami, dziewczki z trawą w płachtach, a znajoma nam gadulska Nastka z zamydloną chustą przed sobą.

Zwolna milczenie ogarnęło izbę i Kochanowski zaczął. Najprzód zrobił znak krzyża świętego na czole, pierśsiach i ramionach, a wraz z nim cała obecna drużyna; potem odmówił na głos Modlitwę Pańską, Pozdrowienie anielskie, Skład apostołski; akty wiary, nadziei, miłości; wyliczył przykazania Boskie i kościelne, siedm sakramentów, siedm grzechów śmiertelnych i wszystkie miłosierne uczynki; dalej zaśpiewał litanią do Matki Boskiej, a głosy grube i piskliwe, męzkiej i żeńskiej czeladzi, i głosy pieszczone i dźwięczne żony i córek, w jeden głos złączone, odpowiadały mu w miarę jakby dzwon mówiący: „Módl się za nami! módl się za nami!“

Po skończeniu litanii w osobnej i krótkiej modlitwie polecił miłosiernemu Bogu całą Rzeczpospolitą, króla, królowę, kościół prawowierny, wszystkie stany, rycerski, duchowny, miejski i kmięcy, krewnych swoich, dobroczyńców, przyjaciela, braci, starego stryja, a nareszcie duszę nieboszczyka króla, rodziców, krewnych, a mianowicie duszę matki, brata Kaspra i księdza Macieja. Te trzy imiona wymówiwszy umilkł; wtedy pobożna Ludwina zanuciła słodko psalm ojca przekładu: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ a wtórowali ję wszyscy, gdyż już upowszechnioną była między ludem muzyka starego Gomółki, do której zastosował Kochanowski swoje psalmy.

Po tęg pieśni wszyscy uderzywszy się w piersi, powstali prócz Kozaka, który w kącie przy drzwiach był ukląkł. Kochanowski idąc do sypialnej komnaty, postrzegł go modlącego się gorliwie. Zdawało się, jakby ślub jakiś



potajemnie czynił, bo złożył nakrzyż wskazujące palce u obu-  
dwóch rąk, wlepił oczy w święty obraz, i coś mówił po-  
cichu z głębokim uczuciem.

— Dobrze bratku — rzekł Jan głaszcząc go po głó-  
wie — widać z jakiej jesteś szkoły; jaki pan, taki kram:  
i mój Jakób bić i modlić się umie.

Zerwał się Kozak, skłonił się do samych nóg i wyszedł.



### ROZDZIAŁ III.

Ale gdy co komu miło,  
Trudno wytrwać i czas mały:  
Godzina tam jak wiek cały.

*Ks. II, pieśń VIII.*

Radość podobno snadniej od smutku sen z powiek oddala, może dla tego, że człowiek choćby też do liczby najszcześliwszych należał, mniej jest z nią oswojony. Lubo to u nas w Kwietniu noc przespać nie sztuka, i słońce już nie leniwe, przecież Kochanowski wyprzedził słońce; rad był zacząć coprędzój ów dzień pomyślny, który go miał złączyć z przyjacielem po kilku leciech niewidzenia się. Wstał więc z jutrzeńką; już nie czekał żeby mała Orszulka, jak było jój zwyczajem, ruszyła się ze swego posłania i przyszła do niego w koszulce po paciorek ranny; wstał sam, podsunął coprędzój głowę i kark pod zimną wodę, która szła zawsze w izbie pod oknem za odwiedzeniem kurka w wielką miedzianą miednicę, obmył żwawo czuprynę, twarz, szyję i ręce, owinał stopy białymi onuczkami, wciągnął długie skórnie, przywdział kozuch, przytrzymał go rzemiennym pasem, czapkę włożył i poszedł prosto do stajni nagadać się z Kozakiem, wypytać się jeszcze lepiej o ową zbójcejką napaść, o tę ciężką ranę w głowę; dowiedzieć się dokładniej gdzie

pana zostawił, którą drogą zjedzie, o jakiej godzinie? wreszcie zanieść mu parę groszy nowinnego. Zdziwił się nie mało, nie zastawszy w stajni, ani konia, ani jeźdźca; a kiedy czeladzi się pytał, żaden nie mu powiedzieć nie umiał.

— To ranny ptaszek, pomyślał sobie, uleciał jak ptaszek. Zaprawdę, człowiek sam nie wie, jak o tém wszystkim sądzić. Czy to sen jaki? czy urok? czyby psota czyja? Ależby się to nie godziło, żarty i krotofile z sercem niemilosierne i niepryzwoite.

I powtórzył swoje zdziwienie i domysły żonie i dwom starszym córkom, co także już wstały, a odziewszy się na prędcę, wybiegły przed ganek patrzeć, jaką Pan Bóg dał pogodę na ten dzień radosny?

— Bo już ja mówiłam jeszcze wczoraj matce—powiedziała Ewa—jakiś to dziwny Kozak. Z razu podobał mi się, takiego dorodnego i mownego młodzieńca w barwie jeszcze nie widziała; ale jak na mnie raz jeden spojrział, coś mnie wskroś przejęło, i bałam się cały wieczór gdyby złego.

— Zły człowiek, albo w znowie ze złem, nie mógłby się tak jak on, i nie śmiałyby wpatrywać się w święty nasz obraz—odezwała się ujmującym głosem Ludwina.

— Słuszna uwaga—rzekła Kochanowska—a druga rzecz, dostrzegłam w nim wielkie przywiązanie do pana brata, z czego takóž dobrze o nim trzymam. I zapewneć, z przywiązania nie z czego innego, zerwał się chłopczyisko z pościeli jeszcze pierwój od nas. Chciał pana swego spotkać z pomyslną wieścią o zdrowiu naszym.

Uspokoily Kochanowskiego te słowa; przecież już przez poranek cały nie słył mu jak zwyczajnie jego zatrudnienia i prace.

Wprawdzie odmówiwszy pacierze z dziatwą i z czeladzią, spożywszy czarę piwnój polewki, dosiadł był swego siwosza; pojechał jak codzień w pole, gdzie właśnie dosie-

wano owsa i jęczmienia; postać trochę nad rolę, którą przekładali na len i na kapustę, ale wnet wrócił pędem do domu jakby w obawie, żeby tam Podlodowski nie przyjechał w jego nieobecności. W stodołach młócili proso do siewu; zwyczajnie ostro przestrzegali, żeby dobrze plewę z ziarna obijali; lecz dziś na nic nie uważał, nikogo nie strofował. Pasterz przyszedł do niego i powiedział:

— Miłościwy panie, dobrzeby choć ze troje starszych cielątka od macierzy poodsadzać, byłoby więcój mléka.

— Jutro, jutro—odrzekł—dzis dajcie temu pokój; dzis nikomu i niczemu nie robić przykrości.

Kiedy wracał ku domowi, szanowny pan Łukasz Gupolski, bakałarz, w czarnej rewerendzie, z kałamarzem u pasa, zaszedł mu drogę:

— Paniątka uczyć się dzis nie będą, sama jój miłość mi to oznajmiła; mam czas wolny, mógłbym dokończyć oprawy dokumentów do relacyi z ostatniego sejmu, ale nie ułożone jak należy: może wasza miłość oświecić mnie raczysz.

— Idźcie dzis z wędką na ryby, panie Łukasz—odpowiedział—albo ulówcie słowików i skowronków do rychłego śpiewania, jak to umiecie; a najlepij róbcie co się wam spodoba: ja głowy nie mam, przyjaciela wyglądam.

W szkółce nad sadzawką zostało jeszcze kilka zimowych jabłoni do przesadzenia; mała winnica, która była na wzgórzu od południa, potrzebowała obrzezania gałązek, obwiązania macic; Franek ogrodniczek czekał na rozkazy pana; lecz i to mu nie szło:

— Zostawmy do jutra—powiedział—on mi pomoże.

Poszedł pod swoją ulubioną lipę. Stała ona odosobniona o kilkaset kroków od domu ku wschodowi, już dziad jego siadał pod jój cieniem, a on nieraz pacholęciem będąc, krył się w jój gałęzie, i tak całe przesypiał noce, budząc się dopiero z ptaszkami. Teraz, osobliwie téż w później-

szej porze, kiedy gęstym liściem się odziała, albo pachnącym kwiatem się nastrzępiła, miał ją za muz świątynię; tam lutnia jego brzmiała najwdzięczniej, tam najswobodniej oddychał; ztamtąd także używał najpiękniejszego widoku, na jaki niewydatny Czarnolas mógł się zdobyć: ztamtąd było widać staw zwierciadlany i dosyć rozległy, młyn Dzbukiem zwany i cienisty lasek jaworowy, ręką rodziców jego sadzony, przez który czysty strumyk przebiegał. Ale dziś nie mógł i pod lipą dosiedzieć; jakiś dreszcz go przechodził, chociaż dzień był wcale ciepły i słońce mile dogrzewało.

Zwrócił się ku dworcowi; nie było gdzie się podziać, z kim pomówić; wszędzie nieład, wielkie uprzątanie: żona, córki, czeladź zajęte. Tu jedna dziewczka w ganku omiata z pajęczyny wyrzynane słupki, które daszek wspierają; tu druga w sieni okurza sterczące rogi łosie, jelenie i sarnie, zdejmuje wiszące na nich opończe, kozuchy, czapki, trzepie skóry niedźwiedzie i wilcze przed progiem leżące. Tu Ewa z Dorotą i z Marychną ustawia ławy, stoły, stołki, kołowrotki, krosna; ściera półki, szafy w izbie już nam znanj, największej z całego domu, ale za to najwięcej uczęszczanej i najwięcej potrzebującej porządku, bo w tej izbie rano i w wieczór zebranie na wspólną modlitwę, trzy razy zastawiane jedzenie; w niej roboty samj pani i starszych corek, narady i rozmowy gospodarskie pana z włodarzem i z sołtysem, zwłaszcza kiedy słota, albo zimno w ganku siedzieć nie dozwala; w niej przy ogromnym kominie, w długie wieczory pogadanka i przedzenie na wyścigi; w niej poufalszych gości przyjęcie, małych dziewczątek gry, zabawy, tańce i dwóch ulubionych psów domowych Brysia i Obala wieczne pod kaflowym piecem legowisko.

Po drugiej stronie sieni, Kochanowska z Ludwinją i z Nastką również są zajęte. Tam jest także obszerna izba salą zwana, a w niej kram dobrany. Ławy z poręczami, stołki jaworowe skórą wybite, stoły osłonięte ko-



biercami tkanemi w Carogrodzie, szafy z czarnego dębu, jasnym drzewem w wzorki wykładane; tam w oknie szachownica na czterech nogach i na niej olbrzymie szachy z hebanu i z kości słoniowej ustawione do boju, jak gdyby na ówczesowych szachowych rycerzy na *Fiedora* i na *Borzuję* czekały; tam na półkach stoi pare skrzynek z perłowej macicy, kilka puharów srebrnych i czar szacownych: tam są i farfury rzadkie i konchy osobliwe. Na ścianach wisi broń kosztowna, wizerunki familijne, a nad kominem Zygmunta Augusta obraz w hiszpańskim ubiorze, jak na codzień zwykły był się nosić. Do téj izby dzieciom ani czeladzi wchodzić samym nie wolno; klucz od niej wisi zawsze na kołku w sieni, i tylko czasami Kochanowska z jedną ze starszych córek, albo z zaufaną Nastką pył szanowny zmiata i sprzęt każdy stawia na miejscu, na którym już blisko od lat dwudziestu stoi. Nawet i z dwiema najmłodszymi dziewczątkami, z miluchną Hanną i z ukochaną Orszulką, nie może mieć zabawy Kochanowski: i one pracują. Leży przed gankiem stos świeżo wyciętego ze stawu tataraku; obie dziewczynki z polecenia matki napełniają zielem swoje sukienki, a przytrzymując je jedną rączką, drugą rozrzucają długie i aromatyczne liście po sieni i po izbach; rzekłbyś dwie aniołków z chóru tych co otaczają Niepokalaną Dziewicę, albo para owych co lecą zanieść palmę męczeństwa jakiemu wybranemu Pańskiemu.

Pójdę na pokój — powiedział sobie Kochanowski — odebrałem téż temi dniami kilka listów, trzeba je odczytać i odpisać. A otworzywszy drzwi skryte w kącie izby, zniknął; słychać tylko było przez chwilę wolne stąpanie po schodach, a potem odemknięcie drzwi kluczem.

Nastał był od niedawnego czasu u zamożniejszych, a nadewszystko więcej myślących Polaków obyczaj, iż mieli w domach jedną izbę do uspokojenia, na ustroniu, o jednych drzwiach, gdzie zawsze cicho i samotnie być mogło; tę prze-



zwali słusznie *pokojem*. Kochanowski stawiając sam dom swój, i chcąc go uczynić wygodnym, kiedy nie mógł wspa-  
niałym, nie omieszkał opatrzyć sobie podobnego schronie-  
nia. Jeszcze ojciec jego w obawie ognia, zmurować kazał  
opodał od dawnego dworu, na suchej i wysokiej piwnicy,  
lamus czyli skarbiec czworokątny, i tam zamykał co miał  
droższego. Syn o tę fundacyą ojcowską oparł swój dom  
nowy, drewniany, podniósł ją na całe piętro, a na wierzchu  
dał włoskim kształtem dach płaski czyli taras blachą wy-  
bity, kratą opasany, z kompasem na środku, z kąd w każdej  
porze, niebo na około mógł widzieć, wschód i zachód słoń-  
ca uważać; wewnątrz zaś urządził sobie zacisze do pracy  
i do dumania, gdzie miał księżnicę i skład rękopismów,  
i od którego klucz był zawsze w jego kieszeni. W dnie  
zwyczajne, nad wielkim stołem stojącym w pośrodku, zielo-  
nem suknem okrytym, otoczony księgami, papierami, po  
kilka godzin przesiadywał z lubością, rzucając niekiedy  
okiem: to na obraz Zbawiciela, włoskiego pędzla wiszący  
na ścianie, to na dziewięć muz rozstawionych po półkach:  
dziś, ni księgi, ni pióro, ni wizerunki, żadnego nie mają  
dla niego wdzięku. Klepsydra stała na stole: wziął ją,  
przewrócił, popatrzył czas jakiś na ziarenka piasku zwolna  
spadające; wstrząsnął nią mocno, nie pomny że tym sposo-  
bem ani rzetelną, ani sztuczną godziny nie skróci: rozśmiał  
się sam z siebie, poszedł śpiesznie na taras. Tam, kiedy  
bywało w dzień wstąpił, i siadł na ławce samotnej, w gó-  
rze trzymał i wzrok i duch swój, śpiewał Panu z królem  
prorokiem:

Tys niebo jako namiot rozbił ręką swoją;  
Chmury Twój wóz, Twe konie wiatry nieścignione;  
Duchy—posłańcy, słudzy—gromy zapalone.

A jeśli w wieczór albo w nocy poszedł, wpatrywał się  
w gwiazdy, gubił się w tym świecie tajemnic w myślach

o ich Stwórcy, o biegu życia człowieka, tak ściśle złączonego, jak wówczas rozumiano, z biegiem planet. Dziś, jego oczy na dół są zwrócone, oderwać ich nie może od strony, z kąd przyjaciela się spodziewa; zlorzeczy pierwszy raz sośnowym lasom, otaczającym jego wioskę, które go może ukrywają; a długo nic dojrzeć nie mogąc, zbiega znowu na dół; zniecierpliwiony chce wyjść na drogę i iść póty, choćby téż do wieczora, póki upragnionego gościa nie spotka. Już spiał krótki piaskowy kontusz, szablę przypasał, czapkę na uszy nasunął, koszturę wziął w rękę, kiedy zabiegła mu drogę ulubiona jego Orszulka. Wysłała ją z umysłu matka wiedząc dobrze, kto najlepiej ojcu czas skrócić potrafi. Śliczniejsza była niż kiedybądź, zawsze śliczna dziecina. Kochanowski rad popisać się z nią przed przyjacielem, zalecił był jeszcze wczoraj Nastce, żeby ją jak najstaranniej ubrała, i właśnie w téj chwili po ukończoném rozrzucaniu tatarakowych liści, dokonano ochędostwa. Koszulka cienka biała, bryzowana, nowy letniczek pisany, co jój matka sama uszyła, paski złote, niedawno z Sandomirza przywieszione, a z włosków dwa uploty niebieską wstążką nad czołem związane.

— Ojcie, chodźcie ze mną na łąkę—powiedziała, biorąc go za rękę—kwiatów dla gościa narwać trzeba.

Poszedł, ulegając jak zawsze woli dziecięcia, mówiąc sobie:

— Potém na drogę wyjdę.

A kiedy ona, biegając i śpiewając zaczęła układać skromny snopek wiosenny, on jój się spytał:

— Szczebiotko! wiesz ty kto tu przyjedzie?

— O! wiem—odpowiedziała, jakby nie przerywając śpiewania.

„Przyjedzie tu rycerz,  
Ojcu, matce drogi,

A ja te kwiateczki  
Rzucę mu pod nogi.“

— Pieszczoto moja!—zawołał Kochanowski, siadając na trawie i otwierając ku niéj ramiona, w które ona pędem wbiegła—i cóż mu powiesz?

— Oto mu zaśpiewam—a stanąwszy przed ojcem, lewą rączką ujęła się pod bok, główkę przekrzywiła, tupnęła nóżką zupełnie jak parobek w tańcu, kiedy przed grajkiem stawa, i tak się ozwała:

„Nie znałeś Orszulki,  
A ona cię kocha;  
Poznałeś ją teraz:  
Pokochajże trocha.“

— A za cóż ty go kochasz?—spytał jeszcze ojciec, odchodząc prawie od siebie ze zdziwienia, i jakby zapominając, że z dzieciną rozmawia, że może nadużywa władz rozumu budzącego się zawcześnie.

Tu dziewczynka zadumawszy się nieco, uroczystym głosem wyrzekła:

„Tak Bóg przykazał,  
Czyż tego nie wiecie?  
Kto kocha ojca,  
Tego kocha dziecie.“

— O! bogowie!—zawołał Kochanowski w uniesieniu powstając i porywając dziewczynkę—jakaż cudowna śpiewaczka, Safo Słowiańska rośnie mi w tobie; chodź słowiczku mój, powtórz matce piosenki twoje, a nie zapomnij je zaśpiewać tak samo wujaszкови.

— O! już zapomniałam—wymówiła zakłopotana dziecina—może inne przyjdą; tam jest lepszych siła—dodała, przytykając rączkę do wypukłego czoła—biedują się często,

a wyjść nie chcą, czy nie mogą; aż czasem boją. Ale, ojcze, patrzcie, co tam widać na gościńcu; coś błyszczy: rycerze jadą!

I dobrze widziała dziewczynka. Podlodowski jechał na dzielnym ukraińskim koniu; już nie młody ale jeszcze zupełnie ciemnego włosa i nadzwyczaj piękny i dorodny mężczyzna, był uzbrojony jakby na wojenną wyprawę; z pod szarąj tatarskiej opończy z lekka na ramieniu wiszącój, widać było bekieszkę, ubiór wielce wówczas używany, przez panię na szlachetnego Bekiesza, szablę u boku, i kindżał za pasem. Obok niego młodzieniec hoży i gładki, także zbrojny i jeszcze sucięj ubrany, harcował na cisawym tureckim dzianecie. Toczył się za niemi wóz ciężki czterokonny, dążyło dwóch pachółków na zwinnych parepach czyli podjezdźkach, ale wczorajszego Kozaka nie było: znać się zmiął z panem w drodze. Stanęli oboje Kochanowscy z córkami na ganku, wołając radośnie:

— Witajże nam, witaj! przyjacielu i bracie; witaj i z temi co w progi nasze wprowadzasz!—dodali, widząc nieznanomego młodzieńca.

Tabor cały wnet stanął na podwórzu: zaczęły się uściłki, pokłony, pozdrowienia.

Czemu Ewa spłonęła rumieńcem, kiedy pan Podkoniuwszy wyrzekł, pokazując na towarzysza swego:

— Oto mój syn rotmistrz Filip Owadowski, herbu Łabędź; nie on-ci mnie, ja jemu winienem życie; ale miłuję go jak syna i wy go za takiego mieć raczcie.

Czemu Ewa spłonęła? Niech to młode dziewczęta odgadną



## ROZDZIAŁ IV.

Służmy pocziwój sławie, a jako kto może,  
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

L. 19.

Lubo Wielkanoc, owo prawdziwe święto zmartwychwstania, od piętnastu dni minęła, tydzień świąteczny zaczął się w Czarnolesie. Dwaj przyjaciele, po tak długim rozdzielaniu, krótkie i policzone chwile mając do spędzenia razem, gdyż pan Podkoniuszy dziesięć tylko dni bawić przyobiecał, nacieszyć się z sobą, nagadać, napatrzeć się wzajemnie siebie nie mogli. Jakkolwiek dzielny, rubaszny, sierzysty, poważny, niepospolitego wzrostu i siły, mężkiej i rycerskiej piękności Jakób, różnił się zupełnie obejściem i urodą od łagodnego, wdzięcznego spojrzenia, słodkiego języka, Jana, owego pieszczonego wychowanka muz, dworu, i najoświeceńszych krajów, owego miłośnika pokoju i wiowski: jakkolwiek,

„Jednemu twardy szyszak docierał do głowy,  
Drugiego skroń otaczał miękki liść myrtywy“\*);

przecież sercem zgadzali się i pasowali do siebie, tak samo w pośrodku życia, jak niegdyś w dniach bujnej młodości

---

\*) Elegia Kochanowskiego.



i w pierwszej świeżości uczuć. Jedna w nich była co dawniej miłość Boga, ojczyzny i sławy; jednakowe zdania o Wierze, o wolności, o poprawach rządu, jakich Rzeczpospolita potrzebowała koniecznie; jednakie zaufanie, że spełnić je potrafi Stefan Batory, król równie dzielny jak mądry, zwłaszcza wsparty radą, ramieniem i sercem kanclerza hetmana, przyjaciela i powinowatego swego, Jana Zamoyskiego.

Podlodowski nie był nawet bez wyższego usposobienia rozumu, bez delikatności w uczuciach; wprawdzie życie oddane ciągłym prawie bojom, teraz poświęcone mozolnym i niebezpiecznym podróżom w królewskiej posłudze, nie wiele miejsca zostawiało naukom. Szabla i rusznica droższe i poufalsze mu były od pióra, koń milszy od książki: dwóch rymów nie znalazł, odkąd żył na świecie. Ale czyż tylko tych co czytają, piszą i rymują, zwać można poetami? Są poeci czynu, w ich życiu jest poezya. Z tych liczby był Podlodowski. Ze starożytnego domu, który oddawna przysługiwał się Rzeczypospolitej ludźmi mężnemi na wojnie, światłemi w senacie, syn zacnego i śmiałego ojca, dziedzica szerokich włości, urodzony w głębokiem Podolu, w owęj krainie, mężtwem Giedymina i Olgierda wydartej Tatarom, ale do której ta dzika tłuszczka ciągle prawa swoje mieczem i ogniem wznawiała, ledwie mógł broń udźwignąć, kiedy już był żołnierzem; obóz stał się dla niego domem, koń siedzeniem, żelazna zbroja odzieżą, bitwy z nieprzyjacielem tańcem, a życie i mienie o tyle szacowne i drogie, o ile dla ojczyzny i dla braci poświęcone być mogły. Jeszcze wtedy, właśnie w końcu panowania Zygmunta Starego, nie był wszędzie obmyślony żołnierz do ciągłego strzeżenia granic. Polska, przez którą barbarzyńskie ludy wnijście do Europy miały, nie zasłoniła od nich górami, nie przedzielona morzem, wstrzymywała ich przecież; lecz całe prawie jej bezpieczeństwo, cała spokojność ościennych narodów po-

legały na dobrowolnej i ochotnej waleczności rycerskiej jej dzieci; i było wielu, w zaślepionej ale poetycznej szlachcie, którzy stawianie fortec, obsadzanie ich regularnym i płatnym wojskiem, uważali za uwłóczenie mężtwu stanu rycerskiego. „Piersi synów — mawiali — dostateczną dla matki obroną.“ Nadstawiać więc trzeba było tych piersi i oba Podlodowscy tak ojciec jak syn wraz z Daszkiewiczami, z Lanckorońskimi, z księżętami Zasławskimi, Zbaraskimi, Wiśniowieckimi, z Pretficami, Herburtami, Jazłowieckimi, Sieniawskimi, zasłużyli się dobrze Rzeczypospolitej i Chrześcijaństwu, w wstrzymywaniu wielokrotnym własnymi ludźmi i własnym ramieniem, srogich napadów tatarskich, w ściąganiu ich i karceniu, gdy silniejsi albo podstępniejsi od nich, zapuścili na Podole, na Wołyń i na Ukrainę krwawe zagony swoje.

Jednak Podlodowski ojciec, widząc rosnącą z wiekiem dzielność syna, może i dumny z nadzwyczajnej jego urody, zapragnął dla niego wyższego ćwiczenia, większego świecznika. Gdzież go miał chętniej szukać i łatwiej znaleźć jak przy boku wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego, z którym nawet powinowactwo go łączyło? W owym czasie taka była konieczna kolej wychowania męskiej młodzieży; każdy musiał się otrzeć między ludźmi, służyć, nim zaczął żyć na własny rachunek i rozkazywać drugim. Po odbytych naukach w domu albo w szkołach, drobna szlachta oddawała synów do majątniejszej braci, majątniejsi do panów, panowie zaś posyłali swoich na zagraniczne dwory, do cesarza, królów i książąt udzielnych. Ośmnasto-letniego Jakóba powiózł tedy ojciec do Tarnowa i oddał w służbę hetmanowi; tam wnet przybył jak wiemy i nasz Jan, któremu matka wyjednała miejsce na tymże dworze, dla wykształcenia go w naukach, w pisaniu listów, w znajomości rzeczy krajowych; gdyż Tarnowski jak wszyscy nasi wielcy mężowie XVI-go wieku, był razem gromem bojów i muz

miłośnikiem. Oba jednakże i Jakób i Jan rok tylko jeden spędzili na tym znamienitym dworze.

Nowy a okropny napad Tatarów na ziemię Ruskie w końcu Września r. 1549 przerwał korzystne dla nich życie, wdziękiem przyjaźni ozdobne. Tak potężne było mnóstwo owych najeźdźców, iż żadne siły wstrzymać ich pochodu nie mogły; toczyli się jak powódź rozhukanej rzeki, padali jak ómy szarańczy na polskie kraje. Już Lwów pamiętny dawniej doznanych niedoli drżał cały, kiedy hetman Tarnowski zaciągnawszy ku temu nieprzyjacielowi z licznem wojskiem koronnem i własnem, poraził ich na głowę pod Tarnopolem. I Kochanowski był w tej walnej bitwie; chociaż nie z powołania rycerz „przyręczał się na ten raz do miecza“ \*), jak sam o sobie napisał; nieodstępny od przyjaciela, przeto w największem niebezpieczeństwie, strzała tatarska w szyi mu utkwiała i była nawet chwila trwogi o jego życie. Lecz Podlodowskiego boleśniejszy jeszcze cios ugodził. Tatarzy naprzód spustoszyli brzegi Dniestru, paląc, siekąc, mordując, zabierając, cokolwiek okropną swoją obławą dosięgli. Wtedy sam książę Wiśniowiecki oprzeć się nie mogąc przemagającej sile, poddać im się musiał z żoną i z dziećmi. Stanisław Podlodowski także we własnej wsi, w Studzienicy, z nienacka napadnięty, a dobrze pohańcom znany, bronił się do ostatka, aż zakłuty poległ. Żonę jego zącą białogłową, Ewę Biejkowską rodem, wraz ze wszystkimi jej kobietami, Tatarzy zabrali w niewolę i zaraz do hordy odesłali, zniknęła nawet dwuletnia córeczka Hanna z piastunką swoją; i nazajutrz po Tarnopolskiej bitwie, kiedy wszyscy w hetmańskim obozie w radości zwycięstwa byli, a ranni zapominali o bólach swoich, wierny kmiotek

---

\*) Księga IV. picśń 24.

Studzieniecki przybył donieść młodemu Podlodowskiemu o całym jego nieszczęściu.

Pomścić ojca, wydobyć matkę i siostrę choćby z głębi Azji, te powstały w młodzieńcu chęci; a gwałt ich zrównoważył nieco w jego duszy żal srogi nad śmiercią ojca, żal, że nie był przy nim w tej chwili! Rzucił wielkiego hetmana, rzucił rannego przyjaciela, pędem wiatru poleciał. Odkopanego trupa ojcowskiego, zamordowanego licznemi rżanami, zaledwie poznał, ale za każdą ranę choć jednego Tatarzyna zgładzić ze świata poprzysiągł; maleńkiej i jedynej siostry szukał to w Kamieńcu, to w Mohilowie, to w miasteczkach i wioskach okolicznych na drabnych wozach naładowanych porwanemi przez Tatarów dziećmi, które nasi ścigając ich, zdołali im odebrać, a które w takowych razach wożono do miast głównych, aby matki poznawały i odbierały swoje. Ale nie tam i nie zaraz znalazł ukochaną siostrę. Piastunka dwuletniej Hanny, owa gadatliwa lecz wierna i roztropna Nastka, wyprowadziła była dla zabawy panienkę opodal od domu; wtém, znać dano o zbliżających się niespodzianie Tatarach, i wraz ich okropne krzyki rozległy się w powietrzu. Nastka nie wiele myśląc porwała dziecę na ręce, i uciekła w przeciwną stronę, w stepy; już słyszała jak pohańcy je gonili; lecz ona skryła się w wysokich trawach, a błakając się długo zaszła do jaskini, gdzie stary czerniec pędził resztę dni swoich w samotności i na modlitwie. Ztamąd dopiero po kilku miesiącach wyjść się poważyła. Podlodowski tymczasem przez Dniestr się przeprawił; z ludźmi, z pieniędzmi jakie mógł zebrać, zapuścił się w tatarskie kraje, żeby matkę wyzwolić, wykupić. Znalazł ją nareszcie, ale umarłą.

W mocy u jednego z Carzyków, który na Proroka swego przysięgał, iż najlaskawszego obojścia doznawała u niego, ale nie mogła znieść ohydnej niewoli; uciśnienie jej, łzy, modlitwy widział Bóg, i zlitował się nad nią. Po-



grażony w ciężkim żalu syn, przynajmniej jęj ciało wykupił, ze czcią do Studzienicy sprowadził, i własną ręką w grobie ojcowskim położył. Jedna pociecha czekała go za powrotem do domu, zastał już siostrę z wierną piastunką. Nie przewidując atoli dla nięj ani pewnego ani przyzwoitego schronienia w nadgranicznęj majętności, któręj tak młodo i nieządanie został dziedzicem, i chcąc ją od niebezpieczeństwa wojny z pewnością uchronić, odwiózł ją sam aż do Sendomirza, miasta opasanego murami, zakwitłego w zamożność i handel, a które od czasów Kazimierza Wielkiego, dzięki jego przezorności, nie doświadczyło tatarskięj napaści. Tam do klasztoru ją oddał, zostawując przy nięj pocziwą Nastkę. Może tęż do wyboru tego miasta dla siostry, powodem mu była pamięć na rodzinną ziemię przyjaciela, i myśl że bezpiecznięszą będzie sierota mając dom Kochanowskich w tēm samém województwie. Nie przewidywał wtedy o ile się ścięnią w przyszłości węzły jego z tym domem; chociaź braterstwo powinowactwa, mało co już dodać mogło siły braterstwu serca.

Stwierdzał je wiek, mimo tak odmiennych przeznaczeń obudwóch przyjaciół.

Jak Jan nauki, tak Podlodowski obrał sobie zupełnie i dobrowolnie stan rycerski za powołanie. Należał on do liczby owych ludzi, co to nie żyją na wiatr, z dnia na dzień, ale któ. zy wczesnie kreślą sobie zawód, piękny cel znaczą i pracy nie szczędzą żeby dobiecz chlubnęj mety. Kamienny i żelazny dla siebie i w ciele swoim, był czuły i litościwy dla drugich i w duszy. Wnet tęż pozbył się uczucia zemsty, które po stracie rodziców podzegało jego ramię, chęć szlachetniejsza go ogarnęła, zapragnął być obrońcą ojczyzny, obrońcą Wiary, zgoła żołnierzem chrześciańskim.

Nie brakło mu na sposobności dogodzenia temu pragnieniu.

Przez cale panowanie Zygmunta Augusta, owego nie



bez zalet, ale nie wojennego króla, ani opuścił Podola i Ukrainy, na krótką chyba chwilę żeby przyjaciela i siostrę odwiedzić; zresztą był jakby krzyżownikiem wiecznym, gdyż ciągle z niewiernymi walczył, lub do walki się sposobiał. To lud Studzienicki ćwiczył na żołnierza, wznosił ich w broń i w konie, i układał z nich rotę dzielnych kopijników; to z sąsiedzkimi a śmiałymi Kozakami w zmo-wie, wraz z niemi na Tatarów, jak na łowy dzikiego zwie-rza się puszczał. Często uganiał się za niemi aż do ich hord, tym samym szlakiem, którym ciało matki niegdyś przywiózł. Nieraz wielkie łupy na nich zdobywał, któremi bogacił kościoły i klasztory; zawsze spłoszył ich i odpędził skoro na granice napadać chcieli, zawsze gromadkę jeńców zabrał, a potem osadzał je w wiosce swojej i do wiary chrześcijańskiej namawiał. To znowu z Jazłowieckimi, Pret-ficami i innymi troskliwymi obywatelami, układał jakby na Ukrainie założyć szkołę rycerską, ustanowić zakon krzy-żacki według reguły Ś. Łazarza, któryby na całym zadnie-przu składał wraz z Kozakami mocne wojenne osady prze-ciw rabunkom bisurmańskim.

I tak zbiegł wiek jego najpiękniejszy. Mógł był za tyle usług oddanych krajowi, za tyle dowodów waleczności, żą-dać tytułów, nagrody, owych starostw, po które wielu ma-jętniejszych od niego a mniej godnych wyciągało ręce. Ale on nie starał się o nic. „Sama cnota sobie nagrodą, dosyć jest zasłużyć“ odpowiadał tym, co go namawiali o doma-ganie się łask królewskich, zawsze hojnie szafowanych. Lecz gdy Zygmunt August umarł, gdy ziemie Ruskie (wy-trzymawszy raz jeszcze w czasie bezkrólewia po ucieczce Henryka okropniejszy niż kiedykolwiek napad Tatarów), za-częły używać pokoju pod rządami bitnego Stefana, który zwyciężkim bułatem rzucił postrach na sąsiadów, Podlo-dowski wnet znalazł że niema co do roboty u siebie i przy-krzyć mu się zaczął beczynny pokój.

— Kiedyśmy dziś z łaski dzielnego króla bezpieczni u siebie — mówił do przyjaciela — kiedy wróciły dla Podola i Ukrainy jakby Witoldowe czasy; kiedy w domu jest sprawiedliwość, na granicach gotowość i siła, Tatarzyn wstrzymany, Kozacy w bojaźń i w karność ujęci, należy nam, szlachcie rycerskiej, otoczyć ojca narodu, i pomagać mu w tém wszystkim, co on dla dobra i chwały Rzeczypospolitej przedsięwzie.

I czekał tylko pomyslniej sposobności; a skoro zesłano wici na wojnę, stanął przy królu z wyborem własnych żołnierzy, zawinął się pod chorągwie Jana Zamoyskiego, który choć wtedy jeszcze nie hetman i prawie nie żołnierz, już wzbudzał wielki szacunek w dojrzałym wojaku.

Lubo w owej sławnej i zwycięzkiej wyprawie, która Stefanowi Batoremu prowadzącemu ją osobiście, imię pierwszego wojownika owych czasów zapewniła; lubo mówię, tylu Polaków na wyścigi z ochotnymi Węgrami, z Niemcami ćwiczonymi dało dowody odwagi i poświęcenia się: przecież Jakób Podlodowski z rotą swoją potrafił zwrócić na siebie uwagę Zamoyskiego i króla. Widzieli go zawsze jako prawdziwego rycerza chrześcianina, w boju mężnym, w mowie rzetelnym, sprawiedliwym w sądzie, w radzie opatrzny, w zleceniach wiernym, w obyczajach ucziwym; widzieli że lud jego w posłuszeństwie żyje i ma go za ojca. Król Stefan tedy, ów prawy sędzia skromnej zasługi, zapytał go się kazał po skończonej wojnie, jakiejby chciał nagrody? On przejęty coraz większą czcią dla monarchy według serca swego, prosił o miejsce któreby go zbliżyło do królewskiej osoby, któreby zgodne było z jego zdatnością i zwyczajami, nie odejmując mu przecież zupełnie wolności, gdyż chciał zawsze doglądać wojennego ludu swego i mieć oko na Tatarów i na Kozaków. I urząd Podkoniuszego dany mu został, a że był równie dobry jeździec jak dzielny żołnierz, przyjął go chętnie, i zaiste w owych czasach nie był to

czy tytuł. Koń ze wszystkich zapewne zwierząt najważniejszą odegrał rolę, bo on różnicę między ludźmi zaprowadził; początkowa szlachta w Polsce i wszędzie czémże była? takimi co na konia się zdobyli i dosiedli go, gardząc tym co szedł pieszo; długo téż koń i szlachcic byli nierozdzielni; w wielu krajach nazwę swoją nawet wzięli od konia, od jeżdżenia, a wszędzie rodzaj koni z szczególnem upodobaniem był hodowany; każdy zamożniejszy wiejski właściciel musiał mieć kilka zdatnych do boju: cóż dopiero król, i król taki jak Batory, co kiedy wojny nie prowadził, lepszej nie znał rozrywki nad łowy.

Z upodobaniem téż i czynnie spełniał swój urząd Podlódowski, a nie zaspokojony końmi krajowemi, jakkolwiek wtenczas polska rasa słyęła i słusznie, wybrał się był z początkiem obecnego roku aż do Carogrodu, żeby tam w zawołanych tureckich i arabskich dzianetach, na targi spędzanych, upatrzeć godnych stajni Batorego. Udało mu się. Kilkanaście koni co kupił, (a między niemi jeden szczególnie ciemno gniady, z gwiazdą na czole) tak były rzadkich zalet, że aż ebciwosć i zazdrość zbójców tureckich wzbudziły, i o mało co sam Podkoniuszy w tyłu bitwach ochraniający, nie padł tych łotrów ofiarą. Teraz wyprawivszy ze Lwowa szacowne konie, pod strażą dwóch zaufanych i doświadczonych dworskich swoich Marcina Lubienieckiego i Piotra Broniewskiego, prostszą drogą i wolniejszym pochodem do Grodna, gdzie król bawił, zboczył do Czarnolasu; a ponieważ w tém zboczeniu i w całym pobycie swoim u przyjaciela, nietylko miał własną przyjemność na widoku, ale szczęście osoby, którą więcej kochał niż siebie, miłe dnie i godziny pędził, i sam się dziwił jakim cudem przy spoczynku tak mu prędko czas zbiega?

I młodzieży kółko nie uskarżało się bynajmniej na leniwość godzin i na brak rozrywek. Filip Owadowski, syn przysposobiony Podlódowskiego, wnet zapoznał się i zaprzy-

jaźnił z dziewczętami, jak gdyby w rzeczy samój ich krewnym był się urodził. Nie było wtedy w obyczajach młodzieży tyle przymusu co dziś; większa daleko niewinność panien, mniejsze mężczyzn zepsucie, łatwiejszy dawały przystęp uczciwej poufałości. Wielką był także pomocą w stosunkach towarzyskich język, który lubo dopiero się kształcił, bogatszym był niż teraz jest, gdyż wystarczał bez pomocy żadnego obcego potocznym potrzebom, a nadewszystko miał jeszcze w sobie owe wygodne i nieocenione *wy*, które my Polacy, podobno jedni ze Słowian wyrzuciliśmy z pokojowej naszej mowy, zostawując je prostactwu, niewiedzieć kiedy i dlaczego. Sposób téż życia nierównie prostszy i czynniejszy, ułatwiał wiele takowe stosunki. Nie było po domach szlacheckich osobnych pokojów dla gości na inném piętrze, albo w inném zabudowaniu; nie było wyznaczonych godzin i salonów do schodzenia się z gospodarstwem: zebrane towarzystwo zasiadłszy każde w innym kącie z założonemi rękami nie chciało się bawić samą jedynie rozmową.

Wówczas bywał trojaki rodzaj gości: pojedynczy, przelotny, który nosił ogólną nazwę pana Zagórskiego, bo zwykle niespodziewanie jakby z za góry się ukazywał; miał on już codzieln miejsce swoje zostawione u stołu; taki wstąpiwszy mimojazdem, jeżeli w porę trafił, zjadł obiad lub wieszczę; jeśli nie, przekąsił co lub przepił, powiedział nowin pare i jechał dalej. Potem były zjazdy spraszane a przynajmniej wiadome, zapowiedziane; dla nich przygotowana uczta i zabawa, jako to: na imieniny, zaręczyny, wesela, chrzciny, albo téż w Niedzielę i święta. Nareszcie byli goście poufali, krewni czy przyjaciele, co już na dłuższy czas przyjechawszy, odrazu stawali się domowemi. W izbie wspólnej, często nawet w komnacie sypialnej, jeżeli panien i młodzieńców nie było, słano im łoża na każdą noc; od rana do wieczora siedzieli z gospodarstwem, którzy nie zadając sobie z niemi najmniejszego przymusu, nie



przerywali wcale dla nich codziennych prac i zatrudnień, owszem, załatwiali je przy nich i najczęściej z niemi. I tak kiedy Podlodowski dzielił z Kochanowskim wszystkie jego sprawy, kiedy z nim jeździł w pole, koło gospodarstwa chodził, w sadzie pracował, sieci na ryby zarzucał, a nawet choć nie pismienny, nie jedną godzinę trawił nad księgami i papierami, dokumenta do wojny gdańskiej porządkując i bogacąc; Filip ze swój strony, drugiego dnia po przyjeździe, już znał każdą z dziewcząt nietylko z imienia, ale i z charakteru; już im się sprzeciwiał, już z niemi żartował, już Ludwinę uczył pieśni nabożnych, a jój siostr dumek ukraińskich; już wszystkim pomagał w ich zajęciu koło domu i ogrodu, a wieczorem siedząc z niemi przy kominie, bo nigdy nie zawadził u nas ogień w Kwietniu, ledwie mógł nadążyć z opowiadaniem ciekawym dziewczętom na ich pytania o Podolu, o Turcyi, o Carogrodzie, o Tatarach, o Kozakach, a mianowicie o ostatniej wojnie, na której wiedziały że był z panem Podkoniuszem. Gdy zaś jął im opisywać tę wyprawę, pobożna Ludwina składała ręce, wzdychała serdecznie za dusze tylu ofiar ginących bez pomocy świętych Sakramentów, może w grzechu śmiertelnym; powtarzała z głębi serca swoje ulubione słowa: „Boże bądź im miłościwi! Boże, bądź im miłościwi!“ oczy zaś Ewy i jój siostr iskrzyły się ogniem, czoło tjaśniało jakąś dumą; a kiedy Filip opowiadał z zapalem o dowodach waleczności przybranego ojca, ze skromnością o własnych, i liczył ile mniej więcej oba nieprzyjaciół do grobu wtrącili, wielu zabili bisurmanów w świeżo doznanej tureckiej napaści, strwożona Ludwina odsuwała się od niego, zbierając w obie ręce płonistą suknię swoją, jakby z bojaźni, by jój krwią pohańską nie skalał; Ewa przeciwnie patrzyła śmielój i uprzejmiej na młodzieńca, i żałowała pierwszy raz w życiu, że się nie urodziła mężczyzną, albo tego, że Filip nie był prawdziwym



jój bratem, bo mogłaby rzucić mu się na szyję i wyrazić tym sposobem, ile jój się podoba jego duch rycerski.

Nie zawsze téż Filip bywał „błogosławiony między niewiastami“ jak go Kochanowski nazywał; codzién, według zwyczaju przyjeżdżał pan Franciszek i codzién swoje smaczne zalotne przywoził, a zmiarkowawszy, iż od czasu przyjazdu gości, obiady czarnoleskie daleko były lepsze od tych co mu w domu dawano, przetrąciwszy swój wcześniejszy, w południe przybywał do stryjostwa na drugi; jadł jakby nigdy nic, pił za czterech, a po obiedzie znużony snem, dosiadał wiernój Bułanój, która go drzymiącego prosto do Policzny donaszała.

Pan Franciszek Kochanowski, dobre chłopczyisko w gruncie, był sobie próżniak, „warchoł“ jak wtedy mówiono; do niczego prócz do zmiatania półmisków i do spełniania kufłów. Polowanie na ptaszki już sobie miał za robotę, toż i łowienie ryb na wędkę, nad którym kiedy parę godzin posiedział i kiełbika złapał, pewny był, że bardzo się spracował i wielkiego dokazał. Do zatrudnienia użytecznego a rozolnego miał wstręt zupełny, a to nietylko z natury, ale i z głębokiego przekonania. Znając się jedynakiem i herbowym, wiedząc że został po ojcu kawał pięknego majątku, którym matka zarządza, że jak jój braknie, znajdzie się wódarz albo podstarości, wreszcie żona, spuszczał się na to zupełnie; a treść jego zasad, które często rozpa miętywał leżąc zimą pod piecem, a w lecie na trawie, była następująca:

„Kiedy mnie Pan Bóg szlachcicem stworzył i cblebem opatrzył, którego nie przejem, choćby mi téż w miłosierdziu swoim drugi był dał żołądek, byłbym głupi jak stolowe nogi, gdybym się czémbądź trudził; pracę zostawić należy kmieciom, miejskim synkom, chołyszom, a naukę.... jak się nazywa.... bakałarzom i poetom. Panom stryjom winszuję ich mądrości, ale im nic nie zazdroszczę; gdybym

ja miał nad książką dukwieć, po godzinach gryźć pióro, i nocy nie dospać dla jakichsiś tam.... jak się nazywa.... rotuł, psalmów, Tassów, Wirgilich, kazałbym sobie dać łoży. I niech mi kto powie, na co się to przyda? Panu Mikołajowi się zmarło, choć rotuły pisał; pan Jan ze wszystkimi pieśniami i z całą sławą, przez połowę tyle jeść i pić nie może co ja; pan Piotr zę swoją,.. jak się nazywa... Jerozolimą, gdzieś tam daleko poci się jak w łaźni, trawą żyje gdyby baran; pan Andrzej włóczy się ciągle za tym kanclerzyskiem, także człowiekiem bardzo osobliwszym, nie mając i chwili spoczynku. Nie było im wszystkim tak zrobić jak ja? Skoro człowiek ma co jeść, co pić, w czém chodzić, gdzie się wyleżeć, czego mu więcej potrzeba? Pan stryj namawia mnie do rycerskiego rzemiosła; chce bym wszelką bronią władać umiał, a mnie poco? żebym jechał na wojnę. Nie głupim, na wojnie zabić mogą. Wreszcie jedzie tam tysiące braci szlachty, co ich skóra świerbi i głowa na karku im cięży, niech sobie jada, i owszem; im ich tam więcej będzie, tém bezemnie prędzej się obejdzie: nie byłemci na ostatniej wojnie, bom też był prawie dzieciuchem, dobrze poszła mimo tego. Pójdą tak i inne. Ja tam pychę nie grzeszę, pokornegom ducha. Pan stryj mówi jeszcze: „Jak tak nie będziesz nic umiał i wiedział, i bronią jak się należy nie władniesz, nie będziesz nic znaczył w kraju, ani na sejmikach, ani w czasie... jak się nazywa... elekcyi.“ Ja też tego bynajmniej nie pragnę. Co mi do kraju, kiedy ja mam Policzną; poco mi sejmików, kiedy ja i bez sejmiku w sąsiedztwie i w domu objeść się i opić mogę, a to bez guza i rany; bo ja mam rozum: skoro się upiję, nie kłóczę się jak drudzy mędrsi, jedno spać idę. Elekcy! a mnie co do niej, czy Rdest, czy Gaweński, czy Batory, czy Badura królem polskim, mnie wszystko jedno; ani ten, ani ów nie będzie wiedział czy ja żyję czy nie, i ja go na oczy nie zobaczę; ani ten ani ów wioski ani mi da,

ani weźmie, i dalipan więćej mnie obchodzi jaki kucharz, co w polickiej kuchni warzy, niż jaki tam król, co rządzi w onym starym krakowskim zamku? „Wstyd, wstyd—mówi nie jeden—tak żyć.“ Wstyd, wstyd, a przecież nikt się mnie nie wstydzi. Matka za mną przepada. Jagienka się przysięga, że nié mam równego sobie; i prawda, gdzie tylko pojedę, wszędzie mi radzi, wszędzie mnie karmią i poją, panny się do mnie wdzięczą, i Jagienka powiada: miałbym żon z jaki tuzin, gdyby tyle żon mieć można. Ale ja tam innéj mieć nie chcę, jeno tak jak pani matka pragnie, Ewulkę, śliczną Ewulkę. Najbliźej mi jeździć do niéj, moja bułana już wié drogę, prowadzić jéj nié mam potrzeby, sama idzie. Walna, czerstwa, zdrowa kieby rzepka, i gospodarne to, przysmaki różne umié; niechno raz się ożenię, będę przy niéj opływał jak pączek w maśle: pieczone gołąbki będą mi szły same do gąbki, a ja tylko będę usta otwierał i smakował.“

A doszedłszy do téj ostatniéj części rozpamiętywań swoich, pan Franciszek się oblizywał, ślinkę łykał, i najczęściéj na tém kończył, że albo co przejadł i przepił, albo dosiadłszy bułanéj, jechał do Czarnolasu.

Naszę Kochanowską, jakkolwiek wysoko szacowała matkę pana Franciszka, a jego przyjmowała grzecznie, nie bardzo cieszyły owe zalecanki. Takiego mając męża i brata, znając wielu godnych ludzi, życzyłaby dla córki ukochanéj coś lepszego.

— Syn ci to jedyny waszego dobrodzieja — mówiła czasami do męża — ale wybaczcie, to istny bałwan. Ewa nie będzie mogła żadném prawem go szanować; dziewczyna w jednym palcu ma więćej rozumu niż on w całej głowie; jéjby prędzej kord przystał, a jemu wrzecziono; cóżto będzie?

Kochanowski starał się uspakajać żonę, kiedy mu te obawy zwierzała.

— Jeszcze to nie dziś ani jutro owo małżeństwo się

złączy—mówił jój — jam pani Kasprowej najrychlej za rok naszą dziewczkę obiecał, i to jeszcze nie z zupełną pewnością. Musi ona koniecznie synalka pierwěj między ludzi wysłać; myślę napisać do brata Andrzeja i z nim jako ułożyć, żeby mógł zabawić czas jakiś pod jego okiem na dworze kanclerza. To chłopczyisko młode, rozpieszczone, nie nie zna, ale serce dobre i rozzagnienie jakie takie ma; jak się przekonona, że „człowiek nie samym tylko chlebem żyje,“ toć się może weźmie do czego. Nie lubię ja wprawdzie małżeństw między bratankami, i matka ich nie lubiła; kościół rzymski je zakazuje i musi mieć w tém jak we wszystkiém słuszną przyczynę; aleć znałem i podobne stadła zgodne i szczęśliwe: sama pani Kasprowa była ciotecznią swemu mężowi, a święta z kośćcami niewiasta, uprosiaby zapewne dla jedynaka błogosławieństwo Boskie. Wreszcie, Hanno moja, kogo Pan tak hojnie jak nas dziewczkami obdarzyć raczył, ten w zięciach, jak w ulegalkach przebierać nie może. Jednę Ludwinę naszą oddaliśmy świętobliwemu panieństwu, i Pan Bóg zdaje się przyjął mile tę ofiarę; dziewczę rośnie jak lilja wśród cierni: już ona mało co z nami, mocno w niebo się ciśnie; rozmyśla dzień i noc o Pańskim zakonie, nie znać nie chce jedno Jezusa, w Niego się obłoczy, w Nim chodzi; o Boga się pytać, w Nim się kochać, Jemu służyć, ta jest jój nauka; oczy ku ziemi ma spuszczone, serce już jakby w raj.... Młodszym dziewczkom przeszkadzać nie będę do klasztornego żywota, skoro w nich ujrzę stateczne powołanie; rodzice w takowym razie nie swěj świeckiej pociesze, ale woli Boga i zbawieniu dzietek swoich ulegać powinni; ale dotąd nie widzę w żadnej natchnienia Ducha Świętego; ojcowskie w nich się odzywa, lubią światek. Orszula moja jedna, ta aniołem leci w górę; ale tej pociechy, tej pieszczoty, nie dam ni Bogu, ni mężowi, ni komu. To moja, moja własna, moja Muza, Muza ojczyzna, która gdzie szerzej i dalej niżli ja i bracia



moi, imię Kochanowskich rozślawi i innego już nie przybierze... Jakkolwiek bądź — dodał po krótkim milczeniu i jakby czytając z oczów żony jakiś strach, że on tak Orszulkę nad wszystko wynosi i ceni — jakkolwiek bądź, czterech zięciów nam potrzeba, moja pani, a choć to mówią: dziewczeczki bogobojne i wstydliwie wychowane, zawsze męża znajdują, przecież gdzie wiana niema, tam swatowie nie natrętni. Dobry przeto będzie i pan Franciszek dla naszej Ewy; on sam jeden tyle ma ziemi co my wszyscy; nie małą też zgotujemy sobie pociechę, zachowując na całe życie córkę pierworodną pod bokiem. Kiedy stanę w oknie mego pokoju i wyjrzę, serce mi nieraz zakołata z radości. Nie dosyć, myślę sobie, że widzę dom bratanka Andrzeja w Grodku, grób rodzicielski w Zwolenu, jeszcze i w Policzny, w jęj modrzewim dworcu, da Bóg, dziewczkę naszą kiedyś ujrzę, i ona będzie mogła z komnaty swojej znaki nam dawać, wzywać nas w potrzebie... Jesteś w rodzicielskim sercu dla najstarszego dziecięcia jakieś właściwe, osobne przywiązanie, jakaś wdzięczna pamięć za tyle słodkich wzruszeń, które pierwszy raz, dzięki Jemu, serce nasze zaznało. Wierz mi, Hanno, gorzkoby mi było, gdyby naszą pierworodną jaki mąż, choćby najzaciejszy, wywiózł gdzie w głąb Litwy albo Podola.

— A mnież—odpowiadała matka — mnie com ją urodziła i wykarmiła; mnie, której ona jest wyręczeniem, pociechą... — a głębokie uczucie nie dozwalało jęj tłómaczyć inaczej, jak lżą drżącą, jak z całej duszy wtoruje mężowi.

I tak czas upływał i zaloty pana Franciszka uchodziły; lecz miały wnet okoliczności się zmienić: spisek srogi się knuł przeciw owemu dobrodusznemu kochankowi.

Pan Rotmistrz, rzecz dziwna, chociaż było jasno widać, iż ugodzony w samo serce czarnemi oczami Ewy, i choć mu na wrodzonej śmiałości i odwadze nie zbywało, prze-



cież więcj daleko rozmawiał z pobożną Ludwiną, nierównie był poufalszy z nią i z młodszemi jej siostrami, niż z najstarszą. Ledwie śmiał wymówić jej imię, dotknąć się jej sukni; nie ciągle nawet w gronie dziewcząt był widziany; często przysiadł się do Kochanowskiego i do przybranego ojca, mieszał się do ich poważnych rozpraw, skoro pozwolili; z Kochanowską zamieniał słowa pełne uszanowania, wypytywał jej się o różne gospodarskie szczegóły, wychwalając bez przesady jej umiejętność; wspominał z uczuciem o własnej matce, która go odumarała dwunasto-letnim chłopcem, pokazywał krzyżyk srebrny, co mu umierając na szyję włożyła, skarb jego najdroższy, tarczę od niebezpieczeństw wszelakich; mówił o siostrze swojej Zuzannie, jedyniej już na tej ziemi krewnej. Jakie tylko mógł, takie oddawał przysługi pani Czarnoleskiej: to obracał kołowrotek, kiedy jej noga już się zmęczyła, to trzymał przed nią uważnie szerokie moty cienkich nici, i podnosił okrągły kłębek na wyścigi z usłużną Orszulką, ile razy z rąk jej się wymknął i potoczył daleko; to w przyrządzeniu lekarstw, w ustawianiu apteki jej pomagał, a kiedy do ryb piątkowych brakło jej szafranu i imbiru, mimo zimnej słoty, na całą noc pojechał do Kazimierza, sam w małej łódce przez szeroką Wisłę się przewiózł, a przed śniadaniem stawiał się z tém, co potrzebowała.

Zataić tego nie można, że za każdą podobną przysługę nietylko z uprzejmych ust pani Kochanowskiej, ale i z pewnych czarnych oczów choć ukradkiem wyglądał nagrody; a jeśli one łaskawie na niego spojrzeć raczyły, zdawał się dumniejszy i szczęśliwszy od wszystkich mocarzów świata. Ale kiedy tego samego Piątku po obiedzie trafiło się, że wesoła Ewa drzemiącego Franciszka dowcipną psotą obudziła, kiedy mu podziękowała mile za przywieziony w dniu tym kołacz z sérem, i z poufałością siostry nazwała go po imieniu i wzięła za rękę, Filip, jakby chcąc sprawdzić

przysłowic: „Miłość bez zazdrości, jak Polak bez węża“ w czarną wpadł rozpacz; uchwycił za rusznicę, poszedł do lasu niby na łowy, a wróciwszy wieczorem bez niczego, przysiadł się do Ludwiny, i poraz piérwszy powiedział jój z rzetelną prawdą, iż zazdrości świętobliwego powołania jakie sobie obrała, i zaklął się, że byle przybrany ojciec pozwolił, on także szablę odpasze, kaptur włoży i mnichem zostanie; do czego pobożna Ludwina całém sercem go namawiała mówiąc: iż „dopiero wtenczas spokojnym i szczęśliwym będzie, gdyż na tym odmiennym świecie jedna tylko rzecz jest ważna i potrzebna; i wielka to łaska Pana Boga, kiedy komu pozwoli, aby z młodu dla dobra większego i pewnego, mniejsze a niepewne opuścił, za którą uciechę kupił sobie wieczne wesele, za śmierć i ubóstwo żywot i państwo bez końca.“

---

## ROZDZIAŁ V.

Miłości! a kiedy i w niebie,  
I na ziemi nikt nie jest bezpieczny od ciebie,  
A twym strzałem trudno się pawężą zastonić,  
Ani uciekać, albo rozumem się bronić:  
Proszę cię, miałoliby kiedy przyjść do tego,  
Niechaj nic nie miłując, co jest szkaradnego.  
*Dziewosłab.*

Tydzień od przyjazdu Podlodowskiego już się kończył a zdawał się obudwom przyjaciółom jak gdyby dzień jeden. Bitny rycerz nawet rad mimowolnie chwilowemu wypoczynkowi po długich trudach obozowych i po dalekiej podróży, może też przewidując pomyślny skutek dla najdroższych swoich zamiarów, przyznał sam, iż miło mu było zasypiać na wygodnym łóżku ręką siostry usłanym, z myślą, że nie obudzi go jutro ani trąba wojskowa, ani krzyk murzów tureckich: *hała haj, hała haj!* \*); ale śpiew ptasząt witających już powrót wiosny, albo też odgłos dzwonu miotanego ręką Ludwiny, i zwołującego całą drużynę Czarnoleską na poranne modlitwy.

---

\*) Ma to znaczyć, Boże zmiłuj się!

Przecież, sobotniego poranku, nie doczekał w łóżku ani śpiewu, ani dzwonu; jeszcze głucho i szarawo było na świecie, on już wyszedł z izby przed ganek, a zupełnie ubrany, przy szabli, w czapce na lewém uchu, przechadzał się szerokim krokiem naokoło domu, wyglądał niecierpliwie, rychło się w nim kołatać zaczęła, i ledwie zobaczył Baraczka odmykającego ciężkie okiennice i podpierającego je drągami, natychmiast zastukał w szybę sypialni Kochanowskich, i prosił żeby niebawem oboje do niego wyszli. Kochanowska niespokojna co bratu się stało, porwała co tchu ranny kożuszek, włosy w nieładzie nakryła białą duclenką i wybiegła; pośpieszył za nią mąż, i pytali oboje czego żądał, co mu brakuje, czy jakie złe wieści o koniach otrzymał?

— Pewno pan brat głodny—odezwała się litościwie gospodyni, która obyczajem polskim zawsze sobie wystawiała, jakoby jój goście nie mieli co jeść, obiad był lichey, wieszki nie było—przekąście co przed śniadaniem; jest wyborny lin na zimno, oblejcie wódką piolunkową i nic wam nie zaszkodzi: dziś téż wcale ciepło na dworze.

— Ni jeść, ni pić nie będę—odpowiedział uroczyście Podlodowski—aż odmówię rzecz swoje.

— Mów więc—rzekł Kochanowski—schrońmy się do naszego ciennika chróścianego, tam ciszej będzie; tam nam nikt nie przeszkodzi.

I poszli, a ledwie zasiedli na ławkach z kory, Podkoniuszki tak zaczęły:

— Założyłem ja był sobie, najmilsi moi, tu jadąc przetrwać do ostatniego dnia pobytu mego u was; dopiéro na samém odjeździe do Grodna wytoczyć przed wami całą sprawę, zostawić ją wam do namysłu, a potém za parę tygodni wrócić po odpowiedź; ale jak widzę, serce nie sługa: rozkazać mu nie można. Przychodzę tedy do was jako, swat; a że krasnej mowy i dworstwa u żołnierza niema

szablę zowie szablą, a czapkę czapką, powiem odrazu: przychodzę prosić was o rękę waszój córki dla mojego Filipa.

Okrzyknęli się oboje Kochanowscy: bo chociaż nie bez tego, aby oboje nie spostrzegli widocznej skłonności pana Rotmistrza, nie mieli jeszcze czasu zastanowić się nad tém, co z niój wyniknąć mogło, ani téż sposobności pomówić w téj mierze z sobą; ona więc szczególnie zatrwożyła się mocno tém nagłym oświadczeniem; dreszcz ją przeszedł od stóp do głowy; zadrżało w niój serce; Podłodowski zaś żądał usilnie, żeby mu nie przerywali, póki on wszystkich okoliczności nie wypowie szeroko i jak się należy.

— Wicie moi najmilsi—mówił dalej—iż choć Pan Bóg dał mi kawał majątku i kęs urody, nie miałem i niemam ni żony, ni własnych dzieci; kościół, Rzeczpospolita, szabla i koń, te były od młodości jedyne moje kochanki, a tańce i zaloty z Tatarami, nie dopuściły innych słodszych i weselszych. Kiedy na wyprawę iść przychodziło, rad nawet był człowiek, że nie wieszają się mu u szyi żona zapłakana, że się nie czepiają szat i broni dzieci drobne, nie wstrzymują ręki, nie miękczą serca; w boju bywało się tém śmielszym, nie ścigała myśl zostawienia po sobie wdowy i sierot; ale za powrotem, zwłaszcza z pomyślnych wycieczek, nieraz mi już przyszło żałować zajeżdżając przed dom pusty, że mnie nie wita szczęśliwa ze zdrowia mego żona, że mi nie padają do nóg dziatki chlubne mężnym ojcem, i nie proszą, bym im ukazał blizny, opowiedział przygody, udzielił zdobyczy. Z wiekiem rośł ów żal, osobliwie, kiedy bywało, w co się lud wojenny mojej Studzienicy obróci, gdy przyjdzie po mnie jaki obcy dziedzic, a jeszcze nie rycerz! I kto wie czyby człowiek mimo tego, że już piąty krzyżyk znać, że się na bezżennego krzyżaka niegdyś chciał wykierować, kto wie, czyby nie był przełamał ślubu? gdyby Bóg miłosierny nie raczył inaczej i na lepsze rzeczy obrócić. Właśnie wróciłem był od was do mojej wioski, lat



temu pięć, a napatrzywszy się przez cały miesiąc szczęścia waszego, zgodnego pożycia, miłych dziatczek, dom wydał mi się pusty niż kiedy; nie mogłem w nim się osiedleć, i pojechałem na Wołyń, w chęci odwiedzenia krewnego, Kruszelnickiego, z którym też miałem i dawną sprawę do załatwienia jeszcze po ś. p. matce mojej. Niechęący trafiłem u niego na zjazd wielki, na huczne uczyty i zabawy; było to wesele jego syna, Pisarza grodzkiego Krzemienieckiego z panną Zuzanną Owadowską, piękną i uczciwych obyczajów dziewczką. Rodzina jej, dawna szlachta i wcale zacna, zamieszkała była w Mazowszu, w wiosce dziedzicznej; lecz nieszczęśliwą koleją przyszło obojgu rodzicom majątek utracić, i własne województwo rzucić; dalej, pozbyli się i życia w młodym jeszcze wieku, i owa panienska wraz ze starszym bratem swoim, dopóki ją Bóg uczciwym mężem nie opatrzył, jedynie z przyjaźni ludzkiej miała przytułek. Podobała mi się srodze owa Zuzanka, i myślałem sobie: „O! gdyby mi Pan Bóg był taką sierotę nadarzył, wnet bym się jak pan Pisarz Krzemieniecki na opiekuna przedstawił.“ Ale już klamka zapadła; panny Zuzanny, na sto koni nie dogoni, próżno było sobie głowę tém zaprzętać. Atoli z owęj przychylności ku siostrze, zacząłem się przypatrywać bratu i myśleć sobie: „Jeżeli w pięćdziesiątym roku za późno pojmować żonę, czas jeszcze przysposobić gotowego syna:“ a powiedzcie sami, najmilsi moi, któryżby ojciec nie życzył mieć dziedzica takiego jak Filip? Dorodny, dziarski, śmiały, otwarty, roztropny, z pokorną wiarą ku Bogu i kościołowi Jego, z gorącą miłością dla Rzeczypospolitej, z uszanowaniem dla starszych, z uczciwością dla płci białej. Młodzież obecna popisывała się tam jak to zwyczaj: piesze, konne, wyprawiała igrzyska; my starsi, na one sztuki i biegi patrzyli; on zawsze był najpierwszy: jego strzały, chłopcu, na celu trzymającemu rękę, bez obrazy pomiędzy palce przechodziły, albo gasiły przylepioną na

czole świecę; oszczep zawsze najdalej dorzucił i utkwił go gdzie zapowiedział, podkowy łamał jak łątki dziecinne; w biegu wszystkich prześcigał, w pasowaniu się wszystkich zmocował; szalonego konia tureckiego mu podali, na którym nikt jeszcze nie dosiedział; dwóch pachołków trzymało zwierza za uszy: on do razu wskoczył nań, jak chciał tak nim rządził, i póty na nim harcował, dopóki koń zmęczony nie stał się powolnym jak baranek. Kiedy raz rnszyliśmy wszyscy na wielkie polowanie na grubego zwierza, on w lesie ubił go najwięcej, a w izbie przed białogłowami najmniej się chwalił. I niemiałem go pokochać? i niemiałem mówić sobie: „Jemu, zacnemu młodzieńcowi, Pan Bóg odjął rodziców i mienie, ale tobie dał majątek a nie dał go z kim podzielić, komu blizkiemu po mieczu zostawić (bo wiecie, iż wszyscy żyjący Podlodowscy dalekiemi są nam krewnemi, gdzieindziej osiedli, i niemam z niemi zażyłości żadnej); powetujcież sobie te wasze wzajemne krzywdy.“ Lecz tailem w głębi duszy owe myśli; beczkę soli, jak mówią starzy, zjeść trzeba z człowiekiem, zanim się go pozna dobrze: strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wtém przysła do pana Kruszelnickiego wieść pewna o rychłej wojnie na Moskwę. Pisano, jako miłościwy Pan już jest w Wilnie, żołnierza jaknajwięcej zbiera; pisano, że uchylona dawna ustawa tyle zgubna, żeby wojsko Rzeczypospolitej granic własnych przejść nie mogło. W wieczór ta wieść przysła; nie zmrużyłem powiek całej nocy; wiedziałem téż o posłach tatarskich, którzy pokój zawarli z nami we Lwowie, bo król nasz od tego zaczął zwycięstwo, iż opatrzył, aby nie był zwyciężony; umyśliłem tedy ruszyć na moskiewską wojnę, a piérwój oczywiście jechać przysposobić się do domu. Ledwie dzień zaświtał, pożegnałem gospodarstwo i państwo młode i dosiadłem konia, zamiary moje względem pana Owadowskiego zostawując na dalsze czasy. We wrotach kiedy się oglądam, czy jadą za mną

wszyscy moi ludzie? postrzegam tuż pana Filipa przy sobie, na ewym szalonym Turczyнку, co to go ujeździł. Z razu myślałem, że to dowód uczciwości gospodarza, który polecił powinowatemu odprowadzić mnie do pierwszego popasu; aż młodzieniec mi oświadcza skromnie ale stale, iż jeżeli na to przystanę, on chce być przy mnie, chce uczyć się wojować i ojczyźnie służyć.

— Nic nié mam swego—powiedział—prócz zdrowia i życia: oboje oddać pragnę krajowi i waszój miłości.

Rad byłem mu odpowiedzieć, ale jakoś słowa uwieźły w ustach; poznał jednak po mnie, że mi się spodobało co zrobił, i ruszyliśmy oba.

O tylem zabawił w domu, o ile było potrzeba do zebrania dwustu ludzi zbrojnych, tak z własnych jako z najętych, do wsadzenia ich uczciwie na koń, bom téż nie chciał występować ladajako, i udałem się z nimi pod dowództwo zacnego Zamoyskiego. Znacie wszystkie okoliczności téj pamiętnój wojny, nie tu pora opowiadania ich, ale tego wiedzieć nie możecie, i to wam winienem powiedzieć, jak się tam pięknie sprawował mój Filip. Powierzyłem mu naprzód dziesięciu, dalej dwudziestu, nareszcie stu ludzi; rządził nimi gdyby doświadczony: w ogniu, w wszelakich wycieczkach zawsze był przy mnie; mężnie swój żywot kładł i krwi nie żałował zyskując sobie własną zasługą tytuł Rotmistrza, który mu nadałem, a który sam Zamoyski, już wtedy hetman potwierdził. Kiedy skutkiem, podobno niefortunnych namów legata papieżkiego, zawarty został pokój, kiedy mówię nasz Pan miłościwy, w nagrodę moich wysług Podkoniuszym swoim mianować mnie raczył, mój pan Rotmistrz zamiast jechać do siostry, pochwalić się przeciw przed swemi, wolności, młodości użyć, odprowadził rotę nasze do Studzienicy; jeździł ze mną po całej Litwie i Koronie, wszelkie trudy dzielił i osładzał. Nakoniec, w owój zbójcekiej napaści za powrotem z Carogrodu, kiedym już

grób swój widział i tytkom Boga prosił, żeby nie pamiętał na grzechy moje, i na ową młodzieńczą znowę naszą, on, którego właśnie srodze związano, zerwał pęta nadludzką siłą, przypadł do mnie i wybawił mnie od pewnej śmierci. Rozpierzehli się zbrojcy, ja głowę mając rozplataną straciłem przytomność; gdym przyszedł do siebie, obaczyłem go kłęczącego nademną, dybiącego na powrót mój do życia. I dokonał tego co zaczął staraniem swoim; po trzech dniach spoczynku w miasteczku Biegarazar i opatrzeniu rany przez tureckiego lekarza, a mając wybornych, jużem prawie był zdrów, i puściliśmy się w dalszą podróż. W drodze myślałem sobie: „Przyszedł czas dokonania dawnego zamiaru.“ Przyjechawszy tedy do Lwowa złożyłem w katedrze na oltarzu Matki Boskiej częśćkę szczerozłotą, jako *votum* za ocalenie moje, a w skarbcu kościelnym tyle srebra, ile najcięższa polska głowa zaważyć może; z poradą zaś mądrego prawnika napisałem testament, w którym co mam i co mieć mogę, zapisałem Filipowi, jako memu przysposobionemu synowi i wybawcy. Oto jest ten testament.

I tu wyjął z zanadru zwój pergaminowy; Kochanowscy oboje drgnęli na ten widok i zawołali:

— Schowaj! schowaj!

— Testament jeszcze nikogo nie umorzył—powiedział wojak z uśmiechem i tak dalej rzecz swoje prowadził.

— Napisawszy ten testament, któremu brak jedynie podpisu trzech świadków, zaczęło mnie korcić w duszy, iżem takowym zapisem skrzywdził was, pani siostró, na którą część mojego spadku przypadająca z prawa po mojej śmierci; kiedy nagle przyszło mi na myśl, a może téż to od Boga było natchnienie, żeby nagradzając tę niesprawiedliwość ożenić mego dziedzica z waszą pierworodną. Dzieckiem prawie była Ewulka, gdym ostatni raz był u was, ale już żwawa, roztropna, wdzięczna; droga mi wreszcie była od pieluch dla samego imienia swego. I powiedział-



łem to natychmiast memu Filipowi. Przypadła mu do smaku owa myśl; serce jego jak obóz opuszczony było do więzienia; po mnie i po siostrze, konia Turczynka jedno kochał; mężczyźnie zaś w czwartej siódemce żona właśnie się godzi. Wyprawilem tedy konie do Grodna, a sam tu postanowiłem zboczyć z Filipem. Gdyśmy dojeżdżali do Lublina, przyszła mi myśl może dziwaczna, alem nasłuchał się nie mało takowych przygód w bajkach tureckich, które mi rozpowiadano gdym był chory, i powiedziałem Filipowi:

Wiesz ty co, przebierz się ty i odmień jako, i jedź do Czarnolasu w miejscu sługi, którego miał do pana Jana wyprawić. Obaczysz sam w rzetelnej prawdzie i dziewczkę, i rodziców i dom, pogadasz z czeladzią, a od niej sąd bywa o panach najlepszy. Jeżeli ci się wszystko spodoba, jeżeli dziewczka wpadnie ci w oko, będziemy rzecz forytować w przyzwoitym czasie i miejscu; jeżeli nie, damy wszystkiemu pokój: cały ten mój zamiar wpadnie jak kamień w wodę; bo ja nie dlatego ci zapisał co mam, że bym męża dla siostrzenicy kupił, ale dlatego że cię ukochał jak syna.

Młodemu żołnierzowi do fortelów wojennych przyzwyczajonemu, musiała taka myśl trafić do smaku. Ubrał się w suknie starego Iwanuszki mego nadwornego kozaka, który pozostał w Lublinie, ja mu przyklepił ów plaster okropny, jak gdybym go na szpiega do nieprzyjacielskiego obozu wyprawiał; przybył tu i wzbudził waszą ciekawość jakeście o tém już natrącali ze śmiechem parę razy, a jam was zawsze zbywał. Przybył, i od tego wieczora wasza dziewczka zajechała mu w serce; już przy pacierzu ślub uczynił przed Matką Boską, którą zdawna za Matkę sobie obrał, że jeżeli ręki Ewy dostąpi, w miesiąc po weselu zostawi ją, a sam pieszko, bez szabli i służby pójdzie do Jasnogóry: od téj pory dziewczę codziem bardziej, gorzej Tatarzyna na niego najeżdża, już nie tylko do Jasnogóry, do Carogrodu przez



Bałchan poszedłby piechotą, byle kiedyś żoną mu być mogła. Nadarzyła się mu odrazu jój uroda, jój mowa, jój obejście; nadarzyli mu się rodzice, dom, wszystko: ale jak to bywa podobno zawsze przy prawdziwej miłości, zdaje mu się że ona go nie lubi, że wy go nie chcecie; pan Franciszek solą mu w oku; wczoraj cały dzień chodził jak szalony, dziś całej nocy nie spał i mnie spać nie dał; u nóg mi leżał prosząc żebym zakończył jego cierpienia; znieść niepewności nie może, i ja przy nim: wóz czy przewóz, czarne czy białe, chcemy wiedzieć wszystko odrazu. Jeżeli moje oświadczenie wam ku myśli, tedy powiedzcie; jeżeli nie, tedy i tego nie tajcie ani obwijajcie w bawełnę; ale nie weźcie nam za złe, jeżeli dziś natychmiast, pełni smutku odjedziemy. Ni on, ni ja żadnego wiana z waszą Ewą nie chcemy, jedno niéj saméj, jedno jak będzie można najprędzej. Gdyby się pobrali, niczego potrzebować nie będą oboje: dam im zaraz Studzienicę, pani młodéj tysiąc złotych wypłacę na śpilki; sam posłużę jeszcze z parę lat królowi, a potem osiadę przy nich; będą cieszyli duszę moję i żywili starość, i da Bóg jeszcze ich syna gonić Tatarów nauczę.

Umilkł zmęczony i rozrzewniony wojak, a Kochanowski który w czasie całej jego mowy spoglądał często na żonę i rozmawiał z nią oczami, tak po chwili przemówił; żona zaś dopowiadała prawie każdemu słowu jego, to ustami, to skłonieniem głowy, to westchnieniem lub uśmiechem.

— Oświadczenie twoje, kochany bracie, jakkolwiek nagłe i przejąć nas z razu musiało, nie może być przecież jedno miłe i pochlebiające dla nas rodziców, ile że podaje sposobność ścięśnienia jeszcze mocniej przyjaźni naszéj; jednak, zataić ci tego nie możemy: odpowiedzi prędkiéj mieć nie będziesz, bo jest przeszkoda. Nie wspominam ja wcale o tém, iż byłoby wielką boleścią dla serc naszych, pozbawić się tak rychło i niespodziewanie pierworodnéj dziewczki naszéj, która matce w gospodarstwie i w wychowaniu

młodszych siostr jest niepoślednią pomocą; matka i ojciec rodząc i hodując dziatki wiedzieć powinni, że nie dla siebie je rodzą i hodują, pomijam więc naszą acz ciężką ofiarę, ale jest ważniejsza okoliczność. Obiecaliśmy Ewę bratowej naszej pani Kasprowej dla jej syna jedynaka Franciszka; nie było wprawdzie zrękwina, uroczystego przyrzeczenia, ale zacna białogłowa widzi już w dziewce naszej przyszłą synowę, i na tych widokach całe szczęście swoje buduje. Nie możemy więc przyjąć oświadczenia twego, dopóki jej się nie zwierzymy i ona nas nie uwolni. Musimy także dowiedzieć się woli dziewczynki naszej; boć rodziców jest obowiązkiem obmyślić los dziatkom, im zaś wybór zostawić..

— Ależ wy sami—przerwał Podlodowski mocno zmieszany słowami przyjaciela—wy nic przeciw memu chłopakowi nie macie! Powiedzcie otwarcie: w tej chwili tego tylko chcę się dowiedzieć?

— Nic—zawołali razem oboje—nic, prócz tego żeby nam uwiózł daleko naszą dziewczkę; aleć to już takie rodzicielskie przeznaczenie.

— Tom już prawie pewny wygranej—zawołał z radością Podkoniuszy ściskając siostrę i przyjaciela—boć nie sposób żeby dziewczę przeciw nam było? Z przeproszeniem waszém, gdzież panu Franciszkowi z moim Filipem się mierzyć! Zawołajcież jej i spytajcie się zaraz; skoro waszej i jej dobrej woli pewni będziemy, łączniej nam przyjdzie poczekać na panią Kasprową.

A pomówiwszy jeszcze czas jakiś równie otwarcie i serdecznie, odszedł w głąb sadu, gdzie czekał na niego młodzieniec, rodzice zaś zawołali Ewy.

Właśnie co dokończyła była ubioru na ten dzień. Zimna kryniczna woda, którą oblała obficie twarz, szyję i ręce, nadała jej świeżość kwiatu skropionego deszczem wiosennym, wesołość i zwinność ptaszka, co się ranniej rosy

napił. Z wymuskanój świeżo głowy rozjaśnionój równym i czystym przyborkiem, spadały po obu stronach dwie krucze kosy splecione, związane u końca czerwoną wstążeczką; kabat ciemny z gładkimi rękawami kształt foremny odznaczał, sute białe krezy osłaniały szyję łabędzią, czarne półbutki nogę ścisnęły. Przybiegła pędem jak zwykle na każde zawołanie rodziców, a widząc ich pierwszy raz w tym dniu, skłoniła im się do nóg, pozdrawiając ich i oddając Bogu.

Opowiedzieli jój rzecz całą. Za pierwszém ich ust otworzeniem, nim jeszcze wymówili zwyczajne w takim razie słowa: „Jużeś się córko, dosyć u nas chleba najadła, dosyć lnu naprzędła, czas ci iść na swoje,“ ona już zgadła była, nie tylko o czém, ale o kim mowa; a wstyd pannieński oblał jój jagody. Stała przed niemi, spuściła oczy, a kręcąc nielitościwie długie sploty, słuchała w milczeniu. Jak przyszło do okoliczności rozdzielenia się rychłego i już nazawsze przeniesienia się w głąb dalekiego Podola, trysnęły z jój spuszczonej oczów dwie duże łzy, ale się wstrzymały na długich czarnych rzęsach. Skończywszy o panu Rotmistrzu i nie bardzo nawet się rozwodzając nad korzyściami tego zamężcia i nad przymiotami młodzieńca, Kochanowscy powiedzieli córce: iż jakkolwiek jój o tém jeszcze wyraźnie nie wspominali, teraz wiedzieć powinna, jako i pan Franciszek pragnie również i od dawniejszego czasu, dożywotniój jój przyjaźni. Tu już szeroko jój wyłuszczyli wszystkie przyjemności, jakieby dla niój i dla nich spłynęły z tak blizkiego sąsiedztwa, wszelkie zalety pani Kasprowój, wreszcie życie spokojne, dostatnie, pewne, jakiego żona dziedzica Policzny spodziewać się mogła; zapewnili ją nareszcie, iż jednakie błogosławieństwo rodzicielskie ją czeka, bądź tego, bądź owego wybierze; gdyż zasłużyła sobie na ich łaskę, karnością, posłuszeństwem, pracowitością i przywiązaniam.

Na te ostatnie słowa, Ewa rzuciła się do nóg ojcu

i matce, łyzy długo wstrzymywane spadły, złożyła dłonie i rzekła:

— O! mój mocny Boże! czemuż to nie pan Filip w Policzny!—a to powiedziawszy zapłakała na głos.

Domyślili się rodzice co znaczyła owa uboczna odpowiedź, przecież zażądali wyraźniejszej, ile że ciągle płakała. Uspokoiwszy się cokolwiek i kryjąc twarz rękami, to im powiedziała w przerywanéj mowie:

— Za pana Franciszka poszłaćby, gdyby jój koniecznie rodzice kazali; i zna to dobrze, że Policzna blisko, a pani Kasprowa żywy anioł, chociaż zdaje jój się w téj chwili, że wolałaby daleko pójść z Ludwiną do klasztoru. Co do pana Rotmistrza... to gdyby tylko kto ją zapewnił, że się potrafi odtęsknić, możeby się i odważyła... Bo ja i pana Podkoniuszego bardzo kocham—dodała z pośpiechem.

Pocóż o więcéj dopytywać się miano? jasną było rzeczą, że przemówiło i jój serce, że budzić się w niém zaczyna uszione dotąd a najpotężniejsze uczucie, „co jedną wolę we dwóch osobach czyni,“ co taką jest rękojmią szczęścia, kiedy prawe i przyzwoite małżeństwo uświęcić je może. Oboje tedy Kochanowscy już niechcąc nawet dowiedzieć się więcéj, zaleciwszy córce: żeby nikomu, ani Ludwinie ani Nastce nie mówiła i słowa o tém co jój powiedzieli, żeby z panem Filipem starała się być jak przez tamte dni, i żeby dobrze o tém pamiętała, iż on bez zezwolenia pani Kasprowej nie będzie jój mężem, kazali jój odejść; a sami rozmawiali jeszcze chwilę o téj całej przygodzie, jak to małżonkowie zgodni i kochający rozmawiać umieją, zwłaszcza kiedy o los dzieci idzie.

Ale wnet przerwała się ich rozmowa, ujrzeni skradającego się Podlodowskiego z synem. Młodzieniec padł im plackiem do nóg; oni mu powtórzyli to co i bratu: objawionéj skłonności córki lekko dotknęli, od pani Kasprowej



wszystko zawisł<sup>em</sup> czynili; przecież nie mogli przeszkodzić temu, że najśłodsza nadzieja ogarnęła serce uszczęśliwionego Filipa, i że podczas rannych modlitw ponowił ślub przed tygodniem uczyniony i obostrzył go w taki sposób: iż obiecał Najświętszej Pannie pójść do Jasnogóry dwa kroki naprzód, a jeden w tył, suszyć w Soboty przez całe życie, byle mu pomogła do rychłego otrzymania ręki téj którą kochał.

---



## ROZDZIAŁ VI.

„A straciliśmy nie tak brata, jako właściwiej  
ojca.“

*Przy pogrzebie rzecz.*

— Tak, bratku—mówił półgłosem i półżartem Kochanowski do Filipa, siedząc z Podlodowskim i z żoną tego samego dnia pod wieczór w ganku — wiem ja dobrze, jaką to jest niewymowną uciechą służyć téj, która nam serce podbiła? ale nie dałem ci dziś iść z naszymi dziewczkami, pomagać im, a raczej przeszkadzać do siania owego lnu, bo wiem, żebyś nie wytrzymał i powiedział jakie niepotrzebne słówko Ewie, któreby ludzie usłyszeli; a ja powtarzam po raz dziesiąty: nie chcę, aby ktokolwiek w domu o naszych zmówinach wiedział, dopokąd się nie zwierzę pani Kasprowej, i nie otrzymam jój przyzwolenia; inaczéj, wątpiłbym o błogosławieństwie Bożém nad wami, i nad sobą — przydał z uczuciem.

— Święta prawda!—domówiła Kochanowska, przestając prząść na chwilę z kądzieli, którą obyczajem podolskim wtknęła sobie za pas—co jednemu śmiech, to drugiemu płacz na tym świecie. Wasza dzisiejsza radość, panowie, będzie jak piorun z nieba na tę zacną białogłową; a jeszcze chore nieboże, od dwóch tygodni łóżkiem się bawi.

— Ja mam wielkie obowiązki względem téj naszéj bratowéj; wiecie dobrze, przyjacielu — mówił dalej Kochanowski—myślałem ciągle: „Ewą to wszystko spłace;“ ale kiedy rzeczy niespodziany obrót biorą, kiedy w córce najmniej-szój ochoty do zastawienia się za ojca nie widzę, kiedy przyjdzie ją zmartwić: starajmyż się przynajmniej nie obrazić jéj, nie uchybić. Gdybyśmy jedno dali do poznania tu komu, o tém co dziś rano między nami zaszło, jeszcze przed nocą, gdyż znacie rychłość odniesień służebnych, pani Kasprowa wiedziałaby o wszystkim, i więcej niż my wiemy, bo o zupełnéj pewności, o dniu zaręczyn i wesela; i gotowaby w cięższą zapaść chorobę. Rzecz wiadoma, złe wieści mają skrzydła. A pięknaźby to była zapłata dobrodziejstw nieboszczyka brata, onego drugiego ojca... Bo trzeba ci wiedzieć, panie Rotmistrzu, a jak się dowiesz, dziwić mi się przestaniesz, lepszego brata, jak był świętéj pamięci pan Kasper nie znalazłbyś, choćbyś przetrząsł całą Litwę i Koronę; chcąc przytoczyć wszystkie prawa jakie on ma do wdzięczności mojej, żywot mój cały opowiedziećby należało. Bo i o tém nie zawadzi żebyś wiedział, kiedy w naszym domu szukasz żony — i tu lekki uśmiech złagodził rozrzewnienie, jakie tamte słowa wzbudziły — Kochanowskim oddawna Bóg udziela błogosławieństw swoich w liczném potomstwie; i jeśliś pragnął kiedy w postanowieniu twojem majątności i skarbów, źleś trafił, panie Rotmistrzu: u nas zawsze bywało więcej dziełek niż wiosek. Mój dziad wprawdzie, bo Kochanowscy oddawna rymują, tak był wymienił i opisał swoją chudobę:

Jasieniec — jak wieniec,  
 Na Baryczy — ryb nie zliczy;  
 Sycyna — da nam wina,  
 A Czarnolas — wyżywi nas.

Ale do tych czterech wiosek było pociechy dziewięcioro, trzy córki i sześciu synów: Piotr mój ojciec, Jan, Wit, Fi-

lip, Tomasz i kochany nasz pan Dobiesław, co jeszcze dzięki Bogu doprzedza szanownej starości swojej w ojcowskiej Baryczy; i muszę cię zawieźć do niego, jeżeli już cię losy przeznaczyły na naszego zięcia. U moich zaś rodziców, jak widzisz u nas sześć dziewcząt, tak tam byliśmy sześciu chłopców; było wprawdzie i dziewcząt cztery, ale pomarły w panieństwie i jedna tylko zamężcia dostała. Z owych sześciu chłopaków, Kasper był najstarszy, a ja zaraz po nim. Matka, która tam zapewne samém rodzeniem dzieci, według słów apostoła, zbawiona być musi, co jedno dziecko porodziła i wykarmiła, natychmiast Pan Bóg dawał drugie; rośliśmy koło rodziców, jak latorostki koło sprawiedliwego w Psalmie:

Ojciec siedział za swym stołem,  
A dziecięcki stały kołem;  
By w bujnym sadzie zielone  
Oliwki, nowo sadzone.

Ale Kasper ledwie miał lat dziewiętnaście, a Piotr najmłodszy jeszcze wisił u piersi macierzystych, kiedy po niedługiej chorobie umarł nasz zacny ojciec, nie mając więcej nad lat sześćdziesiąt siedm. Bym żył wiek cały, nie zapomnę téj chwili i okropnej boleści ukochanej matki. Tyle dzieci, majętność szczupła a zawikłana, gdyż były różne zajścia, nie ze stryjami, broń Boże, Kochanowscy z dawien dawna żyli zgodnie między sobą, ale z ciotkami, a raczej z pociotami i z ich dziećmi. Dąbrowscy, Mysłowscy, Sienińscy, w które to domy powychodziły trzy siostry mego ojca, słuszne i niesłuszne rościli sobie prawa do majątku naszego. Spór był nierozstrzygnięty, a wszystko na karku niebogięj wdowy, która własnego żalu i kłopotów domowych miała wyżej głowy, i nad siły niewieście. Snadź, Bóg miłosierny natchnął duchem swoim naszego Kaspra i odział go męstwem. W kilka dni po śmierci ojca rzucił się do nóg gorzko płacząc matce, i powiedział:

„Nie płaczcie pani matko, Bóg da, będę ja waszym i rodzeństwa obrońcą; jedno zasilajcie mnie radą i modlitwą waszą.“

Jak powiedział tak uczynił; stał się odrazu dojrzałym i doświadczonym mężem; wszelakie trudności, prace i frasunki, co pospolicie na wdowę i na sieroty przypadają, wziął na siebie; użył czujności, niespania, mozołu, lecz tak dobrze wszystko sprawował, iżeszmy za pilnością jego, żadnego uszczerbku nie ponieśli: nie tylko nam chudobę w całości zachował, ale i przyjaźń powinowatych i sąsiadów; obeszło się bez sporów prawnych, bez przysiąg, których kochana matka gorzej śmierci się bała; i do dziś dnia z jego łaski żyjemy zgodnie z licznymi pokrewnymi naszymi. Matka odtęskniwszy się nieco po mężu, mogła przy takim synu pędzić dalszy wiek spokojnie. Urodziwy, zacny, mając nie tylko laty, ale roztropnością, wymową, pierwszeństwo nad nami wszystkimi, nie chciał on nigdy rzucić ni domu, ni powiatu swego, rodzeństwo forytował między ludzi, sam siedząc w ukryciu. Mnie szczególnie, którego kochał najlepiej i w którym upatrywał jakieś osobliwe dary niebios, mnie zapragnął ujrzeć na świeczniku, i ku temu wraz z matką żadnych ofiar nie szczędził. Niedosyć było dla Janka szkoły wiejskiej, założonej przez dziada i ojca w Policzny; niedosyć na zacnym nauczycielu, księdzu Macieju z Zalesia, mężu głęboko uczonym w Wierze, w łacinie i w poezyi, wyprawili mnie na dwór wielkiego hetmana i muz opiekuna, Tarnowskiego, gdzie się przyjaciela znalazło, świata trochę poznało...

— I wojaczki—przerwał z uśmiechem Podlodowski — a bitwa pod Tarnopolem, a strzała Tatarzyna?

— Zaprawdę — odrzekł żwawo Kochanowski — lubię wspominać sobie te dwie okoliczności. Kiedy słyszę o przykładach męstwa waszego i innej rycerskiej braci, miło mi przypomnieć sobie, że i moja krew płynęła w potrzebie za



ojczyznę; ból w owym czasie tak srogi, dziś mi się wydaje jakby uciechą, ciężka strzała Tatarzyna, miłsza od ujednój złotój strzały miłości. Przypatrzo się, panie Rotmistrzu, jest ci jeszcze ślad oczywisty mojego męztwa, i dalipan, na poetę, to dosyć.

Tak mówiąc, wyciągnął krótką szyję, uchylił żupana, wyjął śpinę od koszuli i pokazał Filipowi znakomitą bliznę.

— Nie zgadlibyście tego, bratku! a gdyby nie przygody nieszczęśliwe pana Jakóba i odjazd jego do Studzienicy, byłbym mu ciągle nieodstępny i może tak dzielny żołnierzem jak on. „Ale do Koryntu przyjść, nie każdemu snadno,“ inaczéj chciały losy, inaczéj chciał on brat poczciwy, co sobie i matce w głowę włożył, że ja nie tylko muzę polską wsławię, ale będę słupem i światłem kościoła, i szerzącym się nowościami w Wierze silną stawię zaporę. Trzymali mnie tedy lat parę na Akademii krakowskiej, gdzie byli wtedy zawołani mistrzowie, do których i cudzoziemcy jeździli. Lecz właśnie w owym czasie, nauka z Niemiec i Genewskie kazania, zaczęły brać górę między Krakowskimi studentami, głośno już powstawali na papieżników, jak nazywali synów prawego kościoła. Matka i brat zlekli się tedy bardzo, by się we mnie nie zachwiała stara Wiara; choć ja tam w życiu mojem siłam błdził, młodość i krew bujna nieraz mnie uwiodły, i nie mogę się pochwalić, abym zawsze namiętności gasić w sobie umiał: alem zawdy się strzegł wywodów religinych, i nigdym tyle nie tuszył o własnym rozumie, abym miał prawo dosiąść głębokich tajemnic Boskich; com raz obiecał na chrzcie Panu Bogu, czego mnie ksiądz Maciej nauczył, com w domu rodzicielskim widział i słyszał, tegom się trzymać postanowił i tego się trzymać pragnę, dopokąd duszy w ciele. Matka i brat nie ufali mi jeszcze tyle, a znając do mnie nie małą żądę sławy, odznaczenia się między ludźmi, bali



się, żeby mnie nie pobudziły do kacerstwa, jak wielu innych, owe podstępne pochwały; „Oto mi głowa, nie dla kształtu! oto człowiek nad ludzi! nie wierzy jak księga: nie za panią matką pacierz.“ I wysłali mnie własnym kosztem do Włoch, wytrząsnąwszy dobrze pierwój wszystkie domowe wacki, mieszki, garnki i kryjówki, tak że grosza nie zostało; rzecz téż to była na owe czasy bardzo rzadka: jeździli już wprawdzie do cudzych krajów synowie pańscy, jeździli i ubożsi wyższe zdadności mający, ale kosztem rozmaitych mecenasów, albo téż królewskim. Największemi ofiarami utrzymywali mnie przez lat siedm w Rzymie, w Padwie, w Paryżu. Jeźlim między temi dalekimi narodami, może oświeceńszemi od nas, ale téż nierównie więcj zepsutemi, nie zboczył zupełnie z toru cnoty, nikomu jedno Kasprowi i matce tom winien. Ich listy i upominki przez każdą sposobność przesyłane, były dla mnie jakby głosem Boga, który mnie prowadził, wstrzymywał; a w to pani, matka bez pana brata nie byłaby poradziła, nie umiała pisać; podawała więc tylko słowa pełne mądrości Kasprowi, a on je nadobnie układał. Wreszcie, i tom jeszcze mu winien, że śmierć téj najlepszej i nieodżałowanej dotąd rodzicielki, nie nabawiła mnie ciężkiej choroby. Spełniło się było to srogie nieszczęście; już on ją złożył w grobie ojcowskim, a mnie tylko napisał iż słabą się czuje i wezwał mnie do przyjazdu. Czas téż było wracać, ile że choć nieraz w twardym niedostatku, anim myślał o miłym do kraju powrocie. Gościłem wtedy w Paryżu, uwikłany w pętach szalonej miłości; jeden tylko przyjaciel, zacny Ossoliński ratował mnie od rozpaczki: Paryżanka piękna, wabna, uczona, zalotna... prawdziwa miejska Greta, chociaż jój Lidya było na imie..“

— Nie bardzo tam o tém, panie mężu — przerwała z przymuszonym nieco uśmiechem Kochanowska — nieboszczyk pan Kasper nic w tém nie miał, a panu Rotmi-

strzowi mówić takie rzeczy, niema żadnej koniecznej potrzeby...

— Dawne to już czasy, pani żono — odpowiedział Kochanowski — dwadzieścia lat i kilka, a trudno tych win zataić; ośpiewałem dosyć ową czarodziejkę Lidyą w moich łacińskich elegiach znanych całemu światu. Ja nie chcę ucho-  
dzić przed nikim, ani dziś ani potomności, za lepszego jak byłem, jak jestem... I wreszcie, cóż ja temu tak bardzo winien, że lubo matka i brat nakłaniali mnie do stanu duchownego, jam ani kęs powołania nie miał...

— I zawsze mnie licho ciągnęło do kościoła Ś. Adama, jak teraz mojego Filipa — wsunął wesoło Podlodowski — zba-  
wiennyc to także zakon: bez niego ród ludzki by zaginął...

— I całe moje nieszczęście — odrzekł żwawo zaczepio-  
ny — iżem odrazu mojej Ewy nie napotkał. Przecież — dodał po chwili poważniejszym już głosem — wróciwszy do kraju zdjęty srogim żalem, iżem już matki nie zastał, chciałem na gwałt księdzem zostać i na wsi się zamknąć; zrobiliśmy dział majątku: mnie się dostał Czarnolas, a raczej ustąpił mi go kochany brat, widząc jak tę wioskę wysoko cenię: wyrobiłem sobie probostwo Zwoleńskie i chciałem samotnie życie spędzić niedaleko grobu rodziców, wśród ksiąg. Księdza Macieja z Zalesia, dawnego nauczyciela, uczyniłem moim wikarym, przywdziałem rewerendę; a żem nagle wszystkich święceń nie wziął i tom jeszcze winien kochanemu bratu. On ciągle rodzeństwem zajęty, a dumny i uradowany mojem powodzeniem za granicą, sławą jaką mi wiersze moje łacińskie zyskały, przyjaźnią Manucusza, Karola Sygonjusza, a nadto poufałością z Myszkowskim, Ossolińskim, Radziwiłłem, Górnickim, Fogelwederem i innymi, którychto wszystkich w obcych krajach szacunek sobie zjednałem, namówił mnie żebym się nie zagrzebywał na wsi, żebym jeszcze ostatecznie księżej sukni nie oblekał, i żebym się dał poznać u dworu. Już mnie tam zapraszał

Filip Padniewski, pod ten czas kanclerz koronny, biskup krakowski i wielki mój łaskawca. Pojechałem. Wtedy już pisma urzędowe zaczyanno pisać po polsku, gdyż król nieboszczyk bardzo w języku ojczystym smakował; ale zawsze potrzebna była koniecznie w komorze królewskiej niepospolita biegłość w łacinie. Mogłem jój nabyć siedmioletniém obcowaniem z uczonymi całego niemal świata; zalecił mnie przeto Padniewski królowi, i wnet otrzymałem urząd sekretarza Jego Król. Miłości, wraz z panem Łukaszem Górnickim. Wtedy dopiero przy boku i za łaską takiego pana, co i pieśń, i wino i miłostki lubił, użyło się świata z Anakreonem w ręku, pisało się i robiło *Fraszki*...

— I kochało się znowu— szepnął Podlodowski.

— I nie w jednéj: nie stronił ja nigdy od biało-szyjek. A dalipan, nie wiem czy kiedy na dworze polskim widzieć się dało tyle cudnych pań i panien dworskich, co na dworze nieboszki królowy Katarzyny, i czy był gdzie snadniejszy przystęp a lepsza pogoda do grzechu. Król August już nie żył dobrze z tą świętą panią a trzecią już żoną swoją, nic nie miał wprawdzie do niój, jedno że bardzo otyła była i dzieci nie rodziła; zamyślał już o odesłaniu jój do Wiednia i o rozwodzie. Niejedni tedy rodzice, pamiętni wyniesienia Barbary Gastoldowój, pod różnemi pozorami przywozili córki tam, gdzie król bawił; mnie samemu wpadła strasznie w oko jedna z panien dworskich królowój, kasztelanka sieradzka...

— I znowu— mruknęła Kochanowska— na jakież ziółko stąpiliście dziś mężu, co odgrzebujecie jakby z umysłu stare i zapomniane grzechy?

— Nie znałem was, Hanno moja, ani rzetelnego szczęścia— odpowiedział— to jedyna, wielu szaleństw młodości wymówka; a w żalu jaki ważniejsze we mnie wzbudzają, w otwartości z jaką pomniejsze wyznaję, jedyna na-

dzieja, że je Bóg miłosierny wygładził zupełnie ze swojej pamięci. Ale bo dalipan, owa Hanna Koniecpolska urodziwa była i nauczona białogłowa; szyja śnieżna, włos złoty, jako gwiazdy oczy; syrenąbyś ją był nazwał, kiedy śpiewała przy lutni; Palladą, kiedy w niewieściej pracy cuda wyrabiała igłą: podbiła sobie zupełnie biédnego poetę. Skoro szary szlachcic zacznie przestawać z bławatnemi pany, przyśniwa mu się łatwo, iż i on w złocie będzie chodził. Sławiłem ją rzymskimi i słowiańskimi pieśniami, wieszalem wieńce u jój drzwi, wszędziem za nią chodził: i ona mile na mnie patrzyła, nieszczędząc słów łaskawych. Jużem tedy sądził, że nie wzgardzi niskim progiem moim, jużem jój śpiewał o starój lipie, co jój wygląda z za boru, i o innych Czarnolasu pięknościach. Właśnie biskup Myszkowski, następca Padniewskiego, u którego moja polska muza twarz dziwnie wdzięczną znalazła, wyjechał mi był probostwo poznańskie; pomyślałem sobie: „Zrezygnuję duchowne łaski, o świeckie prosić będę i ożenię się.“ Aliści zalotna kasztelanka, zwyczajnie dworka, odrzuciła ze śmiechem szczere ofiary moje; a kiedym jeszcze nad jój zdradą płakał, ona już oddała piękną rękę Czyżowskiemu kasztelanowi bełzkiemu, z którego nieraz śmiała się przedemną że brzydki, stary i głupi, ale pan i bogaty.

Takim trzeba ustąpić, bo przekłete dary  
Przeważą winną pamięć i stateczność wiary.

Ustąpiłem więc; a dostawszy takiego odkosza, w smutku i upokorzeniu mojem gdzie miałem szukać pociechy, jeśli nie u brata? On właśnie postanowiwszy braci wszystkich i siostrę, pojął był zacną pannę z sąsiedztwa, pokrewną naszą, i żył z nią szczęśliwie i użytecznie w swój Policzny, nie zawierając bowiem uczynności swojej i miłosierdzia we własnym rodzie, był opiekunem wdów i sierot całego nie-



mał województwa, pozyskał sobie powszechny szacunek i urząd pisarza ziemi Sandomierskiej. „Janie — powiedział mi po kilku dniach przypatrywania mi się i badania pilnego a smętnego — bo prawdę rzekłszy, lata spędzone u dworu szarpnęły mi były nie mało sił i zdrowia, — Janie, krew Kochanowskich w tobie: życia spokojnego w uczciwej mierności ci trzeba. Jużes kosztował wszystkiego i nic cię nie zaspokoilo; piérwsza młodość uciekła, a szczęściaś nie znalazł. Ani zbyt wesołe życie dworskie, ani świętobliwy żywot kapłański nie dla ciebie; korcić cię téż także muszą i bogate dochody, które bez prawa pobierasz: pozbądź się ich, zostań przy swoim. Zaniechaj królewskich i pańskich podwojów, weź żonę równego stanu, oddaj się muzom i ziemiaństwu; osiadź w ojczystym Czarnolesie, a będziesz zdrów i szczęśliwy.“ Jakby mi kto bielmo zdjął z oczu, gdym te jego słowa usłyszał; zdało mi się jakbym się narodził na nowo, jakbym piérwszy raz prawdę zobaczył, jakby mi kto raj ziemski otworzył. Napróžno król nieboszyk chciał mnie koniecznie zatrzymać przy sobie, roczną płacę mi wyznaczył, postarał się o to, by mnie opatem sieciechowskim obrano; najpiérwsi i najzacniejsi panowie ciągnęli mnie na świecznik: słowa brata większą miały wagę, pewniejsze wróżyły mi szczęście. Za radą jego wystawiłem sobie ten oto dom obszerny i wygodny, i dałem mu za napis modlitwę, którą Bóg miłosierny spełniać raczy; potém zaś zacząłem myśleć o żonie. Brat mi przypomniał, jako zawsze równie kochany przyjaciel ma siostrę w wieku zamężcia; on mi ją zmówił, on był moim swatem, moim dziewosłębem; a skorom poznał ową prawdziwą bogdankę, skorom się z nią ożenił, przekonałem się, że jeźli do Lidy wiodła mnie miłość młodzieńcza, miłość zmysłowa; jeśli do Hanny Koniecpolskiej nęciła mnie miłość dumna i prózna, obcą była sercu mojemu trzecia a najlepsza miłość cnotliwa: ta jedna wieczysta i szczęście dająca, ta mnie spoiła

z żoną i coraz ściślej jednoczy. Ale gdzież jest owa ozdoba moja, podpora domu, towarzysz najlepszy? znikła...

I w samą rzecz, Kochanowska przewidując iż przyjdzie kolęj na te pochwały, odeszła przed chwilą; pozorów i przyczyn jako dobrej gospodyni braknąć nie mogło, ile że się zbliżała godzina wieczerzy, a od czasu przyjazdu brata, za każdym zastawieniem stołu, nowy przysmak był podawany.

Kochanowski rad na ten raz nieobecności żony, z większą swobodą i tkliwością o niej i o szczęściu swoim domowém mówić zaczął.

— Nigdy my z sobą — powiedział nakoniec — żadnych rozterek i niesnasków nie mieli; nigdy nikt nie słyszał, abyśmy się na dzień jeden, gdzie tam, na godzinę z sobą pognięwali. Nie wiem nawet, czy jój uroda w czém się odmieniła; zawsze mi się taka cudna widzi, jak w dzień ślubu, bo cnoty żony piękną ją czynią w oczach mężowych i wdzięczną w samą nawet starość... I widzisz, panie Filipie — dodał mocno wzruszony — ile to ja winien bratu. Ale czekajcie, nie dopowiedziałem końca. Skutkiem niedocieczonych Boskich wyroków, ów brat ukochany, młody jeszcze i tak na tój ziemi potrzebny, zapadł na ciężką chorobę i już z niej nie powstał. Mnie, unierając, zdał opiekę nad żoną i dziećmi; mnie powiedział: „Umieram spokojnie, zostawiam im ciebie.“ I małeż to są obowiązki moje względem tój zacnej niewiasty, tój świętej prawdziwie wdowy, która do dziś dnia, po siedemnastu latach, dochowuje wiary mężowi, i ani z myśli ani z ciała żałoby jeszcze nie zdjęła. Straciła wszystkie dzieci, jeden tylko Franciszek jój został, ani go też wypuściła z rąk; w trzecim ledwie roku odsadziła go od piersi, pieściła, dogadzała nad miarę, dawała jeść i pić co jeno chciał, a on też roś i tył, gdyby w karmniku. Broń Panie Boże różgi, kary, nauki lub roboty jakiej; nie, tylko same igraszki, zabawy, a psoty i próż-

niactwo. Gdy się mu na ósmy rok obracało i widziałem z żalem, iż mimo obietnic pani bratowej, żadna odmiana w jego wychowaniu nie zachodzi, pamiętam, powiozłem mu książkę piękną łacińską z abecadłem i z modlitwami, i powiedziałem, że przyjeżdżać będę go uczyć, albo też brać go będę do siebie. Nuże chłopiec w płacz i w krzyk, a biédna matka: „Dajcież pokój Franulkowi, będzie chorował;“ co on téż posłyszawszy, gdym go tylko do książki namówić chciał, wrzeszczał w niebogłosy: „Będę chorował, będę chorował!“ i tak się gracko wywijał, iż do dwunastu lat nie znał ani litery. Martwiło mnie to niesłuchanie, i ilem razy wspomniał na zanego ojca, ledwiem nie płakał myśląc sobie, iż syn tak odmiennym torem idzie; gadałem matce co się zmieściło, chłopakam zawstydział przykładem moich dziewcząt: wszystko to było jak gdyby groch na ścianę miotał. Nareszcie gdy już młodzieniaszek zaczął rok szesnasty i zawsze był nieuk, a coraz gorszy żarłok, pótém klekotał biédnej matce głowę, i gniewem Bożym ją straszylem, póki nie oddała go przecie do Lublina do szkół, i nie przyrzekła mi, że go tam na całe dwa lata zostawi. Ale cóż? tym co szkołę trzymali zaleciła, aby Franulko długo i miękko sypiał, wiele jadał, mało nad książką siedział, żeby różga na jego ciele nigdy nie powstała. Tak téż uczynili; a ponieważ suto płaciła, suciéj jeszcze wszystkiego dosyłała, jéli jéj donosić, jakoby panicz bardzo dobrze się sprawiał, prześlicznie się uczył, a matczysko rosło z radości. Tymczasem ja, który tym doniesieniom nie konieczniem wierzył, wybrałem się z umysłu do Lublina i zastałem, iż po roku nic się nie nauczył, krom psot od chłopiąt szkolnych, i że się nawet z grubego nie okrzesał; odwiozłem go więc do domu. Ale ponieważ urosł, tego wyglądał, a zaraz piérwszy obiad nie jadł ale pożerał, matczysko na wszystko mówiło: „Nic, nic, zdrów mój Franulko!“ i rada temu będąc, że już oglądała jedynaka, mało na to

dbając czy co umieć czy nie, ani go chciała wypuścić od siebie. Teraz, kiedy już młodzieniec pod wąsem, kiedy synowie drugiej naszej bratowej, pani Mikołajowej z Jasieńca, wychodzą na ludzi, biedna matka uznaje niedostatki syna, choć nie wiem czy chce uznać przyczynę; tai je sama przed sobą, chciałyby ukryć przed światem, i pewna jest, że skoro Franulek się ożeni, to się i odmieni. Pragnie tedy tego małżeństwa jak zbawienia, a w naszej Ewie widzi stworzoną dla niego żonę, która go przykładem swoim, namową, nauczy żyć i być człowiekiem. Widzisz przeto, panie Filipie, jaką jest konieczną potrzebą uprzedzić ją zwolna o tém, co zaszło między nami; przygotować ostrożnie i jakąś radę na pociechę upatrzeć.

— Uznaję to wszystko — odpowiedział pan Rotmistrz, który przez ten cały czas stojąc z uszanowaniem przed Kochanowskim, słuchał go pilnie — uznaję, ale czyżby nie można upraszać pokornie — i to mówiąc, skłonił się do ziemi i ścisnął palce u nóg przyszłemu teściowi — czyżby nie można przyspieszyć tego rokowania. Gdybyś wasza miłość wiedział, jakim wiekiem dla mnie każda godzina...

— Jutro Niedziela — odezwała się na to Kochanowska, która wróciwszy przed chwilą, stała na progu we drzwiach i słuchała — pojedziemy jak zwyczajnie do Policzny na nabożeństwo; gdyby się dało, możnaby coś wspomnieć....

— Zapewne — domówił Kochanowski — im prędzej tém lepiej; jabym chętnie dziś jeszcze zbył z siebie ten przykry ciężar. Jutro więc dosiędę wcześniej mojego siwosza, i jeśli się uda, sprawę wprowadzę; nadjedziesz żono, i może dobijemy targu, chociaż Bóg widzi, ani sobie wystawiam jak się to obróci?....

Młodzieniec uradowany obietnicą, objął kolana obojga gospodarstwa, całując je na znak dziękczynienia; ale na-



gle zerwał się jak gdyby wezwanie bojowe usłyszał i zawołał:

— Idzie.

Jakoż wracały córki gospodarskie z czeladnikami dziewczętami z roboty w polu, i wnet ukazały się u wrót, które już Filip na rozciernie otworzył; szły zwolna nucąc smutną piosnkę, śpiewaną dotąd w Sandomierskiem przez dziewczki wychodzące na pańszczyznę, a w której były i te słowa:

Nasz Starosta dziś był zły,  
 Żeśmy rano nie wyszły  
 Do téj roboty.

— Cóż wam się stało? — zapytał córek ojciec, kiedy przed gankiem stanęły — zwykle wracacie w skokach i z weselszemi pieśniami; słyhać was o kilka staj: Ludwina jedna, ta zawsze zostaje w tyle, i cicho paciérze mówi.

— To Ewa nas tak wszystkie zasepiła—odpowiedziała Dorota z żalem — gdzie poważniejsza od Ludwiny Nastka zaśpiewała jój, jak na Podolu śpiewają:

Ondryni—ja lon sieju,  
 Skaży s kim zbierać budu.

A ona się rozplakała i utulić się nie mogła.

Ewa już mocno rumiana spłonęła bardziej jeszcze na te słowa, i prawie z gniewem przytknęła rękę do ust wielomownej siostry. Pan Podkoniuszy szepnął do przyjaciela:

— Raczek, nie zły to znaczek.

A Ludwina przysła z nieśmiałością i ze smutkiem do matki, i powiedziała jój do ucha:

— Boję się bardzo, czy Ewa nie chora; cały czas nie

nie mówiła, chwytala się często za głowę, oddech ma ciężki, oczy czerwone, ręce gorące. Możeby jej bżowego kwiatu dać na noc? jeśli jest co złego, prędzejby wyspało.

— Nic jej nie będzie—odrzekła matka z uśmiechem.— Oto patrz, już mówi z panem bratem i śmieje się. Idźmy do wieczerzy: ryby się przestoją.

## ROZDZIAŁ VII.

Cnoty swych dzieciak starsi nauczajcie,  
Te wychowanie synom waszym dajcie.  
A niech nie będą nazbyt pieszczonemi,  
Niech nawykają spać na gołej ziemi.

*Księga III, pieśń 3.*

Dom w Policzny różnił się bardzo od domu Czarnoleskiego: tu był ruch, życie, wesołość; tam cichość, milczenie, żałoba.

Pani Kasprowa Kochanowska straciwszy dozgonnego przyjaciela, przyjęła na siebie stan wdowi. Mówię stan, bo wtedy, kiedy większa pobożność była w sercach, większe oderwanie od rzeczy ziemskich; kiedy Pismo Święte znano gruntowniej, kiedy powołanie kobiety lepiej było rozumiane i wyżej cenione jak dziś: wdowieństwo było stanem osobliwym, jak panieństwo, jak małżeństwo. Nie jedna białogłowa po śmierci męża sądziła, że jej się nie godzi, że jej nie przystoi być żoną drugiego mężczyzny, choćby też piękną i młodą była; ślubowała chować czystość, a straciwszy opiekuna i obrońcę, którego z rąk rodziców dostała, za jedyne go opiekuna i obrońcę brała sobie Boga. Taka, modlitwą, postami, pracą ręczną, cierpliwością, ubóstwem dobrowolnym, jałmużną, dążyła do doskonałości; taka strzegła się blizkiego przestawania z mężczyznami, zabaw, tań-

ców, śmiechów, takiej ubiór nawet różny był od ubioru mężatek; smutny, prosty, poważny: taka nareszcie odchowawszy dziatki, im poruczała majątność swoją, a sama najczęściej zamykała się w klasztorze. Takie wdowy, „Chrystusowe“ zwane, w wielkim były u ludzi szacunku i miane prawie za święte; urzędnikom wszelkim zalecone było wyraźnie mieć je w szczególnej opiece, gdyż krzywda takowych wołała o pomstę do Boga, a dobro im uczynione ściągało błogosławieństwo. Zresztą, w owych czasach jeszcze nieco rycerstwem tchnących, wdowy taką powszechną obudzały względność, iż wziętość, jaką Stefan Batory uzyskał u narodu, prawie zaraz po wstąpieniu na tron, powodzenia jego późniejsze przypisywane były przez wielu temu, iż pierwszym jego czynem, jako króla, była sprawiedliwość wymierzona wdowie.

Pani Kasprowa w rządzie „wdów Chrystusowych“ śmiało liczoną być mogła. Wszystko u niej barwę wdowią miało. Twarz bladą i wychudłą łagodny smutek powlekał, usta prawie ciągle odmawiały pacierze, ręce, jeśli nie zajęte robotą, złożone były nabożnie; wysoką i poważną postać, która wolnym krokiem suwała się tylko po ziemi, okrywała suknią długą i płonistą z czarnej rasy, z kapturem z tyłu, czapka na głowie czarna z branką białą wiązana pod brodą, a zamiast pasa, gruby sznur lniany, u którego wisiała koronka z granatów, z trupią głową z kości słoniowej. Dwór cały dosyć piękny i obszerny oddała synowi i czeladzi, sama zachowując sobie niewielką sypialną izbę, czarnym kirem wybitą. Łóżko wązkie i twarde, ławek i stołków parę, stół dębcwy, kołowrotek, krzyż wielki z wizerunkiem Zbawiciela, przy łóżku kropielnica z święconą wodą, gromnica i dwie książki nabożne na półce: taki był sprzęt cały. Nawet obrazu męża w jego ślubnym stroju nie chciała, zawiesiła go u syna.



— Mnie tego nie trzeba — mówiła — ja go mam żywego w pamięci.

Przecież jakkolwiek oderwaną się zdawała od świata i od ludzi, i cała w Bogu, trzymała się jeszcze mocno ziemi, a syn był tym węzłem, który nietylko ją wiązał, ale i wikłał. Dla wszystkich miłosierna, dla siebie surowa, dla syna była słabą do zbytku. Jednego tylko mając, całe szczęście ziemskie w nim założyła; nie widziała większej pomyślności nad zachowanie go, większej niedoli nad jego utratę. O! zapewne, kiedy po śmierci ukochanego męża czwarte już dziecko złożyła w grobie, gdyby jój był kto zaręczył, iż przynajmniej ten jednak zdrowo się wychowa, przystałaby chętnie na to, żeby był nieukiem, kalęką, nie wiem czem, byle żył. Te okoliczności, te uczucia stały się przyczyną rozpieszczonego wychowania pana Franciszka; i nie wiem, czyby wiele matek ośmieliło się rzucić pierwszy kamień na panią Kasprową.

Od kilku lat spokojna o zdrowie i życie syna, zaczęła znowu truchleć o szczęście jego tu i w wieczności; ale na obawę wynalazła dwie drogi ratunku: ożenienie go z Ewą, i poświęcenie się własne. Żona kochana i rozsądna miała zastąpić to wszystko, czego mu niedostawało, zrobić z niego człowieka; w miłosierdziu zaś Bożem pokładała nadzieję, iż On jój ofiarę przyjmie jako okup za syna, jak niegdyś przyjął ofiarę Chrystusową za okup rodzaju ludzkiego. Nikt też nawet ani wiedział ani zgadywał, ile ona męki zadawała sobie za jedynaka: bo kryła się z umartwieniami swemi, jak drugie z rozpustą się kryją. On spał w piérzu i spał długo, ona nocy bez snu na paciérzach trawiła, i ledwie parę godzin spoczynku na twardéj desce pozwalała sobie; on nosił wygodne i kosztowne szaty, ona włosienicę na gołe ciało oblekła; on jadł i pił co się zmiesciło, ona tylko tyle pożywała, ile koniecznie do utrzymania jój wycieńczonego ciała było potrzeba; on często to

z lenistwa, to dla zabawy opuszczał nakazane nabożeństwo, ona modliła się prawie nieustannie, co tydzień przystępowała do stołu Pańskiego, codzień w kościele obecną była ofierze ołtarza, a prócz tego jeszcze ślubowała Bogu, iż skoro synowi potrzebną nie będzie, natychmiast wstąpi do klasztoru, a to dobiierając sobie zakon jaknajostrzejszej reguły. Tymczasem do tych wszystkich zbieranych tajemnie zasług, dorzucała jeszcze widoczną zasługę ciężkiej pracy: od świtu do nocy nie spoczęła ani jęj myśl ani ręka; całe gospodarstwo domowe, cały zarząd dosyć znacznego majątku opierały się o nią; zbierała pieniądze dla syna, odsuwała od niego wszelki kłopot, niepomna, że tą zbytęcną dobrocią więcęg mu szkodzi niżeli pomaga.

Jednak zaczynało już niekiedy przychodzić jęj do myśli: czy to ona dobrze robi? a ta obawa, coraz więcęg ją dręczyła. I właśnie tęg Niedzieli, zakrywsg głowę i twarz kapturem, ażeby tęg lepiej się odosobnić i nawet choćby ludzie przyszli nie widzieć ich, siadła w swojej izdebce obok łóżka i dumala głębkogo. Chora przez parę tygodni, ledwie dziś rano zwlekła się z pościeli, żeby wejrzeć w gospodarstwo, i zaradzić owym nieporządkom i nieładowi jakie wszędzie i zawsze wsunąć się gotowe, skoro braknie oka pańskiego; skoro wreszcie liczna czeladź, niewieście tylko rządu czuje nad sobą. Zmęczone dreptaniem, a więcęg jeszcze nieochybnym w takim razie gniewem, nie miała nawet pociechy usłyszeć podziękowań jedynaka, albo jakiego troskliwego słówka o zdrowie swoje, z ust tego, któremu to zdrowie poświęcała.

Pan Franciszek nie był zły i matkę kochał beżwątpienia, o ile tylko mógł kochać; ale wiek dziecinny rozpieszczony, życie dalsze nieczynne i prawie jedynie zmysłowe, tłumią w człowieku wszystko co duchowe, serdeczne i piękne; dusza kryje się pod grubą zasłoną, uczucie stygnie, myśl tępieje; kończy się na tęg, że prawie samo zwierzę zostaje,

a jeżeli wydostanie się z téj głębi jaka czułość, zwraca się do najbliższego przedmiotu, do siebie, czyli jak dawniej mówiono, do *sobha*. Pan Franciszek nie na świecie nie widział prócz pana Franciszka; nigdy mu nie przyszło na myśl cudzą przyjemność nad własną przełożyć; a jeszcze téż przyjemność matki, do której poświęcenia przyzwyczajony będąc od pieluch, ani go cenił, ani nawet widział. Kiedy ona tedy dziś rano, chciała spróbować czyby nie mogła zacząć wyręczać się nim w gospodarstwie, i posłała wezwać go aby do niej przyszedł, on jój kazał powiedzieć, że się wyleżeć musi, gdyż ma drogę przed sobą. Odpust był bowiem w Zawadzie, dobra wyżerka u państwa Mysłowskich, na którą był proszony; a gdy w parę godzin potém przyszedł ubrany i do podróży gotowy, powiedział jój:

— Co wy tam pani matko odemnie chcecie, zdrowicie już Bogu dzięki, to sobie radźcie jakeście dotąd radzili; mnie trzeba jechać, bo się spóźnię na śniadanie.

A nie pytając się ani tłumacząc więcej, ruszył do Zawady.

Wielki Boże! — mówiła w sobie z goryczą matka patrząc za nim kiedy za bramę z dwoma pachółkami wyjeżdżał—czyż ja się nie ludzę wmawiając gwałtem w siebie myśl, żem mu koniecznie potrzebna, że onby się obejść bezemnie nie mógł? czyż nie grzeszę narażając szczęśliwą, niewinną, nic nie znającą dziewczkę, na dozgonną przyjaźń z człowiekiem, co o nikogo nie dba, o nic się nie pyta; któremu jadło, pokój, napój, zabawa, za wszystko stają?

onażto prowadzić ma męża? nie zakazujeż tego surowo Apostoł święty. A wreszcie jakżeby on żonie dał się prowadzić, kiedy on słów matki nie waży; skoroby pierwsze chwile minęły, nie dbałby o nią jak i o mnie nie dba. Nie, jemu podobno lepszy będzie mistrz surowy niż żona; mistrz, któryby zaczął z nim jak z dzieckiem, uczył go, prowadził, zmusił do pracy; któryby to zrobił dla niego,

com ja matka, niestety! powinna była zrobić... A gdyby on żadną miarą nieznanemu sobie jarzmu uledez nie chciał, nie lepiejzeby jednego jeszcze spróbować sposobu i oddać mu cały majątek; niechby sam nim władał, niechby musiał sam myśleć o sobie... Pan brat zawsze mówi, że ja żyję za niego, i już mu nie nie zostawiam do roboty: może dobrze mówi.. A te wszystkie moje udręczenia, rzekła po chwili z podwojoną goryczą, te posty, pacierze, umartwienia, sąż one Panu Bogu przyjemne? Czyż nie grzeszę pychą za cudze poświęcając się grzechy? niemamże ja dosyć swoich własnych? i będęż miała dosyć czasu do pokutowania za nie?... O! już podobno sam Pan znaki mi daje, że już przyszła godzina własnych przewinień się kajać, uchylić się od licznych pokus. Oto i dziś rozgniewałam się strofowałam ostrzej niż było potrzeba, może nawet posądziłam niesłusznie; już byłoby się czego spowiadać, a nie dawniej jak onegdaj ksiądz był u mnie.... Żywot bogomyślny którego oddawna pragnę, do którego Bóg w miłosierdziu swoim wołać mnie raczy, potrzebuje zupełnego rozdziału ze światem i z zabawami jego; w klasztorze łatwym mi będzie: tam, miej tylko powolne i posłuszne starszym swoim serce i pokorną myśl ku nim, a już cnoty wszystkie masz; tu, ileż to trudniejszych usiłowań potrzeba, jakiegoż nieustannego bojowania! Już téż i starość przysyła mi swoje pozwy; nie obeszałam i połowy gospodarstwa, nie wejrzałam we wszystko jak należało, a nogi drżą podemną, serce mocno kołacze, ręce się trzęsą. Nie byłoby to najlepiej naradzić się z panem bratem, oddać synowi cały majątek, jego za opiekuna mu wyznaczywszy, a samój wstąpić niebawem do klasztoru i modlić się? „Panie Jezu Chryste ukrzyżowany dla zbawienia nas wszystkich, zwołała obracając zroszone oczy ku krzyżowi i wznosząc ręce, racz mnie oświecić co czynić mam. Ty na niebie mieszkając patrzysz litościwie na ludzkie troski, sierotom opuszczonym Tyś jest



ojcem, Ty smętne opatrujesz wdowy, Tyś jest ich obrońcą, nie inny...“

A to powiedziawszy umilkła zalana łzami; wzięła potem koronkę wiszącą u pasa w długie i schudzone palce, a zatopiona w Bogu, schyliwszy prawie do kolan twarz osłonioną kapturem, pesowała co kilka minut paciorek po paciorku, a wtedy słychać było te słowa z głębokim westchnieniem wymawiane: „teraz i w godzinę śmierci naszój, Amen.“

Kiedy zacna wdowa tak rozpamiętywała i modliła się, nasz Kochanowski przybrawszy kontusz święteczny, podgoliwszy starannie brodę i czuprynę, z karabelą ojcowską przy boku, z ugladzonym wąsem i w białej czapce z czarnym barankiem, już dojeżdżał do Policzny na swoim siwozszu; a mimo całej roztropności i znajomości świata zachodził w głowę z jakiej beczki on to zacznie, jakimi słowy rzecz wypowie, czém panią bratową pocieszy? Dla duszy pocziwój i kochającój, niéma zapewne większój przykrości jak być posłańcem smutku do tych, którychby się rado otoczył szczęściem.

„Możec mi Bóg dopomódz raczy!“ powiedział zsiadając pomału z konia i oddając go pacholкови, który go przywiązał u słupa za średnie srebrne kółko; w owych wiekach bowiem, przed każdym porządniejszym szlacheckim dworem stał na środku podwórza słup z trzema kółkami do przywiązywania koni: dolne z żelaza dla kmiotka i mieszczana, wierzchnie z mosiądzu dla szarój szlachty, a średnie srebrne dla panów i urzędników; Kochanowski zaś był Wojskim ziemi Sendomierskiej; urząd ojcowski patryarchalny, o który on sam prosił, odmówiwszy jak wszyscy wiedzą krzesła w senacie; bo Wojski musiał pilnować domu i obowiązkami jego było mieć opiekę w czasie wojny nad żonami i dziećmi tych, co wyszli bić się za kraj. Pan Wojski tedy, nie mało zakłopotany, odmawiając „Zdrowaś Marya“

do Ducha Świętego o dobre natchnienie, wszedł nieśmiało do pani bratowej, która lubo jęj przerwał pacierze, i we łzach ją zastał, przecież uprzejmie ję jeszcze przywitała niż zwykle.

Nié mamy podobno potrzeby opowiadania szeroko, tego eo każdy już się domyślił. W usposobieniu umysłu w jakim się znajdowała pani Kasprowa, wiadome rokowanie łatwo pójść mogło, i poszło z nadzwyczajném zadziwieniem Kochanowskiego. Obok szczérych powinszowań na jakie się zdobyła ta prawdziwie chrześcijańska i miłująca dusza, pólyszawszy o zdarzającym się losie dla Ewy; obok uwolnienia pana brata od wszelkich dawniejszych obietnic, i zupełnego rozgrzeszenia, od wymówek jakie sobie rad czynił; nie obeszło się jednak bez obfitych łez z jęj strony, i ciężkich wyrzutów jakie robiła samęj sobie: że nie słuchała dawnych a dobrych rad jęgo, że nie chowała tak syna jak wszystkie rozsądne matki chowają, jak byłoby nastąpiło gdyby jęj kochany Kasper był żył.

— Jedyną moją pociechą—powiedziała nakoniec—jest ta myśl, iż jak ja się oddalę, i już bez przeszkody tylko modlić się za niego będę, on się pomiarkuje, a zostawiony sam sobie będzie musiał się dźwigać. Wy wtedy, panie bracie zasilajcie go waszą radą, a jeżeli da Bóg, stanie cokolwiek na nogach, może mu za jakie pięć, sześć lat, waszjęj Doroty nie odmówicie.

— Dalekie to jeszcze rzeczy—odpowiedział jęj z wdzięcznym uśmiechem Kochanowski—i mnieby się zdawało niebezpieczna, zostawić tak pana Franciszka bez bliżkiej podpory; gotówby paść i już się nie podnieść; ale tak uczynmy: powiedzieć mu że Ewa go niechce, bo poznała godniejszego; będzie mu to przykro, i wam słuchać takich uwag bolesna jest, lecz nie uraziwszy, nie uleczysz rany; wystawić mu przytęm, że on póki takim będzie jak dziś, nigdy dobręj żony nie dostanie, chyba kupną, która nic nie warta; niech

więc jedzie na jaki dwór pański, naprzykład na dwór kanclerza, pod dozór brata Andrzeja, i tam niech się kształci. Wasza miłość zaś kiedy chcesz tak koniecznie zamknąć się w klasztorze, wypuścić w dzierżawę Policzną; oto pani Mikołajowa ma trzech synów: najstarszy Krzysztof na królewskim dworze jak wiecie, najmłodszy przy niej, ale średni Adam, co właśnie do domu powrócił szuka zatrudnienia a obrotny chłopak. Możeby tedy jeszcze tego lata stało się waszój pobożnej woli zadosyć. I nasza Ludwisia bardzo już do klasztoru wzdycha; w domu, ma jednak równie jak i wy, przeszkody do nabożeństwa. Szesnaście lat na Nawiedzenie N. Panny skończy, pragnęłaby w ten dzień rozpocząć nowicyat, a my też z żoną dosyćbyśmy temu byli radzi, żeby na weselu siostry nie była. Czego znać niéma, po co przed oczy jój stawiać? lubo dotychczas wszystkie przysmaki świata tego, nic ją nie wabia. Zaprawdę, równie jak w was, pani bratowo, łaska Boga w tém dziewczęciu, bo ta jój świętość nie z ojca; z niegodnego rodzica święte dziecię się narodziło: wyszła róża z ciernia... Ślubowaliśmy ją do tego klasztoru, gdzie moja Hanna się wychowała; są to siostry łaskawe (Sorores Benignae), szlacheckiego rodu i nauczone; trudnią się dziećmi, kalekami i choremi: tam i święte wdowy przyjmują. Nie dałyżby się tak rzeczy ułożyć, żeby i wasza miłość do tego zawinęła portu?...

Odpowiedź wdowy przerwało przybycie naszój Kochanowskiej. Zostawiwszy starsze córki i gości w ganku, szła sama do izby z wielką bojaźnią, niepewna nawet czy już przełamane pierwsze lody? Radość jój równa była zdziwieniu, gdy się dowiedziała, że wszystko ułatwione; ucałowała ręce i nogi pani Kasprowej. Przecież wśród téj radości, kiedy jeszcze schylona była u kolan świętej niewiasty, nagły jakiś smutek ją objął; błysnęła myśl i przeszła ją jakby strzałą jój serce: że to już nie żartem i nie długo córka jój się wymknie, że ją na zawsze z oczu straci, że

ten Filip, co dziś tak dorzecznym i porządnym zięciem się wydaje, i tak ogniście się kocha, może później być złym i niewiernym mężem, a nieszczęśliwa Ewa nie będzie miała nikogo, żeby w łono jego wylać żal swój i męki. „Tuby zawsze mnie miała“ pomyślała sobie: i w ten moment, bo któż tajemnice serca macierzyńskiego odgadnie, możeby już była wołała wydać ją za pana Franciszka. Te wszystkie trwogi i żale uderzyły w jej serce, i gdyby się nie była wstydziła męża, pani bratowej i samej siebie, byłaby zapłakała gorzko.

Lecz nie było czasu na podobne myśli i na łzy. Pani Kasprowa wyjść musiała do gości czekających w ganku; a choć bolesną i upokarzającą było rzeczą witać tych, co pozbawili jej syna spodziewanego szczęścia, przecież w chrześcijańskiej pokorze i w polskiej gościnności znalazła dosyć siły, żeby ich przyjąć mile, i zaprosić na śniadanie naprędce. Do nabożeństwa była jeszcze dobra godzina. Podłodowski i wychowanek jego, którzy z samej twarzy Kochanowskiego wyczytali pomyślny obrót sprawy, przesadzali się w okazywaniu względów dla gospodyni; a w chęci podobania jej się, zajadali smaczno i rozmawiali ochoczo. Sam też Kochanowski bywał zawsze dobrej myśli w Policzny; tyle rzeczy mu przypominała! Ukochana matka urodziła się w tym samym domu, i jej ta wieś była niegdyś dana w posagu; kościół murowany pod opieką Ś. Stanisława i Ś. Anny, założony był przez jej ojca Andrzeja Białaczewskiego, herbu Odrowąż, roku 1531; a dołożył się bardzo znacznie jak na owe czasy, Piotr ojciec jego; bo czterema tysiącami złp., co na dzisiejszą monetę wynosi 36 tysięcy złotych. Przy kościele, obyczajem dowodzącym wielką troskliwość dziedziców, i teść i zięć założyli szkołę.

— Dobrze ja tę szkołę pamiętam—wspomniał Kochanowski— a wychodząc z kościoła, muszę was do niej za-



prowadzić, panie Rotmistrzu; niemasz tam ławy, niemasz kąteczka, coby mi się nie dał we znaki; wójt brzezinowy miał gęstą robotę z moją skórą; wszędzie i na każdym miejscu mnie bito; to rozciągano na pieńku, to nieraz przyszło uczyć się jeometrii niekoniecznie wygodnym sposobem, to jest grzbietem mierzyć ziemię. Bo wszyscy sześciu braci ile nas było u rodziców, wszyscyśmy w téj szkole pierwsze nauki brali, a ja byłem psotnik całą gębą. Czy dęszcz, czy pogoda. szliśmy codzień pieszko, raniusieńko po śniadaniu; w zimie, w baranich kozuszkach, w szybkach i w skórzniach; w lecie, w koszulach z szarego płótna krajką przepasani, w magierkach, najczęściej boso. Ależ mocny Boże! cóżto za wesoła droga bywała! Ani wiem gdzie zniknęły owe krzaki, owe kamyki, kwiaty, ptaki, motyle, co człowieka wtedy tak zajmowały i bałamuciły, że nieraz Kasper, zawsze najrozsądniejszy, spędzać nas musiał do gromady jak pies pasterski owce. Najprzód, przyszedłszy do szkoły słuchało się Mszy świętej, potem nauka, a o południu już siedzieliśmy w domu u obiadu; i dalipan, wracając nie wałęsało się tyle co idąc, bo o kilka staj od Czarnolasu już pachniały barszcz z rurą albo kapusta z grzybami, a po tych przechadzkach, jak się to spało na gołej ziemi! lepiej niż dziś w puchu. Był w szkole *Dominus* stary, Kleofas się nazywał, czytać i pisać po łacinie i po polsku, i śpiewu kościelnego nas uczył; pamiętam go jak dzisiaj, siedział w szkółsku w czapce sukienuj na głowie, w cizmach na nogach, w czarnej rewerendzie, bat u pasa, a przed nim leżały tablice kamienne, szyfer i gąbka do ścierania. Ale wnet sprowadził ojciec rektora zacnego i mądrego kapłana, który historyi, logiki, poezyi, i innych nauk nam udzielał. Był to ów ksiądz Maciej z Zalesia, o którym wspominałem wam wczoraj...

— A nie przyszło mi się téż spytać o szanownego

starca—przerwał Podłódowski—kiedym był u was ostatnim razem, odwiedzaliśmy go w Zwoleniu; jeszcze nam twoje dawne wiersze, Janie, dobywał a chwalił.

— Jakto, nie wiecie? umarł przed trzema laty — odpowiedziała Kochanowska widząc że mąż się rozrzewnił pamięcią dawnego nauczyciela.

— Umarł — powtórzył za nią ze smutkiem wdzięczny uczeń—i dotąd, nie wiem jak to zeszło; nie zebrałem się na położenie mu nagrobka, a chcę żeby miał kamień obok rodziców moich. Nauczyciel pobożny i uczony, ojcem duchownym zwać się może; on z grubej gliny naczynie piękne, godne pańskiego stołu czyni. Księdzu Maciejowi dwa skarby życia mego winienem: niezachwianą wiarę i muzę moję. On wypiautował ducha mojego, oglądał go, pieścił, i poznał mnie gdzie pierwój, nim ja sam siebie znać umiałem...

— On wszystkie dziewczęta nasze wodą Chrztu św. oblał—odezwała się Kochanowska — prócz najmłodszej Orszulki.

— On mego Kaspra na drogę wieczności przygotował—westchnęła wdowa.

— On Ludwinę i mnie — dodała Ewa — Katechizmu nauczył i pierwszy raz dał Komunię świętą.

— Panie! świeć nad jego duszą — szepnęła Ludwina składając pobożnie dłonie — a jakieżto były święte z nim rozmowy!...

— Bo to był ksiądz z owych zacnych i uczonych, na jakich prawemu kościołowi nigdy w naszej Polsce nie brakło—mówił dalej Kochanowski — mało znany, gdyż jak ty Jakóbie, o godności żadne się nie ubiegał, a niedawno téż mamy takiego króla co sam zasłużonych szuka. Wyéwiczony w nauce Wiary, nie samými słowami, ale i przykładem pokonywał kacerzy. Kiedy tu osiadł, zagnieżdżyły się były w okolicy religijne nowości; zacząwszy jak wiécie od najpierwszych panów, już bałamuciły i szarą szlachtę; po-

mieszkał czas jakiś, był wikarym w Zwoleniu, i już na całą parafią został jeden tylko kacerz Łukasz Gupolski; i ten w niedługim czasie do starój wiary wrócił, kształcił się przy nim, i dziś jest u mnie bakałarzem i przepisowaczem, gorliwy katolik, jak tego potrzeba. I mnie on, mogę to śmiało powiedzieć, utwierdził na zawsze w Wierze. Zaprawdę miałem ja i mieliśmy wszyscy bracia zaszczeploną pobożność w kolebce, wlaną z mlekiem. Wiele możny jest na dzieciach przykład groźnego ojca, przed którym wszystko w domu drży, a tak działo się u nas, a który przecież sam korzy się przed Bogiem, klęka przed Jego obrazem i wzywa Go na głos. Wiele także potrafią nauki matki, która bez ksiąg, bez pisma, ale przykładem, staraniem, kładzie w dzieci i jakby w żywą skrzynię pobożność i Wiarę, a tak robiła nasza matka. Skoro jedno z nas cokolwiek rączyną władać umiało, rano i w wieczór znaczyła je krzyżem świętym, na pamiątkę tego, na którym Chrystus cierpiał; żadne smaku mięsa nie zaznało, dopóki za panią matką nie umiało powtórzyć wyraźnie całego pacierza. Ale, widziałem ja przecież wielu młodzieniaszków, również dobrze prowadzonych, którzy wszedłszy między ludzi zapominali tych bogobojnych nałogów; mnie zaś ani przebywanie tu i owdzie z różnowiercami, ani nawet bliska zażyłość z niektórymi, jako to: z naszym Modrzewskim, z Orzechowskim, i z tylą innemi nie zachwiała ani na chwilę, bom wszędzie i zawsze pamiętał na słowa księdza Macieja.

„Zaklinam cię Janie — powiedział on mi kiedyś już w świat się puszczał—zaklinam na miłość ukochanego ucznia Chrystusa, któremu podobne imie nosisz, strzeż się przez całe życie sprzeczek i rozpraw z kacerzami. Tobie Pan Bóg nie dał onego rzutnego spojrzenia, onój siłaej wymowy, co to do razu postrzeżga, zwyciężza; twoja Wiara jest serdeczna, wierzysz, bo kochasz. Zostaw Protaszewiczom, Solikowskim, powstającemu zakenowi Jezuitów, być młotem na odszczepień-

ców, ty bądź dla wszystkich przykładem. Niech każdy powie widząc pobożne a cnotliwe życie twoje: „Po co tu odmian i nowości, kiedy przy starój Wierze prawym mężem być można.“

— I zawołanym poetą—dodał pan Podkoniuszy.

— Zapewne — odrzekł Kochanowski — jemu w części moje pieśni się należą, on sam biegły łacinnik, karmił mnie z młodu wybornemi ich poezjami; on mnie do pisania wierszy z dzieciństwa zachęcał; on i w braciach moich dar rymowania rozwinął. Mikołaj co umarł dwa lata temu w Jasięcu, układał bardzo piękne rotuły; namówiłem wdowę jego żeby je dała naszemu Andryszowiczowi do druku; drugi brat Andrzej co jest na dworze kanclerza Zamoy-skiego tłumaczy wcale gładko; wziął się do Enejdy Wirgilego i udaje mu się nie najgorzej. A co trzeci najmłodszy, Piotr, ten kto wie czy mnie nie przejdzie: rozmiłował on się we Włoszech, i tam od kilku lat gości; rozmiłował się więcej jeszcze w sławnym dzisiaj włoskim poccie w Tassie; ale jakże on tego poetę żywcem w naszą polską mowę przelewa; przysłał mi niedawno dwie pieśni swojej Jerolimy: dalipan, w niektórych miejscach wolę Polaka od Włocha...

— Jużto Kochanowscy powinni się pisać „z Parnasu“ — odezwał się tu z przyzwoitą skromnością Filip — bo już nawet lutnia u nich wybiera się iść po kądzieli. Wasza Orszulka jak dorośnie czemże będzie?

— Cudowne dziecię—podparł Podładowski—nie podobnego jeszcze nie widział odkąd żyje na świecie; na wyjeźdnem złożyła nam naprędce prześliczne wierszyki...

— Nie przywieźliście jój dziś—powiedziała gospodyni z lekką wymówką do Kochanowskiej — ja tak ją kocham, żywy obraz mojej Jadwichny, którą Pan Bóg w jój wieku mi zabrał...

— Owszem — odpowiedziała matka — jedzie z Nastką



i z młodszymi dziewczętami drugim wozem; jam ze starszemi i z miłą bracią osobno przybyła. Pewno zajechały prosto przed kościół, podobno i na nas już czas.

— I wielki—rzekła pani Kasprowa—dzwonią po trzeci raz; alem nie śmiała zacnych gości wypraszać z domu.

Poszli wszyscy do kościoła, gdzie pleban czekał ze mszą śpiewaną i z kazaniem na kolatorkę, a tymczasem lud wiejski z Policzny, z Czarnolasu i z okolicznych wiosek zebrany i snujący się jak mrowisko, zalegał cmentarz, rozmawiał o siejbie, o zbyt wczesnej wiosnie, o zimnie jakiego należało się lada dzień obawiać, o ozimnie jak się pokazuje, o domowych kłopotach lub pociechach; dostało się i włodarzom, i starostom, i sołtysom a nawet i samym dzieciom; trochę pochwał i błogosławieństw, więcej nagan i skarg, bo świat był zawsze taki sam.

Jak rozmowy ludu tak i powierzchowność jego mało się różniła wtedy, od tego czasu czém dziś jest, zwłaszcza w równej odległości od miast stołecznych jak była Policzna i Czarnolas. Nasz chłop w owym XIX-tym wieku, tyle oświeconym i zbytkującym, tak mało zna i używa, iż trudno sobie wystawić, aby kiedy mógł znać i używać mniej. Owszem, kto wie, czy prócz chat kurnych wtedy niemal powszechnych, kto wie mówię, czy lud polski w XVI-tym wieku, od granic Tatarskich i Moskiewskich odległy, nie wyglądał lepiej niż dzisiejszy, czy nie był zamożniejszy i mniej się różniący od panów swoich? To pewna, że był ochędoźniejszy i zdrowszy. Winni byli kmiotkowie te dobrodziejstwa dwom okolicznościom: najprzód, rzadszemu pijaństwu, gdyż gorzałka mało jeszcze gdzie była znana; szlachecka była rzecz wiele pić, chłopska wiele jeść; a panowie więcej dbający o sumienie niż o intratę, nie sadzali żydów po karczmach, nie rozpajali poddanych, i tylko piwo lekkie przedawać kazali w gospodach; powtóre, kąpielom parowym; te były w powszechnem używaniu: każda wioska

miała swoją łaźnię; parą, potami, chłostaniem się różgami, nacieraniem rozmaitem, pozbywali się wieśniacy nieczystości i chorób, i rzecz jest dowiedziona przez uczonych lekarzy, że dopiero z początkiem XVII-go wieku, kiedy łaźnie zaczęły wychodzić z ogólnego zwyczaju, owa obrzydliwa choroba ludu naszego, kołtun, zjawiała się w Polsce: dawniej wcale nie była znaną.

Ale wracając się do Kochanowskich, skoro święta wdowa szanowana od wszystkich dla żałoby i pobożności swojej, ukazała się i z gośćmi swemi, ucichła natychmiast gawiedź, zrobiono dla niej szerokie przejście, weszła do kościoła i klękała w małej ławce około ołtarza naprzeciw grobu jaki mężowi i tam wystawić kazała, a na którym Jan, następujący dał napis:

Kaspra Kochanowskiego tu schowano kości,  
Człowieka cnoty wielkiej i wielkiej godności.  
Płaczcie ubogie wdowy i smętne sieroty,  
Umarł ten, co na pieczy wasze miał kłopoty.

Do końca mszy, poki Pleban nie przyszedł jęj podać patyny do pocałowania, klęczała jakby nieruchoma; życie i czucie widać było po łzach, które niekiedy toczyły się jak perły po wybladłych licach. Goście jęj zaś, zajęli dwie pierwsze ławki w samym kościele.

Wśród powszechnego nabożeństwa i oznaków jego w obecnej szlachcie, dobywaniem napół szabli w czasie czytania Ewangelii, śpiewaniem łacińskich pieśni, w chłopstwie dotykanem się prawą ręką obu policzków, biciem się w piersi, leżeniem nakrzyż, nie psuła ogólnego obrazu pani Czarnoleska z córkami. Wszystkie skromno i chędogo ubrane klęczały rzędem; trzy starsze modliły się na książkach, Ewa i Dorota na polskich, jedna na Godzinkach o Chrystusowym krzyżu, druga na Psalterzu Dawida przekładu ojca, a Ludwina na łacińskiej, bo jako przeznaczona

do duchownego stanu, bieglejsza była w tym języku od sióstr i od matki. Trzy młodsze miały w ręku różańce, roboty przyszlój Chrystusowej oblubienicy, a spuszczać po ziarnku odmawiały także paciórki ze czcią i z uwagą. Może ich słowa nie były zupełnie wyraźne; rozumiał je przecież Bóg, który na serce i na chęci patrzy. Alboż to i nas starszych zrozumiały są zawsze modlitwy? Wiemyż my sami często o co gorąco prosimy? Lecz Ten, który wie lepiej od nas czego potrzebujemy, umie to wybrać i dać co z naszym jest dobrem, jeżeli przedewszystkiem i szczerze chwały Jego i woli pragniemy.

## ROZDZIAŁ VIII.

Żona uczciwa ozdoba mężowi  
I najpewniejsza podpora domowi;  
Na niej rząd wszystek, swego męża ona,  
Głowy korona.  
Ona mężowym kłopotom zabiega  
I jego wczasu na wszystkim przestrzega;  
Ona wywabić troskę umie z głowy  
Słodkimi słowy...

— *Ks. I. pieśń I.*

Po skończoném nabożeństwie w Policzny, dziedzice i goście Czarnolescy pożegnali z acną wdowę i wzięli się do powrotu. Dwaj przyjaciele bez wielu słów rozmówili się, i Podlodowski przekonał się z najwyższą radością, że jedyna przeszkoda do spełnienia jego życzeń już całkiem usunięta. Mniej jeszcze czasu potrzebowali kochankowie do zupełnego porozumienia się, lubo ich sprawa była zawilszą, gdyż nie zdawała się wcale rozpoczętą. Dotąd nie mówili nigdy z sobą sam-na-sam, rozmawiali głośno o obojętnych rzeczach, dalecy byli od wszelkich układów, a przecież to szło o nich, i rzecz była dosyć wielkiej wagi, godna roztrząsania. Lecz któż nie wie, że między dwoma sercami, które Bóg rozpołowiwszy do czasu, na to stworzył, żeby się kiedyś zeszyły i jednem się stały; między prawdziwemi Bog-da-



nami, skoro im porozumieć się wolno, zachodzi odrazu jakaś zgodność, jakaś jakby odnowiona znajomość; któż nie wie, że dla zakochanych wzajemnie, jedno wejrzenie, pół słowa więcej powie, niż długie innych wywody i rozmowy? Już idąc do kościoła, pan Rotmistrz zachęcony łaskawym żarciem Kochanowskiego, chociaż wszyscy szli razem i droga nie była daleka, znalazł porę i chwilę ofiarowania swojej dozgonnej przyjaźni pannie Ewie, wyrażenia srogiej bojaźni czy przyjętą będzie dobrowolnie? i niepojętego szczęścia, gdy poznał, że odrzucenia nie dozna. Nierównie dłuższego czasu i daleko więcej słów potrzebowała niewinna Ludwina, której matka i siostra, skoro wszystkie trzy wsiadały znowu do powozu, udzieliły całej tajemnicy. Nie chciało jej się to wcale pomieścić w głowie, żeby rzecz podobna mogła się zrobić tak nagle, i szczerze się rozpłakała nad myślą, że Ewa pojedzie tak daleko z obcym i młodym mężczyzną!

— O! jakże mi ciebie żal, siostrze — powiedziała — ileż niepewności, niebezpieczeństwa w twoim losie! — a w sobie samą dodała z pokorą: Wielki Boże! zkadże mnie ta łaska Twoja, żeś mi odrazu port zbawienny ukazał i dał za oblubieńca samego siebie?

Przyjechawszy do Czarnolasu, zebrali się rodzice w pokoju Kochanowskiego, i tam przy czułych i radośnych uściskaniach ułożyli, że skoro pan Podkoniuszy z Grodna wrócić zdąży, odbędą się uroczyste zaręczyny Ewy i Filipa; potem jaknajrychlej wesele, a w tydzień po weselu przenosiny do Studzienicy. Jutro zaś rano pojedą do Baryczy, do stryja Dobiesława po błogosławieństwo. Pan Dobiesław był najstarszy z żyjących Kochanowskich; w owym czasie, kiedy powaga wieku więcej jeszcze znaczyła niż dziś, kiedy „młodzi powstawali przed siwą głową,“ każdemu noszącemu to imię, zdawało się że on jego ojcem; i nic ważnego nie zaszło w całej rodzinie bez jego wiadomości.

Po obiedzie wesoło i smaczno spożytym, nazjeżdżało się wiele osób z sąsiedztwa. Tak zwykle bywało w Czar-  
nolesie co Niedziela i co święto, zwłaszcza kiedy już pię-  
kniejsza pora i dnie dłuższe nastawać zaczęły. Bo trzeba  
o tém wiedzieć, Kochanowscy byli wzorem i światłem całej  
okolicy; nie przesadziła pocziwa Nastka w opowiadaniu  
swojem w téj mierze. I może nie zawadzi przypatrzeć się  
im zblizka, przypatrzeć się jakby na własne oczy, choćbyśmy  
téż dojrzyć mieli nie nowych i już napomknionych rzeczy.

Przodkowie Jana z dawnego rzymskiego rodu Korwi-  
nów, zagnieżdżeni w Polsce od niepamiętnych czasów, kiedy  
inne gałęzie tego szczepu wyrastały bujnie i wysoko, trzy-  
mali się mierności, i zasłynęli jedynie w swoim powiecie,  
a to najwięcej bogobożnością, zamiłowaniem cnót domowych  
i pokoju, wstrętem do chciwości i dumy. Zawsze liczni  
a zgodni między sobą, od zajścia z sąsiadem, od sporów  
prawnych i przysiąg dalecy, do pojednań i przysług skłonni,  
słowem *kochający* i *kochani*, zasłużyli sobie na piękny *Ko-  
chanowskich* przydomek. Ale ponieważ ciche cnoty, cichą  
tylko sławę za sobą niosą, lubo z początkiem XVI-go  
wieku kilkanaście wiossek było w ich imieniu, mało kto  
o nich wiedział, i dopiero Jan zajaśniał jak gwiazda mię-  
dzy ludźmi. Matka, brat, nauczyciel odgadli w dziecięciu  
przyszłego męża, nie szczędzili starań i kosztów, i stało się,  
jak wiemy, ich szlachetnej chęci zadosyć.

Lecz ów Jan używszy świata i ponęt jego, syt podró-  
ży, zabaw, powodzeń, urzędów, zaszczytów, syt nawet mi-  
łostek, w najpiękniejszej dobie męskiego wieku zapragnął  
pokoju, żony i wioski. W skromném zaciszu oddał się  
związkom i uczuciom rodzinnym, rolnictwu, przyjaźni: ale  
dlatego książki i pióra nie zaległ, ani obywatelem być  
przestał; owszem, umiał spoić w jedno to kilkostronne męz-  
czyzny powołanie i żywot jego nadobną harmonią zabrzmiął.  
Troskliwszego męża, ojca i pana, uprzejmiejszego sąsiada,

lepszego gospodarza, miłośnika większego nauk, troskliwszego syna o dobro ojczyzny, a to nawet w rzeczach mniejszej wagi, z trudnościami by kto znalazł. I kto wie, czy Kochanowski nie jest winien owój nieprzeżytej, tak polskiej i popularnej sławy swojej, temu szczęśliwemu a rzadkiemu spojeniu, które przecież jest w mocy niejednego u nas.

Nie każdy zapewne dostał jak on dar pisania pięknych wierszy, ale czyż każdy polski ziemianin nie mógłby jak on ozdobić wiejskiego zacisza swojego cnotą i nauką, a przytém pracować nad dobrem ojczyzny? Kochanowskiego życie pełniejsze było, użyteczniejsze i więcej ożywione w skromnym Czarnolesie, niż niegdyś za granicą u dworu. Dzień, który dla niego wcześniej się zaczynał, a nieraz późno się kończył, gdyż często nie dospał dla pisania, wiedząc że nie będą

. . . . jego czułe nocy bez zapłaty;  
 A co mu za żywota ujmie czas dzisiejszy,  
 To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy!

dzień, mówię, który większą część naszej szlachty nie wie jak zapełnić i zabić; jemu, ledwie wystarczał na wszystkie zatrudnienia: on sam prowadził całe gospodarstwo rolne i zewnętrzne, prostego włodarza mając tylko do pomocy; on był doradcą i przewodnikiem żony, córek największą mądrością. Łukasz Gupolski nauczył je wprawdzie czytać i pisać po łacinie, ale nic więcej; z rzeczy wyższych to jedynie umiały co on im powiedział, te znały księgi, które albo sam napisał, albo z niemi czytał. Niekiedy w poobiednie godziny wołał starsze do swego pokoju. Tam mówił im o tém, co na szerokim świecie się dzieje, a najwięcej o tém, co w kraju; trzymali się bowiem wtenczas ojcowie owego patryarchalnego zwyczaju opowiadania dzieciom, co wiedzieli sami z dziejów ojczystych, aby i one według słów króla Proroka, oznajmiły je synom swoim, i wiedział o nich

rodzaj drugi \*). Utrzymywał także obszerne związki listowne z dawnymi przyjaciółmi, szczególnie z Fogelwerderem, z bratankiem Krysztofem, co był na dworze królewskim; z bratem Andrzejem, który bawił przy Zamoyskim; z bratem Piotrem, przebywającym od lat kilku we Włoszech; a to i w celu zachowania się w ich pamięci, i w widoku widzenia rychło i dokładnie co w Rzeczypospolitej i w Europie ważniejszego zaszło? Wówczas jeszcze nigdzie, nawet w tak dziś dziennikarskiej Francyi, nie było gazet i pism publicznych, któreby peryodycznie przyniosły pod oczy, do rąk ziemianina, wiadomości ze wszelkich zakątków; a kiedy teraz w tym oświeconym wieku nie jeden majątny i bez zatrudnienia szlachcic żałuje kilkunastu złotych, żeby mieć podobny skarb na własność, kiedy się leni wyprawić posłańca o pół mili do pocztowej stacyi; Kochanowski przy szczupłym swoim mieniu i przy innych pracach, niemal co tydzień wysyłał umyślnego z własnoręcznymi listami coraz w inną stronę Polski, mianowicie tam gdzie król bawił dworem, gdzie sejm się zebrał, gdzie ważną sądzono sprawę. Poczta bowiem, jeszcze za panowania Zygmunta Augusta od Włochów Montelupich utrzymywana, była prawie wyłącznie rządowa i królewska; za granicą znała tylko jeden gościniec: z Krakowa do Wenecyi; w kraju z Krakowa do miejsca, gdzie król przebywał; po drodze zaś nigdzie się nie zatrzymywała, żeby prywatne przyjmować lub oddawać listy. Niedosyć na tém, Kochanowski inne jeszcze zadawał sobie prace, inne podejmował zachody i koszta, a w tém naśladował co widział u staroego hetmana Tarnowskiego, i u tylu innych zacnych Polaków.

Naród, który sam o sobie stanowił, który od sejmu do

---

\*) Ps. 78. 5, 6.



sejmu, od elekcji do elekcji przyszłość sobie sam zakreślał, potrzebował mieć nieustannie pod ręką wierny obraz własnych dziejów. Drukowane księgi, aczkolwiek już więcej niż od wieku druk był wynaleziony i za owych czasów więcej było drukarni w Polsce niż dziś, drukowane księgi nie przychodziły mu bardzo w pomoc. Kroniki nasze z małym wyjątkiem ukazywały się opodal od chwili obecnej; Polak odważny w boju, zuchwały na obradach publicznych, zawsze był drażliwym na głos historii własnej, wszystkie śmielsze dzieła zostawały w rękopismach. Naród sejmami stojący nie miał publicznych dyaryuszów. Wszystko to więc zastąpić należało domową skrzętnością. I lubo niestety! teraz nie należymy do tych ludów, co najwięcej skarbów historycznych liczą, śmiało powiedzieć można, iż w żadnym kraju większej nie okazywano troskliwości na zachowanie pamięci spraw narodowych. Każda znakomitsza rodzina staropolska, na wzór klasztorów, które mają księgi gdzie spisują z kolei dzieje swoje pod tytułem: *Historia domestica*, utrzymywała także domowe akta historyczne, gdzie syn po ojcu zapisywał, to osobiste przygody, to sejmowe, sejmikowe i trybunalskie wypadki, to szykował w rosnących plikach mnogie polityczne korespondencje monarchów zagranicznych, królów polskich, senatorów, ministrów, relacje wypraw wojennych, poselstw...

Kochanowskiego zbiory należały do najbogatszych; wszystkie cztery ściany jego pokoju zastawione były od góry do dołu półkami w przegrody, z których każda oddzielny w sobie skarb kryła. Żadna ważniejsza publiczna przygoda ujść jego wiadomości nie mogła; prawie każdą ośpiewać musiał, niefortunną opłakał, pomyślną dodał chluby, a kiedy tego trzeba było, odzywał się głosem przestrogi i prawdy, rzucał nawet błogie ustronie swoje, żeby osobiście w zgiełku obradującej szlachty przemówić. Znaczniejsze prywatne zdarzenia, również wiadomości jego nie

uchodziły; znać mu o nich dawano z całej Polski; żal po stracie rodzica, towarzyszki, lub syna zdawał się mniej dotkliwy sierocie, mężowi, ojcu, szczęście w zawieraniem małżeństwie pewniejsze, chwała z odniesionego zwycięstwa na wojnie większa, kiedy śpiewak z Czarnolasu nastroił złotą lutnię swoją i rozgłosił po kraju smutek, wesele czy tryumf. Zajmowało także mocno Kochanowskiego, cokolwiek się w Rzeczypospolitej nauk, jakby w tém jego państwie działo. O wszystkich trzech szczegółach dowiadywał się nietylko z odbieranych listów, ale i z ust ówczesnych pisarzy, którzy mając go za pierwszego polskiego poetę, odwiedzali go chętnie czasem w liczném zebraniu. Na przyjmowaniu tych gości i sąsiadów, na innych obowiązkach niemało czasu mu schoodziło. W każdym położeniu są takie zabawy i trudności, iż człowiek swęj wolności użyć nie może, i często ludzkim niewolnikiem być musi; on téż dlatego opatrzył sobie ów kącik osobny, ów *pokój* prawdziwy, i rzadkim był dzień, żeby tam na czas jakiś się nie schronił, nie zamknął się sam w sobie; a w świat inny, w świat lepszy się przenosząc, nie spędził kilku godzin w owęj błogięj strefie, którą poeta łagodny i pobożny stwarzać w około siebie umiē. Najczęściej nawet jego pracę modlitwą nazwać należało; od czasu jak mężem i ojcem został, zaprzestał zupełnie płochych i rubasznych fraszek; psalterz tłōmaczył, pobożne pieśni składał. Kiedy téż żona przyszła zakolatać do drzwi i zaprosić go do stołu, lub donieść o jakiej domowej okoliczności, o przyjeździe posłańca czy gościa, on szedł natychmiast bez przymusu i gniewu, i wnet jego giętki i układny umysł, który do wszystkiego i do każdego sposobie się umiał, brał czynny udział w potoczném życiu, jak gdyby nie bujał gdzieś wyżej.

Żonie atoli jednęj wolno było przyjść pod drzwi owego pokoju; nawet Orszulka nie poważyła się dotąd pójść

ani razu na górę; żona wiedząc ile drogie i miłe są mężowi owe samotne chwile, ułatwiała za niego póki mogła różne sprawy; i wiedział on dobrze, iż jego Hanna nie zakłócała do niego, chyba w rzetelnej potrzebie, nigdy dla widzimisię ani dla własnej przyjemności.

Bo też Bóg łaskaw na Kochanowskiego, wypełniając nad nim błogosławieństwo macierzyńskie, opatrzył go owym prawdziwym a rzadkim skarbem: dobrą, wierną, roztrofną, rządzą towarzyszką.

Hanna Dorota Podlodowska tak nieszczęśliwie straciwszy matkę w pierwszym dzieciństwie swoim, wychowana była jak wiemy w klasztorze; i gdyby nie traf, który Kasprowi Kochanowskiemu przypomniał jej imię wtedy, kiedy doradzał bratu ożenienie się, byłaby najpewniej została zakonnica. Trwożył ją bowiem ten świat gdzie nie miała rodziców, z którego pamiętała tylko zamieszanie, tułactwo, żalobę; i sam brat, jedyny jej opiekun i blizki krewny, jakkolwiek go kochała, rycerz zawsze zbrojny i do boju gotowy, wzbudzał w niej pewną obawę. Nie miała przecież powołania do duchownego stanu, stworzoną była na żonę i na matkę. Żywa i wesoła, owego świata, który ją trwożył strasznie, była ciekawa i myślała o nim nieustannie; nieraz klęcząc przed obrazem Matki Najświętszej, zapominała naznaczonych paciery dla wpatrywania się z boleścią w Boskie Dzieciątko, i coś w niej mówiło: „I jabym dzieciątko piastować rada.“ Kiedy więc właśnie w porze gdy lat ośmnaście skończyła, brat do kraty klasztornej ją wywołał i spytał jej się: czyby nie miała wstępu do małżeństwa? zarumieniła się i rozśmiała w miejscu odpowiedzi; a gdy jej oświadczył jaki mąż jej się trafi, ona bez wahania się przystała na oddanie mu ręki. Gdy zobaczyła Kochanowskiego, nie pożałowała prędkiego namysłu. Miał on wprawdzie lat prawie drugie tyle co ona, nie był wcale tak piękny jak Podlodowski, a życie może zbyt wesołe,

przerzedziło włosy przed wiekiem, ale był przyjemny, a co wiele zawsze znaczyło w niewieścich oczach, był sławny, okrzesany, dowcipny, rozmowny. Obyczajem owych czasów, w tydzień po poznaniu swojego bogdana, już była jego żoną, a na drugi tydzień panią w Czarnolesie. Złączona z mężem tyłą węzłami, nowe, inne zupełnie życie rozpoczynawszy, pokochała dozgonnego przyjaciela całym sercem, wszystką myślą swoją. Przez niego prowadzona, oświecana, w świecie zupełnie jęj obcym, uważała go za pana i mistrza, za prawdziwego „wodza młodości swojej.“ Przyjrawszy się z bliska cnotom jego, wziętości, widząc jak cząstka tego ludzkiego szacunku i na nią spływa, pojąć często nie mogła, za jakie zasługi Bóg miłosierny takim szczęściem obdarzyć ją raczył. Łzy pokory roniąc, modliła się gorąco żeby jęj dopomógł do stania się godną tęg łaski; i temu staraniu poświęciła życie, przyjmując cierpliwie, że nie powiem radośnie, wszelkie przykrości nieodłączne od powołania niewiasty.

Bo wtenczas kobiety mniej uczone, mniej ogładzone i wykwintne, może mniej powabne i zajmujące od dzisiejszych, więcej z najważniejszą umiejętnością, z nauką życia i szczęścia obeznane były; i sprawdzało się na nich owo dawne przysłowie: „Nie kto co siła umie, ale kto co potrzeba, mądry.“ Rzetelnie pobożnym i rozsądnym nie przyszło nigdy do głowy, żeby kto mógł być na tęg ziemi zupełnie szczęśliwym. Podległość, bole, troski, trudy, prace, na które dziś weszło w zwyczaj gorzko i ostro narzekać, w ich oczach prostowidzących, należały do powołania kobiety, żony, matki, gospodyni, jak cień należały do światła, starość do wieku; zniesienie ich mężne, osładzanie cierpliwością i swobodą umysłu, rachowały do koniecznych obowiązków tego stanu. Kochanowska byłaby posądziła o niewczesne żarty tego, coby się poważyl utyskiwać nad nią, lub dziwić się, że ona męża słuchać musi, że do spraw



rządowych nie jest wzywana ani przypuszczana, że „nie jest posełką na sejm, wojsku nie hetmani“ \*), że w zamian dzieci rodzi, a zatem cierpi i choruje; albo ktoby ją żałował, że karmiąc sama nocy nie dosypia, że trudniąc się córkami, gospodarstwem, rano wstawać musi, pracować, doglądać czeladzi, nieraz zmartwić się lub rozgniewać: że wreszcie prostą będąc szlachcianką, nie używa tego, czego używają żony panów, niema takiego zamku ani dworu jak pani Firlejowa w Janowcu, albo pani kanclerzyna Zamoy-ska w Knyszynie.

Tak miesiąc była sobie swobodną, wesołą, szczęśliwą, nie, żeby w jej losie żadnych przykrości nie było, ale że je znosić umiała. Zapewne Kochanowski w utworze, w układzie pism swoich nie radził jej się, ani z nią rozbierał sposobów poprawy Rzeczypospolitej, ani też rozprawiał o wysokich naukach, o teologii, astrologii, filozofii; nie, tego nie było, i podobno obeszło się: mężczyźnie uczonemu, pracującemu umysłem miłą jest zapewne żona, która go rozumie, ale miłszą jeszcze i potrzebniejszą ta, przy której wypocząć może; ta, która wszystkie trudy potocznego, poziomego życia bierze na siebie, żeby on swobodniej i bezpieczniej mógł się wznosić gdzieś wyżej.

Nie było jednak bez tego, żeby Kochanowska nie wiedziała o tém, co mąż pisze, żeby jej nie przeczytał jakiej pieśni nowo ułożonej; psalmy zwłaszcza, które w wyższej myśli i z taką pracą przekładał, powtarzał przed nią i przed córkami skoro który wykończył, i były w ustach córek i całego domu, co więcej sam przyznawał, że zyskuje przy niej, że ona najlepiej w to radzi, iż

Sajdakiem uzbrojone dziecko,  
Z macierzystych gałązek jemu wieniec plecie;

---

\*) Łukasz Górnicki w Dworzaniu.

nieraz bowiem z jej opowiadania, z pieśni nabożnych i świeckich, które przy robocie śpiewała, uchwycił wyraz, obrot i tok słów, myśl nawet, bogacił tą zdobyczą wiersze swoje; a potem świat się dziwił z kąd czerpie nowych ozdób, z kąd dobiera nadobnych i trafnych wyrażen? i jakim cudem pod jego piórem poezya polska tak długo gruba i nieokrzesa, godna się staje obok greckiej i łacińskiej stanąć?

Gdzie rodzice podobni są do obojga Kochanowskich, tam już prawie potrzeby niema pytać się o dzieci, choćby też ich i najwięcej było. „Jakie drzewo, takie owoce.“ Bez wielkiego mozółu, jedynie ciągłym dozorem, dobrym przykładem, wpojeniem od pieluch posłuszeństwa i zamiłowania pracy, dobra matka prowadziła gromadkę swoją, jak biegły i troskliwy pasterz trzodę swoją gromadzi. Bojaźń Boska i bojaźń ojca, owego obrazu Boga na ziemi, całą były jej sztuką. Te proste słowa: „Pan Bóg na nas patrzy,“ „Ojciec się dowie!“ były prawie zawsze dostatecznym hamulcem od złego dla starszych, a z małemi, które jeszcze prawd moralnych nie rozumieją, a są najczęściej harde, uparte, kłamliwe, obchodzono się też wtedy powszechnie bez dzisiejszych wytworności:

Różczką dziateczki Duch Święty bić radzi,  
Różczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi i t. d.

Tę piosnki, choć podobno nieco później objętej rymem, wszystkie matki się trzymały w najwyższych i najniższych stanach? a to równie bez złości, gniewu i uniesienia, jak bez spazmów i płaczów serdecznych. W dzieciach, ani póki dziećmi były, ani gdy wyrosły, nie powstawał z tej przyczyny żaden żal do rodziców. Płagi należały się tak młodym, jak rany i cięcia mężczyznom, boleści rozenia białym głowom; uważane za rzecz konieczną i zba-

wienną nie martwiły ani obruszały nikogo. Wszak Kazimierz Jagiellończyk mawiał: „żadna muzyka nie jest miłsza uszom moim, jak kiedy słyszę chłostanie synów.“ Nie mówił tego z żadnej skłonności do okrucieństwa, bo był to król dobry jak cały ród Jagiełłów, ale mówił tak, gdyż go cieszyło, że mistrze wybrani do prowadzenia królewiczów, nie pieszcą ich ani im folgują, i wykształcą ich nie tylko na książąt, ale na ludzi. Bo rzecz uwagi godna, że w owych czasach plagi nie poniżały, nie bydlęciły, że tak wyrazić się poważę; owszem, zdaje się dodawały hartu młodej duszy i przyzwoitej śmiałości. Nie wiem jak się to działo, ale każdy przyznać musi, że z pod tego bicia nie wychodzili podli i ślepo posłuszni niewolnicy.

Żadne dzieci najwięcej cackane, głaskane, najzupełniejszą wolność mające, podług najmędrszych i najnowszych ksiąg prowadzone, nie mogą mieć rzetelniejszej czci i miłości dla rodziców, od tój, jaką miały dziewczki Czarnoleskie; i żadne, choćby na łonie zbytku, wśród hucznych i wyszukanych zabaw, w jedwabiu i w złocie chowane, nie mogły być od nich weselsze, swobodniejsze, zdrowsze i szczęśliwsze. Była w prostém i surowém wychowaniu dawniejszém, korzyść wielka dla samychże dzieci; wszystko dla nich było wyborne, wszystko je bawiło; wcześniój i lepij poznawały i pamiętały co złe a co dobre, co im wolno, czego nie wolno: ztąd postępowały rańniejszym i pewniejszym krokiem. Najmniejsze dziecko, jeżeli tęgje plagi za jaką winę weźmie, nie dopuści jój się drugi raz, bo pamięta karę; po lekkiém, choćby tęż częstém łajaniu, albo kiedy dziś za jedną rzecz jest napominane, a jutro mu ją przepuszczą, wraca się do niój, gdyż się zapomina albo nie dba; i wiecznie jest strofowane. Również przy dzisiejszój chęci niektórych matek, żeby ich dzieci były doskonałe, i przy ważności jaką im nadają w wielu domach, otacza je zbyt-  
nia troskliwość, która je nudzi, psuje, i do rozwinięcia ich

natury przeszkadza. W Czarnolesie nie było żadnej przesady, wszystko szło z prosta. Dziecię każde poczytywano za błogosławieństwo, ale żadna z dziewcząt nie wystawiała sobie, że jest jakąś ważną osobą; a wiedząc, iż rodzicom winna życie i wychowanie, raczej uważała siebie jako stworzoną dla posługi i pociechy rodziców, niżli rodziców stworzonych dla siebie. Każda ze starszych wiedziała też dobrze, iż nadejdzie wnet czas, kiedy ich porzuci, kiedy jak gałązka wierzby od pnia odłączona, sama w drzewo kształcić się będzie musiała; śpieszyła się tedy z okazaniem wdzięcznej miłości matce i ojcu, pragnąc za tyle łask odebranych oddać choć trochę.

Z tém przekonaniem i w tych uczuciach wzrosła i rozwinęła się Ewa; Ludwina znająca od kolébki przeznaczenie swoje i godna jego, poszła jeszcze wyżej; a za ich przykładem, jakto zwykle bywa, za starszemi siostrami rosły, rozwijały się i dążyły młodsze. Nie powstało w głowie ani ich ojca ani matki układać mądre plany ich wychowania, albo troskać się o ich umiejętność i talenta. Ów kłopot dzisiejszych rodziców, ów robak dzień i noc je gryzący, ówczesnym zupełnie był nie znany. Skoro dziewczę miało matkę, już rzecz była skończona. Edukacya, pensye, guwernantki, instytut, nawet z nazwiska znane nie były; język nasz nie miał tych wyrazów; sieroty albo panienki przeznaczone do duchownego stanu, oddawano do klasztorów, czasem zaraz z dzieciństwa, częściej później, jakto naprzykład Ludwinę; były także po dworach królowych i pań bogatych córki szlacheckie, najczęściej ubogie, pod dozorem poważnej mistrzyni; ale były to już panny odchowane, dorosłe, które po kilku latach wydawano za mąż, dawszy im posag jaki taki; o mężów też daleko było łatwiej niż teraz, bo niemal wszyscy mężczyźni się żenili.

Nie była tedy kłopotem żadnym dla naszej Kochanowskiej, ani edukacya, ani przyszłość jej sześciu córek.



Ona nawet, w dzisiejszém rzeczy rozumieniu, nie uczyła je niczego sama; i w tój mierze przyznać trzeba: ówczesne matki daleko mniej miały pracy od dzisiejszych, które często podejmują ciężar nad siły swoje, i dźwigają go z własną i dzieci szkodą. W każdym szlacheckim domu, gdzie rodzice chcieli, żeby ich dziatki coś umiały, był i bakałarz, który je czytać, pisać, rachować i łaciny uczył, nauki Wiary zaś nikt tknąć się nie ważył, prócz duchownych. To samo było i w Czarnolesie; ksiądz Maciej wyuczył dziewczęta tego, co główném jest w katechizmie, i to w krótkich słowach, bo wtedy kobiety nie rozumowały o Wierze, tylko wierzyły, a pan Łukasz wziął inne rzeczy na siebie. Kochanowska na swoje nauki nie miała godzin, i nie dawała żadnych, jak dziś zowiemy, lekcji. Nauczyła paciérza każdą z córek, zresztą miała je zawsze przy sobie; a główném staraniem jój było, żeby od chwili, kiedy dziewczę już sposobne do jakiegobądź zatrudnienia, żeby coś robiło zgodnego z wiekiem swoim i z siłami. W prostém, wiejskiém życiu dla trzech, cztero-letnich już łatwo było o takowe zajęcie; postępując tak ciągle, z każdym rokiem coraz trudniejsze i cięższe zadawała im roboty, żądając zawsze rachunku z nich, i kończyło się na tém, że Ewa i Ludwina nie ucząc się formalnie, już to samo umiały i robiły co matka, i we wszystkiém pomocy i wyręczeniu jój były.

Lecz z czegóż to się składała owa ich umiejętność? Oto umieć chodzić koło nabiątu, koło drobiu, koło przędziwa, koło ogrodu; umieć pięknie prać chusty, szyć w rękę i w krosnach; znać sekretów lekarskich, i przysmaków kuchennych, i aptecznych jaknajwięcej. Wtedy prace ręczne i gospodarskie były powszechném kobiet zatrudnieniem, zacząwszy od królowej Anny, skończywszy na najprostszej szlachciance; mało kiedy zajmowały się piórem alko książką. Wreszcie, jakże to wówczas inaczej wyglądało czytanie

jak teraz! Nie można było położyć się niedbale i wziąć się do niego z lenistwa, z próżniactwa. Należało zasiąść przed stołem, księgę położyć przed sobą na pulpicie i czytać z całym przyłożeniem uwagi, nie oczami tylko, ale najczęściej głośno po słowie. Wtedy, tak nie dawno po wynalezieniu druku, nie było lekkich książek ani treścią, ani wydaniem; z arkuszowej gockim drukiem, poważnego stylu, czytało się potrochu, jakby na lekarstwo; i gdyby kto był powiedział Kochanowskiéj i jéj córkom, że są kobiety co się nie znają ani na kuchni ani na gospodarstwie, co praść i szyć nie umieją, tylko cały dzień czytają i piszą, byłyby się więcej zdziwiły i zgorszyły niż my dziś, gdyby nam kto powiedział, że jakaś osoba wysokiego rodu i majątku czytać i pisać nie umieć. Ale téż tamté i dzisiejszą porę lat blisko trzysta przedziela! Ciekawa rzecz co będzie za drugie trzy wieki? Mnie coś mile do ucha szepce, że i pół wieku nie upłynie, a udoskonalone kobiety nauczą się łączyć prostotę i pracowitość dawną z dzisiejszą oświatą; i znowu dziwić się i gorszyć będą, jak mogły być jedne tak niebaczne, co nie chciały łączyć zalet niewieścich z korzyściami, jakie postępek wieku przynieść koniecznie musiał; a drugie tak ciemne, co dla cząstkowych nadużyć potępić były gotowe wszelkie światło, i do dawnéj a już niepodobnéj wrócić niewiadomości?

Ale ja wpadłszy na ulubiony sobie przedmiot, zapomniałam zupełnie o gościach Czarnoleskich. Czas do nich powrócić.

## ROZDZIAŁ IX.

Ale wczas wiedźcie, że nie dźierzę z temi,  
Który przyjaciół szukają pełnemi.

L. 26.

Goście zebrani w dniu tym w Czarnolesie, byli wszyscy bliżcy sąsiedzi Kochanowskiego, a po większej części i krewni; równi jemu urodzeniem, może i wyżsi majątkiem, nie dochodzili go daleko wychowaniem, ogładą i nauką. Jednak lubo z jego poezyi najlepiej rozumieli i cenili Fraszki, lubo o nich to on myślał, kiedy pisał: że „prożen słuchaczy gra za płotem“ oni szanowali w nim wyższego człowieka, i z równą chęcią i uszanowaniem wchodzili na jego niskie progi, jakby na najwyższe.

Owój Niedzieli jeszcze z większą niż kiedy pospieszyli ochotą, jakby pszczoły na kwitnącą tatarkę; różne ważne publiczne wieści krążyły w powiecie; obaczywszy więc pana Wojskiego w parafialnym kościele z panem Podkoniuszym królewskim, osądzili, iż niezawodnie dowiedzą się od niego prawdy, i że więcój jeszcze im udzieli nowin niż zwykle.

Dla całego swego sąsiedztwa, Kochanowski był chodzącym dyaryuszem spraw krajowych, gdyż nikt w okolicy nie miał tyle stosunków z dworem królewskim, z kancle-rzem i z innymi panami rad; nikt tyle o wiadomości się nie

starał. Nie tajno tedy było nikomu, iż on wie wszystko najpierw i najrzetelniej; a że ludzie niczego chętniej nie udzielają drugim jak nowin, wiedziano o nim i to, iż je rad rozpowiada, nie ukrywając przytem własnego zdania o rzeczach. Jakkolwiek wszystkie te względy pomnażały szacunek sąsiadów dla pana Wojskiego, nie można przecież przyznać, aby on był kompasem, podług którego nastawiano polityczne zegary w całym powiecie. Nie, trudna zawsze była sprawa z naszą polską szlachtą, i z niej urosło to przysłowie: „Co głowa, to rozum.“ Mimo tedy wysokiego szacunku dla Kochanowskiego, mało w czém z nim się zgadzali. On uczeń starego Modrzewskiego, owego praojca Leszczyńskich, Konarskich, Kołatajów, zwolennik i wielbiel króla Stefana i Zamoyskiego, chciał poprawy Rzeczypospolitej, chciał silnej najwyższej władzy, porządku w elekcyach, stałych podatków i żołnierza; wołał na uciemżenie kmiotków i mieszczan, na nadużycia panów i szlachty, złorzeczył owęj wolności co tak często w swawolę się obracając niewolą groziła: nie mógł przeto znaleźć potakiwania u tych, dla których te wszystkie nadużycia były najdroższym przywilejem, którzy mówili, a raczej w nieszczęsnej godzinie bluźnili: „Lepiej aby nieprzyjaciel trzykroć Rzeczypospolitę przeszedł i zwojował ją; niżliby się co z praw naszych wykroczyć miało.“ Lecz dla tój samej różności zdań, zjazdy w Czarnolesie były zajmujące: wyższe wychowanie gospodarza, znajomość świata, cześć jaką wzbudzał, oddalały nieprzyzwoite kłótnie i krwawe zatargi, gdzieindziej dosyć pospolite, zachowując tylko sporom i rozprawom iskierkę owego ognia, który podochoceniem rozmowy nazwać się może.

Nie mogło tóż i braknąć wątku do gadania ludziom, co chętnie rzeczami publicznemi się zaprzętali, tak przez przywiązanie do kraju, jako i z powodu owęj wolności i osobności, jaką miał każdy do ganienia tego co wyżsi robili.



Zawsze też w każdej porze jest jakaś główna, krajowa albo zagraniczna okoliczność, która unysły zajmuje, ciekawość wznieca, krytykę budzi. Od czasu jak ludzie zebrali się w towarzystwo, braknąć na takich nie mogło; jedna tylko zachodziła zawsze różnica: mniejszy lub większy rozgłos nadany téj okoliczności; miarą zaś tego rozgłosu najczęściej trafia rządzi; nieraz drobna, ładajaka przygoda więcej się rozslawi od wielkiej, jeżeli przyjdzie sama: pamiętam, w Warszawie, o jakimś malowaném oknie, o dwóch wierszykach, gadano i pisano przez kilka tygodni, w parę lat potém zjawiała się cholera, i mało kto o niéj wspominał.

Rok 1584, który jest jak wiadomo rokiem bieżącym niniejszych obrazów, rok ten, ósmy od wstąpienia Stefana Batorego na tron, może się nie liczyć do najważniejszych i najpomysłniejszych z pamiętnego jego panowania; data jego nie została zapisana na podobnie ważnych ustanowieniach, jak trybunały dla Korony i Litwy, urządzenie Kozaków, akademii Wileńska: ale był to rok dosyć obfity w wypadki, a zatem i w wieści. Obecnie dwie przygody miały najwięcej rozgłosu w Sandomirskim województwie i w Polsce całej: jedna, śmierć Iwana Cara Moskiewskiego; druga, coraz większe zuchwalstwo Samuela Zborowskiego, wygnańca za zabójstwo od czasów króla Henryka, i skazanego na gardło, gdyby do ojczyzny wrócić się poważył; a który mimo tego słańiał się po całym kraju z uzbrojoną zgrają, a jak słyhać było, z nieprzyjaciołmi Rzeczypospolitej miał zmywy, i knuł spiski na życie króla i Zamoyskiego.

Te dwie przygody, wszelkie ich skutki, gdyż pokój zawarty z Moskwą przed dwoma laty, dwóch tylko monarchów obowiązywał, a zuchwalstwo Zborowskiego albo jego życie albo powagę prawa na szwank narażało, te przygody, mówię, dostarczyć mogły treści do obfitej i żwawej rozmowy. I dostarczyły. Od godziny drugiej z południa do samej wieczery nie ustała ani na chwilę; a że u Polaków zawsze

było łatwiej o głos niż o ucho, słychać było silne gadanie, krzykliwe zdania na kilkanaście staj w około; każdy zaś z obecnych mało co od drugiego się nauczył i niezawodnie z takim samym zdaniem odjechał jak przybył.

Dzień był jeden z tych najcudniejszych, jakimi w naszym kraju, wiosna na samym wstępie czasem nas darzy, a które potem nieraz w Maju i Czerwcu mrozem i śniegiem odpokutować przychodzi. Powietrze było ciche, czyste i ciepłe; oddychając, patrząc na błękit nieba i na jasne słońce, zdawało się że ziemia jedynie przez zapomnienie, godową szatę swoją ledwo napół oblekła. Zamiast tedy zamknąć się w izbach, cały zjazd na dworze się rozgościł.

Przed domem Czarnoleskim był jak wiemy obszerny ganek, było i wielkie podwórze okolone płotem, zamknięte wrotami; na boku wznosiła się jak wszędzie studnia, nad nią na belce między dwoma słupami umocowany krąg, po którym liną wciągano kubek; w środku słup wiadomy z trzema kółkami; z dwóch zaś boków rosło kilka pięknych jaworów; pod nimi stały ławki; na podwórzu leżały, sterczały jak to w gospodarstwie, belki i tarcice, pale i kolki, które synowcom Kochanowskiego, a często i córkom służyły do ćwiczeń rozmaitych wtenczas w używaniu będących, do biegania, skakania, ciskania, trafiania. Każdy więc wiek, płeć każda znalazły tam dla siebie przyzwoite i dogodne zabawy i miejsce. Pan Wojski z panem Podkoniuszym i ze starszymi mężczyznami rozmawiając ciągle, zajął ganek; kazał stół wynieść, dzbany z piwem i kufle postawić, i zalecił piwniczemu żeby raz naraz pełne były. Nie popróżnował stary Marcin i chwili; i to nie do piwnicy chodził dzbany swoje nalewać: przezorny i doświadczony wystawił beczkę na podwórze, położył ją na ligarach, już z umysłu zawsze koło ganku stojących, i tak toczył a toczył piwo, póki szło klarowne. Kto wiele i żwawo mówi, temu w gardle zasycha: wiadoma i najniżej zaprzeczana prawda.

Koło prawego węgła domu, pod najstarszym jaworem, przy którym kilka ławek stało, pani Wojska zebrała sąsiadki przybyłe z mężami. Ewa i Ludwina przyniosły stolik, nakryły go białym obrusem, zastawiły ciastem, owocami smażonemi i suszonymi, nawet kilkanaście jabłek sztetynek, zachowanych z zimy wynalazły; dobiły także z piwnicy butelkę syconego miodu, podały małe srebrne kubeczki. Szanowne białogłowy kosztując przysmaki, popijając je słodziutkim trunkiem, wcale nie milczały; i one miały wiele do powiedzenia sobie; znając się oddawna i zbliżka, jeden rodzaj życia prowadząc, podobne mając zatrudnienia, też same widując osoby, wszystko im było wspólne, wszystko zajmujące: rozumiały i uciechy i kłopoty wzajemne, oceniały trudy i prace. To jedna drugą pytała o młodsze dzieci pozostałe w domu, o słabość przebytą lub spodziewaną; o czeladź, jak się sprawia, o krowy, czy poprawiają się z mlekiem? to znowu o ogrodzie, o inném gospodarstwie była mowa. Jedna się chwaliła że już grządki w swoim wirydarzu zasiała pachnącemi ziołmi, róży nasadziła; druga, że ogórki posiała w skrzyni, także i melony; trzecia że z liliowych korzeni napaliła wódki do apteki; ta że już się jęła do bielienia płótna; tamta, że pokrzywy młode z otrębami pszenicznymi daje kokoszom, żeby jęj się dobrze niesły; owa że już ma spore kurczęta, bo je pod własném łóżkiem wyhodowała. To znowu opowiedziawszy sobie co już zrobiły, wyliczały co zrobić zamyślają; wszelkie obawy i nadzieje swoje; a w tęg całej pogadance widać było, że i starsze i młodsze bardzo polegają na zdaniu pani Wojskięg, i nie mało o jęg dobre słowo im idzie. Kiedy już o domu i o sobie do woli się nagadały, nie ręczę czy na nieobecne sąsiadki jaka fatalna kolęg nie przyszła; czy się tam czego nie dostało próżniactwu tęg, rozrzutności owęg, niedbalstwu lub kordyace tamtęg; czy nie było mowy o snach, o urokach, o czarach, w które wtedy najrozsą-

dniejsze wierzyły? ale to pewna, że im niewiele czasu zostało do tych pocisków, i do tych bajek, ile że przerywaną była często i głoszoną ich pogadanka przez dźwięk i przez młodzież.

Bo dwie gromadki, któreśmy tu opisali, uważać tylko należy jako dwie podstawy zebranego towarzystwa; znajdowały się tam inne nierównie głośniejsze, ruchawsze, weselsze, które zdawało się że całość stanowią. Zacznijmy od bliższej.

Były to trzy młodsze Kochanowskie, a z niemi kilkoro dzieci sąsiedzkich. Trzymały się niedaleko matek, jak gdyby pod ich cieniem, i choć które odbiegło, wnet wracało i zawsze coś miało swojej do ucha powiedzieć. Prawda, że ich też wabiły niepomału rozstawione tuż przysmaki. Dla nich nie postawiono ani ławki, ani stołu; murawa była im siedzeniem i nakryciem, jeżeli się zdarzyło, że które usiadło i chciało zjeść porządnie. Chłopcy rzucali w górę chwytkę, łapali ją zręcznie, puszczały cygę, pobudzając ją biczem kiedy już kręcić się przestawała, wywracali kulki; dziewczynki wiązały trawę, ubierały sobie łątki, albo też która z figlarniejszych, siadała naprzeciw drugiej jak mogła najbliżej, wpatrywała się w nią, oko w oko mówiąc:

Patrzajmy się,  
Nie śmiejmy się:  
Kto gębą ruszy,  
Tego za uszy.

A z tego zalecenia nieśmiania się, powstawały śmiechy tak wielkie, iż matki musiały aż strofować za ten zbytek, z bojaźni, żeby się dzieci nie zaniosły, albo kaszlu ze śmiechu nie dostały.

I druga gromada, już cały krąg podwórza zajmująca, doczekała się niekiedy strofowania poważnych białych głów, przynajmniej należące do niej dziewczynki, skoro która bez



pamięci biegać i skakać zaczęła, albo téż dała się ciągnąć za ręce, szarpać za suknie. Prawda, że tam było najweselój, najzabawniej, tam była młodzież, ta prawdziwa pani świata. Prócz dwóch córek gospodarskich, Ewy i Doroty, gdyż Ludwina świadkiem tylko bywała wszelkich igraszek, było jeszcze kilka młodych panien. Było i mężczyzn drugie tyle: Adam i Jędrzej Kochanowscy z Jasiénca, Mysłowscy z Zawady, Dąbrowski z Piastkowa, Sieniński z Stawczyna; zjechał i pan Franciszek z odpustu i z uczy, ale ociężalszy niż kiedy, a nawet smutny, gdyż mu jakieś niespokojności przychodzić zaczynały. i jakby przewidywał że dostanie odkosza, przysiadł się do starszych, i niby słuchał czy dumał, a podobno drzymał; nasz zaś Filip, którego pobudzały miłość i szczęście, był na czele całego grona i coraz nowe wynajdywał zabawy, popisy, w których on zawsze wydał się najlepiej. To podzieliwszy się na dwie strony, grali w żołnierzy czyli w *obóz*: Adam Kochanowski był carzykiem tatarskim, pan Rotmistrz hetmanem koronnym; wraz z towarzyszami staczali wzajemnie boje; najzaciętsza jednak walka była o branki. W obozie nieprzyjacielskim stały smutne wszystkie dziewczeczki, odbić je było trzeba; zacząwszy się misternie dotknąć się której z nich, a potem odbiedz tak prędko, że nikt dogonić nie potrafił. Nie łatwo to przychodziło; przecież Filip cztery uwolnił, a najpiérwój tę, której sam był niewolnikiem. To znowu nasunawszy czapkę na oczy, *zmrużkiem* się ogłosił i krzyczał: z drogi, z drogi! biegał jak szalony, wszyscy uciekali przed nim, on nic nie widział, przecież zawsze Ewę uchwycił. To zachęcał do takich ćwiczeń, w których mógł dać dowody zręczności lub siły; młodzieńcy na przechwał jeden przed drugim, ciężary niosąc na oszczepach, biegli do naznaczonej mety, rzucali do słupa, pociskiem, mieczem; strzelali do celu, jajka rzucali w górę i łapali je w całości, wskakiwali pędem na wysoko leżącą belkę, jakby na drewnianego konia, po

wązkim płocie chodzili, broniąc się z całych sił, tym co zepchnąć ich chcieli.

Gdy w téj ostatniej zabawie przyszło do głośniejszego gadania, a nawet do lekkich przemówień między młodzieńcami, dziewczeczki cokolwiek zestrachane zbliżyły się do matek, i z młodszą gromadką bawić się zaczęły. Ewa, której nigdy wątku do zabawy nie brakło, i w której oczach śladu już nie było łez wczorajszych, wybiegła na chwilkę, za drugi róg domu do kuchni, do Nastki, a wnet obiegając przez ogród, pokazała się dzieciom jak stara baba; schylona, kulawa, cała owinięta płachtą trzymała w ręku kij, jakby wielką kądziel, także osłoniętą białą chustą. Oznaczyła kijem wielkie koło, powiedziała grobowym głosem:

— To moje państwo—i kazała wszystkim dzieciom usiąść w wieniec w tém kole.

Dzieci usłuchały chętnie, patrzyły na nią, a ona siedła w środku koła, i niby przedzie ze swojej kądzieli i drzymie. Nagle owa stara baba zrywa się, podskakuje w górę, spada z niej płachta, spada i chusta z kądzieli, i okazuje się pęk świeżych pokrzyw wiązanych koło kija. Tą bronią miotając na wszystkie strony, goni za spłoszonymi dziećmi, wołając: *Rusalki! Rusalki!* ale jój władza za naznaczonym kołem ustaje, rzuca ze śmiechem parzącą broń, i znowu co innego wymyśla. Oto do *przepióreczki* zwołuje i wabi; to także gra zabawna.

— Kto chce być przepióreczką?—pyta.

— Ja! ja!—odpowiada kilka głosów. Ona Dorotę jako domową obiera, stawia ją na miejscu jedném, a całej drużynie każe wziąć się za ręce, kręcić się koło niej i śpiewać:

Jako rybka tuż za rybką,  
 Jak jaskółka za jaskółką;  
 Tak dłoń w dłoni, rażno wkółko,  
 W płasach, w skokach, krążmy szybko.

Ale stojącj w  rodku dziewczecze przykrzyć się zaczy-  
na; jakkolwiek więzienie ruchawe, wesołe, zawsze więzienie;  
wreszcie drudzy biegają, śpiewają a ona stoi na jedn m  
miejscu i milczy. Bieży tedy w tę i ową stronę, pragnie  
wydobyć się z żyjącego wieńca; lecz napr żno! czy rozerwać  
chce trzymające się mocno ręce, czy przeskoczyć, czy po-  
dejsć, wszędy wyjście zagrodzone, wszędy piosnka brzmi  
wesoła:

Fit, fit, przepióreczko,  
Przepióreczko młoda, hoża:  
Nie ucieeiecznam do zboża,  
Nie ucieczesz kochaneczko.

Z rozpaczy dobywa siły, rozrywa koło, nizki płot prze-  
skakuje i ucieka daleko; gonią za nią drugie, i przyprowa-  
dzają nareszcie zmęczoną, dyszącą, jak prawdziwą ptaszynę,  
kiedy ją strzelec lekko zrani i p ty goni, póki nie schwyci.

Lecz nietylko sama Dorota, juź cała gromadka zmę-  
czona; Kochanowska zaleca Ewie, żeby poważniejszą grę  
wymyśliła.

— Grajmy w piekło i w niebo—odpowi  Ewa—do t j  
gry i Ludwina należeć może.

Przyjęła wezwanie łagodna dziewica, choć byłaby pe-  
wno wolała p jść samotnie w ogród dokończyć pacierzy;  
siostra dobrała j j w parę, gładką, wesołą, dziarską Justy-  
nę Mysłowską, i co  długo z obiema radząc i błagając Lu-  
dwiny prawie na klęczkach, postawiła je pod dwoma jawo-  
rami na dwóch kamieniach co za siedzenie służyły, i dała  
każd j w rękę koniec długiej rąbkowej tuwalni. Utworzył  
się tym sposobem łuk biały; Ewa stanęła pod nim i wyrze-  
kła poważnym głosem:

— Oto droga żywota; na jedn j stronie niebo, na dru-  
gi j piekło: idźcie i wybierajcie!—a zebrawszy sznurem po

starszemu wszystkie dziewczeczki i dzieci, przeszła z niemi dwa razy pod łukiem, wielkie tworząc koło.

Kiedy już trzeci raz przechodziła, Ludwina z Justyną zatrzymały Orszulkę; która jako najmłodsza szła na samym końcu; zatrzymały ją spuszczać pod jęj nogi białą tuwalnię, i powiedziały:

Piérwsze przepustne,  
Drugie darowane;  
Trzecie: Do kogo chcesz?

Śliczna dziecina spojrzała i jednę i drugięj w oczy, a przyglądając się mile pięknęj i łagodnęj Ludwinie zawołała:

— Tu niebo—i przy nięj stanęła.

Podobnie za każdym nawrotem pod łuk, dziewczeczki stojące zatrzymywały i pytały każdego; każdy obierał sobie jednę z nich, a więksha połowa poszła za przykładem Orszulki. Nakoniec gdy już z całego sznura sama Ewa została, krzyknęła z całych sił skazując na siostrę:

— Oto starosta piekielny: oto dyabeł—i przywiązała ją do drzewa białą tuwalnią.

Wesoła zaś Justyna zeskakując z kamienia mówiła z tryumfem:

— Ja wrotny niebieski, ja anioł!

Wszyscy potępieni strachem przejęci, ile że się tego bynajmnięj nie spodziewali; uciekać, kryć się poczęli przed wybranemi, i musieli dać okup za swoje dusze. Jedna tylko Orszulka została przy Ludwinie; wcale jęj się nie podobala ta gra.

— Matka zawsze prawdę mówić każe—powtarzała zachmurzona—Pan Jezus za kłamstwo się gniewa.

A całej siły swojęj używszy wstąpiła na kamień, i wspięła się na palce, żeby uwolnić uwiązaną siostrę. Patrząc



na tego białego aniołka, i na tę dziewicę w czerni, jakby święte męczeństwo cierpiącą, i starszym zdawać się mogło: „Tu niebo.“

Ale szło teraz o odebranie okupu złożonego za dusze w ręce udanego anioła. Były to rzeczy nie drogie, przecież szacowne jak zwyczajnie u młodych: paciorki, wstążeczka, pierścionek, śpilka, medalik i t. p. Justyna usiadła na kamieniu, nakryła te wszystkie skarby chustą i pytała się na głos:

— Co ma ten zrobić, kogo fant trzymam w ręku?

Na to zapytanie zbliżyła się młodzież mężka oświadczając że ona sądzić będzie, gdyż płci białej żadne urządowanie nie przystoi; a na powtórne zapytanie Justyny, krotofilny Adam Kochanowski odpowiedział:

— Niech pokaże kolanko!

Padł ten wyrok na Marychnę, ale się nie strwożyła; wiedziała z dawniejszego doświadczenia, że w takim razie kolanko to łokieć.

— Niech nogi założy na drzewo—odezwał się także z uśmiechem pan Andrzej. I w tém nie było nic nieprzyzwoitego, bo to nogi od stołka.

— Niech węgiel żarzący przyniesie w uchu—wyrzekł Mysłowski.

Na małą Orszulkę ta kara wypadła; pobiegła do kuchni i przyniosła rozpalony węgiel w uchu od klucza.

— Niech pokaże sztukę—postanowił Filip Owadowski.

Dzieweczka której się to wykonać dostało, w wielkim była kłopotcie; ale wybawiła ją Ewa: zbliżywszy się do stolika, uderzyła weń drobną pięścią po kilka razy i zapytała się sędziego:

— A co, czy nie stuka?

Sędzia uznał się zwyciężonym i poważyl się ucałować tę drogą rączkę, pod pozorem że stłuc się musiała, stukając mocno w stół twardy.

Lecz w ciągu tych i tym podobnych zabaw, gospodyni, która się była wymknęła przed chwilą z uwolnioną Ludwiną, stanęła w ganku i zaprosiła na wieczerzę. Na ten głos powstał poważni mężczyźni, obudził się pan Franciszek, panie się zbliżyły; ruszyła młodzież po panny i wszyscy weszli parami do izby. W czasie, kiedy zajadali i zapijali smaczno, zajęły całe podwórze wozy, półwózki, osiodłane konie, wreszcie woźnice i pachołki, którzy przez ten czas także się posilali z łaski gościnnych gospodarzy.

Po wieczerzy nie zatrzymywała nikogo Kochanowska, i męża prosiła żeby nie przedłużał pożegnań. Przyczyna tego niezwyčajnego postępowania, była chęć wypoczynku; jutro raniutko mieli jechać do stryja Dobiesława: należało wstać przed świtem.

---

## R O Z D Z I A Ł X.

Słuchaj, mogłeś na winnik chrustu nie żałować.

*Ostatni wiersz Satyra.*

— Pani żono, panno córko, nie mitrzyć; kwadras czasu jedno pozwalam i w drogę.

Tak wołał nazajutrz w Poniedziałek Kochanowski, wychodząc z izby do sieni; a wtórował mu pan Podkoniuszy, stojący w ganku i zupełnie gotów.

— Ot! gdyby białogłowy i dziewczeczki żołnierzami były—mówił z przekąsem—nieprzyjacielby uderzył, rozgromił, poraził, wszystką korzyść odjął, nimby się one ubrały.

— Matkę wstrzymuje dziatwa co zostaje w domu — powiedział ciszej Kochanowski — ale co Ewulka, to pewno przed zwierciadłem się mizdrzy i pyta go się, czy jej do twarzy? Panie Filipie, wasza w tém wina; dawniej, zaprawdę, rychlejsza była w swoim ubieraniu.

— Już przy śniadaniu nic pannie Ewie nie brakowało—odrzekł młodzieniec skłaniając głowę z uśmiechem—mnie się widzi, że pani matce pomaga i z siostrami się żegna.

— Niéma lepszych rzeczników jak kochankowie — powiedział pan Wojski — ale źle robią niewiasty co się nie

śpieszą; konie wasze już strasznie niecierpliwe: patrzcie na mego, jaka powaga.

I w rzeczy samój, konie Podlodowskiego i Filipa, konie nie ladajakie, przyzwyczajone do trudów, od jakiegoś czasu próżnujące, a na dobrym obroku, dziś tak wcześnie okulbaczone, wystawić sobie musiały, że ich rycerska wyprawa czeka; rżały, pieniały się, nogą ziemię kopały, wydierały się wstrzymującym je pachołkom, aż Filip chodzić musiał od jednego do drugiego, głaskać je ręką, łagodzić słowem, zwłaszcza ulubionego sobie a zawsze żwawego Turczyńka; kiedy przeciwnie siwosz pana Wojskiego stał sobie spokojnie, a jakby na dopełnienie rannego obroku, skubał czubki młodych pokrzyw co pod płótem rosły. I trzy kłaczki zaprzężone do półwózka, którym Kochanowska z córką jechać miała, także bardzo cierpliwie owo czekanie znosiły, znać do tego nawykłe.

— Białogłowy już z zarządzenia Boskiego dom lubią— mówił dalej Kochanowski — i wielkiem to jest szczęściem. Ja tam prześladuję i niby gromię panią żonę, ale w duszy rad w niej widzę to zamiłowanie. Która mężatka chętnie i łatwo dom rzuca, za biesiadami chodzi, w towarzystwo różnych ludzi się wdaje, czyż nie otwiera drogi do tego, aby kto o jej stateczność się starał? a jak może dziać się dobrze w domu, w którym gospodyni nie siedzi i sama wszystkiego nie opatrzy? Pani jest głową czeladzi, co ona czyni to i oni. Trudno żądać, aby słudzy lepszemi byli od panów. Jednak dziś chciałbym, żeby moja Hanna nieco prędzej się wybrała. Do Baryczy dwie mil drogi, a pan stryj gniewałby się gdybyśmy późno przyjechali. Na godzinę przed południem jada, a skromnie żyje kiedy sam; nie mogłaby już stryjenka dodać jednego i drugiego półmiska do obiadu, i przykro byłoby staremu. Brońże mnie Boże w czém najmniejszym go obrazić: szanuję go jak ojca. Nie uwierzcie przyjacielu, co to dla mnie za wesele patrzeć



na oną sędziwą twarz, co na moich rodziców patrzyła. On mnie dzieckiem znał, do chrztu podawał; on jeden już na całej ziemi Jankiem mnie nazywa: kiedy jestem w Baryczy, zda mi się, żem o jakie trzydzieści lat młodszy... Wreszcie i skorzystam nieraz od zacnego choć surowego starca; mego Satyra jam prawie z jego słów ułożył.....

— A co się dzieje z jego synami?—zapytał Podlodoski — powiedzże mi: nie przystoi jadąc do ojca o synach nie wiedzieć.

— Zacni zawsze ludzie obadwa, zdrowi, i dobrze im się powodzi: pan Jan przeniósł się do ziemi Stężyckiej i jest podstarostą; pan Andrzej poseł na sejmy, stolnik sandomirski, mieszka zawsze w Gródku z żoną; nie widzieliście ich u nas, gdyż oboje pojechali do Lublina objąć jakieś dziedzictwo po Mysłowskich, a potrzebny im grosz, gdyż dużo łożą na wychowanie dwóch synów w Lublinie, i zaczęli już stawiać kościół w Gródku: chwalebnyć to cel, i stare stryjostwo zbiera co może, chcąc im w tém dopomóc....

— Poczciwy i bogobojny ten ród wasz — przerwał Podlodoski—mój Filip—dodał widząc młodzieńca zajętego ciągle końmi — nacieszyć się nie może, iż z takiego domu będzie miał żonę; wczoraj do północy prawił mi o swoim szczęściu, a dla mnie jakaż pociecha! siostrzenicę, córkę twoję, nazwać córką...

— Prawca—dopowiedział Kochanowski—tego jednego węzła nam niedostawało, żeby nas te same dziatki ojcami zwały.

— Przyjdą, da Bóg, i takie—rzekł wesoło Podkoniusz—co i dziadami wspólnie nas nazwą, i my się o to nie rozgniewamy.

I zaczęli oba przyjaciele rozwodzić się nad błogą przyszłością, która do nich się śmiała.

— A zda się — rzekł Jan — że się nią nacieszymy;

stoimy w samym pośrodku życia, co to już nie jest młodością, ale przecie od starości jeszcze daleki; zdrowie moje teraz dobre, Bogu dzięki, prawie zanadto mam sił i krwi, a mimowolnie szacuję zdrowie dwojako, boć nasza młodzińcza zmowa zawsze stoi.

— Stoi, ile że z mojej strony możesz być bezpieczny— odezwał się Jakób — uczony jeden mąż z gwiazd wyczytał, jako na wojnie nie zginę; co zaś choroba, to chyba stuletniego powali.

A ktokolwiek spojrział na Podlodowskiego, musiał przyznać na ten raz prawdę słów gwiazdziarza. Twarz czerstwa, piękna, pełna w miarę, udatna postawa godłem zdrowia być mogły.

Kochanowski słuchając z upodobaniem przyjaciela, spojrział zniemacka na słońce, a obaczywszy że już wzbiło się dosyć wysoko:

— Dalipan — zawołał — przyjdzie i połać te niewiasty, co tak bałamuca; a doprawdy gniewać mi się dziś nie chce; ochotną mam myśl, ochotne serce; jedyny kamień jaki tamtych dni mi ciężał, zdjęła mi dobrocią swoją pani Kasprowa... Ale otóż idą przecie...

I nadchodziła pani Wojska z córką, ubrana jak był jej zwyczaj, przyzwoicie i stosownie. Głowę nakryła czarną jedwabną czapką z wązkim forbotem, na bawełnianą spódnicę karmazynową, czarnym sznurkiem bramowaną u dołu, włożyła suknię zamkniętą pod szyją, otwartą od stanu, czarną muchajerową zółtymi perewistkami obłożoną; dosyć wysoki kołnierz od koszuli tego ukrochmalony, i takież brzegi rękawów rozjaśniały ów ubiór poważny. Ewa miała na głowie bramkę czarną aksamitną, w podobieństwie do czółek mazowieckich dzieweł; długie jej krucze warkocze spadały z tyłu i odbijały dobrze na białych krezach i na niebieskim czamlotowym kabacie sznurowanym z przodu i spiętym do dołu na haftki; obuta była również jak matka

w skórzenki, czyli buty z miękkiej kozłowej skóry do kolan dochodzące, gdyż takich wówczas używały kobiety do drogi. Nie zaraz jednak wsiadły obie do półwózka, który wnet przed gankiem stanął; wszystkie dziewczęta, Nastka, cała prawie czeladź wyszły przed dom: już oddawna się nie trafiło, żeby pani Czarnoleska na cały dzień odjeżdżała; było więc poleceń, zapytań, pokłonów, całunków nie mało. Aż pan Podkoniuszy się rozśmiał:

— Nie miałem tyle do powiedzenia domowym — rzekł — kiedym wyjeżdżał na moskiewską wojnę.

— A niech małe dzieweczki nie chodzą blisko stawu i daleko w pole — zalecała jeszcze Kochanowska stariej piastunce.

— Pani siostró, choćby téż i poszły, i Tatarzy je napadły— dopowiedział pan Jakób — toby nasza Nastka nie dopuściła do nich nic złego: ręczę za nią.

Skłoniła się mu do nóg zasłużona niewiasta, a biorąc na ręce Orszulkę, zawołała:

— Osobliwie tego oczka pilnować będę.

— O, pilnuj! pilnuj! — zawołał już siedząc na koniu Kochanowski.

— A wracajcie rychło — powiedziała dziecina wyciągając do niego ręce.— Wy sami znacie, ojcze,

jak to licha

Dziecina zostawiona, do matki swój wzdycha \*).

Nie stulę oczków, póki was nie zobaczą.

W Kochanowskim już powstawała chętka wziąć ukochane dziecię z sobą; byłby ją w duszy przez całą drogę trzymał na koniu, ale nie była ubrana, wypadaloby czekać, a czas naglił. Ruszył więc z męztwem i wszyscy za nim;

\*) Ps. CXXXI.

mimo kołatu skaczącego półwózka po nieutartej jeszcze zupełnie grudzie zimowej, mimo stąpania ręczego dzielnych koni, słyszeli jeszcze długo głosy pożegnań i błogosławieństw dzieci i czeladzi.

W drodze nasz Jan jadąc obok swego Jakóba rozmawiał z nim ciągle, Filip harcował koło półwózka. Rad on był sposobności popisania się nie tyle z jazdą swoją, bo wtenczas wszyscy jeździć umieli, ile z ulubionym koniem. Wtedy koń dla młodzieńca polskiego był prawie tém samym, czém dziś jest dla Kozaka, dla Araba: towarzyszem, przyjacielem, bratem, jakąś częścią jego samego. Wtedy bowiem nie widziano mężczyzn, ni starych ni młodych, rozpartych w rydwanach, zamkniętych w kolébkach; wszystkie powozy znane i używane, zostawione były kapłanom, niewiastom i chorym: szlachcic każdy musiał mieć konia, jak dziś nasi panicze muszą mieć kocz i zégarek, i pewno wyżyby bez niego nie umiał. Filip, jak wiemy, całą duszą do swego był przywiązany, i przyznać należy, że pięknie, im było razem; w dniu tym zwłaszcza, w swoim biegunie w swojej osobie, w broni i w ubiorze, połączył wszystko co wówczas było miane za najlepsze w rynsztunku młodzieńca:

Koń Turek,  
Chłop Mazurek,  
Szabla węgierka,  
Czapka magierka.

I miło było na niego patrzeć. Wydało się to jeszcze lepij, kiedy przestając wstrzymywać dłużej swego turczynka, któremu nie bardzo był w smak jednostajny kłus przy kołach, puścił mu cugle, klasnął i jak wiatr poleciał. Kochanowska krzyknęła i Ewa miała ochotę, i dumnym okiem ściagała za silnym i zręcznym jeźdźcem. Już zniknął przed jój wzrokiem, lecz wnet go ujrzała; nawrócił nagle



w największym czwale, kilka szerokich rowów i wysokich płotów przeskoczył, a w samym pędzie, kiedy już zbliżał się ku niewiastom, zebrał cugle, zawołał stój! i w mgnieniu oka koń rozhukany stanął jak wryty: zdawało się że wszystkie cztery kopyta nagle wrosły w ziemię.

Lecz już dojeżdżali do Baryczy. Już widać było podwórze, słup dla koni, studnię z żurawiem i skromny dwór państwa Dobiesławów, który mało co się różnił od otaczających go chat włościańskich; chyba tém, że był większy i miał komin murowany nad dach. Podobny i do dzisiejszych naszych dworców szlacheckich, zawierał w sobie sien, po lewej ręce kuchnię, gdzie czeladź, a często domowe zwierzątka i ptastwo przytułek miały; sporą komorę czy alkierz, a po prawej ręce, dużą lecz jedyną izbę z piecem i z kominem, gdzie państwo oboje spali, jedli, gości przyjmowali, a załatwiwszy zewnętrzne gospodarstwo, trudnili się naprzemiany, to ręczną pracą, to modlitwą. Nam, inaczej przyzwyczajonym, wreszcie inaczej czas trawiącym, podobny układ mieszkania zdawałby się bardzo przykry; dawniejszym ludziom nie był wcale uciążliwy, jak i dziś nie jest nim dla prostego ludu. Nie mającym zatrudnień, któreby wymagały odosobnienia i cichości, taki układ jest wygodniejszy i przyjemniejszy; w jednej izbie cały dzień siedząc wszystko mają pod ręką, w zimie im cieplej, w smutku rażniej, w chorobie weselėj. Nieraz na starego chłopka, parę lat przed śmiercią przyjdzie taka niemoc, iż prawie z łóżka ruszyć się nie może; coby on robił sam w jakim odosobnionym, choćby i najpiękniejszym pokoju? tak leżąc w wspólnej izbie jeszcze żyje, bo dzieli przygody rodziny, a nie tyle zawadza, gdyż usłużyć mu łatwiej.

Ale nie wchodząc w to dowodzenie, podobno zbyteczne dla czytelniczek moich, wolę je poznać z szanownemi mieszkańcami owėj jedynėj izby.

— Gości nam Pan Bóg prowadzi—przemówił do żony

słyszając kołat powozu i tentent koni starzec najmniej ośmdziesiątletni, prawie sążnisty, szlachetnej i pogodnej twarzy, oczu niebieskich, długiej siwej brody, w koszuli szerokięj i długiej do kolan, w szarawarach płóciennych, w giermaku z szarego sukna, rzemieniem opasany, i w skórzniach za kolana krajką przytrzymywanych.—Ktoby to mógł być? Andrzej ze swoją w Lublinie, Jan był niedawno?

A dogadzając ciekawości swojej wstał z zydelka na którym siedział okrakiem, położył na stole kosz z rokiciny którego dopełtał, i zbliżył się do okna. Żona może z jakie dziesięć lat młodsza, małego wzrostu i szczupła, w głębokiej czapce z futrem i z uszami, w kożuszkuch baranim powstała z ławy pod piecem, mówiąc sobie:

— Nie czemu też to sroka skrzeczała dziś na płocie, i kot się głąskał rano? — a odstawiwszy na bok kądziel z wełną, poszła także do okna; i wyjrzeli oboje ocieniając sobie ręką osłonięne już oczy długim patrzeniem na świat.

— Zaprawdę, mój to chrzestny Janek, ze swoją panną i dziewuchą — zawołał radośnie starzec — pocziwe chłopczysko!

— Ale i obcy są panowie—dodała żona.

— Pomóż Bóg! nadarz Bóg? Witajcie w niskich progach naszych? — mówili oboje wychodząc spiesznie przed się; a Czarnoleska drużyna już na nogach, pozdrawiała ich czapkując im i ściskając za kolana.

Kochanowski przedstawił z imienia i z godności, przyjaciela i jego wychowanka, napomykając nieco o chlubnie odbytej przez nich ostatniej wojnie.

— Otóżto, otóżto — wołał pan Dobiesław — rad ci zawsze jestem, mój Janku, a dwojako kiedy mi przywozisz mężów rycerskiego rzemiosła.

— Siadajcież, mili panowie i bracia: rozgośćcie się — mówiła pani Dobiesławowa wprowadzając gości do izby, wskazując ławy pod oknami i pod piecem, i dwa skromne

łóżka w dwóch rogach izby stojące, przedzielone oknem i stołem.

— Niech kto chce mówi—prowadził dalej stary skończywszy odpowiadać na troskliwe wypytania się przybyłych o zdrowie jego—niech sobie będą księża, panowie radni, nie przeczę iż potrzebni; ale u mnie nic nad żołnierza i jego zabawy; a proszę, czém tu lepiej skrócić młodego burzliwość, jak niespaniem, zimnem, wojenką? Możeż być co sprawiedliwszego a świętszego jak zastawić własne gardło na ziemi w którejeś się urodził, dla domu w którymś wychowan, dla żony, dziełek, zgoła dla całej Rzeczypospolitój i Wiary ku Bogu? Jestże większe męstwo, jak gdy na ten cel gdzie z działa biją, żołnierz na miejsce zabitego następuje; wie, że najpewniej zginie, przecież na rozkazanie hetmańskie idzie, aby się rząd nie targał; i nie czyni tego dla pieniędzy, ale z miłości sławy, ojczyzny i czci Boskiej. I nie bywaliż i Święci Pańscy żołnierzami? W Krakowie nie mamyż ciała Floryana rycerza? Kiedy król Kazimierz prosił papieża o jakie święte kości, papież bez namysłu wybrał kości rycerskie, bo wiedział co upodobają sobie na ziemi polskiej. A czémże, jeżeli nie wojną, owa nasza ziemia urosła, rozciągnęła swoje granice od morza do morza; i czémże przecie dziś jakby z długiego snu otrzęsła się i zajaśniała? Gdyby mi się raz jeszcze rodzić przyszło, skarż mnie Panie Boże! niczembym nie chciał być, ni papieżem, ni cesarzem, jedno żołnierzem. Pclacy póty chwalebni, póki bitni; a na innego króla się nie piszę, tylko na wojownika.

Podlodowski, któremu te słowa bardzo trafiły do przekonania, ścisnął starca za kolana; Filipowi zaiskrzyły się oczy; a na twarzy Ewy błysnęła żywa radość i jakby tryumf że męża wojennego serce podbiła: tytuł księżnej nie brzmiał tak mile w téj chwili w jej uszach, jak tytuł pani Rotmistrzowej.

— Dla was, panie Podkoniuszy — mówił jeszcze starzec—to z czém się tu popiszę, nie będzie żadną nowiną; ale ciebie dzieciaku, ciebie, na świecie nie było, a może i ojca twojego, kiedym ja tę zbroję przywdział i bił się w nią. Zaprawdę, były to czasy pomyślne i dla nas i dla Rzeczypospolitéj, jakie już potém nie wróciły i podobno nie wrócą...

A to mówiąc silną jeszcze ręką wysunął z pod łóżka ogromną, długą, dębową skrzynię, podniósł ciężkie wieko i okazała się jakby olbrzymia postać leżącego rycerza. Filip drgnął mimowolnie: rozśmiał się starzec na głos.

— Żywego byłbym się, dalibóg nie przeląkł— rzekł pan Rotmistrz nieco zawstydzony.

— Myślałeś, dzieciaku, że to umarły?—domówił pan Dobiesław z uśmiechem.—Niedługo czekając, legnie w tej skrzyni umarły; śmierć wyciągnie do miary i wyprostuje członki skurczone dziś przez wiek; bo ta skrzynia, bratku, to moja trumna, a ten ubiór towarzysza pancernego, który nosiłem w najpiękniejszych latach mego żywota, będzie moim ubiorem śmiertelnym. Wam młodym, co wam mleko jeszcze po brodzie ciecze — dodał spostrzegłszy ile ten widok zaćmił smutkiem twarze obecnych—wam młodym, pojąć trudno jak można przed czasem grobem się otaczać; ale nam zgrzybiałym i śmierci blizkim, którym świat codzien tańszym się widzi, słodko i zbawiennie mieć tu koło siebie, owo ostatnie mieszkanie. Człowiek wie wcześniej jak z jego cielskiem będzie, a tém goręcej pana Boga prosi, żeby się okazał miłosierny dla duszy. Nieraz kiedy mi się trafi nie spać w nocy dla bólu albo kłopotu, i w cieplej pościeli miejsca sobie znaleźć nie mogę, myślę z radością o owém zimném łożu, gdzie mnie nic dolegać nie będzie. I moja panna równie przezorna jak ja; jedno codzien Matki Boskiej proszę, żebym tego nie widział jak ją tam złożą. To synów i wnuków sprawa: jam starszy, ja pierwszy śmierci się stawię.

I tu wysunął drugą skrzynię, nieoc mniejszą z pod



łóżka żony, otworzył ją, i ujrzeni w niej obecni ubiór zupełny zakonnicy!

— Co kto lubi—rzekł stary z uśmiechem—i co komu przystoi. Ja księży szanuję, ale ani za życia ani po śmierci mnichem być nie chcę; mojej pannie po ośmiorgu dziatkach, mniszką być się podobało. Wolno jej.—To mi habit i paciórki—powiedział nachylając się znowu do swojej trumny. Patrz, dzieciaku, nie brak tu niczego: jest pancierz stalowy, jest misiurka, a z niej spuszczone kratka żelazna co nam zakrywała część twarzy, kark, ramiona i plecy; z ramienia przez pancierz wisiała ta oto szabla, łuk, kołczan: dziś, leżą spokojnie; ale, swego czasu chlastały one, cięży, trafiały nieprzyjaciela Rzeczypospolitej.. U pasa krucice, czarka do picia, sztuciec z łyżką, widelcem i nożem, boć bez pożywienia żyć i bić się trudno; kańczug na łotrostwo i kilka łokci sznura do krępowania jeńców: zaprawdę, tak uzbrojony żołnierz, jak dosiadł tego konia był straszny i śmiały. Dziś, słyszę, więcej na lekką jazdę rachujecie; piechota zaczyna wchodzić w komput wojska, a szlachta nawet nie wstydzi się służyć w piechocie. Za moich czasów mówiono: „Polska piechota, lichota“ była to rzecz cudzoziemców najętych, kmieci i miejskich synków; szlachcic wzdrygał się konia porzucić: jabym zda mi się nie uznał herbu pieszko.

— Ja sam—odparł pan Podkoniuszy—piechotę mniej sobie ważę, lubo przyznać należy, iż w ostatniej wojnie przy dobywaniu fortec tego się sprawiła; za żadne skarby świata tego, służyłbym w niej nie chciał ani dać syna; i uważam to za wielki dowód władzy naszego króla i więtości Zamoyskiego, iż potrafili zebrać kilka tysięcy piechoty, ze szlachty; herbowych zrzucić dobrowolnie z konia; ale chociaż mam największy szacunek dla ciężkiej jazdy, dla hussarzy i pancernych, chociaż wiem, że na niej polega największa siła i ufność wojsk naszych, i że „póki kopii, póty Polaków“ przecież lekką jazdę, jak ją zowiemy ko-

zacką, wysoko sobie cenię. W naszych nagłych wyprawach i spotkaniach, ona dalipan najlepsza; ubiór lekki, nie kosztowny, koń szybki, do małych utarczek zwinny i zdatny, siodło i strzemie tak urządzone, że się na wszystkie stroiny obrócić można; dzidy, łuku, szabli, rusznicy, z jednaką łatwością używać...

— Tak—przebąknął stary—boście już sami zdrobnieli i osłabli. Mnie cały ten wiek kark gniecie, bom się urodził porządnie, 1500 roku a podobnom wyższy od was.

To mówiąc wstał; wyprostował się: i prawda, że lubo Podlodowski był jak wiemy z dorodnych, i także wstał i prosto stanął, dawny towarzysz pancerny o pół głowy go przenosił; takaż sama znowu była różnica między Podkoniuszym i młodym Rotmistrzem.

— Wszystko na dół idzie—rzekł smutnie pan Dobiesław — ze śmiercią starego króla i hetmana i Rzeczpospolita umierać zaczęła. To mi był król, to hetman, to czasy Możecie tam sobie zwać panowanie syna złotym wiekiem dla nauk—dodał patrząc życzliwie na Kochanowskiego — równać go z onym niegdyś rzymskim Augustem; może i dzisiejszy król być dzielnym wojownikiem, sprawiedliwym mężem i mieć walecznych koło siebie; jużto przecież nie to co było za Wielkiego Zygmunta, za ojca jego i dziada, owych zacnych Jagiełłów, a cóż dopiero za owych mądrych Kazimierzów i przesławnych Bolesławów? Wówczas mało komu było dane znać tajemnice państwa; dziś każdy chce być głową, nikt innemi członkami ciała; każdy chce mieć więcej władzy i rozumu od monarchy i senatu: wszystko sobie chcemy wymyślać i nadawać sami, i Wiarę i Króla. Oj! te elekcyje! elekcyje! wymyśl to dzisiejszy, który jeźli się utrzyma, Panie! nie dosłysz słów moich! wtrąci Rzeczpospolitę do grobu. Albożto ja nie był już dwa razy świadkiem owych gorszących tumultów? Alboż nie widzę

jaką już odmianę zaprowadziły w sposobie myślenia, w obejściu się braci szlachty?...

— Panie Stryju—odezwał się tu nieśmiało Kochanowski—wszak od początku naród polski mianował sam sobie królów, a w żadnych konstytucjach nie wyczytacie, aby kiedy wyrzekł się tego prawa?

— Co mi tam, chłopcze, prawisz mądrze — odpowiedział z żywością starzec—co było, jak było, co napisano, co wycytano, nie wchodzę; to jedno wiem, że od starego Mieczysława, król następował po królu, syn po ojcu i nigdy go nie brakło jak teraz za waszych czasów. Dziadowie nasi, jeżeli chcecie, dawali, przysądzali koronę, ale pewno nią nie frymarczyli. Nie obiecywał ją jeden Francuzowi, drugi Niemcowi, a to nie patrząc bynajmniej, który będzie lepszym ojcem dla Rzeczypospolitej, ale który lepiej posmaruje mu łapę. Jestem szlachcic jeszcze od Rzymian, drogi mi każdy przywilój szlachecki; ale choćbym, czego broń Chryste Jezu, króla dzisiejszego przeżył, nie pojedę już na żadną elekcyą. Piękny mi przywilój spychać się z mostów, grabić mieszczan, i puszczać niesforną gawiedź wkoło panów rad?...

— Wybaczcie co śmiem wam przerywać—odezwał się tu Podlodowski—ale wielu braci szlachty dzieli wasze zdanie; sam król jasno tę rzecz widzi i niezawodnie mają być uchwalone porządne opisy elekcyi, które złemu dalszemu zapobiegną.

— Opisy! opisy! — zawołał trzясając głową starzec—młodziak jesteś niedoświadczony. Panie Podkoniuszy, wszystko ci się widzi różowo, łatwo. Albożto już nieupatrywano złego na sejmie Lubelskim, lat temu 15-cie? alboż nie wołano o opisy? Dawał rozumną radę marszałek Czarnkowski, popierał ją król, któremu także nie zbywało na łańskim oleju. Wszystko rozpruł niecnik Drobojewski. Wszak

ci to ów zuchwa'ec w moich oczach, w obec królewskiego majestatu, wśród koła starszej i młodszej braci, porwał się do kija na Czarnkowskiego, wszczął zamieszanie i wszelakie mądre myśli udaremnił... Gdybyć jeszcze wybierała króla starszyna, ludzie rozumni, Rzeczpospolitę miłujący, od województw wybrani, byłoby może pół biedy; ale wybiera każdy który tylko do krwi szlacheckiej przypytać się może: chołota luźna, bezbożna, krnąbrna, jadąca na elekcyę jakby na obławę, byle zalać gardło i napełnić mieszki. A kto pierwszy ten obyczaj uchwalił, oto wasz pan kanclerz, hełman czy starosta, bo i niewiedzieć jak go nazywać, podobno najlepší jak w Babinie „*Totum-fackiem*.“ Mądry to i zacny mąż, nie przeczę, miłuje Rzeczpospolitą, dzielnie ję służy, a nawet dobry żołnierz z niego; ale gdzież to kiedy słyszano, żeby taki co niedawno z teką do szkoły chodził, dziś już i pieczęć i buławę piastował. Zanadto on bierze na kark swój, nadto ufa rozumowi z książki, zbyt łechtliwe ma ucho na pochwały młodszej braci; dziś ma ją w kieszeni: będziemy zawsze mieli tego króla, którego on nam dać raczy; ale niech nie potakuje zbytecznie swawoli, bo nie zatrzyma on rozumem co rozumem rozpuścił, i sam tego pożałuje; a daj Boże, aby z nim nie pożałowała i Matka nasza Polska stara... Dalibóg, ile razy wspomnę o tém co po mnie będzie, gorzki smutek zalewa mi serce. Już jakbym widział, jako ta zacna Rzeczpospolita w niwecz się obróci. Radujecie się wyborem królów, wolnościami waszemi, a oto haracz pohańcom płacicie. Klóćcie się u siebie, upominacie się o własną najmniejszą krzywdę, a kiedy Tatarzyn pół Polski plądruje, wypędzić was przeciw nim nie można, grosza wydrzeć z gardła na broń, na konie. Bóg litościwy zesłał wam raz jeszcze, a bodajby nie ostatni, dzielnego i mądrego króla; ale wytrwał on długo przy żywocie, jeżeli mu tak dopiekać będziecie? Dobrzeć on ma zęby, ależ trudno wszystkim się odgryzać. Wreszcie cóż on



zrobić potrafi, kiedyście mu związali ręce? Wszakci to on w najnaglejszej potrzebie, jednego żołnierza bez zezwolenia Stanów zaciągnąć nie może; a oweż Stany kiedy się zwykle zbierają? Wstyd mówić: najczęściej wtedy, kiedy nieprzyjaciel wpadnie, splądruje i łupy uniesie. Dawniej hetmani wetowali przynajmniej straty w krajach najeźdźnika, dziś im zaledwie przez ćwierć roku pozwalacie szukać pomsty za granicą. Dawniej królowie i hetmani wojowali według prawideł rycerskiego rzemiosła, czy częstkami czy kupą; dziś, zabroniliście królowi rozdzielać was na części. Chcecie wszędzie chodzić kupą; oj! nie miłość to Rzeczypospolitej wami władza, ale obawa, aby nieukrócono w czem waszej swawoli.

Tu mocne wzruszenie przerwało mowę starca; ulżyły ciężkiemu żalowi dwie łzy, które stoczyły się gdyby perły, po-białej jak śnieg brodzie, a których ślady obtarł coprędzej z twarzy połą giermaka.

— Ej—przemówił z przymuszonym nieco uśmiechem—poco ja się téż rozrzewniam jak baba jaka; poco wam to wszystko prawię i wymawiam, jakbyście temu co winni byli wybaczcie staremu, co ludzi rzadko widuje, dużo rozmyśla co lepsze czasy pamięta, kraj nad życie miłuje... Zapomniałem nawet przy oném gadaniu o przyjęciu was jak na leży. Kachno, wódki, chleba, soli, co Bóg da; nim obiad będzie, trzebać przepić i przegryźć trocha.

Nie czekając na to wołanie męża, skrzętna gospodyni wraz z dziewczką służebną postawiła już na stole flaszkę kmin-kówki czystej jak łza, chleb pyłowy położyła, świeże pachnące masło, kiełbasy wędzone, szynkę odgotowaną, pierniczki, śliwki na rożenkach, różne owoce suche i w syropie.

— Wszystko to nie wytworne—powiedziała z pokorą—ale z dobrej woli wam ofiarowane.

— Wiemy zdawna—odezwała się nasza Kochanowska—że u pani Stryjenki wszystko smaczne; jedno się uczyć, a oblizować palce.

— Ja zawsze moją Hannie głowę suszę, czemu jej wódka nie tak wyśmienita jak waszej miłości?—przemówił Kochanowski przyjmując od Podlodowskiego kubeczek wódki, który tenże jako gość z rąk gospodarza był już wychylił.

— Może pani Janowa włoszczyzn nie kładzie przepalając, ani surowego mięsa, jak my stare rabiamy: wszystko to smak łagodzi i odtręt oddala.

— A cóż za doskonałe konfekta! — powiedział Podkoniuszy—czy Kijowskie? a piernik bezwątpienia Toruński.

— Kijowskie! Toruńskie!—powtórzył z uśmiechem pan Dobiesław trzymając przy ustach najmniej łokieć kiełbasy, z którego już ugryzł dobry kawałek—słyszycie Kachno? Wszystko co tu widzicie, mili panowie i bracia, Baryckie jest, nie kosztuje złamanego szeląga. I mogłoby bezpiecznie tak być w każdym szlacheckim domu, gdyby młode gospodynie równie były skrzętne a przemyślnie jak stare; wtedy i w Rzeczypospolitej lepijby się działo. Bo co dziś najwięcej nas gubi? oto zbytki, obczyzna, chciwość; bez pieniędzy ani wyżyć; trzeba ich co niemiara, na trunki, na sprzęt domowy, na szaty; a więc się sprzedaj, upodlij, kraj i duszę zastaw, byleś złota dostał. Dawniej, sami panowie chodzili w bławacie, obuwali safianowe buty; dziś, ubogiej szlachcie to co domowe nie przystawa, nie smakuje. Ja zaś powiadam: ani jadła, ani napoju, ani rozumu, ani wiary, Polak z daleka nie potrzebuje; wszystko najzdrowsze i najlepsze co w domu: kuchenne rzeczy zkądinąd przywozić, piwnice i spiżarnie napojem i pokarmem postronnym napełniać, izby zastawiać sprowadzonym z dala sprzętem, zda mi się istnym szaleństwem. U mnie wszystko postaremu: co dom ma, to jest; czego niema, bez tego się i obejdzie: tak nasi rodzice się obchodzili, a żyli długo i wesoło. Łyżką cynową, na drewnianym talerzu człowiek się naję, aby było czém. Nie zobaczycie też u nas srebrnych półmi-

sków i złotych kubków; z glinianej miski jadamy, z czarki drewnianej pijemy...

— I rzetelnie—zapytał się z ciekawością Podlodowski—wasza miłość nic nie kupujesz?

— Ani na owinięcie palca—odpowiedziała jakby nieco obrażona pani Dobiesławowa—wstydziłabym się jeździć po strawę do miasta, jatki i apteki zwiedzać, albo żydowi się spowiadać.

— Przecież: coś nie coś?

— Nic zgoła—dopowiedział starzec, i pocóżby, pytam się? Albożto na wiosce, gdzie grzyby i ryby, łąka i mąka, brakować czego może? W naszej Polsce, jak wiadomo, jest z łaski Nieba, żyto do chleba, len do płótna, owca do sukna, stado do koni, kruszec do broni. Jak się raz z młodu w broń zaopatrzyło, to i czegoż szukać więcej?

— Ależ—dowodził Podkoniuszy—jakże stół dostatecznie opatrzyć, gdzie korzenie, wino?

— Wina nie pijamy—odpowiedział pokornie Dobiesław—i wybaczycie że go wam nie dam; nie widujemy wina inaczej jedno na ołtarzu, przy Mszy świętej, a nie kosztujemy go chyba raz na rok w kościele, w dzień Niewiniątek. Niema się tego człowiek napierać co się w domu nie rodzi; kiedy Pan Bóg naszej Polsce winnych jagód nie dał, a te co gwałtem od czasów królowej Bony sadzą, kwaśne są, znać iż Polak może być zdrow, i bić się tego bez wina. Piwo, młody, wiśniaki, maliniaki, gorzałka, azaż to nie dosyć i do ochłody i do zagrzenia żołądka? W miejsce imbiru, pieprzu, i innych onych nieprzeliczonych korzeni, bez których jak słyszę, mało która kuchnia szlachecka dziś się obchodzi, mamy chrzan, gorczycę, jałowiec, kmin, anyż, majeran, szałwię, koper, rdest, nasionko wyborne, co go moja panna pieprzem polskim nazwała; mamy dla smaku grzyby, cebulę. Za limonie stanie nam agrest i jabłka cienko krajane, za rodzenki wiśnie suszone, za migdały orzechy, za

cukier miód. Co nam po oliwach zamorskich, kiedy domo wy olój z maku, dobrze, czysto wytłoczony, bardzo dobrze smakuje, równie tłusto omaści, i jeszcze od kurczenia się żołądek strzeże. O ryż nie dbamy, są natomiast rozmaite krupki. A co do tego czém stół zastawić, alboż to niéma w ogrodzie jarzyn, alboż ja sobie wołu upaść nie mogę? a moja panna czy nie trzyma zawsze wieprza w karmniku? Są téż i braki między owcami, i cielęta wszystkie trudno wychować; drób jest, w Boskiej oborze zwierząt i ptastwa dostatek, w stawach ryb bez liku; kury jaja znoszą, krowy mléko dają, po sól jedno pojechać do Kazimierza: dalibóg ani wiem coby tu kupić? Przedać, to nie mówię; gospodarz winien grosze zbijać: trzeba mieć kilkadziesiąt złotych w zapasie, na chwałę Bożą, na podatek w czasie wojny, dla synów, na jaką nadzwyczajną przygodę własną lub braterską...

Lecz przecież są jeszcze rzeczy konieczne do domu— badał dalej Podlodowski widząc że starych cieszy owa rozmowa—trzeba świec, mydła...

— Mydło moja panna sama robi, nawet białe, co go to królowa Bona ze swego Baru do nas zaprowadziła, a byłoby się i bez niej i bez jej mydła obyło. Co do świec; a kto w lecie o świecach słyszał? słonko do woli objaśnia; w zimie, jest ci tęgi ogień na kominie, to i widno w izbie; są kagańce tłuste, dobrze postanowione; jest téż i smolne luczywo, kiedy kto chce iść z miejsca na miejsce..

— I wybaczcie panie Ojczy—przerwała gospodyni— mam-ci ja i świece w zapasie; pani Janowa nauczyła mnie je robić; są łojowe i woskowe; łój jest raz naraz z naszego bydełka, a wosku obficie pszczołki nam dają; sprzedaje się trocha i mam już w komorze stos kręgów odłożonych do kościoła, do Gródka, da Bóg doczekać, jak go pan syn wystawi.

— Wszystko to nic—odezwał się Kochanowski—i mo-



jój Hannie przyznać to trzeba, że prócz korzeni i wina, których wychód nie wielki, i u nas wszystko co się pożywa, to domowe. Ale co dziwniejsza, pan Stryj i pani Stryjenka ani łąckia jednego materyi, ani jednej nitki nie kupują nigdy, a i zimą i latem, i oni i czeladź dobrze są odziani.

— Jeszczeby téż! na to nikczemne cielsko wydawać!— odburknął się pan Dobiesław. Szaty wynalezione są dla wstydu i dla potrzeby, żeby nagość okrywały, od zimna i od gorąca chroniły, nie zaś dla zbytku. Jest swój len, swoja wełna, swoje konopie, a czegożby więcej trzeba? Nasz sam król i z braćmi, kiedy był chłopięciem, w szłyku i w baraním kozuchu chadzał; a starój szlachcie miałoby się chcieć bławatów? u mnie lnianka, parcianka, sukno, to czamlot, falendysz i aksamit; pani żona i dziewczki kądzieli pilnują; mamy dwóch tkaczy; przedrzeć niemożna szat i bielizny co oni wyrobią; ze skór kozłowych i cielęcych mamy obuwie, ze spożytych baranów i jagniątek kozuchy, ze złapanych lisów szuby, z ubitych wilków futra na łożka. Przypatrzcie się naszym łożom; zaprawdę, wygodne a nie kosztowne: tapczan w domu sporządzony, wór z własnego płótna, siano codzień się w nim przetrząsa, a odmienia co Sobota; mamy w Janowcu kuśnierzy; za parę korczyków zboża który z nich tu przyjdzie i co wypada zrobi: oto zeszłej jesieni wycelował tę wielką oponę z wilków; okrywa cały tapczan i na podłodze jeszcze kawał spory leży: ja na tych wilkach sypiam, i dalipan miętko staremu a ciepło. Do przykrycia się mamy koce wełniane, a na wierzch jeśli zimno, lisy. Poduszki pierzem nasypane, co go moja panna z gąsek swoich skubała i darła, nasyпки i prześcieradła z domowego płótna. Za łożkami na ścianach, w miejscu waszych tureckich makat, są jak widzicie maty słomiane; uplotłem je własnymi rękami w zimowe wieczory, a od wilgoci i robactwa wyśmienicie chronią. Łyżki drewniane, kubki sam strugam, koszę plotę, chodaki z łyka robić umiem, i wiele

innych rzeczy co drudzy młodszy kupują. A na czémżeby człowiekowi czas zszedł inaczej? Wioska maleńka, większe synom się oddało; nieźle urządzona, wszystko idzie gdyby z płatka; jak wstanę ze słońkiem, trochę pochodzę, potem konia dosiędę, to i w parę godzin wszystko ułatwione w gumnach i w polu: na resztę dnia cóż zostaje? pacierze i robotą ręczną; gość u nas nie koniecznie częsty, do starych obcy nie rad zagłada, chyba synowie, krewniacy czasem przyjadą, albo mój poczciwy Janek, chrzestnego odwiedzi. Jeden nasz wydatek, to na garnki, na miski i na żelaztwo; dwa razy do roku jedno z nas do miasteczka wybrać się musi i zostawić tam kilka złotych; aleć się więcej daleko przywiezie, to za wełnę, to za miód, za wosk, za masło, i inne rzeczy, których w domu spotrzebować trudno.

— Apteka i lekarze, Bogu dzięki waszego grosza nie widzą—podsycił znowu z uśmiechem Kochanowski.

— Uchowaj Boże!—odrzekł starzec. Wszystko to są nowe, obce wymysły, które się nie czepiają nas dawnych ludzi, cośmy chwała Bogu z granic Polski nie wyjrżeli, chyba ścigając nieprzyjaciela. Dobrze ja wiem, co „koń bez uzdy, Tatarzy przez Podole, pigułki przez brzuch, nigdy bez szkody nie przejdą.“ Z owych Włoch, z owęj Francyi przyszły na Polaków z ich zbytkami, jakieś dziwne, bezecne a nieznanne choroby; z chorobami leki i lekarze, co jeszcze złe pogorszyli. Są ci i bywały zawsze od grzechu Adamowego bole i cierpienia na człowieka; na przemienne, dał Pan Bóg każdemu krajowi właściwe ziółka, i baby leczyc niemi nauczył. Oto i moja panna zna się na wielu i umiść dziwne sekreta; kiedy naprzykład chce chorego przeczyszcić, to bierze bzu polskiego: trzeba, żeby złe dołem poszło, to na dół skrobie korę: trzeba, żeby górą, to do góry; a jak da zażyć, zawsze jest oczekiwany skutek. Takie tedy i tym podobne mamy lekarstwa proste domowe na cierpienia prze-

mienne; a co na śmierć nieodmienną, niema rady: nikt się od niej nie wybiega, czy król, czy hetman. Dla tego też w dawniejszych czasach, jak mi jeszcze ś. p. mój ojciec powiadał, sami duchowni byli lekarzami; choroby nie bywało: przyszedł do chorego, ulżył nieco ciału, a co ważniejsza duszę opatrzył... Ale mili panowie i bracia, rozgadaliśmy się do zbytku o starych i domowych rzeczach; powiedzcież, proszę was, co się tam na świecie dzieje, co jest nowego? może znowu Pan Bóg da wojnę! A ten śmiałek Zborowszyk długoż on tak gospodarować będzie po kraju? piękna mi władza króla i hetmana, kiedy jednemu młokosowi dać rady nie mogą? Lecz wyjdźmy przed dom, mili bracia, siądźmy sobie na krokwiach co się tam suszą na podwórku, będą kiedyś służyć da Bóg choć na dzwonnice w Gródku słońko dogrzewa, żywioł to starego, a nie było jeszcze kiedy nacieszyć się niem latoś; białogłowy zostaną w izbie: za nado się dziś nasłuchały rzeczy poważnych.

— Z Panem Bogiem, i owszem—rzekła z udaną urazą gospodyni—za drzwi, co do wąsa; zostawcie nas same w izbie, nie braknie nam wątku do rozmowy i do roboty.

Poszli mężczyźni; nie ręczę czy pan Rotmistrz chętnie wyszedł i czy się nie obejrzał parę razy: co pan Dobiesław to wypytywał się o wszystko, i ganił prawie wszystko, w sposób jakiegoś próbkę już widzieli.

Tymczasem pani Dobiesławowa pogadawszy z synowicą i z Ewą, z pomocą dziewczek swoich, a nawet z pomocą gości, gdyż między krewnymi przymusu i tajemnic wtedy nie bywało, zajęła się obiadem i zastawą stołu. Do zwyczajnej domowej strawy dodała parę półmisków, i nie wyszło dwóch godzin, kiedy wezwała panów braci, przekomarzając się jednak z niemi: „iż możeby woleli, daleko od niewiast, rozmawiać do wieczora o poważnych rzeczach.“ Ale oni, zdania pana Filipa na ten raz, nie chcieli słyszeć o dłuższym roz-

dziale; na świeżem powietrzu pamięć śniadania wywietrzała zupełnie, gotowi byli spałaszować obiad. Dobiesław nawet naglił żeby szli coprędzěj, mówiąc:

— Stare ustawy, świeże potrawy, najlepsze.

Przed obiadem stanąwszy za stołem przeżegnał się, krótką odmówił modlitwę, a potém rzekł:

— Proszę was goście mili, pożywajcie co Bóg dał z weselem i posilcie ciało wasze.

Obiad był bez wykwintu. Postawiono najprzód na środku stołu donicę krupniku z gęsiami dróbkami, pachniał koperkiem i grzybami, a ziarnka białej kaszy jak prawdziwe perełki w nim się uwijały; na drugie, była tuczna gęś smażona z cebulą i z jabłkami; potém dano groch żółty okrągły z jagłami i z wędzonką; dalej dwie ryby: łupkiego dwulokciowego szczupaka i ogromnego a tłustego karpia; z niemi aż cztery polewki czyli sosy w miseczkach; do szczupaka jeden biały z chrzanem i ze śmietaną, drugi żółty z krokoszem; do karpia jeden szary i kwaśny z miodowniku i z octem, drugi zupełnie czarny z powideł. Zakończył się obiad czterema kapłonami z różna, z których goście ledwie kości zostawili; a kapłony były nadziane tartym chlebem pszennym z masłem i z pietruszką. Kochanowski osobliwie zajadał ochotnie i jadł jeszcze choć już drudzy skończyli; stary stryj rad patrzył na niego, a trochę podniósłszy nad nim ręki, mówił:

— Boże daj ci na zdrowie!

Przy rybach hojnie zlewanych wytrawnym miodem i na końcu obiadu, pan Dobiesław raz jeszcze gości przeprosił że niema wina:

— Zdawna to tak bywało w Baryczy—powiedział— a inaczej w Sycynie, gdyż ś. p. brat Piotr lubił wino i miał go zawsze podostatkiem. Panowie bracia, o tém nie wiecie, a Janek może téj okoliczności winien swoje umiejętność pi-



sania wierszy; pierwsze jakie złożył, będąc jeszcze dzieciakiem, były z tego powodu: chowam je też dotąd.

To mówiąc wstał od stołu, wziął książkę łacińską od nabożeństwa, w czarną skórę oprawną, której kartki niegdyś białe, zupełnie żółte się zrobiły, i wnet wynalazł nieduży papierek wielkimi literami zapisany i także już dobrze pożółkły.

— Wróciłem był właśnie z wojaczki do mojej panny--ciągnął dalej — wyparliśmy byli z hetmanem Tarnowskim wojewodę wołoskiego z Pokucia, spoczywałem w domu, aż tu przyjeżdża posłaniec od pana Piotra z Sycyny, gdyż tam jeszcze w on czas mieszkał, z tym oto karteluszkim. Otwieram i czytam:

Dobiesławie!  
W twoim stawie  
Na Baryczy,  
Ryb nie zliczy;  
A Sycyna  
Nie bez wina.  
Złącz oboje,  
Ryby twoje  
Z dobra naszą  
Wina flaszą.

Biegnę natychmiast do stawu. Bo trzeba wam wiedzieć, że od młodości byłem wielki stawiarz; po wojnie nic mnie tak nigdy nie bawiło jak rybołówstwo, i dotąd w porządek stawiarski równie dobrze jestem opatrzony jako i w żołnierski. Zarzucamy sieć na szczęście pana brata; połów okazuje się cudowny, prawie taki, jak on Piotrów w Ewangelii; szczupaki gdzie dłuższe od dzisiejszego, i karpie jak łopaty; dalejże na konia a ryby na wóz; zastaję w Sycynie zjazd wielki: było to święto pani bratowej. Jedliśmy i pili, i dalipan nie znać było po mnie iżem wina nieprzyjaciel; dałem buzi węgrzynowi; a Janka wszyscy chwalili;

ksiądz Maciej rośl jak na drożdżach, matka płakała z radości, a chłopak przy stole wyciął nam łacińskie wierszyki.

— Jużto u mnie wtedy nie było nowiną — powiedział Kochanowski — wiersze sypały się jak z rękawa, łatwiej niżli teraz.

— Możeć przecież i dziś powiesz nam jakie, Janku? — rzekł pieśzcotliwie starzec, głaszcząc poetę pod brodę — słuchać starszych trzeba — dodał, grożąc mu palcem na nosie.

— Radbym z duszy — odrzekł Jan poddając się pieśzcotom stryja — ale nic nowego nie przychodzi mi jak na złość do głowy.

— Powtórz stare — szepnął Podlodowski — te naprzykład, coś dla mnie napisał: *Sława jedna zostaje po człowieku.*

— Nie — odparł Kochanowski — inne powiem, choć nie skończone.

Kto ma swego chleba  
Ile człeku trzeba,  
Może nic nie dbać o wielkie dochody,  
O wsi, o miasta, o wysokie grody.

To pan zdaniem mojem,  
Kto przestał na swojem:  
Kto więcej szuka, jawnie to znać daje,  
Sam na się, że mu jeszcze niedostaje.

Siła posiadł włości,  
Kto ujął chciwości:  
Trudniej to przyjdzie niż Turki szałdować,  
Albo waleczne Tatary wojować.

— A widzisz co się znalazły, i wysmienite a prawdziwe — zawołał starzec — młodych pogłaskać nieco potrzeba, pogrozić trocha, i zrobisz z nimi wszystko.

— Młodych! a te nici srebrne w głowie, panie Stryju, co znaczą?

— Siwiejesz, Janku? być nie może; co się téż to z dzisiejszemi ludźmi dzieje! A wieleż lat sobie rachujesz?

— Pięćdziesiąt czwarty kończę na wasze usługi.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! mnie się zdaje, jakby nie było więcéj nad tuzin lat od dnia, jakieś to przyjechał do mnie na pożegnanie... Janku, pamiętasz łaźnię?

— Pół kopy z górą, panie Stryju; ale i ja to pożegnanie pamiętam, jak gdyby wczorajszą przygodę—dodał poprawiając się na ławie.

— Mężu kochany — poprosiła nasza Kochanowska — opowiedzcie tę przygodę; młodym nie zawadzi słyszeć takie rzeczy.

A wiedziała że tém przypomnieniem i mężowi i stryjowi dobrej myśli przymnoży.

— Oto—zaczął Kochanowski spełniwszy kubek miodu, który mu stryj nalał — wiecie wszyscy, zem nie dokończył nauk w domu, ale mnie wczesnie matka i brat wyprawili między ludzi. Jakkolwiek mnie cenili wysoko i za mądrego mieli, przecież osądzili oboje, iż ośmnasto-letniemu parobkowi wypadało dać na drogę staropolski upominek. Ojciec już przed rokiem był umarł; ksiądz Maciej chory na suche bole leżał w Policzny; w wigilją tedy mego wyjazdu z domu, matka wysłała mnie do pana stryja z listem, i kazała mu go oddać do rąk. Nie zamknęła go żadnym woskiem ni sygnetem, ale byłbym pewny, że ręka mi uschnie, gdybym się był ważył otworzyć go i przeczytać. Przyjeżdżam tu, oddaję, opowiadam jako już puszczam się w świat. Było to może na godzinę przed obiadem. Pani stryjenka wyszła za gospodarstwem. Pan stryj przeczytawszy pocichu list, i pogadawszy trocha ze mną, pyta mi się: „Używałaś dziś łaźni, Janku.“ „Nie używałem“ odpowiadam w dobrej wierze. „To pójdz ze mną, pora po

temu, zdrowo ci będzie.“ „Zgoda.“ Idziemy. Leżał tam stos chrustu w kącie, alem ja nań nie zważał. Aliści kiedy dobrze dodano pary i pot lać się ze mnie zaczął, pan stryj do chrustu; a nie winniki to były takie jak nasze, panie Jakóbie, cośmy się dziś niemi głaskali: gałęzie grube a świeże, daj Boże zdrowia. Nuże, jak mnie zacznie z całych sił okładać, nie szczędząc przytém nauk, oczywiście jako chrzestnemu: jak się mam sprawiać na świecie, Pana Boga chwalić, starój Wiary nie opuszczać, wstydu pilnować, matki nie zasmucać. Nie wiem czy słowa były przejmujące, czy ciągi skuteczne, alem płakał jak bóbr...

— A nie krzyknął i razu—przerwał starzec z rozczuleniem—a gdym skończył, padł mi do nóg.

— Jużim ja dobrze wiedział, iż tego dla uciechy ani przez gniew nie robicie, jedno na moje dobre i z polecenia matki. O! jadłżem téż obiad potém dzielnie! pamięta pani Stryjenka; na koniu jednak długo przykro było siedzieć; dłużej jednak nawijał się suty podarek pana Stryja, bo postaremu ociąwszy, pogłaskał; po łaźni dał ściérkę, jak nasz Chrobry rabiał. Do samych Włoch za wasz grosz dojechałem, jak wiécie...

Przy podobnej o dawnych czasach rozmowie, przy coraz nowym gąsiorku miodu, zesła jeszcze u stołu z jaka godzinka mile i wesoło. Wstawszy, po zwykłych dziękczynieniach Bogu, gospodarstwu i obecnym, Kochanowski wziął stryja na bok i opowiedział mu główny cel swoich odwiedzin. Ucieszył się starzec; wieść o dobraném małżeństwie zawsze była rodzinną radością; za panem Franciszkiem nie wstawiał się téż nigdy, jak łatwo zgadnąć można. Żona jego już wiedziała o wszystkiém od naszej Kochanowskiej; oboje tedy dali jaknajchętniej i z głębi duszy błogosławieństwo swoje młodój parze kłęzącej przed niemi. Gdy się to spełniło, pan Dobiesław szepnął coś swojej Kachnie do ucha, ona poszła do komory i wnet wyniosła garnek natłuczony.



Starzec trząść nim zaczął, ozwał się dźwięk kruszcu; z różnych sztuk złota i srebra, bitych za Jagiełłów, zebrał złotych sześćdziesiąt, całą kopę, kazał Ewie nadstawić sukni i wsypał je.

— Masz to od nas, dziewczeczko, na gospodarstwo; na on nowy klasztor, do którego się zabierasz, wielu rzeczy potrzeba.

I zanucił piosnkę dotąd śpiewaną w takich razach między naszym ludem:

Trzeba jěj dać,  
 Nie żałować.  
 Trzeba jěj na miskę,  
 Trzeba jěj na łyżkę,  
 Trzeba jěj na sitko,  
 Trzeba jěj na wszystko.  
 Trzeba jěj dać:  
 Nie żałować.....

— A jak posłyszysz o naszej śmierci, Jewulku — do dała pani Dobiesławowa — westchnij tam za naszą duszę: Pan Bóg i z Ukrainy usłyszcy.

Te ostatnie słowa zmieniły radość wszystkich w tęskne jakieś rozczulenie, które zwiększyło się jeszcze, kiedy sędziwy Dobiesław żegnając się już z gośćmi swemi, powiedział Kochanowskiemu całując go serdecznie:

— Nigdy cię jakoś tak nie kochał jak dziś, mój Janku, nigdyś mi tak ojca nie przypominał; jakby coś we mnie mówiło: „Już go więcej nie zobaczysz, raz to ostatni.“

I nie dziwota, dla takiego dziada jak ja, któremu starość już trzecie wici okazuje, każdy dzień uproszony.

I rozjechali się; ani przyszło komu wówczas pomyśleć, że nie stary Dobiesław był z brzega.

## ROZDZIAŁ XI.

A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia,  
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia;  
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba,  
Jako wstydu a cnoty, darów przednich z nieba.

*Dziwostąb.*

Ów dzień poniedziałkowy nie tak wesoło się skończył jak zaczął. Ledwie drużyna Czarnoleska wróciła do domu, ledwie matka zdążyła powitać stęsknione córki i czeladź, a ojciec popieścić cokolwiek Orszulkę, która najpierwsza zoczyła zdaleka wracających rodziców, zaraz pan Podkoniuszcy oświadczył, iż jeszcze tego wieczora odjechać musi. Gorliwego królewskiego sługę korciło już mocno, że dla rodzinnych powinności i uciech, ukradł dni dziesięć obowiązkom urzędu. Przyjaciel i siostra nie śmieli go zatrzymywać, ile wiedząc, iż nie rad zmienia słowa. Wyjechał więc zaraz po wieczerzy na całą noc, nie tak suto opatrzony w żywność jakby gospodyni była życzyła, gdyż konno samotrzeć ruszył. Stanąwszy w Grodnie, po odebraniu rozkazów królewskich, miał natychmiast wyprawić posłańca i napisać Kochanowskiemu, kiedy będzie mógł zjechać na zaręczyny, ażeby oni stosowne porobili przygotowania.

Pan Filip bez żadnego przymusu, jednak z wyraźnego rozkazu ojca, który jakkolwiek nie znał prawie miłości,

wiedział przecież, że o niej człowiek marzy całe życie, a używa ledwie chwil pare, został w Czarnolesie; na to jedynie pozwolił Podlodowski, żeby go o mil kilka na pierwszy nocleg odprowadził; i młodzieniec poradził sobie dobrze, żeby ani jednej chwili widzenia bogdanki nie stracić; na tę noc bez snu się obchodząc, wrócił do Czarnolasu ze świtem, a zdążywszy tylko wykąpać się w czystym stawie, jak miał codzienny zwyczaj, i przebrać się świeżo, stawił się wraz ze wszystkimi na odgłos dzwonu Ludwiny; na łóżko zaś Ewy rzucił nieznacznie wieniec z urywanych w drodze przez las pierwiosnków i przelaszczek, oznaka miłości wówczas bardzo używana przy najskromniejszych zalotach. Ewa w dowód łaskawego jój przyjęcia, włożyła natychmiast wieniec na głowę i nosiła go póki nie zwiądł; bo od chwili powrotu z Policzny, nie było już nic tajnego w miłości Filipa; cały dom wiedział i mówił o rychłym zamęźciu starszej panienki, a stara Nastka podwoiła dawną ważność swoją, gdyż rozgadywała wszędzie i każdemu: że „ona, nie kto inny wzbudziła ową miłość w sercu przebranego Kozaka swoim opowiadaniem w kuchni, że nawet poznała się na nim odrazu.“

Czy tak było, nie wiem; to jednak pewna, iż już nie jedno usłyszała dobre słowo z ust szczęśliwego młodzieńca, i nie jeden dostała podarek. Tak ujęta, przestała nie tylko popierać pana Franciszka, ale i nie żałować go, że odkosza dostał, że go Ewa w grochowy wieniec ubrała. On zaś zaprzestał zupełnie uczęszczać do Czarnolasu. Kochanowski, którego charakter otwarty i serce kochające nie mogły znieść żadnego udania, zwłaszcza z temi, co mu drodzy i blizcy byli, zaraz nazajutrz po wyjeździe Podlodowskiego pojechał do Policzny rozmówić się sam na sam z panem Franciszkiem. Zastał go jeszcze w łóżku pod pierzyną, i dobrą miał porę zawstydzienia go i wymawiania mu tak gorszącego lenistwa.

— Nie dziwuj się, synowczyku — powiedział — że cię ubiegł w sercu Ewy taki, który dziś całej nocy oka nie zmrużył, mil kilkanaście cwałem ujechał, byle nie stracić jednej chwili oglądania swojej lubej.

I opowiedział mu wszystko, tak jak się był z panią Kasprową ułożył; biedny pan Franciszek aż zapłakał, ale nie umiał odpowiedzieć i bronić się. W tym stanie upokorzenia nakłonił go łatwo stryj, żeby przecie raz wziął się do czego, świata przewidział, otrząśł się z téj gnuśności; a ukartowawszy wszystko z matką, posłali go naprzód do ziemi Steżyckiej, do syna pana Dobiesława, żeby tam się trochę przetarł, nimby do dworu Zamoyskiego był oddany. Pojechał nic nie mówiąc, milczał jak baranek, zrobił wszystko co kazano, jednak do Czarnolasu nie chciał ani raz zajrzeć, nawet na pożegnanie.

— Rozchorowałbym się niezawodnie — powiedział.

Nasi kochankowie tymczasem słodkie dni i godziny pędzili, a im więcej poznawali się wzajemnie, tém się i lepiej kochali. Ale ich obejście się i rozmowy nie były wcale w dzisiejszym wytwornym guście, obraziłyby i zgorzowały nie jedną wysokich uczuć damę; i jakkolwiek ich opisiowi cały przeznaczyłam rozdział, lękam się, żeby nie był bardzo krótki i nudny. Tak mało jest do powiedzenia obojętnym o niewinnej i szczęśliwej miłości. Oboje tedy mimo tego, że się kochali serdecznie, jedli, pili, spali wyśmieniście; Ewa odplakawszy przez dzień jeden, czy obawę pójścia za pana Filipa, czy myśl rozstania się z rodzicami, zaniechała łez, zapewne myśląc sobie, że dosyć będzie wtedy płakać, kiedy chwila odjazdu naprawdę już przyjdzie. Tymczasem zamiast coby się miała pokryć uroczą, księżycową bledością, zajmującym smutkiem, jeszcze była kraśniejsza, weselsza niż zwykle, bo rumieniła się i śmiała daleko częściej. Zamiast powłóczyć zwolna kroki chwiejące i przywozić obraz słabiej i giętkiej rośliny szukającej pod-



pory, raźniej jeszcze niż dotąd chodziła, biegła koło gospodarstwa; bo sporzój jój szły domowe zatrudnienia od czasu jak Filip na nią patrzył, jak jój pomagał, i dążyła z niemi jeszcze usilniej, żeby je pokończyć coprędzej, zasiąść do kądzieli albo do krosien, i rozmawiać z nim swobodnie.

Ale i te rozmowy jakżeby się wydały zimne, proste, gminne nawet, obok tych, z jakimi nas oswoiły terazniejsze obyczaje i romanse? Nie było w nich ani słowa o spojeniu dusz, o morzu uciech, o nieśmiertelności kochania, o rozkoszy łez, o sile poświęcenia, o owych nadziemskich a przecież w gruncie bardzo cielesnych uczuciach, o niesmaku życia, o wstręcie jaki reszta ludzi wzbudza, i t. d. i t. d. Ani Filip, ani Ewa nie tyłkoby się zdobyć nie mogli na podobne rozmowy, ale nie zrozumieliby ich z innych ust. Wolą Boga przeznaczeni sobie, wolą rodziców zmówieni, wiedzieli, że chociaż podobało się jedno drugiemu nawzajem, przecież dlatego jedynie wolno im jest się kochać, że wnet mężem i żoną się nazwą; o tój więc przyszłości mówili najchętniej, a ich czystych rozmów nawet dziewicza Ludwina słuchać mogła. On jój rozповідаł o rodzinie swojej, o wychowaniu, o siostrze, o przybranym ojcu, za którego w każdej chwili gotów był dać życie; o wsi rozległej, co ich własnością będzie; wyliczał piękności i bogactwa zielonego Podola, szerokiej Ukrainy.

— To zupełnie co innego jak u was, inne niebo, inna ziemia; rola raz nawozem spulchniczna, rodzić może przez lat dziesięć najwyborniejszą pszenicę; pod oziminę orzą dwa razy, pod jarzynę raz, i na tém cała uprawa się kończy; nie spracuje się tam ani człowiek, ani bydłę; te krainy powinnyby zamieszkane być jak tu żadna, i należałoby się, żeby tam król przebywał i sejmy zwoływał, gdyż niema żadnej części Polski w tak dogodnym i pięknym położe-

niu. Obaczycie sama, da Bóg, że tak jest, że ja we wszystkim mam prawdę.

— Ja też we wszystkim wam wierzę — potakiwała Ewa.

— U nas w wielu miejscach niema potrzeby sadzić drzew owocowych, rosna same z siebie; wiśni, czereśni, tyle co chłopstwo ledwo przejeść je może; gruszki, jabłka, śliwki suszą, i całą zimę żywność zdrową mają; kawony słodkie i soczyste, większe od dyń waszych rosna na polu. Gospodarze skrzętni, gdyby na żart się zajęli sadem, wnetby najcudniejsze mieli owoce, prawie winogrona.

— O! ja się nauczę od ojca i nasadzimy winnice — dopowiadała dziewczyna — będziemy potem mu przysyłać studzienickie wino. Tego i dziadunio Dobiesław skosztuje, bo nas nic kosztować nie będzie, krom trocha pracy.

— A jakie to łąki nasze i pastwiska! co za bydło! jakie konie! jaka woda kryniczna ze skał wytryskuje! Wasza Wisła szeroka i poważna, ale nasz szumny Dniestr, gdzie piękniejszy? wody jego czyste, zimne, bystre, dziwnie zdrowiu pomocne. Nasze pola dotykają lewej jego strony, każę wam rozbić namiot, cośmy w wojnie moskiewskiej zdobyli, i będziecie się kąpać bezpiecznie, z kobietami dobrze świadomemi miejsca. W łożysku Dniestru w górach ja sam znajdowałem kamyczki krzemieniem powleczone, w których ukrywają się drogie kamienie, czerwone rubiny i inne; w Łuczyńcu, niedaleko nas, jest głęboko w ziemi glinka miękka, mydlasta, która do prania płócien używana być może; a jakie to lny u nas: dopiéro prząść cienko będziecie.

Ewa słuchając tego wszystkiego otwierała wielkie oczy; już z pewną pogardą na piaski i na sosny Czarnoleskie patrzyła, Ziemią obiecaną było dla niej Podole.

— To tylko bięda — mówił jeszcze — że lud daleko ciemniejszy jak wasz: nie mówią po polsku, nie umieją radzić sobie, ni to jarzyn przechować przez zimę, ni płótna

dobrze wybielić; prawda, że to po części wina panów: jest ich nie wielu, gdyż posiadłości ogromne, a mało który w nich siedzi mając inne dobra bliżej stolicy; druga rzecz, nie takie bezpieczne życie jak tu; oczywiście jak na pograniczu, jeżeli nie od Tatarów to od Turków, a nie, to i Kozacy umieją dać się we znaki.

— Ani jedno, ani drugie nic mnie nie odchęca, ani straszy — mówiła Ewa — kiedyć mnie pan Łukasz wyuczył dosyć gładko łaciny, to wy mnie nauczycie daleko prędzej ruskiego bratniego języka; będę z kmieciami rozmawiać, będę ich tak odwiedzać jak naszych Czarnoleskich, będę ich uczyć różnych tajemnic gospodarskich, których mnie matka nauczyła, i obaczycie wnet złagodnieją. Przy was, nie bałabym się téż żadnej napaści: wy mnie obronicie.

— I miałbym nawet gdzie was ukryć, broń Boże, — jakiej straszliwej. W naszej rzece Ladawie, nad samym Dniestrem jest skała, do której my jedno z ojcem wiemy jak się dostać; gdzie już po kilka razy chowano co było najdroższego w domu: tam jest jakby cerkiew i trzy cele wykute, musieli tam przed wiekami Czerńcy mieszkać. Ojciec niedawno kazał drzwi i okna porobić, samiśmy je osadzali; widok z nich pyszny i rozległy; opatrzyłbym tak żeby wam i kobietom waszym na niczem nie brakowało, a skorobym pogodną chwilę upatrzył, zakradałbym się do was.

Na takie opisy Ewa widziała się już w owój niedostępnej skale nad Dniestrem, witającą męża zwycięzcę; i kto wie, może i rada była w téj chwili, żeby znowu kiedy Tatarzy na Podole napadli.

— Za to — mówił jeszcze młodzieniec — nasze wieśniaczki ubierają się piękniej niż wasze (a właśnie kiedy to zaczął, przyszła była do Ewy dziewczucha wiejska z jakąś prośbą, w grubej koszuli, w szarój ciasnosze, i w płachcie, którą i głowę i kibić nakryła); nasze Podole już niedaleko owój sławnej niegdyś Grecyi, i nasze kobiety przejęły

cokolwiek ze stroju Greczynek. Kiedy wychodzą z domu, zupełne namiotki kładą na głowę; jak je rozpuszczają, całe są zasłonięte do samych stóp; a kiedy je zdejmą, widać koszulę płonistą, nieco otwartą na piersiach, krótką spódnicę, zapasek krótszy jeszcze, a na głowie włosy splecione, jakby korona, wieniec zielony, i wstążki w kilku barwach rozpuszczone z tyłu: zaprawdę, strój śliczny, ale bo też i kobiety nasze dorodne.

Na ten raz nie podobał się jakoś Ewie ten taki szczegółowy obraz; nie powiedziała nic, lecz z większą jeszcze życzliwością niż zwykle dała odpowiedź czekającej, a suto szpetnej, dziewczusze. Filip może bez namysłu, tylko z instynktu, dał już pokój kobietom Podolskim i strojom.

— Będę też was miał gdzie wozić, i różne osobliwości wam pokazywać—mówił—pod Jampolem, na Dniestrze jest poróg, z kąd na jakie dwadzieścia stóp wysokości woda spada; rzecz to prześliczna, mianowicie kiedy słońce świeci, jakby dyamenty się toczyły, wśród śnieżystej kurzawy. Pojedziemy i do naszego Mohilowa; dziwne miejsce! tygodniem całym wcześniej w nim wiosna, a tygodniem później zima niż gdzieindziej; kiedy na górach otaczających miasto, jeszcze saniami jeździć trzeba, tam już drzewa kwitną.

— Czy i w Studzienicy tak?—zapytała już udobruchana Ewa.

Filip kłamać nie umiał, nie przyszło mu też na myśl słówko, którym więcej wprawny zalotnik byłby się wywinął: „że gdzie ona będzie, tam wieczna wiosna;“ nic więc nie odpowiedział, tylko tak dalej mówił:

— Z Mohilowa pojedziemy przez wielkie, głębokie, długie doliny do Kamieńca, mil blisko dwadzieścia. Może kiedy i do starego Kijowa zajrzemy, na ośm mil w około dawne mury się ciągną i pyszne są cerkwie. W pieczarach pełno jest ciał umarłych niegdyś za Wiarę świętą męczenników, które się nie psują a są cielistej barwy, wcale nie



czarne. Jest tam osobiwie ciało Ś. Barbary; ładnie a wdzięcznie patrzy, w długie i przejrzyste płótno odziana, z długimi i miękkimi włosy gdyby len... Wiele ona już serc nawróciła i nawróci ku Bogu, tém swoim wdzięcznym patrzeniem... Ten Kijów musiało to być wspaniałe miasto staremi czasy. Słyszałem sam od naszego księdza biskupa, Paca, iż do Kijowa aż ku Smoleńsku są podziemne przechody, co nawet pod Dnieprem są prowadzone; przezacnaby to była a prawie nadludzka robota. Będziemy téż zwiedzać i miejsca cudownemi obrazami słynące: Tynnę, Latyczew, Grodek, Wonkowce...

— A! i tam jest Grodek, jak tu nasz, co Stryi Andrzej w nim mieszka — zawołała zdziwiona Ewa. — Ale wy mnie coś bardzo bałamucić chcecie tak wielkimi podróżami? Matka nigdzie nie jeździła, a ja ślubowałam naszej Matce Boskiej, że będę tak dobra jak matka; ojciec zawsze mówi: „Białogłowie domu pilnować należy. Biada téj co cudzych domów patrzy.,,

— Jedno téż w pierwszym roku,—zapewnił Filip—kiedy jeszcze nikogo do pilnowania nie będzie. Dalszych lat ja sam nie pozwolę.

Na tę uwagę Ewa uśmiechnęła się, ale wnet spłoneęła i spuściła oczy, Filip tak jeszcze powiedział:

— Bo nawet dla potrzeb gospodarskich po różne rzeczy do miasta jeździć wypadnie; młodzi nie mogą dziś tak się obchodzić jak pan Dobiesław z żoną; należy tak robić jak inni. U pana ojca, jednego jest nadto, drugiego wcale, zwyczajnie jak tam, gdzie gospodyni od tyłu lat niéma. Ja bym rad żeby u nas tak było jak u waszych rodziców; jeszcze żaden dom szlachecki tyle mi się nie podobał.

I tu dopiero rozpowiadać zaczynał szeroko Ewie, jaka to jest Studzienica. Jeżeli byli w ogrodzie, kreślił szablą na piasku gdzie stał dwór, gdzie stajnie, gdzie wieś, gdzie kościół udatny, który pan ojciec z bogactw na nieprzyjacielu

zdobitych postawił, i coraz go czém nowém zdoł; gdzie inne zabudowania; gdzie się odbywają ćwiczenia i gonitwy rycerskie; gdzieby ogród, gdzie sady najlepij założyć? kędy nową drogę poprowadzić? radził ję się o sprzęt domowy o liczbę czeladzi, i o inne podobne rzeczy. A widać trudna, musiała być rada, choć się nigdy nie spierali o sposoby bo rozmowy ich codzię wznawiane nie wyczerpane były.

Kochanowska nie przeszkadzała im do nich bynajmnię. Wprawdzie sama poszła za swego męza nie przemówiwszy do niego więcj nad słów pare w obecności brata albo zakonnic, i była szczęśliwą; ale uważała to zdarzenie jako i cały los swój za traf nadzwyczajny, równie jak miała męza swego za nadzwyczajnego człowieka; w pospolitem życiu, z ludźmi pospolitemi, zgadywała że wielką musi być ulgą i pomocą dla dziewczeczki znać choć cokolwiek tego, któremu wnet całą siebie oddać przyjdzie, i ośmielić się do niego trochę. Już tedy jako prawdziwa matka wyzuwając się zwolna z praw swoich do córki, mnię dbając o własną posługę i wyręczenie, nastęczała sama Ewie jak najczęstszą sposobność rozmawiania z Filipem, zawsze jednak pod swoim okiem.

— Słyszec nięmam potrzeby co bzdurzycie — mówiła do córki — wreszcie wiem że mi to powtórzysz; lecz widzięc nieustannie was muszę, i pamiętaj to sobie raz na zawsze, teraz dla siebie, późnię dla córek, jak ci je Pan Bóg dać raczy: panna uczciwa, nigdy pokątnych rozmów mieć nie powinna, już ani wspominam z obcemi męczyznami, bo mi się to widzi płochosć zbyt wielka, ale nawet ze swoim bogdanem; do samego ślubu zawsze starać się ma, żeby ją na każdy moment oczy ludzkie widziały. Na taką pannę nigdy nikt nic złego nie powie, choćby tęż jakim przypadkiem zamierzone małżeństwo nie doszło do skutku. Zmówiny, to nie zaręczy; narzeczony jeszcze nie mąż: i od ołtarza oblubieńcy się rozchodzą.

Dziwne téż to były, za tego Batorego, matek nauki i bardzo nudne romanse, pomyśli sobie przeczytawszy ten rozdział nie jedna dojrzała światowa dziewczica; za tych dawnych czasów tak zachwalanych ani warto było być młodą i ładną. Młode zaś, niewinne i dobrze wychowane dziewczeczki powiedzą na głos w tém miejscu:

Mój Boże! jak téż ten świat nic się nie odmienia! Matka nas tak samo przestrzega jak przestrzegano w XVI wieku, i my tak samo postępować chcemy.

Lube dziewczeczki, słusznie mówicie; na wszystko co dobre i piękne, przedawnienia niéma: błogosławcie matkę i idźcie za jój radami, skromność wasza i sława pewne; może nie tyle się nasłuchacie w oczy cukrowanych słówek, ale téż was nie obmówią za oczy; może mniej użyjecie zabawy, ale więcej szczęścia; może mniej, albo wcale zalotników mieć nie będziecie, ale pewno mąż zacny wam się trafi. „Cnota hojnie płaci utraty dla niej podjęte“ powiedział mądry i pobożny pisarz.

---

## ROZDZIAŁ XII.

Kto z gospodarstwa, a kto zaś z wystugi,  
Zbierze dostatki i z kupiectwa drugi;  
Jeżeli się żona nie przyłoży ktemu:  
Zginąć wszystkiemu!

I. I.

— Cóż dziś moja Hanna tak nas do pacierza zagania?—szepnął jednego wieczora Kochanowski Filipowi, widząc że żona, ledwo co usta po wieczerzy otarli, już każe Ludwinie iść dzwonić na modlitwę. Pewno musiała coś arcy naglącego w swojej księdze wyczytać, i jutro chce wstać przed świtem. Ta księga, nie wiesz jeszcze bratku, to nasz statut Czarnoleski: wszyscy rządzić się według niego musimy, i ty się nie wybiegasz.

A wiedzieć trzeba, iż Kochanowska jako staranna gospodyni, miała prócz kalendarza Krakowskiego drukowanego, który oczywiście co rok się odmieniał, swój osobisty, pisany, wieczysty, czyli *Pamięć robót gospodarskich* w każdym miesiącu, zaczawszy od pierwszego Stycznia do ostatniego Grudnia. Zebrane tam było dokładnie i prawie dzień po dniu: „co i jak przez cały rok z kolei robić wypada, żeby dom był zawsze zaopatrzony jak się należy, żeby czas się znalazł na każdą robotę. Był to sposób najlepszy nie-



zapomnienia o niczém i załatwienia każdéj rzeczy w właściwą porę. Ta księga arkuszowa, w treści swojej bardzo ważna, użyteczniejsza podobno dla ziemianek od sztambuchów i albumów, oprawna była w skórę, zamknięta na srebrną klamrę, i pisana na pergaminie wielkimi literami; każdą kartę przegradzał arkusz białego papieru, a to dla tego, że rok każdy nowe doświadczenie przynosił, i do nowych dopisków stawał się powodem. Znana i szanowana od dzieci, domowników i sąsiadek, leżała zawsze w pokro-wie, na pulpicie, w oknie wspólnéj izby, i nieraz zastać było można Kochanowską, dumającą głęboko nad nią, albo téż odczytującą głośno wyjątki z niéj córkom i czeladzi.

Dosłyszała pani Wojska słów nieco ucinkowych męża, a z przyrodzoną sobie wesołością odrzekła:

— Zapewne, żem wyczytała: jutro, wyjąwszy waszą miłość i wasz pokój, cały dom będzie w ruchu pod mojemu rozkazami i znajdzie się i dla gościa robota. Maj za pasem, wszystko do saméj Niedzieli wróży nam czas piękny; kalendarz obiecuje pogodę; jeźliby deszcz padał, to chyba stronami, jak pisze; słońce téż jasno zachodzi, sól sucha, jaskółki wysoko latają, żaby rażno skrzeczą. Nastka dzwony Zwoleńskie dziś słyszała, co zawsze stałą pogodę zwiastuje; trzeba przeto wiaść się bez zwłoki do roboty zapisanej w moim statucie na początku piątego rozdziału. Wstąpiwszy, da Bóg, w przyszły miesiąc, wypadną inne zatrudnienia nieprzewidziane w téj księdze—dodała z uśmiechem patrząc na Filipa—a co z głowy, to zawsze zyskane. „Co masz dziś zjeść, schowaj na jutro, a co masz jutro zrobić, zrób dziś: tak mawiali starzy ludzie.“

Nie przekomarzał się już więcéj Kochanowski, owszem, gorliwość żony i zamiar pochwalił; ona zaś prawdziwa kobiéta, a zatem cokolwiek przebiegła, nie wymieniła głównéj przyczyny, dla którój przyspieszała robotę, zwykle w ciągu Maja odbywaną; oto rada była zręczności popisania się od

niechcenia przed przyszłym zięciem, z dostatkami domowymi, i z biegłością swoją i córki, w ich utrzymaniu.

Tą robotą bowiem był przegląd *szatni* i jój przewietrzenie. Ale trzeba naszym dzisiejszym czytelniczkom jaśniej to opowiedzieć.

W owych wiekach, kiedy ubiory męzkie i żeńskie trwały nie parę miesięcy jak terazniejsze, ale kilkanaście, czasem kilkadziesiąt lat, po wszystkich pańskich domach bywały izby, komory, często i budynki osobne przeznaczone na szatnię, czyli na schowanie wszelkich szat, to jest rzeczy należących do stroju, ubioru, odzieży, a do których liczyły się i niektóre porządki domowe, jako to: kobierce, makaty, obicia, pokrowce, pościel i t. p. Dozorca szat pana, zwał się szatnym, miał kilku pachółków pod sobą, i był uważany za jednego ze znaczniejszych urzędników dworu; dozorczynią szat pani, była panna wyprawna, czyli z wyprawą jój dana: rozkazów téj panny orszak dziewcząt słuchał. Oboje odbierali powierzone sobie skarby pod rejestrem, i przynajmniej raz do roku przed wyższymi od siebie urzędnikami, albo téż i przed samém państwem liczbę ścisłą zdawać z nich musieli. Zwyczaj ten bardzo chwalebny, który wiele oszczędzał, do wielu zbytków i nadużyć panom i służącym drogę tamował, rozsądnej hojności dogadzał, był naśladowanym przez gospodarniejsze domy szlacheckie; i Kochanowska rządną białogłowa, wprowadziła go i utrzymywała u siebie, z tą jedynie różnicą, że szatnia Czarnoleska nie była w osobnym budynku, ale w domu mieszkalnym pod dachem, nad bawialną salą, a ona sama była i szatnym pana i własną wyprawną panną, naprzód z pomocą Nastki, a od lat kilku z wyręczeniem się starszych córek.

Nie jedna dzisiejsza polska gospodyni, w której podróże i pobyt w obcych krajach, zabawy światowe, nie wytępiły zamięłowania ojczystego gniazda i niewinnych uciech, jakie kobiéta tylko we własnym kraju i domu mieć i ko-

sztować może; nie jedna, mówię, prawdziwa Polka (a staje mi na myśli kilka podobnych w téj chwili), z rzetelną przyjemnością byłaby przejrzała szatnię pani Kochanowskiej, i ściagała ją samą we wszelkich zatrudnieniach i pracach jakich wymagało utrzymanie tego składu, nie tylko w dnie przeglądu, który na wiosnę i na jesień się odbywał, ale przez ciąg całego roku. Poddasze było obszerne i długie przez całą głębokość domu, z dwoma oknami na przestrzał; w środku były stoły, pod ścianami szafy z grzędami, z półkami, skrzynie na krąglakach luzem stojące, żeby je zewsząd owiewało powietrze. Każda szafa, każda skrzynia, szczelnie zamknięta obejmowała odmienne rzeczy: tu były szaty Kochanowskiego, tam jój samój, owdzie córek; tu nic tylko futra, tam bielizna, tu znowu domowe porządki, albo nie-  
 tknięte jeszcze zapasy: półsetki płótna, obrusy, ręczniki, płócienka, drelichy, baje, sukna. Raz w tydzień zimną czy latem, owa szatnia okurzana i zamiatana była; wietrzoną, o ile razy dozwalała tego pogoda. W każdy wieczór sobotni, Kochanowska przychodziła tam z koszami; dla córek ku domowej wygodzie, brała co na tydzień potrzebném być mogło, do czego znowu na dole w sypialnej komnacie miała przyzwoite schowanie. Nic do szatni inaczej nie wracało, tylko czyste i całe; to czego już niepodobna było naprawić i nosić, odkładano w skrzynię osobną do głównego przeglądu i do ostatecznego wyroku; a zgadnąć łatwo, iż w domu nie mającym a oszczędnym, gdzie sześć było córek, nie jedna szata już leżąca w ukryciu czas jakiś, wychodziła znowu na jaw wyczyszczona, przerobiona, ale coraz mniejsza. Lecz do tego wszystkiego trzeba było zachodu, wiadomości, biegłości, i koniecznie należało zająć się tém parę razy do roku z gruntu.

Nic tedy dziwnego, iż jak już nadeszła pora owego zajęcia, gospodyni była czynniejsza jeszcze niż zwykle, i raniiej wstać chciała niż codzień. Muszę nawet wyjawić, że

Kochanowska nie spała dobrze téj nocy, choć i mąż i wszystkie dzieci były zdrowiuteńkie. O północy zdało jój się jak gdyby mocny deszcz padał, wstała słuchać pod oknem; około drugiej, znowu się obudziła; przez serce wykrojone w okiennicy, promień księżyca do sypialni się wciskał, a ona myśląc że to już słońce, zerwała się i ubrała; a choć się przekonała że to jeszcze noc, bojąc się zaspać, od niechcienia już tylko na łóżku się położyła, i drzemała lekko do świtu. Skoro się ukazał, w moment jeden cały dom zbudziła a sama wyszła przed ganek.

Wszystkie wróżby pogody się spełniły: niebo było zupełnie czyste, czasem tylko lekki obłoczek, jak gołąb' biały ukazał się na chwilę na błękitie i zniknął. Zacierając ręce z radości, gospodyni zaczęła rozrządzać robotą i robotnikami. Już za dworem, ze strony sadu, w tak zwanym ogrodzie, nie daleko ciennika chróścianego na łączce, gdzieśmy piérwszy raz Orszulkę poznali, parobcy wbijali kilkanaście rzędów pali wysokości człowieka; na tych palach, skoro opadła rosa zaciągniono sznury, a po rannym pacierzu i sutszém niż codzień śniadaniu, zabrali się wszyscy do pracy.

Kochanowska rozpowiedziawszy dobrze starszym córkom i Filipowi w jakim porządku wieszać i rozpościerać szaty, poszła z Nastką na górę, i przez dziewczki służebne posyłała suknie, futra, i inne rzeczy, dopóki ich stało. Schodziły obładowane kobiety z trudnością, głowy im nie było widać przed stosem ubiorów, ale za to wracały lekko i swobodnie wyprzedzając jedna drugą, i ochoczo nadstawiały plecy i ramiona po ciężar nowy. Gdy już wszystko w szatni wyprózniono, dziewczki z miotłami i ze szczotkami zajęły się wyczyszczeniem poddasza, szaf i skrzyń.

— Jeżeli pyłku kurzu i ani jednéj pajęczyny nigdzie nie zostawicie—powiedziała im pani odchodząc—czołko z pięknymi wstążkami każdą z was czeka.



Zabrały się do roboty z podwójną ochotą, a ona zeszała na dół, pańskiem okiem wszystko zobaczyć.

Już wszystkie sznury były zasute; niektóre nawet rzeczy, jako to: kobierce, opony, makaty, sztuki całe rozciągnąć musiano na trawie, i piękny był widok tych szat rozmaitych i tkanin różnobarwnych. Rozjaśniło się czoło Kochanowskiej na widok tylu przyborów, a niektóre wzbudziły jęj czułość. Tu wpadła jęj w oko ślubna suknia ogoniasta, adamaszkowa biała z wielkim wzorem srebrnym, tylu tajemnych i rozmaitych uczuć świadek niemy, która już nieszczęsnej jęj matce w podobny dzień służyła, wnet Ewie posłuży, i z nią na Podole wróci; tu znowu spojrziała na kożuszek jarmuszkowaty, tabinowy, popielicami obłożony z szerokimi rękawami, w jaki była ubrana, kiedy piérwszy raz zjechała do Czarnolasu, i obaczyła ten świat swój, gdzie miała żyć zawsze, i tak szczęśliwie. Tam dalej postrzegła kabat z atłasu amarantowego, sobolem obłożony, który mąż jęj kupił w Krakowie za piérwszą córkę; trzy razy go tylko miała na sobie, bo go chowa na dzień zaręczyn i ślubu dzieci swoich.

Na drugim sznurze wiszą męzowskie szaty: płaszcz rasiany, rewerenda falendyszowa, kołpak gładki aksamitny, jarmułka tabirowa, ubiór zupełny w którym zagranicą chadzał, kiedy się uczył w akademiach i księdzem miał zostać; nieco bliżej, strój czarny dworski jedwabny, trochę z hiszpańska, biret z piórami, krezy białe, bo Zygmunt August taki lubił i nosił najczęściej. Na obadwa niechętnie i niedługo patrzy Kochanowska; zawsze jęj to przychodzi na pamięć, że kiedy je mąż nosił, jakaś tam Lidya, paryżanka, jakaś Hanna dworka panowały w jego sercu; woli przeto obejrzeć żupan jedwabny fijałkowy z wysokim kołnierzem, kontusz zielony aksamitny z guzami koralowemi, pas złoty, czapkę aksamitną białą sobolem obłożoną, bo to ubiór jego ślubny; woli przyjrzeć się starannie futrom rozmaitym,

z których nie jedne kosztowne i rzadkie. Bo wtenczas Polacy i Polki nie zbałamuceni klimatem zachodnich i południowych krajów, zgadzali się z własną strefą i stosowali się do niej, korzystając ochoczo i wdzięcznie ze wszelkiej obrony przeciw zimnu północnemu, jakiej nam hojnie udzieliła Opatrzność. Zamiast się starać o blondyny, koronki i wszelkie robótki na przebój, dziś tak wzięte i przepłacane, a które i od wietrzyka letniego nie osłonią, dawne Polki w futra się zaopatrywały, futra były ich odzieżą i strojem. Zawsze na kołku przy łóżku wisiał dostatni kożuszek, u bogatych sobolowy, u mniej majątnych popielicami, lisami, wreszcie królikami, barankiem podszyty; niewieście zrywającą się w nocy do dzieci, albo skoro świt do gospodarstwa, nieraz i w Sierpniu nie wydał się zbyt cieżnym; gdyż jak wiadomo tym co rano wstają, u nas „od świętej Anki, chłodne poranki“ a i przed świętą Anką nie tak wiele ciepłych.

Skoro zima nadeszła, już Polka futra z siebie nie zdjęła; miała lżejsze, krótkie szaty niém podbite, do domu: ciężkie, długie do kościca, czy w sąsiedztwo. Do stroju, na wielkie zgromadzenia, do dworów królewskich i pańskich, aksamitne, adamaszkowe i atłasowe jej suknie, pod samą szyję, z długimi rękawami, takóž futrem podszyte, a przynajmniej okładane były; naszych królewien najzamożniejszych wyprawy, niemal z samych futer się składały: im białogłowa była bogatszą, tém ich więcéj na sobie nosiła, uważając ciepłych szat niedostatek za dowód srogiego ubóstwa; wszak nawet owe krostki, które występują na ciału z zimna, w naszym logicznym a tak często poetycznym języku *sierotkami* się zowią. I zapewne, gdyby jaka matrona z czasów Zygmuntofskich obaczyła dzisiejszą polską elegantkę, z której w mróz trzaskający suknia koronkowa prawie do połowy ciała spadła, która do krótkich przed łokieć rękawów, ledwie się zdobyła na króciutkie do kostki rękaw-

wiczki i resztę gołej a zsiniałej ręki, jak może przezroczy-  
stą chusteczką osłania, nie poznawszy się na tém, że owa  
suknia kilka tysięcy, a owa chustka kilkaset złotych ko-  
sztuje, litowałyby się nad nią jak nad biedaczką i sierotą  
jaką, co niema czém się odziać; a gdyby jój kto z boku po-  
wiedział: że to bogata pani ale niewolnica mody, przeże-  
gnałaby się zapewne z podziwienia, albo téż wzruszyłaby  
ramionami.

Ale téż matrony Zygmuntofskich czasów, owych dzi-  
wnych bólów i chorób rozmaitych, które dziś nasze Polki  
dręczą, nawet z nazwiska nie znały; żadna, ani hetmanowa, ani  
kanclerzyna, ani senatorowa, tembardziej prosta szlachcian-  
ka nie potrzebowała wód i lekarzy zagranicznych, włoskie-  
go nieba: każda zdrowa, czerstwa, dzieci silne rodziła. Oj-  
czyźnie, późnej i szczęśliwej dochodziła starości.

Kochanowska idąc za powszechnym przykładem i za  
własnym rozsądkiem, największe bogactwo szatni swojej za-  
kładała w futrach. I ona i córki miały pare kożuszków co-  
dziennych i jeden od święta, miały i czuchy czyli szuby, a na  
wielkie mrozy spódniceich nawet były futrem podszyte. Traciła  
może na tém kibić, ale zdrowie zyskiwało. Kochanowski miał  
także kilka futrzanych ubiorów zupełnych, delią, szubę;  
i ten był cel najważniejszy wiosennego przeglądu szat, że-  
by futra zimowe dobrze wytrzepane, ponaprawiane, ułożyc  
w skrzyniach, póki jeszcze robactwo łądz się nie zacznie,  
przekładając je smolném łuczywem, przesypując pieprzem  
i różnemi ziołami, a potém owinione ściśle w płótna, zam-  
knąć szczelnie aż do pierwszych dni Października, pory,  
kiedy je wydobywano z więzienia, żeby znowu do Maja słu-  
żyły; miano bowiem wówczas za jedną z największych ka-  
lendarskich bajek owe słowa: „Zima się zaczyna 21-go Gru-  
dnia, a kończy 21-go Marca.“

Ucieszona Kochanowska widokiem domowych dostat-  
ków i pomyślnym stanem szacowniejszych rzeczy, równie

dumna jak troskliwy dowódzca, kiedy przed nim sute i dobrane rotty w porządku wystąpią, nie mogła na ten jeden raz oprzeć się pokusie; pobiegła do męża pokoju, zastukała do drzwi, chociaż wiedziała że on tam rozmyśla i pisze, i prosiła żeby koniecznie przyszedł niebawem, bogactwa ich zobaczyć. Właśnie pewien paru godzin wolnych, zdjął był z siebie zwierzchnie suknie, odpasał szablę, usadowił się wygodnie, i rzucał na papier pieśń co sobie był w myśli ułożył, wracając dziś z pola; uderzył go był nagły postęp wiosny, szeroką Wisłę widział z daleka, gdyż jeździł do wzywającego jego rady sąsiada. Tyle już był napisał:

Serce rośnie patrząc na te czasy!  
 Mało przedtem gołe były lasy,  
 Śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał,  
 A po rzekach wóz najcięższy zbieżał.

Teraz drzewa liście na się wzięły,  
 Polne łąki pięknie zakwitnęły;  
 Lody zeszyły, a po czystej wodzie  
 Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie świat się wszystek śmieje,  
 Zboża wstały, wiatr zachodni wieje;  
 Ptacy sobie gniazda obmyślają  
 A przededniem śpiewać poczynają...

Przecież chociaż dopiero był w połowie tak miłego i gładkiego utworu, na pierwsze zawołanie żony położył pióro a wdziewając na siebie złożony kontusz, mówił sobie:

— Należy mężowi brać uczestnictwo w pracach dobrej żony: ona nieboga cały rok się trudzi, i nie wymaga innej zapłaty nad dobre słowo moje.

Poszedł więc, a skoro spojrział na ubarwioną łąkę, uśmiechnął się nadobnie i rzekł:

— Panie Rotmistrzu, nie zdaje się wam, żeście z ojcem jaki obóz tatarski zabrali, i w namiotach carzyka



znaleźli moc dostatków. Pani żono! wy cichaczem musicie się bawić z dziatwą podobnemi wyprawami, bo ja, dalipan, tyłu domowych przyborów nie pamiętam.

— Są ci tu i tatarskie, i moskiewskie i tureckie zdobycze—odrzekła Kochanowska, a to mówiąc pokazywała mężowi i Filipowi podarunki braterskie w rozmaitych czasach im przysyłane.

— Zaprawdę—powiedział poeta obszedłszy sznury na których szaty jego wisiały — jakbym kronikę mego życia czytał! Ten kontusz piaskowy wytarty i taki szczupły, którego bym dziś ani dopiął, przerobiony z ojcowskiego żupana; miałem go na sobie kiedym poznał drogiego przyjaciela; on był świadkiem naszej zmowy, on słyszał naszą przysięgę: Jakób przypomniałby go sobie odrazu. A ów zagraniczny, ów dworski strój! o! dobrze co gadać nie umieją, miałyby wiele do powiedzenia... Ręczę, co tam w kieszeniach jeszcze by znalazł jakie wierszyki krotofilne czy miłosne:

Lubeż me wesele, lubeż me biesiady!

albo

Matko miłości!

Szafarko trosk i radości...

— Już ja zdawna wszystko wytrząsnęłam— przerwała Kochanowska nie bardzo rada przypominaniu tych czasów i wierszy, zwłaszcza przy córkach—mole najsmadniej w papier się wdają: rzecz niebezpieczna. Ale panie mężu, ja nie dla samój mojej uciechy was tu zwabiłam, musicie mnie dopomódz w jednej ważnej sprawie.

To mówiąc odprowadziła go cokolwiek na bok, a głos spuściwszy tak powiedziała:

— Przy Boskiej pomocy zdaje się być rzeczą pewną zamęćcie naszą dziewczki; po zaręczynach wypadnie zaraz myśleć o wyprawie: niepodobna inaczej, jedno uczciwie córkę opatrzeć i dać z domu, a jeszcze najstarszą! Chciałam tedy za jedną drogą odłożyć co będzie można i z radą waszą.

— Zupełnie w tém na ciebie się zdaję, Hanno moja— odpowiedział Kochanowski— ty się na tych rzeczach lepiej znasz; ró b przeto co jedno zechcesz, pamiętając przecież, iż Ewa jakkolwiek pierworodna, nie jedynaczka; i że da Bóg doczekać, cztery takie wyprawy, matko, będziesz miała do dokonania.

— Pięć, panie mężu, pięć— odrzekła z żywością — jedna święta nasza, co niczego nie potrzebuje i potrzebować nie będzie; jój najlepsza częśćka już się dostała: patrzy na te wszystkie kosztowności, jak drugi na błoto; ale co Orszulka, ta dostanie odemnie sutą, bogatą wyprawę, a choć najmłodsza, doczekam przecie tego, żebym ją także do ślubnej łożnicy w moim amarantowym kabacie zaprowadziła. Patrzcie sami, jak ona tu ciągle biega, śpiewa, chwali, śmieje się. Jak się przygląda teraz ciekawie owój zielonój bławatnej sukni z tureckim haftem: schowam ją dla niej... Orszulko! Orszuleczko! chcesz, życie moje, daruję ci tę sukienkę?— wołała na nią pieszczotliwie.

— A mnie na co?— odpowiedziała dziecina, i według swego zwyczaju poczęła sobie biegać i śpiewać rymując:

Te stroje  
Wezmą siostry moje;  
Orszulki szaty:  
Gieźteczko i kwiaty.

Ojciec już zapominając i wierszy zaczętych w pokoju, i rad które miał dawać żonie, zajął się cały ową najdroższą pociechą swoją; poszedł z nią i długo bawił się jój słowy, jój wdzięcznemi żarty: to mu trafiała na ukłon pana Rotmistrza, to wyrażała wspaniałą postawę Podlódowskiego, to udawała obyczaj panien i dziewcząt, które były w Czarnolesie ostatniej Niedzieli; to jakie bądź on jój powiedział wiersze, zatrzymywała je w pamięci, jak gdyby na kamieniu się wyrzyły; a co chwila obejmowała jego szyję rączynkami

swemi, jakby mu dziękując, że ją nie oddała od siebie, że jej pozwala z nim się nacieszyć. O, zaprawdę! dziwić się nie było można Kochanowskiemu, iż tak miłuje to dziecko, bo rzadkie to było dziecko, i z ранnego rozumu i z dzielniejszej jeszcze dobroci i czułości, sprawdziło te słowa:

Iż ledwie się kiedy dziecko urodziło,  
Coby łaski rodziców swych tak godne było \*).

Tymczasem Kochanowska ciągnęła dalej rozpoczęte dzieło. Córkom rozdała roboty: Ewie zszywanie porozparanych futer, Dorocie wybieranie ze starzej bielizny lepszych kawałków na onuczki, a była nie mała potrzeba płótna na tyle osób; dwom młodszym kilka szat do sprócia dla łatwiejszego przerobienia. Ludwinie zaś w takim razie dostawało się zajęcie zgodne z jej sercem, i naprzód się cieszyła na nie: jej było poruczone upatrywać i odkładać rzeczy, które już jedynie dla ubóstwa przydać się mogły, a które potem połatawszy, przerobiwszy własną ręką, rozdawała według potrzeby, to wieśniakom Czarnoleskim i ich dzieciom, to przechodnim żebrakom. Bo Ludwiny pobożność była razem oderwana i czynna; a jeżeli jej anielska dusza najczystszych rozkoszy używała w modlitwie, w rozmyślanii, w czytaniu ksiąg świętych; jeżeli dla niej samiej Bóg wystarczał zupełnie, lubiła żeby przez nią drudzy dóbr i pociech ziemskich używali i to było jej najśladszą uciechą. Kiedy ją kto chwalił z tego wyzucia się samiej siebie, a wyłania się całkowitego dla bliźnich, mawiała z głęboką, z rzetelną pokorą:

— Czego mnie chwalicie? ani ja się sama stworzyła, ani ja się sama wychowała: Bogu a rodzicom chwała.

---

\*) Tren XII.

I dlatego wyższe jęj usposobienie nie było nikomu natrętne, nie pokorzyło nikogo, ani tęż ją samą wbijało w dumę i w tę myśl, która tak często jest skopulem dla doskonalszych, więćej duchowych osób: iż są wyżsi nad sferę swoję, i marnięją w nięj żyjąc.

Ale wróćmy do Kochanowskieję.

Po wielokrotném obejęsci sznurów i troskliwém liczeniu na pięćciu palcach; po głębokim namysle i dłuęgieję naradzie z Nastką, odłóżyła na bok część starszēję córki do wielkieję skrzyni, która już oddawna Ewy imieniem naznaczona była; zamawiając jednak u samēję siebie, iż rozpatrzy się jeszcze w tych rzeczach za dni kilka, i wezwie do ostatecznego sądu nietylko męza, ale i brata, skoro wróci. Kiedy idzie o to żeby drugich dzieci dla jednego nie skrzywdzić, możež dobra matka być nadto troskliwą? Suknia tylko ślubna bez żadnego namysłu i pytania się, odłóżoną została dla przyszłēję pani Komistrzowēję, chociaż w całej szatni nie miała równēję sobie; był to już przywilēję starszeństwa, na który sarkać, młodsze siostry nie miały żadnego prawa; i Ewa podobniež, choćby jęj Pan Bóg dał dziesięć córek, dla najstarszēję zachować ją była obowiązana.

Dokonawszy co było najtrudniejszego, już dalsza robota poszła Kochanowskieję jak z płatka. A chociaż dopiero w Sobotę przed wieczorem zdążyła uporządkować wszystko w szatni; chociaż przez te wszystkie dni prawie ciągle była na nogach, co w jęj stanie mogło być z jaką szkodą na zdrowiu: przecięž więćej daleko doznała uciechy niż zmęczenia. Nie brakło jęj tęż na pomocy. Dwóch kuśnierzy i dwóch krawczyków sprowadzonych weześnie z Kazimirza, co trudniejszego było podszyli, pocerowali, skroili, uszyli; córki pracowały także sercem całém: nawet Orszulka, która już umiała pomódz do kaźdēję roboty, która w posłudze rodzicom wszystkie słuęgi wyprzedzała, która nawet klucze matki często nosiła i wiedziała gdzie co znaleźć, jak do



wszystkiego trafić. Pan Filip też nie dopuścił nikomu pierwszeństwa w dzielnym a ostrożnym trzepaniu futer kosztowniejszych i szat, w przyzwoitym i ścisłym układaniu ich w skrzyniach; uważano tylko, że skrzynię Ewy imieniem oznaczoną, bardzo tymczasowo pakował. Kropla deszczu nie padła przez te wszystkie dni, chociaż kilka razy wiatr się zrywał i niebo groziło; wyznać też należy, że młodsze dziewczynki w Piątek rano wzięły dobrze różgą, żeby się lepiej modliły o pogodę. Słowem, Kochanowska, w wieczór sobotni odpoczywając w izbie przy kominie, kazała Ludwinię zapisać w księdze pamięci pod artykułem *Szatnia*, na białej karcie między Kwietniem a Majem następującą przestrożę:

„Pilnować odtąd, żeby ile możności przed końcem Kwietnia odbyty był przegląd zwyczajny wiosenny, gdyż to jest pora najlepsza, jak mieliśmy tego jasny dowód latoś, roku Pańskiego 1584. Zaczęliśmy w Imię Boże, w dzień pięciu Świętych Papieży, a skończyli pomyślnie w dzień Ś. Witalisa. Panu Bogu niech będzie chwała i Matce Najświętszej. Amen.“

Czy jednak ta przestroga na drugie lata nie okazała się mylną, za to ręczyłbym nie śmiała? Tak rzadko kiedy rok do roku podobny, nietylko w pogodzie!

## ROZDZIAŁ XIII.

Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie  
Jako smakujesz, aż się zepsujesz;  
Tam człowiek prawie widzi na jawie,  
I sam to powieć, że nic nad zdrowie  
Ani lepszego, ani droższego.  
Bo dobre mienie, perły, kamienie,  
Także wiek młody, i dar urody,  
Miejsca wysokie, władze szerokie  
Dobre są, ale—gdy zdrowie w cale:  
Gdzie nie masz siły, i wiek nie miły.  
Klejnocie drogi, mój dom ubogi  
Oddany tobie, ulubuj sobie.

II 30.

Kochanowska uradowana pomyslnym skutkiem jednej roboty, wnet zebrała gromadkę swoją do drugiej. Dészcz jak gdyby tylko czekał na ukończenie przeglądu szatni, spadł był obfity; zrazu zimny, ocieplił się był stopniami, zajaśniało téż potém słońce i Maj przyszedł jak zawsze przychodzić powinien: zupełnie zielony i kwiecisty; ziół zba-wiennych i kwiatów leśnych rozwinęło się mnóstwo. Troskliwa gospodyni nie mogła opuścić téj pory, ile że ją miała zapisaną wielkimi literami w *księdze pamięci*, przy śniadaniu więc, we Wtorek, widząc męża dobrej myśli, zapytała się

— Panie mężu! nie zechceciez nam dziś towarzyszyć na wielką pieszą wyprawę?

— Pani żono — odpowiedział — wiesz zdawna, że ja trzymając z moim Jakóbem i z całą bracią szlachtą, piechoty niekoniecznie szacuję. Weźcie pana Rotmistrza z sobą; chorągiew pod którą dziś służy, potężniejsza niż cała moc hetmańska i cała zręczność Urowieckiego; gotów więc pewno i na piechura; wrazie zaś będziecie mieli lepszego odemnie obrońcę.

— Jużem prosił o tę łaskę i otrzymałem ją — rzekł z uszanowaniem młodzieniec.

— Aleby nam z wami jeszcze raźniej było — nalegała Kochanowska — i przy téj pięknej pogodzie pewnoby się jaka piękna pieśń urodziła.

— Poszedłbym-ci jaknajchętniej nie dla pieśni ale dla was, ale dalipan, mam wiele do roboty; miesiąc to najpracowitszy dla gospodarzy się zaczął, a rok ten dał Pan Bóg wczesny, wszystko jak na drożdżach rośnie: trzeba chmiel podpierać i zakładać na tyczki, winnych gałązek muszę nałamać i nasadzić, bo jedno patrzeć, rychło latorośle puszcza pąpowie. Mam téż jeszcze i naszczepić kilkanaście płonek nad Dzbukiem; trzeba kazać przysposobić gliny, bo wiadomo, że ściany się nie padają, kiedy je w tym miesiącu lepić; zboże w śpichlerzach należy przerzucać, o pszczołach pomyśleć; w tych dniach najlepiej smarować dziurki w ulach mlékim owczém, będą się prędzéj pszczoły roiły: zgoła, roboty jest co nie miara, trudno ją wszystką policzyć, cóż dopiero przerobić; wiecie także, iż niéma się na kogo spuszczać, samemu dojrzeć najlepiej; wiecie i to, że śpieszyć się wypada, bo lada chwila zawita posłaniec z Grodna; już mnie nawet kłopotczy, że do téj pory nie nadjechał....

— Pójdziemy więc sami — powiedziała przekonana Kochanowska, całując męża w rękę — waszym pracom szczęść

Boże; a nie kłopotajcie się o pana brata: my dnie liczyli z panem Filipem wczora w wieczór, dopiero jutro spodziewać się należy wiadomości.

— Może i dobrze mówicie — odrzekł Kochanowski— ale ja się nie pytam dokąd i poco ta wasza piesza wyprawa?

— W pole, do lasu, po zioła i kwiaty ku potrzebom apteki, wanny i kuchni. Zwykle przez lato odprawiamy ich kilka, jeśli pamiętacie, ale wiosenna najszacowniejsza, gdyż wiele jest ziół póty skutecznych, póki młodziuchne...

— Dziwna rzecz co ta młodość niczemu nie zawadzi — odrzekł wesolo pan Wojski—wyjąwszy wina i wierszom— dodał obaczywszy przez okno nadjeżdżającego zdaleka zakazanego wierszokletę Tomasza Bielawskiego, który jak wszyscy tego bractwa członkowie, lubił namiętnie czytać głośno przenuodne swoje płody, i jak mógł najczęściej do Czarnolasu zajeżdżał. — Weźcie go z sobą, ja z nim zostać nie chcę; zwój papierów ma widzę pod ramieniem; pewno już skończył swojego *Mysliwca*; przed pół rokiem czytał mi cztery obroty, a obiecał jeszcze dwanaście: nie głupim czekać; gdyby nalegał, gotówbym mu powiedzieć ową Fraszkę, com dla Bączalskiego zrobił:

Nie przeto pytam, Pietrze, gdzie się chcesz przechodzić,  
 Abym się miał na jedną drogę z tobą zgodzić;  
 Ale gdziekolwiek ty chcesz, to mnie tam nie w drogę,  
 Bo twego głupstwa słuchać już dalej nie mogę.

I Kochanowski przywitawszy naprędce wchodzącego gościa, wymówił mu się grzecznie nagłemi zatrudnieniami i uciekł jak zmyty, a pan Bielawski posiliwszy się naprędce smaczném śniadaniem, musiał rad nie rad iść w pole. Nie rozstał się jednak ze swoim zwojem, lubo Kochanowska oddawna go znająca, groziła mu, że z tego papieru



trąbki porobi, jak jój miejsca na zioła w koszach nie zostanie.

Lecz nie było tój obawy, wszystkie nasze dziewczęta, Nastka i dwie dziewczki kuchenne stawily się uzbrojone w koszałki, w kosze, a nawet i w wielkie płachty; było przeto gdzie mieścić, choćby najobfitszą zdobycz.

Ruszyli tedy wszyscy, Kochanowska na czele; Ludwina tylko została: uboga komornica umarła właśnie tój nocy; była przy jój skonaniu, własną ręką zamknęła jój oczy; a teraz poszła obmyć ciało, modlić się nad nióm, pocieszyć, nakarmić, opatrzeć pozostałe dziatki.

Nasza drużyna weselsza, ale zapewne nie więćej szczęśliwa od świętój dzieweczki, pełna była żartów, piosnek i śmiechu, jakto zwykle bywa na wsi, na wiosnę, w rodziném i swojém gronie i na swojój ziemi. Nie zawadzał nawet i pan Bielawski, gdyż był z liczby owych dziwnych i wygodnych ludzi, co to śmieszni i nie mądrzy, ale pozwalają żartować z siebie, bo dobrzy w gruncie i pokorni, są tylko opanowani jakimś rodzajem manii czy lekkiego szaleństwa.

Tymczasem pani Wojska dobrze miejsc świadoma, zaprowadziła gromadkę swoję w pola napozór nieurodzajne, w odwieczne odłogi; lecz gdzie w zamian zboża, na piasku, na kamieniach i wydmuchach, wśród jałowców i berberysów, w dołkach, na wzgórzach, wiele szacownych ziół rosło. Rwali je wszyscy ochoczo, na wyścigi, każdy rodzaj kładąc osobno; a Ewa, która się najlepiej bawiła, najwięćej śmiała, zebrała przecież najwięćej, może i nie trudno odgadnąć przyczyny? Filip zawsze był przy niój i oddawał jój co znalazł. Poszli potem na brzeg lasu, a gdy słońce dobrze w górę się wzbilo, weszli w głąb; tam obfite zebrali żniwo kluczyków, inaczój zwanych pierwiosnkami, których kwiat żółty i pachnący, sparzony ukropem, wyborym jest napejem

na uspokojenie krwi, a moczony w okowicie, suche bōle skutecznie leczy.

Po kilku godzinach chodzenia, schylania się i pracowania, wróciła ochoczo drużyna z tak sutym plonem do domu, że pana Bielawskiego, który w ciągu całej przechadzki błagał napróżno, żeby gdzie siedli i posłuchać go chcieli, już bardzo strach brał o jego papiéry. Zaraz po obiedzie wzięli się wszyscy do dokończenia dzieła, to jest do oczyszczenia z piasku, z niepotrzebnych liści i trawek zerwane zioła, i do zrobienia z nich przyzwoitego użytku. Jednemi czysto oskubanemi, jakoto: kluczykami, piołunem, macierzanką, napelnione zostały próżne gąsiorki i nalane okowitą; inne, jak np oman prawy, rozchodnik, przeznaczone zostały do usmażenia w tłustości, jako bardzo pomocne na rany; a najwięcej ziół zaniesiono na górę pod dach. Tam obok szatni była suszarnia, gdzie na stołach i półkach, jak wypadło, to zioła i korzenie, to krupy, mąki, grochy suszyły się i wietrzyły, bo Kochanowska w tém jedném pozwalała sobie, i na to mąż rozsądny i wyrozumiały bynajmniej jój nie żałował, żeby miała gdzie wygodnie się rozpostrzec ze swoim gospodarstwem. Sama nie posiadała osobnego pokoju, komnata z niższą była sypialnią i dla męża, i dla niój, i dla dzieci; w wspólnój izbie cały dzień siedziała albo w oknie, albo przy kominie, według pory dnia i roku; ale zato miała nietylko szatnię i suszarnię, ale inne, jak wtedy zwano, komory. Miała na górze ogromną śpiżarnię, skład główny krup, mąk, okrasy, grzybów, owoców suszonych i innych gębnych grubszych zapasów, a na dole pod ręką skarbczyk czy apteczkę, gdzie były smaczniejsze, kosztowniejsze rzeczy.

W tój apteczce całą jedną połać przeznaczyła szacownemu zdrowiu. Tam stały gąsiory z różnemi wódkami naciąganemi na słońcu albo przepuszczanemi przez alembik,

na suche bole, paraliże, na słabości wewnętrzne; były tam wódki z szyszek młodych, z glist kopanych na wiosnę, a nawet z gadzin różnych. Tu znowu wody z konwalii od bólu głowy, z goryczki, z rzęsy od trzęsionki, z róży na zapalenie oczów, a nawet wody piękności: marcowe, poziomkowe, liliowe; owdzie octy zaprawne ziołmi, korzeniami od młodości. Tu jeszcze cudowne maści z żywokostu, z łopianu, pod któremi złamane kości się zrastały, a jad z ukąszenia gadów moc swoją tracił; tam ulepki z fijołków i z innych kwiatów na kaszel, na żołądek; w słojach pijawki, żaby, maiki; w słoikach rozmaite proszki: to korzeń liliowy utarty na słabości dziecinne, to raki suszone i utłuczone na miazgę od ukąszenia psa wściekłego; a w worach i trąbkach z papieru, w szufladkach ziółka, kwiaty, korzenie suszone na napoje, do nakadzania, do kąpieli. Każdy zaś szczegół właściwym był napisem oznaczony po polsku i po łacinie, jakby w prawdziwej aptece. Dziś, chociaż sztuka lekarska nierównie więcej jest upowszechniona, niejedna troskliwa matka i dziewczynka stara się mieć podobne zapasy u siebie, i nieraz okazują jój się bardzo przydatne i zbawienne; cóż dopiéro w owym wieku, kiedy po każde lekarstwo jeździć było trzeba do większych miast, gdyż tam tylko znajdowały się apteki zasobne, i kiedy sami jedynie królowie i panowie lekarzy na dworach swoich trzymali?

Kochanowska zacząwszy już lekarskie nauki swoje w klasztorze, gdzie się wychowała, od zakonnice i od Nastki, z bogaciwszy się potem radami pani Kasprowej i kilku starszych sąsiadek, wiele także doświadczeniem i czytaniem, gdyż wówczas mieliśmy już niemało książek łacińskich i polskich o sztuce leczenia, Kochanowska, mówię, zrobiła się zawołaną lekarką, i téj wiadomości swojej udzielała za każdą sposobnością starszym córkom, to ustnie, to praktycznie, to wreszcie dając im do przepisywania różne sekreta.

— My białogłowy—mawiała do nich — mamy na pieczy zdrowie ludzkie, a to nie jedno męża, dziatka, czeladzi, kmieci, ale nawet gościa i uboższego przelodnia; niedosyć zaś wiedzieć jak leczyć, trzeba umieć ochronić od choroby, zwłaszcza w czasach zarazy.

Lubo też w owych wiekach grasowało po różnych stronach Polski morowe powietrze, Czarnolas zawsze uchodził szczęśliwie tej straszliwej plagi. Troskliwa gospodyni za pierwszym posłuchem o wrogu, kazała palić około dworu i po wsi całej ognie z drzewek jesionowych, jałowcowych; w domu podwajała schludności, chroniąc kątek każdy od wszelkiego zatechnienia albo zgnilizny; rano nim jeszcze okna otworzono, kazała kadzić rozmarynem, jałowcem, mirhą, okna otwierała od północy i od wschodu, gdyż ztamtąd wiatr bywa suchy i zimny, a zatem najczystszy; nikomu z domu wyjść nie dała na czczo, musiał się napić, jeśli w dzień mięsny polewki, jeśli w post piwa grzanego, a jeśli z suchotami, zjeść choć skibkę chleba octem nakropioną; zakładała na szyję dzieciom i mężowi orzechy laskowe żywem srebrem napełnione; czeladzi gąbki kawałek umaczanej w occie, z przykazem wążchania jój często; podłogi wysypywać dawała codziem świeżem zielem, tatarakiem, piołunem, jedliną siekaną; ściany nawet, osobliwie nad łózkami, okładać kazała płachtami maczanemi w occie, dla zniszczenia wszelkich zarodów złego.

Wielką też były jeszcze pomocą do oddalenia choroby, a razem i nowem polem do zachodów dla każdej gospodyni wspomianane już łaźnie. Kiedyć każda wioska miała swoje, nie mógł się bez niej obejść i każdy dwór szlachecki. Zwano je potnikiem, suchą wanną; u panów były z wielkimi wymysłami, u uboższych proste ale czyste. W izdebce zupełnie odosobnionej, ogromny piec mocno rozpalony zlewano wodą. Osoba chcąca użyć kąpieli, a było



wiele takich co używało jój codziennie, wstępowała zupełnie rozebrana na coraz wyższe stopnie, a ogarniona parą, coraz obficiejsz potniała. Wtedy kazała się siec winnikami (miotłą z brzozowych różczek z liściem) żeby się coraz lepiej pory otwierały, nacierała ciało różnemi wódkami, a tak wszystko złe, cała nieczystość człowieka wraz z potem spływała, a smarowanie siły dodawało. W domu Czarnoleskim była łaźnia, a nawet cieplica, tak wtedy zwano dzisiejszą zwyczajną kąpiel, Kochanowska i jój córki używały częściej drugiej niż pierwszej. Przykład niezbyt dawny a tak smutny królowej Barbary, która, jak mówiono, najwięcej zaszkodziła swemu zdrowiu i wpadła w nieuleczoną chorobę zbytecznym używaniem łaźni, wstrzymała cokolwiek kobiety od tego zwyczaju, który téż zawsze więcej był upowszechniony między mężczyznami. Łaźnia Czarnoleska, obok kuchni będąca, opatrzoną była różnemi wonnemi olejkami, różnemi wódkami, ziołami, mydłem, bielizną; był zwinny i zręczny pacholek przeznaczony do usługi mężczyzn, łaźiebnikiem zwany; była dziewczka, łaźiebница dla kobiet, a nad tém wszystkiem miała główny dozór sama pani, gdyż każdemu gościowi skoro nocował, łaźnią codziennie ofiarowano, a gospodyni w tém zakładała swoją chlubę, żeby wszędy znalazł wszystko ochędoźnie, przyzwoicie i wygodnie.

Takimi to i tym podobnemi staraniami Kochanowska stawiała się zupełnie duszą domu swojego; dni jój zbiegały szybko, mile i użytecznie. Nieodbicie potrzebna u siebie, niedziw iż wyjeżdżać nie lubiła, choćby na kilka godzin. Od samego zamężcia nie trafiło jój się podobno dwóch nocy przebyć w gościnie. W owych wiekach, niewiasty były prawdziwemi domownicami, *Hausfrauen*, jak dobrze Niemiec je nazwał; najmajętniejsze siedziały zawsze u siebie i na jednem miejscu. Licznym dworem płci obojga

otoczone były jak królowe na małą stopę, i znały to wybornie, że ich władza i znaczenie, wielkie we własnej sferze, nikły za tym obrębem. Tém zamiłowaniem własnych śmieci, tém chętném siedzeniem na témże samém miejscu, kobiety ówczesne, lubo daleko mniej uczone od dzisiejszych, więcej znały i lepiej spełniały owo przeznaczenie Boga, który je „w pomoc mężom“ stworzył. Znakomici urzędnicy, kanclerze, hetmani, posłowie do obcych krajów, wreszcie ludzie rycerscy, rzadko kiedy mogli siedzieć u siebie, zajęci zawsze to sprawą publiczną, to wojną; w cóżby się były obróciły liczne pańskie dwory męzkie i żeńskie, owo źródło największej wziętości u szlachty, w co *wszędzie* wychowanie dzieci, rozpoczęte budowy, roboty, wreszcie cały zarząd majątku, gdyby nie zostawała zawsze w domu, żona, owa druga męża połowa, na którą zdawał władzę swoją, która w jego niebytności rządziła, zawiadywała wszystkiém z tém większą troskliwością, iż pragnęła za powrotem jego uzyskać pochwałę.

Nie wiem téż, czy komu w spółczesnych kronikach i pamiętnikach zdarzyło się wyczytać, żeby jaka pani polska przenosiła się do Krakowa na zimę, albo jeździła za królewskim dworem. Jeśli się natrafi kiedy w dziejach na imię jakiej znakomitej matrony, jest to zwykle imię wdowy, która szukając sprawiedliwości u stóp tronu, sama dopominać się musi o skrzywdzenie na dzieciach lub na majątności. Dopiero, gdy z drugą połową XVII-go wieku zaczęliśmy mieć królowe francuzkie, gdy rosły coraz większe frymarzenia o koronę, kobiety okazały się potrzebne do intryg, i coraz więcej świecić się zaczęły na królewskim dworze i po stolicach.

Co do podróży za granicę, w zakładby pójść można, iż w owych czasach żadna Polka nie była widzianą w obcych krajach, u cudzoziemskich monarchów. Badałam usil-

nie pierwszych śladów owych niewieścich włóczęg, dziś tak u nas pospolitych; znachodzić się dopiero dają w XVIII-tym wieku. Wiemy wszyscy, jakiem pasmem błędów i nie-szczęć był ów wiek dla Polski; wiemy także, iż nie-jedna z owych Polek zaniedbawszy dla obcych bogów domu i ojczyzny, za powrotem już nie zastała domu ni ojczyzny.

---

## ROZDZIAŁ XIV.

A ty ojcze i matko! zacna krwi oboje,  
Wesolém i chętliwém sercem dziecię swoje  
W rękę obcemu dajcie! . . . . .

. . . . .  
Błogostawcież im spólnie, zacne to są rzeczy,  
Kiedy ojciec i matka dziatkom dobro rzeczy  
*Epithalamium na wesele Radziwiłła.*

Cały dom Czarnoleski jeszcze pachniał wonnym zbior-  
rem, jeszcze Ludwina z Nastką rozkładały skuteczne zioła  
w suszarni, jeszcze pan Filip prawił pannie Ewie, że te  
liście i kwiatki ani podobne były do Podolskich; jeszcze pan  
Tomasz Bielawski nie przejechał granic Czarnoleskich i nie  
pokonał wstydu jaki mużę jego spotkał, kiedy stanął przed  
wrotami zmęczony posłaniec i wnet wręczył gospodarstwu  
list następujący od pana Podkoniuszego

Najmilsi moi!

„Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi“ inaczéj się rze-  
czy obracają niżeśmy sobie układali. Dojeżdżając tu, o mi-  
dwie spotkałem się z ludźmi memi i końmi w dobrém zdre-  
wiu, Bogu dzięki; jeden tylko kary zapada trochę na nogę,  
ale zda się nic mu nie będzie. Nazajutrz rano, miałem  
posłuchanie u Miłościwego Pana, mówi że zdrów; zdawał



mi się przecież zmieniony na twarzy, łaskawszy zaś niż kiedy; rad był nad zasługi i mnie i koniom, wszystkie chwalił, mianowicie białego Iwaszkę i siwego jasno jabłkowitego Greora; co zaś ciemno gniady, ulubieniec Filipa, i Miłościwemu Panu wpadł w oko, przezwał go *Batorym*, i powiedział, iż w czasie piérwszój bitwy, jaką Pan Bóg w sprawiedliwości swojej dać raczy, chce na nim siedzieć i zwyciężyć. Chłopaka Turka Kiziamusza, któregom wraz z końmi kupił i przywiózł, wyznaczył wyłącznie do jego posługi; mówiąc: „rzecz słuszna, kiedy Batory król, ma dwór cały, żeby Batory koń, miał choć jednego sługę.“ Pan koniuszy koronny Kacper Maciejowski, i pan Jakób Piasecki koniuszy litewski odchwalić się także mego kupna nie mogli. Ale dosyć o koniach, trzeba już orzech zgryźć i powiedzieć wam nowinę, która was zasmuci. Wczoraj Miłościwy Pan rozmówiwszy się ze mną sam na sam w komnacie swojej, rozkazał, abym niebawem do Turcyi znowu jechał, drugie tyle koni nakupił, zwłaszcza arabskich, jeszcze inne a ważne spełnił polecenia, które papierowi zwierzać, nie widzi mi się rzeczą bezpieczną. Nie do smaku mi ta podróż, jak miarkować możecie, ale powinność przede-wszystkiém iść musi. Jutro ztąd wyjeżdżam; da Bóg we Środę nad wieczorem ujrzycie mnie: półtrzeciój doby jedno zabawię i pożegnaw was. Miłościwy Pan radby, żebym w Sierpniu był z powrotem. Na mój rozum, miasto zareczyn wyprawięby dziatkom naszym, poprostu tego Czwartku wesele. Juścić Ewulka miała czas się ułaskawić; kilka tygodni zna swego bogdaaa, mało którój dziewce tak się uda; niechno zapyta pani matki jak z nią było? a cóż jęj się złego stało? Odjechałbym spokojny, gdybym mego Filipa już żonkosiem zostawił. Możębyście przechowali komorą państwo młode u siebie przez te pare miesiący, a za moim powrotem z Turcyi odbyłyby się przenosiny do Studzienicy;

jabym ich tam przyjął, da Bóg! Zostawiam to zresztą mą-  
dremu baczeniu waszemu.

Wasz wierny brat i przyjaciel

Jakób Podlodowski  
*Podkoniuszy królewski.*

P. S. Jedno dobre co się stało tak nagłym wyjazdem jest to, iżem prosił Miłościwego Pana o podpisanie mego testamentu; uczynił tём chętniej tój prośbie zadosyć, gdy się dowiedział że ten zapis obchodzi waszą córkę. Z wielkim a należyтым jest zawsze szacunkiem dla ciebie, Janie. Wieczorem kazał nadwornym śpiewakom odśpiewać twoje *Epinicion*, wyborną a huczną muzykę dorobił nasz Klabon, aż krew we mnie zawrzała, żeby znowu bić się; i wolałbym iść na Turka jak jechać do Turka, ale może przyjdzie i do tego.“

*Dan w Grodnie w dzień ś. Witalisa, 1584.*

Odczytanie głośne tego listu przez Kochanowskiego, sprawiło wielkie a przykre zdziwienie w obecnych. Owa niespodziewana podróż Podlodowskiego, owo albo naglenie albo odłożenie stanowczego aktu, nie mogły być nikomu na rękę. Jeden pan Rotmistrz powinien był się radować, widząc przed sobą podobieństwo do tak rychłego połączenia się na zawsze z tą co kochał, ale on owszem najsmutniej się zamyślił; a kiedy Kochanowski zapytał go, co o tём wszystkiём trzyma, i zachęcił by zdanie swoje wyjawił śmiało on tak odpowiedział z uszanowaniem:

— Wolno waszym miłościwym zrobić co się wam jedno podoba; moim obowiązkiem służyć ich. I zaiste, nie byłoby dla mnie większego i mniej spodziewanego szczęścia jak gdybym tego Czwartku nie narzeczoną ale żonę z rąk waszych dostał—a tu zbytek pomieszania prawie dech odjął rozkochanemu młodzieńcowi—jednak—dodał—zataić nie mogę i nie powinienem, iż choćby przyszło prosto od ołtarza

odjeżdżać, odjadę; gdyż ojca, dobroczyńcy mego, samego do Turcyi nie puszczę. Za nic byłoby mi wszystko, gdyby jemu w tój drodze nowe nieszczęście się stało.

Jeszcze nie dokończył tych słów, kiedy Kochanowski powstał i rzucił mu się na szyję: Matka z za łez spojrzała na niego z pochwałą; Ewa nie ruszyła się ze swego miejsca, spuściła oczy, ale jój serce napeniło się błogiém uczuciem i podwojoném przywiązaniem do swego bogdana; kobięta godna tego imienia, kiedy jój kochanek powinność nad nią samą przeniesie, w sercu szlachetném niema ku enocie zazdrości. Już tedy ani mowy być mogło o weselu; wreszcie gdzież wyprawa? gdzież inne przygotowania? Na zaręczyny więc wszyscy się zgodzili. Matka zastanowiwszy się, nie bardzo się gniewała, iż parę miesięcy dłużej patrzeć będzie na pierworodną swoją. I Ewa, prawdę rzekłszy, najwięcej smutkiem Filipa smutną była.

Niewiedzieć się przez czas jakiś, trochę później iść za mąż—myślała sobie—nie takie znowu wielkie nieszczęście, kiedy na całe już życie będę pana Rotmistrza i z nim... Owszem może nawet lepij; kochanym rodzicom trocha dłużej posłużę, siostrami, czeladką, więcj się nacieszę; przypatrę się cuotom świętj naszj, i może nauczę się ją naśladować choć w niektórych rzeczach; oswoję się bardziej z taką zupełną życia mego odmianą...

Ale Kochanowskiego, im więcj się zastanawiał, tım go boleśniej przejmował ten cały zawód; ścisnęło mu się serce, dreszcz go przechodził, jakieś przeczucie nieszczęścia go ogarnęło; zdawało się jak gdyby księggę przeznaczeń ludzkich kto przed nim otworzył, i błysnęła nagle karta jego i przyjaciela z okropnym wyrokiem. Na domiar jeszcze tych trwozących myśli, kiedy odczytywał pocichu list swego Jakóba, i zatrzymał się nad temi słowami:

„Półtrzecięj doby jedno zabawię i pożegnám was“ dzwón żałobny dał się słyszeć w Policzny i uderzył o duszę jego.

Nie było nic w tém dziwnego, chowano właśnie komornicę, której Ludwina w nocy pilnowała, ale jemu ten głos pro-rockim się wydał:

— I nam obudwom wnet tak zadzwonią, rzekł w duszy.

Przecież nie chciał wcale wyjawiać przed drugimi tego co się w nim działo; jako człowiek wyższy od tego co go otaczało, nawykł on był wiele uczuć i wrażeń zamykać w sobie i wynurzać je tylko przed Bogiem; usiłował więc i teraz przezwyciężyć się, zagadać, zagłuszyć samego siebie i zaczął radzić z żoną o tém co było do zrobienia. Filip i Ewa ze swojej strony radzili; on się martwił i narzekał, ona go cieszyła jak siebie dopiero co; młodzieńcowi nie wpadały wcale do myśli te pociechy: wymawiał kochance jęj obojętność, troskał się czy w czasie tak długiego rozłączenia nie wyjdzie z jęj pamięci.

— Co z oczu, to i z serca—mówił—łatwo to zapomnieć o co kto nie dba.

Zgoła nieco zimny układ Ewy, i zimniejszy może na pozór jak był w istocie, zasmucał Filipa, ale zwiększał jeszcze jego miłość, bo tak bywało za Batorego, jak dziś bywa: im mniej namiętnie mężczyzna kochany od kobiety, tém sam kocha namiętniej.

Już była późna godzina wieczorna, przeto prócz wspólnej narady, Kochanowscy mało co w tym dniu zrobić mogli. Ona tylko rozesłała na różne strony po kurczęta, po jaja, po raki, po zwierzynę jaką w Maju mieć się godzi; on zaś powiedział, że jutro skoro świt ruszy do pani Mikołajowej do Jasińca, oświadczyć jęj zamęźcie córki, i zamówić na zaręczyny, oraz wezwie syna jęj Adama jako najstarszego z synowców, ażeby w jego imieniu objechał liczne sąsiedztwo i krewnych, i zaprosił ich na czwartkową uroczystość. Jemu, urzędnikowi całej Sandomierskiej ziemi, mężowi już w wieku, i tak poważanemu nie wypadało samemu tego uczynić.



Wyobrazić sobie łatwo jaki był ruch w Czarnolesie przez dni następujące; warto o nim coś nadmienić. Ale naprzód powiedziec należy, że smutek Kochanowskiego, który jednak przez całą noc go niepokoił, ustał w ciągu poranku. Właśnie wracał z Jasieńca, kiedy dojeżdżając do domu, napotkał Orszulkę z Nastką; napała się koniecznie dziecina, żeby wyjść przeciw ojcu; chciała pierwsza powitać go z drogi, i donieść mu drogą nowinę: pan Podkoniuszy w wieczór dopiéro spodziewany, przyjechał. Ta radość przywróciła zupełnie swobodę duszy poety; ktokolwiek kochał, wie jakim jest dobrodziejstwem dla zękanego serca widok drogiej osoby: jak słońce ranne, wszystkie trwogi nocy niespanej rozpędza, tak twarz przyjaciela, ufność, bezpieczeństwo sprowadza. Jak się troskać miał nasz Jan, kiedy widział swego Jakóba zdrowym, wesołym, pełniejszym niż kiedybądź, dobrej myśli; co do krajowych i własnych powodzeń? czego miał przewidywać jakieś nieszczęścia, kiedy Podkoniuszy królewski mu opowiadał, pokazywał z jakimi ostrożnościami wracać teraz będzie z Carogrodu, jakimi listami glejtowemi jest opatrzony, kiedy mu wyrachował czarne na białem i tak jasno jak dwa razy dwa są cztery, że na dzień Wniebowzięcia Matki Najświętszej na piętnasty Sierpnia, w Czarnolesie się stawi. Tak uspokojony Kochanowski, podzielił sercem całym z przyjacielem żywą radość, jaką w nim postępek wychowanka sprawił; drożył się to niby przybrany ojciec z początku, ale przecież rad był ofercie; i po niedługim certowaniu się przyjął, gdy czuł w sobie iż w podobnym razie tak samo byłby postąpił.

Kochanowska, córki, czeladź cała, i sam pan Rotmistrz rzucili się do roboty. Na uroczystość tak znakomitą należało przyrządzić dom, jadło, napoje i ubiory; było więc o czém myśleć, ile że czas był tak krótki. Jużto z domem najmniejsza była robota; prawda, „że wszędzie kwieciami strząsiono, wszędzie zawieszono wianki“ ale w izbach

żadna inna nie zaszła zmiana. Jakkolwiek pan Wojski oświadczył z wielką radością młodzieży, że będzie muzyka i tańce, nie było przecież żadnej potrzeby urządzania bawialnej sali w „salę balową“, jakbyśmy dziś w takim razie powiedzieli i zrobili. Ówczesny sposób ustawiania sprzętów, był zupełnie różny od teraźniejszego. Tylko na składach przedajnych, ławki, stoły, krzesła, sepety, kantorki stały w szerz, wzdłuż, w poprzek, i na środku izby; tam gdzie ludzie mieszkali, ruszali się, przechadzali, było przestrono, szeroko; konieczne, a przeto nie liczne sprzęty ustawiono rzędem pod ścianami, a że wazkie były, mało zabierały miejsca. Nie weszło też jeszcze w zwyczaj poleganie się, które dziś wymaga tyle kanap, sof, tatusiowych krzeseł, połączków; panny siadały na samym brzeżku ław i stołków; młodzież męzka rzeźka, zahartowana, i pełna uszanowania, nie tylko że się nie kładła, nie opierała w obecności starszych i białogłów, ale usiąść nie śmiała bez wyraźnego rozkazu; poważne zaś matrony i mężczyźni sędziwi, jeżeli czuli potrzebę wypoczynku, szli do łóżka. Mogła tedy zostać sala bawialna Czarnoleska w swoim dawnym porządku; podłogę tylko dębową zamieściono dobrze, umyto schludnie, żeby nic kurzu nie było, a Kochanowska przyrzędziła za piecem na murku gąsior wody pachnącej, zmieszanej napół z tęgim octem, postawiła obok lejek, żeby w ciągu tańców polewać niekiedy podłogę w używane dotąd esy i floresy, sposób arcy wysmienity, gdyż i kurz w izbie opadał, i powietrze się odświeżało.

Większe były zachody około jadła i napojów, bo już to u nas i dawniej, i dziś jeszcze podobno po wsiach, najwięcej o papkę dbano, i dosyć ogólna była zasada: „cała rozkosz człowieka tyle jest co zażyje.“ Mało szło szlachcicowi gdzie i jak gościa posadzi, byle go nakarmił i napoił do zbytku. Miał być tedy obiad, podwieczorek, wieczerza,

podkurek, czyli od południa do północy ciągle jedzenie i picie. I matka i córki nie żałowały rąk w przygotowaniu różnych przysmaków. Zubek kucharz sadził się jak jeszcze nigdy; dom też był zasobny jak wiemy; piwnice dobrze opatrzone, stawy rybne, apteczka pełna. Prócz tego, kmiotkowie Czarnolescy skoro się dowiedzieli o zaręczynach starszej pani, znieśli zaczęli rozmaite podarki. Nie było chaty w całej wsi, gdzieby Ewa z dobrego i hojnego serca swego znaną nie była; nie było też chaty, gdzieby w tym dniu nie myślano o sposobie okazania jej wdzięczności. Papisowa przyniosła w koszu dwanaścioro kureczątek, co je pod własnym jej łóżkiem siwa kokosz jeszcze w Styczniu wysiedziała: Ewa doglądała jej dziewczuchy w długiej chorobie, jakże jej nie miała oddać co było najdroższego w domu? Kosikowa pare tucznych kapłonów wydobyla z pod ramienia: pani pamiętała już od lat trzech o jej starym ojcu, co leżał ciągle w łóżku, powietrzem ruszony. Baranowa całą misę glinianą świeżych jajek przydzwigala, a nie było ani jednego po czarnej kurze: kiedy Nastka jej syna podawała do chrztu, Ewa swoją ręką uszyła mu cały ubiór chrzestny! Gryklik, gospodarz i najlepszy łowczy we wsi całej, wziął rusznicę ze dworu, i na szczęście pani pamiętała ruszył w dalekie zarośla i bagna; ogromny pęk przyniósł cyranek i kurek wodnych: w zimie kiedy staczał z wozu sztukę drzewa przywiezioną z lasu, stłukł był sobie nogę, starł aż do kości i ślimaczyła mu się okropnie; Ewa przez cały miesiąc na przemian z Ludwiną opatrywała ranę i wygoiła zupełnie. I inni za tym podobne przysługi, a czasem tylko za prostą zyczliwość, bo kmiotek często wdzięczniejszy za dobre słowo niżli za pogardliwy datek, znosili co tylko mogli: to kwartę mанны uzbieraną troskliwie przed wschodem słońca na łąkach, to tłustych serów kilka, to worek orzechów suszonych, to grzybów parę wianków, to raków

ogromnych kopę; a każdy i każda za największą łaskę prosili, żeby paniątka przyjęła mile ich skromne dary i żeby na uczcie zaręczynowej spożyte były.

Przy takiej obfitości, nie wypadalo się już troskać żeby czegoś brakło; zostawało jedynie ustanowić porządek w wydawaniu, gdyż nie pomoże i zbytek wszystkiego, kiedy ładu niema. I temu zapobiegła Kochanowska, a to najwięcej za pomocą Ludwiny. Święta dziewczątka trzymająca się jedynie świata przysługami jakie drugim oddać mogła, którą z dzieciństwa nikt ani do zabaw, ani do tańców namówić nie zdołał, najszczęśliwszą była, kiedy jej pozwolono tam być, gdzie dużo było pracy a nic wydatności. Z najwyższą wdzięcznością podjęła się tedy zatrudnienia wydzielonego jej przez matkę, i otrzymała uwolnienie od pokazania się gościom. Pod jej zarząd oddane zostały podręczne zapasy: ciasta, wędliny, zimne mięsiva, których według potrzeby używać miała; nauczyła ją Kochanowska kolei, w jakiej Zubek potrawy winien był wydawać; co należało dać na obiad, co zostawić na wieczerzę, co na podkurek: zgoła, jak to i dziś bywa u dobrych i przewidujących gospodyń, z góry i wcześniej pomyślano, żeby w niezem ani szkody, ani wstydu nie było.

Ale i o ubiorach wypadalo pomyśleć: Kochanowski przywdział swój ślubny, ozdobił go bogatym złotym łańcuchem, który niegdyś od Zygmunta Augusta był dostał, i całą postać przybrał godową; aniby nikt zgadł po nim onegdajszych smutków i niepokoju: mocno wszystko czujący, z całą pełnością serca używał radości ojca, dzielił szczęście przyjaciela. Kochanowska równie wesola a tém szczęśliwsza, że zapewniając pomyślny los córce nie traciła jej jeszcze z oczu, wystroiła się w ów kabat amarantowy, który za Ewę od męża dostała; głowę i piękne jeszcze ciemne włosy, ale których od zamęzcia już świat nie widywał u da-



wnych Polek, przykryła niską czapką niebieską aksamitną z sobolem, z pod której wychodziła jakby siatka złota z perłami. Lecz oczywiście i matkę i całą pleć niewieścią domową zajął najwięcej strój oblubienicy. Wypadało jój być ubraną pięknie, a przecież nie kosztownie i do tańca. Biała barwa była najprzyzwoitsza, ale wówczas lekkich sukien, jak dzisiejsze balowe weale w naszej Polsce nie znano; i niewieście, za Batorego, którejby chciano włożyć przezroczysty kabat, byłoby tak dziwno jak nam, gdybyśmy usłyszały o jakim mężczyźnie, że koronkowy frak nosi. Był rąbek, były tureckie i indyjskie muśliny, ale używano je tylko na zasłony i tak zwane zawijki czy rantuchy; na to miejsce jednak miano jedwabne materye na suknie, które prac się dawały: do ich liczby należał czamlet czyli kamlot. W taki więc kabat czamletowy biały, trochę mniej pod szyję niż codzienne suknie, sznurowany z przodu złotą tasiemką, gdyż suknie z rozporkami z tyłu zwano wtedy nieskromnym ochędostwem, ubrała się nasza Ewa. Szeroka taśma jedwabna zielona, gęsto złotem i perłami przerabiana, prawdziwa turecka, podarek Podlódowskiego (a złożył ich nie mało dziewczeczce i jój rodzicom w imieniu Filipa), odznaczała stan jój wcięty i składny; żółte półbutki na małej nóżce świeciły. Włosy długie powięzała w warkocz, krótsze skręciwszy rozpuściła w pierścienie, przyciskał je na czole wieniec z żółtych jaskierków barwinkowym liściem przeplatany. Był to także dar Filipa:

Włóż na piękną głowę twoję;  
Tę rozkwitłą pracę moję.

powiedział jój kiedy się ubierać zaczynała, od przyszłego teścia pożyczając mowy; ale kwiatki i liście tego wieńca na złotój łubce osadzone były i spinał je z przodu kosztowny szmaragd, w dyamenty oprawny. Ewa była śliczna w tym stroju; a choć jój siostra Dorota, zupełnie do rodu Podło-

dowskich podobna, daleko piękniejszą i wyższą być obiecywała; choć panny Mysłowskie, Sienińskie, Dąbrowskie i inne, które z rodzicami na tę uroczystość zjechały, były prawie wszystkie dorodne: ona, gdy między niemi stanęła, wydała się najlepší. Nie była przecież piękna: średniego, prawie małego wzrostu, rysów twarzy nieregularnych, była raczej hoża, zgrabna, gładka, drobna i co dawniej nazywali wdzięczna. Jak gdyby na nią ojciec patrzył, kiedy napisał:

Co pocznie, gdzie się ruszy, *wdzięczność* ją sprawuje,  
I wszędy niewidoma za nią p<sup>o</sup> s<sup>ę</sup>puje.

Ale nie wyprzedzajmy i opowiedzmy porządkiem uroczystość owego Czwartku.

Dobrze przed południem zaczęli się zjeżdżać wezwani goście; żaden nie chybił, bo gdzież kiedy Polak do uczy się nie stawił? Skoro zbliżał się kto do wrót, na ten dzień na oścież otwartych, czy konno czy powozem, muzyka uszykowana w jednym rogu podwórza blisko domu, witała go huczno i z okrzykiem, aż się rozlegał odgłos radosny po całej okolicy. Bo jużto wówczas żaden obrzęd, żadna biesiada nie obeszła się bez „gędzby,“ témbardziej w domu Kochanowskiego, który za muzyką przepadał. Niedosyć majątny żeby mieć nadwornych grajków i jakiego Bekwarka, starał się przynajmniej, iżby niektórzy z jego dworskich i czeladzi grać jakokolwiek umieli, choćby nie z partesu. Woźnice, pacholki, ogrodnicy, stawnik, młynarz, dęli nieźle w trąby, bili w bębny, puzony ciągnęli; pasterze odzywali się dosyć mile na multankach i na piszczałce; wódarz gniótł dzielnie i nadymał dudy, a sam pan Łukasz Gumpolski w potrzebie uderzał wybornie w cymbałki. Służba też Podlodowskiego z samych Podolaków, Ukraińców i Kozaków złożona, owych muzykalnych ludzi, nie dała się zawstydić w tej mierze Mało i Wielko Polanom. Jeden z teorbana a raczej z cytry dźwięki dobywał słodkie, drugi

przygrywał pięknie na lutni, tamten na drumbli, ów na sałamajkach, a wszyscy głosy mieli donośne, rzetelne, czyste. Prócz tego, dwóch śpiewaków Serbów, z tych co wtedy po wszystkich krajach słowiańskich krążyli, zaszedłszy właśnie do Czarnolasu, stanęli na przodzie gędziebnej gromadki, pochyliwszy głowy ciągnęli długimi smyczkami po skrzypcach; zapominając na ten raz smutnych dum swoich, wtórowali nadobnie i wesoło śpiewom bratnim.

Niebawem zasiedli goście do obiadu. Ponieważ sam obrzęd zaręczyn dopiero po obiedzie miał się odbyć, i wieczera uroczystą ucztą mianowaną była, nie siedzieli jeszcze narzeczeni przy sobie u stołu, i choć dosyć ochoczo szły kieli chy, przecież ukradkiem tylko i pod pokrywką spijano ich zdrowie. Nasłuchiwała się jednak Ewa niemało żarcików i przycinków i „nieboraczka nie jednego spiekła raczka;“ byli nawet tacy z młodzieży, co żale wynurzali swoje, zwłaszcza gdy wino zaczęło trochę rozgrzewać czupryny: byliby chętnie i Filipowi przypinali łatki, gdyby nie wysoki szacunek dla gospodarza i przekonanie że z panem Rotmistrzem Owadowskim żartować rzecz niebezpieczna. Nawet i panny, lubo nie tak wyraźnie, przecież miały jakąś niechęć przeciw biédnej Ewie: „najmłodsza z nich i najmniej ładna, przynajmniej w ich mniemaniu, porwała im dziarskiego, majątnego, rycerskiego młodzieńca, ledwie co przybył w ich okolicę; gdyby miał być czas przyjrzenia się trochę lepiej, byłby niezawodnie wybrał inaczej.“ Bo jużto tak zawsze bywało i będzie, że skoro zejdzie się jaka para, wszyscy młodzieńcy i dziewice, co dawniej ani o niej ani o nim nie myśleli, roszczą sobie jakieś żale do nich obojga, zupełnie jak gdyby oni ich ubiegli, jak gdyby im wzięli ich własność. W takim zdarzeniu po gniewie męzkim, po zazdrości niewieściej, sądzićby można, iż tylko ten jeden młodzian i ta jedna panna na świecie, a przecież zostaje jeszcze i jednego i drugiego, łaska Pana Boga.

Ale te wszystkie niechęci i żale, te wszystkie chmurki towarzyskie, które zarówno z chmurami powietrznymi nie zmieniły się i nie zmieniają do końca świata, rozpierzchnąć się miały, skoro ważne nastąpiło zajęcie.

W parę godzin po obiedzie, kiedy już trochę ostygły zagrzone czupryny, Kochanowski, który wyszedł był na chwilkę z bawialnej sali, wrócił w towarzystwie księdza, ubranego w białą komżę, za którym szedł organista z tacą w rękę i z wodą święconą. Był to sędziwy proboszcz z Policzny; zajęty obowiązkami pasterza nie mógł zjechać na obiad, lecz teraz przybywał poświęcić zrekowiny Ewy i Filipa. Dawniej żaden ważniejszy obrzęd nie mógł się spełnić bez uczestnictwa kościoła, dopiero wtedy nabywał wagi.

Wnet na stole biało nakrytym pod środkową ścianą zajaśniały dwie świece jarzące i okazał się między nimi wizerunek Zbawiciela z kości słoniowej na hebanowym krzyżu. Kapłan o ten stół się oparł i obrócił się twarzą ku obecnym; wszyscy powstali i umilkli: Ewa, która się bawiła wśród młodzieży, uciekła jakby pisklę przestraszone skryć się pod skrzydła matki. Filip bez trwogi i zwolna stanął obok przybranego ojca; Kochanowski zbliżył się do żony i oboje stojąc czekali z powagą. Nie czekali długo. Podlodowski, którego niezwyčajnej urodzie w tym dniu strój rycerski i wykwintny nowego dodawał blasku, wziął za rękę również prawie dorodnego a piękniej jeszcze przybranego Filipa, stanął przed nimi, skłonił się nisko i w krótkich słowach prosił o ich córkę dla swego syna.

— Nie wdrygajcie się ani żałujcie — dodał widząc urzędową wstrzymałość na twarzy ojca, a łyzy w oczach matki — zostanie z wami dziewczeczka wasza; obrzęd dzisiejszy jest jedno rękojmią, iż bądźco bądź się stanie, dacie ją za żonę, skoro czas pogodny nadejdzie stojącemu tu przed wami rotmistrzowi Owadowskiemu; w zakład czego pozwól-



cie, niech w obliczu ukrzyżowanego Boga, w oczach tylu znacznych świadków, mój parobek i wasza dziewczka zamienią pierścienie, i niech je sługa Boży poświęci.

Kochanowski odpowiedziawszy stosownie, podał córce szacowny pierścień rubinowy, krwawy, jak dla rycerza przystało; ona wsunęła go, jak chciał zwyczaj, na największy swój palec, ale spadał, gdyż był bardzo duży. Podlodowski ze swojej strony wręczył synowi pierścionełk misternój roboty, z jasnym jak gwiazda i nieskażonym w kształcie serca dyamentem: młodzieniec wcisnął go na czubek serdecznego palca. Wtedy organista podał tackę oblubieńcom: złożyli na niój pierścienie, a prowadzeni przez ojców ziemskich, stanęli przed ojcem duchownym. On modlitwę zmówił nad pierścieniami, pokropił je święconą wodą i oddał dwojgu młodym. Ewa z rozkazu ojca dała rubin Filipowi, a on bez rozkazu ofiarował jój dyament, a nachyliwszy się i ukląkłszy, najprzód błogosławieństwo kapłana przyjęli, potem padli oboje do nóg ojcom i matce, i z pełności ich serca odebrali obfite i szczere błogosławieństwo. Nie wiele jednak słów słyszeli obecni: jakkolwiek nagotował się Kochanowski do długiej mowy, jakkolwiek w podobnych razach obcym prawie i śpiewać umiał, dla pierworodnej słów nie znalazł, i prędzejby się były łyzy nastęrczyły; ale wstrzymał się od nich, żeby nie rozczulić więcój już tak rozczulonej matki i córki. Nastąpiła więc chwila uroczystego milczenia. Przerwał ją wnet pan Adam Kochanowski, mianowany od stryja starostą całego obrzędu, zawołał wielkim głosem:

— Kielichem! kielichem!

Na to hasło, jakby na wystrzał bojowy, albo na pobudkę obozową, wszyscy w sali ruszyli się, przemówili. Świeće zgaszono; Ludwina pod bocznemi drzwiami stojąca i modląca się serdecznie o szczęście siostry, którego ani pojmowała ani zazdrościła, odebrała ze czcią z rąk matki wizerunek Zbawiciela i odniosła go do sypialnej komnaty;

ksiądz zdjął komżę, organista wyniósł się ze święconą wodą, a gospodarz podniósłszy w górę szacowny rostruchan w kształcie kruka, który przed sześcią laty od Zamoyskiego był dostał za napisaną na jego wesele Odprawę Posłów, wniósł zdrowie młodej pary i kazał zabrzmieć stojącej pod oknami muzyce. Zaczęły się dopiero okrzyki, powinszowania, życzenia; rostruchan przechodził z rąk do rąk; a choć kwartę z górą trzymał, w mgnieniu oka był spełniany. Wino było dobre, wytrawne, tego wieku co narzeczona, gdyż według staropolskiego zwyczaju, w roku jój urodzenia wtoczono je do ojcowskiej piwnicy; samo więc się prosiło, jakto mówią, o rzeczach smacznych. I zaiste, gdyby losy Filipa i Ewy tak mogły były iść po myśli, jak ów złoty trunek szedł gładko do gardła gości i domowych, ledwie z imienia znaneby im były kłopoty, zawody i smutki. I w téj chwili stojąc obok siebie, trzymając ręce, pewno ani wątpili oboje, że będą zawsze doskonale szczęśliwi. I czyż mógłby się kto im dziwić? Kochali, byli młodzi. Spojrzawszy na nich, zdawało ci się, że widzisz uosobione szczęście i życie. Bo i cóż może być nadobniejszego i potężniejszego razem jak dziewczyna tkliwa, niewinna, co ledwie siedemnaście wiosen liczy, i młodzieniec zakochany, szlachetny, śmiały, któremu niedawno lat dwadzieścia cztery minęło, i którym pozwalają iść społem. Jeżeli ci nie myślą, że ziemia, przyszłość, szczęście, zgoła świat cały ich jest, a czymże on będzie?

Ale najsmaczniejszego wina i za najdroższe zdrowie pić ciągle nie można; wreszcie „kiedy grajki pod oknami a płeć biała pod ścianami, lepsze tany od kielicha.“ Skoro tedy rostruchan parę razy kolój obszedł między mężczyznami, i znikły ogromne farfury ciast rozmaitych i kufektów, któremi częstowały przy winie młodsze córki gospodarskie, pan Adam dał znak muzyce. Zagrała poważnie i huczno, i wszyscy mężczyźni, starzy i młodszy poprawiwszy

pasa, szczerknęli karabelami, czapki pod lewą ramie złożyli, a chybotając się zwolna, stanęli przed paniami nachylając głowę. Każdego innego dnia gospodarz domu byłby się zbliżył do matrony najstarszój wiekiem i godnością; byłby przed nią kark nachylił, prawą dłoń jój podał i prosił, aby swoje rączkę w niój złożyła i w taniec z nim posła; ale dziś przyszedł do Ewy, choć do córki, i do najmłodszej, i z nią stanął uroczyście na środku sali. Gospodyni Filipowi znak dała żeby ją wyprowadził. Dziś Filip i Ewa byli najstarszemi, było to ich prawdziwe święto. Kiedy już całe towarzystwo zebrało się w pary i muzyka pierwszą część tańca przegrała, pan Wojski tupnął śmiało w takt prawą nogą, lewą wysunął naprzód, a prawą do niój przysunawszy, znowu takt rozpoczynał tupaniem, i tak wybijając nogami i potakując głową, raz, dwa, trzy, obchodził jaknajwiększym kołem obszerną salę, a za nim wszyscy. Za drugą połowę tańca smutniejszego nieco tonu, skrzył pochód na drugą stronę, i to puszczał swoją parę, to znowu z nią się łączył, a co on robił, robili wszyscy. Nareszcie gdy tak obszedł kilkakrotnie salę, raz w gładkie koło, drugi raz w węża, a za każdą częścią tańca nową robił zmianę; pan Podkoniuszy, który z umysłu dotąd nie tańczył, stanął przed pierwszą parą, a klasnąwszy mocno w dłonie, żądał z grzecznością odstąpienia panny. I otrzymał. Kochanowski przeszedł do drugiej pary i odbił ją, Filip do trzeciej i tak dalej; panie na tém nie traciły, nowych tancerzy zyskiwały, źle tylko było ostatniemu: sam jeden został. Nie tracąc czasu odbił Ewę panu Podkoniuszemu; i trwały tak te odbijania i przemiany, dopóki Kochanowski wszystkich par nie przeszedł i nie został z kolei sam jeden. Wtedy zawołał:

— Płóć biała sama!

Wszyscy mężczyźni posłuszni rozkazowi, skłoniwszy głowy z uszanowaniem, odstąpili pań swoich. Szła tak

pleć biała sama czas jakiś, drobną nóżką także silnie takt znaczyła, głową pomagała nóżce. Ale wnet sprzykrzyło się niewiastom tańczyć samym; Ewa dała przykład, wzięła sobie parę; wszystkie ją naśladowały, a nie jedna panienka w tym wyborze na żart, zdradziła może prawdziwy serca wybór.

Ewa nie wybrała przecież Filipa; już on jęj był pewny: podała rękę Podlodowskiemu i z nim tańczyła rozmawiając wesoło. Wyborowi dobrowolnemu płci białej przeszkadzać nie było wolno; po obejściu tedy pare razy sali, panie dały poznać grzecznie, że już mają dosyć; pokłoniły się uprzejmie; mężczyźni wyjmując czapkę z pod lewego ramienia, podsunęli ją zręcznie pod rączkę pani, a złożwszy na tój rączce pocałowanie, puścili ją; i tak się zakończył taniec *pieszy*, jak go wówczas zwano, taniec, który my dziś tańczujemy i zowiemy z cudzoziemska *polonezem*.

Lecz gdzie było młodych par kilkanaście, i gdzie obchodzono zaręczyny dwojga ludzi, co razem ich wzięwszy, ledwie lat czterdzieści mieli; tam na takim poważnym tańcu jak *pieszy*, skończyć się nie mogło. Nastąpiły zwaw-sze a wszystkie przeplatane śpiewkami: bo wtenczas nie było tańca skocznego bez pieśni. Filip, czego łatwo domyśli się każdy, rej wodził między wszystkimi i już bogdanki z rąk nie wypuścił. To stawał z nią na czele par innych, najprzód śpiewał przed muzyką i śpiewał do niej, a potem wywijał się zwawo, wykręcał całą salę w takt: raz dwa, raz dwa obiegał, a za nim śpiewali, wywijali się, wykręcali się, obiegali drudzy trzymając się parami ramie na ramieniu. To znowu w innym zupełnie tańcu występował z nią samą jedną; naprzeciw niej jak mógł dalej stanął, tupał jakby z niecierpliwości, a potem okrażając salę, dziwy z wielkiej ochoty wyprawiał; jeśli w bok sunął i skoczył, zdawało się, że oknem jak wiatr wyleci; jeśli znowu przysiadł do ziemi, rzekłbyś, że się wczółga pod



ławy, jakby gad jaki. Ewa przypiąwszy do białego kabatu zapasek zielony z kieszonkami, odpowiadała mu na każde jego wezwanie, tupiała tyle razy co on, ale tańczyła zupełnie inaczej: drobne stawiała kroki, a choć nie były i one bez sztuki, przecież wydawały przyrodzoną pieśczętę płci jej bardzo przyzwoitą; czasem tylko jakby przez zapomnienie podskoczyła lekko: wtedy brzękały klucze w kieszonkach zapaska, a obecni winszowali z uśmiechem Podlodoskiemu:

— Ot! jaka walna gospodyni będzie!

Po tych tańcach dziś jeszcze nam znanych pod nazwą krakowiaka i kozaka, wzięto się do rozmaitych, już teraz zarzuconych; byłyto: cengar, goniowy, gniewus, lipka, dorobuszka i inne; galarda tylko i wyrwańca nie dozwoliła Kochanowska: pierwszego dlatego, że obcy; drugiego, że nieobyczajny; jakoż w tym tańcu, według wiarogodnych opisów, tancerz z tancerką ująwszy się z blizka, wodzili się niby za nosy, i zdawali się spowiadać sobie z popełnionych grzechów, a kręcąc się prędko i coraz prędziej, obracali się wkoło. Nie wiem, czyby dziś tak wzięty u nas walc, uszedł kłatwy pani Czarnoleskiej; mnie się zdaje, że on coś bardzo na wyrwańca zarywa.

Przed samą wieczerzą, około naszej siódmej godziny (ale nie ranniej tylko wieczornej), Filip coraz więcej rozochocony, wezwał do najweselszego tańca, i w którym, jako sobie rodowitym, nad wszystkie inne celował:

Hejże dalej do Mazura,  
Podajcież mi ręce która,

śpiewał, podrygując w sali i uderzając piętą o piętę, i wyprowadził Ewę na środek; a skoro inni młodzieńce dobrali sobie podobnie pary i stanęli w wieniec, śpiewał do bogdanki i do drugiej będącej przy nim z lewej strony dziewczki:

Podajcież mi obie ręce,  
Niechże wkoło się się wykręcę.

Tak i inni śpiewali ręce sąsiadkom podając i utwo-  
rzyło się wielkie koło; wtedy wszyscy trzymając się mocno  
i tupiąc gęsto jakby w deptaku, kręcili się wołając:

Hoc, hoc, na około  
I obróćwa się wesoło.

A trzymając się coraz mocniej, tupiąc coraz silniej  
i kręcąc się coraz zwawiej, krzyczeli:

Kiedyśwa się rozhulali,  
Hopa! hopa! dalej, dalej!

Siedzącym pod ścianami matronom, stojącym we  
drzwiach poważnym mężom, mogło się wydawać patrząc  
na nich, czując wiatr od szat ich sprawiany, że to jakiś  
wir nowego rodzaju, jakaś trąba osobliwsza, które tak krę-  
cąc się z wrastającą szybkością i siłą, i ich ogarną i porwą.  
Ale rozigrane koło wstrzymało się nagle i podzieliło się  
parami, zawsze jednak stojąc w wieniec. Niejeden tancerz,  
widząc swoją panią bardzo zmęczoną, obrócił się ku niej,  
a machając czapką, wietrzykiem twarz jój gorącą ochła-  
dzał. Filip zaś z Ewą wnet wystąpił; to kręcił się w kole,  
to skakał, to tupał, bił chołupca, trzymając raz jój ramię,  
raz obie ręce nakrzyż, a przytém tak śpiewał:

Kej Mazur tupnie nogami  
I zakrzesze podkówkami,  
Kej ma dziewcze jak anioła:  
Oto mu chwila wesoła!

Inne pary tym przykładem zachęczone, tak samo wy-  
stępowały i tańczyły z kolei, śpiewając co komu przyszło

do głowy; potem znowu zebrawszy się w jedno wielkie koło, kręciły się do upadłego, wołając ciągle:

Hoc, hoc, na około  
I obróćwa się wesło,  
Kiedyśwa się rozhulali,  
Hop ! hopa! dalej, dalej!

Kiedy tak hulali, Kochanowski stanął we drzwiach sali z kielichem w ręku i zawolał:

Wiwa! Mazur, Krakowiaki,  
Wiwat dziewi i i chłopaki!

a spełniwszy duszkiem, wezwał do wieczerzy.

Chociaż prawie ciągle od obiadu za staraniem Kochanowskiej i dozorem Ludwiny było co jeść i co pić, przecież owo wezwanie do wieczerzy mile zostało przyjęte. Każdy tanecznik wziął pod rękę swoją panią, zaprowadził ją do stołu, i sam siadł przy niej. Już teraz i Filip miał miejsce obok Ewy, i to najpiérwsze, i nieraz spełniono zdrowie ich obojga. Oblubieniec odwdzięczał się zwyczajem męzkim, spełniając podany sobie kielich co do kropli; Ewa dotykała się tylko ustami naczynia i dziękowała skłonieniem głowy i słowem. Bo jakkolwiek Polacy w owych wiekach tego spijali, i często przy biesiadzie z ludzi w zwierzęta się zamieniali, od kobiet, czém niechcący przyznawali nam lepszą naturę niż sobie, nigdy nie wymagali wzajemności. Paprocki w swoich dziesięciorgu przykazaniach niewieścich napisał:

Pókiś panną, dosyc masz, abys to wiedziała,  
Gdy kto pije do ciebie, odpowiedz mu dała.

A cnotliwy Modrzewski wspomina ze zgrozą o kilku pomach miejskich, gdzie się schodzili mężczyźni i biało-

głowy: mężczyźni pili za zdrowie łaskawych na siebie, a „białogłowy, czego nawet rzymskie niewiasty, acz poganki, nie pozwalały sobie, pełniły rzkomo, aby się nie zdały nie życzyć zdrowia onym, co za ich zdrowie przepoje czynią.“

Wieczera dostatnia i smaczna, kształtnie zastawiona i chędogo dana, trwała dopóki się nie ściemniło zupełnie; wtedy sala bawialna, sień, zajaśniały jarzącem światłem, na podwórku wzniosły się ognie ze słomy, kagańce rozpalone; zesła się wezwana przez dziedzica Czarnoleska gromada; bo u prawdziwej polskiej szlachty, godnej tego imienia, niema uciechy, kiedy jój kmiotkowie nie dzielą: wie ona, „ziemia nie nasza ale Boża, tak pan jak chłopiek tylko gospodę ma na niój.“ Wytoczono dla nich kilka beczek piwa, pare baryłek miodu, a dodano nierównie więcej w miarę mięsiwa, krup, jarzyn, séra i chleba; grajkowie również posileni odezwali się hucznie, i nowa ochota do tańca wszystkich przejęła: każdy tanecznik już nie czekając, żeby zdjęto ze stołu półmiski i obrusy, porwał za swoją panią i pospieszył do świeżo umiecionój i pokropionój sali. Najprzód według zwyczaju, całe zgromadzenie ponowiło taniec *pieszy*, a potém przyszły z kolei wszystkie inne z tą różnicą, że jeszcze raźniej, weselój i głośnieój niż pierwój; jakto zawsze bywało i bywa po dobrej wieczery i przy dobrém winie. Ochota trwała późno w noc, dopóki się młodzież zabawą nie zmęczyła, dopóki starszym, którzy długo z natężoném uchem muzyki słuchali i pilnie na tańczących patrzyli, sen nie zaczął zamykać omdlałe oczy.

Ewa wytańcowała się za wszystkie czasy i podobno na całe życie. Był-to jój piérwszy, jak dziś zowiemy, *bał*, a kto wie czy nie ostatni. W owych wiekach huczne zabawy nie należały wcale do przeznaczenia kobiety; taniec nie był bynajmniej koniecznym i powszednim dla młodzieży chlebem; rodzice nie liczyli do obowiązków swoich dostarczania córkom sposobności bawienia się, i *wydania*, jak



weszło w zwyczaj mówić. Mężczyźni zjeżdżali się do miast, na pańskie dwory, jedli, pili, dokazywali, i w tém mieli zwykle widoki obywatelskie; dla kobiet nie było innych zjazdów prócz z krewnemi, z przyjaciółmi, z powodu jakiego familijnego obrzędu: trafił się raz w parę lat, to dobrze; nie trafił się, nie miano to za żadną krzywdę. Często dziewczeczka do samego wesela nogą nie ruszyła, chyba na żart, dla wprawy, dla ruchu z siostrami: w żadnym licznym towarzystwie ani postąpiła, a ślubna suknia była pierwszą jej strojną suknią: ale nie uważała się przeto za nieszczęśliwą, a *wydała* się lepiej i prędzej niż dzisiejsze panny. Rano wstając, wczesnie spać chodząc, cały dzień zatrudniona, z kąd jej było wziąć czasu na nudy, z kąd pragnienia zabaw? Schadzki też mężczyzn z płcią białą po wieczorach i nocach jedynie dla tańców, dziś tak powszechnie przyjęte, wtedy jedynie po stolicach widzieć można było, a domy gdzie się odbywały, równano z najgorszemi. Mężatki i panny, co tam uczęszczały, w złą były sławie. „Bo będzież która—mówi jeszcze zacny Modrzewski—coby z podobnej biesiady lepszą do domu wróciła? któraż z takich schadzek odejdzie, odnosząc wolne serce od nagannego lubowania, chociażby też na ciele splamioną nie była? O! nieszczęśliwe dziewczeczki, które się w takowych schadzkach kochacie! O! nieszczęśliwi rodzice i mężowie córek i żon takich!“

Smutnie to a może niewczesnie, rodzajem klątwy na tańce i zabawy rozdział o zabawie i o tańcu zakończyć; ale bo i któżby się ważył przyganiać młodzieży, kiedy się przyzwocie i niewinnie bawi? Sam Modrzewski o tém nie myślał; zbytek tylko, niestosowność uciech, ślepe ich zamiłowanie i pragnienie, jak gdyby człowiek do samój zabawy się urodził, tym zawsze i wszędzie przyganiać należy.

## ROZDZIAŁ XV.

Bodaj szczęśliwie tę drogę o'prowił.  
I wszystko według myśli swojej sprawił.  
*Ks. II. pieśń 7.*

I przykrego zdarzenia nie trzeba, żeby po hucznój i wesołej biesiadzie dzień następny wydał się głuchy i ponury; cóż dopiero być musi, kiedy komu wypadnie prosto z tańca i od stołu żegnać się z ukochanemi osobami, puszczając je na dalekie przygody i prawie nieochybne niebezpieczeństwa? Tak przecież się trafiło Czarnoleskiej drużynie; i wyznać należy, iż nie zniosła tój przemiany bez srogiej serca boleści. Kochanowski osobiwie, gdy już wybiła przykra godzina rozstania, gdy konie zaszły, i wszyscy przed gankiem się zebrali, tkliwym się okazał aż do zbytku; może to był skutek wczorajszego wina, które jeszcze w nim pracowało; może jakieś okropne przeczucie, jak upornie utrzymywał: dosyć, że rześystemi łzami oblewał twarz przyjaciela żegnając go, pełne smutku mówił mu słowa, o dotrzymaniu młodzieńczej zmowy upewniał, a w końcu uwiesił mu się u szyi, i nie chciał go wcale puścić. Do tego przyszło, że Podlodowski nic nie mówiąc, tylko ściskając ukochanego Jana za rękę, co zawsze bywało niemem świadectwem najgłębszych uczuć, oderwał się od niego prawie

gwałtem, wskoczył odrazu na konia, i ruszył za wrota czwałem, nawet nie oglądając się.

Filip i Ewa nie mniej zapewne uczuli żalości, lecz pokazywać jej tyle nie śmieli; pocałowanie ręki jedyną było wówczas pieszczotą dozwoloną narzeczonym, bądź w oczach rodziców, bądź za oczami; z trudnością też przyszło młodzieńcowi wypuścić z mężkich i szorstkich rąk swoich drobną i gładką rękę dziewczeczki, a osobliwie owego małego paluszka, na którym od wczoraj błyszczał jak gwiazda zakład obiecanej wiary. Byłby rad wziął go z sobą jakim cudem, i dziwne rzeczy mu prawił: „jak ma przypominać swojej pani wiernego i dozgonnego jej sługę, co jej mówić w wieczór i rano w jego imieniu, od czego strzedz ją i bronić.“ A snadź nie Filip pierwszy i ostatni wpadł na myśl dziwaczną przybierania sobie podobnego powiernika; wszak do dziś dnia młode dziewczęta wiedzą pełno rzeczy niewiedzieć zkąd i od kogo? a jak ich się zapytać: kto to im wszystko powiedział? „Serdeczny paluszek“ odpowiadają z uśmiechem. I Ewa ze swojej strony obracając się także do wczorajszego pierścienia, którego rubin szacowny, jak kropla krwi oprawny w dyamenty, czerwienił się na palcu stroskanego Rotmistrza, przemówiła kilka słów rzecznych, jakichby może nie była się odważyła wyrzec wprost.

— Niechże cię jak najrychlej oglądam znowu, drogi pierścieniu i w całości—mówiła drżącym i pełnym łez głosem— tęsknić tu będę za tobą, a skoro raz wrócisz szczęśliwie, już cię więcej nie dam od siebie.

Pod ciężkiem zaklęciem przysiągł Filip, jako wróci pierścień w całości, i wraz z nim ślać się będzie pod stopy pani, którejby nigdy oba porzucać nie radzi: „Raczój życie stracić niż ciebie,“ mówił sobie w duszy, gdy ucałowawszy nogi przyszłych rodziców i odebrawszy serdeczne ich błogosławieństwo, wsiadł na swego Turczynka, i złoty znak przyciskał do ust.

Ruszył i on za przybrany ojcem, a choć się wielokrotnie oglądał, wnet go dopędził. Długo widać ich było obydwóch, długo migały się jak błyskawice dobyte szable, któremi znaki robili w powietrzu na pożegnanie, dłużej jeszcze z tarasu Kochanowskiego, na który wstąpiła cała rodzina, widać było obłok kurzawy wzbijany przez konie ich i licznój dosyć służby; ale nareszcie wszystko znikło, samo milczenie i smutek zostały, tém przykrzejsze, że zaraz od południa czas się zmienił: ostry wiatr dąć zaczął, a choć to był początek pięknego Maja, sprowadził wnet deszcz zimny napół ze śniegiem.

Kochanowski zamknął się u siebie i przez pare dni mało co się pokazywał; wyjeżdżał w pole, chodził około gospodarstwa, kiedy tego była konieczna potrzeba; najchętniej jednak osobności szukał: tam, zagłębiał się w myślach, i jednę Orszulce wolno było przerywać jego tęskne dumania. Luba dziewczynka skoro zobaczyła ojca siedzącego samotnie, skoro wpatrując mu się w oczy, dostrzegła na jego czole niezwyčajnych śladów smutku, czepiała się jego sukien, siadała mu na kolanach, albo stanawszy na ławce obok niego, spinała się jak mogła; i póty czoło jego pocałowaniem gładziła, póki nie znikły marszczki pod jej różanemi ustami, jak śnieg znikał pod wiosenném słońcem. Nieraz także własną jego bronią go biła i pokonywała; chodząc naokoło, piastując łątki swoje, nuciła jakby od niechcenia stosowne wyjątki z psalmów, jak naprzykład:

Gniew Pana nie trwalszy piany,  
A łaski, wiek niepiętrwany:  
Kogo w wieczór zafrasuje,  
Tego rano umiłuje.

Albo téż:

Użyję zwykłej litości,  
Obrócę płacz twój w radości;  
Zdejmiesz z siebie wór żałobny,  
Włożysz na się płaszcz ozdobny, i t. p.



Kochanowska choć szczerze przejęta odjazdem brata i przyszłego zięcia, choć nie mniej wystawiająca sobie od męża wszystko złe, co ich w tak długiej drodze spotkać mogło, nie pozwoliła przecież ani sobie, ani tém bardziej córce, wzdychać, narzekać, usychać i smucić się w bezczynności. Wreszcie coby uszło kobiecie przy dzisiejszych wykwinniejszych obyczajach, nie mogło mieć miejsca obok dawniej prostoty. Dziś, panna na wydaniu, rodu i majątku Ewy, jakież zwykle ma zatrudnienia? oto czytać, pisać, grać, rysować, szyć na kanwie; choćby tedy przez pare dni jakowéjs tęsknoty i zniechęcenia opuściła ręce, i nie ruszyła pamiętników czy romansu, choćby nie wprawiała się w *etiudę*, nie skończyła jakiego przerysu, i dała pokój zaczętemu haftowi, nikt o tém wiedzieć nie będzie, a przynajmniej nikt nie poniesie szkody; ale niechnoby gospodarza Ewa nie była dojrzała krów, spiżarni, kuchni; niechby była grządek swoich nie podlała, złych ziół nie wypełła, kurczątek nie nakarmiła, nie odwiedziła chorych: wnetby nieład był widoczny, i matka ostrém łajaniem byłaby wypłoszyła takie dziwne i kordyacyjne żale.

I te same żale, jakkolwiek powód do nich był słuszny, przy ciągłej a koniecznej pracy zwolnieć musiały; mimo tego ówczesne kobiety nie były mniej czułe dla drugich; ale wyznać należy: po większej części były mniej czułe dla siebie, niż częstokroć dzisiejsze.

Ewa pomagając matce, przewodząc siostrą do przywrócenia porządku w domu po ostatniej biesiadzie, do obrachowania już nie tego co wyszło lecz tego co zostało, nie zapomniła bynajmniej o bogdanie swoim; nikt tego nie wymagał po niej: owszem każdy byłby jéj pustą wesołością i obojętnością za grzech poczytał. Wówczas wolno było panie się kochać, może nawet jawniej, niż teraz; ale kochać się raz tylko jeden na całe życie, za wiedzą rodziców czy starszych, i w przyszłym mężu. Nie kryły się téż panny ze

swoją miłością, a z téj jawności rodziła się stałość; bo skoro o której wieść się rozeszła: „Zakochała się, trafiła na swego bogdana,“ już dla tego samego miłowała go niezmiennie, żeby nie ujsć za płochą i za lekkomyślną. Ewa tedy nie tracąc ani na chwilę Filipa z pamięci, choć już nie tak wesola i figlarna jak dawniej, rozerwała przecież ciężki po nim smutek. Nie tylko rano i wieczór, daleko częściej spoglądała na swój pierścionek i przypominała sobie ostatnie pożegnanie; z matką, z Nastką, rozmawiała o panu Rotmistrzu, o jego rzadkich zaletach, o przyszłym z nim szczęściu; ale obok tego nie zaniedbała żadnego obowiązku, nie zapadła na zdrowiu, ani téż nie nudziła ani siebie, ani nikogo narzekaniami i melancholią. Następujących dni przyszła téż nowa robota, którą zajęła się pilnie cała pleć niewieścia domowa, a która dla Ewy szczególnie miała wdzięk wielki, jak to pojmy zapewne wszystkie panny idące za mąż. Tą robotą była *wyprawa* czyli *gierada*, jak wówczas niektórzy mówili.

Sądząc po tém, co dziś w takich razach w niejednym polskim domu się dzieje, wnosićby należało: iż zaczął się ten zachód od tego, że pan ojciec po długim targowaniu się i trząsaniu głową dobył worka, albo téż co jeszcze częściej się trafia, pożyczył od kogo pieniędzy, a pani żona z panną córką zapisawszy różne cudności z za granicy i z za morza, ruszyły do stolicy, albo do najbliższego obcego miasta zakupić tam rzeczy i szaty pospolitsze, i wzięły z sobą choć jedną brykę pod owe towary? Nie, Kochanowski nie dał ani grosza, żona i córka nie napisały ani jednego listu, i nie ruszyły się na krok z domu; Nastka sama jedna pojechała do Kazimierza po jedwab', guziki, igły, taśmy i t. p. drobnostki i przybory; a ów kuśnierz i ów krawiec, co już byli w Czarnolesie podczas przeglądu szatni, teraz na kilka tygodni wezwanymi zostali. Dawniej, wyprawa panny nie robiła się tak, jak nam nieraz widzieć się

przytrafia: na gwałt, na przepych, bez zastósowania do posagu, do dalszego życia i przeznaczenia przyszłej mężatki, której często nasprawiają takich rzeczy, jakich ona później ani włożyć może. Staropolscy rodzice jeżeli mieli pieniądze dla córki, woleli dać jęj gotowizną pod poduszkę, a trwonili jak najmniej na tak zwane fatałaszk. Myślano tedy o wyprawie kilkanaście lat przed weselem, starając się opędzić ją ile możności tém, co dom miał. W tém wcześnëm obmyślaniu, któreby dziś powodem było do żartów i do wróżb niepomyślnych, nikt żadnej śmieszności, ani próżnej chwalby nie widział; owszem, rozsądną przezorność. W owych czasach, więcj do natury zbliżonych, nie miano wcale za rzecz nieprzyzwoitą albo niebezpieczną myśleć o dorodnej i dobrze wychowanej dziewczeczce, że pójdzie za mąż i mówić jęj o tém. Ukrywać przed nią to główne przeznaczenie kobiety uważanoby za rzecz równie zbyteczną i dziwną, jak taić przed chłopcem, że kiedyś z Tatarami, albo z Turkiem rozprawiać mu się przyjdzie. Bo przy lepszych obyczajach i więkšej pobożności, nie było wcale, jak już wspomnieliśmy wyżej, starych panien świeckich; wszyscy niemal mężczyzni się żenili; rzadka zaś była rodzina, któraby choć jednej córki nie chowała na zakonnicę. Bez żadnej więc tajemnicy matka dziewczeczki przeznaczonęj do świata, myślała o jęj wyprawie niemal od kolebki; dziewczeczka od dzieciństwa pracowała w tym celu; siostry pomagały jęj chętnie, a cõ wynikło z tych spólnych prac, składane były do osobnej skrzyni. Toż, kiedy się trafiło panience dostać w darze od chrzestnych, od starszych krewnych nieco pieniędzy, sztukę bławatu, błam futra, przestrzegali ją rodzice mówiąc:

„Zbyteczne to teraz dla ciebie, raczěj na wyprawę schować,“ i moneta szła do garnuszka, a podarek do skrzyni.

Znalazł się w rzeczach matki strój, który poważnej matronie już nie przystawał:

— Zda się dla mojej dziewczki—mówiła, i strój szedł także do skrzyni.

Czasem, sztuka domowego płótna, obrus, ręczniki, pstre jakie płócienko dziwnie pięknie się udały:

— Żalby się tego Panie Boże na codzienne nasze obejście—wyrokowała gospodyni, odłożyć to dla naszej dziewczki.

I tym sposobem skrzynia się napełniła, a kiedy mąż się trafił, nie było wydatków i korowodów, należało tylko rozpatrzyć się we wszystkim i urządzić jaknajlepiej.

I z wyprawą Ewy nie zaszedł żaden inny zachód. Otworzono wielką skrzynię jej imieniem oznaczoną, już nam znaną; do której, o czém zapomnieliśmy wspomnieć, pan Podkoniuszy niemało dorzucił w dzień, kiedy do Czarnolasu na zaręczyny zjechał. W owej ciężkiej bryce bowiem, co to za nim z Turcyi się przytoczyła, znalazły się atłasy, kityje stambulskie, różne wschodnie wełniane i bawełniane tkaniny, czabany podolskie, baranki krymskie, nowogrodzkie marmurki, syberyjskie sobole; a Podlodowski te wszelkie cudowności ofiarował Ewie. Kochanowska tedy wkrótce po odjeździe lubych gości, z trzema starszemi córkami i z wierną Nastką wypróżniła całą skrzynię; pare poranków strawiła w szatni, i wnet wszystko przyrządzono według następującego *spisu*; zostało tylko prawie przerobić używane już rzeczy: przykroić, uszyć, naznaczyć nowe, uprać bieliznę, i to co się prać dało.

### Spis wyprawy Ewy Kochanowskiej.

Kożuszków codziennych sukiennych bielnią podszytych dwa.  
 Kożuszek brunatny teletowy, popielicami podszyty jeden.  
 Kożuszek turecki kitajowy zielony, krymskiemi barankami podbity jeden.



- Czucha (szuba) od szarzenia sukienna szara z lisami.  
 Czucha od święta atlasowa karmazynowa, brzuszkami nowogrodzkiemi podszyta.  
 Kabat ślubny biały adamaszkowy ogoniasty.  
 Kabat zaręczynowy biały czamlotowy.  
 Suknia czarna atlasowa sobolem obłożona, rozwarta na przodzie.  
 Suknia zielona adamaszkowa gronostajami obłożona.  
 Giermach jedwabny fiołkowy podbity bobrem.  
 Letnik tawtowy ceglasty białym kitajem podszyty.  
 Letnik pisany, płótnem żółtém podszyty.  
 Mentlików płóciennych pstrych, barchanem podszytych dwa  
 Koszul wyszywanych i marszczonych z długimi rękawami i z kołnierzem, cztery tuziny.  
 Koszul bez kołnierza z długimi rękawami, dwa tuziny.  
 Obrusów różnej miary trzy tuziny.  
 Ręczników wyszywanych dwa tuziny.  
 Gładkich tyleż.  
 Ręczników tureckich rozmaitych tuzin.  
 Towalni jedwabnych sześć.  
 Spódnica jedwabna biała atlasowa.  
 Spódnica karmazynowa kitajowa.  
 Spódnica futrzana.  
 Spódnic wełnianych dwie.  
 Spódnica czerwona.  
 Spódnic barchanowych trzy.  
 Prześcieradeł dwa tuziny.  
 Cztery poduszki puchowe z pochwami.  
 Pierzynka pstra jedna.  
 Kołder wełnianych dwie.  
 Materacy drylichem w pasy pokrytych dwa.  
 Łóżko żelazne z namiotkiem.  
 Opona do przykrycia łóżka z materji tureckiej.  
 Opona futrzana.

Kobierców na stół dwa.  
 Kobierców wązkich na ławy dwa.  
 Czepców bogatych dwa.  
 Czapka czarna z uszami i z barankiem.  
 Czapka karmazynowa aksamitna z sobolem.  
 Zasłona muślinowa turecka.  
 Myczka białogłowska jedna.  
 Duchenek nocnych cztery.  
 Krez białych rąbkowanych karbowanych dwie.  
 Forbotowa ze złotem jedna.  
 Gładka jedna.  
 Pończoch szytych par sześć.  
 Pończochy czarne sukienne jedne.  
 Pończochy czerwone sukienne jedne.  
 Pończochy futrzane jedne.  
 Trzewików kurdybanowych par dwie.  
 Trzewików skopowych o dwóch podeszwach para.  
 Skorzenki kunowe.  
 Butów sakowych długich dwie pary.  
 Pantofle kurdybancwe.  
 Pantofle tureckie haftowane.  
 Zarekawek futrzany.

Nie było na tym spisie srebra, klejnotów, jakie Kochanowscy dać mieli przy ślubie córce, gdyż jeszcze dział tych rzeczy na pięć równych części nie był sporządzony; wreszcie około kosztowności podobnych, żadnej nie było roboty: dosyć było czasu w dzień ślubu ofiarować je i do rejestru dołączyć. Kształt sztucców, czar, puharów, miednic, nalewek, nie zmieniał się wtedy co lat kilka, równie jak się nie zmieniała oprawa drogich kamieni; rodzinne, od dziadów pradziadów cyfry, kształt staroświecki, dodawały im nawet ceny; świadczyły tém samym: że już dawno są

w domu, co za większą poczytywano chlubę, jak gdyby za pieniądze zakupić coś nowego u złotnika i jubilera, choćby też w samj Wenecyi, w Norymberdze, albo i w Paryżu.

Wiemy jednak z dobrego źródła, że gdy już przyszło Ewie iść do ołtarza, dostała od matki:

Łyżek srebrnych sześć z cyfrą i herbem Podlodowskich.

Kubków srebrnych tyleż z napisami.

Misę wielką srebrną z Turcyi przywiezioną.

Puchar kosztowny, dar ślubny Białaczewskich.

Czarę złocistą na Tatarach zdobytą przez ojca Podlodowskiego.

Noszenie na szyję szmaragdowe z perełkami, po babce matczystej Kochanowskiego.

Pierścień z obrazem Matki Boskiej, po Janie Odrowążu, biskupie Gnieźnieńskim, 1454 roku zmarłym;

a na drobnieuzkim złotym łańcuszku banieczkę w kształcie Jabłuszka: była to balsamka, puszka kryształowa na rozmaite wonie w złoto oprawna, matce Kochanowskiego darowana niegdyś od jej chrestnych.

Jakkolwiek wyprawa Ewy Kochanowskiej wyda się może niejednej mniej znakomitj od niej dzieweczce zbyt skromna, przecież ona nad dopełnieniem jej daleko więcej pracowała od wielu panien dziś idących za mąż, których przepłacone *trousseau* kilkaby zajęło arkuszy, gdyby warto było spisywać, gdyby nazwać można wszystkie składające go elegancye. W rozkładzie prac dostało się Ewie naznaczenie całej bielizny, wyszycie koszul z kołnierzem w rozmaite wzorki, i utkanie dwóch pięknych stołowych nakryć; te wszystkie zaś roboty nie szły tak łatwo jak dziś pójsćby mogły, takich pomocy nie było: wszystko należało wymyślić i wykonać samj, a każda ówczesna robotnica według słów późniejszego nieco poety Kaspra Miaskowskiego:

„Cienkie obrusy tkają rączkami,  
Nadobne wzory kładła myślami.“

Prócz tego należało do koniecznych obowiązków panny idącej zamaż, zrobić coś bardzo pięknego przed ślubem własną ręką dla swego przyszłego. Ewa po długich naradach z matką, po namysłach z samą sobą, przedsięwzięła czaprak, zgadując, że ozdoba ulubionego Turczynka namiliej od pana Rotmistrza przyjęta będzie. Amarantowy turecki atlas nałożyła w krosienka, i szyła na nim kruki czarnym jedwabiem, łabędzie białym, obwodząc jedne i drugie i łącząc je srebrnym sznureczkiem; były to jak wiadomo Kochanowskich i Owadowskich herbowe znaki, a wtedy owe, „piętna szlacheckie“ kładziono chętnie, gdzie tylko się dało, nieraz z przesadą. Może ten wzorek nie ułożył się z doskonałym gustem, może ptaki nie były jak żywe, a kruki nieraz większe od łabędzi; jednak wydawało się to wszystko razem wcale niezłe; cały dwór Czarnoleski, wszystkie sąsiadki i młodzi sąsiedzi uwielbiali zręczność panny Wojskiej, a ona tymczasem w tej pracy niepojęty wdzięk znajdowała. Rano wstawszy biegła zobaczyć jak się wydaje, czy dużo już zrobionego? rachować, za jak wiele tygodni będzie mogła być skończona? Z wszelką ważniejszą robotą jak najspieszniej dążyła, żeby mieć więcej czasu do ulubionej; a kiedy siedziała przy swoich krosienkach, owe ptaki które mimowolnie wyszywała zawsze parami, tysiączne słodkie myśli jej podawały..

Od wyjazdu Filipa, Ewa zarzuciła także zupełnie dawne wesołe piosenki swoje, polubiła smutne nucenie i wszelakie wiersze. Wiele poezyi ojcowskich już było drukowanych, ale ona nie znała i połowy; teraz odczytywała je pilnie, i bardzo jej było dziwno, że niektóre pieśni niegdyś zupełnie dla niej obojętne i trudne, teraz rozumie, pamięta, i nawet jakby siebie w nich widzi; ledwie pare razy którą pieśń przeczyta, już ją powtarza, i zdaje jej się, żeby taką samą, może jeszcze lepszą złożyć potrafiła; jak naprzykład następująca:



„Jako ptak. kiedy towarzysza zbędzie,  
 Nigdy na różdce zielonej nie siędzie,  
 A między bory i pustemi lasy  
 Sam jeden lata po swe wszystkie czasy:

Tak ja nieszczęsna w jego niebytności  
 Muszę być zawdy w trosce i w żałości;  
 Chronię się lud i sama nie wiem czemu,  
 Radam gdy świadka niemam płaczu swemu.

Troszczą mnie smutną srogie morskie wody,  
 Troszczą mnie wiatry i złe niepogody;  
 Troszcze mnie wszystko cokolwiek być może:  
 Tobie go ja tam poruczam, mój Boże!

I to mi czasem na myśl więc przychodzi  
 (Bo łącno gdy chce niesszczęście ugodzi)  
 Że może serce próżno się frasuje  
 A on podobno gdzieindziej miłuje.

Żleby mi płacił moje życzliwości,  
 Bym miała doznać takiej niewdzięczności:  
 Bodajbym pierwěj ostatnia skonała  
 Niżli nowiny takiej doczekała.

Ale ja dufam jego szczerěj cnocie,  
 Że mię nie będzie chciał mieć w tym kłopotcie;  
 Będzie pamiętał i statecznie chował  
 Miłość i wiarę którą mi ślubował.

Usilne wiatry co morzem władacie  
 Jeżeli też kiedy to co miłość znacie,  
 Dodajcie mu tak szczęśliwego biegu  
 Że w rychle stanie na ojczystym brzegu.“\*)

Często jednak Ewa ciężkie wymówki sobie czyniąc, iż  
 wiersze świeckie umie i powtarza jak pacierz, że nie do ko-

\*) Księga II, pieśń II.

ściola ale dla Turczynka jój taka piękna i trudna robota, prosiła pobożnej Ludwiny żeby koło niej usiadła, i prym trzymała w jakiejś świętej pieśni; a tak wtórując siostrze spokoila sumienie swoje; pan Filip zaś na tém nie tracił, bo robota szła jeszcze sporzej, a modły ofiarowane były za niego.

I Kochanowski po kilku dniach zaczął przecież otrząsać się ze smutku swego, i znajdować rozrywkę nie w samych pieszczotach Orszulki; najmocniej jednak zajął go i zwrócił myśli jego w innym kierunku, list synowca Krysztofa, najstarszego syna pani Mikołajowej Kochanowskiej z Jasieńca, który, jak się wyżej wspomniało, zostawał przy dworze królewskim. Umieszczony tam najwięcej dla zasług stryja, dotąd bez szczególnego urzędu i zatrudnienia, układu jednak i głowy wcale na dworaka, i jakbyśmy dziś powiedzieli na *dyplomatę*, uważał pilnie wszystko, brał nawet udział we wszystkim, i rozumiał nieraz że do wszystkiego należy; wypłacał się stryjowi za posadę swoją, w której wielce smakował, donosząc mu wiernie to co widział, słyszał, co się działo, i czego się domyślał. List jego był prawie w tych słowach; spolszczyliśmy bowiem łacinę, bez której ówczesne korespondencye męzkie rzadko kiedy się odbywały.

„Wielmożny, mnie wielce miłościwy  
Stryju a panie!

Piérwsza miłość od siebie, donoszę przeto na samym przedzie Waszój Miłości, iż zdrów jestem dzięki Panu Bogu, i powodzi mi się po myśli. We trzy dni po odjeździe naszego pana Podkoniuszego (któregom mocno obowiązywał, aby wam 'oświadczył moje służby, ale nie wiem czy nie przepomniał z wielkiego pośpiechu) król, pan nasz miłościwy idąc do kaplicy na mszę świętą postrzegł mnie, spytał czy do Waszój Miłości często pisuję, pozdrowić was rozkazał,

a nazajutrz nasz pan marszałek \*) zawołał mnie i oświadczył, jako skutkiem osobliwszej łaski królewskiej, policzony zostałem w poczet płatnych dworzan, jakich bywa najwięcej szesnastu przy Monarsze; a którzy, jak Waszej Miłości wiadomo, nie są wcale brani z szarzej szlachty, gdyż Herbertowie, Niemojowscy, Kretkowscy, Gołuchowscy, są dziś między niemi. Pobierać będą jako i każdy z nich na sześć koni obrok, strawnego trzy złote co tydzień na chleb, piwo i wino, i czterysta złotych rocznych zasług; a co jeszcze lepsza, choć i tamto nie najgorsze, zbliżę się daleko więcej do majestatu, co jest dobrodziejstwem i szczęściem bez ceny; a będąc koło wielkiego ołtarza, będę mógł i sam korzystać, i Waszej Miłości przysługiwać się jeszcze rychlejszemi i pewniejszemi nowinami niż dotąd.

„Nie czekając nawet dłużej, prosząc was tylko, abyście moje służby pani Stryjence i bratankom przełożyli raczyli, i pani Matce przesłali jak najrychlej przyłączone tu pisanie, opowiem wam dokładnie co tu u nas słyhać, co porabiamy i porabiać myślimy.

„Jużto — mówiąc między nami — nie bez przyczyny pan Podkoniuszy tak spiesźnie wyprawiony powtórnie do Carogrodu; do czegożby prosił tyle koni w królewskiej stajni, gdyby się nie miało na wojnę? Będziemy tedy mieli wojnę niebawem, śpiewając naszemu Stefanowi wraz z waszym Psalmistą i po waszemu:

Wsiadaj z dobrem sercem, o Królu cnotliwy,  
I w dobrą godzinę na swój koń chętniwy;  
Zajedź drogę śmieie nieprzyjacielowi,  
A zasław się o mój lud poganinowi. \*\*)

\*) Stanisław Przyjemski.

\*\*) Psalm XX.

„Tak, nieinaczéj, ruszymy wszyscy na Turka, na ową potęgę co śmie grozić Chrześcijaństwu zagubą, co chce oblać ciemnotą swoją całą Europę; wiem dowodnie, że i w Rzymie i gdzieindziej, są dane tajemne polecenia dowiadywania się: jakiejby chęci w takim razie król polski mógł się spodziewać od Ojca Świętego, i od innych panów chrześcijańskich? Wiem ja, bowiem w ciemie nie bity, że i nasz pan Podkoniuszy nie po same konie pojechał; ma on tam przepatrować siły tureckie, stan wojska, i wierną zdać o tém sprawę; a królowi naszemu, choć tak za pięknymi końmi przepada, ręczę, że na téj wiadomości więcej zależy, niż gdyby mu ze stajni sułtańskiej kilku uprowadził arabskich dzianetów.

„Skoro da Bóg, że owych potężnych wrogów pokonamy, nową chwałą się okryjemy, prawemu kościołowi się zasłużymy, skarbami zasilimy, wtedy snadno nam będzie wewnętrznym nieprzyjaciołom poradzić. Groźni sąsiadom, pewni pokoju, poprawimy ciężkie wady Rzeczypospolitej, ustalimy niepewność jéj losów. Założą się szranki swawoli, ukróci się zuchwalstwo możnych, swobodom nada się trwałość, ustanowi się następstwo tronu, a przynajmniej sposób elekcyi poprawiony zostanie. Jakaś istna kara Niebios, że nam z tém następstwem tak się rwie; bo chociaż Polakom z dawien dawna wolno obierać sobie królów, przecież naród nasz zawsze rad bierze brata, po bracie, syna po ojcu; i nieodżałowana szkoda, iż po takim krolu jak dzisiejszy nie wolno nam spodziewać się potomka. Jedna wada naszej Miłościwej Pani, te owe lat pięćdziesiąt z górą! Słyszałem ja niedawno od osoby, co wiedzieć takie rzeczy może (jedno mnie nie wydajcie przed nikim, na miłość Boską), iż dla tego jedynie Gryzelda Batorówna dana w małżeństwo Zamoyskiemu, dla tego rok właśnie temu, owo monarchiczne wesele, tryumfy, igrzyska, rozrzucanie pieniędzy, żeby jeżeli nie on, to kiedyś syn jego, skoro mu go synowica króle-



wska urodzi, był swego czasu królem. Lecz cóż? jakby o tym zamiarze posłyszała nieprzyjazna Fortuna. Pani Kancelerzyna, czego może Wasza Miłość jeszcze nie wiesz, gdyż nie koniecznie z tą nowiną się noszą, poroniła niedawno w Knyszynie, i według dworskich pogłosek tyle miała szkodować na zdrowiu, iż ani dalszego potomstwa, ani długiego życia lekarze nie obiecują. Kanclerz jakkolwiek nie wie i słowa o tym ich wyroku, przecież z razu bardzo wziął na serce to nieszczęście, zwłaszcza gdy się dowiedział, że dziecię było płci męskiej; przez pare dni płakał; czego od śmierci drugiej żony nikt po nim nie widział: niewiadomo jednak czy te łyzy były za synem, czyli za królem? lubo Wasza Miłość znasz lepiej nawet odemnie, że on p.agnie dzieci jak zbawienia, a korony wcale sobie nie życzy; a to nie tyle z bojaźni zawiści dawniejszych od siebie panów, o których bynajmniej nie dba, ile dla tego, żeby sobie nie zniechęcił szarą szlachty, o którą wielce stoi.

„Z innej strony powiadano mi znowu, jakby on sam namawiać miał Miłościwego Pana do wyjednania dla synowców indygenatu, i podania potém jednego z nich narodowi na swego następcę. Z tą powieścią nie zgadza się wcale niedawne wysłanie pana Andrzeja Batorego do Rzymu, poświęcenie go duchownemu stanowi, i staranie się dla niego o kardynałstwo. Tego ostatniego postępkowi Miłościwego Pana, któremu jak się zdaje bardzo sprzyja Kanclerz, całym swoim dowcipem nie pojmuję, lubom już nie mało głowy nad nim nałamał; a Jego Królewska Miłość przywiązuje wielką wagę do owego kardynałstwa; jak przyjedzie z Krakowa poczta panów Montelupskich, najpierw się pyta o listy księdza Dziekana Reszki, ochmistrza pana Andrzeja, i jakby tajemnego naszego posła w Rzymie. Co do mnie, jabym zacnemu młodzieńcowi raczej życzył korony niżli kapelusza; ile że w kilku okazyach, bawiąc przy na-

szym dworze, pókazał się dla mnie szczególniej życzliwy; na mój rozum, jabym go ożenił z królowną Szwedzką, córką nieboszki królowej Katarzyny, takiej prawej Jagiellonki jak nasza Miłościwa Pani; po najdłuższém życiu obojga dzisiejszych krolestwa, mielibyśmy znówu Batorego i Annę, coby się nam rozkrzewili jak niegdyś owi zacni Jagiełłowie, a możeby przecie nie wygaśli tak rychło jak oni. Mówią niektórzy, jakoby królowna acz jeszcze młodziuchna, i takiej świętej matki córka zaciętą już była kacerką. Lubo to już teraz nie tak w naszym senacie i w całej Rzeczypospolitej jak było za nieboszczyka króla, jest jednak dosyć takich panów, coby dla tego samego radzi ją mieli na tronie; wreszcie Ojcowie Jezuici, których liczba i gorliwość codzień się zwiększa, wnetby ją prawemu kościołowi pozyskali.

„Mało kto jednak to mądre moje zdanie podziela, i ja też wiem dobrze przed kim z niém się otwierać; wielu z tych co Miłościwój Pani sprzyja, głośno się oświadcza za królewiczem Szwedzkim; rzecz to podobno ułożona od czasu jego urodzenia między dwiema Najjaśniejszemi siostrami, żeby go forytować na tron polski; i królowa Katarzyna przy śmierci miała zakląć o to naszą Miłościwą panią, na pięć ran Zbawiciela i na całą miłość siostrzańską, jaka między niemi była zawsze tak serdeczna. Nie wiem atoli czyby ten *Szwedzik* był królem dla nas; ci co przyjeżdżają ztamtąd, prawią, iż on przy ojczyźnie zacięcie stoi i stać będzie, a jakkolwiek zacny ksiądz Warszewicki uczy go po polsku i nieustannie koronę polską mu przed oczy stawia, młodzieniec żadnej skłonności do matczyzny nie okazuje. Nie jest on bez pięknych przymiotów i wielkich zalet, ale raczej na księdza niżli na monarchę, a to jeszcze na polskiego; gorliwy katolik, wcale uczony, obyczajów prawie świętych; wszystkie pacierze i godzinki Jezuickie odprawia, jakby uczniem był głównego Ś. Ignacego Lojoli; wizerunek nawet jego, niedawno przysłany Miłościwój Pani, wystawia go

w sukience duchownej, klęczącego z paciorkami w rękę, a ksiądz Warszewicki stoi za nim. Miarkując z tego malowania, Królewicz nie wydaje lat ośmnastu, szczupły jest i dosyć urodziwy; czoło wysokie, twarz ściągła, nos piękny, jedno kęś za duży. Ma być małowowny, poważny i zimny, ale roztropny; po modlitwie, malarstwo i złotnictwo najmiłszą mu zabawą.

Nasza Miłościwa Pani od czasu, jak zawsze nosi przy sobie jakiś kamień Indyjski przysłany jęj z Rzymu, dosyć jest zdrowa; w ostatnim liście, który tu pisał sekretarz jęj Jędrzej Petrycy, donosił jako 24 zeszłego miesiąca, była w kościele Ś. Anny w Krakowie na mszy, z dworem swoim, gdzie idąc, na ofiarę zostawiła pięćdziesiąt czerwonych złotych. Po mszy gdy z kościoła wyszła, zastąpili jęj na cmentarzu doktorowie i mistrzowie akademicy, i zaprowadzili do kolegium do wyższej sali, gdzie ją witał mową Rektor Akademii, nasz Marcin z Pilzna, wyliczając jęj dary i szczodrobliwości jęj przodków Jagiellonów. Odpowiadał od królowej Petrycy. Potem prowadzona była do biblioteki, ztamtąd do izby wspólnej, gdzie ją marcepany, cukry i konfekty częstowano. Oglądała też pamiątki po naszym błogosławionym Janie Kantym: ów obraz Matki Przczystej, przed którym, jak wam wiadomo, zwykł był się modlić w nocy, kiedy kolegium było zamknięte; napisy świątobliwe na ścianach jego ręką kreślone; i rewerendę purpuryanową, w którą do dziś dnia oblekają każdego dziekana filozofii nowo obranego, w nadziei że wraz z suknią i mądrość wielkiego męża oblecze. Po tych odwiedzinach przysłała Miłościwa Pani Akademii precudny kubek złoty, który waży 135 dukatów. Wręczył go starszym kolegiatom, Kasper Sadłocha, aby został na zawsze ślad dnia tego. Owe względy królewskie dla Akademii Krakowskiej nie koniecznie idą w smak pewnym ojcom, którzyby już wszystko dla swoich zagarnąć chcieli; lecz są między niemi tacy, co zasługi tej stariej

matki naszój szczerze uznają, a na ich czele ksiądz Piotr Skarga, niegdyś jej uczeń, który coraz bardziej wymową i świętobliwością swoją słynie; teraz gości właśnie w Krakowie, i pracuje nad założeniem przy kościele św. Barbary, banku pobożnego na wzór włoskich: byłoby to wielkie dobrodziejstwo dla ubogiego ludu. Miłościwa Pani nad zamiar swój długo bawiąc w Krakowie, gdyż już blisko roku, niezawodnie wyjechać miała pierwszych dni bieżącego miesiąca na Skałę i Częstochowę do swojej ukochanej Warszawy; dokąd ją też powołuje kościół osierocony odjazdem dziekana. Koniecznym sposobem chciałaby królowa JM. wyjednać u małżonka swego rychły powrót do Polski, księdza Reszki; ale Miłościwy Pan ani słyszeć o tém nie chce. Dziwny człowiek ten ksiądz dziekan; musiałby się napoły przedrzeć, gdyby chciał obojgu królestwu i wszystkim swoim obowiązkom dogodzić: są ludzie których na *jedno* aż nadto; są drudzy których na *czworo* za mało.

„Zborowszczyk zawsze po swojemu; mówią jakoby to z jego poduszczek, Kozacy Niżowscy zdobyli i splądrowali Bender, czém Turek bardzo się obraził i zemsty szukać obiecał; Miłościwy Pan wpadł w gniew srogi dowiedziawszy się o téj nowój psocie, ile że jeszcze nie pora bisurmanów obrażać. do tego przyszło, że mało kto śmie wspomnieć w obliczu królewskiem imie Samuela, gdyż zaraz zapala się bardzo. Łotr tymczasem przejeżdża się po Koronie, jakby po swojej własności, głosząc że Włoch jedzie, czemu jednak nikt nie wierzy. Ów spisek na życie pańskie w Niepołomicach, coraz większój jawności nabiera; Gosławski i Bokszyć, oba szlachta, wygadali się jako byli namówieni od panów Zborowskich, do zgładzenia ze świata Miłościwego Pana, skoroby według zwyczaju swego oddalił się od dworzan w czasie łowów. Bokszyca nieboraka już sprzątnęli za długi język, Gosławskiego sam Kanclerz ma na



oku. Ale, zapominam wam donieść, Kanclerz lada dzień w województwo Sendomirskie zawita; przemógłszy mężnie domowy smutek i własne sprawy nieco załatwiwszy, jedzie do Krakowa sądy Grodzkie odprawić; ztamtąd uda się do Lwowa, gdzie już na niego czeka poselstwo tureckie, z którym ma traktować w imieniu Króla i Rzeczypospolitej, o owe przez Kozaków wyrządzone krzywdy: ze Lwowa zjedzie do Lublina, dokąd i my zjechać mamy zaraz w drugiej połowie Sierpnia. Jam téj drodze bardzo rad, gdyż skoro obowiązki służby pozwolą, pobiegnę ucałować nogi najukochańszéj pani Matki i Waszéj Miłości; ale co nasz Pan, to zostałyby tu daleko chętniej. Coraz więcej zda się lubić Grodno; jużto między nami mówiąc, woli on jednego swego Węgra Kiepszę albo Terensa od dziesięciu Polaków, a dziesięciu Litwinów od dwudziestu Koroniarzy. Panowie téż litewscy Bogiem a prawdą, szczerzej go kochają i pomagają mu chętniej do spełnienia jego wielkich zamysłów. Z naszych możnych, jeden prawie Kanclerz, co dla niego wylany duszą i ciałem; i słusznie powiedzieć się godzi: iż nie było nigdy dotąd równie rzetelnéj przyjaźni między monarchą a poddanym, zawsze jakby jedna dusza w dwóch ciałach. Od Lutego nie był u nas Kanclerz, ale w zamian ciągle jeżdżą posłańce z listami do Knyszyna i z Knyszyna; gdyby choć jeden taki list mieć w ręku, i gdyby go się godziło przeczytać, dopierożbym Waszéj Miłości ciekawych a ważnych rzeczy naprawił.

„Miał téż Miłościwy Pan ostatnią pocztą, mieli i inni, listy z Włoch od księcia Radziwiłła Sierotki i jego służby, o tych listach głośno i obszernie mówiono, a niektóre sam miałem w ręku. Już ukończył ślubowaną pielgrzymkę do Ziemi Świętej, i Wielkanoc odbył w Ferarze. Chorował mocno we Włoszech, ale już zdrowszy i ma tu zjechać z początkiem Lipca, złożyć dzięki naszemu Królowi za staranie jakie czynił koło niego prawie ojcowskiem sercem. Rozli-

cznych doznał przygód w tej podróży; ale może Wasza Miłość wiesz o tém wszystkim tyle co i my: znane przywiązanie Radziwiłłów do Was, a szczególniej tego książęcia i wdzięczność za tak piękne opisanie meztwa jednego z nich; nie dziwiłbym się wcale, gdyby jadąc z Krakowa do Grodna o Czarnolas zawadził.

„Kursowała tu niedawno nowa książka Fausta Socyna przeciw Paleologowi; Miłościwemu Panu nie podobała się z kretesem, i jakoś jój już tu nie widać; wystarać jój się muszę dla Waszój Miłości, który wszystko lubisz mieć w swojej księżnicy, co jedno z pod naszych pras wyjdzie. Słychać, że Socyn rad nie rad wyniesie się z Krakowa. Lepiej udało się naszemu księciu Sokołowskiemu. Wiadomo Waszój Miłości iż przestał już miewać kazania przed Królem, tylko spowiednikiem jest królewskim i pisze ile może; zdrowie niesposobne, ciągły ból głowy nie pozwalają mu większej pracy. Temi dniami złożył jednak Miłościwemu Panu, świeże pismo swoje przeciw kanclerzom; Król mu odpowiedział: „Ojcie kaznodziejo, oba walczymy: ty przeciw nieprzyjaciołom Wiary, ja przeciw nieprzyjaciołom Rzeczypospolitéj.“ — „Prawda, Miłościwy Panie—odpowiedział—a gdybym tak umiał władać piórem jak WKM. orężem, i jabym zwyciężał.“ Jedno co nas tu martwi u dworu, to coraz większa wiara jaką Król daje owemu przybylcowi bezbożnemu różnowiercy Symoniusowi: gadatliwy, zarozumiały, a wcale niedoświadczony lekarz, i nawet jakiś niepewny człowiek się zdaje. Bukcella, który go Królowi polecił, już tego żałować zaczyna. Miłościwy Pan nasz ma tę słabość wielu zacnym monarchom wspólną, że lekarzami otaczać się lubi; i radzi się wszystkich skoro o jakim sławnym posłysz. Zdrowej i czerstwój jest Bogu dzięki natury, dawniej choroby wcale nie cierpi; mimo zawsze ciekącej rany w nodze prawej, cały dzień gotów nie zsiąść z konia i nie widzi się zmęczony; żadnego téż zbytku w niczém a niczém sobie nie

pozwała; wody wprawdzie nieprzyjaciel, ale wina nie wiele pije; prawdziwy wzór wstrzemięźliwości; szkodzi mu jedynie gniew a zgryzota; niestety: do obojga nie brakuje mu powodów. Między nami mówiąc, obawia się on téż niepomalu trucizny, tylu znając przeciw sobie zaciętych nieprzyjaciół; bardzo często jakieś leki bierze chroniące od jój skutków, które, daj, Wielki Boże, aby mu z czasem zdrowia nie zepsuły. Powiadał mi o tém nasz *vere nobilis* rotmistrz Sobocki, który ciągle w wysokich łaskach jest u Miłościwego Pana, i muszę wyznać godzien tego. Z nim on lubi rozmawiać poufale o obcych krajach, i przypominać sobie swoje dawne podróże. Co u stołu, to rad zawsze widzi pana Smolika, choć nierównie młodszego od siebie, bo i o wojnie mówić może i nieraz się rozśmieje z jego trafnych odpowiedzi i dwuznacznych wyrażień. Właśnie wczoraj zmówiło się o przebiegłości różnych narodów, pan Smolik rzekł: „Polaka Niemiec, Niemca Włoch, Włocha Hiszpan, Hiszpana Żyd, Żyda sam dyabeł oszuka.“ Wszyscy jednogłośnie przyznali, iż jak najrzetelniej owe stopnie oznaczył.

„Ale jużem się bardzo szeroko rozписаł; tuszę sobie że Wasza Miłość nie zarzucisz mi lenistwa; zebrałem com jedno rozumiał godném być Waszego zajęcia; posyłam Wam nadto trochę obrazków jakie zgromadzić się dało; ciekawy jeden wizerunek w Paryżu zrobiony, satyra na króla Henryka, wystawiająca Polaka co na Krakowskim rynku herby jego tłucze, i wizerunków rytowanych na miedzi kilka, Miłościwego Pana w koronacyjnym stroju, i Kanclerza naszego w hetmańskim ubiorze: przydadzą się do Waszego, jak zowiecie *Sylva rerum*. Przyłączam nadto dzieło pogrobne Stanisława Orzechowskiego: „Nauki dla panujących,“ które Jakób Górski tylko co wydał i przypisał naszemu Panu, choć on dalibóg, nauk niczyich nie potrzebuje. Dziwna rzecz z tym Orzechowskim; tyle wrzawy narobił za życia, a nawet nie wiedzieliśmy kiedy i jak umarł. Wszystko się

zmienia na tym świecie. Rokuję przeciw sobie i wszystkim Kochanowskiemu, iż sława Waszój Miłości nigdy się nie zmieni; i niemasz prawie dnia, żeby mi nie wypadło chełpić się na głos że jest Waszym Synowcem. Żal mam też wielki do pana Franciszka; wszystkich nas w pole wyprowadził; ja sam ustąpiłem mu miejsca jako synowi najstarszego ze stryjów, aż tu on dał sobie włożyć grochowy wieniec przez przybyłego wojaka. Tak to bywa często: postronni mają lepsze szczęście od swoich. Z Franulem klócić się nie będę, bo ani warto, ale Ewulce i panu Rotmistrzowi nie daruję; na kolacze weselne zjadę, i do białego dnia z panną młodą tańczyć będę.

Nim to nastąpi, racz Wasza Miłość przyjąć pokorne służby moje.

Wasz przywiązany synowiec i prawdziwy sługa.

*Krzysztof Kochanowski*

Dworzanin królewski.“

P. S. „A muszeć przecie przysłużyć się jakim kwiatkiem pobożnej bratanice, może się w nim wróżba ukryła. Piszą z Rzymu, jako Ojcowie Jezuiti szczycą się bardzo zakonnicą Hiszpanką niezbyt dawno zmarłą, która żywotem swoim, śmiercią i pismami wielką cześć Kościołowi przynosiła, i zapewne w poczet Świętych policzoną będzie. Jest to Teresa z Awila, jak ją zowią cudowna; była z zacnego i bogatego rodu Sanchezów, bardzo urodziwa, dowcipu ostrego, rozsądku dojrzałego. W pierwszej młodości lubiła świat, zabawy, towarzystwa, ale w 21-m roku życia wszystko rzuciła, habit przyjęła, i mocno trwając, codzień do samej śmierci postępek w pobożności brała. Założyła dwa klasztory bardzo ostre: Panien Karmelitek Bosych i Ojców Karmelitów; cnót jej i darów Boskich jakie w sobie miała wyliczyćby trudno, równie jako i zrachować dusze, które przykładem, modlitwą, wymową, księgami pełnemi mądrości,



Chrystusowi pozyskała. Umieranie jój tak było ciche jak gdyby rozmyślanie odprawiała, i różne cuda działały się nad jój ciałem. Życie jój opisuje szeroko jój spowiednik i ona sama je opisała w dziele które zostawiła; tłómaczyć je ma z hiszpańskiego na łacińskie ksiądz Franciszek Ribera; wtedy nasza pobożna Ludwina będzie miała na co się zapatrywać. Teresa od siódmego roku już się zaprawiała w pobożności czytaniem ksiąg nabożnych; żywoty męczenników tak ją zagrzewały, iż dzieckiem będąc pragnęła męczenniczką zostać, i wyszła z bratem z domu rodziców, chcąc się udać do Maurów między pogaństwo, żeby tam krew swoją dla Chrystusa rozlać. Niechże Wasza Miłość pilnuje naszej świętój, żeby do Turków się nie wybrała.“

*Pisano w Grodnie d. 6 Maja 1584 r.*

*w święto męczeństwa Jana Chrzciciela.*

## ROZDZIAŁ XVI.

Gdzieś to piękne boginie tak łaskawe były,  
Żebych ja ile chęci, tyle miał i siły  
Służyć ojczyźnie miłej, a jej sprawom sławnym  
Nie dopuszczał zamierzknąć w ciemnym wieku  
dawnym.

Był to 11 Maja, po kilku dniach zimna i śloty odmienił się wiatr i nastąpiła znowu ciepła, wonna pogoda. Korzystając z niej, Kochanowska kazała przeprać sztuki płótna, płócienka, drelichu, barchanu, obrusy, ręczniki i inną bieliznę przeznaczoną Ewie, żeby miększa i łatwiejsza była do krajania i do szycia; a chcąc te wszystkie rzeczy mieć pod okiem, przesuszyć w miarę, w samą porę wymaglować i wyprasować, dała je rozwiesić i rozpostrzeć około domu, na łące, na podwórzu: dostało się i chróścianemu płotowi i gałęziom starych jaworów, i belkom, i krokwiom, a nawet wrotom i słupowi z kółkami. Kochanowski, który kilkoletnim pobytem za granicą, nabył cokolwiek owego zmysłu porządku, niekoniecznie hojnie udzielonego Polakom, owego zmysłu, co to rad widzi zawsze rzecz każdą na właściwem sobie miejscu, i wstręt czuje do tych domowych zamieszkań, które w czasie pokoju rabunek wojenny przypominają; Kochanowski, mówię, wróciwszy

z pola, gdzie się przypatrywał z radością pięknie rosnącą pszenicy, zganil żonie takowe rozpostarcie się z chustami wszelkiego rodzaju na samym widoku, jakby już w całym Czarnolesie innego miejsca prócz podwórza nie było: ale ona zamknęła mu usta i sprawiła, że czapkę nasunawszy na uszy, poszedł śpiesznie do swego pokoju, temi trochę uszczypliwemi słówkami, które najlepsza, najłagodniejsza kobieta ma na doręczu przy każdej wielkiej domowej pracy; zwłaszcza, kiedy jój się wydaje, że mąż wchodzi w jój prawa i nie ocenia należycie ważności i potrzeby jój zachodów.

— Jednęć tylko w życiu wyprawę córce się sporządza—rzekła sucho—można przecie raz nie żałować podwórza i płotu. Nie bójcie się, maluczko już Ewulka naprzykrzać wam się będzie; i ona i jój przybory zejda wam z oczu niedługo a na zawsze.

Tymczasem okazało się, że Kochanowski, jak się to często panom mężom nietylko w XVI-tym ale i w XIX-tym wieku zdarzyło i zdarza, miał zupełną słuszność w swoich naganach.

We dwie godziny po południu, kiedy w najlepsze całe podwórze zawieszono i zasute było, i nawet ścieżki nie zostawiono, żeby dojść z wrót do dworu, dał się nagle słyszeć tentent prędko stępujących koni; dworzanie suto przybrany z pachołkiem za sobą, stanął za płotem, a zobaczywszy przeszkodę do dotarcia przed ganek, wezwał Nastki właśnie około bielizny zajętej, ażeby zrobiła mu miejsce co rychlój, „gdyż inaczój roztratuje chyba te gałgany, pilno bowiem rozmówić się musi z panem Wojskim, jeżeli jest w domu, i nawet zsiąść z konia mu nie wolno.“ Nastka dogodziła co żywo tak śmiało wyrażonej woli i pobiegła wezwać swego pana. Kochanowski wyszedł na ganek pozdrawiając przybylca; ten zaś uchyliwszy czapki, tak mu powiedział:

— Miłościwy pan mój, Wielki Kanclerz i Hetman Koronny, w przejeździe swoim z Knyszyna do Krakowa, zatrzymał się o pół mili ztąd w gospodzie, gdzie popasa z licznym orszakiem swoim; mnie zaś tu przysłał dowiedzieć się, czy Wasza Miłość jesteś u siebie, gdyż zjadłszy obiad, chce zboczyć z walnego gościńca, a wraz z waszym bratem, panem Andrzejem, pozdrowić was w waszym domu, i zabawić jaką godzinę; dłużej nie może, jadąc z wielkim pośpiechem na sądy swoje starościńskie.

Kochanowski przejęty i uradowany tak wielkim zaszczytem prosił dworzanina, „żeby oświadczył pokorne i życziwe jego służby Kanclerzowi, i powiedział, iż czekać będzie z utęsknieniem spełnienia jego łaskawej obietnicy.“ Młodzieniec usłyszawszy te słowa, spiął konia ostrogą i chciał pędem odjeżdżać, kiedy Kochanowska nie wiedząc kto i poco przyjechał, ale widząc ze swego okna obcych, wysłała co tchu Ewę z kuflem i z dzbanem miodu. Niepodobna było odmówić grzecznej dziewczeczce: spełnił dworzaniek kufel duszkiem, pacholek także słodkim napojem nie wzgardził, i ruszyli oba wołając:

— Bóg zapłać! najdalej za godzinę będziemy z powrotem i nieco liczniejsi.

Pojąć można łatwo, z jaką szybkością gruchnęła ta ważna wiadomość po całym domu.

— Wielki Kanclerz i Hetman koronny, starosta krakowski, druga osoba w Rzeczypospolitej po Królu, za godzinę tu zjedzie.

Było czemu się dziwować zaprawdę, ile że od czasu jak Jan Zamoyski piastował te wielkie godności, i tyle spraw odmiennych miał na głowie swojej, nie widziano go w Czarnolesie. Same tedy słychać było zewsząd wykrzykniki; jeden tylko Kochanowski nie zdziwił się tak bardzo, aui téż bynajmniej nie stracił zimnej krwi swojej; znał on Zamoyskiego od jego piérwszej młodości, a jako starszy



kilkunastą laty, nieraz u stołu Zygmunta Augusta wyżej siedział od niego, nieraz w trudnych przygodach dobrą radą go zasilił; wreszcie nawykły do poufałości nie tylko z panami, z wysokimi urzędnikami, ale z monarchami, równy im oglądał i nauką, nie mógł przelądzić się podobnych odwiedzin; owszem rad temu jawnemu dowodowi szacunku i nie zmienną przyjaźni znakomitego męża, rad że brata uściska, odzyskał zupełnie przyrodzoną wesołość, i żartować sobie zaczął z żony, która jakby odszedłszy od przytomności, nie wiedziała czy się ubierać, czy podwórze uprzętać, czy dom zamiatać, czy podwieczorek przyrządzać? a z rumieńcem w plamy na twarzy, z oczyma zastraszonemi, z duchenką na bakier i z mentlikiem roztwartym biegała tam i sam chwytając się to za głowę, to za suknię, i zaczynała wszystko nic nie kończąc.

— Pani żono! — powiedział jęz z uśmiechem — a co, choćem zły, niegodziwy, bez serca ojciec, mąż bez żadnego względu i wyrozumienia, czy nie dobry miewam nos?

— O! już na drugi raz słuchać was będę ślepo we wszystkiem — odpowiedziała pokornie ściskając go za kolana — choćbyście i do moich garnków zaglądać chcieli. I na tę chwilę raczcie jeno rozkazać, wszystko co do litery wypełnię.

— Oto najprzód — odrzekł łagodnie i już bez złośliwego uśmiechu — wypij, moja dobra Hanno, kufel zimnej wody na uspokojenie, potem ubierz się copędzaj ochędożnie a nie strojno; dziewczęta niech także się ogarną, wszakże w taki sposób, żeby dociec nie można, czy to z umysłu czy z niechcenia; Orszuli mojej włóżcie letniczek nowy i paski złote, już ja pisałem nieraz o tej mojej Safo do Kanclerza i chcę mu ją pokazać. Nastka z czeladzią niech zbierze wszystko z podwórza co do nitki; Ludwina niech pootwiera okiennice i okna w bawialnej sali, niech kurz pościera, rostruchan z krukiem z puzdra dobedzie i na oku

postawi; nagotować tam w kąciку na stole najlepszego naszego wina, węgryna ojcowskiego i parę farfurek konfektów kijowskich; w izbie ciasta i pospolitego wina dla dworzan, jakotóż chleba, miodu i piwa dla służby. Niech stróże psy pozamykają a wody w koryto naciągną, żeby się i konie napiły. Zresztą na mnie się zdajcie, będę was ostrzegał kiedy co robić wypadnie: skoro wása pokręcę, będzie to znak, jako sam z Kanclerzem chcę zostać; a niech żadnej wzmianki nie zajdzie o stracie jaką poniósł, o spełnioném i odżałowaném nieszczęściu wspominać panom niemasz potrzeby: najlepšíj udać niewiadomość. Przykazać także ostro dziewczętom i czeladzi, żeby żadnego głośnego gadania, trzaskania drzwiami nie było.

W każdym zamieszaniu, kiedy rozsądny naczelnik ster i rządu weźmie, wszystko z nieładu wraca do porządku, a każdy wiedząc co ma robić, robi wczas i dobrze. Toż samo stało się tego popołudnia w Czarnolesie; jeszcze nie ubiegła naznaczona godzina, a już pani Wojska zupełnie uspokojona stała ubrana w ganku wraz z córkami, i wszystko w domu było porządnie, cicho, jak Bóg i mąż przykazał.

Nadjechał też niebawem wyglądany gość; towarzyszył mu Andrzej Kochanowski, ten sam dworzanin co był dopiero, jeszcze takich dwóch i sześciu pacholików, tego zbrojnych. Rotmistrz Wybranowski z kilkudziesiąt jazdy (część tylko orszaku Wielkiego Kanclerza i Hetmana) zatrzymał się podewsią, gotów na pierwsze zawołanie. Jan Zamoyski ubrany wspaniale, w ferezyi z szarłatu długiej po kostki, złotogłowem podszytej, sobolem obłożonej, w krótszym żupanie z niebieskiego adamaszku, cudną dyamentową śpinką spiętym pod samą szyją, w butach podkutych, z bogatą szablą przy boku, z kindziałem drogiemi kamieñmi sadzonym, za kosztownym pasem, w białej czapce z kitką i z rubinowém spięciem, mąż czterdziestoletni, miernego wzrostu, nie wielkiej urody, ale pełen dzielności i powagi,

zsiadł rączo z karego arabskiego konia w sutym złotym rzędzie i pozdrowił uprzejmie kłaniające mu się do kolan gospodarstwo z dziatwą.

— Sądziłem, że Wasza Miłość rad będziesz — powiedział z uśmiechem do Kochanowskiego — widzieć brata swego Andrzeja, a odjeżdżać mnie ani na chwilę nie chciał.

— Zawsze się starać będę — odpowiedział dwornie nasz Jan — mieć Kanclerza, hetmana, a przynajmniej starostę krakowskiego przy braciach moich; jakoś człek nie źle na tém wychodzi. Dziękuję wam, panie Andrzeju — dodał ściskając brata — że mimo tak znakomitych prac i tyle pośpiesznej drogi, nie zapomnieliście o mnie. Przez tę pamięć waszą spotkała mnie wielka a niezasłużona cześć i pociecha. Ale oto żona moja i córki — przemówił już wprost do Kanclerza — pokorne służby Waszjej Miłości oddają.

Dygały wszystkie nisko, jakby świece maczał w czasie tych słów, a Zamoyski rzekł grzecznie:

— Dziwna rzecz, jak na tutejszój roli dzieweczki pięknie się udają i rosną szybko; kiedym u was był po raz ostatni i połowy tych kwiateczków nie było.

— Brat Jan — odezwał się tu Andrzej — chce koniecznie jako poeta do liczby dziewięciu muz dostąpić.

— Dałbyś temu Wasza Miłość pokój — przemówił Kanclerz — postarać się lepiej o Apollina.

— Możeć go i dadzą Nieba — odparł Kochanowski skazując nieznacznie na żonę.

— Winszuję z serca pani Wojska, wpraszam się w kumy i chcę mieć Jana — zawołał Kanclerz; ale gdy to mówił, lekka chmura zasępiła wysokie jego czoło.

— Czy do komnaty Wasza Miłość nie raczy? — spytała zarumieniona Kochanowska — spocząć należy po drodze i usiąść łaskawie w chacie naszój, żeby nam dziatki spały.

Poszedł chętnie i żywo, siadł na wysłanej ławie pod środkową ścianą, położył czapkę obok siebie, najeżoną czu-

prynę podniósł jeszcze palcami w górę, oparł się potem ręką na stole, gospodyni i obydwom braciom usiąść kazał, a dworzanom i służbie dał znak, żeby za drzwiami zostali. Kochanowska posiedziawszy trochę, dostrzegła męża pokręcającego węża i nieznacznie wyszła; Kanclerz rozmawiający dotąd uprzejmie, ale dosyć leniwo, poufalej i obficie mówić zaczął.

— Cóż, panie Wojski?—rzekł—kiedy wam dziatki z Łaski Boskiej szczęśliwie na świat przychodzą i w dobrém zdrowiu się chowają, nie daliżbyście się teraz namówić na kasztelanią? snadno by przysła, wakujące krzesło jest, a Król pan nasz rad je rozdaje takim co nie proszą o nie; co do mnie, zawszem Waszój Miłości życzliwy przyjaciel i służyć gotów.

— Uniżenie dziękuje wam, Miłościwy panie — odparł Kochanowski — trzymam się zawsze jednego, a moję mierność nadewszystko cenię. Takim mężom jak Wasza Miłość, do wielkich dzieł zrodzonym, radzić przystoi o rzeczy publicznej; mnie śpiewać za płotem i cieszyć się myślą wolną i zdrowiem.

— Jakież teraz pieśni Wasza Miłość składasz? oddawnam nic nowego nie czytał, a nie godziłoby się zalegać pola; należy utrzymywać do końca, co przez lat tyle szło z taką chlubą. Panie Janie, nie zasypiajcież na wawrzynach; bierzcie przykład z młodszego brata: pan Andrzej szybko i pięknie Wirgilego przekłada.

Kiedy Andrzej za tę pochwałę, może nie zupełnie zasłużoną, ścisnął nogi Kanclerza, Jan tak się odezwał:

— Wasza Miłość śmiać się ze mnie będziesz: praca do której dziś się zabieram pójdzie może molom na pokarm, albo na trąbki do apteczki, ale objęły mnie na starość jakieś przypomnienia Homerowskie, jakieś chęci bojowe:

Tuszę, że kiedyś w trąbę Aońską uderzę  
I dawne w zgiełku marsowy powołam rycerze.



Już o niczem śpiewać nie chcę, jedno o swoich ojczystych rzeczach: to jest moje dzisiejsze *Omen*, to mi się zda moje właściwe rzemiosło; część moja od Boga mi dana jak Waszój Miłości i Królowi: Rzeczpospolitą dźwigać, bronić, uzdrawiać. Orzechowski łaćmińską prozą pisał swoje Turcyki, nasz Strykowski wyrymował niedawno ciężkie na pohańców żale, jabym rad dobrym polskim wierszem polską chrześcijańską epopeję utworzył; ośpiwam żywot i zgon Warneńczyka, owego syna

co ojca nie wydał,  
Lecz ku sławie dziedzicznój i swą własną przydał;  
Któremu grób, Europa — słup, śnieżne Bałchany,  
Napis: wieczna pamiątka między Chrześcijanym.

a oraz chcę wydać na jaw niebezpieczeństwo, jakiem krzyżowi hardy półksiężyc grozi, chcę obudzić pobożnego i wojennego ducha...

— Wybornie Wasza Miłość trafiasz, szczęście Panie Boże—przerwał uradowany Kanclerz — dziwnieby się narodowi naszemu a jeszcze w tych czasach przydała taka epopeja, a to z ust ojca poetów naszych. Zróbcie z Warneńczyka polskiego Achilla, wynajdźcie i Helenę jaką, wszystko to będzie dobrze przyjęte; a we waszych wierszach upominajcie lud młody do dobrego, sławcie więcej piechotę nad jazdę, karność żołnierza przekładajcie nad samo męztwo: będą to zbawienne nauki dla braci szlachty i dla panów.

Musicie wiedzieć, panie Wojski, do jakiego już stopnia dochodzi zuchwalstwo panów Zborowskich i ich stronników Kazimirskich, Pękosławskich i tylu innych. Wszakci to kiedym z mego Knyszyna wyjeżdżał, Drohojewski starosta przemyski, koniecpolski starosta wieluński, i inni jeszcze z ludźmi swemi zajechali mi drogę, i ofiarowali się towarzyszyć mi zbrojno, gdyż ów wartogłów Samuel za nic sobie ma moję starościńską władzę, i wszędy się przechwala: jako inną stronę, ale o jednej porze ze mną postanowił wjechać do Kra-

kowa. Dziś zaś doszła mnie wieść, jako chce koniecznie bitwy ze mną, i ma koło siebie gawieźdź dobrze uzbrojoną a liczną. Prawda, co od mego wyjazdu z Knyszyna zawsze tak swoje popasy i noclegi urządza, iż je odbywa najdalej o pół mili od miejsca kiedy ja się zatrzymuję z moim orszakem, i różnemi sposobami wiedzieć mi daje, iż wziął łuk do ręki swojej i strzałę przeciw mnie już ma na cięciwie. Ja bitwy z nim nie stoczę, lubo mi suszy o to głowę mój Żólkiewski, ów prawy syn bogini Wenus i Marsa; broń mnie Boże postąpić sobie z tym nędznikiem jak z równym; ale jeżeli w jursydycyą moję wjechać się poważy, uczynię z nim jako prawo każe; jużem go w tem wyraźnie, czarne na białem ostrzegł; spadnie głowa z karku panu Zborowskiemu, jakby spadła prostego kmiecia lub miejskiego synka, gdyby również zawinili: powinność i sam prawie gwałt wcisną tę ostateczność na mnie, lecz ja z sumieniem i z przysięgą moją igrać nie umiem. Nie darmo dochody Rzeczypospolitej pobieram, malowanym starostą być nie myślę; sądów grodzkich zarówno jak spraw kanclerskich i hetmańskich pilnować chcę. Wiem, że od sześciu przeszło lat jak trwa zuchwałstwo pana Zborowskiego, żaden starosta nie odważył się wykonać dawnych ale zawsze obowiązujących królewskich rozkazów; wiem że panowie starostowie wyrządza nie sprawiedliwości w czas nakazany, nazywają nadto wielką fatygą swęj pańskięj osoby; ja trzymam inaczej: w mojem przekonaniu ostatni nawet dech obywatela ojczyźnie się należy; a jakkolwiek ważne a przeciwne sobie urzęda piastuję, nikt przecież zarzucić mi nie może, abym uchybiał któremu: miłość dobra pospolitego umie mnożyć czas i siły.

Same przesładowania, potwarze, obelgi, nie zbijają mnie z mego toru; byłem dobro publiczne powiększył, będę zawsze wołał: „Narodzie, przesładuj mnie, a słuchaj,“ będę zawsze pocieszał się w sobie tém zdaniem: „piękniejsza

nienawiść o cnotę, niż o przewrotność pochwała.“ Dopóki też panowie Zborowscy mnie samemu szkodzili, mnie z czei i sławy obedrzeć chcieli, na moje życie nastawali, dopótym był obojętny i patrzyłem przez szpary; ale powadze jaką mi Król i Rzeczpospolita nadali, władzy prawa uwlec nie pozwolę. Dam straszliwy przykład, skoro zajdzie jego potrzeba; ulękną się nim przecie, ci co wicherzyć pragną, co niweczą najlepsze zamiary. Bo zaiste, w tém wszystkim co panowie Zborowscy knują, jest osobistość, jest zawieść; oni wraz ze mną ksiąźęcia siedmiogrodzkiego na tron polski wynieśli; lecz oni to zrobili dla tego, żeby ich wyniósł i ubogacił, ja dla tego, iżem w nim uznał prawego monarchę. Żli tedy na króla że im się nie wypłaca, mnie przeszkodą swoją być mienią; szlachcicowi spanoszałemu zazdroszczą szybkiego wyniesienia, bogactw, urzędów, a nadewszystko poufałości królewskiej i blizkiego z nim powinowactwa. Chcieliby Węgra zrzucić z tronu i mnie zgubić, myśląc iż z Austryakiem lepiéjby im się udało. Ale wierzajcie mi, w ich postępowaniu jest jeszcze coś więcéj nad spór szlachty możnéj z miernym niedawno szlachcicem, jest walka wyuzdanéj swawoli z władzą i z prawem. I tak, już u nas moc wykonawcza jest słaba, moc prawodawcza mało czynna; oniby jeszcze osłabić je radzi, a to żeby sami mogli dokazywać i używać, dopóki nie wykopią grobu ojczyźnie i sobie. Słusznie mądry Król mówi: „Temu narodowi potrzeba żelaznego ramienia.“ Lecz o takowe między nami najtrudniéj; znajdziesz wielu tyranów, pojedynczego, dzielnego męża nie nadybiesz; razem będą bezprawia wyrządzali, jeden, nie ośmieli się sprawiedliwości wymierzyć. Dałby nam jednak Bóg miłosierny więcéj takich Królów jak dzisiejszy, a możnaby jeszcze śmiało rokować wielką przyszłość naszej drogiéj ojczyźnie...

Iskrzyły się ciemne oczy Zamoyskiego, kiedy tak mó-

wił, twarz płonęła żywym rumieńcem, ręka jedna uchwyciła za szablę, druga zdawało się że rozkazuje. Zatrzymał się nagle i rzekł:

— Folgujcie mi, panowie bracia, iżem się tak zapomniał; dowód to mego szacunku dla was: mało ja przed kim duszę otwieram.

Kiedy domawiał tych słów, drzwi uchyliły się z wolna, i stanął w progu inny znowu dworzanin, kurzawą okryty.

— Listy z Weneckiej poczty?—zapytał Kanclerz.

— Tak jest, Miłościwy panie — odpowiedział młodzieniec—ledwie Wasza Miłość wyjechałeś z gospody, nadeszły listy z Krakowa i pan Żółkiewski mnie tu wyprawił.

Kanclerz wziął spiesznie paczkę z rąk dworzanina, stanął w oknie, rozdarł pieczęcie i czytał ciekawie. Dwaj bracia przez ten czas oddaliwszy się w sam głąb komnaty, nie śmiejąc usiąść kiedy znakomity gość stał, rozmawiali po bratersku, pół głosem, oparłszy się o ogromny piec kaflowy. Zwykli oni byli pisywać często do siebie i donosić wzajemnie o wszystkim; lecz któż nie wie, że kwadrans rozmowy lepszy od półrocznej korespondencji.

— List od księdza Dziekana z Rzymu, z 18 Kwietnia, najświeższy i najciekawszy, będzie potrzebował odczytania—przebąknął Kanclerz przejrawszy papiery, a dwaj bracia się zbliżyli.—Wiadomo wam zapewne, panie Janie, iż pan Andrzej Batory nie był kreowany Kardynałem—ciągnął dalej przechadzając się po komnacie—kiedy to niedawno Ojciec Święty kilku razem ich mianował; jam tego za złe nie uważał, i na mojem się stało: będzie niezawodnie mianowany osobno, co z większym będzie dla niego i dla Jego Królewskiej Miłości zaszczytem. Wielu się dziwi temu wyprawieniu pana Andrzeja do Rzymu i kierowaniu go do stanu duchownego—rzekł po chwili—nie wiedzą że Batorowie mają do zmycia z siebie wszelkie podejrzenie o ka-



cerstwo, nie wiedzą, że nam teraz więcej niż kiedy Rzym mieć po sobie, i z Rzymem trzymać należy. Rzeczpospolita Polska winna być silna a katolicka; upokorzywszy wyznawców proroka, powinna stanąć dzielnie jak przegroda niezłomna i niezdobyta między szerzącym się niemieckim kacerstwem i zawsze potężnym greckim kościołem... Taka jest tajemna polityka dzisiejszego Króla, zupełnie inna niż była nieboszczyka. Wielom się wydaje, iż szkoda pana Andrzeja! jakby to kapełusz zdjąć się nie dał dla ważniejszej ozdoby, jak gdyby nieraz zaszczyt nie spotkał rychlej tego, co niby o niego nie dba... Wreszcie, pan Andrzej nie jest jedynym krewnym królewskim... mogliby się trafić i inni następcy...

Tu Kanclerz zadumał się smutnie; Kochanowski miarkując iż już mówić poufale nie będzie, a chcąc przykre jego myśli rozerwać, zapytał się czyby nie pozwolił sobie czem służyć?

— Możebyśmy spełnili kielich węgryna—powiedział— za zdrowie ojczyzny, albolitéz za Królewskie i Waszój Miłości, bo to troje na jedno wyjdzie?

I to mówiąc wziął kielich i butelkę pleśnią okrytą, w kącie komnaty przygotowaną.

— Nie wzgardzę winem — zawołał Kanclerz, jakby otrząsając z głowy ważne i natrętne myśli — ile że wiem zdawna, iż się na tych rzeczach znacie. Czas nam też kęs pobłaznować. Spełnij Wasza Miłość kielich w moje ręce, jak mówiłeś, a ja do zdrowia Króla i Rzeczypospolitój dodam wasze, którym znowu pan Andrzej nie wzgardzi.

I tak się stało. Zasiedli pod ścianą jak pierwój, a kielich z wytrawnym węgrynem krążyć między nimi zaczął; wypróżniły się wnet trzy i cztery butelki, znikwały konfekta z farfurek, choć Kanclerz się skarżył że mu słodycze zęby przed czasem zepsują, że nadto ich jada. Sypały się z ust dwóch braci różne krotofilne słówka, gdyż wiedzieli, że

Jan Zamoyski lubił żarty i zwał je zaprawą albo osłodzeniem życia ludzkiego, a szczególnie kiedy jadł i pił, zawsze rad bywał wesołej myśli, odkładając natenczas na bok wszelkie swoje trudy i kłopoty, z ową mocą i przytomnością umysłu, jaką posiadał w wysokim stopniu.

W liczbie różnych wivatów wnoszonych dla gładszego spełnienia kielichów, musiała przyjść kolej i na płec białą; ledwie Kochanowski wypił zdrowie pani Kanclerzyny, kiedy Kanclerz zażądał wypić zdrowie pani Wojskiej w jej obliczu. Poszedł tedy pan Andrzej wezwać bratową, a tymczasem nasz Jan oświadczył zacnemu gościowi rychłe a pomyślne postanowienie najstarszej córki. Ucieszył się bardzo tą wieścią Zamoyski, gdyż szacując wysoko Podlódowskiego, uważał był także i młodego Filipa; prosił więc żeby Ewa z osobna przedstawioną mu była. Kochanowska zaś wiedząc czém się mężowi podoba i rozmowę podsyci, przysła z Orszulką na rękę. Namawiała ona już blisko od pół godziny dziewczynkę, żeby jakim wierszykiem powitała Kanclerza; dziewczynka jakoś nie zdawała się być przy poetyckiej echocie, i powtarzała marszcząc czoło:

— Nie znam tego pana: boję się go.

Napróżno matka rozpowiadała jej różne rzeczy o nim: jaki on możny i bogaty jak nikt w całej Litwie i Koronie, jakie ma śliczne pałace i zamki, suknie złote, klejnoty, żonę księżniczkę; a taki dobry, tak dzieci kocha, sam zaś niema ani jednego, a pragnąłby bardzo, osobliwie syna. Dziewczynka jakby tego wszystkiego nie słuchała, obiecała jednak matce być grzeczną, dać buzi wielkiemu panu, chociaż wcale nie taki ładny jak pan Podkoniuszy. Zaniosta ją tedy Kochanowska, a ledwie Kanclerz ją ujrzał, zaczął wymawiać obojgu rodzicom, że mu ją tak późno pokazują; a ujęty jej anielską pięknnością, wziął ją na kolana i pieścił się z nią czule. Ona mu długo w oczy patrzyła; potem nic nie mówiąc oglądała jego suknie, dotykała się drobną

rączką drogich pierścieni i klejnotów jakie miał na sobie; a gdy jój się spytał: „Czy to piękne? czy jój się spodoba?“ ona już swoim obyczajem tak mu odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,  
Jak u nikogo na świecie;  
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,  
Dałbyś pewno wszystko za to.

Kanclerz zdumiał, aż zbladł cokolwiek.

— Któż cię to takich wierszów nauczył? — zapytał z przymuszonym uśmiechem.

— Nauczył? — powtórzyła z zadziwieniem dziecina — nikt; ja sama tak z siebie zawsze sobie gadam.

— Tak, nieinaczéj, sama z siebie — mówili za nią przestraszeni rodzice — jak nam Bóg miły!

A Kochanowskiej serce mocno bić zaczęło, gdyż zmiarkowała, że powieścią swoją narobiła téj biedy.

— Kiedy tak—rzekł jeszcze Kanclerz zdobywając się na powtórny uśmiech, i chcąc żartem zagoić bolesne choć niewinne dotknięcie niezagojonéj jeszcze rany — to ja nie będę szukał innych dzieci, jeno sobie będę miał Orszulkę; daruję twemu ojcu te wszystkie śliczności, a ciebie wezmę z sobą do Krakowa. Już moja Orszulka, już moja!—wołał i owijał ją w połę aksamitnéj ferezy, i tylko jój śliczną twarzyczkę było widać otoczoną sobolem.

Ale ona wrywając mu się i trząsając główką, tak jeszcze przemówiła:

Nie, ja dziewczyna,  
Tobie trzeba syna.  
Mnie weźmie ktoś inny:  
Aniołek niewinny.  
I poproszę Boskiej Matki,  
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Nie mógł już wytrzymać Zamoyski; zbladł jeszcze mocniej, iza zakręciła mu się w oku, wstał, oddał pani Wojskiej dziecinę, mówiąc z uczuciem:

— Bez żadnej przesady były listy wasze o nią, panie Janie, to prawdziwie cudowne dziecię; oby jój słowa były prorockie! i oby ją wam Bóg uchować raczył!

A spostrzegłszy teraz dopiero Ewę, która od chwili była w komnacie i stała nieśmiało w oknie, zapytał się:

— Czy to ta dorodna dziewczka, pana Owadowskiego narzeczona?

Otrzymawszy odpowiedź, rzekł głaszcząc Ewę pod brodę:

— Szkoda co godzina już upłynęła, mógłbym ci dzieweczko wiele miłych rzeczy o twoim bogdanie naprawić; widziałem go nieraz w ogniu: dzielny Rotmistrz z niego. Ale komu w drogę to i czas; jedno ci jeszcze powiem: możesz go serdecznie miłować, godzinę tego.

Tak mówiąc nieco przerywanym głosem, zaczął poprawiać pasa, wykręcać ferezyą i parę razy przytknął rękę do szyi. Kochanowski przeląkł się znowu, czy skutkiem bolesnego a utajonego wzruszenia spowodowanego słowami Orszulki, nie napadają Kanclerza mdłości, do których bardzo był skłonny; potwierdził się jeszcze w tej myśli dostrzegłszy, że z pewną żywością rozpina żupan. Już chciał stołek podstawić, wołać o wodę, o apteczne kordyały, kiedy Zamoyski obróciwszy się ku Ewie, podał jój cudną dyamentową szpinę, którą z kołnierza był wyjął, i powiedział z przymileniem:

— Sam twój ojciec gdzieś napisał:

Miłość w dyamencie ryje  
Swe czułe obietnice i pod serce kryje;

weź przeto tę śpinkę, noś ją na piersiach dzieweczko, i niech ci przypomina jaką być winna twoja miłość dla przyszłego męża



Jeszcze i Ewa i wszyscy obecni zdumieni byli uprzemiemi słowy i szacownym darem Kanclerza, kiedy on całując w ramię gospodarza kłaniającego mu się do kolan, pozdrawiając wszystkich, wsiadł spiesźnie na konia wraz z panem Andrzejem, i kazał swoim dać znak umówiony. Wnet z dwóch stron nadjechały pędem dwa oddziały straży hetmańskiej, ukryte podewsią; zabrzmiały trąby, zachrzęściły pancerze, zabrzękły szable, rozległy się krzyki obozowe, zatętniała ziemia pod jeźdźcami, wzniosła się kurzawa od licznych kopyt: ruszyli wszyscy ku Wiśle, a po chwili wszystko cichnąć zaczęło, aż nareszcie zupełnie ucichło. Nie ucichły atoli równie prędko rozmowy czarnoleskiej drużyny o tych odwiedzinach i wszelkich ich okolicznościach, a osobliwie pochwały Zamoyskiego. Ewa pyszniła się z jego daru, który w rzeczy samej był wysokiej wartości, tak dla wielkości dyamentu, jako dla foremnego kształtu i żywego ognia; kiedy się weń ustroiła do kościoła, zwróciła wszystkie oczy na siebie, a młode sąsiadki podobno na ten raz zazdrościły jęj jeszcze więcej śpiuki jak bogdana. Kochanowski znowu pysznił się swoją Orszulą, chociaż w tęg okoliczności dziecinna jęj muza napędziła mu nieco strachu; myślał sobie, żeby nie oddał tęg drobnej dziewczeczki ani za buławę hetmańską, ani za wielką pieczęć kanclerską; co Kochanowskięj, to przy całej radości i dumie utkwily boleśnie w duszy owe słowa Zamoyskiego: „Oby ją wam Bóg uchować raczył.“ Obracała je na różne strony w swojej głowie, a zawsze ją niepokoiły. Serce matki tak łatwo się zatrwoży.

## ROZDZIAŁ XVII.

Kochanowski przejęty do żywego łaskawą poufałością i hojnością Kanclerza, dowiedziawszy się od kilku domowych i kmieci, którzy to na własne oczy w sąsiedzkich wioskach widzieli, na własne uszy słyszeli: jako pan Samuel Zborowski coraz nowych ludzi zgromadza i coraz głośniej się odgraża: iż napadnie znienacka na Zamoyskiego i zabije go choćby własną ręką; Kochanowski, mówię, jeszcze owego 11-go Maja, w parę godzin po wyjeździe Kanclerza z Czar-nolasu, dosiadł swojego siwosza, objechał kilku bliższych pokrewnych i sąsiadów, do dalszych rozesłał gońców, z za-proszeniem: ażeby każdy, kto może, ruszył dobrze uzbro-jony téj nocy drogą krakowską, a to w celu powiększenia orszaku Kanclerza i łatwiejszego pobicia i schwywania zu-chwalca Zborowscyka. gdyby do krwawej walki przyszło. Pan Wojski Sandomirski w tym objeździe i obesłaniu swo-jem nie potrzebował wielkich namów, ani téż okoliczna szlachta nie wybierała się długo. W owym czasie nic nie było pospolitszego w naszój Polsce, jak zatargi możnych między sobą, a wszelkie bojowe wyprawy, czy na obcych czy na swoich, żywiołem były rycerskiego stanu, najmilszém jego zatrudnieniem; w każdój zagrodzie był zawsze w stajni

koń rzeźwy z uczciwym rzędem, rusznica na ścianie, szabla przy boku; gotowość więc była wszelka do boju, gdyż i w chęciach i w możności. Dobrze tedy przed północą, z jakie sto koni tak z panami, z *ludźmi* (według feudalnego sposobu mówienia) pędziło krakowską drogą za Kanclerzem do Hły, miejsca jego noclegu; Kochanowski zaś zalecił synowcowi swemu Adamowi, który, jako zastępca stryja, został ogłoszony dowódcą całego zebrania: żeby w jego imieniu zameldował się Zamoyskiemu, „przeprosił, że dla niesposobnego zdrowia i ramienia, nie on sam przewodniczy téj garstce szlachty sendomirskiej, i żeby uprosił sobie pozwolenie towarzyszenia mu do samego Krakowa.“

Nazajutrz i dni następnych drużyna Czarnoleska była prawie w ciągłym ruchu. Wiadomo, czém jest dla mieszkańców wiejskich każda przygoda dziejąca się w sąsiedztwie; nieznamy człowiek widziany w boru, zgłodniały wilk w kniei, już są ciekawym i zajmującym wypadkiem. Cóż dopiero podobne temu wydarzenie: rozprawa Zamoyskiego z Zborowskim! Była to zupełnie jak gdyby wielka żyjąca tragedia, która się odgrywała pod ich oczyma. Główna osoba dopiero co tu była u nich, i tyle łaskawą się okazała; przeciwnika także znał oddawna osobiście sam Kochanowski, a nie dalej jak wczoraj, właśnie kiedy Kanclerz gościł w Czarnolesie, pan Łukasz Gupolski wracający ze Zwolenia spotkał się z panem Zborowskim: siedział piękny młodzian na dzielnym ukraińskim koniu, z sukien jego złoto i srebro kapało; pytał się o pana Jana Kochanowskiego, i zdawać się mogło, że także w odwiedzinach do niego chce zjechać, ale nasz bakałarz nie głupi, wiedząc żeby pan nie był rad takiemu gościowi, powiedział mu, że go niema w domu. Prócz tego każdemu było wiadomo, iż w téj rozprawie idzie o śmierć albo o życie, i że obadwa bohaterowie, przynajmniej do czasu, niemal równie są narażeni. Mógł Zamoyski bezpiecznie, dopóki w jurysdyk-

cyą swoją nie wjechał, paść ofiarą zdrady albo przemocy, ile że wiedzano o Samuelu, że i sam śmiały i śmiałość drugich suto płaci; mógł łatwiej jeszcze Zborowski, gdyby się nie upamiętał i naigrawać śmiał do końca starościńskiej władzy, podać hardą głowę pod miecz katowski. Trzy dni rachowano jazdy do Krakowa, termin więc nawet rozwiązania tragedii nie był daleki, i oprócz jednośc miejsca, prawie zupełnie według reguł Arystotelesa. Nieustanne przeto były gadania, wieści, nowiny; chłopcy wracający około południa z jarmarku mówili, jakoby słyszeli nad rankiem mocne strzelanie, wnosili ztąd, że zapewne Zborowski napadł w nocy na Kanclerza i przyszło do krwawej walki; nad wieczorem znowu przywędrował dziadek po proszonym chlebie z tamtych stron, i przysięgał się, jako o żadnej bójce nie słyszał; mówił tylko, „iż ludzie po wsiach i po miasteczkach na gościńcu krakowskim są jakby w oczekiwaniu wielkiego wydarzenia; pan Zborowski rozsyła wszędzie swoich szpiegów, sypie pieniędzmi po drodze. Bóg wie co nie gada i nie obiecuje, a coraz mniejszy przedział miejsca jest między nim i Kanclerzem, tak, iż się zdaje, że lada chwila do jednej gospody zajadą i bez żartu się rozprawią.“

Ale im więcej oba przeciwnicy oddalali się od Czarnolasu, tém rzadsze oczywiście dochodziły wieści. Nie pomagały nic pytania, wychodzenie na drogę, wyglądania z tarasu, cała ciekawość i niespokojność; nie było innego ratunku tylko czekać cierpliwie wiadomości od pana Adama, a tymczasem mieć dosyć na wnioskach mniej lub więcej podobnych do prawdy.

W ciągu tych kilku dni wcale niemiłych, gdyż czekanie i niepewność wrogami są życia, trzeciego coś poobiedzie, kiedy rodzina Czarnoleska siedziała sobie w ogrodzie, niemal tak zajęta jak widzieliśmy ją na początku pierwszego rozdziału, Kochanowska przerwała na chwilę



już nie przedzenie, ale szycie swoje, a widząc męża przechadzającego się tam i sam w zamyśleniu, powiedziała:

— Nie dumalibyście tak głęboko; niech Pan Bóg radzi o swojej czeladzi: my w tém nic nie pokuramy. Ja bym wam nastreczyła, panie mężu, cobyście mogli zrobić lepszego.

— Cóż takiego? — zapytał ciekawie stając naprzeciw niéj.

— Oto wy co wszystko wiecie — mówiła z nadobnym uśmiechem — opowiedzcie nam rzędem tę całą sprawę pana Zborowskiego; od wyjazdu pana Adama, dziewczęta mi się pytają a pytają, a ja ledwie piąte przez dziesiąte owe przygody pamiętam, i nie wiem zgoła jak o tych rzeczach sądzić.

— O! prosimy! Ojczy, prosimy! powiedzcie nam jak o było — wołały dziewczęta ściskając go za kolana.

— A to istna tatarska napaść — mówił broniąc się — czego wam się téż zachciało!

— Znacie dobrze, drogi mężu — powiedziała jeszcze Kochanowska — jak my wszystkie rade słuchamy każdéj waszéj powieści, i miłość przecie i pożyteczna nie siedzieć we własnym kraju jak w rogu, jeno wiedzieć co w około się dzieje. A któż nas czego nauczy, jeśli nie wy?

— No, to już wam i powiem — rzekł po chwili — ale czy sobie sam wszystko przypomnę jak należy, za to nie ręczę. Bo wiecież wy, co już od lat dziesięciu ta sprawa się toczy.

— Od lat dziesięciu? — przerwała Marychna — taka stara jak ja.

— Właśnieś ty się urodziła dzieweczko — rzekł Kochanowski głaszcząc ją po głowie — jakoś w piérwszych dniach Lutego 1574 roku, kiedy ona piérwszy początek wzięła, było to w czasie koronacyi króla Henryka.

— I pamiętam dobrze — przypomniała z wdzięczno-

ścią Kochanowska — nie pojechaliście wtedy do Krakowa, choć całe Sandomirskie jechało, żeby mnie chorąj nie odjeżdżać.

— Otóż w czasie téj koronacyi — mówił dalej—odbywały się wielkie uczty, i w Poniedziałek zapustny mieszczanie krakowscy postawili nowemu królowi majestat w rynku, gdzie on téż kilka osób pasował na rycerzy. Ztamtąd był na sutém weselu pana Andrzeja Zborowskiego; bo wiedzieć wam najprzód trzeba, że panowie Zborowscy zdawna byli i są wielce możni! Znamienitsza daleko ich rodzina niż Zamoyских, ich przodkowie starego herbu Jastrzębia, już za Bolesława Śmiałego jaśnieli, a o piérszym Saryuszu dopiero za Łokietka mowa. Ojciec dzisiejszych Zborowskich, Marcin na Rytwianach, jak się pisał, podczaszy starego króla, był bardzo bogaty i rozrodził się wielce, z Anny Konarskiéj, z którą żył lat 40, zostawił ośmiu synów i ośm córek.

— To wesoło było w domu—wsunęła Dorota.

— Z tych dzieciak czterech synów żyje dotąd: *Jan* kasztelan gnieźnieński, mąż rycerski i zacny, na którym żadna wina nie ciąży i którego nasz Pan Miłościwy szacuje wysoko; *Andrzej* marszałek nadworny królewski, com to wspomniał o jego weselu; *Krzysztof* niewiele wart, duszą i sercem Austryakowi oddany; i ten oto nieszczęsny a najmłodszy *Samuel*, o którym, jak tylko go zapamiętam, jeszcze za nieboszczyka króla zawsze zła była sława; strojno chodzić, hojnie u stołu używać, w samych igrzyskach się kochać, to były jego skłonności, a co gorsza, niepohamowaną miał pychę i do swawoli popęd: występnych lubił, a od towarzystwa dobrych uciekał, co najgorszym jest znakiem u młodzieńca.

Inakszy mój Filip — pomyślała tu sobie Ewa, a ojciec coraz bardziej w mowę się wkładając, usiadł obok żony i tak już ciągiem opowiadał:

— Po śmierci rodzica znaczne odziedziczywszy majątności, Samuel w jednej ze wsi swoich, w Krupem, w Lubelskiem, postawił sobie zamek obronny, jeden z najmocniejszych grodów w naszej Koronie; otoczył go murami, basztami, rowami, ciemne porobił bramy tak, że ten gmach raczej do więzienia zbrodni był podobny, niż do mieszkania zacnego pana polskiego. Mówiono wtedy, że Zborowski zrobił to na przekor Janowi Zamoyskiemu, którego już wówczas nienawidził, a który ma o półtóry mili od Krupego piękny zamek w Krasnymstawie; ale mnie się widzi, on to zrobił więcej dla tego, żeby mieć na wszelki przypadek niedobyte schronienie; dopuszczał się też bezkarnie w tym zamku, liczną w nim utrzymując gawieź, szaleństw, rozpust, bezeceństw, nawet prawa gościnności obrażał; żony, Zofii Jordanownej, córki wojewody krakowskiego, prawie gwałtem dostawszy, tam ją zamykał; sprzyjając kacerstwu wyrządzał obelgi kapłanom naszym; zgoła, gdyby to nie był pan zamożny, zdawna jużby głowy na karku nie nosił; ale bogaty, wysoko urodzony, piękny, wspaniały, waleczny, miał nawet wielki rum u niektórych ludzi i u wielu niewiast, i za staraniem to jego i braci Zborowskich, król Henryk na tron polski był wyniesiony, z czego, pożał się Boże, nie przyszło nic więcej Rzeczypospolitej, prócz wstydu i próżnych kosztów. Ale wracając się do uczt koronacyi, nazajutrz po weselu pana Andrzeja Zborowskiego były jak zwykle w takich razach turnieje, gonitwy na zamku krakowskim. Pan Samuel, młodzieniec dwudziestoletni, sławny z dzielnego jeżdżenia na koniu i używania kopii, wystroił się wspaniale jak lubił, i zapragnął popisać się z umiejętnością swoją. Postawił według przepisów kopią swoją w szrankach, wyzywając każdego, któryby chciał doświadczyć co on umieć. A miał on oko na Tęczyńskiego kasztelana wojnickiego, z którym oddawna był źle, podobno jeszcze o żonę, gdyż zadzierał ze wszystkiemi. Tę-

czyński, który się uważał za obrażonego i pogardził Samuelem, domyślił się zaczepki; ale nie przyjął dla siebie wyzwania, jeno wzięść kazał kopia słudze swemu; i to jeszcze ów sługa nie był Polak, ale Charwat. Gdy się o tém dowiedział ognisty młodzieniec, wpadł w gniew, wyzwał Kasztelana na pojedynek, a ostatniemu ze sług swoich z Charwatem czynić kazał. Sługa tak dobrze Charwata ugodził, iż ten zmarł prawie na placu, i dlatego już więcej nikomu dnia tego nie dano się gonić. Pan Samuel jednak nie słuchając zakazu, nagotowawszy się, przyjechał na zamek i chciał czekać na Kasztelana, by się z nim zmierzyć; król Henryk jakkolwiek go miłował, był mu wdzięczny za tron, wyraźnie mu rozkazał ustąpić. Wyjeżdżał więc radniera z zamku z ludźmi swemi, a nie szło mu sporo, bo się niepomścił.

Tymczasem Tęczyński posłyszawszy, że on na niego czeka na zamku, jechał śpiesznie zbrojno z przyjaciółmi, wając jeszcze więcej, jakto ludzie rycerscy radzi czynią, cześć swoją niżli zakaz królewski: zetknęli się oba przeciwnicy w samej bramie zamkowej. Samuel uniesiony zapalczywością młodzieńca, porwał się pierwój na Tęczyńskiego, a gdy w tak niespodzianym i bezprawnym napadzie Wapowski, kasztelan przemyski, towarzysz i przyjaciel tegoż rzucił się na jego obronę, rozjuszony Samuel uderzył go w głowę czekaniem, aż spadł natychmiast z konia, i w téj chwili téż ktoś ze strony Tęczyńskiego strzelił. Czemu dosyć wydziwić się nie można, nikt na Zborowskiego się nie porwał; dano mu uciec wraz ze swemi, a tymczasem ów wystrzał umyślny czy przypadkowy wielkie zrobił zamieszanie w zamku; król Henryk pewny iż to spisek na niego i na jego francuzów, uzbroić się swoim kazał i sam się uzbroił; a gdy się do pokojów królewskich dobywano, dał otworzyć, chcąc wyjść własną osobą na buntowników, bo na waleczności jako francuzowi mu nie zbywało. Ale w miejscu buntowników pokazał się Tęczyński srogim zalem



zdjęty, i służy jego prowadzący zbroczonego krwią Wapowskiego a już prawie bez zmysłów; wielkim głosem domagał się sprawiedliwości; król zaprzysiągł ją wymierzyć, zakazując surowo obrażonemu szukać samemu zemsty; lecz tymczasem Wapowski tejże nocy, szóstego Marca umarł..

— O! już choćby za to jedno zabójstwo—przerwała Kochanowska—Samuel Zborowski godzien srogięj kary; taki zacny, taki znakomity pan kasztelan Wapowski; i została po nim wdowa, pobożna i cnotliwa pani, którą ja dusznie kochałam i kocham. Ona Maciejowska z domu przebywała w klasztorze gdzie ja się chowała, bo miała tam ciotkę zakonnica; prawie równego wieku zaprzyjaźniłyśmy się bardzo; nieboga męża swojego nad życie kochała, i gdyby nie dla syna, pewnoby śmierci jego nie przeżyła...

— A nieboga była właśnie w Krakowie w tój porze—mówił dalej Kochanowski—kiedy nazajutrz zawieziono ciało jój męża do króla na saniach, ubrane, jak miał zwyczaj nieboszczyk chodzić, przykryte sukmem i aksamitem; jechała i ona z synem i z krewnymi w siedmiu kolebkach żałobnych, wstąpiła do królowej Anny, na on czas jeszcze królowej; mimo ciężkiego żalu stanęła i przed królem. Pan Stanisław Maciejowski czynił od nięj żałobę; przez trzy dni, tak jeździła ciągle, a żalność jój szczerą zapewne nie mało się przyczyniła do tego, iż więcej jeszcze powstawali na króla i na stany: że Samuela nie schwytano, nie ukarano zaraz wtedy. Dano mu bowiem czas zemknąć zagranicę, a bracia jego takich sposobów użyli, by go od surowości prawa zasłonić, iż wytoczona mu sprawa ciągnęła się przez cały wielki post; a chociaż statut Starego Zygmunta był wyraźny: iż zabójstwo podczas sejmu lub przed królem popełnione, powinno być karane śmiercią na obecnym, a na zbiegłym wywołaniem i osądzeniem od czci i majątku: przecież z powszechną zgrozą, wyrok wydany na Samuela przełamwał statut, bo go nie osądził od czci, a majątek je-

go oddano bratu, który go zaraz oddał synowi winowajcy; już bowiem wtenczas Samuel miał syna, a później przybył mu jeszcze syn jeden i córka...

— O biédneź! dzieci! biédne!—przemówiły dziewczęta prawie razem.

— Z występku i bezbożności się rodzić—dodała półgłosem Ludwina—cóż to za nieszczęście! O Panie! bądź im Ojcem!—dokończyła ciszej jeszcze.

— Zborowski tedy—prowadził dalszą powieść Kochanowski—na wygnanie został skazany, jedno przecie i na to uważajcie, zabronione mu pod utratą życia wracać do ojczyzny; rozesłany został do wszystkich starostów całej Rzeczypospolitej rozkaz, aby za pokazaniem się jego w kraju do ich jurysdykcyi należącym, natychmiast był schwytyany i ukarany śmiercią. On zaś przez czas kiedy się to działo, schronił się do ziemi Siedmiogrodzkiej, gdzie był właśnie książęciem panującym król nasz dzisiejszy; ułożył się przed nim, jak to on dobrze umi, wyłgał, i ze wszelką ludzkością był przyjęty i podejmowany. Prawda, i podobno jedna ta dobra sprawa udała mu się w całym życiu; prawda, on pierwszy podał Stefanowi Batoremu myśl starania się o koronę polską, gdy od nas uciekł tak haniebnie król Henryk; prawda, on przez braci swoich torował mu do niej drogę; prawda, wspaniały Stefan obiecał wszystko czynić co w mocy jego będzie, skoro dojdzie do tronu, żeby zdjąć z niego zapadły wyrok; prawda i to, że jadąc już do Krakowa, pozwolił mu doprowadzić się do samej polskiej granicy, do Stosowa, majątności Aleksandra syna Samuela; ale król Polski nie mógł dotrzymać obietnic księcia Siedmiogrodzkiego: gdy raz się dowiedział jak się rzeczy mają, niechęć i wzgarda zastąpiły miejsce dawniej zyczliwości, a doznali ich i bracia Samuela, wyjąwszy Jana. Pieczęci mniejszej i większej, buławy, starostw, wszystkiego się domagali panowie Zborowscy od króla, a on wszystko Zamoy-

skiemu dawał; wreszcie w roku zeszłym synowicę mu poślubił: ztąd zawiść panów Zborowskich przeciw Miłościwemu Panu i Kanclerzowi, ztąd gwałty i bezprawia Samuela.

Bo choć on ma zaledwie lat trzydzieści, nagromadził już siła przestępstw na głowę swoje; to co przed oczyma naszymi w tej chwili wyprawia, nie jest największą jego zbrodnią; onto w ciągu tych lat dziesięciu pobudzał Kozaków do buntu przeciw Rzeczypospolitej, a hetmanił im; on w czasie wojny Moskiewskiej bawiąc w obozie naszym, nie bił się jedno wichrzył, i zarówno ze zdrajcą Ościkiem zaprzedał się nieprzyjacielowi; on w początkach tego roku knuł spiski na życie króla i kanclerza, a to w chęci wezwania na tron nasz, Iwana Moskiewskiego, który mu obiecywał wynieść go tak wysoko jak Batory Zamoyskiego wyniósł. Własny jego chłopak Wojtaszek, niezły teorbanista, przyniósł podkomorzemu królewskiemu, Filipowskiemu, list Krzysztofa Zborowskiego, do brata, w którym to liście jawnie widzieć można było, iż chcieli zabić króla w Niepołomickim lesie. Kasztelan gnieźnieński prosił Miłościwego Pana ze łzami, żeby zbiegowi, ladaco chłopakowi wiary nie dawał; król dał mu listy i pieczęcie braci do rozpoznania Kasztelan musiał przyznać że prawdziwe, odejść z gorzkim wstydem i zamilczeć: teraz stronnicy Zborowskich niewiedząc jak się bronić, głoszą że Wojtaszek czarnoksiężnik, że szatan mu pomagał do naśladowania doskonale pisma cudzego, że te listy narozstajnych drogach sporządzone piekielnymi sposobami...

I byłaby może ta dziwna sprawa ucichła, gdyby nie wyuzdane obecne zuchwalstwo Samuela. Ale jakby ośmielony tą bezkarnością, podniósł jeszcze wyżej hardą głowę, i zdaje mu się, że Batory, Zamoyski, prawo, są niczem: on królem, kanclerzem, władzą. A co za serce w nim niewdzięczne, jakie zaślepienie! Pan nasz Miłościwy, pamiętny dawniej zażyłości i usług, nie przestawał przez te wszystkie lata dawać mu ojcowskich przestróg; napominał

go przez braci, przez powinowatych; raz nawet kiedy Jan będąc marszałkiem, najwyższą władzę na dworze sprawował, pozwolił mu przyjść do królewskiej komnaty, to mu groził, to folgował; dopuszczał mu już mieszkania w Złotowie na granicy, byle cicho siedział; niecnota, na nic dobrego tój łaskawości monarchy nie użył, owszem coraz więcej zacina się w zbrodni, i zobaczymyć dziś, jutro, na czém skończy. Nie tuszę, aby dobrze skończył, i potrzebny ten przykład. Szkoda będzie szlachetnie urodzonego młodzieńca, szkoda ojca trojga dziatki, małżonka zacnej niewiasty; piękny, możny, waleczny, nieustraszony, hojny; lecz cóż, kiedy te wszystkie dary Boskie na szatańskie dzieła obraca...

— I na życie dobrego króla, na życie naszego kochanego Kanclerza nastaje—zawołała Ewa spoglądając na śpinkę, którą według dobrej rady ciągle nosiła na piersiach—choć wielki pan, niegodziwy z niego człowiek; cobądź z nim zrobią, żałować go ani myślę; i wielka szkoda co pana Rotmistrza tu niema: onby go już dogonił i nauczył.

— O! gdyby to już wiedzieć można jaki będzie tego wszystkiego koniec—mówiła Dorota—jam strasznie ciekawa i nie gniewałabym się, gdyby pan Zborowski cały wyszedł.

— A ja Boga jeno proszę, żeby upamiętanie dać mu raczył!—szepiała składając ręce pobożna Ludwina—chętniebym trzy dni i więcej, suchotami pościła!

Nie przyjęło Niebo na ten raz pokornych modłów dziewicy; w kilka dni po tём opowiadaniu Kochanowskiego, w tydzień po odwiedzinach Kanclerza, zaczęła wracać zbrojna szlachta Sandomirska do domów, nie bez żalu, iż nie przyszło nigdzie do krwawej rozprawy, a stary Mysłowski przywiózł list Adama Kochanowskiego do stryja. Był prawie w tych słowach:

„Służby moje życzliwe zalecając pilnie w łaskę Waszej Miłości, donoszę naprzód ową wielką nowinę: jesteśmy w Krakowie zdrowi, Samuel Zborowski schwytny, i już się



podobno nie wybiega. Rzecz cała tak się ma. Dogoniliśmy Kanclerza rano po wyjeździe naszym niedaleko Iłży, i raczył przyjąć mile nasze dobre chęci. Jechaliśmy przeto z nim razem. Wierny temu co raz postanowił Kanclerz, znosił cierpliwie coraz bliższe dojazdy Zborowsczyka i coraz głośniejsze pogroźki; chronił się wszelaką mocą bitwy, choć wszyscy młodzi wrzaliśmy chęcią boju; przejeżdżał spieszenie całe nasze województwo, o ile mu tego powaga dozwalała, spodziewając się, że ów zuchwalec nie odważy się wjechać w Krakowskie, że ujdzie z kraju, a tak zostaną całe, i przysięga urzędnika, i prawo, i ten co je pogwałcił. Wielu z nas także podobnie myślało, ale omyliliśmy się.

W Niedzielę stanęliśmy na nocleg w Proszowicach, już w jurysdykcyi starosty krakowskiego; choć spokojniejsi od napaści, żaden z nas ani pomyślał o spaniu, i o wypoczynku; koczowaliśmy pod gołym niebem, i żwawe były rozprawy, czy Zborowski zatrzyma się nad granicą starostwa czy wjedzie? Około dziesiątej godziny przybył nawet szpieg kanclerski z wieścią: że pan Samuel z ludźmi swemi zajął Podolany, wieś, jak wiecie, o milę od granicy starostwa, i tam noc ma przepędzić; kiedy ci którzy jego stronę więcej trzymali, już tryumfować chcieli, jeden z naszych na wywiady wysłany wrócił i doniósł z pewnością: że Samuel wjechał z towarzystwem w Krakowskie; towarzystwo swoje zostawił w Jakóbowicach, a sam z kilkunastą zbrojnych przyjaciół puścił się do Pieczmy do pani Włodkowej swojej siostrzenicy, młodej i gładkiej wdówki, która, jak ludzie mówią, ma być zdawna na niego łaskawa. Zamierzał on wysłać połowę ludzi swoich naprzód do Krakowa, żeby dojeżdżającemu Kanclerzowi zajechali drogę, a on sam z drugą połową miał mu wiaść tył, i tak zewsząd go ogarnąć; w Krakowie zaś rozpustna i próżnująca młodzież, na jakiej nigdy w wielkich stolicach nie zbywa, pobudzona przez stronników Zborowskich, (którzy Kanclerza zowią „Starostą pie-

kielnym“) już była gotowa buntownikowi dopomódz. Były to wojenne a piękne fortele, które się przecież z łaski Pana Boga nie powiodły. Kanclerz dowiedziawszy się o wszystkim dokładnie, osądził w sobie, że już dłużej czekać się nie godzi; jako jednak przezorny jest i baczny, złożył pierwój radę z tych co bliżej otaczają jego osobę: był w niej i stryj nasz Andrzej i bystry Herbut, i wymowny Piskorzewski i uczony Heidenstein, bo wiadomo wam, że on bez mądrych ludzi nigdy się nie ruszy; był i śmiały Urowiecki dzielny Żółkiewski i kilku innych. Wszyscy okazali się tegoż samego zdania co on. Wysłał tedy natychmiast poczet wybranego ludu z dzielnym Żółkiewskim na czele; wkrótce za nim Łukasza Sernego, Szymona Charlińskiego, Wybranowskiego i Mrocza, doświadczonych mężów w rycerstwie. Żółkiewski ze swemi podszedł cichuteńko pod sam dwór pani Włodkowej, i otoczył go pierwój niż ktobądź usłyszał.

Zborowski bawił się spokojny u swojej przyjaciółki, czynił sobie dobrą myśl jakby co najlepszego zrobił, a jego ludzie po wsi byli rozproszeni. Pierwój jednak posłyszał jakiś niezwyčajny hałas, zląkł się i niewiele myśląc zrzuciwszy z siebie suknie wpadł do komnaty panieńskiej i ukrył się w pierwsze łóżko jakie napotkał. Lecz nie pomogło to niewinne schronienie; Żółkiewski wpadł do dworu, trafił na sypialnię i wywłókł go z pościeli. Nie porywał się na niego, jako na bezbronnego; pozwolił mu nawet oblec się w żupan, zarzucić ferezyą, szabli jeno mu nie dopuścił, ani broni żadnej, a ująwszy go mocno za barki, wsadził na swego konia i przed świtem stanął z nim w Proszowicach przed Kanclerzem. Niemam potrzeby opisywać Waszój Miłości tego co się działo w całym obozie, jaki tryumf, jakie gadania, a razem i jakowys strach! Ciekawość nas brała straszna wiedzieć jak się stawia Zborowczyk w obliczu Kanclerza, ale ani słówka dowiedzieć się nie mogliśmy; czterech ich tylko było wczasie rozmowy: sędzia, winowajca, Żół-

kiewski i Urowiecki, i nie się nie wydało. Po tój rozmowie Kanclerz spędził godzin kilka na pisaniu listów, które rozesłał na wszystkie strony, a najpierwszy oczywiście do Grodna, do Miłościwego Pawa; pisał podobno i do pani Wapowskiej, czyby nie miała woli dochodzić teraz zabójstwa swojego męża. Pojmanie Samuela, szybko jakby cudem w tój okolicy się rozniesło; nad rankiem już o nim wiedziano w Krakowie, choć z Proszowic jak wiadomo pięć mil do stolicy. Ruszył tóż wnet i Kanclerz do miasta i my wszyscy z nim; jechała naprzód kolebka ściśle na wszystkie strony zamknięta, i mocną strażą otoczona, a w niej jak zgadnąć można, więzień nie koniecznie wesołej myśli.

Był w Krakowie właśnie zjazd wielki szlachty z powodu sądów grodzkich, było i wielu stronników Zborowskich. Wysypali się przeciw Kanclerzowi wraz ze znaczniejszymi obywatelami i z całą niemal ludnością; a ci którzy najwięcej dokaazywać mieli ucichli zupełnie. Kanclerz oddawszy więźnia pod straż Urowieckiemu jako podstaroście krakowskiemu, sam pojechał na zamek, i tam stanawszy na ganku, miał mowę do licznój szlachty, co go aż na to miejsce odprowadziła; w niej przełożył zbrodnię Samuela i obowiązki starosty, z takim ogniem i przekonaniem, iż gdyby w ten moment był kazał go wyprowadzić i ściąć mu głowę bez innego sądu, niktby nie był wyrzekł i słowa. Ale Kanclerzowi ciężko jest widać, nawet tak występny żywotem szafować, czeka przeto z wykonaniem prawa, odpowiedzi króla i senatorów. Odpowiedź ta przyjdzie najrychlej, na dwudziesty piąty bieżącego miesiąca, i wtedy niebawem koniec nastąpi. Skoro się to stanie, wnet Wasza Miłość ujrysz mnie w Czarnolesie; lecz pierwój odjeżdżać mi nie sporo; nie żeby Kanclerz mnie lub kogokolwiek potrzebował, jeno iżem wielce ciekawy rozwiązania tój tragedyi. Niektórzy tu zaczynają głosić, że powinien król darować życie Zborowskiemu; inni znowu zbierają się wykraść go, porwać z pod ru-

sztowania, i odgrażają się bardzo. Wielu z naszych mniej ciekawych niżli ja, żegnało się już dziś z Kanclerzem, a on im dziękował uprzejmie za ich dobrą chęć; gdym mu oświadczył przez stryja Andrzeja że jeszcze nie odjeżdżam, ale wyprawiam posłańca z listem do Waszój Miłości, rozkazał mi czekać na swoją przysyłkę; jakoż przed chwilą jeden z dworzaninów wręczył mi małą krobeczkę, którą przyłączam, upraszając Waszój Miłości, abyś raczył przyjąć powolne me służby.“

Na krobeczce był napis: „Orszuli Kochanowskiój“ a gdy ją otworzono ukazał się krzyżyk rubinowy na złotym weneckim łańcuszku; kartka była przy nim z temi słowami:

„Aniołku! upros u Boskiěj Matki,  
Zdrowe dla mnie dziatki.“

Orszulka uszczęśliwiona z daru, oddała natychmiast Annie siostrze swojej, dawny złoty krzyżyk, który od urodzenia nosiła; nowy i cudniejszy włożyła na szyję i powiedziała, że go nie zdejmie póki życia; i widziano ją odtąd często jak kłękała w trawie i modliła się trzymając znak zbawienia w złożonych dłoniach. Kiedy ojciec ją tak spostrzegł, cieszył się i przypatrywał jęj się w milczeniu i z lubością; bo zupełnie zdawać się mogło, że anioł z najpiękniejszych, przelatując nad jego wiejską zagrodą spoczął w nięj, i rozmawia z temi co zostały w Niebie.



## ROZDZIAŁ XVIII.

Widziałem złego w szczęściu tak wyniosłym,  
Że był Libańskim równy cedrom rostym;  
Obejrzałem się, a już było po nim;  
Szukam: nie umiał nikt powiedzieć o nim.

*Psalm XXXVII.*

Cała niewieścia drużyna Czarnoleska, która teraz mimo wiosennój pogody częściej siadywała w izbie niżeli na dworze, z powodu wielkiej i ciągłej roboty koło wyprawy Ewy, zebrana była w przedostatni dzień Maja. Już przy śniadaniu Kochanowski upewnił, iż według wszelkiego jego wyrachowania, los Samuela musiał być roztrzygnięty przed trzema dniami, a zatem wieczorem należy się spodziewać powrotu pana Adama. Teraz zaś zjadłszy obiad w zamyśleniu i podumawszy chwilkę na ławie pod piecem, poszedł do swego pokoju; a według zwyczaju jaki miał, skoro jakaś ważna sprawa toczyła się w kraju, porządkował dokumenta, które do obecnej przygody zebrać był potrafił, i rzucał na papier szczegóły, dotąd tylko po ustach krążące, dołączając do nich swoje wnioski i uwagi. Właśnie wszystko ukończył, właśnie zamyślił się nad tém, iż zapewne wnet znakiem krzyża świętego i słowami: *requiescat in pace* przypieczętować wypadnie ów zbiór cały, kiedy hałas w do-

mu zwiastował mu przyjazd obcych. Nie czekając żeby żona oznajmić mu przyszła kto przyjechał, zbiegł szybko na dół, i ledwie drzwi izby otworzył, zobaczył synowca a po jego twarzy spoważniałój, po smutku żony i córek, poznał nim słowo wyrzekli: że już po Samuelu.

Wszyscy w Czarnolesie wiedzieli przestępstwa Zborowskiego, wszyscy znali że zasłużył na karę, że konieczny był przykład sprawiedliwości; wszyscy sprzyjali Zamoyskiemu: przecież, gdzie jest serce, któreby się mogło oprzeć uczuciu litości, kiedy się dowie, że głowa ludzka, głowa młodzieńcza, głowa znakomita, której brakło tylko dobrego kierunku aby zajaśniała użytecznie w ojczyźnie, i na długie lata ozdobą jój była, padła pod mieczem katowskim, jak pada głowa najpodlejszych zbrodniarzy. Sama Ewa co niedawno tak się odgrażała na żyjącego zuchwalca, teraz przez długą chwilę nie widziała wcale roboty swojej przed sobą, dla łez cisnących się do jój oczów; 'wszystkie jedwabie zdawały jój się czerwonej barwy; tém przykrzej jój to było, iż jak wymiarkowała odrazu, śmierć Zborowskiego wypadła w dzień Ś. Filipa, 26 Maja, w dzień imienin jój bogdana: ta wylana krew złą wróżbą jój była; i już przeczuwała zawczasu jak ścigać ją będzie we dnie i w nocy owa głowa ucięta i drgająca, ów kadłub, który krew toczy... Ludwina zaś czémsiś wyższém jak ziemią zajęta, nie czekając szczegółowego opowiadania téj okropnej przygody, wymknęła się z izby i poszła w głąb sadu; tam uklękła pod kwitnącą jabłonią, na której korze, jeszcze dziecianną ręką wyrzyła była krzyż, i odmówiła cały rożaniec po dwa razy; ofiarując pierwszy raz za duszę winowajcy, drugi na odwrócenie wszelkiej kary od sędziego, gdyby się omylił jako człowiek. Wietrzyk wieczorny, jedyny służebnik téj kwiecistej kaplicy, okrywał listkami bladuróżowych kwiatów świętą dziewicę, otaczał ją ich wonią, i zanosił odgłos jój czystych modlitw chórom niebieskim.

Ostatni koniec Samuela Zborowskiego był taki: udzielamy go w krótkich słowach, odsyłając po dokładniejsze szczegóły i po dalsze skutki tego zdarzenia do społecznych pism i kronik.

Cały Kraków trząsał się przez te dni czternaście od pogroźek, poduszczań i przekupstw Zborowskich i ich przyjaciół. Wielu z nich przychodziło do Kanclerza i nalegało śmiało, aby się wstrzymał do sejmu z wykonaniem wyroku przez króla Henryka na Samuela wydanego. Zamoyski nie wzbraśniał się od téj łaskawości, byleby kto przyjął na siebie obowiązek stawienia winowajcy przed sąd sejmowy. Nikt tego podjąć się nie chciał, ani śmiał ręczyć za obwinionego. Wtedy powiedział: „Zrobię co Miłościwy Pan każe.“ Oczekiwano tedy niecierpliwie powrotu Grodzieńskiego posłańca; nadjechał 25 Maja i przywiózł wyrok śmierci. Król Stefan w liście własnoręcznym napisał między innymi te słowa: „Wściekły pies zabity nie kąsa.“ Nadchodziły też ze wszech stron odpowiedzi Senatorów podobnejże treści, i Kanclerz wszystko przyrządzić rozkazał do wykonania prawa nazajutrz po odebraniu królewskiego pisma. Uprzedziwszy Zborowskiego o losie jaki go czekał, nad wieczorem poszedł do jego więzienia, w towarzystwie kilku znakomitych osób i tam powiedział:

„Jako mu bolesno jest z całego serca, iż tak zacnie urodzony młodzian spraw swoich nie wiódł inaczéj; jako byłby mu z duszy życzył, żeby się nie był w owe sidła zaplątał, i ostrzegał go o tém po kilkakroć; ale on jakby na przekor samemu sobie, laźł oślep w zgubę.“

Kiedy Zborowski wymawiał mu ostro, iż to wszystko nie czyja jeno Kanclerska sprawa, i że gdyby nie jego osobista zawiść ku całej Zborowskich rodzinie, nigdyby do téj ostateczności nie przyszło: Zamoyski przeczytał głośno list i wyrok królewski. Złorzeczył długo i okropnie winowajca, powoływał sędziów swoich na sąd Boski; ale nareszcie

wątpić sobą zaczął, okazywać wcale niewłaściwą sobie twogę, pytać się:

— Czyby to już żadnym sposobem rzeczy inaczej obrócić się nie dały? czy tak wiele królowi i Rzeczypospolitej na jego gardle stoi?

Z wielkiego żalu za życiem, gdy mu już śmierć straszliwa w oczy zajrzała, ów Samuel hardy i niesforny, wziął się do pokory i do upamiętania, i wyrzekł:

— Z Boskiego widzę zrządzenia dostałem się na to miejsce; tu w tym samym Krakowskim zamku, gdzie wylał niewinną krew Wapowskiego, tu i moja co do ostatniej kropli popłynie.

Pytany o zamachy przeciw królowi i o spisek ukarowany w Niepołomickim lesie, bez zająknięcia się obwiniał braci swoich Krysztofa i Andrzeja; że oni wszystko układali, a jego mniej od nich uczonego a śmielszego do wykonania użyć chcieli. Zamoyski jakby wstręt mając do słuchania oskarżeń brata na braci, z umysłu nie wypytywał się już więcej; radził mu tylko „aby kiedy już od ludzi nie spodziewać się nie może, pogodził się z Bogiem, i stał się godnym przez serdeczną skruchę, owego nieba, którego się wyrzekł sprośnemi sprawami: dodał, że co do niego, przebacza mu i zapomina wszelkie urazy.“ To powiedziawszy wyszedł ze łzami w oczach i wnet przysłał na miejsce swoje spowiednika.

Nie zachowały nam dzieje imienia tego posłannika Boskiego; zważywszy jednak przestępstwa Zborowskiego, nieugięty dotąd charakter, błędy kacerskie w jakich trwał jeszcze, chęć szlachetną Kanclerza pozyskania Niebu duszy tego, którego zbawić nie mógł na ziemi, domyślić się można że dobierał mu troskliwie owego ostatniego przewodnika, a wybór jego może padł na księdza Piotra Skargę, który wówczas jak wiemy bawił w Krakowie. To pewna że spowiednik Zborowskiego wysłuchawszy całego pasma jego



życia, po kilku godzinach wyszedł tak pomieszany, iż zdawało się niektórym iż utracił zmysły; pokutnik zaś po odejściu jego leżał do świtu twarzą ku ziemi, nie śmiejąc podnieść oczu: płakał tak obficie, że podłogę więzienia zwilżył swemi łzami, a te łzy przecież ugasić jego żalu nie mogły. Skoro dzień zajaśniał, wyprowadzono go na miejsce kary zwyczajnym winowajcom przeznaczone, za bramę zamkową, i tam kat publicznie, ale przy zupełném milczeniu ściał mu głowę. Ciało pod słupem zostawione wzięli krewni, zabalsamować kazali i przysięgli uroczyście nie dać mu pogrzebu, trzymać je u siebie, wozić przed króla, przed sejm, dopókiad sprawiedliwości nie uzyskają. Troje dziątek jego ubrali w grubą żałobę i pokazywali ludowi dla pobudzenia go do zemsty.

— Panowie Zborowscy—mówił w końcu Adam Kochanowski, który to wszystko z większemi szczegółami opowiadał słuchającj go ciekawie rodzinie Czarnoleskiej — panowie Zborowscy mają swoich stronników, bo pieniędzy nie żałują; przecież między uczciwemi i rozsądnemi ludźmi, jeden jest tylko głos, że Samuel na los swój zasłużył; pospólstwo krakowskie z pewną nawet radością widziało pańską i znakomitą głowę pod mieczem katowskim; ulicznicy zawsze weseli a często dowcipni, śpiewają sobie:

Za króla Stefanka  
Strach i na panka.  
Kradnij, rozbijaj,  
Ale Kraków mijaj!

Widziałem jednak sam i na własne słyshałem uszy nie jednego ze znakomitj szlachty, co całém gardłem wturuje panom Zborowskim. W śmierci Samuela nie widzą słusznego wykonania prawa, ale nadużycie władzy jednego z pomiędzy siebie i powtarzają proste przysłowie: „Kto wyrzy z korca, tego strychnulcem w łeb;“ zbierają świadków za-

dających ciężkie zbrodnie Kanclerzowi, twierdzą jako mają dowody, że chciał otruć Krysztofa Zborowskiego przez kuchmistrza swego Dzierżka. Pani Włodkowa ze swojej strony pozwać go chce za najechanie w nocy domu swojego. Zgoła na wielką zanosi się burzę, i słyhać że przed sejmem będzie zebrana konwokacya w Lublinie dla osądzenia téj sprawy.

— A co najgorsza w téj całej przygodzie — dodał Kochanowski ze smutkiem, wysłuchawszy synowca—to owa okoliczność: iż umysły rozjątrzone, prywatą zajęte, nie zechcą do spraw publicznych się przyłożyć; wszystka Rzeczpospolita zburzona; sejm jaki w tym roku być ma, znowu na niczem przeminie, i wielkie a zbawienne zamysły Króla i Kanclerza gotowe spełznąć bez skutku. Dziwny, pod niefortunną gwiazdą urodzony ów Samuel Zborowski: pierwój, prawo publiczne nie mogło być względem niego zaniedbane bez największego kłopotu, teraz nie można było statutowów wykonać bez najokropniejszych rozruchów. O! biada nam, biada! Kiedyż my słyhać się nauczymy! Pókiż swawolić będziemy! Kiedyż przestaniemy bezprawie zwać złotą wolnością!

---

## ROZDZIAŁ XIX.

Cień ponury, jaki przygoda Zborowskiego rzuciła na Czarnolas, który już i tak od wyjazdu ukochanych gości nie był oczywiście tyle wesołym i ożywionym co dawniej, znikać zaczął pomału; została przecież całemu domowi jakaś poważna, łagodna, że nie powiem uroczysta barwa; złożyły się na nią dwie lubę przyjaciołki człowieka: praca i nadzieja. Każda z osób składających główną część drużyny Czarnoleskiej, posiadała owe dwa żywotne warunki szczęścia potocznego; u każdej, ręka była zajęta użyteczną, pilną robotą, a myśl bujała w miłej przyszłości. Kochanowski zachęcony przez Zamoyskiego, zagrzany chęcią napisania dzieła, któreby prócz innych korzyści i zalet pochlebiać mogło powołaniu i skłonnościom drogiego przyjaciela, nie zaniedbując prac około roli tyle ważnych w téj porze roku, zabrał się całą duszą do swego rycerskiego poematu, ujrzał się wnet w najmilszej pisarskiej dobie: kiedy to autor, podobien matce nad kolebką syna, już widzi ów pług swojego ducha dojrzały, ozdobny w wszelkie przymioty i wdzięki, przynoszący mu pociechę i chlubę, a jeszcze nie miał czasu i sposobności mozolić się, ślęczyć nad nim i doznać zawodu. Kochanowska zajęta z kolei to robotami na-

kazaniami w księdze pamięci, jakto: rozsada kapusty, pielaniem ogrodów, zbieraniem i smażeniem zioł, paleniem wódek, bielaniem płótna, suszeniem ryb i t. d.; to znowu wyprawą Ewy, myślała z pobożną wdzięcznością o odmiennym, a przecież szczęście obiecującym losie, dwóch starszych swych córek; cieszyło ją równie zameżcie jednej, jak dziewictwo drugiej. Już widziała Ewę w czepcu białogłowskim, kochaną od męża, piastującą dziecię, pierwsze jej wnuczę! widziała Ludwinę pod zakonną zasłoną bliżej jeszcze Boga niż teraz, już prawie świętą; wspominała także z lubością na dziecię co nosiła w łonie; wszystkie kobiety we dworze i we wsi, a na ich czele Nastka i Switka, obiecywały jej syna; potwierdzały nadzieję dziedzica, i inne wróżby. pragnęła go całym sercem, gdyż sądziła że po Orszulce, syn tylko mógł być z rzetelną radością przyjęty od ojca, i ścieścić nowym ogniwem zobopólne ich a tak drogie węzły.

Ewa i Ludwina bujały także w przyszłości; „młodość przestrono patrzy.“ Jednej przesuwały się z kolei: powrót szczęśliwy bogdana, wesele, które rodzice jej obiecywali dwa razy sutsze od zaręczyn; owe kołaczki „grunt wszystkiego“ co je Nastka upiec miała, jak niegdyś dla swojej Hanulki w Sandomirzu; zupełna odmiana życia, nowe szczęście, nowe stroje, powaga małżeńskiego stanu, podróż, majątek, Studzienica. Drugiej znowu stały na pamięci uroczyste obłóczyny, ofiara dobrowolna owych pięknych jasnych włosów i całej kraszy urody i młodości, które jej ciążyły; pożądana cichość i jednostajność klasztorna, pokorne ubóstwo, szczęśliwość życia poświęconego zupełnie Bogu, życia w którym jej się zdawało, że nie będzie miała sposobności nigdy zgrzeszyć... Było więcej żywości, uroku, w marzeniach pierwszej, więcej spokoju, gruntu, pewności, w obrazach drugiej. I Dorota, którą już matka wprawiać zaczynała do trudniejszych robót domowych, dumiała sobie także o chwili, kiedy będzie najstarszą panną w Czarnolesie, prawą ręką



rodziców; a choć jój smutno było wspomnieć o odjeździe dwóch siostr, znaczenie które nabyć miała, pocieszało ją niemal zupełnie. Dorota była z tych dziewcząt co raczej mężki charakter mają, lubiła być pierwszą, miała własną tęgą wolę, i łatwiej jój było dać sobie samęj radę w trudnym nawet razie, niż usłuchać cudzej rady w najdrobniejszej rzeczy. Są na świecie różne charaktery i ułożenia, bo téż i przeznaczenia różne. Aż do staręj Nastki, choć to zwykle starym mało co od ziemskiej nadziei się należy, wszystkich w Czarnolesie opanowała owa czarodziejka. Kochanowska częścią z życzliwości ku dawnęj i tak wiernęj słudze, częścią z troskliwości o córkę, przyrzekła jój, że ona odwiezie przyszłą panią Rotmistrzową do Studzienicy; a przytem, jak sobie tego oddawna życzyła, obaczy raz jeszcze przed śmiercią kraj młodości swojój, zielone Podole.

— Jeżeli ci tam dobrze będzie, to i zostań—mówiła do piastunki wdzięczna matka—hoduj moje wnuki; jeżeli nie, to wróć do nas.

Pocziwa kobiéta pomagając ile jój sił starczyło do robót domowych, prawie ciągle tę podróż widziała przed sobą. Lat trzydzieści kilka zwinąwszy zupełnie w pamięci, jakby ich nie było, wystawiała sobie krewnych, przyjaciół, tak jak niegdyś ich zostawiła; cieszyła się że ich powita, i że oni do nięj się uradują. Czemużby pomrzeć mieli i odmienić się dla nięj, kiedy ona żyje zdrowa i o nich pamięta? Z ruchomostek i pieniędzy jakie posiadała, a które teraz wspaniałością Filipa i Podlodowskiego znacznie się powiększyły, dla każdego jakiś gościniec sposobila, a przechodząc myślą wszystko co jój się zebrało do opowiadania przez lat tyle, czuła już zawczasu wielką niespokojność języka, i całą czeladź Czarnoleską nudziła więcej niż kiedy swoją wielomownością.

W takich marzeniach i zatrudnieniach przerywanych, jak to bywa na wsi, to świąt uroczystych obchodem, to

przyjazdem gości, to wreszcie odwiedzinami krewnych i sąsiadów, upłynął prawie cały Czerwiec; słowik ucichł, drzewa okwitły i spłowiła cokolwiek dziewicza ich świeżość; trawy urosły i padły pod kosą, zboże się wykłosiło; dzień już się zmiarkował, przybywać go przestało, i zaczęły się mocne dosyć upały. Kochanowski uchodził często w cień ulubionej lipy swojej przed skwarnemi promieniami słońca, a z lutnią na łonie, przy „dzbanie zimnej wody“ dumał o pracy i Jakóbie swoim; tam właśnie siedział jednego poobiedzia, kiedy przybył pożądanym i wyglądanym posłaniec od ukochanych podróżnych i cały dom nappełnił radością. Obiecali oni wyjeżdżając wyprawić z pod Bałchanu doświadczonego dworskiego kozaka, starego Iwanuszkę, żeby dać wiedzieć o sobie i dotrzymali słowa.

Droga im szła pomyślnie; z razu służba im się roznie mogła, i oni sami trocha słabowali; ale jak pan Podkeniuszy otworzył obozową szkatułę apteczną, którą i pani Wojska zaopatrzyła swemi lekarstwami, jak leczyć zaczął, uzdrowił ich zupełnie i siebie: odtąd wszystko im idzie według tego jak zamierzili i rozrachowali sobie. Przebywszy granicę Polski, w której wszędzie o niczem tylko o Samuelu mówiono, przejechali przez Wołoską ziemię, przez Bukowinę, owo miejsce smutnej pamięci, „gdzie za Olbrachta, poginęła szlachta;“ potem, na Soczawę i Lopuczno dojechali do Kilii, miasta zamieszkałego już przez Turków, gdzie przez władze byli z wielkiem poszanowaniem przyjęci; gdyż Turcy, zwłaszcza pogranicznicy, wielką cześć niosą królowi Polskiemu; i mówią że „Batury Isztywan jest wybrańcą znamienitych mocarzów Chrystusowych, wlekącym poły wspaniałości i powagi, dzierżącym wodze spraw narodów chrześcijańskich.“ Z Kilii jechali brzegiem wspaniałego Dunaju, pięknym krajem, do Jazu, gdzie łowią wyzinę. Z Jazu jadąc długo, zajechali do miasta Baby, dziwnie nazwanego, ile że te białogłowy co im się w niem ukazały, wcale nie

były stare. Ztamtał do Hałapapy, gdzie są wały i mury zburzone, i widać dawny gród znaczny. Minąwszy Bazarczyk, Prowadzą, dotarli do wsi Ciengiěj pod same stopy góry ogromnie wysokości, pod stopy Bałchanu; tę górę nie przejechać ale objechać mieli we dwa dni, a ztamtał na Haidosz, Kierglisz, Biegarazar i Bikulce, ruszyć już lepszą drogą do Carogrodu, gdzie spodziewali się byli stanąć z pewnością na 15 Czerwca. Z równą dokładnością opisywali dyaryusz powrotnej drogi, i wyrachowanie oczywiste, na trzechkrotném doświadczeniu oparte: iż zabawiwszy dni kilkanaście w stolicy państwa Tureckiego, stawią się niezawodnie w Czarnolesie na wigilią święta Wniebowzięcia Najświętszej Panny.

„Wtedy, pisał w końcu listu Podlodowski, ujęci naszą rzetelnością i pośpiechem, nie będziecie mieli serca, Najmilsi moi, odkładać długo wesela; i w tydzień, dajmy 22 Sierpnia, oddacie już na zawsze waszą dziewczkę memu parobkowi. Pobladł mi tu i schudł nieco z wielkiej tęsknoty; zdaje mu się że nie zasłużył sobie na miłość Ewulki, i że mu ją tam kto odmówi. Przyrzadzcież więc wszystko, żeby już żadnej zwłoki nie było: będę sobie uważał tę uczynność waszą za dowód rzetelnej przyjaźni, i wdzięczność wam dochowam do grobu.“

Iwanuszkę kozaka, co z temi listami konno przyjechał, obławowali o ile się dało rozmaitym gościńcem, obiecując daleko szacowniejsze podarki, gdy już nie przez nie-me listy, ale sami osobiście służby swoje złożą.

— O! niech nam jeno siebie samych całych a zdrowych przywiozą! kwituję ich z reszty—zawołał Kochanowski.

Ewa pomyślała to samo, chociaż miała kęs żalu do pana Rotmistrza, iż śmiał wątpić o jěj wierze; a z rzeczy przysłanych w darze, gdy je matka rozwinęła i kazała wybierać co chce? wzięła sobie tylko sznurek paciorków różanych, które ponosiwszy przez kilka godzin na śnieżnej

szyi, i widząc że jój w nich bardzo do twarzy i że pachną mile, zdjęła przed wieczorem i zawiesiła w izbie u obrazu Matki Boskiej.

Nie chcę ich nosić bez pana Filipa — powiedziała w sobie — i ślubuję nie odpiąć aż 15 Sierpnia; niech wonieją do téj pory przed Najświętszą Panną, może raczy uprosić u Syna swojego powrót pana Rotmistrza na wigilią dnia tego.

Kochanowski uradowany wiadomością o dobrém zdrowiu i powodzeniu przyjaciela, poszedł z listami do swego pokoju; zrzucił wszystko z zielonego stołu, księgi, papiery, klepsydrę, pióra, kałamarze, i rozłożył mappy jakie miał, Europy, Turcyi, Węgier i Polski, chcąc ścigać okiem ukochanych wędrowników i naznaczyć sobie ołówkiem ich drogę. Sztuka robienia mapp była daleka w owym czasie od dzisiejszój doskonałości i mnogości, były w wielu szczegółach mylne, a nierównie rzadsze i droższe niż teraz, ale przecież istniały; kreślili je i nasi Polacy, a każdy człowiek światlejszy, co nie ograniczał świata swego na zagonie który orał, co choć sercem jedynie przywiązany do ziemi co go zrodziła i pochować miała, myślą sięgał najodleglejszych: każdy taki człowiek starał się mieć je u siebie, żeby nie wychodząc z pokoju mógł świat znany objechać, i widzieć dalekie kraje oczyma imaginacyi. Kochanowskiego mappy były jedne z roku 1522, Polski, Prus i Litwy, wydane w Strasburgu przez bezimiennego; drugie z roku 1552 z wielkiego dzieła ułożonego po łacinie przez Sebastjana Munstera pod tytułem: Kosmografia powszechna; trzecie narysowane w Wenecyi przez Jakóba Gastolda Piemontczyka r. 1568, z napisem: *Il vero disegno del Regno di Polonia*; czwarte z r. 1570 wykonane przez Wacława Godreckiego, i innych wiele które pomijam. Znalazłszy na nich prawie wszystko czego szukał, nie mógł się wstrzymać od chęci



podzielenia tój swojój serdecznój i rozumowój uciechy z żoną i córkami; zawołał kochanój Hanny i trzech starszych dziewcząt, i znaczył im miejsca w listach wspomинane, mówiąc za každém:

— Tu byli, tu może dziś są, tu wnet będą.

Nachylone wkoło stołu wszystkie cztery patrzyły pilnie, Ewa jednak z największą pilnością. Dawniej, ojciec nieraz opowiadał starszym córkom ciekawe rzeczy z mapp o Polsce i o innych krajach, Ludwina i Doroła słuchały uważnie, czarnobrewa dziewczeczka zaś mówiła sobie:

„Wolę ja z tarasu ojcowskiego patrzeć na Zwoleń, na Policzną, na Grodek i inne wioski których dojrzeć mogę; co mi tam po tych wsiach i miastach dalekich: żadnej w owém szukaniu nie znajduję przyjemności, i nie mogę żadną miarą się przekonać, żeby ów arkusz papieru, miał być świat, a owe napisy: kraje i miasta.“

Dziś, już inaczej myśli: duch jój sięga dalej niż zmysły; ów arkusz papieru, owe napisy przybrały dla niej wielkie znaczenie; te kraje zdają jój się niemal jak prawdziwe: każde miasto które widzi w liście, i na mappie czyta, pamięta, wystawia sobie, i oderwać wzroku swojego od Carogrodu nie może, gdyż tam właśnie według wszelkiego podobieństwa gości teraz Filip z ojcem. Matka przyglądająca się także ciekawie mappom, nasyciwszy się jednak prędzej niż córka Tureckimi krajami, prosiła męża o pokazanie jój Podola i Studzienicy, i o wymienienie miejsc, przez które za parę miesięcy, pani Rotmistrzowa przejeżdżać będzie. Uczynił chętnie zadosyć jój woli Kochanowski; od Zwolenia, który na karcie Godreckiego znalazł, wskazał jój wszystkie znaczniejsze miasta, a skończywszy tak powiedział:

— Dobrze też, cośmy od niechcienia do tój trocha uczonój rozmowy przyszli; podobno od środopostu nie było pory na takową, i możecie już zupełnie zapomniały dziewczeczki

moje, to wszystko com zimowemi wieczorami nieraz wam opowiadał. Rozum człowieczy, zwłaszcza u płci waszój i w waszym wieku ślizki jest, snadno się z niego rzeczy umiejętnie wymykają; a przecież, kiedy Pan Bóg dotąd nie dał mi syna, radbym was widział nieco mędrsze od córek naszój szlachty: radbym w was wpoił to przekonanie, że im kto więcej umie, tem większy pan, gdyż tem więcej ma pod władzą swoją. Powtórzcież mi przynajmniej dziś rzeczy najważniejsze, ja was się będę rzędem pytał, wy odpowiadajcie śmiało a uważnie; różgi w moim pokoju niéma, nie bójcie się więc; a która się najlepiej popisze, téj przywiozę z miasta szklanych paciorków i pszennych kukłów, skoro na Kiermasz pojedę—dodał z uśmiechem.

Ręczyćby trudno czy zupełnie temi słowami i równie gładko i odrazu szły odpowiedzi; to jednak pewna, że treść rozmowy dnia tego, ojca z córkami, była następująca:

*Pytanie.* Jaki jest początek narodu naszego?

*Odpowiedź.* Jako wszystkie niemal insze narody, baśniami więcej, niżli czém pewném początków swoich dowodzą, tak i polski naród praojców swoich do téj doby nie jest pewien.

*P.* Jakichże mu przecie przodków kronikarze nasi podawają?

*O.* Scytów, Sarmatów, a nakoniec lud *Słowiański*, od którego już wprost iść mamy.

*P.* Czy sami jedni Polacy od Słowian pochodzą?

*O.* Nie, wiele innych narodów tenże ma mieć początek; bo owi Słowianie nie zatrzymali się nad Wisłą, ale przeszli Elbę, Dunaj, i aż nad morzem Adryatyckiem osiedli, i był to wielki a zacny naród.

*P.* Jaki jest dziś los narodów co od Słowiańskiego szczepu wiodą początek?

*O.* Niektóre z nich jako to: Serbowie, Illyryjacy, Bośniacy, są w niewoli.

*P.* Który był pierwszym księciem Słowiańskim co go Polakom zwiemy?

*O.* *Lech*, panował koło r. 550 po Narodzeniu Chrystusa; a musiał to być możny jakiś książę, gdyż później kilku książąt polskich, Leszkami się nazywało; jakby od wielkiego jakiegoś Lecha mniejsi Leszkowie za czasem się pokazali.

*P.* A imie *Polaków* zkąd?

*O.* Jedni mówią że od tegoż Lecha; to jest ludzie *po Lechu* czyli *Polacy*; przecież się zdaje, że owo imie *Polak* nowsze jest, i dopiero w tych naszych krainach urosło, od *pola* bez chyby; a jak jeszcze inni chcą, od *polania* na Chrzcie świętym.

*P.* A Ruś dlaczego nas dotąd *Lachami* zowie?

*O.* Od wiary *Lackiej*, to jest *łacińskiej*, gdyż sami są *greckiej*; *Polacy* zaś od początku z *Rzymem* trzymali, i trzymać się go zawsze powinni.

*P.* Który był pierwszy książę polski co *Chrzest* przyjął?

*O.* *Mieczysław*, r. 969 za namową *Dąbrówki* księżniczki *Czeskiej*, żony swojej.

*P.* Od Lecha do *Mieczysława*, przez lat czterysta z górą, jakie są imiona książąt polskich godne pamięci?

*O.* *Krakus* co *Kraków* wystawił; *Wanda*, córka jego odważna i piękna, która ślub dziewictwa uczyniwszy bogom swoim, wzgardziła ręką niemieckiego księcia, i wrzuciła się w *Wisłę*; *Przemysław* co dostał korony *fortelem*; *Popiel*, co go *myszy* zjeść miały; *Piast* *kołodziej*, który od *pługa* do tronu przyszedł, i syn jego *Ziemowit* *wojownik*.

*P.* Czy historia od Lecha do *Mieczysława* pewna jest?

*O.* Wiele do niej baśni domieszano, przecież znać ją trzeba, gdyż częste o niej wspomnienie bywa w księgach i w rozmowie; wreszcie musi być w niej i część prawdy; mogły *Krakusa* i *Wandy* wznoszą się dotąd około *Kra-*

kowa nad brzegiem Wisły, a zatém Krakus i Wanda musieli żyć.

*P.* Kto był pierwszym królem polskim?

*O.* *Bolesław Chrobry*, król i wojownik wielki i mądry; onto prawdziwie Polskę zbudował, a zbudował potężną.

*P.* Czy byli jeszcze inni Bolesławowie?

*O.* Było dwóch: *Śmiały* i *Krzywousty*; a chociaż pierwszy splamił się okropną zbrodnią, bo zabił świętego biskupa Stanisława, przyznać trzeba, że za Bolesławów Polska była prawdziwie wielką.

*P.* A Krzywousty jaki błąd popełnił?

*O.* Podzielił państwo swoje między czterech synów, czém na długo osłabił potęgę Polski, a może i podkopał na zawsze byt jej.

*P.* Wielu było *Kazimierzów* królami polskimi?

*O.* Czterech: *pierwszy mnichem* zwany, bo nim wstąpił na tron, miał być w klasztorze we Francyi; *drugi sprawiedliwy*, syn Krzywoustego; *trzeci wielki*, król chłopków, syn dzielnego króla Łokietka; a *czwarty Jagiellończyk*, syn Jagiełły.

*P.* Ktoto był ten *Jagiello*?

*O.* Wielki książę litewski; ożeniwszy się z królową Jadwigą, wnuczką Kazimierza Wielkiego, przyjął Chrzest, wziął imię Władysława, i przyłączył Litwę do Korony.

*P.* Wyliczcie potomków Jagiełły, którzy byli królami polskimi?

*O.* Bitny *Władysław* co zginął pod Warną; *Kazimierz Jagiellończykiem* zwany, co panował najdłużej ze wszystkich naszych królów lat czterdzieści pięć, i przyłączył Prusy do Polski; *Jan Olbracht* syn Kazimierza; *Aleksander* brat jego; *Zygmunt*, król mądry i wielce kochany, i *Zygmunt August*, ostatni król ze krwi Jagiełły, który umarł dwanaście lat temu.



*P.* Po nim co się stało?

*O.* Wielka zmiana w układzie naszej Rzeczypospolitej; bo gdy nie było potomstwa po królu Zygmuncie Auguste, panowie polscy i szlachta postanowili, iż odtąd wolnemi głosami, na otwartém polu, kogo chcą, obcego lub swego, na króla sobie obierać będą; i o tyle mu będą posłuszni, o ile on przyrzeczonych narodowi obietnic, to jest zaprzysiężonych *paktów konwentów* dochowa.

*P.* Jaki był król pierwszy takim sposobem obrany?

*O.* Henryk Andegaweński, dzisiejszy król francuzki; po okropném bezkrólewiu i długich kłótniach został naszym królem; ale na mało się przydał, bo po pięciu miesiącach uciekł do swojej Francyi.

*P.* Po Henryku kogóż obrano?

*O.* Annę Jagiellonkę, siostrę Zygmunta Augusta, dając jej za męża dzisiejszego króla naszego, Stefana Batorego, który od lat ośmiu chwalebnie nam panuje, i bogdajby panował jaknajdłużej.

*P.* Która z was pamięta pochwałę wierszem, najznakomitszych królów polskich, niech ją powie.

Na to wezwanie ojca, Dorota się odezwała i powiedziała bez omyłki:

Ktoby cię nie znał *Lechu*, Słowianinie,  
Któryś najpierwszy zasiadł w tój krainie.  
I opanował mężtwem swoim mocne  
Brzegi północne.

*Kraka*, patrz jako siedząc tak wysoko,  
Przecie ku miastu skłania swoje oko;  
*Wandę* wydawa ubiór, bo z postawy,  
Zda się mąż prawy.

Tu fortelny *Przemysł* jest wniesiony,  
I ten co dostał trefunkiem korony,  
Dojrzawszy zdrady, gdzie koń prędkonogi  
Biegł zawód drogi.

Bóg fałszu nie chce: o jako miłuje  
 Sprawiedliwego, *Piast* i dziś to czuje,  
 Bo mieszka w Niebie, a jego cne plemię  
 Rządziło ziemię.

*Zimowit* stoi wedle ojca, prawie  
 Z drugimi równo; to wyżej *Mieczysławie*,  
 Którego sprawą chrześcijański zakon  
 Podan Polakom.

Tuż po nim widzę mężne *Bolesławy*,  
 Przez których dzielność i stateczne sprawy,  
 Polaka szeroko swych granic pomknęła,  
 I serce wzięła.

W téjże jest liczbie on zakonnik święty,  
 Z cieniów klasztornych na królestwo wzięty;  
 Są dwa *Leszkowie*, jest król wzrostem mały,  
 Ale mąż śmiały.

Widzę *Jagiellę* i dwu *Kazimierzu*  
 Dobrych tak w boju jako i w przymierzu;  
 Widzę i ciebie gwiazdzie równym prawie,  
 Cny *Władysławie*.

To téż jest *Olbracht*, król serca wielkiego,  
 Tuż z *Aleksandrem Zygmunt*, za którego  
 Polska zakwitła, a po długim boju  
 Wytchła w pokoju.

Pogłaskał Kochanowski Dorotę zato, że tak dobrze jego wiérsze utkwiły w jéj pamięci, i użył zapewne w téj chwili w duszy swojej najśłodziej pisarza pociechy; a zachęcony do dalszój rozmowy nateżeniem i ciekawością, które się malowały w oczach dziewcząt i dumną radością ich matki, tak jeszcze powiedział:

— Dobrze co swoje rzeczy jakotako znacie, ależ-to nasza Polska nie sama jedna na tym wielkim świecie: wszak prawda?

— O! jest wiele innych krajów—odpowiedziały wszystkie razem.

— Będę was się pytał o znaczniejsze; a najprzód wymieńcie te, co naszej Rzeczypospolitej są bliższe, i mają z nią stosunki; te znać rzecz najpotrzebniejsza: powiedzcie mi każdego, miasto steleczne, imie panującego, wiarę i znaczenie.

— Najprzód na południe *państwo Tureckie*—odezwała się Ewa płonąć żywym rumieńcem—stolicą jego Carogród, po turecku Stambuł, a po dawnemu Konstantynopol. Panujący zowie się tam sułtanem czyli cesarzem, ma żon ile chce; dziś jest sułtanem Amurat III; kraj ten bardzo piękny a nieszczęśliwy, bo w niewoli i prawie w pogaństwie zostaje, dawniej był chrześcijański i miał chrześcijańskich cesarzów; od lat 130 zawojowany został przez Turków, którzy nie wierzą w Jezusa Chrystusa, ale fałszywego proroka, Mahometa. Mieszkancy są tedy mahometańskiej czyli muzułmańskiej wiary; jest między nimi wielu dawnych chrześcijan, którzy są bardzo uciemienieni. Turcy stali się potężni i straszni; Wołochów, Mołdawian, Serbów i wiele innych ludów sobie shołdowali; Ziemia Święta, Betleem, Jerozolima, gdzie Zbawiciel nasz rodził się i umarł za nas, w ich są ręku; i Bóg jeden raczy wiedzieć, dokądby już doszła ich władza, gdyby jój Polacy i Węgry nie wstrzymywali. *Tatarów*, którzy także na południu są Polski, dziś już prawie do Turków liczyć należy, bo jednej są Wiary i z nimi trzymają. Dawniej byli oni straszliwi dla Polski, dziś nieco upokorzeni dzielnością króla i rycerstwa naszego.

Zadziwił się ojciec nad tém gładkiem opowiadaniem Ewy; nie przypomniał sobie, żeby ją kiedy równie wymowną słyszał; mówiła nawet rzeczy, o których on dotąd nie wspominał córkom; ale po chwili zastanowienia roześmiał się w duszy i pomyślał; „Niemasz mistrza nad miłość.“

Nie wydając jednak domysłu swojego, z bojaźni zawstydzenia dziewczęcia, zapytał się jój jeszcze:

— Czy nie wie o jakim wielkiem zwycięstwie, które niedawno panowie chrześcijańscy nad bisurmanami odnieśli?

— Wiem, wiem — odpowiedziała Ewa — pan Filip mi o niēm rozpowiadał, żałując, że tylko jeden Polak do tego tryumfu należał; było-to gdzieś na morzu, przed trzynastu laty, chrześcijanie tak pobili Turków, że im spalili trzysta kilkadziesiąt okrętów, zabili do trzydziestu tysięcy ludzi i zabrali ogromne skarby; byliby może dobyli i samego Carogrodu, gdyby się nie byli pokłócili o łupy.

— Widzicie moje dzieci — przerwał tu Kochanowski — poganiec byłby już dziś wygnany z Europy, gdyby się nie była wkradła niezgoda o marne rzeczy pomiędzy chrześcijańskich panów. Takto niezgoda ludzka udaremnia największe łaski Opatrzności. Dziś Turczyn już się odgryzł po tak wielkiej klęsce, znowu prawej Wierze grozić zaczyna i bogdaj czy obrona téj Wiary nie spoczywa na samych Polakach i ich królu. Obyśmy nie powtórzyli tak gorszego jak tamci przykładu!... Ale dosyć o Turkach, o których za powrotem naszych kochanych podróżnych, dowiecie się jeszcze więcej; niech nam Ludwina teraz powie, jakie jeszcze kraje leżą na południe i na zachód Polski, z którymi także blizkie mamy stosunki?

— Siedmiogród, Węgry, Czechy, Szląsk, Margrabstwo Brandeburskie — wyliczyła bez długiego namysłu; bo jakkolwiek w rzeczach świętych najbieglejsza, obejmowała z łatwością i świeckie; umysł jój wyższy, do zastanawiania się nawykły, przyjmował chętnie naukowe wiadomości: wreszcie w każdej upatryć umiała szczegół stosowny do tego, czēm żyła jój dusza.

— Powieźże nam słów kilka o każdym z tych krajów? — ponowił ojciec.



— *Siedmiogrodu* nasz król był księciem, dopóki na tron polski nie wstąpił — odpowiedziała — dziś panuje tam synowiec jego Zygmunt. Kacerstwem zarażona jest ta nie-szczęсна ziemia; ale nadzieja w miłosiernym Bogu, że za staraniem pobożnych Batorych wróci do prawego kościoła. Z *Węgrami* niegdyś wspólnych mewaliśmy królów: Ludwika, ojca owęj prawie świętej królowej Jadwigi, która całą Litwę Chrystusowi zniewoliła; Władysława, króla męczennika, bo zginął młody bijąc się z pogaństwem z rozkazu Ojca Świętego. Stolicą Węgier jest Budziszyn. *Czechy* jednego z nami słowiańskiego rodu, dobremi braćmi nam się okazali, bo im winniśmy Wiarę. I Węgry i Czechy dziś osobnego króla nie mają; cesarz niemiecki, książę Rakuski, Rudolf II jest oraz ich królem; są też mniej wolni niż byli dawniej i mniej od nas szczęśliwi. *Szlązk* do śmierci Krzywoustego był jednym krajem z Polską, a choć dziś osobnych ma książąt, idą oni od syna Krzywoustego i polskimi się zowią; lud mówi po polsku i Wiarę prawdziwą wyznaje. *Margrabstwo Brandeburskie* nietyle szczęśliwe; kacerstwo tam okrutnie górę wzięło, a monarcha jego Jerzy Fryderyk, oraz książę pruski i hołdownik Polski, pochodzi od Alberta, niegdyś mistrza Krzyżaków, który, o czém zgroza wspominać, zrzucił suknię zakonną i żonę pojął!....

— A na północy i na wschodzie Polski jakie są kraje, które nas obchodzić winny?

— *Szwecya* i *Moskwa*. Żoną dzisiejszego króla szwedzkiego, Jana Wazy, była nasza królowna Katarzyna Jagiellonka, wielce pobożna pani; jej syn, Zygmunt Waza, będzie podobno panował nam kiedyś. Król Jan jest katolikiem, i radby, jak mówią, wszystkich swoich poddanych prawemu kościołowi przywrócić, bo Szwecya oderwała się od Rzymu, ale mu się to nie bardzo udaje.

— Jaki jest jeszcze kraj na zachód Polski położony, z którego mamy kupców, rzemieślników, i wiele rozmaitych rzeczy?—zapytał się Kochanowski Doroty.

— *Niemcy* — odpowiedziała.—Zwane są *Rzeszą*, czyli zbiorem wielu państw. Cesarzem a razem naczelnikiem Rzeszy jest wspomniany król czeski i węgierski, Rudolf. Cesarze niemieccy noszą tytuł cesarzów rzymskich i mocno się trzymają prawego kościoła. Książęta Rzeszy poszli prawie wszyscy za nową nauką, mianowicie sascy. Cesarzów obierają wolno, tak jak my królów naszych z tą różnicą, że nie cała szlachta jak u nas, jeno książęta elektorowie.

— Co mówią o dzisiejszym cesarzu niemieckim?

— Że oddaje się bardzo astrologii, alchemii, a zaniedbuje spraw państwa; dlatego niekoniecznie go lubią Niemcy.

— A Niemcy czém dziś głównie zajęci?

— Kłótniami o Wiarę; w Niemczech kacerstwo się urodziło i coraz bardziej się szerzy; kacerze piszą na katolików niestworzone rzeczy, i wszyscy mówią, że jeżeli Pan Bóg się nie zlituje, nie obejdzie się bez okropnej wojny.

— Jakież są dalsze kraje, do których my Polacy chętnie jeździmy, które i ja niemal wszystkie zwiedziłem, i często wam o nich prawie?

— Najprzód *Francya* — odezwała się Ewa. — W jej stolicy, w Paryżu, bardzo sławna jest akademja; panuje tam dziś ów Henryk, co go Polacy swoim królem obrali, nie wiem zaco; nie szkoda, że nam królować nie chciał, bo jego Francuzi jeno nas obmawiali, a on sam rozpustny, słabego charakteru, a przytém okrutny. W duchu katolik a przecież z kacerzami się łączy, i Bóg wie na jaki koniec mu przyjdzie. Królowie francuzcy uważają się za starszych synów kościoła.

— A o Anglii kto mi powie?— zagadnął Kochanowski.

— Ja—zawołała Dorota— jest-to państwo zamorskie, lecz przez handel w stosunkach z Polską, gdyż potrzebuje naszego zboża, naszego drzewa i pieńki. Panuje w niém białogłowa, Elżbieta, pisuje często do naszego Miłościwego Pana i wielki ma dla niego szacunek. Od nięj to niedawno przyjechał do nas poseł Herbert. Mądrą ją mianują, ale to szkoda, że prawie tyranka; nie zważa ani na sejmy, ani na wolność ludu swojego. Mówią, że przepisuje nawet krój sukien, jakie powinni nosić jęj poddani; pacholiki dworscy biegają po ulicach miasta stołecznego Londynu, i obcinają gwałtem zbyt wysokie kołnierze osobom przechodzącym. Aż trudno temu wierzyć....

— A co gorsza—przerwała ze smutkiem Ludwina— i ona i lud jęj sprzyjają kacerstwu, katolicy srodze tam przesładowani; królowa szkocka Marya Sztuart, któraby mogła mieć prawo do korony, więziona jest najwięcej dlatego, że prawęj Wiary opuścić nie chce; wróżą jęj téż, że niedługo koronę ziemską na męczeńską zamieni.

— O Hiszpanii pamiętacie com wam rozpowiadał? — zapytał jeszcze ojciec.

— Pamiętamy: to państwo bardzo potężne, naród rycerski—odpowiedziała Dorota— i nasi panowie jężdżą tam, żeby się w sztuce wojennęj ćwiczyć. Dzisiejszy król hiszpański, Filip II, jest podobno najbogatszym monarchą na świecie, bo ma w drugięj części świata, w Ameryce, zeszłego wieku odkrytęj, pełne złota kraje; jest on gorliwym opiekunem katolickięj Wiary; lecz niestety! okrutny, chciwy, może jęj więcej zaszkodzi niż pomoże.

— Czy wiecie jaki kraj temi czasy Hiszpania zyskała, a jaki straciła?

— Zyskała Portugalią, straciła Niderlandy — mówiła jeszcze Dorota.— Król portugalski Sebastyan zginął niedawnemi czasy w bitwie z afrykańskimi muzułmanami, król Filip mianując się, prawem mocniejszego, najbliższym jego

dziedzicem, ogłosił się królem Portugalii i przyłączył ją do Hiszpanii. Biedna Portugalia musi gorzko opłakiwać utraconą niepodległość; bo to wielkie dla kraju nieszczęście stracić niepodległość.

— Wielkie i bardzo wielkie, moje dzieci — powtórzył Kochanowski — Pan Bóg karze tym sposobem narody za długie i ciężkie grzechy, osobliwie za swawolę, zbytki, niesprawiedliwość, gnuśność i bezrząd. Ale powiedzcież mi, jakim sposobem Niderlandy oderwały się od Hiszpanii?

— Znudzone ciężkim jarzmem króla Filipa, zrzuciły je z siebie parę lat temu, obrawszy sobie naczelnika, Wilhelma księcia Oranii.

— Cóż im najwięcej pomogło do spełnienia tak wielkiego dzieła.

— Zgoda, wytrwałość i posłuszeństwo — odezwała się Ludwina — i napisali na swoim herbie to słowa: *Concordia res parvae crescunt* (przez zgodę małe rzeczy rosną).

— O! moja ty pobożna dziewczeczko — zawołał z uczuciem Kochanowski — módlże się codziennie, żeby i nasza Rzeczpospolita przybrała i spełniła to godło; tymczasem zaś powiedz nam jeszcze o kraju, o którym wiem co myślisz najczęściej i najchętniej... Prawda też, co i stryj Piotr tam ciągle mieszka.....

— Włochy — odrzekła z lubym uśmiechem — to państwo złożone z kilku, a między innymi z Wenetów, handlowego i rycerskiego ludu nad morzem, jest w moich oczach najszczęśliwsze, gdyż całe katolickie; a w jego stolicy, w starożytnym Rzymie, jest stolica kościoła, mieszkanie zastępcy Zbawiciela naszego, Ojca Świętego, Papieża. Dzisiejszy zowie się Grzegorz XIII. Panuje od lat dwunastu; choć jego państwo ziemskie nie wielkie, wyższy on od wszystkich królów i cesarzy. Gorliwy jest bardzo o rozszerzanie



Wiary prawdziwej, wysłała apostołów swoich w dalekie nieznanne dotąd a pogańskie kraje: do Indyi, do Japonii; szkody jakie kacerze kościołowi prawemu, owój Matce naszej zadali, Ojciec Święty wraz z Ojcami Jezuitami stara się z innej strony nagrodzić, i Bóg miłosierny pomagać mu raczy.

Na tych słowach skończyła się uczona rozmowa Kochanowskiego z córkami; tyle się przekonawszy o ich pamięci i uwadze, już nie wypytywał się więcej, ani też tego dnia nic nowego udzielić im nie chciał. Wyraził im tylko ukontentowanie swoje, przyrzekł każdej gościniec z jarmarku i uczynił im uwagę: „o ile Polskę zwać należało szczęśliwszą od tylu innych krajów; w wieku sporów i walk o Wiarę, ona była prawie zupełnie spokojna z tego względu, i zdawało się, że bez krwi wylewu, mimo chwilowego zachwiania się, za czasów nieboszczyka króla, zostanie już na zawsze przy prawowiernym kościele.“

Kochanowska zaś zstępując poważnie ze schodów i zasiadając do porzuconej przez parę godzin roboty, nie mogła uciszyć w sobie coraz silniejszej dumy, iż tak mądre miała córki; żałowała tego jedynie, że pan brat, że pan Rotmistrz nie byli obecnymi téj rozmowie, i z téj strony wcale jej dziewcząt nie znali. W rzeczy samój, w całym sąsiedztwie Czarnolesia, żadna szlachcianka tego wszystkiego nie umiała; równych wiadomości chyba w domach pańskich, senatorskich szukać wtedy u kobiet należało.

Panny dzisiejsze, nad któremi od pieluch rodzice i nauczyciele ślęczą, które dnię całe nad naukami trawiają, zapewne rozśmieją się z owój próżności macierzyńskiej i z owój mniemanój mądrości panien Kochanowskich; byłoby bowiem ciężkim grzechem wątpić na chwilę, iż każda z nich wie na palcach to, o czém tu była mowa; i każda o stanie dzisiejszym ojczyzny swojej i Wiary, o tém, co się dziś na

świecie w każdym kraju dzieje, wie nierównie lepiej i dokładniej, niż one wiedzieć mogły to, co za ich czasów się działo.

Dla lepszego jednak przekonania się o tej swojej uczoności, niech sobie podobne i zastosowane do obecnej chwili zadadzą pytania i odpowiedzi ułożą: badanie takowe nigdy nie zawadzi.

---

## ROZDZIAŁ XX.

Tak rość, mały Michniku, jakobyś mógł sławnych  
Przodków twych dorość, onych Radziwiłłów dawnych.  
Abyś nietylko imie i bogate włości  
Brał od nich, lecz dziedziczył w mężstwie i w dzielności;  
. . . . .  
Abyś u swych był wdzięcznym i miłym w pokoju,  
A pohańcom zaś srogą i straszliwą w boju.

*Księga II, pieśń 29.*

Jak Czerwiec się skończył, doroczne święto Sobótek i imieniny Kochanowskiego odbyły się przy dosyć licznym zjeździe, zbliżało się Nawiedzenie Matki Boskiej, dzień, na który Ludwina miała sobie przyrzeczone rozpoczęcie nowicyatu. Pani Kasprowa Kochanowska zajęta jeszcze ostatcznym urządzeniem majątku dla jedynaka, i ciągle słaba, nie mogła jechać z synowicą do Sendomirza, by wraz z nią oblec suknię zakonną; ojciec przeto odwieźć ją był obiecał; ale im bardziej ten dzień stanowczy się zbliżał, tém mniej o podróży mówiono: rodzice z żalu, córka przez względność dla nich. Lecz że wtedy powaga słowa ojcowskiego była wielka, a starsi najwięcej na prawdzie i na stałości panowanie swoje i władzę domową gruntowali; rodzice oboje, jakkolwiek z bolem serca, postanowili pomówić otwarcie z córką, gdyby tego pragnęła koniecznie, spełnić natych-

miast uczynioną obietnicę; gdyby się zaś uprosić dała, zatrzymać ją jeszcze pare miesięcy.

Nie tyle własnej chęci, bo nie lubił Kochanowski zmiany raz postanowionych układów, ile słabości macierzyńskiej folgował w téj okoliczności. Jego Hanna acz rzetelnie pobożnej, a przeto mężnej i zgadzającej się duszy, nie mogła przemódz tego na sobie, żeby rozpocząć sama, dobrowolnie, rozdzielenie się z dziećmi. Znają dobrze matki jaka to uciecha, jaki tryumf dla nich mieć jeszcze w wyłączném posiadaniu wszystkie dzieci swoje: panować nad niemi bez podziału, i módz na każdą chwilę zebrać je wkoło siebie, jak kokosz zbiera pisklęta swoje, chlubić się niemi, pieścić, osłaniać je. Prócz tego wspólnego wszystkim matkom uczucia, szczęśliwa Kochanowska nie utraciła dotąd żadnego dziecięcia, wszystkie wykarmiła sama i nigdy od żadnego rozłączoną nie była: nigdy jeszcze dnia takiego nie spędziła, żeby na każdój córce z osobna i na wszystkich razem nie spoczęło jój baczne oko; nigdy nocy takięj nie pamiętała, w którójby swoją ręką nie okryła, nie otuliła każdój, nie słuchała czy śpi, jak śpi? nigdy takiego poranku nie miała, żeby każdój nie wydzieliła pracy, nie zarządziła, że tak powiem, losem całego jój dnia: zgoła, była do téj pory wszechwładną królową, tego prawdziwego *narodu* swojego.

Nie wiem tedy, czy znalazłaby się tyle nieczuła albo tyle doskonała matka, bo ostateczności często się tykają, któraby za złe wzięła naszój Kochanowskiej, ów wstret do rozerwania, nawet dla Boga, swego macierzystego wieńca; któraby nie wtórowała jój słowom do męża:

— Tak mi słodko — mówiła mu — mieć je wszystkie koło siebie; pozwólcie, niech tak zostaną dopókad się da; skoro mi pan Rotmistrz Ewulkę zabierze, oddam natychmiast Ludwinę i razem je odpłacę; w moim stanie unikać



należy ile możności rozkwilania się i utrapienia: mogłabym wam jakiego kordyaczego chłopaka urodzić. Jać wiem, że nasza święta w klasztorze bezpieczniejszą i świętszą będzie niż u nas, ale już ja na to patrzeć nie będę, już wszelkie prawo do niój utracę. Kiedyć ją Panu Bogu oddaję z serca na całe życie, wszak nie grzechem zatrzymać ją choć dwa miesiące? A właśnie tak mi jest potrzebna! Ewa już nie ta co była; już ona połową ducha swego w Studzienicy; Dorota jeszcze nie wprawna, a wszystkoby chciała swoją głową robić: tyle zaś w tym czasie kłopotu, w domu z wyprawą, na wsi z choremi.

Co do Ludwiny samój, łatwiej przyszło otrzymać od niój pożądaną zwłokę, niż rodzice sądzili. Jakkolwiek bardzo pilno jój już było rzucić świat, żeby się oddać bez żadnej zapory służbie Bożej; jakkolwiek pragnęła rozpocząć ów żywot klasztorny, cichy, jednostajny, żywot bez wczoraj i bez jutra, raczėj bez żalu za wczoraj, bez zachodu na jutro; żywot błogosławiony, którego opisy zachwycające w księgach świętych czytała, o którym, jak wiemy, ciągle marzyła: przecież za piérwszém objawieniem chęci ojca i matki uległa im bez żadnego szemrania i zostać z niemi przyrzekła dopóki będą chcieli, dziwiąc się tylko, że ją prawie prosili, kiedy rozkazać mogli. Ludwiny pobożność choć bardzo wzniesiona i niepospolita, była przecież prosta; gruntem jój była pokora i uległość; znała ona i pamiętała te słowa ś. Jadwigi, księżnėj polskiej: „Nie nie czyn, córko, bez dozwolenia starszych, bo wielką ma zapłatę u Boga posłuszeństwo.“ Nie tam przeto widziała wolą Boga, gdzie ją własna jój wola ciągnęła, ale tam gdzie ją prowadzili przełożeni; najlepszy uczynek pewną była, że jeszcze na doskonałszy zamieni, skoro go odstąpi z uszanowania dla starszych, z miłości bliźniego. I dnia tego, kiedy żądaniu rodziców uległa, i zwlekła chwilę upragnionėj szczęśliwości, nikt nie ujrzał chmury na piękném jój czole, ani łzy w błękitném oku; nieco dłużej wieczorem pod swoją jabłonią

kłęczała, a kiedy za powrotem matka spytała jęj się, częmbym jęj mogła wynagrodzić doznany zawód? ona rzuciła jęj się do nóg prosząc, żeby jęj wolno było godziną późnięj się kłaść dla modlenia się, a w tygodniu dzień jeden więcęj pościć.

Kiedy Kochanowska ze skrytęm uwielbieniem, ale przecięj nie bez upomnięń i uwag ulegała nabożnej prośbie córki, Ewa z Dorotą wbiegły do izby całe zadyszane z oznajmieniem, iż wracając ze wsi, gdzie do chorych chodziły z lekarstwami, spotkały pod *Bożą męką* przy drodze pielgrzyma. Usiadł sobie na kamieniu bardzo znużony, i powiedział im, że wraca z Ziemi Świętej, a dalej dla słabości iść nie może. One mu obiecały przynieść posiłek jaki a teraz proszą rodziców o nocleg dla niego. Bo wiedzieć trzeba, że gościnnym obyczajem ojców naszych była w Czarnolesie obok izby pana Łukasza Gupolskiego, izdebka ogrzana w zimie, chłodna w lecie, gdzie na świeżęj słomie zmęczony przechodzień mógł wygodnie noc przepędzić i odpocząć strudzonym członkom.

— Dziwny to jakiś pielgrzym—mówiły jeszcze dziewczęta—suknia jego szara bagazyowa, mocno wytarta, kosztur w ręku, sznur gruby zamiast pasa, przecięj jakby jakieś państwo z oczu mu patrzy.

Kochanowski, który wszedł był do izby na te ostatnie słowa, usłyszawszy je, zawołał:

— O! pójść ja muszę do tego pielgrzyma, a wy przynieście co tchu dobrego wina.

Jakoż wzięwszy czapkę wyszedł z pośpiechem. Żona i córki pobiegły za nim, domyślając się czegoś; nawet Ludwina nie została na ten raz w domu, gdyż słowa „pielgrzym i Ziemia Święta“ miały dla nięj niepojęty urok.

Nieznajomy powstał, choć z trudnością, za ich zbliżeniem się, a Kochanowski ledwie nań spojrział, rzucił mu się na szyję i zawołał:

„Książę Sierotka!“

Zdumiały kobiety na ten widok, lecz wnet zrozumiały rzecz całą; znużony a nieco dziwny pielgrzym, był to ów sam, którego odwiedziny zapowiedział napół w swoim liście, pan Kochanowski dworzanin królewski: był to Krzysztof Mikołaj Radziwiłł, książę na Nieświeżu i Ołyce, wojewoda wileński, Mikołaja Czarnego i Elżbiety Szydłowieckiej syn, *Sierotką* zwany dla tego, że w czasie godów weselnych Zygmunta Augusta z Katarzyną Austryaczką, zostawiony był od matki w królewskich pokojach; Król idąc do sypialni swojej, zobaczywszy uśpione na ławie czteroletnie dziecko i same, spytał się: „Cóż to za sierotka?“ i ten smutny przydomek mu został. Pełen wielkich nadziei i rychłych przymiotów, wychowany był w nauce kalwińskiej, którą ojciec wyznawał; ale za staraniem złotoustego Skargi, do kościoła Rzymskiego przeszedł, i wnet okazał się gorliwym katolikiem. W roku 1575 kończąc lat 26, potargawszy zbytkiem zdrowie, od natury wzięte całe i dobre, wpadł w ciężką chorobę okrutnych boleści głowy i innych przypadków pełną. W téj chorobie ślubował, iż skoro go Bóg dobrotliwy powróci do pierwszego zdrowia, on grób Zbawiciela w Jerozolimie nawiedzi, czasu jednak pewnego temu przedsięwzięciu nie postanawiając. Długo, dotkliwe cierpienia, podróże do cieplic niemieckich, dalej wojna Moskiewska, w której pułkiem własnego zaciągu z wielkiem mężstwem dowodził, przeszkodą mu były. Nareszcie gdy pod Połockiem ciężko ugodzony kulą w głowę, i zrzucony z konia został, w ponowionem niebezpieczeństwie życia, ponowił ślub dawny; a skoro pokój zawarto, napisał testament, urządził wszystko w domu swoim, jakby już nigdy się nie spodziewał wrócić do ojczyzny, a pożegnawszy się z królem Stefanem w Grodnie, 19 Września 1582 roku wyruszył z Nieświeża.

Wiedziała o téj jego drodze cała Litwa i Korona, wiedział lepiej od wielu Jan Kochanowski. Rodzina Radziwił-

łów wówczas tyle znakomita i zasłużona, zaszczycała poetę wysokim szacunkiem; a on jój się odwdzięczał wierszami, które pewno równie długo jak Radziwiłłowie żyć będą. Książę Sierotka wyrósł prawie w jego oczach; onto pieszcząc się z jego imieniem *Mikołaja*, przezwiał go jeszcze w dzieciństwie *Michnikiem*, pięknym rymem drobny jego wiek wślawił; nie dziw więc, iż książę pamiętny tych lubych wspomnień, jadąc z Krakowa do Grodna, oddalił się od gościńca i od służby, a jakby dopełniając ostatku ślubu swojego, zdjął bogate szaty, przywdział zszarżane pielgrzym-skie, by się ukazać dawnemu przyjacielowi przy życiu i w owój szacownej sukni, w której miał zamiar ledz kiedyś w grobie. Uszedłszy blisko milę pieszo, sam, z tłumoczkim pod ramieniem, a jeszcze nieco osłabiony po odbytej we Włoszech chorobie, zmęczył się nadzwyczajnie, i możeby już zająć do dworu nie był potrafił, gdyby kie-lich wina, który mu Ewa podała, nie postawił go na nogi.

Radość Kochanowskiego na widok zacnego i tak ciekawego gościa, była wielka; nie wiem jednak czy wyrównywała troskliwości samej Kochanowskiej o zdrowie jego. Znikły z jój oczu tytuły, miliony, zaszczyty możnego Radziwiłła, widziała tylko chorego pielgrzyma. Z należytém przeto uszanowaniem, ale bez owój mimowolnej trwogi, jaką w niej zwykle wielcy panowie i senatorowie wzbudzali, wzięła księcia wojewodę pod ramie, i wraz z mężem poprowadziła go do domu; tam, sporządziwszy mu naprędce lekką a posilną wieczerzę, naznosiła sama pościeli do bawialnej komnaty, gdzie podobno dotąd nikt nigdy nie spał, usłała mu wygodne łoże, zmusiła żeby się wcześniej położył, nie dozwalając mężowi trudzić go, by najmniejszym wypytywaniem o jego podróż.

— Jutro, jutro—mówiła—jeżeli Wasza Książęca Miłość czuć się lepiej będziesz, to nam może co o Ziemi Świętej opowiedzieć raczysz; mam córkę któraby zawsze podobnych opo-



wiadań słuchać rada; ale dziś, zdrowie pierwsze. Bronźe Wielki Boże, aby tak Świętą a daleką odbywszy pielgrzymkę, w własnym kraju, i z drogi do Czarnolasu przyszło Waszój Miłości zachorzeć. I nastawiała jeszcze koło niego różnych wódek, kordyałów, napojów, żeby ciało natarł jednemi, drugie wypił, to dla pokrzepienia sił, to ku ochłodzie; i nie odeszła, póki nie przyrzekł że nazajutrz użyje łaźni, i że gdyby w nocy czego potrzebował, zawoła Nastki, która w przyległej izbedce całą noc czuwać będzie.

Przyjął z wdzięcznością książkę Sierotka te wszystkie życzliwej przyjaźni oznaki, i usnął smaczno ze słodkiem przekonaniem, że już jest na ziemi ojczystej, kiedy tak uprzejmej gościnności doświadcza.

Nazajutrz wstał zdrów prawie, a użyta łaźnia z aromatycznymi nacieraniami i dobre śniadanie nadały mu zupełną czerstwość. Dziękując serdecznie gospodarstwu, chwalił sobie, że już oddawna tyle rześkim się nie czuł; zasiadł z całą rodziną w ganku, pieścił się z Orszulką, żartował z Ewą i z Dorotą, rozmawiał świątobliwie z Ludwiną, a wciągnięty nieznacznie trafnymi pytaniami obojga Kochanowskich, nim przyjechała kolebka jego ze służbą, stosownie do rozkazów jakie był wydał odchodząc, opowiedział im w krótkości całą pielgrzymkę swoją.

To opowiadanie było prawie w tym sposobie:

„Nikt lepiej nie wie od was, panie Wojski, gdyż znacie mnie z dzieciństwa, ile zmarnować potrafiłem darów od Miłosiernego Boga mi danych, i jakiej doznałem od Niego łaski. Wybawiony od dusznej i cielesnej śmierci, umyśliłem lat temu dziewięć, nabożną drogą do Ziemi Świętej i do grobu Zbawiciela, do reszty złe w sobie ukrócić, a gorętszą miłością ku Panu Jezusowi się zapalić. Przeszkód doznałem nie mało, znaleźli się téż i tacy, co mnie od mego zamiaru odnawiali, strasząc trudnościami na ziemi i na morzu, niewolą turecką i najazdami. Jam się

niczego nie uląkł i wyjechałem z Nieświeża blisko dwa lata temu, z liczną dosyć służbą; ze znaczniejszych a wam znanych, byli zemną: Michał Konarski, Jędrzej Skorulski, Jerzy Kos, Piotr Bylina, Włoch doktor, Abraham Baro de Dona, którego wzięłem dla biegłości w różnych językach, i mój poczciwy kucharz Jeremi.

W dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, której szczególniej opiece oddałem tę peregrynacją moję stanąłem w Wenecyi, w owém osobliwém mieście, gdzie ulicami są kanały, a wozami łodzie. Tam stanąwszy w klasztorze Ś. Franciszka, rozmawiałem często z gwardyanem, Jeremim de Boessa, który dwanaście lat w Ziemi Świętej mieszkał i bardzom wiele się od niego nauczył. Jadąc do obcego kraju, lepiej daleko rozmówić się z jednym rzetelnym człowiekiem, co w nim był i mieszkał, niż przeczytać dziesięć ksiąg. W Wenecyi bawiłem nad zamiar długo, a to najwięcej z powodu niesposobnego zdrowia; nareszcie otrzymawszy od Ojca Świętego pozwolenie i błogosławieństwo, dnia 17 Kwietnia 1583 roku, wsiadłem w Imię Boże na okręt. Gdy lekki wiatr powiewał, i budynek nie koniecznie się bujał, prawie bez mdłości i cierpień jechałem, i na drugi dzień minęliśmy szczęśliwie odnogę Tergestyńską. Zastanowiwszy się, dziwnać to rzecz i bardzo straszna bujać tak na kilku zbitych deskach między bezdenném morzem a wysokim niebem. Jak mi Bóg miły, wołę iść na wojnę: tam przynajmniej człowiek stąpa śmiało. Koło wyspy Kandyi nagle wiatr gwałtowny się zerwał i okręt w wielkiem był niebezpieczeństwie; liny i powrozy się rwały, kotwica przepadła; ale uciekliśmy się wszyscy pod Matki Najświętszej obronę, wołaliśmy wielkim głosem do Tęj Gwiazdy morskiej, i nastąpiła cisza, a wnet ujrzeliśmy Cypr, gdzieśmy ostatnich dni Maja wysiedli i wypoczęli nieco z wielką moją pociechą: dziwnie miły wydawał mi się stały ład, po owém długim kołysaniu się na niepewnej wodzie.

W Cyprze nająłem okręt nie wielki, który tam Karamuzem zowią, już jeno dla siebie i dla mojej służby; patronem jego czyli sprawcą był Arab, ale nie muzułman, dobry katolik. 1-go Czerwca, o godzinie wtórej, w nocy odbił od brzegu, i ku południowi, to jest ku Ziemi Świętej się obrócił; gdy mi to oświadczone, zdało mi się jakoby dopiero wtedy prawdziwie peregrynacją moją rozpoczął i nie tęskniłem sobie na wodzie tyle co z początku, chociaż nie zatrzymał się tak rychło. Minęliśmy bowiem Cezareę, Ptolemaidę, Tyr, Sydon, owe wszystkie miejsca, których samo nazwanie świętą pamięć obudza, i nie wysiedliśmy aż w Tripoli. Tam widziałem pierwszy raz owe przesławne cedry Libanowe i miałem ochotę pokłonić im się; boć one są jakby wybrane między drzewami, takie częste jest o nich w Piśmie Świętym wspomnienie, i spór jest dotąd nie rozstrzygnięty, czy nie z cedru był krzyż Zbawiciela?.. Wydały mi się wspanialsze od wszelkich drzew które widziałem, nieco podobne do naszych modrzewiów, jeno gęściejsze, ciemniejszej zieloności i nie gubią igieł swoich na zimę.

Z Tripoli opatrzwszy się w kilkunastu zbrojnych janczarów, gdyż tam drogi bardzo niepewne, puściłem się ładem, a przebywszy Liban, ujrzałem Damaszek, miasto rozłożone na pięknej równinie u samej krawędzi góry, dziwnie nadobne i w oko wpadające. Wielu rozumie, co Adam w tém miejscu stworzony został, i snadno temu uwierzyć, iż Pan Bóg obrał je na raj ziemski: nie wiem czy już gdzie piękniej być może: chyba w Niebie. Lecz w owym cudnym Damaszku źli ludzie mieszkają, i gdyby nie Janczarowie co nas obronili, byłbym rozszarpany i ze służbą moją.

Pragnąc jak dusznego zbawienia ujrzeć coprędzej Jerozolimę, z Damaszku ruszyłem konno, najprostsza drogą, pojazdu, choć mnie na to namawiano, używać nie chcąc; mimo słabości zdrowia i pośpiechu nie opuściłem żadnego

miejsca wspomnianego w Starym i w Nowym Zakonie, nawiedzałem każde; miałem wielce miłą i spokojną nad spodziw drogę, a spotykałem wiele karawanserów czyli gromad kupieckich z wozami, końmi i wielbłądami. Z niesłychanym wzruszeniem serca przybyłem nad Jordan, nad ową rzekę, której wody omywały niegdyś Święte ciało Zbawiciela naszego, i były pierwszemi wodami Chrztu; naczepałem sobie jej dużą flaszę: mętna jest Jordanowa woda, ale nie psuje się. Niemniej błogo było mi patrzeć na jezioro Tyberyady, po którym żeglował Pan nasz; za nim zaczyna się Galilea, ojczyzna Chrystusowa, kraj dosyć wesoły, żyzny i pachnący; rozmaryn rośnie tam w polu jak tu jałowiec; hodować go nie trzeba, a niektórzy w spore drzewka wyrasta.

Widziałem studnię starego patryarchy Jakóba, cofnąłem się pamięcią na jakie kilkadziesiąt wieków; byłem w Betsaidzie, miejscu rodzinném Ś. Piotra. Niedaleko miasta Sichar, w granicach Sawarii, spotkaliśmy sędziaka, a raczej księcia tureckiego, który wiódł z sobą stu Mameluków mężnych i bitnych. Nie było tam do rzeczy srożyć wąsa i dobywać korda, choć była niezmyślona ochota, bo nam hardo się stawił; zsiadłem przeto z konia z całą służbą, a zapominając na ten raz iżem Radziwiłł i lepszy książe niżeli on, pozdrowiłem go zwyczajem pielgrzymów, chyląc głowę bardzo nisko. Ta pokora ubłagała sędziaka, i nie zrobił nam przecie nic złego; opłacić się jednak musiałem: kazał sobie dać po dwa cekiny od każdej głowy, a cekin znaczy dwa nasze złote.

Ziemia Judzka właściwa, w którą wjechaliśmy wtedy, podobała mi się dosyć z wejrzenia; są w niej liczne ślady dawniej uprawy i żyzności; mury winnic trwają jeszcze, owoców wiele rośnie samych z siebie, mianowicie daktyli; cięży jednak na nią przepowiadane tyle razy spustoszenie... Ależ nareszcie doczekałem się chwili tyle pożądanej: dnia



25 Czerwca 1583 roku, ujrzelśmy miasto święte nad świętymi, Jerozolimę. Padliśmy natychmiast wszyscy na kolana bijąc twarzą ziemię, a według zalecenia Stolicy Apostolskiej, każdy z nas odmówił na głos, jedno Ojczy nasz i jedno Zdrowaś Marya. Na półtóry godziny przed zachodem słońca wstąpiliśmy w święte mury.

Dopieroż tam zaczęły się nabożne stacye nasze, i pokłony Zbawicielowi; miejsca one, na których były ślady świętych nóg Jego, odprawa przedziwna zbawienia naszego, męki i śmierci pamiątki, całowałem wszystkie i oblewałem łzami. Kiedym przyszedł tam gdzie ukrzyżowany został Pan nasz, Jezus Chrystus, upadłem, i nieśmiałem podnieść oczu, pewny że Go ujrzę na krzyżu; a nie wiedziałem sam czy mnie przejmuję żal srogi nad cierpieniem Jego, czyli też wdzięczna radość, że je podjął raczył, aby nam Niebo otworzyć... Z miejsc, które Ewangelia święta mianuje, tak w Jerozolimie jak w okolicach, nie opuściłem żadnego, wszystkiem oglądał, ale te najbardziej które się cudem jakim albo sprawą Zbawiciela wsławiły; wszystkiem zaś obchodził nie jazdą ale pieszo. Widziałem w Betleem miejsce gdzie się urodziło Boskie Dzieciątko, a to miejsce które Pan Bóg sobie obrać raczył na ten cud miłosierdzia i mnie dziwnie się upodobało; zbudowany tam jest kościół i kaplica wielkiej piękności. Byłem na górze Tabor, gdzie się stało Przemienienie Pańskie, byłem i na téj puszczy gdzie Pan Chrystus lud siedmiorgiem chleba nakarmił. Największą miałem trudność w dostaniu się do wieczernika Pańskiego, gdyż poganie Turcy z téj świętej gospody zrobili meczet, ale przecież wszedłem i mogłem dziękować pokornie Bogu za ten dar cudowny, na tém samym miejscu gdzie go postanowił. W kościele grobu Pańskiego, czciłem owe kamienie, między którymi Boskie Ciało leżało; widząc okropne zniszczenie téj przeznacnej świątyni, zobowiązałem się za siebie i za następców moich, płacić wiecznemi czasy co-

rocznie z summy złożonej w Wencyci, sto dwadzieścia pięć czerwonych złotych; dałem także dwa wielkie kielichy szczerzłote, jeden tu, drugi do Betleem, szczęśliwy, iż czemkolwiek przyłożyć się będę mógł do uczczenia i przechowania tych najdroższych pamiątek, które widząc w srogiem zaniedbaniu, serce się kraje w człwieku... O! na zupełne tych miejsc świętych podźwignienie, trzaby znowu drugiej Hele-ny cesarzowej, która w Ziemi Świętej do trzechset kościołów niegdyś postawiła, trzaby nowój a pomyślnój wojny krzyżowój, nowego Godfreda Bulionusza... Widziałem téż w Jerozolimie grób jego i Baldwina; przypominałem sobie Tassa i brata Waszego, który tak pięknie go przekłada, a przez pamięć owego króla rycerza i towarzyszków jego, zapragnąłem téż i ja być uczynionym rycerzem grobu Pańskiego. Pasował mnie i sześciu tych co zemną byli, Ojciec gwardyan Angelus Stella; pozwolił mi nosić krzyż i herby św. Jerzego, patrona rycerzy i mianował mnie prowizorem generalnym.

Przed ostatecznym rzuceniem Jerozolimy, poszliśmy na puszcę, gdzie św. Jan Chrzciciel mieszkał, i znużeni całodzienną podróżą, prosiliśmy o gościnność w klasztorze św. Sabby, niedaleko ztamtąd będącym; przyjęli nas zakonnicy wielce uprzejmie, i zabawne miałem w tym klasztorze zdarzenie. Kiedyśmy siedzieli przy stole jedząc skromną ale smaczną strawę, jam rozmawiał z memi sługami po polsku; aż tu jeden z mnichów odezwał się tym językiem wcale dobrze, i opowiadać nam zaczął, że przed laty bywał w Litwie; pytał się o różnych panów, a między innymi o księcia Radziwiłła co to go Sierotką zwano, którego znał młodzieniaszkiem; ale Wasza Miłość—dodał obracając się ku mnie, zapewne tam tak wysokich nie masz znajomości. Jam mu odpowiadał na wszystko i na to odpowiedziałem, nie wydając się wcale; cieszyło mnie bowiem kiedy mnie za pro-

stego człowieka brano; słodko mi było uniać się na téj ziemi, gdzie Zbawiciel nasz tak się uniażył.

Ósmego Lipca zaczęliśmy się wybierać ostatecznie z Jerozolimy, lubo mi żal było rzucić owe miasto na zawsze. Poszedłem sam do Kadego, żeby mi przydał straż na drogę; choć Turek okazał się dobry człowiek, i co rzecz osobliwa nie łakomy. Bo trzeba wiedzieć, że na owych wszystkich świętych miejscach, jakby dla pamięci że w rękę są pogan, wszędzie srodze okupować się trzeba. Nająwszy muły i osły, wyjechałem dziewiątego Lipca z Jerozolimy; uwoziłem z sobą drogie pamiątki i relikwie, i spory kawałek słupu porfirowego, przy którym Pan nasz Jezus Chrystus biczowany był: własną ręką udało mi się go ułupać. Nie brakło nam przez długi czas miejsc świętych do nawiedzenia po drodze; byliśmy w Emaus, w Jope, i jeszcze w kilku. W Jope, pamiętam, miły traf mi się nadarzył. Spotkałem biskupa katolickiego, któremu Turcy zagrabili wiezione z Egiptu różne drogie rzeczy; bardzo rozpaczał nieborak: jam je zakupił potajemnie wszystkie od Turków, i kazałem mu oddać, nic mu nie powiadając zkąd; on téż sobie wystawiał że pogan sumienie choć raz ruszyło, i jam go zostawił w tym błędzie.

Z Jope wyjechawszy bawiłem kilka dni w Tripoli, nagradzając sobie pierwszy krótki pobyt w tém mieście; trzydziestego Lipca nająwszy dżermę, statek dosyć duży, wziąłem z sobą Janczara, Achmeta, który dobrze słowiańskie języki umiał, i popłynąłem do Egiptu. Najprzód dobiliśmy do Cypru, gdzie miło mi było znowu się znaleźć i wypocząć; tym razem zajęła mnie mocno na owéj wyspie uprawa bawełny, i bardzo mi zasmakowały wina tameczne czerwone; szkoda jeno że zbyt tęgie: nie można je pić do woli.

Z Cypru płynąc do Damiety, doznaliśmy zupełnej ci-

szy morskiej; jest to rzecz prawie równie okropna jak burza: zdaje ci się jakoby okręt twój wrósł w morze, jakoby wszystko koło ciebie skamieniało, umarło, i ty tak skamienieć i umrzeć będziesz musiał. Za gorącemi modłami naszymi, powstała zmartwych natura, rozdał żagle wiatr pożądanym, i ósmego Sierpnia wypłynęliśmy we wrota Nilu, a w godzinę później w przystań Damiety. Ztamtąd mniejszą dżermą puściliśmy się Nilem do Kairu. Nieustanną przez tę drogę musieliśmy używać baczności, gdyż pełno tam jest rozbójników nurków, którzy wyskoczywszy z pod wody niespodzianie napadają przejeżdżających, odbierają im chudobę a często i życie. Tak są wprawni ci łotrowie, iż po kilka godzin pod wodą wytrwać mogą. Długo przed Kairem ujrzeliśmy owe sławne piramidy Egipskie, dawnych żydów, jak mówią niektórzy, ciężka i opłakana robota. Skorośmy przyłądowali do miasta, Turcy mytnicy rzucili się do nas, myśląc że towary mamy; między niemi był żyd; skoro usłyszał moją służbę mówiącą między sobą, zagadał do nich po polsku; odkryło się że jest rodem z Chelмна, że dziwnym sposobem się tu dostał i zamieszkał; i pókim tylko bawił w Kairze, służył mi gorliwie a nętrętnie, jak to i nasze żydki umieją. Z porady konsula francuzkiego, męża wielce zacnego, nająłem sobie w Kairze gospodę i pomieszkałem czas jakiś. To miasto większe jest trzy razy od Paryża, lecz nie tak porządnie osadzone i murowane; powiadali mi jednak, że ma domów do dwóchkroć sto tysięcy, a samych meczetów blisko siedm tysięcy. Ludność w całym Egipcie liczą siedm milionów, a samych Żydów półtora miliona. Krajowcy Egipcianie są oracze, gospodarze i rzemieślnicy, Turcy urzędnicy, Żydzi i Murzyni kupcy, a Arabowie rozbójnicy. Murzynów atoli mają za najgorszych, potomstwo to Chamowe bez wątpliwości żadnej; tak są okrutni, źli i zepsuci, i tak nieufni względem siebie, że mąż żony, pan



sługi, na noc zamyka, bojąc się być od nich zabitym; a ojciec z dorosłymi synami jeno na ulicy rozmawia, w dom ich nie wpuszczając.

Z owęj wielkiei ludności Egipskiei, ledwie trzecia część ma zdrowe oczy; reszta wszystka choruje i prawie ślepa, a to dla wielkiego gorąca i kurzu. Okropne, niesłychane tam panują upały; wzdychałem za naszemi Litewskimi mrozami. We dnie piasek tak bywa rozpalony, iżem ja choć w trzewikach, ledwie pacierz wytrwać mógł ogniu takiemu; krajowcy zaś bosemi nogami chodzą. Ośm tysięcy wielbłądów, każdy z dwiema beczkami skórzanemi, wnosi codzień wodę do Kairu; czego ludzie nie spotrzebują, leją na ulice, ale to mało co wielkiemu kurzowi zapobiega. Przecież ta kraina żywności jest pełna; winna jest dobrodziejstwom Nilu; owa rzeka oczywistym jest dowodem Opatrzności Boskiei i przemysłu ludzkiego; napatrzeć ję się i nadziwować dosyć nie mogłem, ile żem był świadkiem dorocznego otwarcia grobli Nilowych, co jest rzeczą prawie cudowną. Lecz cały ten kraj wielce jest ciekawy, zwiedziłem go ilem mógł; ta jedna szkoda, że ludzie źli: zbójców i złodziei siła, i wielu w ciężkiei niewoli żyć musi. Kilku tych nieszczęśliwych wykupiłem, rad byłbym wszystkim to samo uczynić, choćby na pokazanie tym pogańcom, czego to uczy nauka Chrystusa; i nieraz płakałem, iżem tego dokażać nie miał mocy. Wydało się téż pieniędzy dosyć na różne ciekawości; zwierząt żywych nawiozłem, koziorozców, lampartów, kota który piżmo czyni, dwa szczurki Faraonowe i inne zwierzątka rzadkie, jako i ptastwo, papugi zwłascza cudne; zakupiłem téż i mumii kilka: jużem to wszystko posłał prostszą drogą do Nieświeża, i podobno nie jedna z tych osobliwości pierwszy raz w naszym kraju była widziana.

Zabawiwszy dwa miesiące w Egipcie, żaląc się nieraz

w duszy nad tém iż tak wiele ludzi Chrystusa nie zna, dziewiątego Października wsiadłem na nawę francuzką, Sacyą zwaną, i ruszyłem z Aleksandryi. W drodze i od żywiołów i od ludzi mieliśmy strachu nie mało. W czasie wielkiej burzy, moim mumiom przyszło na koniec; przesąd jest głęboki między żeglarzami, iż okręt co mumią wiezie utonąć musi; dopatrzyli moich i musiałem wrzucić je w morze. Ściagała nas téż i turecka armata, która gdy kogo potka, w niewolę bierze. Lecz dozwolił Bóg miłosierny, uprosiła Matka Najświętsza, iżeśmy uszli tego nieszczęścia i przypłynęliśmy do Kandyi. Tam gościłem aż czternaście niedziel, a lubo z wielką ludzkością przyjmowany, lubom odbierał cześć tak wielką, iżem jój sam unikał, przecież wyglądałem cheiwie sposobności popłynienia do Wenecyi. Już mi strasznie było tęskno do ojczyzny, i już mnie nie bawiło, to com mógł widzieć ciekawego. Nareszcie przypłynęła nawa a w niej dwóch Polaków, z których jeden Piotr Broniewski przywoził mi list glejtowy od Króla naszego, u cesarza Amurata wyrobiony. Powitałem ich jak zbawców, ile że mi zdrowie wcale nie służyło; trapiła mnie mocno febra z kaszlem. Szlachcic jeden handlujący oliwą miał mnie zabrać na swoją galerę, ale iż się bardzo niesporo wybierał, upatrzyłem sobie inną niedawno przybyłą, Lorenza Prynła, i w Imie Boże, wypłynęliśmy z wyspy Kandyi, czwartego Lutego, bieżącego roku.

Po szczęśliwój żegludze stanęliśmy na ziemi włoskiej i zdało mi się żem własny kraj powitał. Nie był to jednak koniec utrapień moich. Jadąc z Baru, gdzieś widział ciało starój królowej, które leży w zakrystyi niepochowane, a wierzchnia warga już się psuć zaczyna, jadąc z Baru, mówię, napadli nas zbójce pod hetmanem Jakóbem de Montebando; bo tam i szlachta tém piękném rzemiosłem się bawi, a chcąc ująć ich napaści, trzeba mieć znajomość

albo z nimi albo z ich krewnymi. Napadli mnie tedy, obronić się im nie było ani podobieństwa; zabrali mi pieniądze i kosztowności jakie miałem przy sobie, obdarli z kosztownych sukien: dobrze com ze służbą z życiem uszedł. Po tój przygodzie i innych które już pomijam, tak byłem zmieniony i do siebie niepodobien, iż przyjechawszy do Ankony, gdym się stawił przed rządcą miasta, wziął mnie za oszusta i za łotra; a choćem mu listy Papieżkie i naszego Miłościwego Pana, glejt turecki ukazował, nie nie pomogło; nie chciał żadném prawem uznać księcia w podartych sukniach, nie chciał dać żadnej pomocy; i pewny był że ja z ludźmi memi okradłem a może i zabiłem prawdziwego Radziwiłła i teraz samozwańcem się czynię.

Ledwie przedawszy kilka kosztowności, które rąk zbójcekich cudem uszły, zdołałem nająć wóz czterokonny, i pojechałem do Ferrary; tam odprawiłem wielkotygodniowe nabożeństwo; we Wtorek wielkanocny przybyłem do Wenecyi, a padłszy na kolana, w kościele Grobu Pańskiego, dziękowałem Matce Najświętszej za powrót szczęśliwy. Tam wkrótce przybyła ta część służby mojej, ze świętami a drogami zabytkami, którąm był z Tripoli osobną nawą wyprawił: chorzałem czas jakiś w Wenecyi, i leczyć się musiałem; nareszcie trzeciego Maja puściłem się do kochanej ojczyzny przez Trydent, a Dunajem do Wiednia; zkąd wyjechawszy przed dziesięciu dniami, oto tu dziś jestem, a skoro służba moja nadjedzie, ruszam dniem i nocą do Grodna, podziękować Miłościwemu Panu; dobę tam jedną zabawię, a potém jak najprędzej pośpieszę do mego Nieświeża, zkąd mnie chyba jaka nowa wojna, usługa Rzeczypospolitéj, lub rozkaz królewski poruszy. Tyle świata zwiedziwszy nie rzucę dobrowolnie gniazda swego, ani tóż póki życia za granicę polską nie wyjadę.

Dobrze jest podróżować, zbawiennie święte odbywać

peregrynacye, ale odbywszy je, trzeba ziarno zebrane daleko, we własnej ziemi zasiać i pielęgnować. Dobrze jest ciekawości niewidzianych nazwozić, ale jeszcze lepiej przywieźć skarb myśli i zamiarów użytecznych, i do skutku je doprowadzić. Ja com jedno widział dobrego w oświeceńszych krajach, wszystko to chcę w moich dobrach naśladować. Będę włóści lepiej urządził i ozdabiał, drogi prostował, naprawiał, drzewami osadzał, żeby przecie znać było, żem zjeździł Włochy, Francją, Niemcy; będę zakładał nie jedno same kościoły, ale i szpitale, szkoły, domy dla ubogich sierot, w dowód że przybywam z Ziemi Świętej, żem się rozmiłował w Zbawicielu, który wszystkie niemoce leczył i dzieciom przychodzić do siebie kazał. Dał mi Bóg dostatek chleba, abym i sam pożywał i swoim udzielał; niech mnie nie zowią Radziwiłł ale Rad-żywił, a zwłaszcza ubogich i potrzebujących. Muszę także podać do druku opis peregrynacyi mojej. Chciałbym takim sposobem w dojrzałym wieku moim spełnić wróżby, które Wasza Miłość o małym chłopięciu składałaś; już się bywało „strasliwym w boju“ teraz być należy „u swoich wdzięcznym i miłym w pokoju.“

Łatwo wystawić sobie jak szczerze i serdecznie Kochanowski podpierał i chwalił owe piękne zamysły; jak mu było błogo, że wierszyk jego utkwiał tak silnie w pamięci a raczej w sercu Książęcia.

Gdy służba nadjechała, rozstać im się przyszło z przykrością: poeta obiecał na rok przyszły zajechać do Nieświeża; a Książę nie odjechał, póki z owego tłumoczka, który z sobą był przydźwigał, nie dobył różnych świętych kosztowności i nie obdzielił niemi całą rodzinę. Ludwinie jednak dostało się najwięcej; a między innymi fiaszeczka poświęcaniej wody z Jordanu, i piękny turkusowy rożaniec, przez samego Papieża pobłogosławiony. Modliła się też



rzewnie dziewica za pobożnego Księcia i Bóg wysłuchał jój prośby, gdyż Krzysztof Mikołaj Radziwiłł żył długo i szczęśliwie, spełnił wszystko co zamierzał, na chwalebłą pamięć zasłużył, i może niéma u nas dotąd z owych czasów więcej popularnego imienia nad *Księcia Sierotki*.

## ROZDZIAŁ XXI.

A to węzeł jest mocny i nad inne trwały,  
Który pięknej pamięci córki zawiązały.

*Księga IV, pieśń 22.*

Parę tygodni upłynęło od odwiedzin księcia Sierotki, i od téj chwili ciężkie panowały upały i zupełna susza; rosy nawet skąpo było: słońce jasne i gorące, nie zakryte nigdy cieniem dobroczynnego obłoku, królowało samowładnie na czystym błękitcie, a w podobieństwie do znużonego i opuszczonego despoty, kładło się zwolna krwawe i bez promieni, a wstawało smutne. Stosownie do słów naszego poety: „ziemia spiekła się prawie na popiół, świata nie znać było w kurzawie, rzeki dnem uciekały, a zagorzałe zioła wołały dżdżu z Nieba.“ Kochanowski krwisty z natury swojej i do bólu głowy skłonny, cierpiał mocniej jeszcze niż ktobądź inny na owym afrykańskim spieku; często jakby z sił opadał, i do żadnej pracy nie był sposobny; upewniał że Muza jego wyschła wraz z sadzawkami domowemi: przecież jednego poranku przejęty widokiem ogólnego cierpienia, wzniosł umysł swój tam, z kąd najłatwiej przyjść może ratunek i natchnienie, i złożył następującą modlitwę:

Wszego dobrego dawco i szafarzu wieczny!  
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny

Modli się dżdżu, i smętne zioła pochylone,  
 I nadzieja oraczów, zboża upragnione.  
 Ściśnij wilgotne chmury świętą ręką swoją,  
 A one suchą ziemię i drzewa napoją,  
 Ogniem zjęte. O! który z suchej skały zdroje  
 Niesłychane pobudzasz, okaż dary swoje!  
 Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem hojnym  
 Żywěj wody dodawasz rzekom niespokojnym;  
 Ty przepaści nasycasz i łakome morze,  
 Zkąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.  
 Kiedy Ty chcesz, wszystek świat powodzią zatonie,  
 A kiedy chcesz, od ognia jako pióro spleonie.

W wieczór przy wspólnych pacierzach, Kochanowski powtórzył rzewliwie modlitwę swoją z dziećmi i z czeladką; i zaraz nazajutrz, jak gdyby w rychły skutek tych próśb, wszystko od rana zaczęło wróżyć zmianę powietrza i deszcz nieochybny: kury piałły w niezwycajnym czasie, gęsi kąpały się w stawie, jaskółki latały nisko i trwożliwie, kot się mył siedząc na ganku, muchy nad obyczaj dokuczały, sól zwilgotniała, Nastkę darło okrutnie po nogach. Jakoż w rzeczy samėj, około południa zaczęły się zbierać chmury; wychodziły jedna za drugą ze wszech stron, a coraz czarniejsze, jakby goście wezwani na stypę; zeszło się ich tyle, iż zdawać się mogło, że miejsca im braknie w przestrzeni, a przeciążone niemi niebo spuści się na ziemię jak namiot; dzień oblókł się prawie zupełnie w noc, lecz wnet błyskawice rozjaśniać zaczęły tę ciemność; ozwały się dalekie, niemal ciągle grzmoty i zagroziła wielka straszliwa burza, a Kochanowskiego mimowolnie strach tajemny przeszedł: czy on nie nadto naprzykrzał się Bogu i czy ukaranym nie będzie, jak się to często człowiekowi zdarza, samém wysłuchaniem próśb jakie składał.

W owym czasie nietylko nie znane jeszcze były konduktory, ale mało kto wiedział przyczynę grzmotów i piorunu; uważano je niemal powszechnie jako dowód gniewu

Boskiego. „Pan zagrział Niebem!—mówiono — piorun, to słowo Jego karzące; zemsta Pańska pobudza okrutne na powietrzu trwogi!“ Jednak mimo tego przekonania, może było rzetelniej, szkodzącej zdrowiu, bojaźni grzmotów niż dziś. Ten sam Bóg co straszyl, Ten i cieszył; z jednej ręki trwoga i uspokojenie spływały; chwila owiej walki żywiołów była chwilą uroczystą, religijną: było to, że tak powiem, święto domowe do obchodzenia, które miało osobne obrzędy i modlitwy, o którym przez cały ciąg roku myślano. Najprzód z początkiem wiosny, w dzień ś. Marka Ewangelisty, odbywała się w każdej parafii procesya w polu, już-to dla uproszenia urodzajów, już dla odwrócenia szkodliwych gromów i gradów; prócz tego pobożna gospodyni w wigilię Bożego Ciała składała wianki z ziół na ołtarzu, któremi potem w czasie burzy dom cały okadzała; gospodarz w oktawę tegoż święta zakopywał w czterech rogach włości swojej, cztery ewangelie; nareszcie w dzień Oczyszczenia Najświętszej Panny, wśród srogięj jeszcze zimy, każdy niósł z kościoła do domu poświęcaną świecę, *gromnicę* nazwaną; gdyż przeznaczeniem jej było oświecać izbę bladém ale łagodném i jednostajném światłem wtedy, kiedy na dworze ogniste a przemienne błyskawice rozparały chmury i raziły oczy jaskrawym swym blaskiem.

I w pobożnym Czarnolesie wszystkie te środki bezpieczeństwa i ochrony, i inne jeszcze wiernie były opatrywane i wypełniane. Skoro w letniej porze pestrzeżono już zbliżającą się burzę, cała drużyna w cichej modlitwie podnosiła serce do Tego, który i gromu nie potrzebuje, ażeby w każdej chwili pozbawić nas życia; bo śmierć i żywot w Jego jest ręku. Za każdą błyskawicą widać było pobożne głów nachylenie i słycać święte wyrazy: „A słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami.“ Kochanowska zapaliwszy gromnicę i okadziwszy dom cały poświęconemi wiankami, wychodziła przed ganek, a biorąc w rękę najszaco-



wniejszą ze wszystkich relikwii, szczątek drzewa z owego krzyża, na którym wisiało Zbawienie ludzkie, żegnała nadchodzącą chmurę, wzywając miłosiernego Boga, aby ją odwrócić raczył od mieszań człowieka, a puścił na bory, na lasy, na miejsce niedostępne; Ludwina zaś uzbrojona w dzwonek loretański, który Kochanowski niegdyś z samego Loretu przysłał był matce swojej, odziana w płaszczyk fijałkowy jedwabny, już z umysłu do tego sporządzony, obiegała po trzy razy dwór i gospodarskie zabudowania, błagając z pokorą opieki Bogarodzicy nad niemi. Nieraz już chmury rześistym deszczem lunęły, pioruny latały jak strzały ogniste, wiatr dął gwałtowny, dzieweczka ufna w obronę Tój, która światu wszystkiemu jest obroną i ucieczką, w oczach której czystość i niewinność nieporównaną ma cenę, spełniała swoje posłannictwo bez żadnej trwogi, a ktokolwiek z domowych lub z włościan ją postrzegł, albo jój dzwonek posłyszał, nabierał pewnej otuchy, że nic złego w całym Czarnolesie się nie stanie, skoro święta pannieka czuwa nad nim i poleca go Bogu. Nareszcie jeżeli srogość burzy nie uśmierzała się i coraz mniejszy był przedział czasu między błyskawicą i hukiem, wypędzano z domu wszystkie psy i koty, wszystkie nieme stworzenia, a ktokolwiek miał głos i mowę, wszyscy panowie i słudzy, starzy i dzieci klękali przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, i śpiewali, powtarzając prośbę każdą po trzy razy, ów hymn potężny, jeszcze od ś. Ambrożego w pierwszych wiekach kościoła ułożony, a który u nas oddawna narodowym się stał:

Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny! Zmiłuj się  
nad nami!

Od powietrza, głodu, ognia, wojny i niewoli! Wybaw nas Panie!

Od nagłej i niespodziewanej śmierci! Zachowaj nas Panie!

My grzeszni Ciebie Boga prosimy! Wysłuchaj nas Panie!

Abyś nas do prawdziwój pokuty przyprowadzić raczył! Prosimy

Cię Paniel!

Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył! Prosimy Cię Paniel!

I w dniu o którym mówimy, wszystko podobnieź się odbyło w domu Czarnoleskim, a mimo trwożliwych przeczuć Kochanowskiego, mimo nadzwyczajnej srogości burzy, żadna szkoda się nie stała; uderzyło wprawdzie kilka piorunów niedaleko, ale dwa wpadły w staw Dzbukiem zwany, a jeden rozdarł na dwoje starą wierzbę przy drodze stojącą; deszcz zaś, który padał rześisty przez godzin kilka, ożywił całą naturę, ochłodził powietrze, opłukał, odświeżył ziemię. Miły to był widok patrzeć jak wszystko się budzi, powstaje, uśmiecha prawie i dziękczynienia wznosi. Kochanowski nasycić się nim nie mógł.

Tak będzie z stęsknioném i oschłém sercem mojem — mówił w duszy — skoro mój Jakób powróci, a zdrowiem swoim mnie rozweseli i o długim życiu upewni.

I chodził po ogrodzie i po sadzie, od kwiatka do kwiatka, od drzewa do drzewa, radując się nad każdym, winszując każdemu. Ledwie go żona zwołać potrafiła do wieczerzy, chociaż dobrze miarkował po wolnej głowie, po lekkości i rzeźkości całego ciała, że lepiej dziś jeść będzie niż we wszystkie dni poprzednie. Jakoż jadł smaczno, ile że cała wieczerza była na zimno; chłodnik litewski ze śmietaną, z ogórkami, z rakami i z boćwiną, pieczeń cielęca, szynka, sér, jagody, owoce świeże i w cukrze.

Kiedy tak Czarnoleski gospodarz z drużyną swoją ochoczo dar Boży pożywał, rozmawiając mile o minioném niebezpieczeństwie, i o tym nowym dowodzie Opatrzności nad niemi, wjechał człowiek obcy konno na podwórze, a wnet jeden z domowych pacholików wszedł do izby i oddał panu list.

— Umyślny z nim przyjechał — rzekł — uwiązał konia u żelaznego kółka i powiedział, że czekać będzie na odpowiedź.

— Doroto!— zawołała Kochanowska, która już używać zaczynała córki średniej do ważniejszych posług—ukrój chleba, nalój piwa i wynieś mu; widać sługa jakiś.

Wstała Dorota żwawo, a ojciec powiedział:

— Raczéj go do kuchni zaprowadzić i dać wieszczkę; jak widzę, na kopercie domagają się odemnie odpowiedzi na piśmie; ta czas zajmie, ile że najadłszy się, wcale mi się nie chce iść na górę i pisać.

A otworzywszy list i przeczytawszy go, zawołał:

— O! niespodzianie chcą mnie zjechać i uczcić!

— Któż taki?— spytały się córki i żona.

— Bracia w Apollinie—odpowiedział z uśmiechem.—

W Babinie, w owéj wesołej, jak wiécie, a niezbyt dalekiej od nas Rzeczypospolitej, zjechało się na sejm doroczny, czy téż z innéj jakowejs okoliczności, dziewięciu mężów piszących wierszem, lubo i proza nie jest im obcą. Tych tedy dziewięciu poetów, a jak piszą sami, te dziewięć Muz w żupanach, szukają sobie Feba z wąsami, i chcą tu niedaléj jak pojutrze na obiad zjechać i ruszyć z Bogiem przed wieczorem. Pytają się, czy pani Wojska nie ulęknie się téj napaści?

— Dziewięciu mężów piszących!—przebąknęła.—Wielki Boże! cóż to będzie mądrości!

— Ja ich się tam nie boję—dopowiedziała Ewa—pewno żaden z nich nie mędrszy od was, panie ojcze?

— Tego nie powiem—odrzekł Kochanowski—z niejednym mierzyłbym się nie śmiał, zwłaszcza po łacinie i w niewiązanej mowie.

— Czy to księża? — zagadnęła nieśmiało Ludwina, która nad ojca tylko duchownych widziała.

— Minęły już te czasy—odpowiedział—kiedy nauki były prawie wyłącznym przywilejem duchowieństwa; są przecie i dziś w naszej Polsce bardzo uczeni i wymowni księża; lecz między tymi co do nas się wybierają, dwóch jeno świętą sukienkę nosi.

— Powiedzcież nam, panie mężu, jak się zowią, co za jedni, żebym najprzód wiedziała, czy ich się mam lękać czy nie? może oni i byli już w naszym domu, boć do was każdy Polak sławny a mądry, czy pan czy szlachcic, czy duchowny czy świecki, prędzej czy później zajrzeć musi.

— Niektórzy nie byli jeszcze nigdy, drudzy już bywali. Starego pana Reja na przykład, że koleją wieku zaczęną, nie znacie wcale; on się mi obiecuje od lat dwudziestu i dopiero teraz mu przyszło.....

— Pana Reja! czy owego Reja z Nagłowic—krzyknęła Kochanowska — owego wyuzdanego szatana, jak go zwali u nas w klasztorze, owego opilec, obżercy nieumiarkowanego. Toż on jeszcze żyje?... Jam sądziła, co oddawna gdzie się zapił i zjadł... Nie godzi się jednak przed nikim wrot zamykać; wolałabym jednak, żeby sobie był został w Babinie. To dla niego przyzwoite miejsce, tam mu być spowiednikiem albo kaznodzieją...

— Zwolna, zwolna, nie sroście się tak, pani żono, nie unoście się; upamiętał się on; za młodu do zbytku świeatek mu smakował: dziś dobiegł siódmego dziesiątka, broda i czupryna biała, to i statek przyszedł ze starości szronem. Dużo téż tego człowieka czernili; ba! i on sam siebie nie oszczędzał; prawda, co dawniej był sobie próżniak, warchoł, drugi nasz pan Franciszek, nieprzymierzając, bo go téż rodzice kubek w kubek tak pieścili jak pani Kasprowa swojego; a że Pan Bóg dał dowcip i rozum, jak mało komu, i piędzdy dosyć, to jak tak nienauczony puścił się między ludzi, zrobił się snadno z niego odstępca, rozpustnik; ale teraz, zapewniam was, wcale on inny, mówią nawet niektórzy, że i katolikiem został; jeno sobie zawsze wolny żywot prowadzi bez pracy i urzędu; w domu ani nigdzie miejsca nie zagrzeje, i rad zjeżdża gdzie o biesiadzie posłyszcy. Jé i pije co się zmieści, jakem go widział w zeszłym roku u Kanclerza w Knyszynie, silił się, żeby nas



wszystkich młodszych przetrzymać, i dokazał swego; bo znacie, jakto nie jeden szlachcic ma sobie za chlubę wepechać i nalać w siebie za dziesięciu chłopów: prawdziwie zwierzęca chluba!

Boć szkoda zwać człowiekiem, co bydłeco tyje \*).

A co prawie równie naganne, zawsze takowi ludzie chwalców i dziwowidzów znajdują...

— Co o jadło i o napój to najmniejsza—przerwała tu pani Wojska—pociechę owszem dla gospodyni widzieć gości zajadających smaczno; ale nie będziez on obrażał uszu naszych dziewcząt, nie będziez przeciw Wierze Świętej bluźnił?

— A pamiętacie „Żywot człowieka poczciwego — zapytał się tu Kochanowski—który wam nieraz czytuję zimowemi wieczorami, i tak rade słuchacie tój księgi.

— Pamiętany—ozwały się wszystkie.

— Wszak on go napisał, a jestże tam co gorszącego? przeciwnie najzbawienniejsze nauki i przykłady, a w niejednym miejscu jakby iskry wyższego światła. Otóż stary Rej, im starszy, tém pilniej się wpatruje sam w to swoje *Zwierciadło*, i radby w niem własne podobieństwo upatrył. Jeśli chcecie, jest on sobie wesół, rubaszny, liche wiersze i grube żarty sypią mu się z ust gdyby z rękawa; przy stole trudnoby w nim mędrca dopatrzeć; niema jednak w jego rozmowie wiele co gorszego niż w rozmowie naszej pospolitéj szlachty. Bo choć on z jakie pół kopy ksiąg napisał i jest pisarzem u nas najwięcej czytany, choć na zawsze należeć mu się będzie ta chwała, iż pierwszy zaczął pisać czystą polską mową, i o takich rzeczach, o jakich dotąd żaden człowiek świecki pisać się nie poważył, jest on sobie prosty szlachcic całą gębą. Co do mnie, mam dla

\*) I. 19.

niego wdzięczność osobistą: on pierwszy moje wiersze polskie publicznie pochwalił. Młody jeszcze i mało komu znany, przysłałem był z Włoch pieśń jedną; na wielkiem zgromadzeniu czytano ją, i czytano obojętnie; dopiero obecny tamże Rej wziął ją, rozebrał, pochwalił i wróżył, że go daleko w poezyi wyprzedzę....

— Jeśli tak, niechże przyjedzie; rada mu będę z duszy—upewniła Kochanowska—a inniż?

— Najznakomitszy majątkiem, godnościami, układnością, a może i nauką, to mój dawny współpracownik w królewskiej komorze, Łukasz Górnicki, starosta tykociński..

— Tenże co „Dworzanina polskiego“ napisał.

— Tenże sam, i rzec można śmiało, że był i jest żywym dzieła swego wizerunkiem; od śmierci nieboszczyka króla mieszka on na wsi z żoną i z dziećmi, i wiele rzeczy po łacinie i po polsku, wierszem i prozą napisał i pisze; ale podawać je do druku nie śmie, bojąc się obrazić: starszy on odemnie z jaki dziesięć lat, lecz dobrze się trzyma i dworskiej grzeczności wcale nie zaniedbał...

— Ja wiem, ja go znam—przerwała Kochanowska—był przecież w naszym Czarnolesie temu lat trzy, kiedy to dzieweczki nasze i sąsiedzkie przedstawiały wasze Sobótki; był wtedy i ten poeta z Lublina, coto ma złą żonę, zły urząd, ale gładko pisze, choć czasem złośliwie; ten co *Flisa* ułożył i tak lubi wszystkim prawdę mówić...

— Sebastyan Klonowicz—odpowiedział Kochanowski—przyjedzie i on. Ja wysoko cenię tego poetę, choć nieborak pod niefortunną gwiazdą się rodził; zawsze krucho koło niego, zaniedbany, narzekający i wcale dać sobie rady na świecie nie umieć. Drugi także pisarz nieszczęśliwy, ale podobno w jego skargach więcej jest udania niż prawdy: to ksiądz kanonik Strykowski, kroniki polskiej i litewskiej autor, wielki bywalec i doświadczony człowiek, żołnierz, wędrownik, a nareszcie kapłan. Ostrzegam was, dziewczki

moje, żebyście się, broń Boże, z niego nie roześmiały. Jemu się trafił dziwny przypadek w dzieciństwie; wpadł w wodę, wyciągniono go jako umarłego i już chować miano do grobu. Wtém huk dzwonów obudził go, powstał, ozdrowiał z wielką rodziców pociechą i żyje dotąd, lat już temu czterdzieści; wszakże od tego czasu bardzo się jąka. Każde kalectwo i ułomność każda od Boga są, równie jak wdzięki i uroda; kto tedy z nich urąga, Boga obraża. Ale ksiądz Maciej nie dlatego nieszczęśliwy, że jest nierychłego języka, tylko dlatego że ma wiele zarozumiałości i że go opanowała chęć wierszowania, a talentu Feb nie dał. Wielce też przekładam nad niego Bielskiego Joachima, którego podpis także tu widzę; gdy on dopełni i poprawi pracę ojca swego Marcina i wyda ją kiedy, dopiero będziemy mieli Kronikę Polską po polsku, a obok zalet pisarskich, ile on liczy cnót jako człowiek...

— Ja go znam dawniej niż was, panie mężu; on się ożenił z Borzechowską, moją powinowatą, i odwiedzali mnie jeszcze w klasztorze; prawda, lepszego syna szukałby naprózno ze świecą: sama Bielska mi mówiła, że to on tę całą Kronikę Polską wypracował, a chce koniecznie udać ją za ojcowską; bo stary Bielski był o kacerstwo posadzony, i jego Kronikę Świata katolicy źle przyjęli: syn radby tём drugim dziełem plamę pierwotnego zmasać. I mąż i ojciec dobry!...

— Nie dałabyś pewno takich pochwał, Hanno moja — przerwał tu Kochanowski — panu Bartoszowi Paprockiemu, który także ma nas obecnością swoją uraczyć; z czegobym go chętnie pokwitował. Pracowity i obfity pisarz, ani słowa przeciw temu; o czém mało komu jeszcze u nas się śniło, zbiera z mozołem piętna czyli herby szlacheckie, chcąc o wszystkich znaczniejszych rodzinach polskich wspomnieć; objechał w tym celu Litwę i Koronę, zwartował publiczne, klasztorne i domowe archiwa; ale cóż, kiedy

w tym człowieku rzetelności niema, a jest chciwość, próżność, zółć; ożenił się jedynie dla pieniędzy i dla imienia ze złą i starą białogłową; już oddawna owdowiał, a jeszcze na całą pleć białą obelgi miota; a co gorsza wielkie jest o nim podejrzenie, że się zaprzedał nieprzyjaciółom Kanclerza...

— Gdyby tak było, nie przyjeżdżałby do Czarnolasu—odezwała się Ewa—musi przecie wiedzieć ile wy, ojczy, Kanclerzowi sprzyjacie?

— Alboż to ludzie na świecie ułożyć się nie umieją—odpowiedział Kochanowski—on mi tu gotów z jakim pochlebstwem w oczy wyjechać, lubo wiem dowodnie że mnie nie lubi. Lecz kto jest przyjacielem Kanclerza i moim, o kim wiem że pani Wojska rada mu będzie, to o pewnym młodzieńcu; nie starszy od pana Filipa, uroda rzadka i dowcip, a skromność większa nad te wszystkie zalety...

— Zgaduję, zgaduję—zawołała Kochanowska śmiejąc się—Szymon Szymonowicz, co przy boku Kanclerza bawi, listy mu czasem pisuje, i wierszami swemi go broni; co tu był kilka razy z panem Andrzejem: prześladujcie mnie nim jako chcecie, ja zawsze będę mówiła, że jego poezye są mi do smaku, zaraz po waszych. Pamiętam téj zimy, słuchając jego Sielanek, przy kominie w ciężki a mglisty mróz, zdało mi się że wiosna, żem w gaju, trzody i pasterze widzę... Ależ jak sobie uważam—powiedziała jeszcze rachując na palcach—już do dziewięciu owych Muz w żupanach, dwóch jeno brakuje...

— Rybińskiego Jana i Stanisława Grochowskiego—powiedział Kochanowski—młodzi oba, nie wiele jeszcze prac swoich podali do druku, lecz zwłaszcza pierwszy już wytrawny poeta; jego wiersze łacińskie czasem zdają mi się dzielniejsze od moich; a i Grochowski lubo jeszcze bardzo młody, już dobrze pisze i niepospolitą posiada naukę; zwłaszcza od czasu jak księdzem został i do nabożnych



wziął się rzeczy, wcale pięknie mu się udaje. Ludwinie smakowałyby jego wiersze: jaśnieje w nich czysta i słodka pobożność.

— Mój ojczel!—przemówiła tu Ewa, która od początku tej rozmowy ściegu nie zrobiła w krosnach, tylko trzymając igłę nieruchomą patrzyła się w oczy Kochanowskiemu—wieluż tam jest owych mężów piszących w naszój Polsce, kiedy tak naraz dziewięciu wytrząsnąć można, a każdy według słów waszych ma swoje zalety?...

— Moja dziewczeczko, nie skończyłbym ja do nocy, gdybym wam chciał wyliczać tych wszystkich, których nauką, zdatnością do wiersza, piękną wprawą w prozie, szczyścić się nam godzi. Wiek dzisiejszy przeszedł wszelkie inne w tej mierze; wiek to prawdziwie ozdobny i wielki; mamy nie tylko grono ludzi znakomitych, Muzom przyjemnych, ale mamy i uczonych we wszystkich rodzajach: historyków, ludzi stanu, mówców, filozofów, lekarzy, astronomów, fizyków. Śmiało rzec mogę, dziś w żadnym kraju, wyjąwszy Włochy, nauki nie stoją równie wysoko jak u nas; mamy trzysta drukarń rozrzuconych w ośmiudziesiąt miastach, a każda ma robotę; a co najlepsza, język nasz ojczysty niedawno gruby i prosty w piśmie, sztukujący się czeskim, zostawiony białogłowom, dzieciom i domowym potrzebom, obecnie przeszedł wszystkie słowiańskie, wyścignął francuzki, niemiecki, i o mało co włoskiemu nie sprosta... Prawdziwie serce we mnie rośnie, tajemna дума powstaje mi w duszy, kiedy wyprzedzając wieki posunę myśl w przyszłe czasy, i niecielesnemi oczyma spojrzę na to co będzie u nas za paraset lat. Do jakiej doskonałości dojdą wszelkie nauki? czém stanie się język, który w młodocianej dobie już męzką okazuje dzielność, nieprzebrane odkrywa bogactwa. Ledwieśmy rozpoczęli pracę koło niego, a już się hojnie wywdzięcza... W tém nagłym i skuteczném hodowaniu mowy polskiej, dank się należy nieboszczykowi kró-

lowi; on wspierał ją i zachęcał jak żaden jeszcze z monarchów; większy zaś jeszcze, starój Matce naszój, Akademii krakowskiej: tam my się nauczyli po polsku, i młodsi od nas pisarze, co zapewne nas przejdą, także są jeszcze uczniami... Lecz ja tu z wami Bóg wie o czém bzdurzę, a zapominam że człowiek czeka, a koń retoryki słucha; wybaczcie mi panowie Babińscy: już idę na pokój, i odpiszę wam jak najspieszniej, nawet wierszem, jeżeli się uda. Oni Apollina szukają—dodał list odczytując—przyznać się nie mogę do téj godności parnasowój. Raczej w ich gromadzie, gdzie i młodzieńców jest kilku, piękny Feb się mieści: mnie staremu i mieszkańcowi lasów, słuszniejby Chirona imie przystało.

A tak sobie mówiąc i śmiejąc się sam do siebie, poszedł wesolo i spiesznie. Pół godziny nie minęło gdy już wrócił z odpisem i przeczytał go żonice. Był w tych słowach:

„Jako Chiron ze dwojój natury złożony,  
W górę człowiek, a na dół koń nie objędzony,  
Rad był kiedy przyjmował do swój leśnej szopy,  
Nauczonego syna pięknej Kalliopy;  
Na on czas gdy do Kolchów rycerze wybrani,  
Pławili się przez morze po kozuch barani:  
Równiem wam i ja tak rad, znani Poctowie;  
A jeżeli u Chirona cni bohaterowie  
Przyjmowali za wdzięczne wieczerzę ubogą,  
(Bo tam wszystka cześć była) mleko z świnią nogą,  
Nie gardźcie i wy tém, co dom ubogi niesie,  
Bo jako Chiron takżeć i ja mieszkam w lesie.  
Będzie ser, będzie szoldra, będą wonne sliwy;  
Kaźcieeli téż zagrać, i na tom ja chciwy:  
Owo, prosto będziecie mieć zemnie Chirona,  
Tylko że ja nie włóczę za sobą ogona.“ \*)

Śmiech pusty i serdeczny nie dozwolił odczytać wyraźnie ostatnich dwóch wierszy; wtorowały mu wesolo żona

\*) Księgi IV. p. 29.

i córki; całe zaś pismo opieczętowane i napisane: *Do Poetów*, oddane zostało posłańcowi z Babina. Gdy już pojechał, Kochanowski zaczął wypytywać się żony, czem przyjąć myśli tak zacnych gości?

-- Na tobie, moja Hanno, podstawa rzeczy — powiedział — choćbym ja im zaśpiewał jak Horacy i Wirgili, jeśli będzie głodno i na sucho, nie pójdzie im w smak. Obiecałem im wprawdzie w moich rymach nie wiele, to cośmy dziś na wieczerzę mieli; ale i to może zanadto, bo kiedyśmy jedli, tośmy i zjedli.

— Wiecie przecież, panie mężu — odpowiedziała z lekką urazą — że ja Bogu dzięki resztkami nie gonię, owsa z pudeł nie wytrząsam, i nie śpię do południa, bo są na grzędzie kury co nas budzą rano. Kiedyście wy odpowiedź waszą pisali, ja tu z dziewczętami radziłam o obiedzie. Jak wam się zdaje, byłby dobry taki: Dwie polewki, jedna, rosół krakowską kaszką zasypany, w którym będzie kura, wołowina, para jarząbków, korzeni i włoszczyzny jak najwięcej; druga: barszcz zabielały z rurą, z uszkami, z pieprzem i kiełbasą. Właśnie zabiliśmy wczora wołu, a dziś każe ciele zabić; postawię wam na pierwsze danie mostkową sztukę mięsa z chrzanem i z ogórkami i pieczeń przekładaną z cebulą; będzie do tego kopa ogromnych raków i trzy misy jarzyn: groch cukrowy z marchwią, rzepka młoda z baraniną, i kapusta kwaśna z wędzonką: choć przeszłoroczna, jeszcze całe dobra. Na drugie danie przyjdą potrawy: kapłony z kluskami, mostek cielęcy na biało z mózdzkiem, młode kaczki z zielonym agrestem rumiano, tłuste prosię czarnym sosem podlane, zrazy z kaszą i flaki z szafranem po Sandomirsku; pospolite jądło, ale wy je lubicie, to i ujdzie. Dalej nastąpi piecyste: dwie gęsi, dwa indyki, paw, pieczeń cielęca, zwierzyna, jaka teraz być może; a ponieważ kilku z owych panów jako i wy we Włoszech gościli, dam wam i trawy różne: sałatę głowiastą,

rzeżuchę wodną, chmiel młody. Na czwarte i ostatnie, uraczę was słodyczami: będzie ciasto wysokie przekładane migdałami, posypane maczkiem, zaprawione piżmem, które ja sama upiekę: Ewa z Ludwiną zrobią białkę i tortele z ryżem... a Nastce doskonale się zawsze udaje arkas i rosiała...

— Dobrze, wyśmienicie—zawołał uradowany Kochanowski—jedno znowu nie sadźcie się do zbytku, pani żono; chędogo, obficie, smaczno, a z prosta; tegoć od nas żądać mają prawo a nic więcej: wiedzą, że ja nie pan, że Kasztelana w domu nie chciał, żeby nie strwonił tego co zebrał Kochanowski; wiedzą i to że kucharza Balcera po nieboszczyku Królu nie przyjął, a Stanisławski dzisiejszym zajęty...

— I jać dobrze o tém wszystkim wiem; przecież trzeba żeby było przyzwoicie i uczciwie: wszak prawda, panie mężu? Jutro skoro świt, wyślę Nastkę do Kazimierza; musi mi nakupić kilku rzeczy: muszkatołowej gałki i kwiatu, karuku, cukrowego maczku różnej barwy i piżma...

— Bez tegoby się obeszło; nie trzeba wydawać pieniędzy, apteki zbogacać...

— Nie dam jej téż więcej nad sześć złotych na sprawunki: ale już tego nie żałujcie. Któż mnie to w pierwszym roku zameżcia nauczył owego przysłowia: „Przy gościach lepszy talar szkody, niż szeląg wstydu.“ O napojach sami jak zwykle pomyślicie; już to wasza rzecz i Marcina. Co do porządku stołowego i co do usługi, można być spokojnym; starsze dziewczki nasze tego dojrzą, i ja téż rzucę okiem. Zresztą, cóż mi to za wielka osobliwość, obiad, gdzie tylko jeden Starosta i czternaście osób? Stary Zubek za nic sobie nie będzie miał tak małej liczby gości, boć więcej nas się nie zbierze, choćym téż i ja ze trzema starszemi córkami do stołu siadła. A dobrze, co mi na



pamięć przyszło: miałam się was zapytać, panie mężu, czy mamy zasiąść z wami? Raczcież powiedzieć.

— Myślę sobie—odpowiedział po chwili milczenia—że mężczyźni u stołu, zawsze wolniejsi bez płci białej. Zasiąść przecież z nami, ale z jedną Ewą, jako z pierworodną naszą i już narzeczoną; weźcie między siebie pana Reja, a obok, ty, pana Starostę, ona księdza Kanonika, i miła Hanno moja—dodał z przymilemem—bądź gościom naszym rada jak to umiesz, a pewno wszystko dobrze przyjmą. Atoli skoro zbyteczna wesołość nastąpi, odejdźcie obiedwie pod jakim pozorem, albo i bez pozorów; wiecie że skoro mężczyźni sobie dobrze podchmielą, płci białej dosiadywać z niemi nie wypada.

I tak stanęło. Kochanowska zaraz nazajutrz zajęła się całym sercem, całą przytomnością umysłu, jak zwyczaj miała, przygotowaniem wszystkiego, na ucziwe podjęcie spodziewanych gości; nie ujęła z pierwszego planu obiadu, raczej dodała, dosypując do każdej potrawy korzeni i zapachów: znała ona bowiem obyczaje lepszych kuchni ówczesnych, znała męża swojego, i wiedziała, że i on jakkolwiek o prostocie, o mierności i oszczędności mówi i pisze, lubi przecież żeby w jego domu wszystko było jak najlepiej, osobliwie przed osobami, które niemal wszystkie po dworach pańskich i królewskich bywały i za granicą gościły. Gdy już nadeszedł dzień naznaczony, dzień 22 Lipca i zbliżało się południe, sama ze starszemi córkami dopilnowała urządzenia izby i zastawy stołu. Do fontanny z kurkiem, w rogu, pod oknem będącej, nalano świeżej wody, i nagotowano wiązkę haftowanych ręczników przy ogromnej miednicy. Koniecznie było albowiem wówczas i dla słusznych przyczyn, jak się poniżej wykaże, mycie rąk przed jedzeniem i po jedzeniu; a liczba i piękność ręczników stanowiły część zasobu domowego, dowodząc oraz staranność i zręczność gospodyni. Na licznych dębowych półkach,

które, jak wiemy, osłaniały ściany izby, w szafach olszowych za drewnianymi kratami skłniły się stojące stosami i rzędem talerze i misy cynowe, flaszki, konwie z uszami, czary, kubki, puhary, rostruchany; w kominie, gdzie już przecie od trzech blisko niedziel ogień nie powstał, rozpie-rały się na ligarach dwie ogromne beczki wystającego dwu-razowego piwa, a opodal stał rząd beczulek i gąsiorków z miodem, z wiśniakiem, dereniakiem, maliniakiem i lek-kim węgrzynem; piec cały otoczono butlami lepszego wina, lubo najszacowniejsze i wickiem i smakiem, kryło się jesz-cze w lochu, unikając ciepła izbowego. Stół jaworowy na nogach toczonych, długi, a nie szerszy nad dwa łokcie, wy-sunięty został na sam środek; Kochanowska pokrywę go ka-zała kobiercem, a potem nałożyła aż czterema obrusami, z których najcieńszy a najmniej był na spodzie.

Zwyczajem to było w porządniejszych domach zdejmować za każdym daniem spluskany obrus, a odkrywać świe-ży; żeby zaś plamy nie przesiąkały; pod każdą misę pod-ściełano tak zwane miśniki, czyli płoty okrągłe ze słomy, mniejsze zaś takowe miał każdy stołownik przy swoim ta-lerzu dla oparcia srebrnej łyżki i żelaznego sztućca; od-miany bowiem sztućców za każdą potrawą nie znano wtedy, chyba na królewskich stołach, i srebrne widelce i noże nie były wcale upowszechnione. Jużto był znak dostatku domo-wego, kiedy się znalazły jak w Czarnolesie srebrne łyżki dla wszystkich; nie wszędzie nawet kładziono przed każdym sztućce: nie były konieczne potrzebne, gdyż prawie każdy nosił z sobą własną łyżkę i nóż, i najchętniej niemi jadał. Jużto przyznać należy, iż w owych czasach, kiedy tyle u nas jadano, porządek polskich stołów szlacheckich nie był wzorowy, myślano o tém co dać, a nie jak dać; usługa także nie była wcale wyszukana i trudna: pacholcy nie mieli prawie innéj roboty, jak stawiać i zbierać półmiski, nalewać kufle, kubki i szklenice, a w dniu ciepłe oganiać

gości z much, zawsze licznych i natrętnych; niejeden biesiadnik odbywał na jednym i tym samym talerzu cały obiad, choćby téż z kilkunastu potraw złożony: kości podawał psom domowym, które wiernie stołu pilnowały, a sosy i inne resztki zniatał sobie chlebem. Kobiety jedne, zawsze obyczajniejsze od mężczyzn, mniej i przyzwoiciój jadaly; a podobno dopiero od królowych Francuzek i dam ich dworu, rozszedł się po naszym kraju zwyczaj *serwet*, dawniej zupełnie nieznan, i do którego niejeden prostaczek długo nawyknać nie mogąc, usiadłszy do porządnego stołu, kładł serwetę pod talerz, a usta obrusem obcierał. Dziś na eleganckich stołach, często zastawa przechodzi wartość jada; dadzą jednego kapłona i dwie kuropatwy na dwanaście osób; ale jakże to wybornie urządzone, jak subtelnie pokrajane. Bez wątpienia, szlachcie polski z XVI-ego wieku posłałby mieszkańcom piekła równie szczupły obiad, albo zjadłby sam co dla dwunastu zgotowano; lecz przyznać należy, iż jest w tym wstrzeźliwym wykwincie jakaś cecha wyższości człowieka: już się nie pasie, nie rozpycha jak zwierzę, ale pożywa jako stworzenie z ciała i z duszy złożone, które ję, bo musi, i tę konieczność zwierzęcą uszlachetnia ile może.

Ale wróćmy do naszych gości.

W dzieńznaczony, o umówionęj godzinie zajechali w dwóch sześciokonnych kolébkach, dostarczonych im przez pana Pszonkę, dziedzica Babina, a w których już nieraz bujały się równie dojrzałe a wesołe dzieci. W głębi piérwszój, aksamitem żółtym wybitęj, w piękne kwiaty malowanęj i dosyć suto złoconęj, rozpierał się stary Rej zasapany i czerwony, w żupanie karmazynowym z adamaszku, spiętym na wielkie bursztynowe żołędzie, które przyszyte rzędem od szyi do nóg, coraz prościęj sterczały, gdyż okrągły brzuch pana z Nagłowic, bogatym pasem podparty, wystawał pewno na ćwierć łokcia dalej niż biała i długa

jego broda. Chociaż na takiémże samém siedzeniu na przodzie, trzy osoby siedziało wygodnie, obok Reja ledwo się wcisnął i to bokiem sam jeden Łukasz Górnicki, także niezłej tuszy człowiek i latami poważny, ale jako dworak i bywalec, umiejący zajmować mało miejsca w potrzebie. Naprzeciwko tych dwóch mężów, których nawykliśmy wszyscy kłaść razem imiona i ważyć zasługi, siedziało tedy trzech, rozprawiali żwawo językiem i ramionami, i jeśli nie ostremi słowy, to przynajmniej szerokimi rękawami, krajami ferezyi dotykali się często wzajemnie; był to: Bielski, Paprocki, Strykowski. Zaszła między nimi sprzeczka historyczna, każdy obstawał z zapalem za swoim zdaniem, mało słuchając argumentów drugiego: pan Joachim z przekonaniem, pan Bartosz bardzo i obficie, a ksiądz Kanonik szybko i namiętnie, tylko że czasem w największym uniesieniu więzło mu słowo w otwartych ustach, i dopiero po kilku sekundach, albo po silnym tupnięciu nogą w pokład powozu, wylatywało skwapliwie.

W drugiej kolébce nierównie mniejszej i skromniejszej, także pięciu mężów się mieściło; prawda, wszyscy szczupli i smagli, bo jeszcze młodzi, ale co dziwnego, najmłodszemu z pośrodku siebie tyle potrafili zostawić miejsca, iż żaden z nich nie dotykał się szerokiej jego kapy włoskiej z czarnego bławatu; zdawało się, jakby mu tym sposobem jakąś cześć wyrządzić chcieli: jakoż suty złoty łańcuch, którym miał owiniętą szyję trzy razy, i który do samego pasa mu spadał, coś cudzoziemskiego w całym układzie oznaczały osobę znakomitą obcą; i ledwie obie kolebki zajechały na podwórze, młodzieniec ten wpadł zaraz w oko stojącemu w ganku Kochanowskiemu, ile że mu był całkiem nieznany, a twarz jego ściągła i blada, małemi tylko rumieńcami okraszona, żywe oczy czarne, czoło wysokie i przedczasem poorane, okazywały umysł bystry i pracujący.



Jeszcze też Rej podnieść się i wygramolić z głębi kolébki swojej nie podążył, lubo mu pomagali Górnicki i Bielski, kiedy po pierwszych słowach pozdrowienia wołał na głos śmiejąc się:

— Otóż, panie Wojski, kiedyście Apollinem być nie chcieli, i jedno wam stać na Chirona; przywozimy wam młodego Feba, prawie że z Nieba. Już on świat swoim geniuszem zadziwił i imię polskie daleko rozślawił, poeta uwieńczony, *Stanisław Niegoszewski*....

— A! — odrzekł z idoczną radością Kochanowski— ów młody mędrzec, któremu uczony *Aldo Manucci* równego na całej ziemi nie widzi; co dziwem był Wenecyi, gdzie właśnie tój zimy tak nadzwyczajne odbył posiedzenie: zaszczyt dla mnie rzetelny mieć go pod dachem moim.

I podał rękę wysiadającemu młodzieńcowi, który uściśnawszy ją z uszanowaniem, powiedział może z nieco udaną skromnością i w rzymskiej mowie:

— Trąby sławy często są omylne, zwłaszcza gdy odgłos idzie zdaleka; pragnąłbym jedynie Waszój Miłości kiedyś sprostać i żyć w pamięci ludzkiej tak długo, jak Jan Kochanowski.

— Jeno wróc do ojezyny, bracie, a pisz po polsku, i po polsku rozprawiaj; Włochy bez naszego rozumu się obejdą; łacina też już od Horacego dojrzała i wyrobiona.

Tak się odezwał najbliżej stojący młodzieńca, i sam jeszcze młody, a po prawdzie tych słów i po zaniedbanym ubiorze poznać było Klonowicza.

— Wejździeż do komnaty, panowie bracia — mówi gospodarz skończywszy powitania—niechże was przedstawię mojej Hannie i starszym córkom.

— To pani i paniątka w komnacie?—przerwał Rej— tam do licha, bracie:

Kiedy jęjmość w izbie bawi,  
Gość się czystą slinką dławi.

— A biédny Mikołajek—dodał głaszcząc się po brzuchu—już od dwóch godzin nic nie dostał. Bo Wasza Miłość, która mnie pierwszy raz w życiu widzisz, powiedział jeszcze wchodząc do komnaty, u drzwi której stała Kochanowska ze starszemi córkami, może nie wiesz, że stary Rej nie umie: jedno czapkę zdjąć, dobry dzień dać i o ja-dło pytać.

— Godziż się obmawiać samego siebie—odrzekła z uśmiechem gospodyni—w Żywocie człowieka poczciwego, innego Reja poznałam i takiego tylko znać pragnę.

A skłoniwszy mu się głową, witała innych gości w miarę, jak ich mąż mianował, wyrażając im po prostu ale uprzejmie szczerą radość że tyłu zacnych panów, naraz w domu swoim przyjąć może. Córki kłaniały się także, otwierając wielkie oczy i nastawiając pilne uszy, żeby i twarzy tyłu sławnych osób się nauczyć, i jednego słowa z owych mądrych ust nie utracić. Kochanowski tymczasem obnaszał się z flaszą anyżówki i ze srebrnym kubkiem, zachęcając do różnych przekąsek, które na stole na farfurkach leżały; a zapijając i zjadając smaczno powtarzał Rej:

— Przeglądzenie najwdzięczniejszy przysmak żołąd-kom naszym; wszystko mi się tu nektarem i ambrozyą być widzi.

— Bo i jest tak—wymówił dwornie Górnicki—czyż Bogiń nie ma?—dodał wskazując na matkę i na córki.

Rozmowa z początku na przysadny ton nastrojona szła dosyć kulawo, jak to zwykle na wstępie, kiedy wiele jest osób, a każdaby rada coś grzecznego i dowcipnego powiedzieć. Wysunęła się téż wkrótce gospodyni z córkami, po niedługiej chwili ukazała się już z jedną tylko Ewą; a z nadobuém przymileniem wzywając gości na skromny obiadek, podała rękę Rejowi. Pan Starosta podał swoją pannie Ewie, lubo już Niegoszewski ramię był wyciągnął w téj samėj chęci. Paprocki ze Strykowski zetknęli się biodrami

w progu i wtoczyli się razem; inni certowali się przed drzwiami, prócz Grochowskiego z Rybińskim, którzy czekając spokojnie na boku, poszli w ostatniej parze do izby, gdzie stało czterech pachołków w porządnój barwie: Janaczek z wielką gałęzią lipową do much oganiania, Szymek przy kredensie dla podawania mis i talerzy; Jurek zaś i Gąsiorek wraz z starym piwnicznym pilnowali napojów, surowy mając od pana przykaz, żeby broń Boże żaden kufel, żadna szklenica nigdy próżne nie były.

Umywszy ręce u fontanny taką koleją jak przyszli, i otarłszy je szacownemi ręcznikami, goście zasiedli do stołu bez drożenia się i wahania, gdyż gospodarz sam znać każdyemu miejsce. Rej tylko dopytywał się usilnie, gdzie misa? i tam chciał siedzieć, mówiąc:

„Zawdy ci więcéj jedzą,  
Którzy bliżéj misy siedzą.“

Ale mis jeszcze na stole nie było; kurzyły się w dwóch głębokich donicach z uszami, z pięknój gliny Ilżeckiej, korzenne i treściwe zupy; do wyboru rozdawane były dla każdego wielkimi chochłami cynowemi; lecz wszyscy za przykładem pana Mikołaja zjedli i barszcz rumiany zawiesisty i złotą polewkę.

— Barszcz ojciec, a polewka matka; mój żołądek dobry syn, oboje miłuje zarówno—tak się tłómaczył z tego apetytu.

Jeden przecież Niegoszewski poprzestał na samym rosale; ledwie pokosztował ciężkich mięs z pierwszego dania; a kiedy mu Ewa nałożyła, jak innym, talerz pieczeni z cebulą, zakręcił nosa, i wyjąwszy z zanadza jakąś flaszeczkę wachał ją nieznacznie: odstawił téż był na samym początku obiadu kufel tęgiego piwa, a prosił o jakie lekkie słodkie wino, albo o wodę.

To obejście się Kawalera Rzeczypospolitej Weneckiej w niesmak poszło panu Rejowi, który po dwa razy nabierał każdej potrawy, a za każdą wypróżniał kufel chmielowego soku, twierdząc iż to najlepszy sposób rychłego trawienia; mimo więc pełnych ust i mięsiwa i ogórków, przebaknął z przekąsem jakby sam do siebie:

„Włochy tém się chlubią że perfumy mają,  
A téż śmierdzieć nie mogą, bo cienko jadają;  
Od Polaka perfuma, pieczenia z cebulą,  
A potem konew piwa, aż się oczy stulą.“

Mimowolnie wszyscy głośnym śmiechem parsknęli na ten wierszyk trochę gruby ale niespodziany, a wyzwany młodzieniec dobrze się znalazł, bo chociaż pokraśniały mocniej okrągłe jego rumieńczyki, przecież rozśmiał się także i rzekł:

— Raccie mi folgować, panowie bracia; kilkonastoletni pobyt we Włoszech a może więcej jeszcze praca osłabiły moją naturę; żołądek zdudzoziemczał, ale serce zawsze polskie, wierzajcie. Zresztą możebym zwolna wrócił do dawnego, lecz teraz nieszczęsne losy chciały, aby wysiadłego z pocztowego woza panów Montelupich, skołatanego długą drogą z Wenecyi do Krakowa, synowiec pana Pszonki zdybał w Krakowie i natychmiast porwał do Babina, gdzie mi przez cały dzień wczorajszy gwałtem jeść, pić i śmiać się kazano, a jam był chory i tęskny. Podobny ów tryb rzeczy pogorszył jeszcze mój stan, i zupełnie nie swój, wcale nie taki, jakimbym tu rad się pokazał, jakim zwykle jestem.

— Ale téż Wasza Miłość tą kordyaką i niesmakiem zasłużyłeś sobie na urząd *Wesolka* i *Żartoka* Rzeczypospolitej Babińskiej—przemówił ze śmiechem Paprocki—rządza nierównie godność, niżeli szlachcica i kawalera Rzeczypospolitej Weneckiej, bo jedyna.



— I od téj nominacyi jestem tęskliwszy i mniej jeść mogę niż przedtem, jakby na potwierdzenie słuszności mego patentu.

To mówiąc dobył z kieszeni zwój pergaminu z pieczęciami i podpisami, pokazując go Kochanowskiéj i Ewie.

— Przyjmij ofiary Kanclerza, panie Stanisławie—przemówił prawie ojcowskiém uczuciem Joachim Bielski—zostań z nami, a inne patenta i dyploma będziemy wnet widzieli w twoim ręku. Akademia Krakowska niebawem uczciłaby cię katedrą, a Król zaszczytami.

Na te słowa młodzieniec szukał odpowiedzi ale mu nie szła; Kochanowski widząc to zwrócił rozmowę na tor dawny i zapytał:

— Długożeście bawili w Babinie, panowie bracia, i bawiliżeście się dobrze?

— Niechcący zjechałiśmy się jak nas tu widzicie w przeciągu trzech dni—odpowiedział Górnicki, i pan Pszonka nazwał ten nasz zjazd Sejmem.

— Mnie już zastali—odezwał się Klonowicz—wiecie, panie Wojski, że ja, jako blizki sąsiad dobiegam tam ile razy mogę, uciekając od urzędu i od żony...

— Chcieliśmy téż gwałtem—przerwał Rej, który wypoczywał nieco, gdyż właśnie po zdjęciu pierwszego obrusa pachołki drugie danie zastawiali—chcieliśmy wydać przywileje Babińskie panom Klonowiczowi i Paprockiemu i dozwolić jednemu dobrać sobie drugą żonę do żyjącej, a drugiemu wziąć aż trzy na raz; ale uciekali od płci białej jak dyabeł od święconej wody. Dała im się snadź we znaki. Pan Bartosz zwłaszcza z takim zapałem powstawał przeciw małżeństwu, i bluźnił temu Boskiemu wynalazkowi, iż ja sam go podałem na *Dziwostęba* Rzeczypospolitéj Babińskiej; co pan Sebastyan, ten został zausznikiem wysokich dygnitarzy, i pierwszym myśliwym Rzeczypospolitéj.

— Przecież nie tak już gładko idzie w Babinie—prze-

mówił jeszcze Górnicki—lubo zawdy tego jedzą i piją, jak szło za nieboszczyka pana Sędziego. Kiedy stary Pszonka przewodził i był Starostą, a uczony Piotr Kaszowski kanclerzem, wtedy jaśniały złote czasy Babina, i już podobno się nigdy nie wróca.

— Snadniej to przekazać następcy wioskę i piwnicę, niż dowcip i wesołość—zawyrokował Klonowicz.

— Może się nam i tak wydaje, panie Łukaszu—powiedział Kochanowski—młodość wszystko krasi barwą swoją; wschodzące to słońce: przy jego promieniach czarne skały rumiane się widzą. Jakieżście tam jeszcze urzęda rozdali, i kto trzymał protokół na tym waszym sejmie?

— Ja—odpowiedział Strykowski—znacie co mnie łatwiej pisać niż mó-ó-ó-wić.

— A co się tyczy urzędów i godności—dokończył Paprocki—udało się nie najgorzej je porozdawać: panu Rejowi do dawnych zaszczytów dodaliśmy urząd *Postha* czyli *Suchotnika*; pana Joachima, który od wszelkiej czci się bronił, pan Starosta przezwał *Chamem*. I ksiądz kanonik z kwitkiem nie odjechał, ma patent.

— Ksiądz Kanonik—przerwał Strykowski—sam prosił o urząd *ora-a-a*—i minęło kilka sekund nim mu z ust wypadło leniwe—*tora*.

— I dowodzisz nam czarno na białém, bratku—powiedział tymczasem Klonowicz—iż nie żadną intrygą stał się ten wybór znajdujących się na rzeczy Babińczyków.

— A mójże Szymon kochany—zapytał gospodarz leżąc się żeby z tych żartów do grubych przycinków nie przyszło—cóż przecie dostał.

— Jako młodzieniaszka przepomniano go na ten raz—odrzekł Rej oblizujący właśnie palce w téj chwili po chrupiącém uszku prosięcia,—ale co tych dwóch panów—dodał wskazując na Rybińskiego i na Grochowskiego, — którzy tam tyle

mówili co i tu mówią, ja sam podałem na *Gadulów* babin-skich, i przeszło bez oporu.

— Trzeba przecie, żeby ktoś słuchał kiedy inni rozprawiają—rzekł na swoją obronę Rybiński.

— I na świecie i w klasztorze przy starszych młodszy mileczą—przytoczył skromnie Grochowski.

— Panowie wracają ztąd do Babina? — zapytała gospodyni.

— Wracamy dziś jeszcze na całą noc, jakeśmy to w liście naszym powiedzieli—odrzekł Bielski—musimy odwieźć panu Pszonce jego kolebki; u niego téż zostały jakby w zastawie nasze konie i powózki, któremi każdy ruszy jutro wieczorem do domu; Wasza Miłość wiesz najlepiej, że kiedy luba żona i miłe dziatki czekają z utęsknieniem, trzeba wracać.

— Ja jutro skoro świt pośpieszę do Krakowa—dodał Niegoszewski, mam tam niektóre sprawy, a czas mego bawienia się w Ojczyźnie krótki. Muszę się stawić w końcu jesieni w Wenecyi, na drugi publiczny popis, który spodziewam się lepszy będzie od pierwszego.

— Chciejże nam Wasza Miłość powtórzyć—odezwał się Górnicki—z czego to był złożony on pierwszy; jako mieszkańca wsi wieść o nim niedokładna mnie doszła.

— Długoby o tém mówić — odpowiedział Kawaler—lecz dosyć będzie powiedzieć, że mając z przyrodzenia i z pracy łatwość wielką do tworzenia wierszów każdego rodzaju, przytem ogromną pamięć jak nikt podobno na całej ziemi, bom gotów tysiąc wierszy przeczytać i spamiętać, ogłosiłem na kilka miesięcy naprzód: „jako w dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, roku bieżącego, w kościele św. Jana i Pawła zacznę dowodzić wszelkie teologiczne twierdzenia i całą Arystotelesa naukę; na zarzuty zaś jakieby mi kto czynił, odpowiem wierszem, heksametrem i pentame-

trem; równie jak na bądź jakie w przedniejszych naukach zadanie lub zapytanie.“ Zbiegło się ludzi uczonych i ciekawych pełno; dotrzymałem obietnicy, rozprawa trwała całe dwa tygodnie; wszyscy się pomęczyli prócz mnie jednego: byłem okryty pochwałami i zaszczytami; a chciałbym drugim razem zebrać ich jeszcze więcej, przeto wcześniej spობić się muszę.

— Zdziwiająca rzecz prawdziwie—przemówił Kochanowski—tego rodzaju sławy nam dotąd niedostawało.

— Nie będzie ona jednak zupełna, póki podobnego ogłoszenia na rynku Krakowskim nie otrąbią—dowiedział Bielski, i do kościoła Panny Maryi na polski popis nas nie wezmą.

— Bezwątpienia Polak winien siebie polskim rzeczom poświęcić—uchwyił Paprocki wyglądający z dawna podobnej sposobności; bierz ze mnie przykład, panie Kawalerze. Oto niesłychaną pracą i wielkim nakładem napisałem dzieło, które ściągnie na mnie chmurę nieprzyjaciół; ale póki stanie szlachty w Polsce, to jest zapewne do skończenia świata, póty o Bartoszu Paprockim wspominać będą. To mówiąc dobył z kieszeni księgę w czwórce, kosztownie oprawną. Jeszcze prawie wilgotna, przed kilkoma dniami wyjęta z pod pras Garwolczyka; godny przypis do Miłościwego Pana złożyłem nie dawniej jak szóstego bieżącego miesiąca; długom się wahał czy jego, czy swój umieścić konterfekt, ale rytownik niecnota nie wygotował Bartosza, musiałem na Batorym poprzestać. Jak się wam widzi? podobnyż?

Kochanowski wyciągnął rękę po otwartą księgę i rzekł spojrzawszy na wizerunek królewski:

— Wcale podobny; jego brwi w łuk podniesione, jego wąs, broda przystrzyżona, czupryna niewielka; nos może ma nieco więcej zadarty, a tuszę mniej okazałą; ubiór, taki w jakim go widziałem raz ostatni; bekesia z sobolem, żupan z złotogłowi, guzy jakby konchy kamieniami nasadzane, czapka nizka z piórkiem kapłoniem; jedna ręka



w kieszeni, jak ma zwyczaj; ależ ducha gdzie szukać? owe-  
go mądrego a przenikliwego spojrzenia, owój bohaterskiej  
postawy: włoskiegoby pędzła na to potrzeba... Lecz zapo-  
minam patrzeć tytułu waszego dzieła: *Herby rycerstwa Pol-  
skiego*: dziękujemy wam, Panie Bracie.

— Podziękujecie spodziewam się jeszcze lepiej—odpo-  
wiedział pawiąc się autor—obaczcie jedno stronnicę 556.

— Domyślam się — wyrzekł Kochanowski spoglądając  
ukradkiem na żonę i zamykając księgę. Wszak już są raki  
na stole, Wasza Miłość chcesz, abym i ja stary raki piekł?

— To ja przeczytam—wniósł Górnicki biorąc księgę—  
wiem naprzód co tam nie nadto nie będzie: „*Herb Korwin,  
ptak z pierścieniem*. O klejnocie *Korwin*, który zkał a jako  
dawno do Polski przeniesion, o temeś już czytał pod Śle-  
powronem, co za przodkowie tój familii jakiej zacności by-  
wali. Tu w Polsce jakiej zacności, jakiego zawołania, ja-  
kiej ozdoby dom Kochanowskich, samego Jana imie daleko  
o tём znać dawa; z greckimi, z łacińskimi poety, które on  
wiek stary za najprzedniejsze liczył, porównał; w naszym  
polskim języku przed nim nigdy, a po nim trudno będzie  
o takiego, coby z nim porównać się miał.“

— A ja dodam jeszcze coś więcej do tój pochwały—  
przemówił Paprocki—wiersze które złożyłem w tój chwili:

Jan Kochanowski w Czarnolesie,  
Wsi ojczystej mieszkając, takim wierszem śpiewa,  
Jakiego i Helikon podobno nie miewa;  
A snaćby mieli mówić po polsku bogowie,  
Jużciby z Kochanowskim przestali na mowie.

— Dodyś, dosyć — wołał Jan zasłaniając sobie twarz  
talerzem, z którego właśnie zmiotł był dobrą porcyą ulu-  
bionej sobie potrawy—co tam chwalić czcze wiersze; oto le-  
piej jédzcie a chwalcie Sandomirskie flaki.

— Kapusta i flaki, dobry obiad taki — powiedział Rej  
podsuwając powtórnie swój talerz Kochanowskiój—smaczna

potrawa mnie zawsze do powtórzenia wzywa. Ależ pani Wojska—dodał—u was widzę nie obiadek jakieście mówili prowadząc nas tu, jeno całą gębą *obiad*; każdy wstawszy, jeżeli wstać podola, będzie mógł śmiało powiedzieć że się *objadł*.

— Wasza Miłość—odpowiedziała ze śmiechem gospodyni—zaraz by z bicza, z jednego słowa dwa uczynić umieć.

— Bo jeno uważcie, moi mili—mówił dalej Rej—który mając już słuch nieco przytępiony niezupełnie słyszał co na drugim końcu stołu mówiono—uważcie wielki rozum naszych przodków w układzie języka, na którym my szaleńcy długo się nie znali, jaka to trafność w nazwaniu codziennego a rozmaitego jadła: *śniadanie* kiedy się ję, na dworze jeszcze *śniado*; *obiad*, już wyłożyłem; *podwieczorek*, *wieczerza* dosyć nazwać żeby wytłómaczyć; *podkurek* zaś, wielki mój przyjaciel, danym być powinien do łóżka o północy na zapianie kurka.

— Wy jednak pierwsi, panie Reju — odezwał się tu Górnicki—dopatrzyliście owych szczególności; wy pierwsi z Polską mową tak igracie.

— *Taki gracie!* pięknie, panie Starosto, wymyślać staremu; a pamiętajno Wasza Miłość coście i wy nie dzisiaj. A kto to mnie już blisko przed dwudziestą laty w jakowymś Dworzaninie o podobne rzeczy obmawiał? Zresztą może tam z młodu był kęs dowcipu w tój głowie, ale co dziś są nierównie lepsi odemnie, którym igraszka słów wypada z ust jak kamień z procy, z którymi ani się dogadasz. Naprzykład *Vere nobilis*, pan Smolik, młody jeszcze a już kuty w konceptach. Wiecie co powiedział tój zimy? Oto idącemu ulicą w Krakowie zaszedł drogę żebrak, i mówi do niego: „Proszę Waszój Miłości na chleb.“ A on mu na to: „Jédz bracie sam, ja wolę iść do księdza Biskupa, który mnie prosił na zraz pieczeni.“—On także kiedy go się niedawno pytano jak sobie uważa świętych, odpowiedział:— „U mnie najlepszy To-masz, a najgorszy Ja-dam.“

— Wybornie, udało się — mówili obecni śmiejąc się. Niech żyje Smolik i Rej!

-- Lepszego pono od nas obudwóch spotkałem niedawno, zwłaszcza w sztuce odpowiadania na to, czego mu nie mówiono—prawił dalej rozchocony staruszek—a to prostego chłopca; kiedy zaś mówię prosty, nie to się ma znaczyć co nie krzywy, ale że zgoła gbur. Kasztelan Międzyrzecki jechał téj wiosny na zaloty, i mnie obrał sobie towarzyszem. Przyjechawszy rano do Łęk, pięknej wsi pod Krośnem, pytam się chłopca, bo lubię z nimi rozmawiać:

„A kto tę wieś trzyma?“

„Ziemia a płoty“ odpowiada mi.

„A któż tu panem?“

„Ten co ma najwięcej pieniędzy.“

„A któż tu starszym?“

„Jest tu baba co jój już przeszło sto lat.“

„A któż tu najwyższym?“

„Lipa nad kościołem, co ją oto widać.“

Zmiarkowawszy co już o wieś się nie dopytam, chciałem się dowiedzieć jaka pora: „Dalekoż południe?“ mówię mu.

„Nie szło tędy, miły panie, nie wiem jak daleko może być.“

Rozgniewany taką przebiegłością krzyczę na niego: „Ej! widzi mi się, chłopie, weźmiesz w gębę.“

„Nie wezmę, panie, bom nie pies; wolę w rękę jako człowiek.“

I to mówiąc nadstawia łapę; i dalibóg dałem mu złoty, bo mnie rozumu nauczył.

Teraz znowu będąc w Żarkach pytam gospodyni: „Bije tu zegar?“

„Zegar niéma, odpowie, ale pan tego bije.“

— Nasz lud ma swój własny, nienauczony, lecz wielki

rozum—przemówił Górnicki gdy ustały śmiechy, temi conceptami wzbudzone.

— Tak, zwłaszcza kmiecie i pasterze pana Szymona,— rzekł Klonowicz.

— Temu nie zaprzeczam—mówił dalej pan Starosta,— właśnie bawiąc teraz pare tygodni w Krakowie, uczęszczałem oczywiście do Kanclerza, i pan Szymon w gronie uczonych, które zawsze tego wielkiego męża otacza, mówił nam najnowszą swoją Sielankę: *Zalotnicy*. Niech się schowa Teokryt i Wirgili.

— Czyby jój też usłyszeć nie można?—Ozwała się zgodna a nalegająca prośba z ust wszystkich, nawet z niewieścich.

— Całej nie pamiętam i byłaby zbyt długa — rzekł z przyzwoitą skromnością młody poeta—ale kiedy taka łaskawa wola wasza, powiem drugą połowę; pani Wojskiój i pannie Ewie podoba się lepiej: w pierwszej Mopsus opiewał zaloty Amintasa do pięknej lecz leniwój i ospałój Nery, w téj Licydowe do mniej urodziwój ale dobrój gospodyni Likory:

„Wtenczas Likorys krowy w dojniku doiła,  
Licydas sieczkę rzezał. „Zawsześ mnie żywiła  
Ręko moja: kto Bogu dufa a pracuje,  
Do ostatniój starości nędzy nie uczuje.“

Dziś sieczkę rzezesz, sieczka nie rzeże się sama,  
Likorys, przy téj ręce będzie dobrze nama.

Ręko moja, kto Bogu dufa a pracuje,  
Do ostatniój starości nędzy nie uczuje.

Panem się nikt nie rodzi; siła zostawiają

Dzieciom rodzice, siła dzieci utracają.

Praca skarb najpewniejszy, kto się spuści na nie

I za żywota ma chleb i po nim zostanie,

I ty Likory u mnie nie będziesz zebra ła

Nie będziesz, gdy nie będziesz ze mną próżnowała.

Ręko moja. . .



Widziałem cię u tańca, i tak mi się zdało,  
Iżeć tamto igrzysko najmniej nie przystało;  
Lubo cię w płasy wzięto, lub do gonionego,  
Trudno ciągnąć, kto niema umysłu do czego:  
Piękniej ci u roboty, w tejes przodek miała,  
U robotys mi naprzód do serca przystała.

Ręko moja. . .

Pomnisz? kiedyśmy byli pospołu na żniwie,  
Pszenicę wtenczas żęto na siedzianej niwie,  
Zagon twój był wedle mnie; tak ci tam służyło  
Szczęście, że sierpa w ręku ledwie dojrzeć było.  
Jeszcześ nam przyspiewała; przyznać ci się muszę,  
Chcąc się tobie przeciwieć, siliłem się z dusze  
I mówiłem do siebie: Boże! jeżeli zdarzysz,  
Niech taki zawsze robi wedle mnie towarzysz.

Ręko moja. . .

Widziałem, pod kądzielą kiedyś siadywała,  
Samać się do wrzeczona nić z palca puszczała,  
Jedwab nie będzie taki; u ciebie i spanie  
Najpóźniejsze, u ciebie i najrańsze wstanie;  
Tobie czeladź nakarmić, tobie pochędożyć,  
Wszystko w domu i wszystko na miejscu położyć;  
Ława zawsze chędogo, pomyte naczynie;  
Mówiłem: komu cię Bóg da, z tobą nie zginie.

Ręko moja. . .

Jeżliś mi przyjacielem, podobno nie zgadnę;  
Gdys chusty polewała onegda czeladne,  
Były też tam i moje, a iż w ręce były  
Przyjaznej, przed inszemi jawnie to świadczyły,  
Biało mię sobie nosisz, noś mię sobie biało,  
Równemu z równym zawsze na świecie przystało.  
Chędogo choć ubogo; bodaj się święciły  
Ręce tve zakasane, bodaj memi były!

Ręko moja. . .

Dworniczko! ty się teraz przesybiasz w południe,  
Likorys krowy doi; nie bardzo to cudnie  
Spać we dnie gospodyni; jeszcze się nie dała

Znać czeladka; snąć żeś jój mało doglądała.  
 Teraz masz wierną, potém nie wiem jaka będzie.  
 Jakobys sama siadła, gdzie Likorys siedzie:  
 I kropla tam nie zginie, i nie zadojone  
 Cieleęta, i mléka s 4skopce napełnione.  
 Ręko moja. . .

Koso, palec to; czyli kto zaloty stroi,  
 Abo się zamyśliwa, a przy kosie stoi;  
 Przędź w palec zawadzi? O! moja Likory,  
 Wiesz ty, jakom cierpliwy i jakom nie skory.  
 Róbwa już raczěj na się; służba nie na wieki:  
 Niech ja twój pewien będę, ty mojej opieki.  
 Ręka rękę umywa, noga wspiera nogi,  
 Przy wiernym przyjacielu żaden nie ubogi.  
 Więcej Bóg ma niż rozdał; jest nasza u Niego  
 Częstka też: nie opuszcza On człeka żadnego.  
 A kto w zakonie Jego prowadzi swe życie,  
 Wszystko się zdarza, wszystko płynie tam obficie.  
 Dufajmy Mu, a On nam niechaj błogosławi.  
 I kiedyż ten dzień będzie gdy nas obu stawi  
 Przed ołtarzem? uspokój, proszę, myśli moje,  
 Wszakęś i ty człowiekiem; uspokój i swoje.  
 Tak śpiewał a już ścieszki wielka kupa była,  
 I Likorys namysłnie u krów się bawiła.“

Gdy skończył i powszechnie zabrzmiały pochwały  
 gładkości wiersza, naturalności obrazu, czystej moralności  
 każdego zdania, a zwłaszcza zwrotki, Ewa powiedziała ci-  
 cho do matki:

— O! gdyby to można uprosić tę śliczną sielankę u pa-  
 na Szymonowicza; [nasz pan Łukasz-by przepisał, a jabym  
 się nauczyła dla pana Filipa.

— Wartałoby cohy każdy z was, panowie bracia  
 w Apolinie—rzekł gospodarz już nieco podchmielony i nie  
 słysząc wcale słów córki—podobnie nas uraczyć chciał jak  
 zacyjny pan Szymon; jużesmy się piwa, miodu i lekkiego wi-  
 na opili; czas się zbliża na lepsze, na alikanty, małmazye;

na starego ojcowskiego węgrzyna; muzyka brzmi za oknem i do pieśni wzywa; trzecie danie na stole, pieczone i trawy: jedzmy co żywo; skoro zdejmą trzeci obrus i słodycze nam postawią, pora będzie najlepsza. Daléj Biernas, do-  
bywaj pleśnią okryte butelki; nagotujcie kolejne puhary. A niech tu Nastka—rzekł obracając się do pacholka—przy-  
prowadzi naszą Safo, dziedziczkę mojej lutni.

— Orszulkę! Orszulkę! ową nieporównaną dziecinę!—  
ozwali się ci wszyscy co już w Czarnolesie bywali i znali ją. Zaprawdę, godzi się nam pokazać to utajone bóstwo.

I wpuściła stara piastunka śliczną dziecinę, która już oddawna stojąc podedrzwiami, prosiła się do uczonych gości. Prosto z otwartymi rączynkami do szyi ojca pobiegła, a gdy ją postawił na swoich kolanach, wszystkim obecnym wdzięczne oddawała ukłony, przykładając różane swoje paluszki do ust koralowych, i tym którzy jój znani byli posyłała głośnie i lube pocałowania.

— Żywy anioł z nieba—mówił Rybiński z Grochowskim. Istna cuj Wenery dziecina—powtarzali drudzy z Szymonowiczem.

— Słuchaj—powiedział do niej ojciec, gdy już trochę z pochwałami ucichli—ci panowie umieją składać wiersze, tak jak i ty składać zaczynasz; może który z nich powie nam co swego, może i ja co powiem, pomyśl i ty i powiesz nam także.

— Zgoda—odpowiedziała głaszcząc ojca po wąsach—jedno, pozwólcie niech pierwej trochę posłucham i napatrzę się.

I to mówiąc oczy jój ściagały różne ciasta i przysmaki, które pacholki znosili na farfurach i cynowych półmiskach i ustawiali już na ostatnim obrusie. Matka to spostrzegłszy dała jój kawałek piżmowanego ciasta, i ciało dziecica jadło, a duch widać było że uważa i myśli.

— Któż zacznie?—spytał Kochanowski nalewając szacowny puhar sędziwym węgrzynem.

— O! już wybaczycie, panie Janie, nie wszyscy mówić będziemy—przerwał Górnicki—ja zupełnie się wymawiam; minęły już owe czasy, kiedy składałem rymy, kiedy to Wasza Miłość zwałęś lutnię moją Orfeową. Jeno w Babinie mogłem podpisać się poetą.

— I ja toż samo—odezwał się Bielski—moje wiersze w kole niewiastby uszły, ale nie w tém Muz siedlisku.

— Będzie mówił kto zechce, i komu co ślina do ust przyniesie — oświadczył gospodarz—przymusu żadnego: wolność i swoboda bez granic. Puchar obejdzie kolęj; dawniej częstokroć na dnie znajdowało się natchnienie, może tak i dziś będzie. Po starszemu na gałąź! Panie Mikołaju, wam wino i piosnka:

— Wiecie co ja nie poeta, jedno wierszokleta—odrzek Rej, kładąc z pokorą lewą rękę na piersiach; a prawą wyciągając po kielich.

Jam prosty Polak, nigdzie nie jeżdżając,  
Tum się paść na dziedzinie jako w lecie zając;  
Z granice Polskiej miłej nigdzie nie wyjechał,  
A z młodu bardzom długo nauki zaniechał.“\*)

— Otóż i mamy wierszyk!—zawołał Kochanowski wesoło. Z Waszą Miłością sprawa nie trudna; spełnijcie puchar do kogo wola wasza: już z popisu kwitujemy.

Rej równie do wiersza jak do napoju ochoczy, spełnił duszkiem złote naczynie, i zawołał na Klonowicza:

W ręce wasze panie Sebastyanie,  
Wiersze u nas latoś bardzo tanie;  
Powiesz byle co: ita, fita, mita,  
I juści kwita.

---

\*) Ostatni ten wiersz inaczej jest wydrukowany w dziełach Reja, znać zmienił go do okoliczności.



— Tém ci lepiej—przebaknął Klonowicz, i wysączył wino z puharu co do ostatniej kropli—ale choćbym chciał z czém wystąpić, bądź ladajakiém, nie wiem zgoła czy potrafię—dodał powłócząc oczami i głosem zmienionym a roz-wlekłym.

Trunek kto zbyt pije, rozum w nim wygasza;  
A kto bardzo dolewa—i duszę wystrasza.

— Dajcież sobie święty pokój z podobnie zdroźnemi prawidłami—okrzyknął się Kochanowski—komu głowa bardzo cięży, dalej go pod kurek oblać zimną wodą.

I dał znak dobrze znany Szymkowi i Jurkowi, którzy wzięwszy Klonowicza pod ramiona, zaprowadzili go do fontanny; nie wzgardził ową ablucyą, a kiedy tego zmaczany otrząsł się jak dziki źrebiec w kniei, i usiadł znowu do stołu żwawy i przytomny, kurzyło się z czarnej czupryny jak z kotła wrzącej wody.

— Ja tam—przemówił Kochanowski odpowiadając na dwuwiersz Klonowicza—wcale inaczej trzymam o trunku, i większy mam dla niego szacunek:

Jam nie dbał nigdy o złoto,  
Alem tylko prosił o to;  
Aby kufel stał przedemną,  
A przyjaciel pijał ze mną;  
A tymczasem robotnicy  
Pieczę mieli o piwnicy.  
To wszystko moje staranie,  
To skarb, złoto i zebranie.  
Ani dbam o Kasztelana  
Trzymając się mocno dzbana.“

— Oto wierszyk gładki i uczony, choć pracy nie wi- dać—wyrzekł półgłosem Rybiński—prawdziwy mistrz nasz pan Wojski.

— I chciano żeby przy tym stole my młodzi się odzywali—dopowiedział Grochowski.

— Panu Kochanowskiemu snadniej niżli wielu innym, ofiary składać Muzom—rzekł tu Klonowicz—ma pokój w domu, i na własnym zagonie siedzi; ale zrób co przy uciążliwym urzędzie i przy złej żonie: dalipan, lepiejby sobie kamień młyński u szyi uwiązać i cisnąć się w wodę. Nieraz w mojej ubogiej komórce szukam wypoczynku, natchnienia, a tu wbiega żona zapłomieniona, siada mi na karku żebym jój dał pieniędzy na stroje, na wino. Ledwie jój się ciężkim kosztem pozbędę, i do pióra wracam z rozkoszą, wpadają pacholankowie miejscy wołając: „Sądz sprawę, wyznacz gospodę, wyszukaj konia dla sługi pana Wojewody co z listem do pana Starosty jedzie.“ Przyjdzie z nędzy i z rozpaczy skończyć gdzie życie w szpitalu, a dalibóg, gdyby człowiek miał swobodę, pisałby i tworzył jako tako.

Ja kiedy się nad prosty gmin ku Niebu, na chwilę,

Do Febusa wychylę,

Wnet frasunek zazdrościwy jakiś wróg przytoczy,

Który mnie zaś w gmin wtłoczy.

Trzeba bowiem animuszu niezamarszczonego

Do wiersza uczonego.

Kiedyby się nad rzeczka mogła włódka dostać,

Mogłoby się co sprostac.

— Piszecie wy i tak pięknie a niepospolicie—powiedział Górnicki—jeno zaczniacie podawać do druku dzieła wasze; niech je świat pozna.

— Jeszcze nie tak rychło—odrzekł Klonowicz—ja lubię z niemi się pieścić samotnie, odczytywać, poprawiać, przepisywać, czytać temu kto mi się podoba; póki w tece, póki pisane, póty moje; a to mój skarb jedyny: Muzy całą moją pociechą.

— A któż z śmiertelnych, któremu wyższego ducha

dali bogowie znajdzie ją gdzieindziej? czyżby u ludzi szukać jakiej osłody? jeden cię nie oceni, drugi oczerni, trzeci okradnie.

Te dumne a gorzkie słowa wymówił długo milczący Strykowski, wymówił je zupełnie gładko, język jego bowiem miał tę własność że go wino rozwięzywało.

— Ja od dzieciństwa—ciągnął dalej,—z księgami żyłem, w nich się kochałem:

Małom darów Cerery—mogąc słusznie—użył,  
 Bom cnocie, sławie wiecznej, nie brzuchowi służył;  
 Częstośm obiad przerywał usilnym czytaniem,  
 I rozmaitych rzeczy w mózgu rozmyślaniem;  
 Częstośm łyżkę porzucił a jak w zachwyceniu  
 Wziąwszy pióro, strawiłem wieczerzę w ćwiczeniu.

— Szczęście przynajmniej, co Wasza Miłość dziś ni łyżki ni szklenicy nie rzucił—przebąknął z lekką urazą Rej, który skoro była o brzuchu mowa, zawsze to brał za przymówkę do siebie.

— Ja się też bynajmniej nie zapieram—odpowiedział Strykowski żywo—iż z Bachusem potykam się często i chętnie; w rocie Sylena rzadko bywam, a ilekroć mnie płomień Cypryjskiej pani chcą ogarnąć, helikońskimi zdrojami je gaszę.

Tu Kochanowska spojrzała nieznacznie na męża pytając go oczyma, czy jużby nie wypadało jój i córce wstać od stołu? ale on trząsnął głową. Orszulka jeszcze z niczem się nie popisała; nie dojadłszy pachnącego ciasta oparła czoło na ramieniu ojca, patrzyła błędnie, i prawie było widać myśli snujące się na tém czole.

— Słowiczku mój, odezwijże się nam—powiedział Kochanowski całując ją w głowę—cóż dziś tak długo usta twoje zamknięte? nigdy tego nie bywało.

A ona odpowiedziała poważnie:

Myszę, Ojczy.—Gości wiele,  
Zda się kwitnie nam wesele;  
A tu może już gdzie z boku,  
Łza jest w sercu, łza jest w oku.  
Kto wie czy za tą pogodą,  
Chmur czarnych wiatry nie wiodą.  
Jedna jest błoga kraina,  
Gdzie trosk niema ni goryczy;  
Tam tonie każda godzina,  
W źródle szczęścia i słodyczy;  
I znowu wypływa  
Słodka i szczęśliwa,  
Tam słońce wieczyste świeci  
Dla ludzkich dzieci;  
Bo wszelka człowiecza twoga  
Ginie u Boga.

Zdumieli się wszyscy zacząwszy od ojca, może nie tyle nad wierszykiem, gdyż wiedzieli że dziewczę rymuje z taką łatwością jak ptaszki śpiewają, ile nad duchem wierszyka; lecz nikomu, nawet ojcu nie przyszedł w porę, nie przypadł do smaku. Kochanowski w którym przy wesołej biesiadzie odzywała się światowa żyłka i nałogi swawolnej nieco młodości, nie rad smutnym myślom, témbardziej że mu zaraz stawał przed oczami oddalony przyjaciel; powstał żwawo, oddał Orszulkę matce, a już nie źle podpiły, porwał pełny puchar, kazał pootwierać wszystkie okna, muzyce grać huczno i wesoło, i jakby na kiel biorąc, tak się z Anakreonem odezwał:

Skoro w rękę wezmę czaszę,  
Wnet ze łba troski wystraszę;  
Więc iż mniemam że mam wiele  
Ztąd mi łączno o wesele.  
Wieniec musi być na głowie,  
A fraszka wszyscy Panowie.



Kto się chce bić—obuj zbroję;  
Ja przy kuflu przed się stoję;  
Bo tak mniemam iż upitym  
Lepiej leżeć niż zabitym.

Skoro taką nutę podał gospodarz, natychmiast Rej, Klonowicz, Górnicki, Paprocki, Strykowski, wszyscy zgola całym gardłem wtórować mu zaczęli; przemówił Rybiński z Grochowskim, bo któż przy dobrém winie w gronie wesółych przyjaciół nie rozochoci się; przysła i łacina na stół; rozruchał się i kawaler Niegoszewski, któremu lekkie napozór bo słodkie wino, także w głowie zaczmyczyło. Zaczęły się snuć concepta, żarty, dwuznaczne uciniki bardzo dowcipne i śmieszne; nie jeden z nich mógłby zająć przyzwoite miejsce między owemi *fraszkami*, których zacny Bohomolec nie wydrukował; ale skoro podobny tok rozmowa przybrała, a wina coraz natarczywiej wołano i dolewano, Kochanowska z Ewą i z Orszulką wyszła z izby. Nie zdziwi to zapewne ani rozgniewa nikogo, że i ja pójdę za jej przykładem.

## ROZDZIAŁ XXII.

Błądziłem gdym trosk nie znał, dziś lepszy karany.

*Psalm CXVII.*

Ostatni to był dzień wesoły dla Kochanowskiego. Nić złota którą usłużne Parki przędły dla niego od lat tylu, jakby zczerniała nagle w ich ręku, wróżąc zapewne rychłe całego wątku wysnucie; albo raczej chrześciańskich używając wyrażen: Opatrzność chciała téj pięknej ale jeszcze do świata lgnącej duszy nadać hart najzbawienniejszy, hart nieszczęścia, by doskonalszą i oczyszczoną powołać do siebie. Widzimy nieraz dotąd podobne przykłady. Człowiekowi zacnemu wszystko dobrze się powodzi; ma szacunek u ludzi; on w sobie, drudzy między sobą mówią: „Słusznie że tak jest, tak się należy, tak być powinno do końca.“ Tymczasem niespodzianie gdyby nawałnica spływa na tego człowieka niedola: jak w wysokie i nad inne wybiegłe drzewo grom po gromie uderza, i wnet pada wśród przerażenia całej okolicy, może sam jeden przygotowany do tego ciosu, i wzbudza w znajomych sobie tę zbawienną trwogę: „Kiedy jemu tak, cóż mnie?“

W kilka godzin po rozjechaniu się uczonych i podochoconych gości, po odmówieniu spólnych pacierzy, na ten

raz bez gospodarza, gdyż rzuciwszy się na łóżko tak jak był ubrany zasnął, jeszcze przed zachodem słońca; Kochanowska gdy się już wszyscy położyli i usnęli, wstała około północy i zaczęła według swego codziennego zwyczaju śpiącą dziatwę oglądać, patrzeć czy której czego nie brakuje, czy dobrze i przystojnie leży? Otulając Orszulkę która wszystko z siebie zrzuciła, dostrzegła w jej główce i rączkach wielkiego gorąca, i strwożyła się bardzo, jak zwyczajnie matka. Już nie wróciła do swego łóżka, nie położyła się, tylko zarzuciwszy biały mentlik, to stała po całym kwadransie nad kołyską córki, a zasłaniając świecą ręką, wpatrywała się w nią, to znowu chodziła niepewnym krokiem po sypialnej izbie; i koła coraz wzmagającą się niespokojność mówiąc sobie:

— Ej! próżno się turbuję, jeszcze sobie zaszkodzić mogę... ona dziś tyle osób widziała, tyle słyszała rzeczy, sama u stołu na taki poważny wierszyk się zdobyła, jadła więcej niż codziennie, ciasta, słodczy, pokarmów niezdrowych, podobno i wina dał jej ojciec: niema nic dziwnego, nic strasznego w tej gorączce. Już jej tak nieraz bywało: ona nieważko często główkę rozpaloną. Oto niedawno po odwiedzinach Kanclerza, pamiętam, takżem się wylękała; całej nocy nie zmrużyłam oka, a ona Bogu dzięki wstała naza jutrz zdrowa i wesoła. Będzie tak i jutro, da Bóg. Muszę jednak prosić męża, żeby przez czas jakiś nie zachęcał jej do rymowania, do śpiewania; żeby się niepopisywał z nią przed nikim, żeby nawet psalmów swoich przed nią nie powtarzał. Muszę i Nastce przykazać żeby jej nie usypiała dumkami; innym dziewczętom naszym to nie szkodziło, ale ona wszelką mądrość jakby piła, jakby brała z siebie: wybijała nadto, rozwinęła się zapędko, jak kwiatek zbyt cznie hodowany... kiedyć ona przed rokiem mówiła! żadne z naszych dzieci takie nie było... bo i kiedyż i gdzie, równie cudownym dzieckiem rodzice się chlubili.. Pani

Kasprowa zawsze mówi, że jój córeczka była podobna... nie dożyła téż i trzech lat... Pan Bóg zabrał jak swoje.

A na to wspomnienie dreszcz zimny biędną matkę przechodził, krew jój cała zbiegała się do serca, serce biło prędko i boleśnie, najokropniejsze ogarniały ją przecucia, przerażało ją wskrós samo milczenie w około niój panujące, przerywane tylko ciężkiem chrapaniem męża w alkwie, za kotarą. Były już chwile kiedy usłyszawszy bolesny jęk Orszulki, dziwacznych słów kilka, albo przyspieszonego jój oddechu, chciała budzić jak najprędzój Ewę, Ludwinę, Nastkę i dom cały, użyć wszystkich swoich sekretów lekarskich i zapasów apteki; ale bała się znowu zatrwożyć ojca, może napróżno, zaszkodzić jego zdrowiu. On staropolskim zwyczajem utrzymywał, że kiedy niekiedy upić się stanie za lekarstwo, byle po takowój przeprawie użyć snu ciągłego najmniej przez godzin dwanaście, a potóm przetrwać całą dobę o jednej misie czystego a kwaśnego barszczu.

Przebyła więc caluteńką noc Kochanowska nie spiac, nie kładąc się nawet i biedząc się sama jedna, dopóki pierwszy błysk zorzy wpadający przez okiennice nie obudził Ludwiny, która zawsze przed wschodem słońca wstawiała, i szła do ogrodu pod jabłoń swoję albo do komórki na górę zacząć dzień z Bogiem.

Zwierzyła jój się matka z niespokojnością swoją, znacznie nawet pomnożoną, gdyż Orszulka zamiast ochłodnąć nad rankiem, coraz była gorętsza. Pobożna a niedoświadczona dziewczeczka mniej daleko się zatrwożyła od Kochanowskiej, uspokoiła ją nawet cokolwiek słowy swojemi, pełnemi jak jój dusza spokoju i świętój nadziei, a chcąc obecnością swoją matce ulżyć, i dać jój czas do naradzenia się z Nastką o sposobach ratowania prędkiego chorój dzieciny, nie wyszła już dla tego na swoję poranną modlitwę; usiadła przy kolebce i nie odstępowała jój na chwilę, dopóki Ewa i inne siostry nie wstały, a i wtedy zamiast się udać na



ulubioną samotność, wolała dzielić trudy i zachody rodziny i całego domu.

Orszulki gorączka za każdą chwilą wzmagać się zdawała, a nabrzęknięte jej policzki ogniem pały. Około szóstej godziny obudziła się, zerwała i usiadła na pościeli, ale rysy jej twarzy były zmienione, oczy obłąkane, słowa bez ładu. Zrazu ani matki ani Nastki, ani sióstr przybiegających do niej skwapliwie nie poznawała, owszem odpychała je od siebie; widać było że mocno cierpi, a gdy jej pytano co ją boli? nie odpowiadała wprost; tylko jękiem mówiła:

— Kto mnie kocha, kto Jezusa kocha, niech mi weźmie głowę: spali się, rozpadnie; nie wytrzymam!

Poznawszy z tych słów gdzie było siedlisko choroby, Kochanowska przecuciem macierzyńskim wiedziona, chciała koniecznie okładać część cierpiącą zimną wodą, lodem gdyby był; ale Nastka i inne służebne, z których każda coś innego raiła, nie dopuściły tego najlepszego w takim razie ratunku.

— Zabiłyby panienkę jak muchę, sposób taki—mówiły ze zgrozą — kto zaś słyszał w gorącu oziębic nagle! a to śmierć gotowa; tu potów trzeba gwałtem, potów, a wszystko złe wyjdzie—i jedna po drugiej znosiły dziecinie tęgie i wrzące napoje, przykrywały ją futrami, chcąc wzbudzić owe pożądane poty.

Kochanowska przerażona nie mając odwagi leczyć własne dziecko, ową nauką której tyle dla innych ufała, i wzięść jakby na siebie odpowiedzialność życia Orszulki, nie śmiała im się sprzeciwić; otrzymała przecież, że jej pozwolili przystawić dziecinie po parze pijawek za uszami i gorczycowe plastry położyć na nóżki. Lecz mimo tych wszystkich środków, żaden znak polepszenia się nie objawiał; i kiedy Kochanowski przebudziwszy się nareszcie koło dziewiątej godziny, wyszedł z za swojej kotary; kiedy

po zebraniu i krztałaniu się tyłu kobiet, po ich twarzach pomieszanych poznał zaraz, że coś się stało jego Orszulce; kiedy w całym nieładzie wczorajszego ubioru, z włosami najeżonemi od przestraczu, z osłupiałemi oczyma stanął nad jej kolebką, i obaczył ją zmienioną i całą we krwi, zawołał okropnym głosem:

— Zabiliście ją, już po niej; już nie mam Orszulki: ona umrze!

I w rzeczy samej, każda chwila jakby potwierdzała ów straszliwy wyrok. Śmierć gdyby cień kiedy noc się zbliży, zachodziła coraz wyraźniej na te wczoraj jeszcze pełne życia oblicze, trzęsła widocznie z coraz większą siłą ów owoc niedojrzały. Wszystkie używane domowe i stręczone z całej wsi i z okolicy lekarstwa, żadnego nie robiły skutku. Napróżno Nastka i Świtkę przyzywała pokryjomu do dworu, a o północy wpuściła ją do sypialnej izby; nie nie pomogły wszystkie sztuki mniemaniej czarownicy: odżegnywania, zaklęcia, mierzenia, smarowania, spluwania, na które Kochanowscy oboje patrzyli z daleka z pewnym wstrętem, ale przecież nie śmieli ich zabronić; dziecina ciągle pałała: zdawać się mogło że na węgiel spłonie, taki żar bił od niej, osobliwie od głowy, która jakby rosła w oczach patrzących, tak były mocne w niej bicia pulsów, tak silne bole.

Dzień i noc dziecicę leżało w srogiój wewnętrznej walce i prawie bez zmysłów; rzekłbyś, że mdłe jeszcze i niedojrzałe ciało objąć już dłużej niemoże nadzwyczajnego ducha; że przerwała się nagle równowaga, która je czas jakiś w towarzystwie trzymała, i idzie w ziemię roztrzaskane śmiertelne naczynie, a anielski jego mieszkaniec leci w górę, zając godniejsze między swemi miejsce. Głosiły tę walkę ducha z ciałem, rychły jej koniec i tryumf, słowa wymykające się czasami z ust dzieciny. Były w nich własne jej myśli i wyrażenia, były i zastosowane psalmy Ojca a w każ-

dém z tych słów z niewypowiedzianą boleścią rodziców, którzy prawie ciągle siedzieli nachyleni nad jej kołyską, było oczywiste znamie: że coś w niej przeczuwa rychłą i nieochybną śmierć, że to już wyrok zapadły, niecofniony; że nawet, co wyrzec okropnie, ale czego zapewne niemal każdy z nas doznał przy łożu śmiertelném ukochanej osoby, już i modlić się za nią zapóźno, bo już sam Bóg dekret śmierci podpisał.

Raz szeptała dziecina jakby sama do siebie:

Jam trawa, com nie czekała  
Razu kosy siekącój,  
Alem przed czasem niszczała  
Ogniem plagi gorącój.

Drugi raz siadając nagle w kołysce, patrząc śmiało w najciemniejszy kąt izby, skazywała palcem i mówiła mownym głosem:

Śmierci! próżno mi grozisz,  
Nic mi nie straszliwe;  
Twoje strzały popędliwe,  
Choć tu stoisz tuż przedemną:  
Nie lękam się—Bóg mój ze mną—  
Ustąp miejsca Aniołowi!

a to mówiąc wskazywała w drugą stronę izby pod okno, gdzie Ludwina modliła się w cichości:

Widzisz go, jak składa ręce,  
Słyszysz jak słodko on mówi:  
„Przyszedł koniec twojój męce:  
Wezmę cię na me ramiona,  
Orszulko, będziesz zbawiona.“

I wznosząc oczy w górę śpiewała z Psalmistą:

Bóg nadzieja moja od pierwszego ranka!  
Wisiałam u piersi drogiej Matki mojej,  
A już byłam w opiece, liche dziecko, Twójój.

To powiedziawszy wyciągała ręczyny, szukała wzrokiem matki; przykładała z uczuciem ręce jej do spiekłych

ust swoich, a widząc ją napół żywą, wybladłą, łzami zalaną, odzywała się do niej już po swojemu, mową zupełnie naturalną, prawie wesołą:

Nie płacz, matko, proszę,  
Ja idę do Nieba,  
Na czyste rozkosze;  
Mnie zazdrościć trzeba.  
Twoja luba córka  
Oblecze się w piórka,  
Z aniołkami siędzie;  
Matko! złeż ci będzie  
Mieć swego aniołka?

I zdawało się po nagłej zmianie jój twarzy z cierpiącą w swobodną, z ludzkiej w Boską prawie, że już jest owym aniołkiem, że już używa owych rozkoszy; głos czysty, silny, a słodki i nadziemski wypuszczając z siebie, śpiewała jak w niebie śpiewają:

Mój wiekuisty Pasterz mnie pasie,  
Nie zejdzie mi nic na żadnym czasie;  
Zawiódł mnie w pasze niepospolite,  
Nad zdroje żywej wody obfite.  
Wszystkim On łaskaw którzy służą Jemu,  
Tak w małym wieku, jako dorosłemu.

A zaprzestając znowu i śpiewu i wiersza, jakby dla silniejszego przekonania rodziców, mówiła z powagą, nie jak maleńka dziecina, ale jak dojrzała świętą mądrością osoba:

— Umrzć! i co złego umrzć? Jezusowi umrzć, to wiecznie żyć.

I wpadając jakby w zachwycenie, klękała w kołysce, składała ręce i modliła się z zapalem:

— O! rychłoż pójdę?— wołała — rychło się ukażę Jezusowi memu?



I po chwili, jak gdyby już widziała spełnienie modłów swoich, mówiła z najwyższą radością:

C! idzie, idzie mój Jezus drogi!  
 Trzyma Go Dziewica w bieli,  
 Otaczają Ich Anieli;  
 Rzucę ja Im się pod nogi,  
 Przyjmie Dzieciątko dziecinę,  
 Przytuli Matka sierotę.....

I w tém miejscu przerywając sobie nagle, jak gdyby na ów ziemski wyraz *sięroty*, coś ziemskiego odezwało się w niej całe; zaczynała płakać do łez, przychodziła na chwilę zupełnie do siebie, poznawała wszystkich, wracała do dzieciniego rozumu, do dziecięcej tkliwości; wołała na siostry po ich imieniu, żegnała się z każdą z osobna, zwłaszcza z najmłodszą, z pięcioletnią Hanną; żegnała się z Nastką, z czeladzią, wołała nawet do kolébki psy domowe; kazała sobie przynosić łątki i zabawki swoje, i z niemi także się żegnała; matkę i ojca przyciągała do siebie, całowała ich ręce, głaskała po twarzy mówiąc żałośnie:

— Już ja wam służyć nie będę; już nie zasięde mego miejsca za wdzięcznym stołem waszym; już nie będę za matką z kluczami chodzić: muszę jechać sama w ciemną, w daleką i nieznaną drogę, muszę zaniechać waszego domu na zawsze.....

I prosiła, żeby okiennice i okna w izbie otworzyli, żeby się mogła jeszcze choć trochę napatrzyć światła słonecznego.....

I w takim, w podobnym stanie trwała trzy dni i trzy noce w ciągłym ogniu, w ciągłym cierpieniu, przyjmując i biorąc chętnie wszystkie lekarstwa, znosząc bez szemrania wszelkie boleści, dziękując za każdą usługę; nareszcie czwartej nocy, jeszcze dobrze przed świtaniem, wyrzekłszy wyraźnie i głośno te trzy święte imiona: „Jezus, Marya Józef!“ umilkła; mowa w niej ustała zupełnie, oczy się

przewróciły i zamknęły napół, wzmogło się okropne robienie pierściami, zaczęło się granie w gardle: zgoła nastąpiło ostateczne pasowanie się śmierci z życiem—straszliwe konanie.

Już od trzech dni w srogiem i prawie pewnem oczekiwaniu tego nieprzeblaganego gościa, rodzice na tak wyraźne objawienie blizkiego jego nadejścia, padli na środku izby na kolana bez siły; zbledli, skamieniali, ciężki żal, głośne szlochania, trwoga, opanowały młode siostry umierającej Orszulki, sędziwą Nastkę i obecną czeladź domową; jedna tylko Ludwina zachowała przytomność, jak gdyby najwięcej oswojona z owym posłańcem wieczności, albo najmniej mająca przyczyn obawiać się go. Ona rozpałała gromnicę, wizerunek Ukrzyżowanego Zbawiciela postawiła przy kołysce, wzięła święconej Jordanowej wody, pokropiła nią męczącą się dziecię i wszystko co koło niej było; obrazek Matki Boskiej włożyła jęj w rączki, a klękłszy przy ogromnej świecy, zaczęła czytać z książki uroczyste a rzewliwe akty konających. Mimowolnie wszyscy poklękli i mówić za nią zaczęli. Matka odzyskała nawet tyle władzy i siły, że przyczołgała się do konającego dziecięcia swojego, a uniżywszy się przed Bogiem, zdobyła się na owe wielkie słowa: „Panie! stań się wola Twoja!“ I w tój samej chwili zatrzęsła się kołyska, głęboki jęk dał się słyszeć, dech lekki wionął, płomień gromnicy zadrżał, i nagle wszystko przestało: zrobiło się wielkie, głębokie, uroczyste milczenie, a każdy poznał, że przyszła śmierć, bo to takie milczenie, to mowa śmierci.

Nie mam siły, nie mam serca, a podobno i słów nie mam do opisanja tego, co działo się w Czarnolesie przez pierwsze chwile po tём spełnionem nieszczęściu. Żal matki któżby poważył się oddać? ktoby wysłowił ów ból jakiego doznawać musiała tracąc część samęj siebie, umierając za życia, i musząc żyć mimo tój cząstkowej śmierci swojej. I na odmalowanie żalu ojca nie łatwo by się odważyć; ale

jak w tym razie niéma żadnej potrzeby się silić, i byłoby rodzajem świętokradztwa, gdyby na wydanie uczuć Kochanowskiego po stracie Orszulki szukać słów innych, kiedy nam zostawił *Treny*?

Po pierwszych momentach osłupienia jakie ogarnia najczęściej po wielkiem nieszczęściu, po oddaniu ostatniej posługi „swojej wdzięcznej, niepospolitej dziecinie“ głęboka i czarna rozpacz objęła Kochanowskiego. Póki jeszcze była w domu jego Orszulka, póki leżała w trumience na środku komnaty, otoczona świecami, okryta kwieciami; póki się mógł wpatrywać w tę twarz ukochaną, której śmierć wróciła anielską pogodę i uśmiech; póki mógł całować te rączki złożone, w których błyszczał ów krzyżyk rubinowy, dar Kanclerza; póki się nie zamknęło nad nią wieko grobowe, póki jęj nie złożył obok matki swojej, nie przysypał ziemią, póty znał jeszcze jakieś granice w żalu swoim: ale kiedy wrócił ze Zwolenia i dom pusty zastał, przez kilka dni chodził jak obłąkany, albo téż pogrążony w myślach siedział gdyby martwy po całych godzinach; o nic się nie pytał, nic nie słyszał, nie jadł prawie, nie spał wcale; sprawy gospodarskie, przyjmowanie życzliwych krewnych i sąsiadów, którzy na odgłos niedoli zbiegali się do Czarnolasu, wszystkie trudy i zabiegi potocznego życia, wszystko to ciążyło na biédnej matce, i może z rzetelném jęj dobrem; bo te konieczne zachody odrywały ją od jęj żalu, albo téż rozrzewniały do łez, co także ulgą jęj było.

Kochanowski zaś czuł i okazywał zupełną oschłość i rozdrażnienie w smutku swoim; z gniewem, częściej z cierpką ironią odpowiadał na słowa pociechy przyjaciół, na zalecanie mądrości i pobożnego męztwa, na przytaczanie przykładów, jak ten lub ów karę Nieba wytrzymywał. Obrażało go, kiedy dostrzegł w domu, że już tak wszystko idzie, jak szło za życia jego Orszuli, kiedy dosłyszał kogoś bądź mówiącego o czém inném jak o nięj; spostrzegłszy

raz w kącie na ziemi jedną z jój zabawek, obruszył się jakby na bezbożność jaką: pozbierał sam wszystko co do niej należało, całe jój ochędostwo, wszystkie ubiory, zaniósł do swego pokoju, rozłożył na najlepszym miejscu i karmił tym widokiem wzrok swój, nie pozwalając nawet żonie dotknąć się najdrobniejszej szaty. I ta tkliwa dusza, znękana, pogębiona, nie ukołysała się cokolwiek, nie wróciła do siebie, dopóki ręka nie uchwyciła pióra, dopóki przepelnionych uczuć swoich nie wylał na papier. Dziesiątej nocy po śmierci Orszulki, siedząc samotny w swoim pokoju, tak kreślił swoje żale, a łzy z oczu mu płynęły:

## I.

Wszystkie płacze, wszystkie łzy Heraklitowe,  
I lamenty i skargi Simonidowe;  
Wszystkie troski na świecie, wszystkie wzdychania  
I żale, i frasunki, i rąk łamania:  
Wszystkie a wszystkie zaraz w dom się mój znoście,  
A mnie płakać mój wdzięcznej dziewczki pomóżcie,  
Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła,  
I wszystkich moich pociech nagle zbawiła!  
Próżno płakać, podobno drudzy rzeczenie;  
Cóż przez Bóg żywy, nie jest próżno na świecie?  
Wszystko próżno; macamy gdzie miękcej w rzeczy,  
A ono wszędy ciśnie: błąd wiek człowieczy.  
Nie wiem co lżej, czy smutku jawnie żałować,  
Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować.

## II.

Jeżlim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,  
A kwoli temu wieku lekkie rymy sławić:  
Bodajżebych był raczej kolëbką kołysał,  
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał,  
Któremiby dziecinki noworodne spiły,  
I swoich wychowañców lamenty tuliły.  
Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było,  
Niżli w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło:  
Płakać nad głuchym grobem mój wdzięcznej dziewczyny,



I skarżyć się na srogość ciężkiej Prozerpiny.  
 O! prawo krzywdy pełne! o! znikomych cieni,  
 Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!  
 Tak-li moja Orszulka jeszcze żyć na świecie  
 Nieumiawszy, musiała w rannym umrzeć lecie?  
 I nienapatrzywszy się jasności słonecznej,  
 Poszła nieboga widzieć kraj ów nocy wiecznej.  
 A bodaj ani była świata oglądała!  
 Co bowiem więcej jeno ród a śmierć poznała?  
 A miasto pociech, która winna z czasem była  
 Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

### III.

Wzgardziłaś mną, dziedziłczko moja ucieszona!  
 Zdałać się ojca twego bardziej uszczuplona  
 Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niej miała.  
 To prawda, żeby była nigdy nie zrównała  
 Z rannym rozumem twoim, z pięknymi przymioty,  
 Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty!  
 O! słowa, o! zabawo, o! wdzięczne ukłony,  
 Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!  
 A ty, pociecho moja, już mi się nie wrócisz  
 Na wieki, ani mojej tęsknicy ukróćisz.

### IV.

Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,  
 Żem widział umierając miłe dziecię swoje;  
 Widziałem kiedyś trzęsła owoc niedojrzały,  
 A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.  
 Nigdyćby ona była bez wielkiej żałości  
 Mojej umrzeć nie mogła; nigdy bez ciężkości  
 I serdecznego bolu, w którymkolwiek lecie,  
 Mnieby smutnego była odbiegła na świecie:  
 Anim ja już z jej śmierci nigdy żałościwszy,  
 Nigdy smutniejszy nie mógł być, ani tęskliwszy,  
 A ona (by był Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim,  
 Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim,  
 A przynajmniej tymczasem mogłembym odprawić  
 Wiek swój i Persephonie ostatniej się stawić,

Nie uczuwszy na sercu tak wielkiej żałości,  
 Któręj równia nie widzę w tej tu śmiertelności.  
 Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała  
 Swoich najmilszych dziątek patrząc, skamieniała.

## V.

Jako oliwka mała pod wysokim sadem  
 Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem;  
 Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,  
 Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc,  
 Tę, jeśli ostre ciernie, lub rodne pokrzywy  
 Uprzątając, sadnik ów podciął ukwapliwy,  
 Mdleje zaraz; a zbywszy siły przyrodzonęj,  
 Upada przed nogami matki ulubionęj.  
 Tak ci się mój najmilszej Orszuli dostało;  
 Przed oczyma rodziców swoich rosnąc, mała  
 Od ziemi się zniósłszy, duchem zaraźliwym  
 Srogiej śmierci otchniona, rodzicom troskliwym  
 U nóg martwa upadła. O! zła Persephono!  
 Mogłaześ tak wielu łzom dać upłynąć płono!

## VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo słowiańska,  
 Na którą nie tylko moja częśćka ziemiańska,  
 Ale i lutnia dziedzicznem prawem spaść miała!  
 Tęś nadzieję już po sobie okazowała,  
 Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając  
 Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając  
 Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym,  
 Całą noc prześpiewa gardłkiem swém ucieszonym.  
 Prędkoś mi nazbyt umilkła; nagle cię sroga  
 Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga!  
 Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami,  
 I tę trochę teraz płacę sownie łzami:  
 A tyś ani umierając śpiewać przestała —  
 I matkę ucałowawszy takeś żegnała:  
 „Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,  
 Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde;

Przyjdzie mi klucze położyć, samęj precz jechać,  
 Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.“  
 To i czego żal ojcowski nie da serdeczny  
 Przypominać więcej..... był jęj głos ostateczny.  
 A matce słysząc żegnania tak żałośliwe,  
 Dobre serce, że od żalu zostało żywe!

## VII.

Nieszczęsne ochędostwo, żałosne ubiory  
 Mojęj najmilszëj córy;  
 Poco me smutne oczy za sobą ciągniecie:  
 Żalu mi przydajecie.  
 Już ona członeczków swych wami nie odzieje,  
 Niemasz, niemasz nadzieje!  
 Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany!  
 Już letniczek pisany,  
 I uploteczki w niwecz, i paski złożone,  
 Matczyne dary płone.  
 Nie do takięj łóżnicy, moja dziewczko droga,  
 Miała cię Mać uboga  
 Doprowadzić; nie takąc dać obiecować  
 Wyprawę, jakąc dała.  
 Gieźteczko tylko dała, a lichą tkaneczkę;  
 Ojciec ziemi bryteczkę  
 W główki włożył... Niestetyż! i posag, i ona  
 W jednęj skrzynce zamkniona!

## VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,  
 Moja droga Orszulo, tém zniknieniem swoim;  
 Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:  
 Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.  
 Tyś za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała  
 Wszystkieś w domu kąciki zawdy pobiegała;  
 Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,  
 Ani ojcu myśleniem zbytniém głowę psować.  
 Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu;  
 Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu:

Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,  
A serce swój pociechy darmo upatruje.

## IX.

Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował  
Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował;  
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło,  
Coby łaski rodziców swych tak godne było!  
Ochędźne, posłuszne, karne, niepieszczone,  
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;  
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,  
Obyczaje panięskie umieć i zabawę.  
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzewliwe,  
Dobrowolne, układne, skromne i wstydlive.  
Nigdy ona pokarmu rano nie wspomniała,  
Aż pierwój Bogu swoje modlitwy oddała;  
Nie poszła spać, aż pierwój matkę pozdrowiła,  
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.  
Zawdy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi,  
Zawdy się uradować i przywitać z drogi;  
Każdej roboty pomódz, do każdej postugi  
Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi.  
A to tak w małym wieku sobie poczyniała,  
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.  
Tak wiele cnót jój młodość i takich dzielności  
Nie mogła znieść; upadła od swojej bujności,  
Żniwa nie doczekawszy. Kłósie mój jedyny!  
Jeszcześ mi się był nie stał, a ja twój godziny  
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję;  
Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję.

## X.

Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziąta?  
W którą stronę, w którąś się krainę udała?  
Czyś ty nad wszystkie Nieba wysoko wniesiona,  
I tam w liczbę Aniołów małych policzona?  
Czyliś do rajy wzięta? czyliś na szczęśliwe  
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe



Charon jeziora wiezie, i napawa zdrojem  
 Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?  
 Czy człowieka zrzuciwszy i myśli.dziewicze  
 Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?  
 Czyli się w czyściu czyścisz, jeśli z strony ciała  
 Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?  
 Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwěj była,  
 Niżes się na mą ciężką żałość urodziła?  
 Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mēj żałości,  
 A nie możesz-li w dawněj swēj całości,  
 Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną,  
 Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną!...

Tak wynurzywszy w nieśmiertelnym rymie żale swoje  
 Kochanowski, ulżył sercu, zmiękł, złagodniał, a oparłszy się  
 na stole, zawarł mimowolnie oczy i usnął, sam niewiedząc  
 kiedy; snął podobno piérwszy raz od śmierci Orszulki:  
 spał do rana, i co mu się już od kilku miesięcy nie tra-  
 fiło, matka mu się przyśniła; matka, którój ukazanie się  
 było dla niego, jak wiemy, zawsze dobrodziejstwem: bo  
 jeżeli ją ujrzał w diach szczęścia, zwiastowała mu nową ra-  
 dość, jeżeli w dniach trwogi lub smutku, uspokojenie mu  
 przynosiła. Ale poco i ten sen jego nieudolnemi opisywać  
 słowami, kiedy są jego własne tak piękne:

Żałość moja, długo w noc oczu mi nie dała  
 Zamknąć i zemdlonego upokoić ciała;  
 Ledwie mię na godzinę przed świtaniem swemi,  
 Sen leniwy otoczył skrzydły czarnawemi,  
 Natenczas mi się matka właśnie ukazała,  
 A na rękę Orszulę moję wdzięczną miała;  
 Jako więc po paciorek do mnie przychodziła,  
 Skoro z swego posłania rano się ruszyła:  
 Gieźleczeko białe na niěj, włoski pokręcone,  
 Twarz rumiana, a oczy ku śmiechu skłonięne.  
 Patrzę co dalej będzie? aż matka tak rzecze:

„Śpisz, Janie, czy cię żałość twoja zwykła piecze?“  
 Zatymem ciężko westchnął i tak mi się zdało,

Żem się ocknął. A ona pomilczawszy mało,  
 Znowu mówić poczęła. „Twój nieutulony  
 Płacz, synu mój, przywiódł mię w te tu wasze strony,  
 Z krain bardzo dalekich; a żyz gorzkie twoje  
 Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje.  
 Przyniosłam ci na ręku wdzięczną dziewczkę twoję,  
 Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoją  
 Serdeczną żałość ujął, która tak ujmuje  
 Sił twoich, i tak zdrowie nęznacznie twe psuje.

Czyli nas już umarłe macie za stracone,  
 I którym już na wieki słońce jest zgaszone?  
 A my owszem żywiemy żywot tēm ważniejszy,  
 Czēm nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy.  
 Ziemia w ziemię się wraca, a duch z Nieba dany,  
 Miałby zginąć ani na miejsca swe wezwany?  
 O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie,  
 Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie.  
 A tu więc takim ci się kształtem pokazała,  
 Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała:  
 Ale między anioły i duchy wiecznemi  
 Jako wdzięczną jutrzienka świeci, a za swemi  
 Rodzicami się modli, jako to umiała  
 Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.

Jeżeliż też ztąd roście żałość, że jej lata  
 Pierwój są przyłomione, niżli tego świata  
 Rozkoszy zażyć mogła: o biedne i płone  
 Rozkosze wasze! które tak są usadzone,  
 Że w nich więcej frasunków i żałości więcej;  
 Czego ty doznać możesz sam z siebie napręcej.  
 Uczeszyłeś się kiedy z dziewczki twój tak wiele,  
 Żeby pocięcha twoja i ono wesele  
 Mogło porównać z twoim dzisiejszym kłopotem?  
 Nie rzeczesz tego, widzę. Także trzymaj o tēm,  
 Jakoś doznał; ani się frasuj, że tak rana  
 Twojój ze wszech najmilszój dziewce śmierć zesłana.

Nie od rozkoszy poszła: poszła od trudności,  
 Od pracy, od frasunków, od łez, od żałości.  
 Czego świat ma tak wiele, żeby też co było,  
 W tym doczesnym żywocie człowieczeństwu miło:  
 Musi smak swój utracić przez wielkość przysady,  
 A, przynajmniej przez bojaźń nieuchronnej zdrady.

Czegóż płaczesz przez Boga? czegóż nie zażyła?  
 Ze sobie swym posagiem Pana nie kupiła;  
 Że przegrózek i cudzych fuków nie słuchała,  
 Że boleści w rodzeniu dziątek nie uznała?  
 Ani umie powiedzieć, czego jój troskliwa  
 Matka doszła; co większém utrapieniem bywa,  
 Czy je rodzić, czy je grzeźć? Takieć pospolicie  
 Przysmaki wasze, czém wy sobie świat słodzicie.

W Niebie szczeré rozkosze, a do tego wieczne,  
 Od wszelkiéj przekazy wolne i bezpieczne.  
 Tu troski nie panują, tu pracy nie znają,  
 Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają;  
 Tu choroby nie najdzie, tu niemasz starości,  
 Tu śmierć łzami karmiona niéma już wolności.  
 Żyjem wiek nieprzeżyty, wiecznéj używamy  
 Dobrój myśli; przyczyny wszystkich rzeczy znamy;  
 Słońce nam zawdy świeci, dzień nigdy nie schodzi,  
 Ani za sobą nocy niewidomój wodzi;  
 Twórcę wszech rzeczy widzim w Jego majesta cie,  
 Czego wy w ciele będąc próżno upatrzacie!  
 Tu w czas obróć swe myśli, a chowaj się na te  
 Nieodmienne, synu mój, rozkosze bogate.

Doznałeś co świat umieć, i jego kochanie,  
 Lepiej na czém ważniejszém zasadź swe staranie.

Skryte są Pańskie sądy; co się Jemu zdało  
 Najlepiej, żeby się też i nam podobało.  
 Tego się synu trzymaj, a ludzkie przygody  
 Mężnie znos, jeden jest Pan smutku i nagrody.“

Tu zniknęła. Jam się też ocknął. Aczciem prawie  
 Nie pewien, jeźlim przez sen słuchał, czy na jawie.

## ROZDZIAŁ OSTATNI.

Tak przyjaciele przyjaciel żałuje.

*Psalm XXXV.*

Od tego pamiętnego snu, od tego nowego zjawienia się drogiej matki, Kochanowski stał się zupełnie innym człowiekiem. Zdawało się, że dobroczynna ręka stargane jego myśli rozplątała, że rozwiązała ściśnione serce, wskrzesiła obumarłego ducha. Nieznośna jego żałość, czarna rozpacz, ostre skargi przybrały barwę łagodnej tęsknoty, pobożnego smutku. Płakał, ale rześiste łzy jego gasiły żal, bo płacząc zgadzał się, podlegał i modlił się. Najchętniej siadywał samotny to pod lipą swoją, to w pokoju, to na tarasie, ale już słuchał uprzejmie i z wdzięcznością słów pociechy sąsiadów i krewnych, rozmawiał poufale z żoną, z Ewą, a podobno najpoufalej z Ludwiną. Dusza świętej, od ziemi oderwaną dziewczeczki, najlepiej przystawała teraz do jego duszy; bo i on widocznie dążył gdzieś wyżej, i u niego tracił cenę świat ten i sława jego, i on jawnie poznawać zaczynał, że wielkie a nienasycone serce człowieka dla samego „Boga jest uczynione, i nikt, jedno sam Bóg napełnić go nie może.“ Z zupełną rzetelnością, z głęboką pokorą powtarzał z Jobem: „Pan dał, Pan wziął według upodobania swego, niech Imie Pańskie będzie pochwalone.“



Zgoła, zrobił się takim, jakimby powinien być każdy chrześcijanin, gdyby każdy mógł się zdobyć na podobną doskonałość; zupełnie oddany woli Boga, przyjmujący z ręki Jego smutek, jak dawniej przyjmował wesele; gotowy na większe jeszcze ciosy, gotowy na śmierć i na życie, byle bądźco bądź łaskę Boga odzyskał, a odzyskaną zachował.

Więcej niż w tydzień po owym śnie błogosławionym, właśnie w wigilią Wniebowzięcia Najświętszej Panny, Kochanowski wstał przed słońcem, oświadczywszy żonie że ani na śniadanie ani na obiad nie wróci: dosiadł swego siwosza i pojechał do Zwolenia. Tam oczyścił się wodami świętej pokuty, wzmocnił duszę chlebem żywota, potem objechał z kolei: Barycz, Jasieniec, Policzną, Grodek, wszędzie krótko zabawił, ale wszędzie dostał prawdziwą jałmużnę serca, łzę rzewną i błogosławieństwo; a wróciwszy na parę godzin przed wieczorem, zamknął się w swoim pokoju, i zaczął przeglądać swoje papiéry. Lubo dzień był ciepły, wskrzesił ognia w kominie i większą połowę tych papiérów spalił. Kiedy z wyrazem tajemnej radości patrzył jak ogień pożera owe świadki i dowody innych zapewne czasów i innych uczuć, żona zastukała nieśmiało do drzwi i wezwała go do wieczerzy. Przyszedł wkrótce zamyślony ale pogodny, jasność nawet biła z oblicza jego; zjadł nieco więcej niż zwykle, rozmawiał o krewnych u których był, a obiecując rychły powrót, poszedł znowu do siebie. Zdziwiło i ucieszyło bardzo to postępowanie i matkę i córki. Od rana rozmawiały między sobą:

— Dziś dzień naznaczony na nieochybny powrót kochanych wędrowników naszych; dawniej jeszcze przed tém nieszczęściem, ojciec tak często o tym dniu wspominał, tak go niecierpliwie wyglądał! Ile to razy on nam mówił, że skoro 14 Sierpnia zawita, ani zejdzie z tarasu, jedno od rana do wieczora wypatrywać ich będzie. Dziś, kiedy dzień ten nadszedł, wyjechał skoro świt z domu, jeździł

w zupełnie inne strony, nie naprzeciwko nich, i zda się czy zapomniał, czy też całkiem dobrej jest nadziei.

— Panu Bogu za tę łaskę dziękować! — dopowiadała Kochanowska — więcej niż od tygodnia — mówiła ciszej — widzę ja w waszym ojcu zbawienną a wielką odmianę. Zrazu zdawało mi się, Boże odpuść, że on nie dosyć pobożnie skaranie Pańskie przyjmuje; poważylam się nawet niejakię przełożenia mu czynić, ale teraz on mnie zawstydzia poddaniem się a pokorą swoją. Prawdać, on mąż, ja niewiasta.... matka.

— I jabym rada z duszy tyle być spokojną co ojciec o naszych podrózných — odezwała się tu Ewa spuszcżając głowę w robotę swoję — ale choć najmocniej chcę, to jakoś nie mogę: zdaje mi się, że pan Filip nigdy nie przyjedzie.

A cienkim ręcznikiem który wyszywała, (gdyż czaprak już zupełnie był skończony) obcierała pokryjomu łzy spadające jak groch z jęj oczów; wstyd jęj było bowiem i bała się obrazić Boga i rodziców, płacząc niespełna w miesiąc po śmierci Orszulki, nad częm innóm jak nad stratą siostry.

Patrząc jednak na rzeczy ludzkim okiem, uważając je jak my ziemscy, po ziemsku, słuszniejsze były łzy Ewy od pogody Kochanowskiego.

Ukończywszy wydzielone na ten dzień roboty, matka i trzy starsze córki siedziały sobie na około pieca, czekając rychło ojciec przyjdzie na wieczorne modlitwy; a gwarząc półgłosem, wystawiały sobie, już nie poraz piérwszy, jakie smutne będzie jego powitanie z przyjacielem; radziły także, czyby nie wypadało uprzedzić piérwój jakim sposobem Podlódowskiego, a przynajmniej Filipa? Już miały zamiar wyprawić pana Łukasza Gupolskiego do najbliższej wioski, przez którą musieli przejeżdżać, żeby czatował na nich, i oznajmił im przytrafione nieszczęście, kiedy Nastka, któręj od śmierci Orszulki z dziesięć lat przybyło, jeszcze bledsza i więcej zaplakana niż zwykle, weszła do izby,

a skrywszy się cokolwiek za piec, chciała nieznacznie wywołać Ewę. Lecz Kochanowska dostrzegła i pomieszanie jój i skinienie ręki; strwożona myśl jój, najprzód dwie najmłodsze córeczki Hannę i Marychnę objęła; ale siedziały obie w kącie izby zajęte układaniem i wiązaniem snopków z ziół rozmaitych, które jutro, jako w dzień Matki Boskiej Zielnej zanieść miano do kościoła.

— Czy pan nie zasłabł! — zawołała porywając się ze swego stołka.

— Pan zdrow, w swoim pokoju—odpowiedziała stara piastunka—ale....

— Cóż ale! mów.

— Oto pan Rotmistrz przyjechał.

— Pan Rotmistrz!—krzyknęła Ewa biegnąc ku drzwiom a była radość w jój głosie; był wesoły pośpiech w jój skoku, gdyż nie powstało w téj chwili w jój głowie, żeby mogło być nieszczęście, kiedy jój Filip przyjechał. I otworzyła na rożcież drzwi od sieni i ujrzała swego Filipa. Ależ jakiego? Oczy kochanki ledwie go poznały: zbladły, przestraszony, schudzony, zaniedbany w ubiorze, ukazał jój się, jako gdy kto z trumny wstanie, albo gdy kogo krew uchodzi; nie rzucił jój się do nóg, nie przemówił słowa, tylko stał oparty o ścianę, jak zbieg, jak winowajca....

Filip wracał sam. Przeczucia Kochanowskiego przy żegnaniu się z przyjacielem spełniły się: Podlodowski już nie żył od miesiąca....

Cała podróż powiodła im się była jaknajpomyślniej; koni zakupili piękniejszych niż pierwszym razem, a samych arabskich; panu Podkoniuszemu udało się z nadzwyczajném szczęściem zadosyć uczynić tajemnym a ważnym poleceniom Króla, przepatrzył całe wojsko tureckie, wszystkie ich siły, nabierał wiadomości potrzebnych a pomyślnych niemało, i wracał rad i wesół. Sam Filip nie mógł więcéj przyspieszać drogi od niego, nie mógł być szczęśliwszym za każdą

ujechaną miłą zdawało się, że i na niego czeka wierna bogdanka.

Jakoż czekała, ale była to inna bogdanka, chociaż także wierna i słowna, bo nigdy żadnego człowieka nie minie. Podlodowski w pierwszej podróży swojej do Turcji, zwrócił był na siebie oczy mężką urodą, wyborném jeżdżeniem na koniu, a okazywaniem pieniędzy wzbudził chciwość w łotrach, na jakich wielkim stolicom i okolicom ich nigdy nie zbywa. Napadli na niego, on obronił im się, jak wiemy. Ale tym razem do wyrażonych powodów przybyły nowe: wyższe osoby zmiarkowały, w jakim celu przybył, jakie wywozi wiadomości, i zawyrokowały, że najlepiej będzie pozbyć go się. Użyto tych samych łotrów, ale im dodano ludzi i broni, i zbrodnia się udała.

Kiedy Podlodowski, Filip i służba ich już o mil kilkanaście od Carogrodu, wypoczywali koniom w noc piękną księżycową, a czuwając, rozmawiali mile o dniu powrotu do Czarnolasu, o radośniejszym jeszcze dniu wesela; nagle z kilku stron napadła na nich potęga ludzi zbrojnych; więcćj niż po sześciu było na każdego: ledwie tóż dosiąść koni swoich potrafili, ale niepodobną się stało rzeczą obronić się albo umknąć. Cała służba Podlodowskiego legła; a pierwój on sam, mimo nadludzkiego męztwa z jakim stawiał się napastnikom, mimo synowskiego poświęcenia, z jakim Filip go bronił. Nieszczęsny ujrzał na własne oczy głowę ojca odciętą od karku i schwytaną z okrzykiem tryumfu przez łotrów: tём jedynie uszedł śmierci, iż w tój chwili ugodzony kilkoma razami, z żalu, z bólu i z wielkiej utraty krwi padł jak bez duszy; i zapewne dla jakiegoś niespodzianego popłochu zostawionym był na placu bitwy, przez zbójców, którzy zabrawszy wszystkie inne ciała, bogactwa i cudności, na podarki ślubne zakupione, konie co do jednego, uszli w las i w ciemnościach jego przepadli.



Ocalony prawie cudem Filip, nad rankiem budzić się zaczął zwolna. Jeszcze osłabiona myśl jego nie zdołała objąć téj całej straszliwej przygody, jeszcze nie wiedział wcale gdzie jest, co się z nim dzieje; jeszcze powiek otworzyć nie mógł, kiedy posłyszał zdaleka stąpanie niepewne, nierówne, a coś w nim go ostrzegło, że to stąpanie wroga. Przeczuciem utaił w sobie dech. Dwóch ludzi stanęło nad nim.

— Nie żyje! — odezwał się jeden z nich w mowie krajowej.

— Coś się tu okropnego dziać musiało téj nocy — rzekł drugi półgłosem—i nie napróżnośmy owe krzyki słyszeli z naszej jamy; legło tu więcej takich jak ten młodzieniec: krwi stoi kałuża, konie leżą pozabijane, szczątki obcych ubiorów i zbroi... uciekajmy, by nas nie schwytano.

— Zdjąćby mu jednak warto ten cudny pierścień — przemówił znowu drugi— to rubin wielce szacowny: ja się znam.

— Zgoda—dodał tamten — jedno żwawo.

I uchwycili bez oporu rękę Filipa. Ale ta ręka była stłuczona, zsiniała, opuchła, palce nabrzękle; nie było więc można ściągnąć pierścienia: bez żadnej narady nożem rzecz swoją sprawili, a porwawszy pierścień z ciekącym krwią palcem, uszli co tchu nie oglądając się, ile że usłyszeli jęk swojej wskrzeszonej ofiary.

Ból jaki Filip cierpiał w téj chwili, wystawić sobie łatwo; lecz większy jeszcze był żal za pierścieniem, który Ewa sama na palec mu włożyła, z którym żegnała się tkliwie, który on pod ciężkim zaklęciem przyrzekł złożyć kiedyś u nóg jój. Ten żal miłośny ocucił go zupełnie, ale oraz cała okropność większego daleko nieszczęścia padła mu na serce, stanęła przed oczami. Strata zakładu wiary kochanki znikła przed pamięcią owéj głowy ojcowskiej, którą widział w ręku zbójców, która już odcięta, zda-

wała się jeszcze patrzeć na niego. Zerwał się na nogi, chciał wołać, biedz, szukać zemsty, lecz sił mu brakło; padł znowu na ziemię, a na domiar boleści cóż ujrzał koło siebie? oto ulubionego Turczynka bez życia. Jak sobie w tój chwili przypomniał, biédne zwierzę pierwój przed nim było upadło, a nawet dosyć daleko od miejsca, gdzie on w końcu bronił ojca stojący i oparty o drzewo; ale przyczołgał się snadź koń wierny, żeby skonać u nóg pana swego. Na ten widok łyzy rzesiste oblały pokrwawioną twarz Rotmistrza i do reszty umysł jego rozjaśniły. Dwie chęci zajęły znękaną jego duszę: domagać się sprawiedliwości za tak straszliwe zabójstwo ojca i dobroczyńcy, i przekonać się jaknajrychlej czy Ewa zdrowa, czy żyje, czy go kocha? bo w tój chwili taka ogarnęła go rozpacz, takie zwątpienie, iż pewny był że wszystko stracił odrazu.

Odzyskawszy nieco sił, zawlókł się do najbliższej wiejskiej osady, gdzie go przecie poratowano! Świadomy z pierwszój podróży jak długiego czasu potrzeba w Turcyi do otrzymania sprawiedliwości, wreszcie bez pieniędzy, następującemi tylko aktami rozpoczął sprawę: złożył u Kadego skargę, stawil świadków, którzy wraz z nim pobojo-wisko zwiedzili, zostawil znalezione szczątki szat i zbroi, oświadczył, że król polski, wielki „Batary Isztywan“ poszukiwać będzie zbrodni, na jego urzędniku dokonanej; a to uczyniwszy obrócił się ku Polsce. O ile mu dozwoliły bolesne, choć nie niebezpieczne rany, o tyle dążył tam, gdzie mogło jeszcze być szczęście dla osieroconego serca, jeśli Ewa żyje, jeśli mu sprzyja. Przecież im więcej zbliżał się do Czarnolasu, tém spokojniejszy był o życie, o uczucia bogdanki, a tém silniejsze dręczyły go wyrzuty: że się nie pomścił za ojca, że nie odszukał jego ciała, że bez tych drogich zwłok wracał, i dlatego stał w sieni jak winowajca, i kilka chwil minęło, zanim osłupiała Kochanowska i córki jój zrozumieć potrafiły ze słów jego co się stało.

Kiedy Filip te straszliwe rzeczy przerywano opowiadał, skaleczoną rękę pokazywał, a mowę jego głużyły jęki i płacze niewieście i dziecinne; kiedy zacna Hanna zapominając własnej siostrzeńskiej boleści, wołała tylko:

— Ach, mąż mój! mąż mój!

Kochanowski stanął niespodzianie wśród nich, a o nic się nie pytając, wszystko odgadł. Nie wydał ani krzyku, ani jęku, jedną łzy nie uronił; zachwiał się tylko cały i oprzeć się musiał na stojącej najbliżej niego Ludwinie.

— Tego ciosu mi niedostawało i tegom się spodziewałem— rzekł z głęboką ale ze spokojną boleścią; — Pan jawnie przemawiać do mnie raczy; chce, żebym odrazu odżałował wszystkiego i gotował się na trwalsze rozkosze. Niech Imię Jego będzie pochwalone!

A usiadłszy na ławie, którą mu przysunęła żona, kazał powtórzyć Filipowi to, co już był niewiastom powiedział, i słuchał go długo w cichości.

— Zobaczmy się, Jakóbie! — zawołał nareszcie jakby odpowiadając tajemnej myśli i uśmiechnął się nadobnie. — Ale pierwej—dodał rumieniąc się nagle i wstając — dopełnić muszę ostatecznego obowiązku, jaki przyjaźń na mnie wkłada; muszę otrzymać sprawiedliwość za tę niesłychaną zbrodnię, za to zgwałcenie prawa narodów: alboż-to taka śmierć jemu się należała! nie byłoż mu już zginąć tyle razy w obronie Ojczyzny?... Toż i ciała jego mam nie ujrzyć nigdy, nie ucałować téj wdzięcznej głowy... Młodzieńcze—rzekł obracając się do Filipa — trzeba nam niebawem wybierać się do Lublina; tam Król i Kanclerz zjechać mają w tych dniach, tam konwokacya dla sądzenia Zborowskich się zbiera; ja sam całą sprawę przyjaciela przedstawię Miłościwemu Panu: on jój wysłucha, on się pomści, on sprawiedliwy, on uczuje własną krzywdę, on szacował mego Jakóba... Należy jeno wszystkie okoliczności téj straszliwej przygody zebrać i wyłożyć jasno i dokładnie, należy

je spisać, gdyż nie wiem czyby mi pamięć wiernie służyć chciała.....

A według tego jak mówił tak i uczynił. Niepospolite okazując mężstwo, przez dni kilka prawie z zimną krwią wypytywał się Owadowskiego, o najdrobniejsze szczegóły pobytu i czynności przyjaciela w Carogrodzie, okropnej jego śmierci, a potem w nocy spisywał wszystko u siebie i obszerną a wymowną układał obronę. Po kilku takich dniach i nocach pożegnał żonę i córki, błogosławiąc je, wydał rozkazy co do gospodarstwa, jak gdyby długą miała być jego niebytność; o resztę radzić się kazał bratanka Andrzeja z Gródka i pojechał do Lublina, a z nim Filip, który mimo zawsze równego żalu za przybranym ojcem, dostrzegł w przyćmionych łzami oczach Ewy, usłyszał z pobłdłych ust jój, że może być jeszcze dla niego szczęście na świecie.

Ale dla Kochanowskiego zbliżała się już ostateczna godzina, przeczuwał ją; i ledwie wyjechał za wrota domowe, otwarcie zaczął mówić Filipowi o śmierci swojej.

— Nie wiem dnia i godziny kiedy nastąpi — powtarzał — ale wiem, że przyjaciel niedługo czekać będzie spełnienia młodzieńczej umowy naszej; zdawna ten wyrok podpisany gdzieś wyżej. Bóg nie opuści wdowy i sierot moich..... Ty młodzieńcze będziesz synem mojej Hannie, będziesz bratem siostr mojej pierworodnej i mego pogrobka. Pan w miłosierdziu swoim oświecił mnie niedolą: nie lękam się śmierci, raczej lękałbym się życia!....

I w takich uczuciach, wśród podobnych zwierzań się stanął w Lublinie; już zastał Króla i Kanclerza, już też i wiedziano o straszliwym zabiciu Podlodowskiego. Stefan Batory mocno zmartwiony stratą wiernego sługi, niemniej był obruszony na krzywdę majestatowi swemu uczynioną; przystał więc jaknajchętniej na żądanie przyjaciela i szwagra obżałowanego, który domagał się jak o łaskę, aby



sam rzecznikiem był w téj sprawie: wyznaczył mu publiczne posłuchanie na 22 Sierpnia. Kochanowski lubo słaby, dlatego nie chciał uleż bynajmniej przedstawieniom młodego Filipa i synowca swego Krysztofa, którzy go namawiali oba, żeby wyjednał sobie u monarchy odłożenie tego stawienia się na dzień następny.

— Nie — odpowiedział — pójdę, iść muszę: dziś albo nigdy.

I zdawało się, że jakaś niewidoma siła ciągnie go do zamku królewskiego. Lecz zaledwie wstąpił w podwoje, zaledwie wszedł do sali, gdzie zebranych było kilku panów i urzędników dworu czekających przybycia Monarchy, a którzy wszyscy powstali, by zacnego poetę powitać, padł pośrodku nich uderzony apopleksją. Przerazenie i żal rozległy się w jednej chwili po całym gmachu; sam Król przyszedł do łoża, na którym złożono tymczasowo znakomitego męża; lekarzom swoim ratować go kazał; Zamoyski sam go ratował, sam trzymał obnażoną jego rękę do krwi upuszczenia, z której już krew iść nie chciała. Daremne były wszelkie starania, Kochanowski raz tylko na jedną chwilę otworzył oczy i podniósł je w górę, widać było że się modli; zawołał raz jedyny niewyraźnym głosem: O Boże! i oddał ducha na zawsze.

Zbyteczna żałoba okryłaby ostatnie karty tych obrazów, gdybym tu wystawić chciała żywy żal sprawiony tą nagłą śmiercią Jana Kochanowskiego, a to nietylko w owym Czarnolesie, tak długo wesołym i szczęśliwym, ale w całej Polsce. Mało który człowiek z ówczesnych potrafił sobie tytułu przyjaciół pozyskać, tyle wysłużyć sławy; mało który poruszył więcej łez, wzbudził więcej żałobliwych głosów. Bielski umieścił zgon jego w swojej Kronice; Szymonowicz, Klonowicz, Paprocki, Grochowski, Niegoszewski i wielu innych poetów pienia grobowe nad nim nucili. Ciało jego w wielkim poczcie panów, szlachty i prostego ludu odpro-

wadzone zostało ze czcią do Zwolenia i pochowane obok matki jego i wdzięcznej Orszulki, a strapionej wdowie każdy niósł słowo pociechy; choć ona nieboga już inné odtąd nie znała jak w Bogu i w dzieciach.

W pare miesięcy po śmierci męża powiła pożądanego i obiecywanego syna; pocziwa Nastka zdażyła jeszcze wypiastować go sama; trzymał go do chrztu Jan Zamoyski: dał mu ojca i własne imie. Wychował się szczęśliwie ów pogrobek, „którego oczy ojcowskie nie widziały,“ a gdy dorósł, próbował iść w ślady rodzica poety i wuja rycerza; takie mu przynajmniej daje świadectwo Twardowski w poemacie swoim „Władysław IV-ty.“ Wyliczając wodzów ciągnących na wojnę za młodym jeszcze królewiczem, mówi:

Dalej Jan Kochanowski, który cechowany,  
W Helikonie z Muzami, dotąd się febową  
Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową;  
Porzucił zakąt wiejski, teraz na pogany,  
Od strun wdzięcznych do trąby, od pióra do piki,  
Obok między drugimi stawa wojowniki.

A w tymże samym poemacie później opisuje, jako ów Jan w czasie walnej bitwy pod Cerkwią w takiem był niebezpieczeństwie, że aż mu sam Królewicz na obronę przyspieszył.

Ewa miała czas i porę dowieść drugim i sobie, że jéj serce godne było uczuć i wzbudzić miłość stałą i prawdziwą. Związek jéj z Filipem Owadowskim doznał wielu przeszkód, i nie dla samej podwójnej żałoby odroczony został; sprawdziło się na nim stare przysłowie: „Zwłoka w ożenieniu zawsze bywa szkodna,“ przecież doszedł nareszcie do skutku. Główną przeszkodą stał się testament Podlódowskiego, który choć ręką samego Króla stwierdzony,

po długich prawnych sporach był uznany za nieważny; brakowało mu bowiem konieczniejszego warunku, ważności podobnego aktu: podpisu trzech, a przynajmniej dwóch świadków; ze wszelką tedy prawną słusnością dalecy i bogaci krewni Podlodowskiego rozdzielili między siebie znaczny jego spadek.

Po takim wyroku sądowym, Filip zupełnie ubogi chciał odstąpić ręki Ewy. Pan Franciszek do urazy nie skłonny, cokolwiek przekrzesany między ludźmi, a wstąpieniem matki do klasztoru, zupełny pan Policzny i dwóch innych wiosek, gotów był upomnieć się o dawne prawa swoje; odzywał się także zdaleka, choć ostróżnie pan Krysztof; oświadczał się przez pana Andrzeja z Gródka starszy Mysłowski, który zdawna wielki miał szacunek dla panny Wojskiej, ale ona ani słuchać o żadnym nie chciała.

— Ja nie Studzienicy i dostatkom pana Podkoniuszego, nie temu pierścieniowi, który Turcy tak okropnie porwali, jeno panu Filipowi Owadowskiemu oddałam serce i przysięgłam wiare; on żyje, on mnie zawsze żoną swoją mieć chce: ja za innego póki życia nie pójdę. Albo zakonnicą, albo Rotmistrzową, to moja nieprzełamana wola: mam do jój dotrzymania dwóch ojców naszych błogosławieństwo.

Matka, mimo przedstawień przezornych przyjaciół sprzeciwiać jój się nie chciała; pobrali się więc Filip i Ewa w rok i sześć niedziel po Kochanowskiego śmierci; wesele było ciche, bez kołaczy, bez tańców, w szczupłym gronie bliższych krewnych; stary pan Dobiesław ze łzami w oczach zastępował miejsce swego kochanego Janka... Już ułożono, że w Czarnolesie przy matce mieszkać będą, dopóki pan młody nie upatrzy sobie jakiego kawałka chleba; kiedy nie spodzianie królowa Anna uwiadomiona o tój całej okoliczności, rada okazać szacunek swój zmarłemu poecie, nadała

pierworodnej jego córce Ewie z Czarnolasu i Filipowi Owadowskiemu jej małżonkowi, na przeżycie cztery wioski w Radomskiem, a poznawszy bliżej roztrzonego młodzieńca, używała go do posług swoich. Całe szczęście jakie Ewa marzyła sobie w Studzienicy, znalazła w mniej malowniczym i spokojniejszym Jadowie; lubo brakowało obudwóch ojców, aby się niemi cieszyli, przecież to jej szczęście nie było bez chmur, jakto zwykle szczęście świeckie, gdyż z licznych dziełek, jakimi ją Pan Bóg obdarzył, jedną tylko uchowała córkę: inne w dzieciennym wieku pomarły.

Ludwina na pół roku przed siostrą wyrzekła wieczne śluby swoje. W ostatnich czasach pobytu jej w rodzicielskim domu, Bóg zdaje się jakby z umysłu jej przedstawił wszelkie niedole i troski ziemskiego kochania, ażeby jeszcze tém silniej, tém ochotniej do Boskiego Oblubieńca dążyła. Kwiaty jej wieńca nigdy nie zwiędły, owszem rozkwitały codzien z nowym wdziękiem, bo codzien rosła w pokorze i pobożności, codzien żywot jej ziemski ściślej się zenił z wiecznością; a kiedy pełna lat i dobrych uczynków skończyła tę doczesną wędrówkę, klasztor Sandomirski miał wielką ochotę starania się o policzenie jej w pocze-Świątych Patronek polskich, tak wiele okazała wysokich cnót i dowodów łask nadprzyrodzonych.

Dorota w ośmnastym roku poszła za pana Franciszka, i znalazły się panny w sąsiedztwie co zazdrościły jej losu. Rozrodzili się bardzo ich potomkowie, tak po mieczu jak po kądzieli.

Pan Krysztof trzymał się ciągle posady swojej i nieźle na tém wyszedł. Obyczajem dworskim zgodził się i na „Szwedzika“ skoro go ujrzał w Koronie; umiał nawet pozyskać łaski jego. Posłował do Turek, niemało królewsczyzn nagromadził, i tak dobrze kierować się umiał, że jeszcze względów Władysława IV-go doznawał.



Co do innych osób historycznych, wspomnianych w tych obrazach, jako i o tém, w jaki sposób się spełniły, pożądane lub obawiane wróżby, dzieje krajowe najlepiej nauczyć mogą; chociaż niestety! smutniejsze jeszcze nastąpiły zmiany w Rzeczypospolitéj niżli w Czarnolesie.

---

## PRZYPISY.

Str. 14. *Z Białaczewskich Kochanowska.* Zwyczajnie matkę Kochanowskiego zowią Odrowążówną. Ona była herbu Odrowąż, córką Andrzeja i Anny Białaczewskich z Policzny. Sam Jan tak ją nazywa w pięknym nagrobku, który położył rodzicom w Zwoleńskim kościele, i który tu przytaczam, jak go wypisałam po łacinie w roku 1846, i jak przetłómaczonym został.

*Petro Kochanovio terrae Sandomiriensis judici  
et Annae de Bialaczew ejus conjugii  
Cum ex tinctis beneficii auctoribus, tenuis admodum  
referendae gratiae supersit ratio  
Joannes Kochanovius,  
Parentibus indulgentissimis hunc lapidem jugibus  
rigatum lachrimis posuit.  
Obierunt alter anno XLVII, supra MD, aetatis suae LXII.  
Alter decennio post quinquagenaria VI. filiis  
et filiabus IV. superstitibus.*

Piotrowi Kochanowskiemu, sędziemu Sandomirskiemu  
I Annie Białaczewskiej jego małżonce.  
Gdy po zgaśnięciu dobroczyńców, tak mało pozostaje sposobów  
do okazania wdzięczności  
Jan Kochanowski,  
najlepszym rodzicom ten kamień skropiony łzami położył.  
Umarł ojciec 47 lat nad 1500 rok, wieku swego 62-go.  
Matka w dziesięć lat po pięćdziesięciu, sześciu synów,  
cztery córki zostawiwszy.

Str. 14. *Hanna Dorota Podlowska*. Niektórzy dają jej imię Anny, drudzy, a między nimi Januszowski w dedykacji pism Kochanowskiego zowie ją Dorotą; miała więc zapewne oba te imiona: my ją zwać będziemy Hanną, gdyż tak ją nazywał jej mąż, czego dowód w jego elegii łacińskiej do Biskupa Krakowskiego, w której zaprasza go do Czarnolasu; oto z niej wyjątek przekładu Brodzińskiego:

Tu gdy się miejska wrzawa już cieszyć nie zdoła,  
Zawróć, Myszkowski, wartkie twój kolasy koła;  
Progiem lichego domku nie wzgardzisz, bogaty,  
Bo mają lary swoje i ubogie chaty.  
Indziej, niechaj przysionek zadziwi cię złoty,  
I paryzkiego Skopa kunsztowne roboty;  
Tu masz pokój nadobny, bez musu zabawy,  
Owoc prosto z gałązek i lekkie potrawy;  
Ranne ptaków przetwory i powietrze czyste,  
Zwierciadlane jeziora i gaje cieniste;  
Tu zabawą, jeleniom zastawione sieci,  
Albo lep, w który ptastwo nieobaczne leci;  
A wdzięczna *Hanna moja*, co przez lato zbierze,  
Tak miłemu gościowi poznosi w ofierze,  
Przy stole na skinienia Twoje będzie czuwać,  
I z winem napoczęte kielichy posuwać;  
Skromnie poprosi, byś chciał ubóstwu przebaczyć,  
Gdyby mogła, radaby nektarem cię raczyć.

Podlowskich ród był starodawny i zalecał się zasłużonemi ludźmi i senatorami możnemi. Jan Podlowski był Kasztelanem Żarnowskim r. 1445; Jakób Kasztelanem Radomskim 1460 r. „Wieku mego—pisze Paprocki w herbach rycerstwa polskiego 1584 r. — byli ludzie znaczni w tym domu, na dworze króla polskiego, Rzeczypospolitej zasłużeni, na posługach jej bywając niepodłemi.“ Górnicki w swoim Dworzaninie wspomina o Lupie Podlowskim, mężu wielkich zalet. Stanisław Podlowski wstąpił się jako poseł ziem ruskich na sejmie piotrkowskim 1547 r., ze śmiałością mowy do Zygmunta I.

Str. 15. *Ciennik altana*; mówiono także dawniej *chłodnik*.

— *Różańce z klekoczeki*. *Staphylea pinnata*, nasienie jej wygląda jak paciorki. Różańce ś. Dominik postanowił, który żył w końcu XII wieku i w początkach XIII-go. Różańce bardzo wzięte były w Polsce.

Str. 16. *Drugą odprawę posłów*. Kochanowski jest autorem pierwszego dramatu polskiego pod tym tytułem. Grana była pierwszy raz w Jazdowie pod Warszawą, przed królem Stefanem i królową Anną, na weselu Jana Zamoyskiego z drugą żoną Krystyną Radziwiłłówną, dnia

12 Stycznia 1578. Jest list Kochanowskiego, który pisał przesyłając ją do Zamoyskiego, a w nim te słowa: „.....Posyłam Waszej Miłości tym śmielej chocia niema co, żem to jeszcze z przodku opowiadał, że to nie miało być *ad amussim* (wedle reguł) bo mistrz nie po temu.“ Przecież mimo tej skromności. Odprawa Posłów wielką ma wartość. Spółcześni może jęj zupełnie ani ocenili ani zrozumieli, Stanisławowscy krytycy całkiem nie poznali się na niej, ale zdaniem dzisiejszych znawców jestto doskonały dramat grecki, jakim żadna literatura obca do Ifigenii Göthego poszczycić się nie może; tak co do prostości intrygi, jak co do rozkładu scen, do naturalności dyalogu, piękności i różnorodności wiersza. Kochanowski tak wysoki nawet objawia w niej talent, iż gdybyśmy byli mieli wówczas scenę polską, byłby zapewne jęj ozdobą. Odprawa Posłów dziś odegrana przez takich klasycznych aktorów, jak np. panna Rachel, ze śpiewanemi chórami zrobiłaby niewątpliwie wielkie wrażenie; uznałby w niej każdy prawdziwą *etiudę* grecką (jak ją nazwał Mickiewicz) przez artystę wypracowaną.

Str. 18. *Zemły Wiślickie*. Jeśli wierzyć dawnemu przysłowiu, te cztery rzeczy były w Koronie najlepsze:

Krakowski trzewik,  
Poznańska panna,  
Przemyskie piwo,  
Wiślicka ziemia.

Str. 19. *Staropolskiego piwa*. Wszystkie nasze dawne dzieła i sam język świadczą, jako ten napój najwięcej był u nas używany. *Piwnica* zowie się od piwa; *podchmielić* sobie, od chmielu, który piwu tegość daje, a nawet samo słowo *pić, pijak*, nie wiem czy z piwem niema stosunku.

Str. 19. *Kordyaczny, Kordyaka*, to samo znaczyło co dziś *nerwowy, spazmy*. *Kordyaka* była uważana nietyle jeszcze jako choroba, raczej jak pokusa, którą wszelkiemi siłami ducha zwyciężać należało. „Kordyaczny, pisze Skarga, wesolej myśli nie miał, boleć a wzdychać, serca trzęsienie jakby z przestachu cierpieć musiał, spać dla ciężkości nie mógł,“ wszystko za sprawą złego ducha. Niewyrachowane też to szkody wynikają z zaniedbania ojczywego języka; bez wątpienia owa choroba dobrego tonu, którą wiele kobiet udawało, póki jęj naprawdę niedostały, nie byłaby się tak zagaściła u nas, zwłaszcza w początkach tego wieku, gdyby zamiast mówić: „ma słabe nerwy, cierpi spazmy,“ mówiono poprostu: „dostała Kordyaki,“ a zamiast przepisać podróż za granicę, do wód modnych, żeby byli nakazali modlić się, pościć, iść do spowiedzi, biczować się.



Str. 20. *Pod jednemi znakami niebieskimi.* Nie trzeba zdaje się przypominać, iż wiek XVI mimo całego światła jakim zajaśniał, był jeszcze wiekiem, w którym astrologia, owa nauka gwiazd, a raczej wiara w gwiazdy i w ów wpływ, jaki ich bieg wywierać ma na życie ludzkie, była w największej wziętości. Królowie, najuczciwsi ludzie mieli ją w poszanowaniu. I prawdę rzekłszy, jest coś szlachetniejszego, religijniejszego nawet radzić się gwiazd, jak kart i innych guseł, jak to jeszcze wielu dziś robi. Astrolog przynajmniej w Niebo patrzy.

Str. 21. *Jana Tarnowskiego.* Jeden z najcnotliwszych, z najdzielniejszych ludzi naszych; rodził się 1488 r. za panowania Kazimierza Jagiellończyka, umarł 16 Maja 1561 za Zygmunta Augusta. Kochanowski uczcił pamięć wielkiego męża pięknym rymem o jego śmierci, który napisał do syna jego Jana Krzysztofa. Są w tej pieśni te dwa wiersze, tak szczęśliwie zastosowane niedawno do Niemcewicza:

Nakoniec pełen wieku i przystojnej chwały,  
Sam się prawie położył jako kłós dojrzały.

Str. 23. *Bratanek.* To nazwanie mogłoby bezpiecznie zastąpić u nas francuzkiego *Kuzyna*. Niewiedzieć dlaczego żywimy się i pożyczamy od języka, który nierównie jest uboższy w wyrazy od naszego; na wszelkie stopnie i rodzaje pokrewieństwa, powinowactwa, mamy własne, rzetelniejsze nazwy jak Francuzi; niech przynajmniej niektóre wymienię i proszę je porównać w myśli z francuzkimi:

*Stryj*—brat ojca.

*Wuj*—brat matki.

*Stryjenka, wujenka*—żony ich.

*Ciotka*—siostra matki czy ojca.

*Pociot*—mąż ciotki.

*Synowiec, synowica*—dzieci brata.

*Siostrzeniec, siostrzenica*—dzieci siostry.

*Świekr, siostrzan, szwagier*—mąż siostry.

*Bratowa*—żona brata, *Jatrew*—żona brata mężowskiego, *żołwica*—siostra męża.

*Zięć*—mąż córki.

*Synowa, niewiastka*—żona syna.

*Teść, teścina*—rodzice żony czy męża.

*Prastryj, praciotka, prawuj, prawujenka*—rodzice stryjów, ciotek wujów i t. d.

Str. 24. *W barwę Podlódowskich.* Podlódowscy byli herbu *Janina*, tarcza brunatna w polu czerwonym, barwa była ich takąż. Barwa wtedy nie zawsze znaczyła to, co liberya u nas; był to raczej mundur,

i panowie swoich dworzan i ludzi zbrojnych, których wtedy trzymał każdy możniejszy szlachcic, w barwę herbową ubierali.

Str. 26. *W Carogrodzie Turcy.....* „Podlodowski, którego Król do Turek słał..... był jeździec i gońca dobry, mąż, ktemu osobliwów urody, aż mu się Turcy dziwowali....“ (Bielski, księgi 6.)

Str. 27. *Nie wieczerzamy dla Piątku.* W owym czasie posty były tak ściśle zachowywane, jako i ów przepis jedzenia raz tylko na dzień, że nawet u dworu królewskiego w Piątki nie bywało wieczerzy. Henryk Walezy winien był temu zwyczajowi łatwiejszą ucieczkę swoją z Krakowa. Dowiedziawszy się o śmierci brata swego króla francuzkiego, po którym panować miał; z Czwartku na Piątek, 17 Czerwca 1574 r. dla niepoznaki, że się do ojczyzny wybiera, dał wielką ucztę z tańcami, gdzie wesołością chciał pokryć swoje zamysły, nazajutrz zaś w Piątek, pod pozorem że wieczerzy niema, zamknął się niby w swoich pokojach, a w rzeczy zemknął.

Str. 29. *Tatarzyn tu nie pładrował.* Ponieważ w tych obrazach będzie częsta wzmianka o Tatarach, nie zawadzi może coś o tój dziczy powiedzieć. Przed wiekiem XIII-tym nie było słyhać o Tatarach; obszerne kraje w Azji, dziś Tatarją mianowane, Grecy wielką Scytyją nazywali. Wiedzieć nie można źródła nazwiska Tatar, między sobą zowią się Mogołami. Dżengis-Chan dał początek panowaniu Tatarów Mogolskich w Azji, i rozszawił ich imię. W przeciągu lat dwudziestu podbił całą Scytyją, część Chin północnych, obie Bakarye, Indostan, Persyą, a około roku 1223 dżicz jego doszła aż do Dniepru. To była pierwsza wyprawa Tatarów ku tój stronie. Wnuk jego Batu-Chan dalej sięgnął panowanie swoje, około morza Czarnego aż do ujść Dniepru, Dniestru, a nawet Dunaju rozciągnął; Podole całe swemi hordami Tatarzy okryli, i rządili te krainy przez swoich baskaków czyli starostów. Ukłękła Ruś pod ich jarzmem; książęta Rusczy jeździć musieli do najwyższej czyli złotój hordy, aby albo śmierć, albo potwierdzenie godności swoich uzyskać. Roku 1240, za panowania Bolesława Wstydliwego, Tatarzy napadli Polskę, Węgry, Szląsk, paląc wsie, miasta, zabierając zdobycz obfitą i mnóstwo ludzi zaprowadzając w niewolę, a jak oni mówili w *Jassy*. Ukraina i Podole zamieniły się w okropne pustynie; nareszcie Gedymin książę litewski, przygnębionych potęgą Tatarów książąt ruskich pokonał, a Olgierd syn jego, wypędził Mogołów z Podola, z południowej Ukrainy, i na długi czas od ich napadu się ubezpieczył. Waleczny Witold, synowiec jego a brat naszego Jagiełły, około roku 1397 wyprawił się na Tatarów ku Donowi, zwyciężył ich w ich hordach, nabrał ich wiele z żonami i z dziećmi, osadził koło Wilna, i dzielnych żołnierzy z nich poczynił; a choć później sam od Ta-

merlana porażony, przecież został przy zwierchnictwie nad Tatarami Zadnieprskimi, którzy długo hołdowali królom polskim i stawali z wojskami swemi na ich zawołanie. Za panowania też Witolda w Litwie, a Jagiełły i synów jego w Polsce, zakwitnęły Podole i Ukraina przemysłem i handlem; zasilały zbożem Carogród, do Cypru szły ładowne polskiem zbożem okręty, a Tatarzy kiedy chcieli dla paszy bydło swoje na drugą stronę Dniestru przepędzać, opłacać się musieli panom polskim. Lecz zdobycie Carogrodu przez Mahometa II sułtana tureckiego, r. 1455, zmieniło całą postać rzeczy. Mahomet hołdował Tatarów, niegdyś hołdowników Polski, i odtąd zaczęły się ich napady na krainy nasze, opieką turecką wspierane. Za króla Aleksandra aż pod Wilno doszedł ten wylew krwawy, i zaledwie mężstwem Michała Glinńskiego wstrzymany został. Zwycięstwo pod Wiśniowcem r. 1520 przez Konstantego Ostrońskiego odniesione, ukróciło ich na czas jakiś, atoli z początkiem panowania Zygmunta Augusta, znowu straszliwie płądrować zaczęli, dopóki ich nie poraził na głowę Jan Tarnowski 1549 r. pod Tarnopolem. Zygmunt August ujęty smutnym stanem południowych krain swoich, i poświęceniem się szlachty i panów tamecznych, często bezowocnem, przedsięwziął różne środki obrony: czwartą część dochodów królewskich oddzielić kazał na utrzymanie żołnierza do strzeżenia granic, z kąd ten żołnierz *kwarciannym* został nazwany; przeznaczył lustratorów dla opisania miejsc i zamków Ukrainy, i na oznaczenie *szlaków* czyli dróg, któremi Tatarzy zwykli byli wchodzić i iść przez Polskę; ale niedobrze wykonano te mądre urządzenia, krainy te prawie ciągle były trapione i niespokojne, a w czasie bezkrólewia po Henryku, okropny znowu wytrzymały napad; opisał go wymownie Kochanowski w pieśni VII księgi I, zachęcając Polaków do starcia tej plamy.

Za Stefana Batorego już nie szło owęj dziczy tak łatwo; dwa razy się kusili: raz w r. 1577, ale odparł ich książę Zbaraski, mając sobie nadesłane od króla z pod Gdańska posiłki; drugi raz w r. 1582 zamysłali o najeździe; lecz uprzedził ich mądry hetman Zamoyski; Sieniawskiemu pilnującemu granic Rusi posyłając 22 chorągwi: ulękli się i zamiaru zaniechali. Obmyślono im też stałe przedmurze, zajęto się stawieniem fortec na Podolu i Ukrainie, Król założył Korsuń; Zamoyski własnym kosztem wznosił Szarygród; zresztą w nieustannych prawie był Stefan Batory rokowaniach z Tatarami: gdzie się obrócił, wszędzie posłów ich zastawał, a lubo jeszcze oswobodzić nie zdołał Rzeczypospolitej od *donativum* a raczej od podatku, który im opłacała, byłby tego pewno z czasem dokazał. Krzycki, Bielski, Gwagnin, pisarze za Zygmunatów i za Batorego żyjący, tak mówią o Tatarach: „Naród ten zupełnie jest różny w swym sposobie życia od innych, oni ani orzą, ani

sieją, ani mają miast i siedlisk pewnych, z miejsca na miejsce przenoszą się, przyzwyczajeni na wytrzymanie głodu, zimna i gorąca; całe ich upodobanie w rozboju i rabunkach; dzielą się na hordy, każda do stu tysięcy jeźdźców do boju wystawić może; w napadach swoich dobywaniem zamków bawić się nie lubią, spaliwszy wsie i miasta, nabrawszy zdobyczy, wracają do siebie... Chorągwie ich z końskim ogonem, w ciągnięciu nierządnie idą, kędy kto chce; lud jest bardzo nikczemny i ledwie połowa ich jest coby łuki mieli. Pancerczów ani zbroi żadnej nie noszą, jedno w siermięgach czyli opończach się włóczą, a który łuku niema, kość kobyłą uwiąże u kija i tak z tém jedzie. Niczém nie stoją, jedno liczbą a prędkością swoją, i tém, że wielką nędzę ścierpieć mogą. Głodu ani pragnienia się nie boją, trzy dni bez jedzenia i wody trwać potrafią. Konie ich także, gdy jedno trawy zjedzą z rosą, kilkanaście mil ubiedz gotowe, a ponieważ ich mają wiele na podwodzie, gdy mu jeden ustanie, na drugiego wsiada, tego rzuca, a idący za nim biorą go i jedzą, bo kobyle mięso pod kulbaką rozparzone, największym u nich przysmakiem... Dzisiejszy pisarz, wieszcz nasz ulubiony, tak w Kursie literatury Słowiańskiej w Kollegium Francuzkiem mówił o Tatarach: „Stepy Azyi, dziś jeszcze noszące nazwisko Tatarii, wielokroć są większe od całej Europy; ludność ich nie wynosi nad cztery do sześciu milionów, ale każdy mężczyzna jest żołnierzem. Tu zdaje się mitologia grecka mieściła swój Tartar, owe źródło wszystkich klęsk i nieszczęść. Ztąd także, wedle mniemania uczonych, pochodzi bajeczny Centaur, obraz ludzkiej natury, zaledwie wzniesionej nad bydlęcą. Tym człowiekiem-bydlęciem, tym Centaurem jest Tatar. Budowa jego ciała rozwinięta lepiej u góry, niema dostatecznej podstawy; nogi słabe i źle uformowane zdają się mu służyć tylko do objęcia konia, na którym ciągle żyje, i z którym jakby jedną całość składa; głowa niekształtnie okrągła jest niby ciężarem przydanym dla utrzymywania równowagi w pędzie. Prócz zwierzęcej namiętności nic się nie wydaje w jego wzroku; blask czarnych jego oczu podobny jest do gasnącego węgla. Żadnych pojęć umysłowych, żadnego uczucia, żadnych wyobrażeń religijnych nie widać w Tatarzynie. Najmniejszego śladu mitologii i religii pierwotnej niemasz u Mogołów. Starożytni, którzy wspominają o tych ludach, mówią że czciły one miecz, jako znak siły materyalnej.... Ród ten zresztą może uchodzić za ideał ślepego posłuszeństwa, i to zdaje się stanowić całą zasadę jego organizacji społecznej... Mogoł wrodzonym instynktem zgaduje wyższość drugiego i poddaje się jej bezwarunkowo. Maxyma dyscypliny militarnej wyciągnięta z długiego doświadczenia, jest u nich skutkiem skłonności naturalnej.... Naczelnik każdy przychodził na świat



wodzem, sztukę strategii posiadał do wysokiego stopnia... Dżengis-Chan siedząc pod gwiazdą polarną, dawał rozkazy dwom armiom, z których jedna niszczyła Indye, druga Niemcy.... Często nawet bez rozkazów wodzowie niżsi zgadywali plan ogólny poruszeń; całe wojsko, całe to plemię prowadził zawsze instynkt niemylny zwierząt drapieżnych.... Gdybyśmy się teraz zapytali, jaki był zamiar wypraw Mogolskich w najdalsze strony świata, trudno byłoby dać odpowiedź? Wodzowie ich nie przywiązywali żadnej ceny do bogactw, których zdawali się szukać. Zniszczenie było jedynym ich widocznym celem. Na radzie jednego z tych wodzów roztrząsano z zimną krwią, czy nie należałoby ludność całej Persyi wyciąć i kraj w pastwiska zamienić?... Władcy Mogolscy zapowiadali zawsze, iż są powołani karać świat, upokorzyć go i wytępić... Wiara ta jeszcze nie wygasła w rodzinie Dżengis-Chana... Łatwo tedy pojąć, jakiem niebezpieczeństwem groziły ludzkości te straszne hordy. Przez kilka wieków Słowianie wstrzymywali ten okropny napad całego plemienia...“

*Mickiewicz, 3-cia lekcya.*

Str. 30. *Rutki siać nie będzie.* Po staropolsku znaczyło to, że stara panna nie zostanie.

Str. 31. *Płonista—fałdzista, szeroka.*

Str. — *W lubistku ją kąpałam.* Lubystek, lubczyk *ligusticum*, krew czyści i do kąpieli służy. Jest wiara w pospółstwie, że dziewczęta w nim z dzieciństwa kąpane, podobają się mężczyznom.

Str. 33. *Na te zalecanki.* Zalecać się, zalotnik, zalecanki, nielepszeż to wyrazy od owych używanych pospolicie: *adorator, kurę palić, kurę robić*, któremi nasz język potoczny szpecimy.

Str. 34. *Za moją Patronką.* Oto jest w skróceniu żywot świętej Ludwiny, wyjęty z dzieła księdza Piotra Skargi: „Ludwina, Holenderka z miasteczka Schiedam, urodziła się z ubogich rodziców, którzy ręką chleba szukając, bogobojnie żyli przykazanie Boże pełniąc, a nikomu się nie przykrząc. Gdy lat miała dwanaście, do małżeństwa świętego starali się o nią niektórzy bogaci, przez urodę i piękne a wdzięczne jej obyczaje i dowcip do rzeczy domowych. Ojciec jej Piotr przyzwalał na to, chcąc ubóstwa swego przy niej poratować; ale ona prosiła ojca, żeby jej raił męża, jedno Chrystusa, któremu się oddać umyśliła. Co słyszając ojciec i matka, święte jej myśli pochwaliwszy, nigdy jej potem z tym przykrzy nie byli, nie się na swoje ubóstwo nie oglądając. A ona pilniej się świata strzegła, kryjąc się od ludzi i od innych próżności. I zdobyła się na wielką prostotę, nabożeństwo i gorącość miłości Bożej. A mając lat piętnaście, nawiedził Pan Bóg niemocą; w której ona wszystkę piękną urodę straciła; i tym, którzy ją radzi widzieli

i małżeństwa jęj pragnęli, od myśli odpadła. Co Pan sprawił, Ten, który piękne dusze miłuje, chociaż w ciele niepięknem, dla bezpieczeństwa jęj większėj. Gdy trochę wzmagała, dała się raz namówić towarzyszkom, iż z niemi do rzeki wyszła patrzeć na lód. Gdy inne biegały igrając, jedna z prędkiego biegu cicho stojącą Ludwinę trąciła, i słabą a niemocą zwałoną na lód wepchnęła, na którym się srodze stłukła i żebro jedno złamała; doniesiona do domu legła na łóźku, z którego do śmierci przez lat 38 nie wstawała.

Ręka była i wola Boża na taką niemoc, która wszystko przyrodzenie przechodziła. Poczyniły się jęj wrzody, które jęj sprawiały boleści nieznośne i niezleczone, a im je więcej leczono, tēm było gorzėj; i utraciwszy na lékarstwa ubogą majątność, rodzice jęj Bogu ją oddawali. A ona boleść okrutną cierpiąc, a we dnie i w nocy pokoju niemając, już codziēn umierała, a ból tak jęj wszystkie członki targał i rozbierał, iż się w żadnym kącie zostać nie mogła, po ziemi się wijąc i kurcząc. I rozmaite niemoce, choroby coraz inne na nią przychodziły i trapiły ją, a ona tak w Panu Bogu trwała. Cztery lata piérwsze z niejaką tęsknością jako człowiek zносиła, ale gdy do nięj kapłan jeden przyszedł, imieniem Jan Pot, jako od Boga posłany i upominał ją: do cierpliwości Chrystusowėj; do rozmyślenia męki, prac, frasunków, zelżywości Jego, ona to obiecała i starała się czynić. Ale jeszcze Duch Św. nie osłodził jęj był onego krzyża, wracała się do gorzkości i do świeckiego żalu. Przyjdzie drugi raz do nięj on kapłan i pyta: „jeżeli się już przyuczyła cierpliwości, a jeżeli się nauczyła Chrystusowėj miłości?“ a ona rzekła: „Dobrze ty mnie radzisz, Ojczy miły, ale ciężkość chorób moich nie dopuści mi, abym co słodko o Chrystusie Panie moim myśleć mogła.“ A kapłan widząc dobrą wolę jęj, rzekł: „Córko, wysłucha cię Bóg, pocznij jedno, trochę zmuszenia sobie uczyn: wołaj, pracuj: wygrasz. Światem tym, urodą którąś miała, i wszystkiemi pochlebstwami krótkiego tego wieku, wżgardzaj mocno, a mów: by mi się to wszystko wróciło, i to czegom nie miała przyszło, za odrobinę pociechy duchownej w Chrystusie przedałabym to. A iż siła twoja mała, patrz na Chrystusa ukrzyżowanego, da On tobie czegoś potrzeba do pomocy w duchu, i wleje w serce twoje pociechy, i podniesie je do świętych myśli.“ Co słysząc panna, już do naśladowania Chrystusa się wzmagała. A gdy trzeci raz do nięj przyszedł niosąc Najświętszy Sakrament, gdy jęj rzekł: „Do tego czasu jam cię do rozmyślenia Męki Pańskiej wzbudzał, teraz niech sam Chrystus mówi do serca twojego; jeżeli Go usłuchasz, będziec zapłatą wielką twoją.“ Zatem się pannie takie łzy rzuciły, iż przez dni piętnaście pohamować ich nie mogła. I od tego czasu im niemoce cielesnej przyby-

wało, tём się duchownej siły przyczyniało; nie jęj już nie smakowało, jedno Jezus ukrzyżowany. I dzieliła sobie mękę Jego na siedm części, i we dnie i w nocy z myśli jęj nie spuszczała, zegar wszystkich godzin w gło-wie swojej mając. I tak w onęj gorącości Męki Pańskiej zapalona była, iż mówiła: „Nie ja cierpię, ale we mnie Chrystus.“ A najokropniejsze boleści z dzięką cierpiała i prosiła jeszcze, aby jęj cierpienia przybywało, i gdyby była mogła onę całą niemoc jedną Zdrowaś Marya odegnać, uczyniłby tego nie chciała, tak jęj karanie ono Pańskie miłe było.

Raz w mięsopusty, gdy ludzie szaleją i Pana Boga obrażają, prosiła, aby jęj za grzechy ludzkie jeszcze niemocy się przyczyniło. I wnet w kolano wielki jęj i nowy ból przypadł aż do Wielkiej-Nocy. A gdy w mieście było powietrze, za ludzi się modląc, odniosła nowe dwa wrzody pod sercem i na gardle, zaco dziękując o trzeci prosiła w imie Trójcy Św. I wnet się ukazał wrzód szpetny na jagodzie, z czego się uradowała. Potём się dwa zleczyły, ale trzeci trwał zawsze. Prawie nie spała i nie jadła. Jabłka czasem trochę skosztowała, albo z mlékem kruszynę chleba poł-knęła z wielką boleścią. Matka jęj umierając o modlitwę jęj prosiła. I gdy umarła, ona pas z włosiennicy na się włożyła, za nią pokutując. A co po nięj zostało ubóstwa, ubogim rozdała i pościółkę, sama na słomie i desce przestając, w ciasnej komórce. A Pan Bóg kapłana do nięj jed-nego posłał, na imie Werbolda, który duchowną i cielesną jałmużną ją opatrzył, i na kazaniu ludzi zgromił, iż onego tak niewinnęj panienki niedostatku nie opatrowali. Wielkie pociechy duchowne miewała, ale czasem je traciła i w smutku zostawała. Co gdy przypadało, z aniołem swoim rozmawiała pytając go: „Gdzie-li poszedł Najmilszy mój odemnie? rychło-li przyjdzie do serca miłością Jego zranionego? Pozdrów odemnie Najświętszą Matkę Jego, apostoły, męczenniki, panny i inne.“ I tak się cieszyła, a widomie czasem Anioły widziała i niewymowną pociechę od-nosiła. I często bywała w zachwyceniu, na dziwnie wesołe rajskie miejsca prowadzona była.

Gdy jęj bole i niemoce trochę wytchnąć dały, języka na zbudowanie bliźnich używała. Mawiała i radziła: „Kto chce aby go Duch Boży rządził, niech będzie posłuszny kościołowi i spowiednikowi swemu, przez którego Chrystus go sprawuje.“ Gdy się kto użalał nad jęj ubóstwem, i pytał czego jęj potrzeba? mawiała: „Mam dosyć, przestając na tём co jest; jeżeli bogactwy z drugimi nie zrównam, ale ubóstwem zrównam, za które Panu Bogu dziękuję.“ Gdy jęj kto rzekł: „Ciasną masz komórkę, zbudując lepszą.“ Ona odpowiadała: „Ja na těj przestanę, ale kto tu po mojęj śmierci szpital na tём miejscu zbuduje, prosić będę Pana Boga, aby się jałmużna jego obficie do niego wracała.“ I tak się stało. Wiele

Duchem Bożym wiedziała i opowiadała. Wielu przykładem swoim nawróciła i wzięła koronę cierpliwości swojej dnia 14 Kwietnia 1433. Po śmierci jej, ciało wszystko całe, piękne, bez żadnego wrzodu i ułamku znalezione jest, jakoby je żywymi farbami umalował.“

Str. 36. *Mógł być kasztelanem.* Niema podobno nikogo, coby nie wiedział, że Jan Zamoyski nie mogąc znieść, aby człowiek taki jak Jan Kochanowski przestał na skromnej wiosce ojczystej, wyrobił dla niego Kasztelanią Połaniecką i przywilej mu na nią posłał. Podziękował obudwom Kochanowski za łaskę, ale honoru nie przyjął, mówiąc: „iż nie chce puścić do domu dumnego i wiele potrzebującego Kasztelana, któryby wnet to wszystko przemarnował, co zebrał Kochanowski.“

Str. 37. *Jego pieśni śpiewają po kościołach.* Prócz Psalterza, którego są wydania z r. 1579, są jeszcze: „*Hymny kościelne Kochanowskiego, cokolwiek się ich w Breviaryach rzymskich teraz znajduje i niektóre inne z dawniejszych co przedniejsze z łacińskiego przełożone i za tym trzecim wydaniem na niektórych miejscach od autora poprawione.*“ Rzadki egzemplarz tych hymnów posiadała biblioteka Puławska.

Str. 38. *Chyba w jednej Jasnogórze.* Jasnogóra, pospolicie Częstochową zwana, głośna na całą Słowiańszczyznę katolicką, należy zapewne do miejsc najobfitszych w drodze dla nas pamiątki; do jej odwiedzenia nie jedno serce polskie wzdycha dziś, jak niegdyś pielgrzymi do miasta świętego. Położona w dzisiejszem Królestwie Polskiem, niedaleko granic Szlązka, na lewym brzegu Warty, w wesołej i uprawnej jest okolicy. Do samego prawie końca XIV-go wieku była to przecieź naga skała, którą może dlatego *Jasną* zwano. Ale w roku 1392 w Sierpniu, Władysław książę Opolski chcąc szacowny obraz Matki Boskiej cudami słynący, i jak mówią św. Łukasza roboty, osłonić od Tatarów napaści i bluźnierstw, umyślił przenieść go ze zamku Bełzkiego na tę górę; i tym końcem wystawił i uposażył kościół i klasztor, i oddał go przywołanym z Węgier zakonnikom reguły św. Pawła. Wnet to miejsce słynąc zaczęło i wabić lud pobożny. Przybywali ubodzy z modlitwami, bogaci z datkami. Władysław Jagiełło przybudował kaplicę, w której ołtarzu hebanowym złożony został święty obraz i jest do dziś dnia. Maciej Łubieński arcybiskup Gnieźnieński, zbudował kościół obszerniejszy od dawnego, własnym kosztem, mając wzgląd na coraz liczniejsze pobożnych Słowian pielgrzymki. W roku 1430 Hussyci Czescy, nieprzyjaciele katolickiego wyznania i czci obrazów, wpadli do Jasnogóry, zrabowali ją, porwali obraz, twarzy świętej dwa cięcia dotąd znamienite zadawszy, ale obraz cudownym sposobem wrócił się do rąk księży Paulinów, i na nowo osadzony w hebanowy ołtarz, w kaplicy Jagiełły,



odtąd wznowioną cześć od wiernych odbierał. Dla osłonięcia tego miejsca i zawartych w nim skarbów od napaści nieprzyjaciół, zakonnicy wzięli się do opasania go murami; pomogli im i rozszerzyli ich prace królowie polscy: Władysław IV i Jan Kazimierz, uznając je przydatne na fortecę. Wzniosły się tym sposobem dwa miasteczka: jedno w obrębie murów, drugie za murami, Starą i Nową Częstochową zwane; i wnet wstawiło się to miejsce w dziejach wojny. Szwedzi pod Karolem Gustawem napadli Polskę; zwątpił król Jan Kazimierz, zwątpili obywatele; wszędzie słaby opór najeźdźcy znajdowali. Jasnogóra Częstochowska niemając więcej nad 150 żołnierzy i 70 zakonników, umyśliła się bronić, ożywiła ją mocna wiara: że Matka Niebieska synom broniącym matki ziemskiej, pomoc Boską uprosi. Ksiądz Przeor Augustyn Kordecki i Stefan Zamoyski miecznik Sieradzki, który się tam był schronił z całą rodziną, wzięli dowództwo i powiodło im się. Odparci Szwedzi ze wstydem przy odgłosie śpiewanych psalmów na wieżach N. Panny. To zwycięztwo podniosło ducha w narodzie, ośmieliło do zawiązania sławnej Konfederacji Tyszowieckiej. Gdy pod przewodem Stefana Czarnieckiego Szweda wypędzono, Jan Kazimierz przybył z Maryą Ludwiką dziękować Matce Boskiej, ślubował otrzymać upoważnienie Papieża do oddania Jęj uroczyste całego kraju w opiekę, i mianowania Jęj Królową Polską; umyśliwszy zaś mocniejszą warownią z Częstochowy uczynić, sam we własne ręce wziął rydel i motykę i rozpoczął robotę. Za panowania Augusta II, w skutek bulli Ojca św. Klemensa XI, roku 1717, ślub Jana Kazimierza został dopełniony. Odbytą została koronacja obrazu Najświętszej Panny 8 Września w obec 150.000 pobożnych. W roku 1806 zajęli Częstochowę bez oporu Francuzi. W roku 1813 z rozkazu cesarza Aleksandra zniesioną została warownia. W r. 1817 zaświtał jeszcze piękny dzień dla Jasnogóry, stuletni Jubileusz koronacji obrazu. Znakomity w religijnym i literackim zawodzie Jan Paweł Woronicz, wówczas biskup krakowski, zjechał dla przewodzenia temu św. obrzędowi. Lud cisnął się zewsząd, trudno było policzyć pielgrzymów, ale samych komunikantów rozdano wtedy 123,400. Co też będzie 8 Września 1917 roku? Dziś żyjący w proch się rozsypiemy, ale będą, da Bóg, pobożne i szczęśliwsze wnuki!

Str. 38. *Kozak*. Kiedyśmy o Tatarach dosyć obszernie wspomnieli, nie zawadzi może i o Kozakach coś powiedzieć. Był-to lud wojenny, poetyczny, właściwych sobie obyczajów, do wolności i do wiary greckiej z zapałem przywiązany; początek jego, jak się zdaje, ze zbiegów różnych krain, którzy w XIII-tym wieku, w czasie wielkich wojen osiedli w *ostrowiach* czyli wyspach na Dnieprze będących (których-to

wysp ziemiopisarze nasi liczą do siedmiudziesiąt, a których część za *poroćami* czyli spadami Dniepru położona, *Zaporohem* czyli Zaporozem przezwaną została). Nazwę *Kozak* dali im Tatarzy, gdyż *kozak* w języku tatarskim znaczy lekki jeździec, a owe zbiegi dosiadłszy rączych ukraińskich koni, nieraz pomyślnie Tatarów gonili. Jakiemi stopniami wzrastali w liczbę i siły, wiedzieć z pewnością nie można; poezye ich świadczą, że zdawna mieli bohaterów swoich; w naszej historii dopiero za Zygmunta I go jest mowa o Kozakach, jako o ludzie ruskim podległym panowaniu królów polskich. Król ten rozszerzył im ich ziemie od Zaporozia, obdarzył przywilejami, zachęcił do obsiadania w *słobodach*, to jest w wolnych na lat kilkadziesiąt od wszelkich powinności osadach; przełożony ich Ostafiej Daszkiewicz w Czerkaskach mieszkający, na sejmie 1522 r. przekładał Zygmuntowi: żeby zawsze na wyspach Dniepru utrzymywał ze dwa tysiące ludzi zbrojnych, którzyby na czajkach czyli łodziach wstrzymywali przeprawę Tatarów, i inne życzliwe dawał rady, których Polacy niestety prędko zapomnieli; i można rzec śmiało, że do Stefana Batorego Kozacy niewiele byli przydatnymi Polsce, i raczej łotrostwem niżli porządnem rzemiosłem wojennem się bawili. Stefan dopiero w r. 1576 w zupełną milicją ich zamienił, zamek Trechtymirów z przyległemi okolicami im nadał, i pozwolił rozszerzyć słobody aż do Kijowa, do czego im jeszcze 20 mil kraju około Dniepru przyczynił; wtedy stolica ich z Czerkas przeniosła się do Trechtymirowa, a sąsiedni i niedostępny Monaster stał się składem ich skarbów, przywilejów i broni. Podzielił ich król Stefan na pułki, postanowił Atamana czyli Hetmana, Assawułów i innych urzędników. Mianowanie hetmana królom polskim zostawił, a pierwszego mianował księcia Bohdana Różyńskiego, dając mu za znaki godności: chorągiew królewską, buńczuk, buławę i zwierciadło. Obowiązkiem jedynym Kozaków była służba wojenna, którą własnym kosztem odbywać musieli; Król tylko podczas wyprawy przysyłał dla każdego Kozaka pułkowego, dukata, skórę wołową a czasem i kozuch. Tenże król Stefan przepisał, aby właściciele włości ukraińskich, nie bronili jednemu z synów każdego rolnika zaciągnąć się do milicji kozackiej, złożyła się ich wnet niezmierna siła, z których Polska miała dzielną przeciw Tatarom zastawę....

Ale niestety! za następnych panowań podwójny ucisk panów polskich i Wiary katolickiej nad grecką, to sprawił, że w czem była Polski potęga, ztamtąd osłabienie jej sił, a potem zguba i upadek początek swój wzięły!... Nie wchodząc w te smutne szczegóły, niepotrzebne do niniejszej powieści, wolę okrasić znowu te przypisy wyjątkiem z trze-

ciej lekcji Mickiewicza: o Ukrainie, o Kozakach i ich poezyi: „Pośrodku między państwami Mogołów i Turków, Rusi i Polski, leży kraj nierozgraniczony, wielce zajmujący dla historyi i literatury... Od dolnego Dunaju, prawie od miasta Belgradu, ciągną się z jednej strony w okół brzegu Karpatów, z drugiej nad morzem Czarném, za Dniepr i Don aż do Kaukazu, szerokie stepy... Trudno jedném nazwiskiem oznaczyć tę niezmierną przestrzeń... Różnym częściom tego kraju starożytni dawali nazwisko Małej Scytyi, Rusini małej Rusi, Polacy aż tam szukali granic małej Polski. Obszerna część tej ziemi nosi imię *Ukrainy*, co znaczy kraj pograniczny... Pustynia bezludna, zasiedlana czasem, znów ogołacana z mieszkańców, ale zawsze żyzna i pokryta bujnem zielskiem, służyła od wieków za pastwisko dla koni przechożych barbarzyńców.... Jest-to wielka arterya, wiążąca Europę z płaszczyzną Azji środkowej; tędy życie azyatyckie wlewało się do Europy, tu trącały się o siebie te dwie części świata... Ptaki przelotne, owady wędrowne, powietrze morowe i hordy drapieżne ciągną tym szlakiem... Narody, które chciały stawić zaporę najściom, albo rozprawić się między sobą, schodziły się na tém powszechném bojuisku... Tu spotykały się wojska Wschodu, w armiach Daryusa i Cyrusa, Rusi i Polski... Tu wziął swój początek lud wojenny, znany pod nazwiskiem Kozaków, złożony ze Słowian, Tatarów i Turków.. Kozacy mówią pośrednim językiem między polskim i ruskim; przechodzili kolejno pod panowanie Polaków i Rusinów, niekiedy oddawali się Turkom... Płaszczyzny ukraińskie są stolicą poezyi lirycznej. Ztąd piosnki nieznanomych poetów oblatywały często całą Słowiańszczyznę. Kozak siedząc przy swojej ziemiance albo budzie z trzciny, słucha w milczeniu, jak koń jego pasący się niedaleko żuje trawę, puszcza wzrok po zielonym stepie i дума, marzy o bojach, które się tu odbywały, o zwycięztwach i klęskach jakie tu zajdą i t. d.“

Str. 39. *Zawijka*, szal po dzisiejszemu; *duchenka*, czepek nocny.

Str. 39. *Wszystkie stany*. Mało kto, niestety! w naszej Polsce myślał przed Bogiem i przed ludźmi liczyć do stanów, miejski i kmiecy; i pokutujemy za to zapomnienie. Jeszcze w roku 1705 bito numizmata z takim napisem:

Jedność troistej ręki niezłamana siła,  
Pan, senat i rycerstwo u Polaków była.

Str. 39. *Starego Gomółki*. Mikołaj Gomółka muzyk i kompozytor polski, ułożył nutę do psalmów kościelnych; umarł 1500 roku za Zygmunta I-go.

Str. 41. *Białemi onuczkami*. Nie wszystkim już jest dziś wiadomy ten rodzaj obuwia, lubo jeszcze używany od wielu, zwłaszcza w pro-

stactwie. Są to kawałki płótna, któremi stopa się owija w zastępstwie pończoch. Osoby używające onuczek utrzymują, że byle płótno było codzien świeże a miękkie, obuwie to milsze jest od pończoch i lepiej nogę strzeże od odcisków i nagniotków. Wreszcie za czasów Kochanowskiego, pończochy rzadkiem były zjawiskiem, i te co noszono, nie były takie jak dzisiejsze, ale szyte, najczęściej sukienne. Elżbieta królowa angielska, w owym czasie panująca, podobno jedną tylko parę miała jedwabnych; u nas dzianie ich na drutach upowszechniły królowe saskie, i zapewne dopiero z francuzkim strojem upowszechniły się między naszymi mężczyznami.

Str. 42. *Nawinnego*. Polak był zawsze datny, a język jego bogaty; mamy więc różne wyrażenia na rozmaite dary: *kolenda* na nowy rok, *wiązanie* na imieniny, *zalotne* od kochanka, *gościniec* z drogi, *nawinne* za dobrą wiadomość i t. p.

Str. 43. *Jej Miłość, Jego Miłość*. Dziwnym i podobno w żadnym kraju nieużywanym obyczajem, taki wówczas najpowszechniejszy był tytuł dla pań i panów. Z czasem przerobiło się to na Jegomość, Jejmość, i na nic nie znaczącą Imość. Z Waszjéj Miłości, zrobiła się Waszmość, Waszeć, Waść, Wać, Waćpan, Wacpan, Wasan, Asani. Asindzi i Aśéka powstały ze skróconych Waszmość Pan Dobrodziej, Waszmość Pani Dobrodzika.

Str. 43. *Pod ulubioną lipę*. Lipa Kochanowskiego wszystkim jest znana; każdy lubi wystawiać sobie poetę pod jej cieniem. Często on ją wspomina w swoich pieśniach, i kilka osobnych do niej napisał. Mylnem podaniem urosła wieść, jakoby ją w końcu zeszłego wieku świętokradzka ręka ścięła. Jest jeszcze dziś w Czarnolesie, a przynajmniej był w 1826 r., stary gospodarz nazwiskiem Pierzchała, który pamiętał, jako się wyróciła sama spróchniawszy zupełnie. Miejsce gdzie stała, mieszkańcom Czarnolasu dotąd jest wiadome.

Str. 44. *Przy ogromnym kominie*. I o tym kominie pisał nieraz Kochanowski, między innemi tak kończy list do przyjaciela z dnia 6 Października 1581: „Tak my sami na wsi, kiedy już zasiejemy, komin w koło obsędziemy, a lada co mówimy i piszemy.“

Str. 45. *Na Fiedora i na Borzuj*. Kochanowski naśladował z Widy powieść wierszem pod tytułem *Szachy*. Bohaterami jej są Fiedor i Borzuj, zalotnicy królowej duńskiej; wygrana w szachy ma stanowić, któremu z nich piękna Anna się dostanie. Fiedor wygrywa. Sztuki szachowe prócz króla i królowej nazywano inaczej wówczas jak dziś: wieża zwała się *rochem*, słoniem, konik *rycerzem*, laufer *popem*, piony *draby*, *pieszki*, albo *chłopki*. Kiedy król rokował, mówiono: *idzie do kuchni*.



Str. 46. *Obraz Zbawiciela... dziewięć muz.* To połączenie w owym czasie było bardzo pospolite. Wiara mocniejsza była w sercach niż może dziś jest, ale i zabytki mitologiczne nierównie więcej cenione i przytomne.

Str. 47. *Ochędostwo* to znaczyło co dziś *toaleta*.

Str. 47. *Snopek wiosenny.* Do XVIII wieku nikt nie używał dziś tak pospolitego wyrazu bukiet; mówiono: wiązka, snopek, pęk kwiatów; girlanda była *równianką*; korona z kwiatów *wieńcem*.

Str. 49. *Szlachetnego Bekiesza.* Kasper Bekiesz, pan Siedmiogrodzki, tyle znakomity, że się ubiegał z Batorym z bronią w rękę o tron swojej ojczyzny. Batory zwyciężył. Bekiesz musiał uciekać, ale gdy Stefan już Królem Polskim będąc, Gdańszczan do posłuszeństwa przymuszał, Bekiesz przybył do niego, do Prus, i ofiarował mu swoje usługi. Z równą szlachetnością jak uczyniona była ta ofiara, tak i przyjętą została. Bekiesz w wielu razach dał dowody najszczerzego przywiązania dawnemu przeciwnikowi, a Batory do poufałości swojej go przypuścił. W czasie Moskiewskiej wojny, Bekiesz dowodził Węgrom i cudów waleczności dokazywał; choć bardzo starganego zdrowia, nieodstępował obozu i armat; tam jadał, tam sypiał i tam umarł po wzięciu Pskowa, żonę i dwóch synów Królowi i Zamoyskiemu poruczając. Pochowany został nad Wilnem, na górze wysokięj, zwanęj dotąd górą Bekieszową; dlatego nie w kościele, że był arianinem. Suknię węgierską, która za Batorego się upowszechniła, zwano *bekieszką* od jego sukni. Ktoby więc przed Batorym stroił Polaków w bekieszki, omyliłby się grubo. Taki błąd popełniła autorka „Pierwszego pasowania na rycerstwo Bolesława Krzywoustego,“ strojąc wojewodę Sieciecha w bekieszkę. Paniel przebac jęj, jako i wiele podobnych dawnych i obecnych błędów!

Str. 55. *W grobie ojcowskim położył.* Można często napotkać w dziejach ówczesnych, przygody z Tatarami podobne do przytoczonych tutaj. Strzemeski Krysztof, podsędek ziemi Halickiej, tak wykupił i do domu sprowadził ciało matki zaprowadzonęj w jassy; Stanisław Żółkiewski r. 1547, później kanclerz i hetman, tak był w dzieciństwie uratowany przez piastunkę; we wsi Turczynka pod Żółkwią wyprowadziła go na łąkę dla zabawy, opodal od domu; wtem dano znać o zbliżających się Tatarach: ledwo z nim uciec zdołała. Co do porywania a potem do rozpoznawania dzieci, takie można znaleźć słowa w Siarczyńskim. „Jak się udało pójść w pogoń za Tatarami i odebrać im łupy, zwłaszcza niewolnika, to nieraz całe drabne wozy naładowane były zabranemi dziećkami; zawożono je do jakiego głównego miasta, a tam przybiegały matki poznawać i odbierać swoje.“

Str. 56. *Lud Studzienicki*. Na dowód, jak obfitowały starania i ćwiczenia rycerskie Podlodowskiego, służyć mogą te słowa Święckiego w opisie Starożytnej Polski: „*Studzienica nad Dniestrem*.“ Była to niegdyś wielka wieś, która chłopstwem samem broniła się przez trzy dni atakom całej siły Tureckiej w r. 1633, i nie dobyli jej Turcy aż po utracie blisko tysiąca głów.“

Str. 56. *Ustanowić zakon Krzyżacki*. Polakom nigdy nie zbywało na dobrych pomysłach, ale nigdy nie mieli wytrwałości. Przed przywołaniem sławnego zakonu niemieckiego, Konrad książę mazowiecki miał zamiar ustanowić zakon własny krajowy, w celu ustawicznego walczenia przeciw Prusakom, dopóki by nie przyjęli wiary chrześcijańskiej. Uzyskaną już była bulla Papieżka w r. 1224, pozwalająca na ustanowienie nowego zakonu pod nazwą: Braci rycerskiej służby Chrystusa; znaczna liczba rycerzy pod naczelnictwem mistrza Brunona wyświęciła się, mieli przepisany sobie nowy ubiór zakonny: biały płaszcz, a na nim czerwony miecz i krzyż. Konrad darował im wieś Lieslin pod Inowrocławiem, i wybudował dla nich miasto Dobrzyń nad Drwencą. Ale w pamiętnej bitwie z Prusakami pod Brodnicą, z której sam książę ledwie z życiem uszedł, owi Bracia Dobrzyńscy tak zostali wybici, że ledwo pięciu zostało. Po tej klęsce brakło ducha Polakom do ponowienia własnego zakonu, woleli przywołać pod cięższymi warunkami gotowy do usług, lecz dumny zakon niemieckich Krzyżaków, który z czasem dopełnił wprawdzie swego zobowiązania się, pokonał, nawrócił Prusaków, ale zniemczył najpiękniejszą posiadłość Polski i stał się najzaciętszym jej nieprzyjacielem.

*Vojgt, historia Prus.*

Str. 57. *Rozesłano wici*. Wiciami nazywano listy królewskie, zwołujące pospolite ruszenie na wojnę, dlatego, „że je noszono na wiciach,“ pisze Bielski; Maciejowski mówi: Była to wić dębowa spleciona, znak kary na przypadek niestawienia się. Zwyczaj ten był znany nie tylko w Polsce, ale i w Czechach; u Słowian zaś Zakarpackich noszono po kraju miecz we krwi zboczony z zagrożeniem, iż niestawający pójdzie w wieczną niewolę.“ Wici te czyli listy były potrójne: „W pierwszych i wtórych, przytaczał Modrzewski, tylko to rozkazują, aby sobie każdy gotował, czego na wojnę potrzeba; w trzecich oznajmują czas i miejsce, na które się wszyscy zjeżdżać mają.“

Str. 57. *Stefan, sędzia skromnej zastugi*. Zachowała nam historia kilka podobnych przykładów o tym Królu. Przytoczę tu jeden. Stanisław Pękosławski odznaczył się był na wojnie moskiewskiej; Stefan postanowił sobie dać mu pierwsze wakujące starostwo. Nawinęło się wnet Sendomirskie, o które wielu się ubiegało. Król kazał napisać przywilej

dla Pękosławskiego, i Zamoyskiemu podać do przyłożenia pieczęci. Wielki Kanclerz wiedząc, iż Pękosławski wcale o tę łaskę się nie stara, przedstawił monarsze, „że to właśnie ten był, który o starostwo nie prosił.“ „Prawda—odpowiedział — ale zasługi jego wymagają nagrody; aż nadto prosi, kto dobrze służy.“

Str. 58. *Nazwę od konia.* Dowodem tego *eques, Ritter, chevalier.* Twierdzą nawet uczeni, że nazwa ruska *Kniaź*, pierwiastkowo znaczyła szlachcic, a także *Kniaź* ma być od konia.

Str. 58. *Marcina Lubienieckiego i Piotra Broniewskiego.* Są to rzetelne imiona i nazwiska dwóch dworzan Jakóba Podlodowskiego, którzy z nim w Turczach byli. Staralam się, żeby w całej tej powieści nie było nazwiska zmyślnego; samych nawet wieśniaków imiona: Kosik, Papis, Baran, Banaszek, Gryklik, wyjęte są z ksiąg kościelnych parafii Polickiej, jako przed dwoma wiekami już zamieszkałe oddawna w Czarnolesie. Tożsamo i co do wiosek; wszystkie tu wspomnane, zapisane są w papierach urzędowych z XVI-go wieku.

Str. 58. *Do Grodna.* Grodno, pierwsze miasto w Litwie po Wilnie; niegdyś zamek krzyżacki na górze nad Niemnem. Za Batorego było jeszcze lichem miasteczkiem. Król ten, który wolał mieszkać w Litwie niż w Polsce, bo miał panów litewskich przychylnych sobie, a w borach więcej zwierza niż w lasach Korony, chętnie w niem przesiadywał i zamek murowany wystawił. Może go też wiodło do tego polubienia owo przecucie, które często postrzegać się daje u ludzi wyższego umysłu, że tajemna skłonność ich wiedzie do miejsca, gdzie umrzeć mają.

Str. 62. *Trawą żyje...* Panu Franciszkowi zapewne została w pamięci anekdota, którą nam Jan Kochanowski zostawił w tak zwanych *Apophtegmatach* swoich: „Barańczuch, Tatarzyn, którego był pan jego w Rzymie, kardynałowi jednemu darował; kiedy go potem po kilku latach jeden ze znajomych trafiwszy się do Rzymu pytał, jako się ma? powiedział: „Nie dobrze; trawę jesz jak baran“ dając znać, że mu się sałata włoska nie podobala.“

Str. 62. *Rdest czy Gaweński Batoryczy Badura...* W czasie elekcji po śmierci Zygmunta Augusta, wielu stronników Henryka, braci szlachty, wymówić go nawet dobrze nie mogło; zwali go „Gaweński,“ jak twierdzi Bielski, a Ernest Austriacki „inaczêj u nich nie był jedno Rdest.“ Wczynie zaś bezkrólewia po Henryku, na sejmie elekcyjnym, marszałek koronny Opaliński, chcąc zniechęcić szlachtę od Króla rodaka, podał za kandydata do tronu znanego szlachcica Słupskiego *Badurę*; têm podaniem wszystkich do śmiechu pobudził i rzeczy swojej

dokazał. Nasz Kochanowski obecny na tym sejmie, a także Piastowi przeciwny, może ten koncept marszałkowi podsunął.

Str. 74. *Polska głowa*. Wiadomo, że Polacy słynęli zawsze z mocnych głów: cięcia, razy, któreby Niemca albo innego zabiły, dla nich były prawie niczem. Nie wiem czyby to nie pochodziło najprzód od staropolskiego zwyczaju mycia głowy i karku zimną wodą, a potem od odmiennego sposobu hodowania dzieci; we Francyi np. dziecię tygodniowe już nosi głowę, choć nią kiwa na wszystkie strony i osłabia muszkuły tym sposobem; u nas, do sześciu tygodni, do dwóch miesięcy nie pozwalają tego niemowlątkom naszym.

Str. 74. *Zwój, rouleau*. Może i zbytkuje takim dokładnym wykładem.

Str. 78. *Przeborkiem*. Tak się zowie pó staropolsku przedział włosów na głowie, i zdaje mi się to nazwanie bardzo słuszne; jest-to jakby droga przez bór włosów. Wszak i Francuzi mówią: *une forêt de cheveux*.

Str. 82. *Piotr mój ojciec...* Nie szczędziłam pracy do wynalezienia rzetelnej wiadomości o rodzie i rodzeństwie Kochanowskiego, bo najdrobniejsze szczegóły o takim człowieku drogie są. Oto jest, czegom się dowiedzieć mogła nie z naszych herbarzy, które dopiero od Jana o Kochanowskich wspominają, ale z dokumentów familijnych i dotąd nie drukowanych. Ojciec jego Piotr, urodzony 1485 r. miał pięciu braci: Jana (bo już-to widać upodobane było u nich imię), Wita, Filipa, Tomasza, Dobiesława, i trzy siostry, z których starsza Dorota wydana była za Mysłowskiego, druga za Dąbrowskiego, trzecia za Siemińskiego. Jest w archiwum Czarnoleskiem dział z r. 1518 między tém rodzeństwem, z którego się pokazuje, że Czarnolas, Barycz, Grodek, Zawada, Piastków, Wsioła, były wtedy w ręku Kochanowskich. Sycyny, gdzie nasz Jan się rodził, niema w liczbie wiosek objętych owym działem; znać, musiał ją wziąć Piotr w posagu za żoną swoją, Anną Białaczewską, i tam mieszkał dopóki po powtórny dział nie dostał mu się Czarnolas; jakoż są dowody w aktach, że w r. 1542 ta wioska do niego należała. O braciach Piotra i ich potomstwie nic nie znalazłam, prócz o najmłodszym Dobiesławie, Grodek i Barycz należały do niego; jeden syn jego Jan był podstarostą Stężyckim, drugi Andrzej był stolnikiem Sandomierskim, posłował na sejmy, i kościół w Gródku założył. Andrzej z żony swojej Anny Mysłowskiej zostawił dwóch synów: Ewemiana i Jana, którzy stan duchowny sobie obrali. Jeden umarł 1604, drugi 1613 r. Piotr, ojciec Jana, miał sześciu synów i cztery córki: najstarszy Kasper, pisarz Sendomirski; drugi nasz Jan; trzeci Mikołaj, autor Rotu-



czwarty Andrzej, tłumacz Enejdy; piąty Jakób, o którym nic nie wiem, i najmłodszy, jak się zdaje po wielu rzeczach, Piotr, ów wyborny tłumacz Jeruzolimy, kawaler Maltański, który umarł w Krakowie sekretarzem Zygmunta III d. 2 Sierpnia 1620 r., i pochowany jest w kościele Franciszkanów. Zważywszy, że Piotr ojciec umarł 1547 r., to żył lat 70 z górą. Z kilku synów Mikołaja i Anny z Jasiénca żony jego, którzy po śmierci Jana otrzymali już od Zygmunta III przywilej na zupełną własność pism stryja, jeden Krysztof dał się poznać. Najprzód dworzanin króla Stefana, dalej chorąży Sandomirski, był potem ciągle przy Zygmuncie III, który go bardzo lubił, do różnych używał poselstw, między innymi do Turcyi r. 1601, i obsypywał łaskami. Kiedy umarł w rok po królu Zygmuncie, był chorążym koronnym, starostą Kozienickim i znaczne dobra królewskie dzierżył. Albrycht Radziwiłł w pamiętnikach swoich tak o nim pisze 1633 r. W Grudniu skończył życie doczesne Krysztof Kochanowski, Chorąży koronny, faworyt królewski; chorążstwo król Władysław oddał Koniecpolskiemu, Kozienickie starostwo Kazanowskiemu, dobra królewskie pod Węgrami Rejowi. Posłowanie na sejmy Andrzeja, syna Dobiesława, i poselstwa Krzysztofa, niektórzy pisarze kładą mylnie na karb naszego Jana; rada będą, jeśli ten mój wywód objaśni powody do tych omyłek. Dowodem, że jedna z sióstr Jana dostąpiła zamężcia, jest wiersz jego pod napisem „Dziwosłab“ który tak kończy:

Tom ja pisał na siostry swęj miłej żądanie,  
Które u mnie tak ważne jako rozkazanie.  
I sama się do tego dobrze przyłożyła;  
Należć rym, to największa moja praca była.

St. 86. *Zacny Ossoliński*. W jednej z elegii łacińskich Kochanowskiego, został ślad tego, co tu wspomina; oto z niej wyjątek tłumaczenia Brodzińskiego:

Jakiem ci Ossoliński! winien jest podzięki,  
To wszystko z serca wydać, nie mojej rzecz ręki.  
.....  
Ty też, Muzo! gdy w smutne popłynę otchłanie  
Zdarz! niech ta pieśń na czasy dalekie zostanie;  
Niech pozna wiek potomny ku mnie jego chęci,  
Niech sława starożytna imie jego święci!  
Bo kiedy na mnie nieszczęście zmówiło się mnóstwo,  
I miłość niepozębna i twarde ubóstwo,  
On mię jeden od czarnej rozpaczy wybawił,  
I w nieszczęśliwem dla mnie miejscu nie zostawił;

Wszelakich dróg próbował by mię z ran uleczył  
 Którmi do szaleństwa bożek mię skaleczył.  
 Lecz wtedy taki ogień gorzał w mojem łonie,  
 Jakim Etna wybucho lub Apońskie tonie;  
 I jakobym w cudownym zakosztował Locie,  
 Anim myślał o miłym do kraju powrocie.

Str. 86. *Greta*. Tak zwano miejską córkę powabną; byłoto skrócenie imienia Gertrudy, pospolitego między mieszczkami.

Str. 87. *Dział majątku*. Oryginał tego działu z r. 1560 jest w archiwach radomskich; dowód w nim, że Kasper bierze Policzną, Wilczą i Polną Wolę, i Boże Nowiny; Jan Czarnolas; Mikołaj Wolą, Sy-cynę i t. d.

Str. 87. *Moim wikarym*. Może nie będzie tu od rzeczy przytoczyć następujący wypis z ksiąg kościelnych Zwolenia; w dowód jako rzetelny, umieszczam go po łacinie i po polsku:

*Visitatio Ecclesiae paroch. Zwolenensis A. 1565. Ecclesia parochialis in Zwolen. Chorus sacerdotatis post conflagrationem ex cocto latere aedificatus, reliquum ex asseribus et tabulis per cives est quoque confectum, non consecratum. Habet etiam indultum celebrandi. Collationis Regiae Majestatis. Plebanus D. Joannes Kochanowski Praepositus Posnaniensis non est in Sacris, nec in sua Plebanali residet, nec est ubi resideat, neglecta est etiam Domus Plebanalis licet sit bene provisus Plebanus, Vicarj Stanislaus de Barthodzieie, qui est Commendarius sine scripta Commenda. R. Matthias de Zalesie. Hvecticus est unus, Luca Danielis Gupolski etc.*

*Wizytacya kościoła parafialnego Zwoleńskiego r. 1565.*

Kościół parafialny w Zwoleniu. Presbyteryum po pożarze z cegły wybudowane, reszta zaś (kościół) z belek i tarcic przez obywateli dokończona ale nie poświęcona. Ma jednak na odprawienie Mszy św. udzielony indult. Jest kollacyi królewskiej. Plebanem jest p. Jan Kochanowski, Proboszcz Poznański, nie mający święceń. Nie mieszka on w swojej plebanii, bo niema gdzie mieszkać, gdyż zaniedbany jest dom plebański, chociaż pleban ma dobrą posadę. Wikaryuszami są: Stanisław z Bartodziejów, który razem jest Komendarzem bez pisaněj komendy, i ksiądz Maciej z Zalesia. Znajduje się (w tej parafii) jeden heretyk, Łukasz, syn Daniela Gupolski.

Str. 87. *Manucyusza, Karola Sygonyusza*. Ci mężowie należący do liczby uczonych owego wieku, a wspominani we wszystkich prawie biografjach Kochanowskiego, słusznie tu miejsce znaleźć powinni:

Manucyszów Aldów było trzech: ojciec, syn i wnuk; pierwszy umarł 1515 r., drugi 1575, trzeci 1597. Najznamienszym był ojciec;

który założył najświetniejszą drukarnią we Włoszech, a chcąc wydawać jak się należało greckich i łacińskich klasyków, otoczył się uczonemi i zawiązał jakby towarzystwo, które od jego imienia czy przydomku nazwano *Academia Aldina*; zdaje się, że nasz Kochanowski z synem był w przyjaźni, który był professorem wymowy w Wenecyi, a drukarnią, która imie Aldów nosi, w r. 1561 przeniósł do Rzymu, do Kapitolu. Prawie równie tyle zasług położył dla świata uczonego co ojciec, przecież przy końcu życia już nie tak starannie wychodziły dzieła z pod pras Aldów. Stary Manucyusz takie zdanie zostawił o Polsce: „Sarmacya jeżeli kiedy była dziką, to dziś tej dzikości tak się pozbyła, że niemasz żadnego Zaalpejskiego narodu, któryby się odznaczał więcej niż ona zamiłowaniem nauk, ludzkością i wdzięcznością.“ *Karol Sygoniusz (Carlo Sigone)* urodził się w Modenie r. 1523. Od pierwszej młodości wstawił się rzadką biegłością w językach starożytnych, mianowicie w greckim. Jako autor piszący wyborną łaciną, pierwszém ważniejszém jego dziełem były *Fasti consulares*,<sup>f</sup> wydane w r. 1550. Wezwany na profesora do Wenecyi, a później do Padwy, opuścił to ostatnie miasto w skutek zaciętą literackiej walki z tamże uczącym także professorem Robertellem, i przeniósł się do Bononii. W r. 1574 wydał najcenniejsze swoje dzieło: *Historiją panowania Longobardów we Włoszech*. Papieże wzywali go do napisania historii Kościoła, Stefan Batory zapraszał go do Polski, lecz nadaremnie. Umarł w Bononii, tego samego roku co Kochanowski. Dowód, jak ściśła wiązała ich zażyłość, pozostał w łacińskiej elegii IX naszego Jana, pisanéj r. 1560, zaraz po powrocie jego do Polski, która tak się zaczyna:

Taki przestwór, Karolu! obu nas rozdziela,  
 Że nie wiem czy cię dojdzie ten list przyjaciela;  
 Jeśli jednak kto szczęśny od Arktejskiej strony,  
 Stąpi na twoje brzegi morzem przypławiony,  
 Ten chociaż ci mojego nie przyniesie pienia,  
 Powie jednak niezmiennie dla ciebie życzenia.  
 Rodan z Loarą moje słyzały tęsknicę,  
 Gdy przychodziło Gallów opuszczać stolicę;  
 Ale dom nieszczęśliwy rodzicy zbawiony,  
 Głośno wołał powrotu do ojczystej strony:  
 Gdybym spóźnił jak drugi Ulisses w Itace,  
 Ze starym psem bym płakał na zniszczone prace.  
 Lecz choć za Ryfejskiemi górami osiedę,  
 Z tobą zawsze, Karolu! umysłem żyć będę;

Bo zacną twoją przyjaźń i chęci uznają,  
 Odkąd się między obce zabłąkałem kraje;  
 Z tobą Belgi zwiedziłem, z tobą Akwitany,  
 Gród Marsyliński nad samém morzem zbudowany;  
 Domy Celtów, Sekwanę, która modre wały,  
 Wartkiem pędem zakrąża pod Paryż wspaniała.

i t. d. —

Str. 88. *Z Anakreonem w ręku*. Poeta grecki, który wino i miłość najchętniej opiewał. Kochanowski bardzo biegły w greckim języku, przełożył pięknie kilka jego pieśni; pierwsza zwłaszcza, umieszczona na początku księgi IV-tęj, bardzo jest chwalona.

Str. 88. *Pisało się Fraszki*. W pismach Kochanowskiego jest trzy księgi ulotnych wierszyków pod tēm nazwaniem, w liczbie których są zbyt wesołe i nieobyczajne. Choć się z nimi król August, panowie i dworzanie przy kielichu bawili, choć może im był winien w części Kochanowski powszechną wziętość, przecież za życia jego już mowa była, czy je wydać wszystkie bez wyboru? Drukarz odradzał mu to ustnie, a kiedy już wyjść miały, pisał jeszcze do niego, czyby nie wyrzucić grubszych? Kochanowski tak mu odpisał: „Wyrzucać co z fraszek, nie zda mi się, bo to jest jakoby dusza ich. A tak proszę, przepuść im teraz W. M.“ Ks. Bohomolec wydając dzieła Kochanowskiego, wypuścił nieprzystojne wierszyki, jakoteż najnowsze wydanie w Lipsku r. 1835 w 3-ch tomach, i te wydania powinny być w ręku młodych osób.

Str. 90. *Bogate dochody*. Wielkiem nadużyciem, tak powszechnie cierpianem, że już w oczach niektórych przestało być nadużyciem; świeckie osoby, gotujące się dopiero do stanu duchownego, a czasem i takie, co nie myślały o nim wcale, używały dostatków i dochodów sług kościół. Nie małe to było zgorszenie dla różnowierców i obfite źródło do ich pocisków na Katolicyzm. Kochanowski odmówił opactwo Sieciechowskie, ale proboszczem poznańskim jeszcze w roku 1571 się podpisywał; mam jednak to przekonanie, że tylko tytuł zachował, a dochodów nie brał.

Str. 90. *Za napis modlitwę*. Taki był ten napis, który między Fraszkami jest umieszczony:

Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje:

Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje.

Inni niechaj pałace marmurowe mają,

I szczerym złotogłowem ściany obijają;

Ja, Panie, niechaj mieszkam w tēm gniaździe ojczystém,

A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystém,



Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,  
 Obyczajmi znośnemi, nie przykrą starością.

Str. 90. *Bogdanką*. Nasz język ma dziwnie piękne wyrażenia swoje. Czy może być naprzykład co wymowniejszego, trafniejszego, jak ta nazwa *Bogdana, Bogdanki*, przyznana temu i tój, którzy często nie wiedząc od urodzenia o sobie, nie znając się wcale, schodzą się nagle, zwyczajnie, przypadkiem, i w krótkim czasie przystają do siebie na to, żeby w obliczu Boga i ludzi we dwoje jednem żyć życiem, i nierozdzielić się do śmierci.

Str. 92. *Nic, nic, zdrów mój Franulko*. Komuby się nie chciało wierzyć, aby w owych czasach takie mogło być pieszczone wychowanie, niech przeczyta żywot Mikołaja Reja z Nagłowic, przez Trzecieskiego.

Str. 97. *Wymierzona wdowie*. Lanckoronę, Łaski wojewoda Sieradzki, odjął był gwałtem wdowie Wolskiego kasztelana Czerskiego i trzymał ją siłą zbrojną. Król Stefan prawie zaraz po koronacji swojej wysłał tam Stanisława z Górki i Cikowskiego, dodawszy im węgierskiego rycerstwa; poddała się załoga i Król kazał oddać własność skrzywdzonej wdowie.

Str. 100. *Do Sobka*. Sobek, Sobkostwo, także wyborne wyrażenia, lepiej zda mi się oddają znaczenie *egoisty, egoizmu*, od przyjętego dziś samoluba i samolubstwa. Egoista nietylko lubi siebie, ale żyje sobą, dla siebie.

Str. 105. *Dolożył się Piotr ojciec*. Są dotąd w papierach kościelnych w Policzny, dowody tój wspólnej fundacji pobożnego teścia i zięcia. Jest z roku 1531 zapis Białaczewskiego, nadający przysłemu proboszczowi Policzny, w jednem miejscu łąnow siedm, w drugim półpięta. Piotr Kochanowski nietylko że dał na wybudowanie kościoła 4000 złp. (dzisiejszych 36,200), ale i część gruntów także wiecznym funduszem zapisał. Oba przy zabudowaniach dla plebana szkółkę postawili. W erekcyi tego kościoła danęj i podpisanęj przez Piotra Tomickiego, biskupa krakowskiego, wówczas podkanclerza koronnego, w Krakowie 26 Czerwca 1531, wyrażone są powody, dlaczego ten kościół fundowany; najważniejszym jest ten, że oddalenie dotychczasowej parafii dla mieszkańców Policzny, Czarnolasu i Świetlikowój Woli, było bardzo niedogodne, mianowicie w czasie zimowym; mieli ją bowiem w Sieciechowie i w Zwoleniu, więcj niż o milę drogi. *Jus patronatus*, czyli prawo mianowania plebana, zapewnione w tójże erekcyi Białaczewskiemu i Kochanowskiemu, to jest dziedzicom Policzny i Czarnolasu.

Str. 108. *Z Modrzewskim, z Orzechowskim, Modrzewskim Frycz*. Był to jeden z najświetniejszych pisarzy naszych, z najżyczliwszych ojczyźnie

obywateli; szkoda, iż błędami różnowierców zarażony, powstawał przeciw kościołowi. Wszakże dzieło jego „O poprawie Rzeczypospolitej“ Zygmuntovi Augustowi przypisane, pełne rad i uwag zbawiennych, nie zamyka w sobie zdań przeciwnych Wierze. Napisał je po łacinie, i wydał r. 1551; przetłómaczył je wybornie po polsku Cypryan Bazylik, i do druku podał 1577. Wielką wziętość znalazło to dzieło, jako i inne prace Modrzewskiego; tłómaczone były na niemiecki, francuzki i hiszpański język. Modrzewski w wielkich był łaskach u Zygmunta, sekretarzem jego i do różnych używany poselstw, mianowicie do Pawła IV-go Papieża, do Karola V-go cesarza i do Ferdynanda hiszpańskiego. Rok urodzenia jego i śmierci nie jest wiadomy; jest tylko wzmianka, że kiedy 1590 r. zajęto się przedrukowaniem i zupełnem wydaniem pism jego, już oddawna nie żył.

*Orzechowski Stanisław.* Również do znakomitych ludzi naszych i pisarzy należy, pisał i po polsku i po łacinie; mamy jego pióra Kronikę, żywot Jana Tarnowskiego, i pełno pism i dysput teologicznych. Popędliwy, niestały z natury, z zapalem rzucił się do nowej wiary; księdzem będąc, zrzekł się publicznie kapłaństwa, ożenił się 1551 roku z Magdaleną Młyńską; całą Polskę napełnił odgłosem zgorszeń, dysput, retractacy swoich, a był niepospolitej wymowy i bystrego dowcipu człowiek. „Wielkie szczęście—mówili spóczesni—że Orzechowski statku niema; inaczej czém Luter był w niemieckich krajach, tém on byłby u nas.“

Str. 108. *Protaszewiczom, Solikowskim.* Protaszewicz Waleryan ur. 1505 r., dowcipny, uczony, gorliwy, obrawszy sobie stan duchowny, został w r. 1555 biskupem Wileńskim, i wiele do unii Litwy z Koroną się przyczynił. Za pasterstwa jego smutny był stan kościoła katolickiego w Litwie. Z jednej strony kościół grecki, z drugiej dysydenci pod możnym wodzem Mikołajem Radziwiłłem, odrywali od jedności kościelnej tysiące dusz. Protaszewicz opierał się im wszelkiemi siłami, wymową, surowością, dozorem; a gdy rady sobie dać nie mógł, za namową kardynała Hozjusza sprowadził do Wilna Jezuitów, który to zakon, jak każdemu wiadomo, postanowiony był najwięcej jako „taran do burzenia świątyni Baala.“ W r. 1670 oddał im kolegium gotowe na trzydzieści osób. Mimo wielkiego oporu, Protaszewicz przed śmiercią swoją, zaszła w 1579 r., to sprawił: iż Jezuitci mieli kościół w Wilnie, a Grzegorz XIII-ty wydał bullę upoważniającą ich do założenia głównej szkoły w tém mieście. Sam niegdyś ubogi i do znaczenia doszedłszy jedynie przez nauki, założył przy tejże szkole bursę dla kilkunastu uczniów ubogich, zwaną *bursa Valeriana*.

*Solikowski Jan Dymitr*, nieco później do wielkiej i pięknej doszedł sławy. Rodzice jego, zacni obywatele województwa Sieradzkiego, ale nie majątni, przeznaczili go do duchownego stanu; stopniami idąc i za służąc się kościołowi i Rzeczypospolitej, w r. 1582 został arcybiskupem Lwowskim. Wzorem był dostojnych kapłanów; uczony, biegły teolog i łacinnik, nawracał najwięcej wymową i przekonywając rozum. Duchowieństwa pod nim będącego prawdziwym był pasterzem, uczonych kapłanów kochał i zawsze mawiał: „To u mnie ksiądz, kiedy nie przy księdzu, ale w księdzu widzę książkę.“ Odwiedzającego go kapłana temi słowy witał: „Witam księżu bracie! jak wam idą prace kościoła? jakie teraz księgi czytacie?“ Uczniów szkoły lwowskię chcąc do postępów zagrzewać, odwiedzał często i wypytywał się. W jednaniu rozrywanych serc i uspokajaniu religijnych niezgód, nad podziw był szczęśliwy, dla ubogich prawie rozrzutny, a przytęm wesoły, miły w obcowaniu. Gdy spracowanego i już nie młodego ciężkie napastowały słabości Zamoyski zalecił lekarzowi Janowi Oczko, aby do niego napisał ofiarując mu swą pomoc; Solikowski tak odpisał: „Doskonałość wasza może zmniejszyć boleści, ale nie oddali nieuleczonych chorób, a temi są prace i wiek. Mój kochany Oczko! już ja słyszę jak czas ostrzy kosę na ten dojrzały kłosek. Dajcie pokój starcowi, który wzdycha po trudach podróży do swobodnej gospody. Na nic wam się nie przyda, już i słabych rąk dźwigać nie może do Pana Boga zastępow, za całość Rzeczypospolitej... Miły Oczko, dziękuję wam, pozdrawiam i błogosławię was, a sobie szepczę: *Est medicina Deus.*“ Ten święty, mądry i cnotliwy biskup, ozdoba panowania króla Stefana, który dwadzieścia trzy poselstw odbył chwalebnie, a nawet, jak widzieliśmy wyżej, i do samego Bato-rego był wysyłany, umarł 1603 r. Wiele pism teologicznych, politycznych i historycznych zostawił, nawet i poezye łacińskie.

Str. 109. *Piękne rotuły*. Rotuły te w liczbie dwunastu, które Mikołaj Kochanowski napisał dla synów swoich, drukowane są zawsze wraz z pismami Jana i godne tego. Trocha wierszem i zdatnością, zupełnie sposobem myślenia, Mikołaj był bratem Jana. Rotuły i pare wierszyków tegoż samego pióra zasługują na to, żeby wszystkie dzieci uczyły się ich na pamięć; trudnoby o lepsze nauki moralne. Wyras rotuły pochodzi od *roty* czyli formy przepisu.

Str. 109. *Andryszowiczowi*. Uczony i sławny ówczesny drukarz krakowski i syn drukarza, polski Mannucci; znany jest więcej pod nazwiskiem Jana Januszowskiego; nie przybrał go jednak, aż później, kiedy mu Zygmunt III nadał szlachectwo i herb *Kłóśnik*. On wydawał dzieła Kochanowskiego za jego życia, on je wydał kompletnie. po śmierci,

przypisując je kasztelanowi Myszkowskiemu. Ta dedykacja bardzo zajmująca, mieszczona jest zawsze na czele pism Jana. Januszowski straciwszy żonę, chociaż miał trzech synów: Krzysztofa, Stanisława i Michała, został księdzem w 1588 r., umarł 1613.

Str. 110. *Gorzalka mało gdzie znana*. Jest wiele pomników pisanych, dobrego stanu gospodarstwa w Polsce w XVI-ym wieku. Między innemi egzystuje dokładny obraz Starostwa Łomżyńskiego od panowania Zygmunta Augusta do Sobieskiego. Łomża za Zygmunta Augusta miała 600 domów murowanych, rzemieślników wszelkiego rodzaju; miasto 5,000 sztuk broni dostarczało w czasie wojny, ale też wtedy w całym Starostwie z kilku miasteczek i 80 wsi złożoném, w jedném tylko szczególnie miejscu wypalano surowiec na gorzałkę, wszędzie były browary i chłopci pili piwo. Z czasem zmienił się stan rzeczy, wzmogła się gorzałka, przyszedli żydzi, i do tego doszło, że za Sobieskiego ludność zmniejszyła się w Starostwie o czwartą część, a w Łomży jeden tylko był kowal, i wszędzie bięda, upadek.

Str. 111. W historii lekarskiej sztuki w Polsce czytałam, jako pierwszy kołtun pokazał się w Polsce 1599 r.

Str. 111. *Godzinki małe o Pana Chrystusowym krzyżu*, wyszły r. 1567. Może miło będzie nie jednęj czytelnicze powtórzyć za Ewą Kochanowską, modlitwę wierszem, która jest na czele tej książeczki.

Bądź pozdrowion, Krzyżu Święty,  
 U Boga, u ludzi wzięty;  
 Przez Cię, dziwne frymarczenie  
 Stało się nad rozumienie.  
 Przed czasy sługom niewolnym,  
 Byłeś morderstwem ogromnym,  
 Teraz się w Tobie kochają,  
 Królowie Cię wystawiają.  
 Przedtém łotr przekłęty każdy,  
 Śmiercią twą zginałci zawdy;  
 Teraz by najgorszy mieni,  
 Że przez Cię wszyscy zbawieni.  
 Krzyżu, tryumfie niebieski,  
 Tylkoć w Tobie ma dufanie  
 Ten świat, a wszyscy Polanie.  
 Racz nasze drogi prostować,  
 Drzwi niebieskie odszpontować,  
 A my Cię z królmi, z książęty,  
 Wielbić będziem, Krzyżu Święty!



Str. 116. *Popularnej sławy*. Już od szesnastu lat, jak wiadomo, zajmuje mnie myśl napisania o Kochanowskim, i radością jest dla mnie kiedy gdzie napotkam jego imię. Ale mogę śmiało wyznać, że się nacieszyła do woli tą radością; nie zdarzyło mi się bowiem wziąć do ręki dzieła pisma polskiego, żeby w niem nie napotkać czasem zupełnie niespodzianie, to pochwałę jego, to wiersz jaki; i poszłabym w zakład, że niema dotąd poety u nas, równie często a chlubnie wspomnianego i przytaczanego.

Str. 116. *Patryarchalnego zwyczaju*. Nie można dosyć zachęcać rodziców i sędziwe osoby, aby dzieciom własnym i cudzym jaknajwięcej o krajowych i o rodzinnych rzeczach mówiły, o tém wszystkiem co zapamiętać mogą. Oprócz wpływu zbawiennego na ducha narodowego, podobne opowiadania lepiej i więcej uczą od wszelkich ksiąg. Mam tego dowód na samęj sobie. Dziś, do uklecenia jakotako niniejszych obrazów, potrzebowałam lat kilkunastu czytania: *Listy Rzeczyckiej*, *Pamiętniki Franciszki Krasińskiej*, napisałam niegdyś odrazu, prawie bez żadnej książki; ale do listów Rzeczyckiej miałam żywe wspomnienia tego wszystkiego com słyszała w piérwszej młodości od babki mojęj, Prowidencyi z Fontannych Czempińskiej, która pamiętała wybornie Augusta III-go. Pamiętniki zaś Krasińskiej wyjęte były z ust znakomitej Polki, Anieli ze Swidzińskich Szymanowskieję, starościny Wyszogrodzkieję, córki chrzestnej Franciszki Krasińskiej, przy której chowałam się do lat trzynastu. I właściwie nie mnie, ale im należą się pochwały, które uzyskały te dwa pisemka.

Str. 117. *Z Fogelwederem*. Już wspomniany w tęg powieści; było jeden z bliższych przyjaciół Kochanowskiego, na imie mu było Stanisław. Rodzina jego niemiecka i nie szlachecka, przeniosła się do Polski; on obrał sobie stan duchowny, i w tym celu był wysłany do Włoch na nauki. Został z kolei kanonikiem krakowskim, archidyakonem warszawskim, nareszcie proboszczem miechowskim. W naukach i językach biegły, sprawował legacyą w Hiszpani, wysłany od Zygmunta Augusta. Umarł 1603 r. mając lat 78. W ostatnich latach swego życia był kanclerzem Anny Austryaczki, żony Zygmunta III-go.

Str. 117. *Nie było gazet*. W początku XVII-go wieku zaczęło dopiero wychodzić w Wenecyi piérwsze pismo, zdające sprawę o bieżących politycznych wypadkach, regularnie co tydzień. Pisma te płacono pewną monetą, nazwaną *gazetta* i od tęg monety nazwa podobnym pismom została. Dawniej jeszcze bywały i u nas i wszędzie dyaryusze wojen, sejmów, uroczystości. Chiny od niepamiętnych czasów miały swój dziennik dworski, pisany i ogłaszany codziennie; ale to wszystko

nie było t $\acute{e}$ m, cz $\acute{e}$ m pierwsza *Wenecka gazeta* by $\acute{c}$  zaczęła, i którą wnet we wszelkich krajach naśladowano. U nas probowano wydawać gazety za Władysława IV-go i Jana Kazimierza, ale przerwy zachodziły; pierwszą ciągłą był *Kuryer polski i zagraniczny*, który zaczął wychodzić w końcu panowania Augusta II-go.

Str. 117. *Poczta... od Montelupich...* Zakład tyle użyteczny, początek swój miał w Polsce od dwóch Włochów tego nazwiska. Oto nadanie poczty im uczynione przez Stefana Batorego: „Zważając użyteczność poczty od poprzednika naszego Zygmunta Augusta zaprowadzonej tak w rządowych działaniach jak w prywatnych stosunkach, zatwierdzamy ją pod zarządem Sebastjana Monteluppi, szlachcica florenckiego i Waleryana jego synowca, których zaleconą sobie mamy wierność i zdatność na tym urzędzie dawniej okazaną; i wszystkie poczty, które oni swoim kosztem utrzymywać będą na wszystkich traktach, onym oddajemy, pod tym warunkiem, że oni na trakcie z Krakowa do Wenecyi w miejscach ku temu przyzwoitych, tyle koni utrzymywać będą, aby gońcy pocztowi z Krakowa do Wenecyi, i z Wenecyi do Krakowa jeżdżący tam i nazad, w przeciągu piętnastu dni swoją podróż odbywali. Bieg ten poczt tak rządzony mieć chcemy, aby poczta dwa razy na miesiąc, to jest 24 razy do roku, z Krakowa do Wenecyi, z Wenecyi do Krakowa chodziła. Pocztarze, którzy za sługi nasze poczytane być mają, cyfry nasze i herby na sukniach nosić będą. Gdybyśmy zaś z dworem naszym z Krakowa do innego przenieść się mieli miasta, obowiązują się wyżej wymienieni Seb. i Wal. Monteluppi listy i wszystkie pocztą przychodzące rzeczy, swoim kosztem jaknajspieszniej do Warszawy przesyłać. Zarząd poczty oddajemy Seb. i Wal. jego synowcowi na lat pięć, począwszy od 15 Lutego 1583 r., z pensją tysiąca złp. (9,050 zł. dzisiejszych) które co kwartał pobierać będą z kasy naszej celn $\acute{e}$ j krakowskiej. Tym więc naszym listem królewskim wszystkim naszym wiernym poddanym rozkazujemy, aby przerzeczonego Seb. Monteluppi i Wal. jego synowca za uprzywilejowanych dyrektorów poczt uznawali, i onymże w stosunkach urzędu ich dotyczących posłusznemi się okazali. W-mu zaś Janowi Dulskiemu, K-wi Chełmskiemu, podskarbiemu koronnemu, i W-mu Hyacyntowi Młodziejowskiemu, podskarbiemu naszemu nadwornemu zalecamy, aby umówioną płacę tysiąca złotych dyrektorowi poczty regularnie opłacali, i kwity od nich odbierali, które my w porachunku dochodów naszych przyjmować przyrzekamy. Niniejsza umowa żadnej ni $\acute{e}$ ma przynieść zmiany w kontrakcie, zawartym o utrzymanie poczty między N. Królową, małżonką naszą, a wyżej rze-  
czonym Seb. Monteluppiem, gdy on wszystkim przyjętym na siebie obo-

wiązkom czynić zadosyć przyrzeka. Opłatę od listów prywatnych na pocztę oddanych na 4 gr. p. (dziś zł. 1 gr. 6) od listu ustanawiamy bez względu na odległość miejsc, gdzie listy iść mają, uwalniając od takowej opłaty zakony księży Franciszkanów, Dominikanów, Augustyanów i Karmelitów, których listy bez żadnej opłaty na pocztach przyjmowane mieć chcemy.“

*Stefan Król.*

Dan w Niepołomicach 29 Stycznia 1583 r., panowania VII-go.

Ten Sebastyan Monteluppi zaszczycony został indygenatem; umarł w Krakowie 1610 r. Niesiecki sądzi, że rodzina Wilczogórskich, istniejąca dotąd, od niego pochodzi. Mogli Monteluppiowie i nie polszczyć nazwiska swego, bo ktokolwiek zasłuży się ojezycznie, ten synem jęj, choćby nazwisko jego cudzoziemskie było, choćby nie kończyło się ani na *ski*, ani na *wicz*. Co do ustanowienia opłaty jednostajnej od listów prywatnych, nadmienić tu należy, że Anglia i Francya dopiero w tych latach uznały jęj słusność i dogodność, i zaprowadziły ją u siebie.

Str. 117. „*Naród.... poselstw.*“ Cały ustęp temi dwoma słowami objęty, wypisany prawie co do litery z pięknej przedmowy do „Skarbcza“ wydawanego przez Karola Sienkiewicza.

Str. 117. *Zbiory należały do najbogatszych....* Czytając podobne wspomnienia, nasuwa się samo z siebie pytanie: gdzie się podziały te nasze skarby? Ale zastanowiwszy się nad nieszczęściami naszymi, dziwić się należy, zkąd jeszcze gorliwi obywatele wydobyć, wynaleźć dziś mogą jakie takie zabytki? Wszak blisko od dwóch wieków kto tylko chce, to je niszczy. Żołdactwo nieprzyjacielskie paliło stosami nasze najszacowniejsze piśmienne bogactwa; grzali się, gotowali strawę swoją przy ich płomieniu!.. Cześć szczera, wieniec obywatelski należy się tym, co resztki, cudem pozostałe, starają się wydobyć i upowszechnić!..

Str. 118. *Ósiewać musiał.* W wierszach Kochanowskiego tak wiele jest obywatelskich, historycznych, iż wczytawszy się w nie, można poznać ducha owych czasów i głównejsze krajowe zdarzenia. Ja, która wertowałam je pilnie (i która pochlebiam sobie, że ta moja praca o śpiewaku z Czarnolasu, zachęci może niejedną Polkę do poznania bliżej dzieł jego), zalecam czytelniczkom moim, aby odczytały wymienione tu poniżej wiersze w porządku, w jakim mieszczą ich tytuły:

- 1) O śmierci Jana Tarnowskiego, zaszłej 1561 r.
- 2) Satyr, albo dziki mąż, Zygmuntowi Augustowi przypisany, zda się koło r. 1562.
- 3) Pamiętka Janowi Tęczyńskiemu, zmarłemu w Danii 1562 r.
- 4) Zgoda, pisana w czasie soboru Trydenckiego, który trwał od 1543 do 1563 r.

5) Proporzec, albo hołd Pruski 1569, gdzie piękne wspomnienie o Unii Litwy z Koroną.

6) Narzekanie na spustoszenie Podola przez Tatarów, 1675.

7) Na Boga spuścić radzi wybór króla, tegoż roku.

8) Dryas Zamechska, po ukończonej wojnie Gdańskiej 1578 roku.

9) Wtargnienie Radziwiłła do Moskwy 1581; w tym wierszu wiadać, jak dokładne miał wiadomości Kochanowski o tem, co się w kraju i w obozie działo: zupełny to buletyn tej wyprawy.

10) Opiewa zwycięztwa króla Stefana nad Moskwą i pokój r. 1582.

Co do dziejów dawniejszych, piękna jest elegia o *Wandzie*, pochwała *znakomitszych królów polskich*, fragment *bitwy u Warny*; prozą zaś: *O Czechu i Lechu*, i rzecz potoczna, *Wróżki*, rozmowa ziemianina i plebana, zdaje się zaraz po wyjeździe królowej Bony napisana.

Str. 118. *Osobiście w zgiełku..... przemówić*. Został ślad tego w piarszach spółczesnych. Czytać można w Orzelskim w opisie bezkrólewia po Henryku, w czasie sejmu konwokacyjnego pod Wolą 1575 roku co następuje: „W senacie jedni byli za Piastem, drudzy za obcym.... w stanie rycerskim na różne strony dzieliły się zdania. Jan Kochanowski, Sandomierzanin, wyborny poeta polski i szczęśliwy naśladowca łacińskich, rzekł: „Lękam się, by upierając się przy Piaście, nie powiedziano: że gdy król jeden opuścił Polaków, oni nie mogąc już nikogo z obcych dostać do berła, między sobą szukać pana musieli; a nadto któryż z Polaków będzie tak dumny i zarozumiały, by się odważył taką nadzieją napuszczać.“ „A jeżeli - odezwał się podkomorzy Chełmski—znajdzie się taki, co się wszystkim tego zaszczytu gódnym okaże, cóż wtenczas?“ Na to Jan Kochanowski: „Zawszebym mniemał bezpiecniej obracć lub młodszego syna cesarza lub syna W. Kniazia Moskiewskiego; ci wzięci w młodym wieku, łatwoby się do praw, do mowy, do zwyczajów naszych nagięli i t. d.“

*Pamiętniki Niemcewicza 1.*

Str. 122. *Psalmy... które w wyższej myśli..... i z pracą przekładał*. Rzecz jest dowiedziona, że Kochanowski z wyraźnego polecenia biskupów polskich wziął się do tej pracy. Kiedy różnowiercy przekładami Biblii napełniali zbory swoje, szło o to prawym katolikom, żeby także mieli piękne a wierne tłumaczenia Pisma Świętego. Przyznać należy, iż wybór tłumacza psalmów był trafny. Zdaniem znawców, zdaniem Mickiewicza, żadna literatura nowożytna nie posiada równie doskonale oddanych pieśni Dawida. Autor Wallenroda zowie nawet Psalterz Kochanowskiego nie przekładem, ale utworem, dziełem natchnienia. Dowodem sumiennosci, a oraz wyższej myśli, która Janowi w tej pracy



towarzyszyła, może być następujący wyjątek z listu jego do Fogelwedra z r. 1571: „Psałterz, iżeś Wasza Miłość obiecał, dobrześ uczynił; *quid enim promittere cedit?* (cóż szkodzi obiecać), ale póki go czekać, że WM. kresu nie założył, i to też nie źle. Bo to Hesus trzy lata robił a przedsię źle. *Utcumque est* (jakkolwiek bądź) niewiem co za oracyą posłowie na witanie Królowi J. M. przyniosą na sejm; ja się na trzydzieści psalmów staram, *tractant fabrilis fabri* (kował niech kuje); trzydzieści, mówię i z dawnemi, bych zaś w nieprawdzie nie został. Co się tycze reguły, którąś mi WM. napisał, abych jej strzegł *in vertendo* (w tłómaczeniu) jest bardzo dobra i pewna. Jeno ja miewam czasem pisząc *visie* (widzenia); ukazują mi się dwie boginie: jedna jest *necessitas clavos trabales et cuneos manu gestans athena* (konieczność mająca w miedzianej dłoni gwoździe belkowe i kliny), a druga *poetica nescio quid blandum spirans* (poezya, której tchnienie tak przyjemne). Te dwie kiedy mnie obstąpią, nie wiem co czynić?“ i t. d.

Str. 125. *Były... po dworach... córzy szlacheckie*. Dla osób badających obyczaje ojczyste, niezmierniej uwagi jest godna nagła a wielka zmiana, jaka zaszła u nas na dworach pańskich (biorąc je wyłącznie z niewieściej strony); a pamiętać jeszcze i na to należy, że u nas rewolucyi socyalnej nie było. Przez kilka wieków, prawie do końca ostatniego, widzisz u naszych panów, grono córek szlachty bogatszej, uboższej, zasłużonej, bądź tymczasowym panom, bądź ojczyźnie; widzisz je pod dozorem zacnych mistrzyń, zajęte nabożeństwem, robotą do kościołów, ożywiające w dnie świąteczne pańskie pokoje zabawą i tańcami, narazie po kilku leciech pobytu, wydawane za mąż z posagiem i według stanu swego. Na tych dworach słyszysz jedynie polską mowę, widzisz najlepsze obyczaje, bacznego dozór, a nawet taka surowość, że jako wyczytać można w pamiętnikach Albrychta Radziwiłła pod datą 2 Czerwca 1645 r., za płochość występna, panna i dwóch dworskich, kochanek i przyjaciół, śmiercią karani zostali. Dziś, u potomków tych samych panów, nieraz równie majątnych, czasem i majątniejszych, cóż najczęściej zobaczysz? *Oto dame de compagnie*, lektorę, guwernantkę, wszystko cudzoziemki; może gdzie w kąteczku jaką zwiędłą wychowanę Polkę, która francuzki romans czyta i złą polszczyzną do ciebie zagada. Widząc to, ledwie możesz wierzyć, żeby pół wieku takie przestoczenie sprawiło. Zdaje się, że owe dawne dwory a dzisiejsze, jakaś przepaść, jakies wieki dzielą.

Str. 126. *Z własną i dzieci szkoda*. Ile jestem przekonana, że matki do prowadzenia córek nikogo przybierać nie powinny, tyle jestem za tēm, żeby do udzielania nauk pomocników miały. Niepodobna, aby

kobięta mająca męża, gospodarstwo, obowiązki towarzyskie, potrafiła sama uczyć jak się należy; wreszcie, lekcye przez obcych mężczyzn dawane, przy bacznym dozorze matki zawsze są korzystniejsze, choćby też dlatego jedynie, że regularne. Osobom osiadłym w mieście, o przychodnich nauczycieli łatwo, ale jabyśmy sądziła, że możnaby i po wsiach mieć takowych. Niechby się tylko zebrało kilka rodzin blisko siebie mieszkających, niechby tego szczerze chciały i jakąś ofiarę uczyniły, a nie wątpię, że po miasteczkach, po wsiach nawet osiadaliby ludzie, posiadający dobrze język polski, dzieje krajowe i inne nauki, rzetelnie potrzebne panienkom; konno czy wózkami dojeżdżaliby parę razy w tydzień do uczennic już na godzin kilka; mieliby sami sposób do życia uczciwy i wieleby się mogli przyczynić do posunięcia oświaty narodowej i prawdziwej, między młodem niewieścim pokoleniem. Z czasem zaczęliby tak osiadać rodacy posiadający muzykę, rysunek, i zapobiegłoby się przecież kiedyś owemu wstydzącemu i szkodliwemu haraczowi, który dobrowolnie płacimy obcym, jakby nam na innych nie dosyć było, jakbyśmy chcieli wszędzie i zawsze dowodzić, że nic sami przez siebie nie jesteśmy, nic nie umiemy, kiedyć nawet edukacyi dziewczęcia dokonać u nas nie można.

Str. 126. *Zaczawszy od królowej Anny.* Nie mogę się wstrzymać od przytoczenia tu dwóch listów, które okażą najlepiej prawdę moich słów:

*Do Proboszcza Kaplicy Jagiellońskiej w Krakowie.  
Anna Dei Gratia Regina Poloniae. M. D. Lithuaniae,  
Russiae, Prussiae etc.*

„Posyłamy wam obrus na ołtarz do kaplice, naszej roboty kosztownej, który wzięwszy, wpisiecie w inwentarz kapliczny; szanować go będziecie niepożyczając nikomu, a oznajmijcie nam, jako i kiedy wam będzie oddan. Zatem się modlitwom waszym poruczamy.

*Anna, Królowa Polska.*

Księżę Proboszczu, okaż ten list pannie Myślimskiej.

Panno Myślimska, prosimy, kup tam nam krupek jęczmiennych co najpiękniejszych, drobnych, białych, chendogich, bo teraz nasze nie dobre zdrowie; a pošlijcie nam jako najprędzej być może, korzec jeden krakowski. A my zaraz pieniądze odeślemy co za nie W. M. dasz.“

Str. 127. *Po wynalezieniu druku.* Wszystkim wiadomo, że druk wynaleziony został w środku XV-go wieku. Pierwsza, jak się zdaje, książka łacińska znana, drukowana w Krakowie, jest z r. 1465, pierwsze polskie druki znane 1514 r. w agendzie łacińskiej; pierwsze dzieło

znane całe polskie: *Żywoć Chrystusa Pana*, przez Baltazara z Opecia, przełożony r. 1522.

Str. 133. *Chwyćka, cyga, piłka, bąk* po dzisiejszemu.

Str. 142. *Kościół w Grodku*. W papierach tego kościoła wystawionego pod tytułem Ś. Trójcy, są dokumenta, jako był założony przez Andrzeja Kochanowskiego, syna Dobiesława, r. 1593, dokończony już po jego śmierci, zaszłej 1595 r., przez żonę jego Annę z Mysłowskich, poświęcony r. 1598 przez Jerzego Radziwiłła, kardynała i biskupa krakowskiego. Nad zakrystyą jest nagrobek założyciela z szumnym bardzo napisem i obraz człowieka zasypiającego w zbroi. Nagrobek ten położył stryjowi synowiec Andrzej, syn Jana, drugiego syna Dobiesława. Ciekawych odsyłam do Grodka, wioski o ćwierć mili od Czarnolasu.

St. 143. *Forbot koronka, muchajer* wełniana tkanina.

Str. 148. *Ciało Floryana rycerza*. Za Kazimierza Sprawiedliwego, a za Papieża Lucyusza III-go r. 1183, kości tego męczennika i rycerza żyjącego około 280 r., sprowadzone zostały do Polski, i przyjęte z wielką czcią i radością. Król Kazimierz wystawił kościół na Kleparzu w Krakowie pod imieniem św. Floryana; tam ramię jego zostawił, a ostatek św. kości na zamek przeniósł, gdzie w grobie znamienitym spoczywają dotąd.

Str. 149. *Owo ostatnie mieszkanie*. Zwyczaj otaczania się pamięcią śmierci i grobu, był pospolity w owym czasie. Anna Jagiellonka, której imię wspominam rada, miała także trumnę w swojej komnacie, a w niej ubiór śmiertelny własną jej ręką uszyty. Owa królowa, co o obrusach i o krupkach pisała, wielką była filozofką.

Str. 152. *Piękny mi przywilej*. Porządek elekcyi w r. 1573 przepisuje między innymi co następuje: „Panowie elektorowie zjeżdżając się na elekcyę do miasta, nie powinni towarów ani żadnych rzeczy gwałtem wydzierać; jadąc przez ulice i mosty, powinni się spokojnie zachować, nie czynić tumultu; a gdyby który którego z mostu zepchnął, ulegnie karze roku i sześciu niedziel więzy, lub karze gardła, gdyby zepchnięty utonął“ i t. d.

Str. 153. *Jak w Babinie....* Rzeczpospolita babińska, owo państwo wesołego Pszonki, rozdając urzęda swoje, gdy Jan Zamoyski tyle godności krajowych najznamienitszych zjednoczył, mianowała go swoim *Totumfakiem*.

Str. 153. *Dziś mają ją w kieszeni*. Drobną szlachta tyle ufała Zamoyskiemu, że po ucieczce Henryka, wielu dawało mu plenipotencyę na wybór króla, to jest blankiety z podpisem i pieczęcią, aby w nie zapisywał co mu się podoba.

(*Życie Zam.*)

Str. 153. *I sam tego pożałuje.* Te słowa aż nadto się sprawdziły. Zamoyski, który doradził stanom, na zjeździe Bełzkim, aby każdy szlachcic, co osobiście w obronie ojczyzny stawa, osobiście także do wyboru króla należał, którego stany usłuchały, i na elekcyą Batorego już nie wotowano województwami, ale przez którego obecnego szlachcica: Zamoyski, mówię, widząc smutne skutki podobnego przywileju, podawał w r. 1590 projekt do porządniejszych elekcyi, ale ten projekt oporem kilku osób spelił na niczém.

Str. 153. *Dobrec on ma zęby.* Herb Batorych jest trzy zęby; herb ten podług zwyczaju znajdował się na pieczęciach kanclerskich, które dawały sankcyi wszelkim wyrokom i urządzeniom; a ponieważ król Stefan wydał ich wiele surowych acz sprawiedliwych i mądrych, weszło w zwyczaj mówić: *dobre on ma zęby*, albo *pokazał mu zęby*, *wziął go na zęby*, *ostrzy na niego zęby* i t. p.

Str. 154. *Zwiążali ręce.* Na mocy paktów konwentów, 8 Lutego 1576 r. podpisanych, król Stefan zrzekł się zaciągania wojska bez wiedzy stanów, trzymania pospolitego ruszenia za granicą dłużej jak przez ćwierć roku i rozdzielania go na części.

Str. 156. *W dzień Niewiniątek.* Dziś po wielu naszych kościołach w dzień św. Jana Ewangelisty dają pić wino zebrany wiernym, ale dawniej odbywało się to nazajutrz, w dzień Niewiniątek, na pamiątkę krwi ich niewinnie przelanej za Boskie Dzieciątko. Matki, które potraciły dzieci w niemowlęctwie, zwykły były także dzień ten szczególnie święcić.

Str. 168. *Rzucił wieniec.* Wieńce w owych czasach bardzo były używane i chętnie noszone. „Zygmunt Stary w wieniec róż rad chadzał“ jak piszą nasi kronikarze. Złożyć wieniec na łóżku dziewczyny, zawiesić go u drzwi jej domu, u okna jej pokoju, było-to oznaką zalotów. W tańcach młodzieńcy ubiegali się o wieńce dziewcząt, na dnie uroczyste zawieszano nimi ściany, w niektóre święta okrywano nimi ołtarze.

Str. 173. *Zapasek, fartuch*, wyraz lepszy i swój.

Str. 177. *Prócz kalendarza krakowskiego...* Kalendarze od dawnych czasów były książką najwięcej wziętą u naszej szlachty, dla wielu jedyną prócz nabożnej. Uczeni nasi twierdzą, iż nim się druk upowszechnił, mieli pisane po łacinie, a r. 1494 już były krakowskie kalendarze drukowane; Polski ścienny z r. 1531 ma istnieć dotąd. W r. 1584 tém potrzebniejsze były nowe kalendarze, iż przed dwoma laty nastąpiła była poprawa dawnego czyli Juliańskiego. Przyjęty wówczas, rządzi dotąd całym Chrześcijaństwem, wyjąwszy wyznawców greckiej wiary,



którzy przy starym zostali, i dlatego między ich sposobem liczenia czasów i naszym jest różnica o dni dziesięć. Gdyby rzeczy działały się sprawiedliwie na świecie, nowy kalendarz powinienby się zwać Marcinowy. Jeszcze bowiem w roku 1515 nasz Marcin z Olkusza, biegły matematyk, przedstawił Papiieżowi Leonowi X-mu na zborze Laterańskim pismo p. t. *Nova Kalendarii romani reformatio*, wyświecające wszystkie wady trwającego wtedy kalendarza Juliańskiego i sposób zaradzenia onym. Myśl ta bardzo chwalona, dla różnych okoliczności dopiero w 67 lat później za Papiieża Grzegorza XIII-go wykonaną została, a chociaż zupełnie według naszego Marcina kalendarz nowy ułożono, zowie się on Gregoryjański, nie zaś Marcinowy. I Ameryka nie zowie się Kolombią.

Str. 178. *Ta księga arkuszowa*. Ktoby chciał mieć wyobrażenie takich ksiąg pamięci, niech się stara poznać gospodarskie dzieła Teodora Zawadzkiego, pisarza z XVII-go wieku.

Str. 179. *Zwyczaj ten, który wiele oszczędzał*. Radabym, żeby ten opis wpadł w ręce których z młodych pań naszych, i żeby zwrócił jęj myśl na samą siebie: „Czy też wię, co ma w garderobie swojej? (bo tak dziś szatnię zowią), czy ma spis porządny tych rzeczy? czy je kiedy oblicza i wypytuje się służących!“ Jak mnie wiadomo, nie jedna dzisiejsza pani ledwie klejnoty pod własnym kluczem trzyma, i to jeszcze nie zawsze je zamyka; co z resztą się dzieje, ani wię. A ile to rzeczy marnuje się takim niedbalstwem, ile ginie, ile nawet się zleży i zepsuje! a kto na tęm traci najwięcej? ubodzy, owi młodszy bracia w Chrystusie.

Str. 183. *Królewię wyprawy*. W dowód, przytoczę tu treść wyprawy Jadwigi, córki Kazimierza Jagiellończyka, wydanej 1475 roku za Jerzego elektora bawarskiego; dostała 15 kożuchów futrzanych, 14 szub, cortelów bogatych futrem podszytych 3, płaszczów takichże 3, tunik czyli całych sukien zamkniętych z rękawami 3, ogółem 38 szat futrzanych; letnich zaś kitajką podszytych tylko 5, 3 płaszcze i 2 suknie.

Str. 184. *Niewolnica mody*. Z dziwactw mody dzisiejszėj, bo kiedyż moda dziwaczną nie była, najwięcej mnie śmieszą rękawiczki krótkie do krótkich rękawów, a szczerze gniewają owe przepłacane chustki do nosa. Żadnego sensu, żadnego widoku w tęj modzie nie widzę; ani to do twarzy, ani do kształtu, ani tęż do użytku; boć niepodobna używać takich chustek do tego, do czego od początku chustki do nosa są przeznaczone. Wreszcie niechże sobie dla zabawy kupuje takie szmatki królowa Wiktorya, księżna Orleańska, pani Rotszyldowa i t. p, ale kiedy widzę taki przepłacony, zahaftowany, koronkami oszyty gałganek

w ręku Polki, zawsze mam ochotę jęj powiedzieć: „Piastujesz go zapewne na łzy nad Ojczyzną, albo nad temi braćmi co koszul nie mają.“ Boć każdy mi przyzna, że dzisiejszą modną chustką chyba lżę z oka, upatrzonym kawałkiem gładkiego batystu obetrzeć można.

Str. 190. *Wzięły dobrze różgą.* Byłto staropolski zwyczaj, długo zachowywany; ja sama znałam sędziwe matrony, co w dzieciństwie swoim czy zasłużyły czy nie, co Piątek były bite na pamiątkę męki Chrystusowój; a skoro było potrzeba szczególniej jakięj łaski Nieba, bito je mocniej, żeby ich modlitwy były skuteczniejsze. Polegano bowiem wiele na modlitwach niewinnych dziatek, i one o tém wiedziały; być może iż dlatego plagi wtenczas nie podliły; myśl wyższa, która im towarzyszyła wznosiła ducha w dzieciach, nakłaniała je do strzeżenia owęj niewinności, co je zbliżała do Boga, co im niejaką wyższość dawała nad starszemi.

Str. 193. *Tomasza Bielawskiego.* Byłto nieszczęsny wierszokleta owego wieku; r. 1595; wydał owego Myśliwca, o którym Kochanowski wspomina w szesnastu obrotach. Są w nim i takie wiersze:

Zaniechajcie się z tą butam,  
Poszczujem co ku prabutam,  
Ono zając la, la, biegaj Serafinie,  
Owa w skok rowem bieży, prosto ku Kwidzynie.

*Bączalski Piotr*, o którym niżej mowa, pisał także wiele i źle; a między innemi o *Fortunie albo szczęściu*; ponieważ same stare i nudne powtarzał rzeczy, przezwano go w Babinie *polskim nowiniarzem*.

Str. 196. *Niemalo książek... o sztuce leczenia.* Była książka Falmirza o lekarskiej sztuce z r. 1534; było Franciszka Mymera dzieło: „Dobrego zdrowia rządzenie przez wszystkie miesiące roczne z r. 1543; był *Lecznik* w r. 1423 napisany, a później wydrukowany; były w rękopismie szacowne dzieła Marcina Sennika, Syrenyusza o przyrodzeniu i użyciu ziół i wiele innych; a na pokazanie, jak dalece kobiety ówczesne trudniły się leczeniem, przytoczę tu biografią następującą: „Sybilla Dorota, córka Jana Jerzego Brandeburskiego, księżna na Ligniey i Brzegu, urodziła się 19 Października 1590 r. Rzadkiej urody, matka dzieciom, biegła w łacińskim języku, posiadała wiele znajomości w sztuce lekarskiej. Uważając się za Polkę lubiła Polaków i miała zawsze na swoim dworze dwie Polki, Zarembiankę i Żychlińską. Wydała w języku polskim i niemieckim, w Brzegu, dziełko tyczące się babienia, p. t. „Prosta rada dla niewiast ciężarnych, rodzących, także i w innych słabościach, szczególniej na wsi do użytku, przez dwie mało wiedzące białogłowy D. S. i M. F.“ Pod pierwszą cyfrą ukrywa się sama księżna,

pod drugą Małgorzata Fuss, nadworna akuszerka księżnej i powiernica we wszystkich jej czynnościach, szczególnie w sprawach lekarskich.“ W tem piśmie powstaje księżna na rozpalające trunki, szczególnie na gorzałkę, nazywając ją napojem czartowskim, a miejsce gdzie ją robią, główną apteką Szatana. Książka ta rozdawana była bezpłatnie. Sybilla Dorota umarła 19 Marca 1625 r. Na jej pogrzebie miał polską mowę ksiądz Kauer, pleban gminy katolickiej w Brzegu; życie jej opisał współczesny Walenty Gierth, a później Szmit.

Str. 202. *Chłopaka Turka*. Wszystkie te szczegóły o stajni króla Stefana są rzetelne, jakto w pamiętnikach ówczesnych przekonać się można. Koń *Batory* dłużej żył od króla.

Str. 203. *Twój Epinicion*. Kochanowski napisał wiersz łaciński pod tym tytułem dla Stefana Batorego po wojnie Moskiewskiej r. 1582. Drukowany był w Krakowie 1583. Krysztof Klabon był kompozytorem ówczesnym, on dorobił muzykę i do śpiewów godowych Jana Zamoyskiego i Gryzeldy Batorówny, również przez Kochanowskiego złożonych. *Epinicion* znaczy hymn tryumfalny.

Str. 209. *Złotym łańcuchem*. Królowie rozdawali je wtedy prawie tak jak dzisiejsze ordery.

Str. 211. *Co nazywali wdzięczna*. Wartoby używać tego wyrazu w miejscu *gracieuse*.

Str. 211. *Bez gędzby*, po dawnemu muzyka; długo mówiono naczynia *gędziebne*.

Str. 211. *Bekwarka*. Sławny lutnista owego czasu; Kochanowski często o nim wspomina w wierszach swoich, i nawet zdaje się, że weszło w przysłowie mówić: „Nie każdy weźmie po Bekwarku lutni.“

Str. 212. *Śpiewaków Serbów*. Serbowie, nadobna gałąź Słowiańskiego szczepu, w których poezji tyle jest wdzięku, właśnie wtedy ulegli pod jarzmem tureckim i ich gęślarze chodzili po bratnich krajach, opiewając ich niedole.

Str. 214. *Obcym prawić umiał*. Jest kilka pięknych wierszy godowych Kochanowskiego tak łacińskich jak polskich. W liczbie ostatnich celuje *Epithalamium na wesela Krysztofa Radziwiłła* 1578 r.

Str. 337. *Rozrzucanie pieniędzy*. Na owem sławnem weselu Jana Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną, dnia 12 Czerwca 1583 r., przepych, zbytek, inne zaszczyty nie obraziły nikogo, ale rozrzucania pieniędzy ludowi na pamiątkę tego aktu bitych, szlachta nie mogła darować. Był to już monarchiczny czyn, obrażał zatem mniemaną równość szlachecką.

Str. 238. *Kanceleryna poroniła*. Czytam w pamiętnikach Millero- wych na kar. 152 te słowa: „Pod koniec Kwietnia 1584 roku Wielki

Kanclerz po poroni żony swojej miał wraz zjechać do Krakowa na roki z Knyszyna.“ *Dworskie pogłoski* o jej zdrowiu spełniły się także; wkrótce Gryzelda Batorówna, trzecia żona Zamoyskiego, umarła bezdzietna. Drugą, a tak mocno opłakiwaną żoną Kanclerza, była Krystyna Radziwiłłówna; na cześć pamięci jej, pułki, które wystawił na wojnę, były czarno ubrane.

Str. 238. *Dla synowców indygenatu.* Stefan Batory z braci swoich Krysztofa i Andrzeja, miał dwóch synowców: Zygmunta, który po ojcu w księstwie Siedmiogrodzkiem nastąpił, i Andrzeja, którego w młodym wieku wziął na swoją opiekę, do Jezuitów w Pułtusk na naukę oddał i potem do stanu duchownego przeznaczył. Andrzej został pierwój kardynałem niż księdzem; w Rzymie w r. 1585 piérwsze święcenie otrzymał. Byłto młodzieniec wielkich zalet i gorącój duszy, a choć bez powołania kapłańską sukienkę przywdział, przecież odznaczał się pobożnością, i obowiązki proboszcza Miechowskiego z zaletą sprawował. Koniec życia jego dowiódł, że miłsze mu było świeckie panowanie, i że wolał kord od brewiarza. Już po śmierci Stefana, Zygmunt Batory uległ był namowom cesarza Rudolfa i odstąpił mu Siedmiogród, wzięwszy w zamian księstwo Opolskie i Raciborskie w Szlązku. Lecz postrzegłszy błąd swój, chciał wrócić do ojczyzny; nie mogąc sam się w niej utrzymać, wezwał bratanka Andrzeja, wówczas biskupa Warmińskiego, żeby on się starał odzyskać utracone księstwo, i zachował je dla siebie. Andrzej nie mógł się oprzeć chęci panowania: mimo wszelkich przedstawień Zamoyskiego, rzucił byt swobodny i obfity w Polsce i rzucił się w niebezpieczeństwa wojny. Zdradzony i opuszczony po piérwszój utarczce uciekać musiał, a przebrany w siermięgę, z siedmią wiernymi Polakami kryć się w chacie wiejskiój; lecz i tam od cesarskich napadniony, lubo mężnie się bronił, dwa razy w głowę cięży siekierą, umarł dnia 28 Października 1599 r., nie mając jak lat 33. Co do zamysłów napomknionych Batorego względem synowców, czytam w Niemcewiczu: „Król Stefan chciał najprzód wyjednać indygenat dla nich, a potem jak wszelkie są do tego podobieństwa, dziedzictwo tronu dla nich zapewnić.“

Str. 238. *...Pyta się o listy księdza Reszki..* Stanisław Reszka z gminnego stanu w Poznańskim urodzony, uczeń, a potem mistrz Akademii Krakowskiój, przez sławnego Hozjusza był użyty do prac piśmiennych w czasie soboru Trydenckiego; tam, gdy się dał poznać, od naszych Królów i Papieżów był wielce szacowany. Henryk Walezy powoływał go do Francyi, Stefan Batory przełożył go nad wychowaniem synowca Andrzeja i wysłał z nim do Rzymu. Na sprawowaniu różnych



poselstw stracił znaczną część życia; obcy i krajowi pisarze cnotę jego i naukę wynoszą; był w istocie pełen wiadomości, obfity w wymowie, w pismach dokładny, w radzie na wszystko baczny i skory. Pisał wiele za wiarą katolicką i za jej głową. Królowa Anna, Jan Zamoycki szczególnie go lubili. Prócz dziekani Warszawskiej dostał później opactwo Andrzejowskie; umarł w Neapolu 1603 r. W szacownym zbiorze Ambrożego Grabowskiego p. t. „Starożytności historyczne polskie,“ (w którym żywiłam się nieraz z wielkim pożytkiem) jest korespondencya jego obszerna, właśnie z r. 1584; wypisuję z niej trzy listy tyczące się dziekani Warszawskiej, o której pan Krysztof nieco dalej wspomina.

*List królowej Anny do księdza Reszki.*

Z Krakowa 5 Lutego 1584 r. „Dawamy WM. znać, że ztąd bierzemy się do Warszawy; gdzie iż śnać, kościół pusty przez porządku jako przez pasterza i przez kaznodzieje, a WM. odjeżdżając miejsca i powinności swój pasterskiej, nikimeś nie zasadził, trzeba się o to bać sądu Bożego. Napominamy przeto, aby WM. albo sam do nas, owieczek swych przyjechał, albo jeśliby to być nie mogło, drugiemu (upatrzywszy człowieka, kapłana godnego, statecznego i porządek miłującego jakośmy z WM. mówili), puścił. Jakoż wiedząc pobożność i dobre baczenie WM., jesteśmy pewni, że z tych dwu rzeczy jedną uczynisz, a nam na ten list rychło odpiszesz, o co WM. żądamy. A przytém WM. łaski Bożej i wszystkiego dobrego na ten rok i wiele innych winiszujemy.“

*Drugi list królowej Anny.*

Z Krakowa 23 Marca 1584 r. „Mieliśmy list WM. z Rzymu dnia 19-go Jan., dany współ z kamieniem indyjskim. Ta chęć, dobra wola i życzliwość WM., którą zawdy ku sobie poznawamy, jest nam bardzo wdzięczna, a tém teraz bardziej, że i dobrego zdrowia nam życząc, czyniłeś tam WM. pilność o ten kamień, za pisaniem od doktora naszego, za który WM. bardzo dziękujemy, i JMCKsiędzu Kardynałowi Contarello, którego WM. nawiedz od nas i podziękuj, a powiedz, że nam JMĆ. w tém niejedno wdzięczną, ale i wielce potrzebną rzecz uczynić raczył, i pomyślimy o tém, jakobyśmy za to JMci wdzięczność przystojną okazali. Ten kamień ustawicznie nosimy, i za łaską Bożą do tego czasu żadnej boleści, jako bywała, jeszcześmy nie czuli.

„Kościół Warszawski przez niebytność WM. bardzo schodzi na wszystkiém; dlaczego jako w każdej rzeczy wielką pobożność a baczność WM. po sobie okazujesz, pomyśl tóż i o tém, aby ten kościół z owieczkami Bożemi, jakośmy już WM. pisali, przez nieobecność pasterską nie schodził. Kłodziński, Boże daj to, aby nam tak służył, jakowe my nań

baczanie mamy. Jakożci jest dobry człowiek, jeno siła czyni co my nie każemy, ale co się jemu podoba; z czego napomnij go WM. Z tem żądamy WM. od Pana Boga zdrowia ze wszystkiem dobrem na czasy długie.“

*Odpis księdza Reszki królowej Annie.*

Z Rzymu 7 Kwietnia 1584 r. „Miałem list WKr. Mości mój Miłościwej Pani, w której mi rozkazować raczysz dwie rzeczy: pierwsza, abym w dziekaniu mój Warszawskiej rezydował; wtóra, gdybym nie mógł rezydować, abym ją puścił, na co WKMości odpisując, najprzód widzę i Panu Bogu dziękuję, że WKMości serce ku temu kościołowi osobliwie obrócić raczył, iż WKMość jego dobrą sławę, porządek, a w nim chwałę Bożą taką widzieć pragniesz, jaka zaprawdę onemu miejscu zacnemu pod panowaniem i zwierzchnością WKMości przystoi. Co Pan Bóg, o którego chwałę tak bardzo się starasz, i na tym świecie i na owym obficie płacić będzie, a my kapłany na to powołani prosić nie przestaniemy, abyś WKMość takowych zasług na tym świecie co najwięcej sobie jednać, a po wielu potém lat na tak pobożnych sprawach i zabawach strawionych, za tę doczesną, wieczną koronę odnieśła. Co się samęj rzeczy dotyczy, WKMość raczysz wiedzieć, iż mię to *benificium* nad wszelaką nadzieję od Króla JMCi spotkało, którem ja nie wiedząc jego sposobu i powinności, z ręki i łaski Króla JMCi przyjąć musiał. Potém obaczywszy, jaki z sobą ciężar i obowiązek niesie, o tymem myślał i mówił (ponieważem tam rezydować nie mógł), abym go takiem życzył, coby powinności dosyć mógł uczynić, i z tymem się przed JKr. Mością przez Posła papieskiego i przez *Patrem Possevinum* otworzył; a WKMcI samem ustnie powiedział, także i Panu Kancelarzowi, któremum też osobę księdza Charzyńskiego mienił, bardzo na to miejsce i urząd sposobną. Od JKr. Mości miałem tę odpowiedź, iż nie należało, abym to na ten czas czynił; a iż na rezygnacyą JKr. Mć zezwolić nie chciał, ponieważem się zaś rychło miał wrócić do Polski. Przyjechawszy do Rzymu, dołożyłem się zwierzchności w tejsze sprawie. Także mi się zatrzymać rozkazano, i czego mi było dla spokojności sumienia potrzeba, w tém mi dogodzono. Ja jednak od tegom nie odstąpił, abym rezygnować nie miał, gdy to łaska, woła i dozwole nie Króla JMCi będzie, acz nie pierwěj, aż gdy tego bezpieczen będę, że się tém JKMć nie obrazi.... i będą tam odemnie postanowieni prokuratorowie z tą mocą, aby o tój dziekaniu uczynili, co się od Boga postanowioněj zwierzchności będzie zdało. Sam też mało co potém przyjechawszy, obecnie wszystko potwierdżę i dokonam, cokolwiek w tój mierze potrzebném będzie.

„Nic innego na list WKMcI odpowiedzieć nie umiem. A póki się

ta rzecz nie dokończy, proszę uniżenie, jako uprzejmy dali Bóg i chętniwy bogomodlca i najniższy sługa, aby WKMość oka swego z tego to Warszawskiego kościoła spuszczać nie raczyła, ale wszystkie jego potrzeby i doległości przykładem świętych onych przodków swych, łaską i obroną swą zastępowała. Bóg wszechmogący na niebie płacić to wiecznym obyczajem obficie będzie.“

Str. 239. *Jabym go ożenił z królową Szwedzką.* Anna, córka króla Jana Szwedzkiego i Katarzyny Jagiellonki, urodzona 1565 r., przybyła do Polski wraz z bratem swoim, Zygmuntem III-m, w r. 1587, mając lat 22. Dziwna rzecz, że gdy się udało jej matce syna w Szwecyi protestanckiej katolikiem wychować, córka do końca życia nie dała się namówić do rzymskiego kościoła, lubo mieszkała długi czas na dworze gorliwego brata i wśród Jezuitów. W ostatnich latach życia schroniła się do Szlązka do Brodnicy, i tam w panińskim stanie życie zakończyła r. 1625. Znana była powszechnie z żarliwości religijnęj, z miłosiernych uczynków i z wielkiego upodobania w nauce zielnictwa. Sama własnymi rękami ułożyła zielnik, który się dostał po jej śmierci do Radziwiłłów, i długo w Nieświeżu pokazywano ciekawym szczątki jego. Zachęcała do wydawania dzieł botanicznych; jej-to nakładem wyszło w Krakowie 1613 r. u Skalskiego, wielkie dzieło Syreniusza „O naturze i użyciu ziół.“ Wydawca tego pośmiertnego dzieła, Gabryel Janicki, lekarz i nauczyciel, przypisał je Królownie.

W dowód, że królowa Anna trwała zacięcie mimo namów przy Wierze swojej, przytaczam dwa następne wyjątki z korespondencyi ówczesnych:

*Z listu księdza Bernarda Jezuity r. 1588.* „Królowa nasza ze swojemi ministry w krótkim czasie za morze odjeżdża. Daj Boże, aby jechała i nigdy się nie wróciła. Jest omnibus scandalum.“

*Z listu księdza Baranowskiego z Wilna 1589 r.* My ztąd wyjeżdżamy do Rewla, Królowa z nami; radzibyśmy ją oddali panu ojcu, ponieważ do nas nawrócić się nie chciała *ad catholicismum.*“

Str. 239. *Ksiądz Warszawicki...* „Stanisław Warszawicki, z domu znakomitego w Polsce, Jana K-na Warsz. i Parysównęj syn, wielkimi przymioty, biegłością w kilku językach, wiadomością niepospolitą nauk, i szczęśliwym rozumem obrotom, tyle się Zygmunтови Augustowi zalecił, iż go w poselstwach do książąt europejskich, do Porty, do listów i do pism publicznych używał. Obrawszy sobie stan duchowny, kanonię Gnieźnieńską i Poznańską otrzymał. Pewnieby go zasługi wyżej podniosły, lecz Warszawicki użyteczność prawdziwą nad stopnie wysokie przekładał. Udał się do Rzymu r. 1567, zrzekł się wszelkich dostojności duchownych i świeckich, i wraz z Stanisławem Kostką (później kanonizo-

wanym) w poczet Jezuitów się zaciągnął. Miał wtedy lat 40. Po odbytem doświadczeniu powołali go do ojczyzny Jezuici polscy, których był podporą i ozdobą. Ledwie dom w Wilnie dla braci urządził, Grzegorz XIII-ty po dwakroć go do króla Jana do Szwecyi wyprawiał, czyliby kraj tego do jedności z kościołem Rzymskim skłonić nie zdołał. Zamiar jego starań nie mógł przyjść do skutku, królowa jednak Katarzyna zatrzymała go dla nauki młodego królewicza Zygmunta. Lat 6 misyą w Szwecyi zarządzał. Gdy do Polski wrócił, rządcą był domu Jezuitów lat 8, z kąd go Papież Pius V-ty posłał do Wołochów, aby Hospodara i naród do Wiary katolickiej nawracał. Dwa lata tu bawił nie bez znacznego pożytku. W usłudze dla bliźnich, roku 1501 w Krakowie życie zakończył, mając lat 64. Napisał ksiąg nabożnych kilka.“

(*Obraz wieku Zygmunta III-go p. Starczyńskiego.*)

Str. 239. *Ś. Ignacego Lojoli...* „Wiadomo wszystkim, iż ś. Ignacy Lojola był założycielem zgromadzenia Jezuitów; urodził się on w Hiszpanii r. 1491, w zamku Lojola, dziedzinie ojca swego Bertrama, matką jego była Maryna Sonen, zacna szlachcianka. Św. Ignacy, najmłodszy z trzynastu rodzeństwa, był najprzód znakomitym żołnierzem, później pustelnikiem, nareszcie w Paryżu odbywszy nauki w r. 1534, zmówił się z dziewięcią studentami i ślubowali razem Bogu poświęcić się nawracaniu niewiernych. W r. 1537 w Rzymie na kapłanów się wyświęciwszy, wnet przybrali nazwisko *Societatis Jesu*, i tam rozpoczęli naukę Wiary w kościółku zwanym *Sancta Maria de Strada*. W krótkim czasie zgromadzenie to znacznie się rozmnożyło, dwa pierwsze kolegia stanęły jeden w Portugalii, drugi w Indyach, a kiedy św. Ignacy Lojola umierał w r. 1556, już było dwunastu prowincyałów, pod któremi około stu miejsc Jezuitami osadzonych było. Do Polski Jezuici wprowadzeni zostali w r. 1565. Pierwszym ich opiekunem u nas był Hozyusz, pierwszym prowincyałom *Lainez*, Hiszpan, niespracowany pomocnik św. Ignacego. Pierwsze kolegium jezuickie polskie było w Braunsbergu w Prusach. Założyli oni w tém mieście wielką bibliotekę, którą r. 1626 Gustaw Adolf do Sztokholmu przewieźć kazał.

Str. 240. *Po błogostawionym Janie Kantym.* Jeden z świętych patronów naszych rodził się w Kentach koło Oświęcimia, z uczciwych i pobożnych rodziców r. 1412; dany na naukę do Akademii Krakowskiej, do teologii szczególniej się przykładał, a zostawszy kapłanem, był mistrzem teologii i filozofii, i najwyższych cnót wzorem. Umarł 1473 r. Ciało jego spoczywa dotąd w kościele ś. Anny w Krakowie. Ten święty patron nasz uzyskał tę chwałę, że w brewiarzu rzymskim cały kościół katolicki przy Mszy św. wzywa go za Polskę w tych słowach:



*O! qui negasti nemini,  
 Open roganti patrium!  
 Regnum tuere, postulan  
 Cives Polonie exteri.*

O! któryś nie odmawiał nikomu  
 Pomocy wzywającemu, ojczyste  
 Królestwo ochraniaj! proszą  
 Obywatele Polscy i cudzoziemscy.

Str. 241. *A na ich czele ksiądz Piotr Skarga.* Ozdoba kościoła i piśmiennictwa naszego Piotr Skarga, rodził się z ojca Michała i z matki Anny Świętkowskiej, w Grodziecu, w Mazowszu, r. 1536; umarł w Krakowie 1612. Gdzieindziej opisałam obszerną jego biografią, tu wspomnę tylko, iż był-to prawdziwy pisarz i kaznodzieja obywatel, i że tak kochał i znał Ojczyznę, jak mało kto kochać i znać ją umie. Sam powtarzał, iż wyrzekłszy się innych związków serca, z miłości ojczystego kraju nigdy się nie wyzuł; a kiedy go pytano, czemu posiadając doskonale język łaciński mało nim pisze, odpowiadał: „Język łaciński jest stary, od wielu wieków zupełnie ukształcony; polski młodszy, potrzebuje wyrobienia. Wreszcie Polak jestem, dla Polaków tylko żyję, czuję i myślę.“ O bractwie tu wspominałem, jako i o banku pobożnym, jest wiadomość obszerna w moim opisie Krakowa z r. 1827. Co zaś do szacunku, jaki Skarga miał dla Akademii Krakowskiej, niech będą dowodem te słowa jego, wyjęte z żywota Bł. Jana Kantego:

„Przesławna Akademia Krakowska, Królów Polskich szczęśliwa fundacya, korony tej ozdoba i kościoła św. katolickiego podpora, jako dobre drzewo, dobrych owoców wiele w mężach sławnych, których błogosławiona pamięć zostaje, rodziła i rodzi, którzy żywotem chwalebny, nauką i pracą na źniwie Bożem i wychowaniu młodzi lata swoje trawiając. pomocne nam do zbawienia i do cnót świętych przykłady zostawili. Miło mi wspomnieć na tych, których pamięć moja zaszła, i których ćwiczenia i towarzystwa z uciechą zażywałem; na onych Benedyktów, Koźminów, Szadków, Sebestyanów, Leopolitów, Sylwiuszów, Pilznów, Herbestów i kaznodziejów sławnych królów polskich, Tarczynów, Sokołowskich, Kłodawitów, których ta matka urodziła i z których się już Niebo weseli. Jako cię zapomnieć mam złotej wymowy, Janie Leopolito, któryś na pogrzebowém kazaniu od świec zarażony umarł? i ciebie Sokołowski, któryś piśmem tak poważnym kościół Boży oświecił? byliście mi ochłodą i pobudką do dobrego. Nie ruszam tych, którzy pamięć moje przechodzą. Wiele było synów matki tej płodnej, jako

współ zakonników, ludzie na cnotach, pobożności i nauce osadzeni pokorni, gardziciele świata, nabożeństwu i naukom oddani, w wierze katolickiej nienaruszeni, pracowici, a na małych dochodach i u jednego stołu spółnie przestający; kościoła ś. obrońce, pilni nauczyciele uczniów wszystkich stanów. Roboty i prace ich na duchownych i świeckich korony téj, kwitnęły i do tego czasu kwitną “

Str. 241. *Miłościwa Pani nad zamiar bawiąc w Krakowie*. Czytam w Herbach rycerstwa, Paprockiego: „4-go Czerwca 1583 r. królowa Anna przyjechała dosyć ochędożnie do Krakowa, proszona na wesele Kanclerza. Tamże mieszkając przez ten wszystek rok, grób sobie w ojcowskiej kaplicy gotować kazała. Wyjechała z Krakowa, z płaczem wszystkich żegnając, 2-go Maja 1584, do Skały na noc, ku Częstochowie, ztamtąd do Warszawy na mieszkanie.“

Str. 243. *Nowa książka Fausta Socyna*. Socyn, Włoch, rodem z Sienny, w Polsce długo mieszkał, ożenił się z Morsztynówną, umarł i pochowany został w Lusławicach, niedaleko Bochni w r. 1604, mając lat 65. Pisał on przeciwko Trójcy Świętej jako i przeciw innym prawdom religijnym, spór wiodąc nietylko z katolikami ale i z wyznawcami Lutra i Kalwina, a nawet i z Aryanami. Chciał on nową utworzyć sektę, prawie żadnych dogmatów nie uznając, i znalazł zwolenników, których zwano Socynianami. Po napisaniu owej książki wynosić się musiał z Krakowa, gdzie od czterech lat mieszkał; ale po zejściu króla Stefana wrócił do tego miasta, i tam w r. 1593 był napadnięty w domu przez żarliwych uczniów Akademii tak, że ledwie z życiem uszedł.

Str. 243. *Księżdzu Sokołowskiemu*. Stanisław Sokołowski, akademik krakowski, mistrz teologii i nauczyciel wymowy, mąż obszernej nauki, a przytém skromności rzadkiej, sam ubogi, odebrał wychowanie nakładem Jakóba Bielińskiego, a zwiedziwszy obce kraje, przez lat kilkanaście nauczał w Akademii Krakowskiej, gdzie kształćąc innych, najlepiej, jak sam wyznaje, ukształcił siebie. Oderwał go od tych prac Stefan Batory, powołując go na spowiednika swego i na kaznodzieję. Miewał przed królem łacińskie kazania, które potem dla dworu po polsku powtarzał. *Bolognetti* Legat Grzegorza XIII-go Papieża, w Polsce, w liście do Włoch pisanym, takie umieścił słowa: „Trzy rzeczy godne podziwienia widziałem w tym kraju: Stefana, króla najmędrszego; Zamoyckiego, kanclerza najroztropniejszego, i Sokołowskiego, kaznodzieję prawie Boskiego.“ Sokołowski wiele napisał dzieł pobożnych i uczy-nych, duchowieństwu zwłaszcza przydatnych. Otrzymawszy kanonią krakowską, przestawał na téj dostojności, i wyżej się piąć nie chciał, lubo mógł. Zatopiony w naukach, lubił innym do nich pomagać. Dręczony

przez lat 13 nieustannym prawie bolem głowy, od urzędu kaznodziei się wyprosił, ale ciągle pracował, pisał i nauczał. Był bardzo szpetny, ułomny, twarzy nieprzyjemnej; lecz piękne własności duszy nagradzały te wady ciała. Umarł z żalem powszechnym r. 1593, mając lat 56.

Str. 243. *Jedno co nas tu martwi.* Do tego całego ustępu o lekarzach, o stanie zdrowia króla Stefana, o bojaźni trucizny, jako i do smutnych wróżb o jego końcu, może nie zawadzi dołączyć następujące wiadomości, z różnych ksiąg i pamiętników ówczesnych zebrane.

*Symonius*, rodem z Luki, którą dla wyznania kalwińskiego przymuszony był opuścić, wielu ksiąg anty-katolickich pisarz, polecony był Batoremu przez nadwornego jego lekarza Mikołaja Bukcellę Padewczyka, i trafiło się, że on sam był przez trzy pierwsze dni przy ostatniej a krótkiej chorobie króla Stefana, zaszłej w Grodnie, w końcu roku 1586. Bukcella bowiem właśnie, za dozwoleń królewskich, do dóbr swoich był odjechał, i nie przybył aż wtedy, gdy już ratunku nie było. Wszyscy utrzymywali, że Symonius jaknajgorzej króla leczył, i że mimo zdrowia mocnego, niechorując prawie, wielki Stefan winą tych złych leków zgubiony został. Mówiono nawet o truciznie; Symonius bronił się i usprawiedliwiał w kilku pismach, ale nic z niego plamy raz rzuconej, słusznie czy niesłusznie, zmyć nie zdołało; musiał Polskę opuścić, gdzie każdemu był najboleśniejszym widokiem. Ostatnią chorobę i śmierć nigdy dosyć nieodżałowanego króla, tak opisał naoczny świadek, zdaje się lekarz. Jest-to zarazem zajmujący obraz zwyczajów Stefana Bato-rego, sposobu życia ówczesnego i stanu sztuki lekarskiej u nas.

„Król JMć miał na prawej nodze, o dwa palce pod kolaniem aż do kostki rodzaj wyrzutu, w którym bywały ranki niegłębokie, ciekące. Na téjże nodze, niżej kolana, miał aperturę, a kiedy z niej mało ciekło, nie miewał apetytu, nocy bywały niespokojne i bezsenne. Przyszła na niego choroba w Niedzielę 7 Grudnia 1586, i zdało mu się, jakoby go pchły kąsały. Miał na to lekarstwo, że go ścierano chustami ciepłemi po wszystkiem ciele, i tego też dnia ścierano go. Położywszy się na łożu, nie spał; czuł tęskność i owe jakby pcheł kąsanie, z niejakiem czuciem gorącości w głowie. Potem w nocy wstał na prywatne miejsce i tam długi czas był na zimnie i wietrze (?). Idąc ztamtąd przez komórkę, która jest przed komnatą gdzie leżał, hałas się zrobił; usłyszał go Węgrzyn, co przy nim sypiał: otworzył do onej komórki i znalazł Króla klęczącego we drzwiach u ławy; zapytał go: „Co się dzieje Miłościwy Panie?“ Król rzekł: „Nie wiem co się dzieje.“ Nato Węgrzyn: „A czemu WKMość upadł?“ Król odpowiedział: „Nie wiem co się ze mną działo.“ A wtém zobaczył, że sobie zranił chorą nogę, a prócz

tęgo zakrwawił jagodę prawą, nos i czoło z uderzenia o ławę. Szedł potem do łóżka i posłał po Symoniusa, bo Bukcella dopiero we Wtorek przyjechał. W Poniedziałek dał mu Symonius manny, która go mało sprawiła. Na obiedzie jadł bardzo mało, pił wino; od tego czasu nikt do niego nie chodził, jedno doktorowie i dwa Węgry, Terens i Kiepszca; a Król zakazał, aby o tē m stłuczeniu jego nic nie mówili, a iż w Poniedziałek manna mało go sprawiła, we Wtorek namówił go Terens, aby wziął konfekt z kwiatów brzoskwiniowych, których sam używał; i wziął; a iż była wewnętrzna gorączka, nie dali mu samego wina, ale z wodą. Napiwszy się raz albo dwa na obiedzie, wypił potem szklanę wódki cynamonowej, mocnej; toż i na wieczór zrobił; poczem rzekł Król iż chce spać. Skoro się układał, powiedział: „Jużci mnie napada pierwsza choroba.“ To było o godzinie dziesiątej na półzegarzu w nocy; zatem nogi spuścił, jakoby chciał wstać; aż tu oczy wywrócił w górę, a zakręciwszy się zgrzytał zębami; a oni tarli zaraz głowę, uszy ciągnęli i palce u nóg i ręce. Potem, gdy ku sobie przyszedł otworzywszy oczy, rzekł: „Dla Boga! co czynicie?“ Rzekli: „WKMość źleś się miał.“ Odpowiedział. „Prawda jest.“ Zatem przyszła nań wielka duszność, że ledwie tchnął; przysadzili więc wielkie bańki na słabiznach, a duszność poczęła odchodzić, i tak oną noc miał bardzo ciężką i niespokojną.

Nazajutrz, aby ściągnęli krew z głowy, dali mu pigułki zielochanem et extracti elebori, które zażył. Na obiedzie bardzo mało jadł, uskarżał się na wodę, pozwolili mu więc doktorowie wina z trzecią częścią wody. Kazał przy sobie nalać szklenicę wina, a gdy nalali dwie części, nie kazał wody lać, mówiąc: „Będę samo wino pił.“ I wypił; toż na wieczery, ale bardzo mało jadł, a usta płukał wodą, bo miał pragnienie. A gdy się położył o siódmej godzinie na półzegarzu, znowu przyszła choroba; czynił jako i pierwój; a gdy ku sobie przyszedł, powiedział, że mu coś wstępuje po lewój stronie w głowę. We Czwartek dali mu *Castorii et in aqua hysopi*, a przed obiadem stawiali bańki, dwie na prawej stronie pod łopatką, a niżej jedną po lewój stronie pod łopatką, a dwie małe pod kostką na nodze. A iż wiedzieli, iż jest *species caduci*, nie chcieli mu dać wina, ale wodę zmieszaną z chlebem. Sam więc Król wziął chleb, włożył w wodę, i tak moczył. Poczem napił się troszkę dwakroć, ale bardzo mało jadł, jedno dwa jaja. Zmieszali mu potem wodę z konfektem mannym i precedzili, którą też pijał tak niekiedy we zdrowiu w lecie, i wypił jęj razem z kwartę, bo miał wielkie pragnienie; potem, po małym czasie spał spokojnie więcej niż dwie godziny, mówił rzeźwie jako zdrowy.



Na wieczerzy nie chciał jeść, rozumiejąc, że mu wieczerza szkodziła. Bawili go doktorowie aby minęła godzina, o której choroba nań przychodziła, ale skoro przyszła 11-ta godzina na półzegarzu w nocy, choroba przyszła, po której trudne oddychanie przez całą noc. Tęże nocy o 5-ćj na półzegarzu przededniem, dali mu także pigułki, uczyniwszy z nich konfekt. Na obiedzie bardzo mało jadł, a pozwolili mu trochę wina z wodą. Po obiedzie był smętny i gorzej się miał, wszakże nie nazbyt słaby, sam wstawał; ale po 4-ćj godzinie po południu, przyszła choroba, od której go już wzbudzić nie mogli, bo razem ze śmiercią się skończyła. Pytałem się Bukcelli, jeśli Król dawniej miewał kaduk (wielką chorobę)? a powiedział, iż jeszcze w Siedmiogrodzkiej ziemi przyszła była nań *affectia* więcej niż przez tydzień, co żadnym sposobem nie mógł mówić to co chciał, aby pamiętał i pisał dobrze. Posły Cesarskie, które na ten czas u niego były, pismem odprawował i tu w Polsce, już temu 5 lat przeszło, miał podobną chorobę przez kilka dni z ciężką dusznością.

Przy bytności Bukcelli, balwierze wnętrzości wyjmowali z niego, Bukcella im pomagał. Wszystkie *viscera* zdrowiuchne, wątroba także, żołądek, śledziona, płuco jedno przy sercu zdrowe, tylko lewe naciekło, bo się był bardzo potłukł. Nerki nadzwyczajne, jako wołowe, co dziwna, bo w człowieku nerki są jako w skopie. Czego ani ja, ani Bukcella nie widzieliśmy w żadnym ciele. Szukał Bukcella *in omnibus visceribus*, i nic nie znalazł, tylko w onej pęcherzynie, kędy żółć bywa, w tej dziurze kędy wychodzi, kamień tak wielki jako muszkatołowa gałka, że do onej pęcherzynki nic nie wchodziło żółci, i nic jej też nie było, tylko woda szczerza i drugi kamyk; wszakże to nie jest *causa mortis*, bo i w gołębiach i w koniach żółci niemasz, ale się rozchodzi po wszystkiem ciele. Doktor Symonius gdym go pytał o śmierci królewskiej coby była za przyczyna, powiedział: iż *asyna cum syncope i accusabat aquam*, którą Król pił; nie tak, żeby była *causa mortis*, ale żeby miała *accelerare mortem*: i powiedział: „By był wino pił, mógłby był jeszcze dzień albo dwa żyw być i Panu Bogu się sprawić i rzeczy rozprawić.“ Ale tak się to dzieje, Adam na Ewę, Ewa na węża spędza, a grzech zostaje.“

*List Thurneisera lekarza, elektora Brandeburskiego, do króla Stefana, 13 Lipca r. 1578.*

Odebrałem list WKMci przez p. Bojanowskiego ze Lwowa dnia 21 Maja do mnie pisany. Jestem ja z liczby tych ludzi, którzy od wielu lat z magnatami przestając, potrzeby ich poznawać umiem; a stosownie do tego, com od p. Bojanowskiego słyszał, posyłam WKMci

pewne antydotum czyli *Alexipharmacum* przeciw wszelkiej truciznie przystosowane do natury i do kompleksy WKMc. Balsam ten z niemałą pracą sporządżem stosownie do prawideł kabalistyki i magii naturalnej, bo złość ludzka teraz do tego stopnia doszła, że ostrożnym być należy, nietylko w jedzeniu i piciu, ale nawet w ubiorze, umywaniu i dotknięciu, bo zdrada dotknięta być może w sprzętach rozmaitych: w stołkach i lawkach, których gdy się kto dotknie, albo przez nie przestąpi, życie utracić może, a czasem skutek dopiero piętnastego, a nawet trzydziestego dnia się pokazuje, a jad przez muszkuły, nerwy i żyły do serca przenika. Tego więc kosztownego balsamu, który star-gane siły krzepi i od trucizny chroni, posyłam WKMości cztery porcje, których obyczajem na dworach królewskich używanym, w obliczu pana Bojanowskiego skosztowałem, i on zamną tożsamo uczynił. Proszę Najwyższego, aby WKMc. dawne wrócił zdrowie.

Str. 244. *Nasz vere nobilis...* Stanisław Sobocki dworzaninem był króla Stefana, wielce od niego lubionym. Książd Konarski Jezuita, w kazaniu, jakie miał na jego pogrzebie 1589 roku, to o nim powiedział: „Prawie to był mąż serca wielkiego. Odprawiwszy dziecinne lata w domu, dobrze od rodziców wychowany; gdy do obcych krajów pojechał, ćwiczył się nietylko tańczyć, na luteńce grać, maskary stroić, jako temi czasy panięta nasze; ale na koń dobrze wsiadać, broni umieć dobrze użyć, rusznicą dobrze zmierzyć, przebiegi żołnierskie wiedzieć. Na toć jego peregrynacye do Turek, do Hiszpanii, do Włoch, do Niemiec, do Węgier, do Malty (kędy z nieprzyjacielem Krzyża Bożego, i pojedynkiem, i w uszykowanem wojsku dobrze sobie poczynął), i niemal do wszystkich państw chrześcijańskich. Tak się ćwiczył szlachcic! Z tój szkoły zacnym rotmistrzem na dwukoronnych wojnach, przy królu mądrym a walecznym Stefanie, znaczne roty prowadził i nieprzyjacielowi silnym był, i Królowi, i wszystkim co go znali bardzo miłym. A nietylko miał męztwo szlachcicowi rycerzowi potrzebne, miał i wielkie baczenie, wielki rozum do spraw prawie szlacheckich, o którego mądrości, cnotcie, wierze przeciw panu, by nie było insze świadectwo, sam oto, że Stefan, on Król mądry a prawy, królów wizerunek, zwykł to o nim mawiać: *Vere nobilis Sobocki*. Prawy szlachcic Sobocki.“

Str. 244. *Rad widzi pana Smolika*. Piotr Smolik, herbu Kotwicz, dziedzic na Wolfanowicach, na wielu wyprawach wojennych doświadczonego męztwa. Był on dworzaninem króla Stefana i dwóch następnych monarchów, wszystkim trzem wielce miły z bystrości dowcipu i z wesołości umysłu. Umiał bawić i podobać się wszystkim stanom, bez niczyjój przykrości i szkody. Ostatnim będąc ze swego domu, zszedł

ze świata r. 1637; Seweryn Bonar z Balic, położył mu nagrobek w Krakowie u księży Franciszkanów z następną pochwałą: *Ita in omni vita jucundum honesto miscuit, ut quidquid diceret, aequè prudens ac argutum esset.* (Tak w całym życiu wesołość z uczciwością łączył, że cokolwiek powiedział, było równie roztropne jak dowcipne.)

Str. 244. *Ciekawy wizerunek w Paryżu zrobiony.* Wizerunek Polaka tak się pastwiącego nad Henrykiem III-m, znajduje się w bibliotece Narodowej Paryżkiej, w zbiorze pod tytułem: „*Collection de pamphlets et de brochures latines et francaises relatives au regne de Henri III.*“ Godzien przerysowania, zwłaszcza dla ubioru.

Str. 244. *Do waszego Sylva rerum, Las rzeczy.* Tak zwano grube volumina, czyli zbiory samym obrazkom poświęcone, w które Polak lubownik, zgromadzał czasowe portrety, mappy, wyobrażenia bitew, różne rysunki, drzeworyty i sztychy; znachodzą się jeszcze dziś ślady takich po starych ojcach naszych,

Str. 245. *Na kołacze weselne jadę.* Tłuste i smaczne ciasta, które na każdej uczcie weselnej musiały mieć miejsce tak u bogatych jak u uboższych; poświadczają to następne wiersze Symonowicza z Sielanki, w której opisuje wesele:

Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,  
Niechaj win rozmaitych hojnie nalewają,  
Kołacze grunt wszystkiemu; a może rzec śmieie,  
Bez kołaczy jakoby nie było wesele.

Str. 245. *Jest-to Teresa z Avilla.* Urodzona 1515 r., zmarła 1582, Kanonizowana 1622, św. Teresa jest jedną z tych niewiast, których życiem i pismami cała pleć nasza chlubić się powinna. Szkoda tylko, że mało są znane, zwłaszcza u nas, gdzie Ninony, Montespany, Pompadury nierównie są popularniejsze od Teresy Awila, Katarzyny z Sienny, Johanny Chantal i im podobnych. Jeśli Bóg zdrowia użyczy, zakładam sobie zaradzić o ile w mocy mojej będzie temu niedostatkowi naszemu, zebrać kolejną lat żywoty znamienitszych świętych kobiet, i dać wyjątki z dzieł tych, które pisały. Niektórzy mi mówią, że byłoby zyskowniej-szēm przetłómaczyć z parę romansów pani Sand, ale ja inaczej trzymam o rodaczkach moich.

Str. 253. *Pan Andrzej Wirgilego przekłada.* Przekład ten, któremu znawcy niezbyt wielkie zalety przyznają, wyszedł z drukarni Łazarzowej w Krakowie 1594 r. W przypisaniu Janowi Zamoyskiemu tłómacz wyznaje, iż za namową jego przedsięwziął tę pracę.

Str. 254. *Ośpiewam żywot i zgon Warneńczyka.* Tej pięknej myśli Kochanowski nie zdążył wykonać, został tylko ułamek owiej pracy; wy-

drukowany jest w poezjach jego jako *Fragment bitwy z Amuratem u Warny*.

Str. 255. *Mój Żółkiewski*. Stanisław Żółkiewski, później hetman i kanclerz W. Kor., o którym już było wspomnienie w przypisach do tych obrazów, był blizkim krewnym Jana Zamoyskiego, i pod nim uczył się sztuki wojowania. Tak był piękny, iż w igrzyskach na weselu Kanclerza i Gryzeldy, boginią Dyanę przedstawiał, a potem w lat kilkadziesiąt, ową głowę odciętą od tułuba w bitwie pod Cecorą, Turcy obnosili po ulicach Stambułu, i ledwie za ogromny okup wraz z ciałem rodzinie wydali!...

Str. 257. *List księdza Dziekana..... najświęwszy*. Może miło będzie niejednej z czytelniczek moich przeczytać ów list, który Kanclerz odebrał w Czarnolesie, a pierwój jeszcze trzy listy samego Zamoyskiego na które ten był prawie odpisem, i które wszystkie razem objaśniają całą sprawę kardynałstwa i wyprawienia do Rzymu pana Andrzeja Batorego jako i inne polityczne wydarzenia.

*List Zamoyskiego do księdza Reszki do Rzymu, z Krakowa 22 Stycznia 1584.*

Zaleciwszy przyjacielskie chęci swe w łaskę Waszj Miłości dziękuję, że mi WM. o szczęśliwem tam przyjechaniu pana Andrzeja oznajmić raczył. Chwała Panu Bogu, żeście WM. w dobrém zdrowiu tam przyjechali i tak *honorifice* byli przyjęci. Dalej winszuję tego WM. żebyście do końca, póki tam będziecie, umieli w to potrafić. Zaco JKr. Mość będzie WM. powinien, i ja z osoby swj to WM. odslugować chcę. Proszę de siatu (o stanie) pana Batorego oznajmuj mi WM. jako najczęściej za wszelką okazyą.

Myśmy sam teraz nie do końca w dobrj przyjaźni z Cesarzem Tureckim dla onych szkód, które Kozacy poczynili; zacząłm też i to i owo z Ukrainy, jakó więc w takich sprawach bywa, ponawia się. My w kroku stoim, i jako możemy łatamy i ujmujemy te rzeczy. Proszę daj mi WM. znać, co tam o tém są za rozumienia? i przyszloliby do czego, jakobyśmy się chęci od panów chrześciańskich spodziewać mieli? Jakoż ja *praesertim in tam pia et communi causa* (zwłazcza w tak świętej i wspólnej sprawie) nic o chęci ich przeciwko nam nie wątpię. Wszakże nie zagnała się WM. o tém wywiaduj i nie lada z kim o tém mów. Posyłam WM. trzy numizmata twarzy Króla JMci, oddaj WM. jeden Antoniemu Mureto, drugi Fulvio Ursino, trzeci Gambasce Poetae. Także też swoich trzy WM. posyłam, które WM. tymże po jednym rodzaj. Z tém się łaskawj przyjaźni WM. zalecam. Życzliwy przyjaciel służyć gotów.

J. Z.



*Drugi list tegoż do tegoż. Z Knyszyna 13 Lutego 1584.*

Chęci swe przyjacielskie WM. zaleciwszy, dobrego zdrowia i fortun wszelakich WM. od Pana Boga życzę. Jakom pierwszym listem swym z Krakowa WM. winszował.. taki teraz znowu winszuję. *Sequitur* zatem, żebyście WM. albo pan Andrzej tę wzbudzoną o sobie u Ojca Św. i u ludzi tamtych opinią, i ich przeciw sobie chęci, obyczajmi i postępkami swemi statecznymi zadzierżywał, o to się starał, żeby jako przodek tak i koniec był dobry, i jednym torem jego sprawy były prowadzone. Co nie dlatego przypominam, abym wątpił, żeby nie miał JMé i umieć i chcieć o to się starać, i tego u siebie uważać; ale mając z JMcią związek powinny i rozumiejąc, że dobre i poczesne JMci, téż i na mnie po jakiejkolwiek części ma przypadać, przeto chciałem krótkce to przypomnieć u WM.

Około drogi do Bononii jeśliby miał JMé z Ojcem Ś. jechać, albo nie deliberowaliśmy z Królem JMcią, gdym teraz z Krakowa przyjechawszy do niego się był do Grodna trochę dorwał; jeno w téj deliberacyi naszej tego nam nie dostawało, żebyśmy byli wiedzieli zdanie WM. około tego... A tak JKMość na WMci to rozsądek puszcza, i rozumiesz-li WM. żeby mógł na téj drodze JMé nie podlej stać od innych, tedy Król JMé nie będzie przeciw temu... A gdyby nie mogło się a pari z drugimi na téj drodze stać, tedy lepiej z Rzymu uprzędzić wyjazd Papieżki i do Medyolanu się obrócić, a tam te miesiące przy Kardynale Boromeuszu (przy ś. Karolu) strawić, jego świętobliwości się przypatrywać i przy nim się sposobić do profesyej swéj; co wszystko JKr. Mość zdaniu i rozsądkowi WM. zleca. Mówiłem z JKM. i o pieniądze tak dla téj drogi, jeśliby ją wziął przedsię JMé za WM. zdaniem, jako i dla upominków zwykłych officialibus (urzędnikom) gdy do kardynałstwa przyjdzie. JKMé raczył nad to, co jest pierwéj destinatum trzy tysiące dukatów postąpić JMci i już rozkazał dać listy do p. Montelupiego, że te pieniądze tam WM. representatur... Z tém się przyjaźni WM. zalecam.

J. Z.

*Trzeci list tegoż do tegoż, z Knyszyna 15 Lutego 1584 r.*

Iż wola i chęć Ojca Ś. jest skłonna do kreowania Kardynałem pana Andrzeja, jest-to wdzięczno niepomału JKMc. Ale jednak nie zdało się było JKMc, żeby miał co około tego pisać do Ojca Ś. i deklarować mu się w tém, z téj przyczyny, aby nie rozumiano, żeby JKMé dlatego jeno posłał tam synowca swego, żeby kardynałstwo odniósł; a na pewno nie była intencya JKMc, ale ta raczêj, aby pokazał u wszystkiego świata, jako jest *devotus* Jego Świętobliwości i dał innym panom chrześcijańskim pobudkę i przykład do czczenia Je. Świę. Ktemu

téz, aby i pan Andrzej, gdyż go JKr. Mć już za wolą jego samego na ten stan duchowny i na chwałę miłego Boga obrócił, na tём tam miejscu, gdzie jest religionis nostri caput (wiary naszój głowa) i w tój tam gromadzie ludzi i w pobożństwie i w naukach przednich, sposobił się tём lepiej do tój, którój wziął przedsię profesyę. Tą tedy intencją tam go posławszy, nie chciał był JKMć z tём się popisywać, aby miał sollicitować u Papieża o ten jego honor, rozumiejąc, że dosyć jeszcze może być do czasu; alem ja perswadował i wiodłem do tego JKMć, aby dał co o tём znać J. S., a to dlatego, kiedyby to teraz się zaniechało i z tём odjechał pan Andrzej; a rozniosło się to po świecie, że Ojciec Ś, nie dawno kreowawszy poczet niemały kardynałów, minął synowca Króla Polskiego., aby nie rozumieli zatём ludzie, żeby albo obyczaje i osoba p. Andrzeja nie podobała się Ojcu Ś., albo nie jest chęć Kr. JMci. Co gdym tak perswadował, przestał na tём Król JMć i pisze list swój w tój mierze do Ojca Św.... Przy oddawaniu, acz do poparcia tój sprawy racyę u Ojca Ś. przywozić podobno nie potrzeba, gdyż sam jest chętny do tego, i przeciw JKMci ojcowski prawie afekt i chęć pokazuje zawdy, wszakże nie wadzi przypomnieć, że gdy jego świat *ornabit eo honore* (ozdobi tym zaszczytem) krew JKMci pokaże wszystkiemu światu, jako sobie waży Król JMci, który pewnie iście *devotissimus* jest stolicy apostolskiej, i na poświadczenie tego, synowca swego własnego do Jego Św. posłał, a panem jest takim, że może być godnym i potrzebnym zawdy chrześcijaństwu. Ktemu *cedet* ta rzecz, da Pan Bóg *in rem* kościoła katolickiego, bo on i w Polsce mając stryja Króla, może być godny i pożyteczny kościołowi, i tёмbardziej w Transylwanii ojczyźnie swój, gdzie radby Król JMć, aby powróconą była religia katolicka, i wszelaką pieczę o tём ma. Do czego, a któżby nad p. Andrzeja był sposobniejszy?... A iż osobno go teraz samego kardynałem Jego Św. *renuncyje*, a nie w owym poczcie i katalogu, którzy niedawno są *renunciowani*, mało nie lepiej zda mi się to będzie.. bo które kardynały z wielkich familii Ojciec Ś. kreował, to osobno same tylko... Ztём się przyjaźni i miłości WM. zalecam.“

*List księdza Reszki do Jana Zamoyskiego, z Rzymu  
18 Kwietnia 1584.*

Dnia 4 Aprilis wziąłem przez wenecką pocztę dwoje listy WM. Mił. Pana, bardzo odemnie oczekiwane, na które rzymską swą polszczyzną zaraz odpisuje. Było to Miłościwy Panie u wielu ludzi w podziwieniu, że JPan Andrzej z drugimi nie był Kardynałem kreowany i dziwnie to rozbiali; a z naszych oczu i twarzy, wizerunek chęci i myśli naszych wybierali, jakośmy to zaniechanie przyjmowali? Ja

wprawdzie, którego natura ad *simulationem* (do udawania) zgoła nic, ale ani ad *dissimulationem* (do zmyślania) nie uczyniła, będąc z tego zaniedbania nie pomału żałośnym, wolałem przez kilka dni doma się zatrzymać, niż żal swój oczyma, i twarzą ludziom opowiadać. Ale iż opinia o mądrości i baczeniu wielkiem Króla JMC już przedtém między wszystkiemi dosyć jasna i wszem wiadoma była, a przytém się na każdy dzień co dalej témbardziej przypatrowali sprawom, obyczajom, postępkom, nabożeństwu, zabawkom, towarzystwu JP. Andrzeja, zato ludzie to zaniechanie Papieżkie przyjmowali, iż go tém dygnitarstwem Ojciec Ś. minął nie dla jakiego zaniedbania, ale iż tę zwłokę chciał mieć Król JMC, aby się pierwej rzeczom przypatrzył, do języka i obyczajów sposobił, na które discursy jam też nic nie replikował; i takeśmy z łaski Bożej obronną ręką naszą *existimatią* zachowali. Wczém bardzo też umiał dogodzić JPan Andrzej, gdyż ani w twarzy, ani w mowie, ani w żadnej sprawie swój żadnego znaku chciwego animuszu, po sobie nigdy nie pokazał, prowadząc żywot swój zaczętym torem z wielką sławą swą i podziwieniem ludzi wielkich, a tych jeszcze więcej, którzy się w rozmowie z JMciami i baczeniu pięknemu i rozrywce tym latom nie zwykłej i wymowie zbliża przypatrowali, zaczęm i to szło, iż nietylko pragnęli tego, ale drudzy też mówili z Papieżem o to dygnitarstwo, i dał się nieraz w tém Papież słyszeć, iż nie wiedział w tej mierze woli Króla JMcii...

O Bonońskiej drodze jeszcze pewności niemasz. Tuszą wszyscy, iż się Papież w drugim tygodniu odkryje. Co jeśli pojedziemy, w imie Boże za Papieżem, dogadzać będziemy godności Króla, jedno nam nie łąjcie. Wiele ten respekt z sobą *sumptu* niesie, że tak wielkiego Króla synowiec; a przecie proporców nie rozciągamy, jakoby nad nas już nie było, ale też żagłów nie zwijamy, jakby nas z naszą *vocatią* nie stało. Iż WM. rozkazujesz, abym zdanie swoje przepisał na potém, uczynię to, ale proszę, aby to WM. uszu nie obrażało, a przy samym WM. zostało, bo w tej mierze bardzoby się nie godziło chceniu i żądaniu JP. Andrzeja. Jeśli żeby kardynałem został, a biskupstwa jeszcze żadnego w Polsce nie miał, podobnoby nie wadziło tu go przez drugą zimę zatrzymać. Staralibyśmy się o to, aby między innemi Kardynały *deputati* w radzie bywał, rzeczom wielkim się przysłuchiwał i pojmował, swoje też *ingenium* (umysł) sposobne do wielkich rzeczy, wielkim ludziom pokazał, z czegoby mógł wielki pożytek i sławę odnieść. Zatémby mogło i to pójść, żeby się Legatem de latere do Polski wrócił, na którym miejscu mógłby bardzo rzeczy kościoła Bożego z wielką sławą swą i pociechą królewską podeprzeć. Ktemu Papież bardzo w lata ciężkie i niebezpieczne wchodzi, ludzie też i to i owo mówią; mogłoby być,

żeby pomógł takiego Papieża obrać, któryby rzeczom Królestwa i Króla Polskiego tak był pomocnym i przychylnym, jako ten teraz sąsiadom naszym. Ku temu, iż się na tę ś. Ligę zanosi, potrzeba tu znaczną osobę mieć z korony naszej do poparcia rzeczy tak ważnych. Wszakże to wszystko racz WM. w uszu swoich umorzyć... Co się Ligi ś. dotyczy, dałem dziś tydzień WM. znać, iż na moję propozycyą, którąm uczynił z listu WM., Ojciec Ś. chciał rozmyślnie odpowiedzieć. Wczora byliśmy na audyencyi; Papież powiedział: iż tego jest pewien, że każdy pan i król chrześcijański ze strony swęj na tego pogańca rad pojedzie, gdy społeczne porozumienie i związek do tego przystąpi. Odpowiedzieliśmy: iż się droga do tego jakoby zagrodziła, że i Cesarz i Król Hiszpański, i Wenetowie przymierze z Turkiem mają. Na to Papież: To ordynarya, łatwoby się tō rozwiązało. Mam listy od króla Filipa, żebyśmy dla jego przymierza przedsięwzięcia naszego nie puszczali, gdyż on jest gotów na nasze pisanie i rozkazanie ten związek rozwiązać.. Nie idzie nam tedy tak o Cesarza i o króla Filipa, jako o Wenety, którzy swym rzeczom aż nazbyt folgują. Co się nas dotyczy, my się do tēj sprawy powinni być czujemy, i wszelaką pomoc, ratunek i nakład jesteśmy gotowi uczynić.“ Zatem JP. Andrzej: „By Panowie chrześcijańscy Króla JMci Polskiego piędzmi ratowali, jałby się on *swemi zębami* tego nieprzyjaciela, a miałby i ludu dosyć i dobrego i gotowego.“ Na to Papież: „To nowy sposób o piędźnym ratunku, o tym się jeszcze nigdy nie mówiło. Niech tego pewien będzie Król JMć, iż od nas wszelakięj rady, i pomocy, i ratunku, w tak pobożnej sprawie może być bezpieczen.“ To jest odpowiedź Ojca Św. na ową propositiā W. M. Pókim to pisał, kardynał Comensis po mnie posłał, i chciał widzieć ten list WM. do mnie pisany. Czytałem mu po łacinie vertowawszy, ale bacznie ogradzając nieco. Był z tego bardzo kontent. Pytał mnie, jako do WM. pisywam? Powiedziałem, że i po łacinie i po polsku. „A gdy—prawi—co sekretne, macieź *cyfras* jakie między sobą?“ „Nie mamy.“ „A dobrzeż to?“ „Nic nie sprawujemy, zacobyśmy wstydać się mieli.“ „A kiedyby listy do rąk nieprzyjaciół przyszły, nie dobrze, aby consilia miały na świat wyniść; a tak miejcież jakie cyfry, a zwłaszcza w tēj niniejszej sprawie tak ważnej.“ I kazał mi, abym z temi listy wyprawił z Wenecyi do Wiednia kogo pewnego bez omieszkania; com tēz obiecał uczynić i piszę o tēm do Wenecyi. Co potēm będzie nie zaniecham oznajmić. Widzę, iż we wszystkiēm mają tu wielkie oko no Króla J. Pana naszego; za co niech będzie Pan Bóg pochwalon.“



Str. 261. *Czy nie napadają Kanclerza mdłości.* Była to słabość, która i zgon jego poprzedziła. Czytam w życiu Jana Zamoyskiego przez Bohomolca: „Dnia 3 Czerwca 1605 r., po wesołych z domowemi gośćmi rozmowach, nie czując żadnej na zdrowiu słabości, udał się do snu, którego po południu miał zwyczaj zażywać. Gdy się ocknął, mdłości go ogarnęły tak mocno, że w krótkim czasie na rękę żony, syna jedynaka i przyjaciół dokonał chwalebego życia.“ Ów „syn jedynak“ było Tomasz, urodzony z czwartej żony Kanclerza, z Zofii Tarnowskiej. Nie miał jeszcze lat dziesięciu, kiedy go ojciec odumarał. Piękny a może jedyny egzemplarz jego portretu widziałam w Paryżu, w szacownym zbiorze p. Adolfa Cichoskiego, który chlubnym a niezmeżonym staraniem niejedną już pamiątkę ojczystą uratował od zaguby. Zapełnione już po śmierci Jana Zamoyskiego portret ten Tomasza był wyrytowany, jako jedynego dziedzica tak wielkiego majątku, a większego jeszcze imienia. Młodzieniaszek od lat dziesięciu do dwunastu stoi koło stołu, prawa ręka oparta na książce, lewa na karabeli; suknia zda się aksamitna czarna, spięta na guziki, zarzucona ferezya z okrągłym kołnierzem gronostajami podbitym; pas wązki; twarz młoda, nie wiele jeszcze znacząca, czoło wysokie, włosów bardzo mało. Na tle po lewej ręce jest herb Zamoyskich. A dodać tu należy, że Tomasz Zamoyski liczony jest między sławne dzieci. W dziele pod tytułem: *Des enfans devenus celebres par leurs études ou par leurs écrits*, wydanem w Paryżu bezimiennie 1688 r., jest *Tomasz Zamoyski* i ten szczegół o nim, że 13-tu leciech umiał doskonale po grecku, po łacinie, po turecku, po niemiecku.

Str. 270. *Maciejowska z domu.* Katarzyna Wapowska, urodzona 1548 r., córka Kaspra Maciejowskiego koniuszego koronnego, należy do liczby zacnych Polek z XVI-go wieku. Skromne i karne w domu matki wzięwszy wychowanie, w 17 roku wybór rodziców, zgodny ze skłonnością jej serca, dał jej za męża Andrzeja Wapowskiego, naówczas podkomorzego Sanockiego, a potem kasztelana Przemyńskiego. Lat tylko 9 kosztowała domowego z nim szczęścia, przerwane zostało okropną i niespodzianą jego śmiercią. Uczyniwszy dla pamięci jego co tylko w mocy jej było, poznała, że powinnością jej jest zachować mu wiarę, wychować dobrze syna, i zarządzać troskliwie obszernym majątkiem. Wszystkich tych obowiązków dopełniła jaknajlepiej, syn jej, Stanisław, wyszedł za jej staraniem na dobrego chrześcijanina i użytecznego obywatela, a dom jej w Dynowie na Rusi stał się wzorem rządu, gościnności, wylania dla przyjaźni, hojności dla ubóstwa; część jego znaczną zajmowali starcy, niedołężni i chorzy poddani, których pilnie opatrywała potrzeby, sama niosąc cierpiącym ratunek i pociechę. Dzieci

sięroty, pielęgnowała z czułością matki, i przyzwoite im dawała wychowanie; umieszczanym przez nią chłopcom w szkołach w Jarosławiu, dosyłała żywności, sprawiała odzienie. A ponieważ wady wiejskiego ludu najwięcej są skutkiem jego ciemnoty, starała się o jego oświecenie. Nie potrzebowała przejeżdżać się do miast stołecznych i za granicę dla rozerwania się i skracania czasu; mile i użytecznie schodziło jej życie w domu, u siebie. Król Stefan Zamoyski, Goślicki, biskup Przemyński i pierwsze w kraju osoby wysoko ją szacowali. Umarła pełna cnót r. 1596. Syn jej ożenił się z Katarzyną Kostczanką, i miał z niej trzech synów i pięć córek.

Str. 271. *O biedneż dzieci!*... Niebłogosławieństwo Boskie, które zwykle jawnie się objawia na rodzicach nieprzyjaznych własnej ojczyźnie, okazało się także na Zborowskich z Rytwiana. Z ośmiu synów Marcina ani jeden się nie rozrodził w trwałe potomstwo. Syn starszy Samuela, Aleksander, był ostatnim potomkiem tej dzielnicy, umarł 1621 r.

Str. 271. *Gdy uciekł król Henryk.* Z powodu tej ucieczki śpiewaną była w Krakowie zabawna piosnka, która tak się zaczynała:

Rex Henricus,

Wyrządził Polakom psicus.....

Lud krakowski, w podobieństwie jak paryżki, ze wszystkiego piosnki składać lubił i umiał.

Str. 272. *Pobudzał Kozaków do buntu....* Choć Samuel Zborowski miał i ma dotąd stronników i obrońców swoich, przecież śmiało twierdzić można, że było nietylko wiechrzyciel, ale i zły człowiek. W Paprockim, który wielkim jego jest przyjacielem i zawsze „sławnym Polakiem“ go nazywa, czytam te słowa: „U Niżowych Kozaków, którzy się Zaporowskiemi mołojcami zowią, deklarowan za hetmana, uroczyście przyjął buławę, ale potem i z Moskwą był w zмовie; Kozacy go posadzili, że ich wydać chce, i już go chcieli karać według obyczaju swego, opasawszy mocno, piasku w zanadra nasypać, a w Dnieper wrzucić.... ale przecie wybawiony został...“ Widać tedy, że zdrada była dla niego jakby potrzebą.

Str. 272. *Bawiąc w obozie naszym...* Prawa Polskie były tak dobroczynne, że pozwalały wywołanym przystępu do obozu, kiedy wojna toczyła się za granicą; a to, żeby winowajca mógł jakim świetnym a użytecznym czynem zmyć przestępstwo swoje.

Str. 272. *Zarówno ze zdrajcą Ościkiem.* Grzegorz Ościk, właściciel wsi Kowarska, o dwie mile od Wilna, w czasie Moskiewskiej wojny potajemnie miał związki z nieprzyjacielem. Z pomocą sługi swego Bar-

tłomieja, sfalszował podpisy i pieczęcie kilku senatorów, czem sobie większe zaufanie jednał u nieprzyjaciół. Jego spisek wydał tenże sam sługa Bartłomiej; złożono na Ościka sąd wojskowy, i został ścięty publicznie w Wilnie 18 Czerwca 1580 r. Syn jego Jan, młody jeszcze i zupełnie niewinny, na sejmie warszawskim w następnym roku uwolniony był od okropnej winy ojca.

Str. 275. *Herburt... Piskorzewski... Heidenstein*. Oto krótka wiadomość o tych trzech mężach: *Herburt Jan*, Katarzyny Drohojowskiej i Jana kasztelana Sanockiego syn, był bystrego dowcipu i niepospolitej nauki człowiek, ale butny i zuchwały. Krewny Zamoyskiego, długo do liczby poufałych jego przyjaciół należał, ale potem zupełnie z nim zerwał, a w czasie rokосу Zebrzydowskiego wielkich łotrstw się dopuścił. Umarł 1626 r.—*Piskorzewski Mateusz*, kanonik Wileński, był znakomitym mówcą i rymopisem. Zamoyski kochał go jako przyjaciela i jak uczonego męża poważał, lubił go mieć i w wyprawach wojennych towarzyszem swoim.—*Heidenstein Reinhold* (z którego często dwóch mężów robią, Heidensteina i Reinholda) był długo podręcznym i domownikiem u Jana Zamoyskiego, mianowany sekretarzem króla Stefana w końcu jego panowania, zachował ten urząd przy Zygmuncie III-m, i w zajściach między tym Królem a Zamoyskim był pośrednikiem i tłumaczem, zawsze przychylnym Kanclerzowi. W wieku podeszłym dwór porzucił i trudnił się pisaniem dzieł użytecznych. Zostawił ich znaczną liczbę, zwłaszcza historycznych, a najznakomitsze o wojnie Moskiewskiej. Pisał po łacinie; umarł 1620 r.

Str. 287. *Jak utworzył obozową szkatułkę apteczną*. Lekarska sztuka miana była dawnemi czasy za dobrodziejstwo, za uczynek miłosierny i każdy starał się znać na nią choć cokolwiek, żeby móżdż ratować w razie bliźniego, na wzór owego Samarytanina w Ewangelii, który umiał sam opatrzeć rany podróżnego. Nawet znakomici dostojeństwem mężowie nie mieli sobie za ujmę powagi, podręcznemi lekarstwami ulgę przynosić cierpiącym. „Byli niektórzy zacni hetmani — pisze Sarniecki w księgach hetmańskich — którzy w lekarskich naukach byli uczeni, i gdy który z żołnierzy chorował, wnet ze swęj szkatuły snać gotowsze lekarstwa niż drugi doktor dobywszy, onym użyczali; jako był pan Jędrzej z Górki, kasztelan Poznański, zmarły 1551 r. Ten u Starodubu będąc hetmanem, acz miał lekarze, snać lepiej niż inny, bo ten dom zawdy z wielkim dostatkiem i z wielkim rządem dwór swój wiódł; wszakoż jednak szkatuła u niego bywała lekarstw i rzeczy osobliwszych, niż w znacznej aptece. I pamiętają dotychczas niektórzy *experientie* i lekarstwa, które więc przy stole z rozkoszą *convivorum*

biesiadników) i powieściami, jako był wymowca i krasomowca wielki rozpowiadał.“ (Wyjęte z szacownego dzieła Amb. Grabowskiego).

Str. 287. *Batury Isztywan...* Takież nazwanie i podobne wyrażenia znaleźć można w liście Miurad-hana sułtana do Batorego r. 1578. Umieścił go w zbiorze swoim Sękowski.

Str. 288. *Ruszyć lepszą drogą do Carogrodu.* Tym samym gościńcem co Podlodowski, jeździł po kilka razy w te strony Tarnowski poseł Zygmunta Augusta do Turcyi. Jednej podróży jego jest szczegółowy opis w Kronice Bielskiego. Tarnowski wyjechawszy z Lublina w wigilią Bożego Ciała 1569 r., stanął w Carogrodzie 14 Lipca.

Str. 289. *Kochanowskiego mappy...* Wszystkie te mappy i wiele innych jeszcze rzadszych i piękniejszych, miałam przyjemność oglądać w zmiankowanym już zbiorze p. Adolfa Cichoskiego w Paryżu.

Str. 291. *Treść rozmowy ojca z córkami...* Wiadomości tu umieszczone, brane są powiększłej części z dzieł ówczesnych, i wiele także, co do Polski, z pism samego Kochanowskiego.

Str. 297. *Było to gdzieś na morzu...* Sławna bitwa pod Lepantem w Morei r. 1571. Polak, który na nią się znajdował, było Zygmunt Szredziński, kawaler maltański; dzielnie się sprawił, gdyż bardzo był waleczny, z wypraw morskich przeciw Turkom i zbójcom znany. Lata długie przebywszy za granicą w służbie wojennej, wrócił do ojczyzny wytehnąć starganym siłom i umarł r. 1616.

Str. 299. *Nie obejdzie się bez okropnej wojny.* Było-to w istocie żarzewie sławnej i krwawej wojny trzydziesto-letniej, epoka najzaciętszej walki w pismach i mowach między katolikami i protestantami. Ci ostatni, niestety! podbudzani byli okropnemi przykładami, mianowicie inkwizycją w Hiszpanii, rzezią nocy ś. Bartłomieja we Francyi.

Str. 299. *Jego Francuzi jeno nas obmawiali.* Nie koniecznie pochlebny przytoczę tu dla nas wyjątek, ale przecież wiedzieć należy wszystko co się własnych rzeczy tycze, choćby też i niemile. Są to wiersze poety francuzkiego Filipa *Desportes*, który z Henrykiem III-m przyjechał w zimie do Polski i oczywiście nie podobała mu się; jeszcze tedy przedź od Króla odjechał i tak się z nią żegnał:

*Adieu Pologne, adieu plaines désertes,  
Toujours de neige et de glace couvertes.  
Adieu, pays d'un éternel adieu;  
Ton air, tes moeurs m'ont si fort sue déplaire  
Qu'il faudra lien que tout me soit contraire,  
Si jamais plus je retourne en ce lieu.*



*Adieu maisons d'admirable structure,  
 Poëtes, adieu, qui dans votre cloture  
 Mille animaux pêle mêle entassaient,  
 Filles, garçons, veaux et boeufs, tout ensemble.  
 Un tel ménage à l'âge d'or ressemble  
 Tant regretté par les siècles passés.  
 Quoiqu'on m'ait dit de vos moeurs inciviles,  
 De vos habits, de vos méchantes villes,  
 De vos esprits pleins de légèreté,  
 Sarmates fiers, je n'en voulais rien croire,  
 Ni ne pensais que vous pussiez tant boire;  
 L'eusse-je cru sans y avoir été?  
 Barbare peuple, arrogant et volage,  
 Vanteur, causeur, n'ayant rien que langage  
 Qui jour et nuit dans un poële enfermé,  
 Pour tout plaisir se joue avec un verre,  
 Ronfle à la table ou s'endort sur la terre:  
 Ce ne sont pas vos traits redoutables,  
 Lourds Polonais qui vous font indomptables,  
 La pauvreté seulement vous défend.*

. . . . .  
 Czytając te wiersze, a raczej ten paszkwil, możemy z innej strony mieć pociechę. *Desportes* był jednym z pierwszych poetów francuzkich, owego czasu po *Ronsardzie*; my zaś mieliśmy wtedy trochę lepszych poetów i od *Ronsarda*.

Str. 299. *Bóg wie na jaki koniec mu przyjdzie.* Henryk III zginął z ręki fanatyka dnia 1 Sierpnia 1589 r. Zwał on się *Jakób Clemont*, był zakonnikiem reguły ś. Dominika.

Str. 300. *Marya Stuart.* W lat trzy niespełna po tej rozmowie dnia 18 Lutego 1587, poniosła głowę swoją królowa szkocka na rusztowanie; stałość jej przy Wierze katolickiej, odważna śmierć zastroniły ogromne błędy i winy, jakie jej historia zarzuca, i nadały jej w wielu oczach świętą postać męczenniczki. W *Żywotach świętych księdza Piotra Skargi* jest opis jej męczeństwa. Co zaś do obrazu prześladowań, jakich właśnie w owym czasie katolicy doznawali od srogiej choć mądrzej *Elżbiety*, posłuży następujący ułamek z listu, znajomego już nam księdza *Reszki*, do *Wojciecha Baranowskiego*, sekretarza królewskiego.

*Z Rzymu 18 Maja 1584 r....* „Wielka jest moc i potęga zacnych kapłanów... i właśnie natenczas ta rzecz jaśnie w Anglii się pokazuje, gdzie żadna moc piekielna, żadne męki, miecze, ognie, strzały, powrozy,

stałości kapłanów chrześcijańskich przełomić nie mogą, których na każdy miesiąc ta Jezabel Angielska okrutnie morduje... Prosił rektor *Collegii Anglici* w Poniedziałek przeszły, pana Andrzeja do Collegium, gdzie najpierw Mszy z piękną muzyką wysłuchawszy, do stołuśmy siedli, między osmiudziesiąt onych młodzieńców angielskich, jako Aniołów Bożych, których bracia, szwagry, stryj, powinne, dla wyznania Wiary Chrystusowej w Anglii potracono, o czym gdy człowiek historye czyta, od płaczu się strzymać nie może. A przecie nietylko nie tēm okrucieństwem nie są strwożeni ci młodzieńcy, ale prawie są zapaleni chęcią męczeństwa, od Rektora swego prosząc za osobliwą łaskę, aby ich do Anglii posłał, żeby jako towarzysze ich tenże kielich dla Wiary chrześcijańskiej pić mogli. Pokazywano też nam one srogie powrozy krwią pokropione, one krzyżyki, chusteczki, których w więzieniu i po Anglii chodząc, do służby Bożej używali; na co patrząc zdało nam się, iż się zaś one srogich Neronów i Dyoklecjanów czasy przywróciły... Ale bądź Tobie chwała, miły Panie! który przepuścił Nerony, ten dał Piotry i Pawły, który Juliana, ten i ś. Grzegorza, który innych tyranów, ten i wiele rozmaitych męczenników. Przy obiedzie była bardzo piękna oracya *in laudem* (na cześć) Króla JMci i pana Andrzeja, także potem *Musica* na wszelkich instrumenciech, gdzie wiersze piękne *in laudem* JMci śpiewano. Po muzyce, JMC. przystąpił do onych młodzieńców Bożych, i dziękował im za ich ucziwe przyjęcie; samego siebie też i Króla stryja swego chęć ofiarował, gdyby się przygodzić ich rzeczom do czego mogli...“

Str. 302. *Ojciec Św. stara się nagrodzić...* Czytam w Skardze w Obroku duchownym do żywota św. Jozefata króla indyjskiego: „Indye są i były światu wiadome strony... Wiele już tam królestw i niezliczonych ludzi Chrystusowi się kłaniają w posłuszeństwie kościoła Rzymskiego. A roku tego 1585 z Japonu i wysep onych bardzo dalekich, 23 Marca do Grzegorza XIII-go, od trzech wielkich królów posłowie dla oddania posłuszeństwa Ojcu wszystkiego Chrześcijaństwa, i Pasterzowi powszechnemu owiec Chrystusowych, Piotrowemu potomkowi, przyjechali. Ten Japon i wyspy jego, bardzo są odległe i dalekie od Europy tak, iż trzy lata trawić na tój drodze ci posłowie musieli; a są szorokie, wielkie i bogate państwa tak, iż Włoskim, Hiszpańskim, Francuzkim, Niemieckim, w rządzie, w gęstych miastach, w wojennych postępkach i w ostrości rozumu nic nie ustępują, krom tego, iż prawego Boga nie znali. Przed lat kilką i trzydziestą zapłynęli tam kapłani *Societatis Jezu*, i siejąc głos i naukę zbawiennęj Ewangelii, pierwój niemało ubogich i podłego stanu ludzi do sieci Chrystusowej zagarnęli, a potem i zacnego stanu

panowie przystępowali; aż nakoniec królowie i monarchowie do Wiary i pokłonu Chrystusowego przywiezeni są.“ Przyczem przytacza Skarga trzy listy królów Indyjskich: Bungi, Arimanorum i Omuranorum do Papieża, a potem kończy na tych słowach: „Dziwuj się wierny katoliku, wielkiej gorącości do rozmnożenia Wiary Chrystusowej Grzegorza XIII. Nietylko w Niemcach, we Francyi, w Polsce, w Węgrzech (okrom tego co w Rzymie) ale i w tych tak dalekich Indyach Japońskich, kosztem swoim i jałmużną wychowywa Japońskie dzieci i młodzieńce, którzyby do kapłaństwa na rozmnożenie Wiary językiem swoim u swoich godni byli. I tam zaszyły jałmużny jego i staranie o dusze ludzkie. O! niewysławiona chęci do pozyskania dusz Chrystusowi, dusz błędnych i grzesznych!“

Str. 302. *Polskę zwać należało szczęśliwszą...* „Ze wsszystkich narodów Europy — pisze jeden z naszych uczonych — sam tylko Polak w wieku XVI-ym zakrwawionym fanatykiem nie był, i to niech będzie chwałą republikańskiego rządu; pod nim każdy szlachcic był bratem; choć tedy Polak został kacerzem, bratem katolika senatora ani szlachcica być nie przestał i żyli zgodnie. Łagodność Zygmunta Augusta, światła pobożność Batorego sprawiły, że nieprześladowani kacerze sami wracali do Wiary ojców, zwłaszcza gdy Skarga i podobni jemu przekonywać ich zaczęli.“

Str. 304. *Święto Sobotek...* Każdy wie, że święto Sobotek zabytek jeszcze pogański i w wielu miejscach dotąd u Słowian przechowany, odbywa się w wigilią ś. Jana, 23 Czerwca: skakanie przez ogień, rzucanie wianków na wodę stanowią głównie ten obchód. Za czasów Kochanowskiego jeszcze powszechniejszy był ten zwyczaj, i jest śliczna jego poezya pod tytułem: *Pieśń Świętojańska o Sobótce*; dwanaście panien występuje w niej z kolei i każda śpiewa. Dziwno mi, że z tej poezyi nie przyszło jeszcze nigdy nikomu utworzyć prawdziwie *wiejskiej fely* a byłaby bardzo ładna.

Str. 315. *Heleny Cesarzowej.* Matka Wielkiego Konstantyna, pierwszego Cesarza Rzymskiego chrześcijanina, ś. Helena odprawiła drogę do Ziemi Świętej, za jej staraniem wynalezione zostało drzewo Krzyża świętego, na grobie Pańskim, w Betleem, i w wielu innych miejscach wystawiła kościoły.

Str. 315. *Grób Godfreda Bulionusza.* Był-to jeden z książąt chrześcijańskich, który najwięcej uświetnił pierwszą krucyatę, zaczęłą jak wiadomo w r. 1066, i który jednozgodnie Królem Jerozolimskim był ogłoszony. Wszyscy znają sławne poema Torquata Tassa, osnute na tém zdarzeniu, a Polkom nigdy dosyć zalecać nie można, aby czytały Jero-

zolimę wyzwoloną w pięknym przekładzie Piotra Kochanowskiego, brata najmłodszego Jana. Pierwsze wydanie tego przekładu wyszło w Krakowie 1618 r.

Str. 319. *Ciało starej Królowej...* Bona Sforcya, żona Zygmunta I, wyjechawszy z Polski po śmierci męża, i uwiozwszy skarby ogromne, umarła 1558 w Barze, stolicy księstwa swojego. Pobożna Anna Królowa, własnym nakładem grób jej tam wystawiła.

Str. 321. *Muszę podać do druku opis peregrynacji mojej...* Uczynił to Radziwiłł i wyszedł ten opis r. 1601, ale po łacinie, przetłómaczony z polskiego przez Tomasza Tretera. Polski oryginał pokazał się dopiero światu 1617 r. Umieściłam tu z umysłu krótką treść tej podróży, żeby zachęcić czytelniczki moje do poznania samego dzieła. Jakkolwiek Książę Sierotka nie był uczonym człowiekiem, dzieło jego nader jest miłe i zajmujące. Sama prostoduszność autora ma wdzięk wielki. Wreszcie właśnie w tej porze kiedy mamy mieć opis niedawniej Pielgrzymki do Ziemi Świętej przez księdza Hołowińskiego, przyjemnie będzie porównywać te dwie podróże, które więcej niż pół-trzecia wieku przedziela.

Str. 324. *Grzmoty i pioruny... dowód gniewu Boskiego.* Nawet Święci Pańscy nie byli wolni od tej trwogi. Czytam w Skardze o Ś. Jadwidze, Księżnie Polskiej, zmarłej 15 października 1243 r. te słowa: „Gromów i błyskania jako sądu Bożego się bojąc, nie prędnę się uspokoiła, aż kapłan przyzwany na obronę, ręce na głowę jej włożył, jakoby za nią tarczą od gniewu Boskiego się broniła. A gdy przestały, a jasność się wróciła, ręce kapłańskie całowała, rozumiejąc iż z poświęcenia miały tę moc, że gniew Boski ubłagać mogły.“—Kiedym zaś przytoczyła ten wyjątek ze Skargi, nie mogę się wstrzymać od wypisania tu drugiego z „Obroku duchownego do żywota Ś. Ceada biskupa“ chociaż obok niego mój „opis burzy“ źle się wyda. Żałuję mocno, że na to miejsce nie natrafiła pierwiej, byłabym niektóre szczegóły dodała do mego obrazu „Święty był obyczaj — mówi Skarga — przodków naszych chrześcijan starych, który jeszcze i sam pomnę, iż gdy grzmoty albo postrach na powietrzu wszczynał się, dzwonami plebani ludzi do modlitwy wzywali; a tak każdy w domu gospodarz, albo gospodyni przed obrazem, który na ścianie zawdy mieli, zezwawszy wszystkich domowników swoich do modlitwy, zapalali świecę, którą *gromnicą* od tego zwali; kadzenie ziół przeżegnanych czynili, pobudzając do bojaźni Bożej dziatki i czeladkę swoją takimi słowami, mówiąc: Widzicie, miła dziatki, miła czeladko, jako Pan Bóg na niebie straszliwy, który zaraz złego zabić piorunem może, daleko straszliwszy i z większą mocą przy-



dzie na on sąd ogromny! Czyńcież dobrze a złego się strzeżcie, abyście w okrutną karę Boską nie popadli.“ Takim świątobliwym obyczajem tych zacnych gospodarzów pełniły się one słowa: Pójdźcie same, dziatki, bojaźni Bożej nauczę was.

Str. 328. *W Babinie...* Obiecane w pierwszym Tomie szczegóły o tej wesołej Rzeczypospolitej tu mieszczą, o ile mi się udało ich zbierać.

Stanisław Pszonka, herbu Janina, sędzieja lubelski, wesoły, dowcipny, majątny, założył około 1560 r. we wsi swojej, w Babinie, niedaleko Lublina, Towarzystwo z uczciwych a żartobliwych osób, czyli raczej Rzeczypospolitą, gdzie na wzór Rzeczypospolitej Polskiej, były sejmy, mowy, senat, urzędnicy, protokoły, patenta, akta. Ale tam urzęda, godności i przydomki, były na wspak rozdawane, i tak: gaduła zostawał kanclerzem, samochwał hetmanem, nie lubiący nauki mistrzem i t. p. Co tylko było ludzi znamienitych dowcipem wtedy w Polsce, wszyscy chcieli być obywatelami tej wesołej Rzeczypospolitej; jej dzieje, a raczej żarty, ucinki, krotofile, przedmiotem były rozmów; sam król Zygmunt August wielce się nią zajmował i chciał dokładnie wiedzieć co tam się działo. Razu jednego zapytał się Stanisława Pszonki: „A któż królem w Babinie?“ — „Uchowaj Boże — odpowiedział natychmiast starosta babiński—abyśmy za życia twego, Miłościwy Panie, innego obierali Króla.“ — Zygmunt August nie uraził się bynajmniej tą nie tylko swobodną ale zuchwałą odpowiedzią szlachcica polskiego. — Stanisław Pszonka umarł około r. 1570; syn jego który zszedł bezdzietnie, chciał przechować krotofilny zakład ojcowski; jednak mimo najlepszych chęci, już mu się tak nie wiodło jak ojcu. Na toż samo zdobył się synowiec jego, Adam, podkomorzy lubelski, który żył cały wiek, i przez lat kilkadziesiąt był gorliwym starostą babińskim; a jeżeli się zdarzył zjazd obywateli w czasie jego niebytności, zastępowała go w urzędzie, żona Ewa z Lasockich. Ród Pszonków przetrwał ród Jagiełłów i Wazów, ustał dopiero za Sobieskiego, a z nim i Rzeczypospolita babińska. W samem jej trwaniu jest dowód, że jak w zarodzie swoim tak i później nie miała na celu, ani dogodzenie politycznej zawiści, ani oszczerstwa osób; chciała tylko bawiąc się poprawiać obyczaje narodowe i karcić dowcipem nadużycia wkradające się w rządy. Dla tego też należały do niej osoby poważne i te nawet, które były przedmiotem jej przycinków. Wszak Jan Zamoyski gdy do pieczęci buławę dołączył, miano wany był jej Totum-fakiem, dla tego nie przestał pisać się jej obywatelem. Protokoły Babińskie utrzymywane do końca i inne ciekawe akta, zniszczyli, zrabowali Szwedzi; udało się jednak troskliwemu o rzecz

ojczyste księciu Adamowi Czartoryskiemu, wydobyć z bibliotek szwedzkich, za staraniem Felicyana Biernackiego *Akta Babińskie* od 1601 r. do 1677. Parę wyjątków z tych akt przytaczam:

„AD. 1604, 24 Maja, JMC Pan Walery Trepka został doktorem Babińskim z tój miary, iż kilka garncy małmazyi każe wypić w największej gorączce; i powiedział że pana Ojca tak uleczył.“

„AD. 1617, 4 Nov. JMC Pan Mikołaj Stradomski powiedział, iż drzewo grabowe, długo moczone w krzemień się obróci i skrzese niem ogień kiedy zechce. Dał się Jegomości urząd chemina Babińskiego.“

„AD. 1634. JMC Pan Mikołaj Ciechociński został doktorem Babińskim z tój przyczyny, iż doświadczone lekarstwo powiedział na kółtun: Podpiwszy sobie dobrze, zwadzić się z kim i dać go sobie wyrwać.“

Z pierwszego pół-wieku bytu Rzeczypospolitój Babińskiej nie są znane dotąd żadne akta; wiadomo jednak dowodnie, że Jan Kochanowski, Zamoyski, Rej, Paprocki, Szymonowicz i wielu innych znakomych mężów, było jēj obywatelami. W wielu poezjach ówczesnych jest wzmianka o Babinie, są i osobne wiersze na cześć Pszonków, a mianowicie pióra Achacego Kmity. Kronikarze nasi wspominali o tēj Rzeczypospolitój; Sarnicki mówi: „Do naprawy obyczajów, mówienia roztropnego, nauczania obyczajnej wstrzeźliwości, żart ten był bardzo pożyteczny.“ Krasicki ze zwykłym sobie dowcipem tak wspomniął o Babinie:

Tu Pszonka dobrej myśli chcąc być sprawcą,  
Nowego państwa został prawodawcą;  
A za tak sławnym idąc przewodnikiem,  
Kto głupstwo zrobił został urzędnikiem.  
Gdyby tych indziej używano względów,  
Byłby niezmierny nacisk do urzędów.

Str. 329. *Starego Pana Reja*.. Mikołaj Rej rodził się 1515 r. i późnój doczekał starości. Niewiadomo dotąd z pewnością, czy protestantem czy katolikiem umarł; i mało o którym pisarzu naszym tyle mówiono i pisano źle i dobrze, zwłaszcza póki żył. Lubo i dziś niejednostajne o nim są zdania, przecież nikt mu nie odmawia wszelkich zasług w literaturze narodowej. Mickiewicz w swoim Kursie, parę lekcji mu poświęcił. Oto jest kilka słów schwytych z tych lekcji: „Kardynał Hozyusz wśród kłopotu europejskich interesów, wielką ważność przywiązywał do nawrócenia jednego szlachcica, którego pisma wiele robiły hałasu... Mikołaj Rej pismami religijnymi, psalmami, nareszcie polemicznymi pamfletami ściągnął był uwagę dworu i całej

szlachty. „Uderzało to wszystkich, że w pismach drukowanych znajdowały się po raz pierwszy owe zdania, namiętności i przesady, któremi wrzała liczna a panująca w Polsce szlachta. Dotąd bowiem uczucia narodowe i religijne objawiały się w pieśniach, a niekiedy tylko odzywały się w ogromnych in folio łacińskich wierszach, których sam ogrom odrażał leniwą do nauki szlachtę. Rej, na swoją epokę dość uczony, dobrze przytem świadomy równie toku pieśni jak stylu polskiego, mieszając te dwa różne od siebie rodzaje, umiał się równie podobać uczonym, jak szlachcie, a nawet ludowi. Doskonale on reprezentował Polskę i swoją epokę, a głównie stan którego był członkiem. Ma my biografią jego, napisaną przez Trzecieckiego. Biografia ta jest oraz biografią całej szlachty polskiej z początku XVI-go wieku... Mikołaj Rej urodził się z familii krakowskiej, młodość swą wszakże spędził na Czerwonej Rusi, i tam zapewne żyjąc wśród najmuzykalniejszego, najpoetyczniejszego w Słowiańszczyźnie ludu, nabrał smaku do muzyki i poezyi, a oraz zachwyił ten tok popularnej prostoty, który cechuje wszystkie jego pisma. Jedyłą szkołą dla ówczesnej młodzieży była Akademia Krakowska; lecz ojciec Mikołaja z powodu szczególnego do syna jedynaka przywiązania, niechając się z nim rozstawać, chował go przy sobie na wsi. Młody Rej bujał po lasach, łąkach i po nad brzegami Dniestru. Myśliwski jego i rybacki talent słynął daleko... powszechnie postrzegano w nim niepospolite zdolności i każdy mawiał: „chłopiec ten da sobie radę na świecie“... Aż też nareszcie i ojciec się namyślił wyprawić go do szkoły. Rej wszakże skosztowawszy już wolności i towarzyskiego życia, uparcie nie chciał się niczego uczyć! Ojciec więc chcąc go umieścić na dworze jakiego wojewody lub starosty, sprawił mu czerwono-purpurowe suknie; ale Rej pociąwszy na kawałki owe suknie, porobił z nich kołnierzyki, które czepiał na szyję wronom i ga wronom, a poczciwy ojciec musiał na nowo z Krakowa sprowadzać wyprawę Wojewoda, którego ojciec Reja wybrał mu na politycznego i moralnego przewodnika, był człowiek rozumny, poznał też i ocenił zdolności młodzieńca. Rej nauczył się przy nim pisać po polsku i składać listy.— W Krakowie świetny wówczas był dwór, pełno cudzoziemców, mówiono wszystkimi językami; krążyły książki najciekawsze owego czasu: wszystko to stanowczy wpływ wywarło na Reja. Nieumiejętny ten szlachcic wziął się do łaciny; w krótkim bardzo czasie zaczął pojmować teologiczne i polemiczne książki... i sam wziął się do pisania takowych. Wprowadzono wówczas do kościołów, podług czeskiej i niemieckiej metody, pieśni pisane mową potoczną—tłumaczono nawet na ten język rytuał katolicki. Rej w celu podobania się uczonym i czeskim kościołom, starał

się zastosować miarę pieśni gminnej polskiej i ruskiej do formy łacińskiej i czeskiej. W licznym skarbie miar i metrów, gminnej poezji polskiej, wybierał on najbiedniejsze, najciaśniejsze kształty. Wówczas bowiem prawdziwa pieśń, uważaną była za rzecz zupełnie obcą literaturze, i Rej, aby jej zjednać przyjęcie uczonych, musiał ją odzierać z tego właśnie co jej bogactwo i barwę stanowiło. A tak zyskawszy Rej więcie między uczonymi, nie oddał żadnej przysługi poezji. Jako poeta jest on mało znaczący, brakuje mu nawet duszy poetycznej. Uniesiony popędem wieku, nie mógł skupić w sobie dość ducha, aby wydać dzieło uderzające, jużto natchnieniem, jużto formą... Nierównie większą jest wartość Reja jako pisarza prozą... dzieła jego zdają się być pisane pod tym samym wpływem, pod którym pisali sławni owego wieku pisarze-Baltazar *Castiglione* i Michał *Montaigne*; współczesny *Castigliona*, dawniejszym jest on od *Montaigna*. Wspólne są tym wielkim pisarzom, i chęć przyodziania w potoczne słowo ówczesnych sporów religijnych i politycznych, i talent wyrażania wzniosłych myśli i uczuć głębokich, po prostu i bez zawikłania, i lekkość z jaką do traktowania najtrudniejszych przedmiotów przystępują; każdy z nich wszakże reprezentuje naród i stan do którego należy... Polski nasz szlachcic nie dorównał francuzkiemu w erudycyi... ale obejmuje on wyraźniejszy plan (w *Żywocie człowieka poczciwego*), zupełniejszy filozoficzny systemat, a to z powodu iż miał więcej szczeroty i wiary... stara się on ze wszystkich swych postrzeżeń utworzyć całość, biorąc sobie za wzór swęj całości Królestwo Polskie... Przesadza on równie jak *Montaigne* cytacyami; ta wszakże zachodzi między niemi dwoma różnica, że Francuz żyje w sobie tylko i w książkach, Polak zaś w naturze i w Biblii. Wszystkie porównania Reja z natury i z Biblii są czerpane, wszystkie jego przenośnie i obrazy, brane są na ojczywym gruncie; jest u niego głębokie uczucie natury i zwierzęcego życia, którego niedostaje *Montaignowi* i t. d.“

Str. 331. *On pierwszy moje wiersze pochwalił...* To zdarzenie tak opisane przez *Kaspra Miaskowskiego*, którego zbiór rytmów wyszedł w Poznaniu 1622 r., który jest jednym z lepszych poetów naszych z XVII-go wieku: Na jednym zjeździe w Sandomirskiej, ziemi, gdzie przyjaciele *Jana Kochanowskiego* natenczas w Paryżu na nauce będącego, ukazali gościom tamecznym pieśń od niego przyslaną (patrz Ks. II, p. 9.) był i *Mikołaj Rej*, którego naród nasz ma mieć w tęg cenie jako *Grekwie Hezydoda*, *Rzymianie Enniusza*, bo ci trzej, narodom swym drogę do nauk pokazali. Tenże *Rej* wziął tedy tę pieśń *Kochanowskiego* i pilnie onej przypatrzwszy się, zawołał wszystkich gości i powie-



dziawszy nieco o swych pracach, wielce dowcip i wymowę młodego Kochanowskiego chwalać, zawołał:

Temu w nauce dank przed sobą dawam,  
I pieśń bogini słowiańskiej oddawam.“

Str. 331. *Łukasz Górnicki...* Urodzony około 1530 r., żył jeszcze w r. 1591; po śmierci Zygmunta Augusta, od którego wielce był lubiany, osiadł wraz z żoną Broniewską z domu, w Lipinkach, na Podlasiu i tam się oddał, równie jak Kochanowski w Czarnolesie, ziemiaństwu i naukom. Dworzanin jego, naśladowany z Baltazara Castiglione, rzecz o dobrodziejstwach z Seneki, wyszły za jego życia; reszta dzieł: Dzieje w Koronie polskiej, Rozmowa o elekcyi, i inne, wydał dopiero po śmierci ojcowskiej, syn starszy, proboszcz Warmiński. Górnicki składał wiersze ale po łacinie, Kochanowski chwalać je w swoich łacińskich poezjach tak się wyraża:

*Gornicius Orphaea fingit carmina digna lyra.*  
(Górnicki składa wiersze godne Orfeusza liry).

Str. 331. *Sebastian Klonowicz...* Urodzony 1551 r. w Sulmierzycach w Wielkopolsce, umarł w szpitalu lubelskim 1608. Niektórzy z dzisiejszych krytyków przyznają mu większy talent i więcej narodowości niżli Kochanowskiemu, lubo ani za życia, ani później nigdy, tyle nie był ceniony ile śpiewak Czarnoleski. Najlepsze jego dzieło ma być poemat łaciński, *Victoria Deorum* (zwycięstwo Bogów), nad którym dzieścię lat pracował. W *Worku Judaszowym* po polsku napisanym, odmalował wiernie ówczasowe obyczaje i krajowe sprawy; pisał i innych rzeczy wiele; między innymi, *Flisa* czyli spuszczenie statków Wisłą; jak sam wyznał w przemowie, ułożył ten poemat „w czasie dwutygodniowej żeglugi do Gdańska, ku przestrodze i ucieszeniu szyprów polskich po Wiśle pływających, i ku ulżeniu na wodzie tęskności ich.“—Mogę zaręczyć, że i na lądzie bardzo miło się czyta, i dla języka wielce jest szacowne. W *Przyjacielu ludu*, w zeszłym roku była odezwa dzisiejszego plebana Sulmierzyc, szanownego księdza Siwickiego, zachęcając do wystawienia pomnika w miejscu jego urodzenia „Krytykowi i pogromcy nadużyć w owym czasie, i który jaśniejac przez pół wieku na parnacie polskim umarł w ubóstwie...“ Nie wiem czy to wezwanie otrzymało jaki skutek, a godziłoby się bardzo. We Francyi wchodzi teraz w zwyczaj, że miłośnicy i wioski wznoszą pomniki sławnym rajowcom swoim; my co lubimy Francuzów naśladować, czemu byśmy także podobnie robić nie mieli? Zamiast pasztetów Strazburskich, win szampańskich,

strojów paryzkich, lepiejby daleko na takie wydawać rzeczy. Pomniki ojczyście obudzają ducha w narodzie, podnoszą piękne sztuki, kraj ciekawszym czynią. Proszę sobie wystawić wioskę polską z jakim pięknym rodowitym posągami czy grobowcem—jużby to było żarzewie do kilku iskier światła dla włościan, już cel odwiedzin dla przejeżdżających, już jakiś nowy wdzięk miejscowy dla właściciela—a może (bo trzeba do każdego przekonania trafić) i źródło nowej intraty.

Str. 331. *Maciej Strykowski*... Urodzony 1547 r. w Osostowie. blisko Łowicza, herbu Lewina, z powodu jankania się swego, chętniej przestawał z księgami, niż z ludźmi. Miasteczko Brzeziny były mu Padwą i Bononią; tam w szóstym roku uczyć się zaczął, i dopiero po dwudziestu leciech pojechał do akademii zagranicznych. Następnie upodobał sobie rycerskie rzemiosło, a potem uczone wędrowki; zwiedził kraje północne, Moskwę, Finlandyą, całe nadbrzeże Bałtyckiego morza, Turcyą Azyatycką i Europejską, a wszędzie uważał na to co się słowiańskich, mianowicie polskich dotyczyło dziejów; i co u nas, dotąd rzadko się trafia, zrysował sam z natury wiele starodawnych pomników. Wróciwszy z Turcyi 1575 r., przejęty wzrastającą bisurmanów potęgą, świadek naoczny złego i upokarzającego przyjęcia jakiego doznał poseł Rzeczyi pospolitej, Tarnowski, napisał poemat o *wolności Korony Polskiej*, w którym złym rymem ale dobrą chęcią, wystawiał rodakom grożące im niebezpieczeństwo; w tych czasach także został księdzem i otrzymał kanoniją Żmudzka, za staraniem możnego opiekuna i przyjaciela Aleksandra Chodkiewicza. W czasie jego powtórnego pobytu w Turczech, Gwagnin Włoch, pod którym niegdyś służył wojskowo, wydrukował po łacinie opis Sarmacyi europejskiej pod swoim imieniem; Strykowski wróciwszy oświadczył że to było jego dzieło, narzekał na skradzenie i odtąd więcej jeszcze na rodzaj ludzki powstawał. Spór ten literacki dotąd nie jest rozstrzygnięty. W ostatnich latach swego życia, został Sekretarzem Stefana Batorego, i mało co przed Królem tym umarł. Tytuł Kroniki jego Polskiej, Litewskiej i Żmudzkiej, niesłychanie szumny i długi, dowodzi zrozumienie autora, przecież dzieło samo bardzo jest godne czytania. Dla dania próbki wierszy którymi prozę swoją przeplatał, przytaczam następujący wyjątek o Jagielle.

Tak on Król święty, w Gródku śmierci dług zapłacił,  
 Męztwem, cnotliwem życiem z Heroimi się zbracił.  
 Słuchając szczebiotania słowika wdzięcznego,  
 Szedł do chórów anielskich śpiewania wiecznego.  
 Zimno, głód, posty, znosił w kozuchu baranim,

Soboli, złotogłowiu nie ujrzałeś na nim.  
 A był tak bardzo hojny, iż wszystko rozdawał;  
 A z zyskiem gdy co komu dał, on dzień wyznawał.  
 Łowami się z młodości aż do śmierci bawił,  
 A sprawiedliwość świętą każdemu odprawił.  
 A niżli na dwór wyszedł trzykroć się uwinął  
 Wkoło na jednej nodze, by go zły raz minął;  
 Każdy post, w chlebie, w wodzie, w nabożeństwie znosił,  
 A tego dał połowę o co go kto prosił;  
 A dla tego sowito musiał więcej prosić,  
 Kto chciał połowę skutkiem swój prośby odnosić.  
 Wina, miodu, nie pijał, tak trzeźwy był zawždy,  
 Przededni się w łaźni mył, albo na dzień każdy,  
 A winnikiem się chłostał, mówiąc a je je je,  
 Po litewsku, a w ciepłe na zwierchnicy ziele.  
 Dar najmniejszy tak wdzięcznie każdego przyjmował,  
 Iż w czwór sposób sowito hojnie obdarował;  
 Na postronnych był hojny, kościoły nadawał,  
 A czasem aż na obiad ledwo z łoża wstawał.  
 Wzrostu sam był miernego, twarzy, szyje długiej,  
 Daj nam Boże Jagielki takiej dostać drugiej,  
 Jak ta Litewska była, która oświeciła  
 Polskę i w Litwie prawdę Bożą rozmnożyła.

Przygoda Strykowskiego w dzieciństwie, opisana była w 30 Numerze Rozrywek na r. 1825.

Str. 332. *Joachima Bielskiego...* Urodzony we wsi Białej, w Sieradzkim, herbu Prawdzie, zmarły w samym końcu XVI-go wieku; dziejopis ten zaleca się prostotą, czystą polszczyzną, i nadzwyczajną skromnością. Całym jego usiłowaniem, celem pracy całego życia było oczyścić, poprawić, dopełnić, dzieło ojcowskie; i jak drudzy w cudze pióra się stroją, tak on rad był wszystkie swoje zalety na karb ojca położyć. Nie tylko polskiemi dziejopisarstwem ale i rymami tak polskimi jak łacińskimi się wslawił. Miał dwóch synów, których wychowaniem trudnił się sam. Jego Kronika cała prozą pisana z większą przyjemnością się czyta niż Strykowskiego i jest nierównie dokładniejsza.

Str. 332. *Bartoszewi Paprockiemu...* Urodzony w Mazowszu, we wsi Paprocka Wola, herbu Jastrzębiec, r. 1540, umarł we Lwowie 1614. Sam bez majątku i znaczenia, a żądający wyniesienia, ożenił się

z bogatą kasztelanką, wdową po dwóch mężach; tak mu dokuczała, iż lubo chciwy, byłby się wyrzekł majątku, a nawet uciekł z domu i pojechał za granicę. Przecież pani Bartoszowa trzeciego męża nie przeżyła. Paprocki jakkolwiek charakterem nie słynął, jako heraldyk wielkie ma zalety. Porwany szaleem rymotworstwa, na którą to słabość wielu ówczesnych pisarzy chorowało—dużo wierszów lichych naklecił. Targał się na sławę Zamoyskiego, a Zborowskim wyraźnie sprzyjał.

Str. 333. *Szymon Szymonowicz...* Urodzony we Lwowie r. 1557. Ormianin i nie szlachcic, odbył nauki w Akademii Krakowskiej, a później kształcił się w Rzymie. Za powrotem do kraju zalecony Janowi Zamoyskiemu przez księdza Sokołowskiego, umiał zyskać jego przyjaźń i względy. Używał go Kanclerz do pisania listów i do różnych poleceń, a gdy mu Bóg dał syna, owego jedynaka, Tomasza, jemu go z samego dzieciństwa powierzył, i ostatnią wolą swoją, jego nadzorcą wyznaczył. Szymonowicz godnie odpowiedział tak wielkiemu zaufaniu, i dopiero gdy wychowanek jego lat doszedł, odstąpił go, i osiadł we wsi Czernce, darowanej mu przez Kanclerza; tam, jako uszlachecony od Zygmunta III, nazwisko przybrał Bendońskiego, i jak utrzymują niektórzy został księdzem. Niezrównanym był w swoim rodzaju poetą; wiersze jego łacińskie i polskie należą do celniejszych zabytków naszych, osobliwie *Sielanki*, któremi dotąd najwięcej słynie. Słodycz jego obyczajów i przyjemna powierzchowność powszechnie były uznane. Wiersz o którym Kochanowska wspomina, było to pisemko pod tytułem: *Flagellum livoris* (Bicz na zawistnych), wydane 1583 r., którem broni Zamoyskiego przeciw jego potwarzom.

Str. 333. *Rybińskiego Jana i Stanisława Grochowskiego.* Rybiński wierszopis celny, brat Macieja tkómacza Psalmów, żył jeszcze w 1607 r. W czasie o którym tu mowa, z łacińskich wierszy najwięcej był znany, ale później pisał po polsku. Jest jego *gęśli różnorymnych* księga jedna, *Wiosna* i inne rzeczy. Grochowski z ubożego domu w Mazowszu, uczył się u Jezuitów i uzyskał pochwały Skargi i Wujka. Mimo tego całe życie gniotło go ubóstwo, a choć księdzem został, małej tylko wioski się doczekał pod Kruszwicą; te wiersze o niej napisał:

Imie ma swoje *Małe Piecki* wioska,

Na małych rzeczach mała bywa troska.

Mówią niektórzy, iż Grochowski dla tego, mimo enót, nauki i talentu, nie zrobił majątku, że pochlebiać panom nie umiał, owszem ostrą prawdę im mówił w swoich satyrycznych pismach. Zostawił róż-



żnych dzieł do trzydziestu wierszem i prozą, najwięcej pobożnych. Właściwie znamie jego poezji jest (mówi Siarczyński) słodycz, prostota, płynność.—Zbyt mało jest znany.

Str. 334. *Kiedy posunę myśl... w przyszłe czasy...* Nie wszystkie owe piękne wróżby Kochanowskiego się spełniły, niestety! jednak co do języka, sam zapewne przewidywać nie mógł większej doskonałości i harmonii nad te, które nam objawił Bohdan Zaleski w swoich poezjach. Polki co nie umiecie po polsku, ucztujcie się jak najprędzej, żebyście go zrozumieć i ocenić mogły. Zaprawdę, lepiej wam będzie po czytaniu jego, jak po Bajronie, Goety, Lamartynie i t. p.

Str. 337. *Bianka.. rosiata..* Ze wszystkich wymienionych przy smaków, może te dwa potrzebują wytlómaczenia: *Bianka*, są to jajka bite z migdałami, cukrem i perfumami. *Rosiata*, mleko warzone gęsto z jajami i na zimno dane.

Str. 337. *Balcera.. Stanisławski.* Pierwszy był zawołanym kuchmistrem Zygmunta Augusta, drugi Stefana Batorego.

Str. 338. *Badź gościom rada...* Jest świadectwo gościnności Kochanowskiej, i oraz dowód, że imie którymż mąż ją nazywał było *Hanna*, w elegji jego łacińskiej do Myszkowskiego biskupa, kładę tu z niej wyjątek przekładu Brodzińskiego:

„Tu, gdy cię miejska wrzawa już cieszyć nie zdoła,  
Zawróć Myszkowski, wartkie twój kolebki koła;  
Progiem lichego domku nie wzgardzisz, bogaty,  
Bo mają lasy swoje i ubogie chaty;  
Indziej, niechaj przysionek zadziwi cię złoty,  
I Paryjskiego Skopa kunsztowne roboty,  
Tu masz pokój nadobny, bez musu zabawy,  
Owoc prosto z gałązek i lekkie potrawy,  
Ranne ptaków przetwory i powietrze czyste,  
Zwierciadlane jeziora i gaje cieniste;  
A wdzięczna Hanna moja co przez lato zbierze,  
Tak miłemu gościowi poznosi w ofierze;  
Przy stole na skinienia twoje będzie czuć,  
I z winem napoczęte kielichy posuwać;  
Skromnie poprosi by chciał ubóstwu przebaczyć:  
Gdyby mogła, radaby nektarem cię raczyć.“

Str. 342. *Stanisław Niegoszewski...* Byстрыm dowcipem i nadzwyczajną pamięcią obdarzony, miany był w owym czasie za cud rozumu

ludzkiego; ale zbyt zapalony do nauk, nadto zarozumiały, wszystkie chciał pochłonać, a żadnej strawić nie umiał. Mało przebywał w rodowitym kraju, języki stare i obce znał lepiej niż własny, i nie cudownego po tym dziwie nam nie zostało. O jego życiu mało jest dokładnych szczegółów, a o rodzie żadnych; wiadomo tylko, że Jan Zamoyski wabił go do Polski, katedrę w Akademii Krakowskiej i względy Króla mu obiecywał: wiadomo i to, że Niegoszewski był w kraju r. 1584 i może najlepsze wiersze swoje napisał i wydrukował w Krakowie, pod tytułem *Epigrammata Joanni Kochanovio*. Umarł młodo na słabość piersiową. Wiele bardzo się mozolił nad dziwaczными płodami, i temi najwięcej publiczność Włoską zastanawiał. Senat wenecki, który go uwięził jako poetę, szlachcicem i kawalerem Rzeczypospolitej uczynił, dał mu znaczny podarek pieniężny za te dwa wiersze:

*Sibenete tradesse desse dartete nebis  
Et sisere trofere tulere forte resiste.*

Cała zaleta tych wierszy jest, że czy je czytać od początku czy od końca, zawsze te same słowa się układają; ale co do sensu—jak to zwykle bywa w takich wymuszonych robotach—bardzo słabego domacać się można, i to rozłożywszy je w następujący sposób:

*Si bene te trades, sedes sed farte tenebis  
Et sis e retro fere tulere forte resiste.*

Co znaczy po polsku:

Jeżeli dobrze się tłómaczysz, siedzisz, lecz dzielnie się trzymasz,  
I umiesz nazwajem znosić, mocno się opierasz.

Program owego posiedzenia, o którym wspomina tu Kochanowski, a później Górnicki, był taki: Na czele wielkiego arkusza wyrysowano lwa ze skrzydłami, na którego całej postaci wiersze rozmaitego gatunku dziwnym kształtem ułożone były; pod lwem napis następujący po łacinie: „Na wieczny, Stanisława Niegoszewskiego Polaka, ku imieniu Wenetów, uszanowania dowód, tudzież na godny znak wzajemnej z Aldem Manuccim przyjaźni, i na niejakaś pamięć swojej tu bytności; z przywiązania do nauk, za zdolnego sądem przyjaciół uznany, wszystkie teologiczne twierdzenia i całą Arystotelesową naukę dowodzić przedsięwzięje:

1. Z Teologii dogmatycznej i szkolnej.
2. Z ogólnej Arystotelesowej Filozofii naturalnej, moralnej i Boskiej.
3. Z Matematyki.

Z nauk tych na wszystkie zarzuty odpowiadać będzie wierszem hexametrem i pentametrem. Aby zaś każdy się przekonał, jak dalece

w pięknych i przedniejszych naukach postąpił, w jakiejbądź zadanej sobie materji prozą lub wierszem bez przygotowania mówić będzie. Nakoniec w platonicznych liczbach i kabalistycznych marzeniach, podług upodobania czynione zarzuty zbijać się podejmuje w kościele ś. Jana i Pawła w Wenecyi d. 2 lutego 1584.“

Znajduję w tej chwili w Notatkach moich z r. 1827 te słowa: „Dziś, w dzień N. Panny Gromnicznej bylam w bibliotece Uniwersytetu warszawskiego; między innymi ciekawościami widziałam wiele pism Niegoszewskiego, po grecku, po łacinie, po hiszpańsku, po arabsku, po hebrejsku, polskich tylko brakowało; widziałam i listy jego do Jana Zamoyskiego, czytałam szumny program jego posiedzenia, a co dziwna, właśnie w rocznicę dnia, w którym toż posiedzenie się odbywało, 243 lat temu.“

Str. 344. *Cynowemi chochłami...* Chochła to samo znaczy co łyżka; dotychczas w Lubelskiem i w wielu innych okolicach łyżeczkę do śmietanki chochełką nazywają; i podobno to wytłómaczenie jedynie potrzebnem się okaże dla takich prawych Mazurek jak ja.

Str. 345. *Sposób rychłego trawienia...* Ta żołądkowa Rejowska tradycya utrzymuje się dotąd; znałam sama sędziwego szlachcica polskiego, który był w stanie zjeść potężnie trzy obiady jednego dnia, ale musiał wypić po każdym przynajmniej kwartę ciepłego piwa. Po wielu naszych narodowych potrawach, lepsze piwo od wina.

Str. 349. *Dobyl księgz w czwórce...* Kto wie czy nie ten sam egzemplarz jest do dziś dnia w bibliotece publicznej Paryzkiej, pod napisem *Nobiliaire Polonais de Paprocki fol M. 1176 année 1584*. Zupełnie cały, czysty, papier piękny, druk poprawny. Nie wiem czy które dzisiejsze wydanie doczeka równie podeszłego wieku. Przerzucając to dzieło nie mogłam przeczytać bez rozśmiania się na głos (co mocno zdziwiło cichych czytelników Biblioteki) następującej wiadomości, na której stronnicy już nie pamiętam: „Jadwiga, trzecia córka Kosobudzkiego kasztelana Sierpskiego. Tej dziełem dostał się Krajków i Rotli-py. Naprzód była za Wiśniewskim, rzezonym Owiesek, starostą mławskim, potem za Życzkiem, a za trzecim Scriptorum tych ksiąg. Tej ciało leży w ojczyźnie jej własnej Krajkowie. Umarła 1572 r. w Sobotę kwietnią. *Requiescat in sancta pace*.“

Str. 351. *W jakowymś Dworzaninie...* Dworzanin Polski wyszedł pierwszy raz z druku, w Krakowie 1566 r. W pierwszym tomie na str. 299—wydania Gałęzowskiego, jest dwuznacze słowo Pana Reja, czyli Kalembur po dzisiejszemu, ale powtórzyć go nie śmiem.

Str. 362. *Których zacny Bohomolec...* Wiadomo, że ksiądz Boho-

molec, któremu winniśmy wydanie czterech celniejszych Kronikarzy naszych, wydał także poezye Kochanowskiego wyjąwszy nieobyczajne; to wydanie powinno być w ręku żeńskiej młodzieży.

Str. 373. *Tak kreślił swoje żale...* Postrzeże się każdy iż nie wszystkie Treny i nie dosłownie tu wypisane; porządek ich nawet nieco zmieniony; spodziewam się jednak, że mi tego za złe nikt nie poczyta.

Str. 377. *Więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.* Dowiedziawszy się tak dokładnie o wieku Orszulki, nie jedna z czytelniczek moich, może zarzuci przesadę jej obrazowi. Com ja o niej powiedziała, zupełnie jest ugruntowane na słowach ojca w Trenach, i na tym tklwym napisie, który na ich czele położył:

Orszuli Kochanowskiej.

Wdzięcznej, uciesznej, niepospolitej dziecinie, która cnót wszystkich i dzielności panińskich początki wielkie pokazawszy, nagle, nie odpowiednie, w niedoszłym wieku swoim, z wielkim a znieznośnym Rodziców swych żalem, zgasła! Jan Kochanowski, niefortunny Ojciec, swojej najmilszej dziewczce ze łzami napisał:

Nie masz cię, Orszulo moja!“

Wreszcie, czyż nie było na świecie tyle dzieci osobliwych, cudownych prawie? I dla tego właśnie, że natura w nich wysiliła się zbyt, żadne nie wyrosło, nie wychowało się. Prócz tego, nasza Czarnoleska dziewczeczka, nic nie umiała, jedno powtarzać i składać wierszyki; ileż nierównie więcej zadziwiających przykładów zawczesności dzieci znaleźć można w dziełach im poświęconych? Mogłabym ich tu zebrać kilkanaście, ale niech mi wolno będzie choć następującą wiadomość przytoczyć z dzieła p. *Freville* o sławnych dzieciach.

„Henryk Heinechen urodzony w Lubece 1720 r. w ośmiu miesiącach zaczął mówić, przed rokiem mówił zupełnie dobrze; w osmnastu miesiącach umiał rzedem znaczniejsze zdarzenia Historyi świętej i opowiadał je; w trzydziestu miesiącach, na zapytanie z greckiej i rzymskiej historyi odpowiadać potrafił, a prócz rodowitego języka mówił po łacinie i po francuzku. Sława jego tyle się rozeszła, że król Duński ówczesny Fryderyk IV, zapragnął go widzieć; powieźli więc rodzice małego Henrysia do Kopenhagi; powiedział Królowi mowę po łacinie swego układu, i całemu dworowi odpowiadał trafnie i uczenie na wszelkie pytania. Zmęczył się jednak bardzo tym popisem, i nie odstępująca go nigdy matka, młoda i piękna kobieta, prosiła Króla żeby jój pozwolił go nakarmić; mały mędrzec jeszcze ssał. Za powrotem z Ko-



penhagi, umyślili rodzice odstawić go od piersi; a chcąc żeby rychłej się odzwyczaiał rozłączyli go z matką: z tój dwojakiěj tęsknoty i z wysilenia rozumu dostał suchot, i umarł niemając jeszcze pięciu lat.“

Str. 389. *Układał obronę...* Owa obrona Kochanowskiego, oczywiście nie doszła do nas, ale oto są wypisy z trzech dzieł historycznych o okropnej śmierci Podlodowskiego i jej skutkach.

*Z Bielskiego, księga szósta.* „Przyszła nowina z Turek, że Podlodowskiego (którego król do Turek słał) Turcy w karwaserze w nocy najechawszy pojмали i pobrali wszystko przy nim, a potem na lesie zabili, co rozumiem, na zaprzą uczyniono, i na łotrostwo zegnano, przeto że się wojsku tureckiemu, które szło do Persyi, a było dosyć nędzne, przypatrował; więc że też kilkanaście koni arabskich na schwał dobrych królowi wiódł, na których się często po Konstantynopolu przejeżdżał. A był jeździec i gońca dobry, mąż ktemu osobliwej urody, tak iż się mu Turcy dziwowali, i częścią to z zazdrości uczynili. Słał potem cesarz turecki Musztafę, czausa swojego, omawiając że się to nad węg jego stało, i to łotrowstwo (na które zganiano) pojmać kazał, z których sprawiedliwość uczynić obiecował.“

*Z Albertrandego Tom II. str. 145.* „Był wtedy w Turczech Podlodowski podkoniuszy królewski, wysłany od Króla na skupienie dzielnych koni. Na niego naprzód turecka zapalczywość zapęd swój obróciła. Wyjechał już był z Carogrodu, kupione konie prowadząc do Polski, i pod wsią jedno nocował, gdy go zgraja Turków napadła; jemu i ludziom przy nim będącym głowy ucięto, konie i sprzęt wszelki zabrano. Wszakże byli co rozumieli iż się sam tego nieszczęścia naba-wił, zbyt ciekawie się przypatrując wojsku tureckiemu z perskiej wyprawy w oplakany stanie wracającemu, i że w Carogrodzie nad miarę się popisował z wyboru koni od siebie kupionych.“

*Z Pamiętników Millerowych...* „Doszły Króla pisma, co też prawda była, jako Turcy posła i koniuszego Podlodowskiego zabili, a wszystek onego orszak porozsiekiwali na drobne kawałki, krom jednego... który cudownym sposobem utaić się podolał a zatem ztamtąd wydobyć się. Wkrótce potem wysłał cesarz turecki gońca z listami i omawia się, że on cale tego nie świadom był, lecz że zechce wziąć sprawę tego należyłą jak się to stało, a wspaniałem poselstwem szeroko o tem wiadomić. Pod te czasy przybył poseł turecki Mustafa, na Grodno, Król przybył tam także z Wilna... Poselstwo to przywiodło omawianie z sobą, co się tyczy zabicia polskiego posła, a koniuszego Podlodowskiego, i że on przekroczył granice swój zupełnej mocy, bo zbliżył się do wojska, które Turek na Persa był zbroił, by go obejrzeć; a tak od Tur-

ków ale wzdry bez rozkazu i nauki cesarskiej zabity jest. Sprawców tego przysłał Królowi, dając mu pod rząd ich gardła.“

Str. 390. *Padł pośród nich..* W biografii Kochanowskiego przez księdza Bohomolca są te słowa: „Gdy w Lublinie przed Królem Stefanem miał stawać w sprawie Podlodowskiego przeciwko prawu narodów od Turków zabitego, z niezmiernym wszystkim żalem zszedł nagle z tego świata.“ Inni zaś biografowie, jako to Krasicki, Niesiecki, Braun, myślą się i Podlodowskiego raz od Kozaków, drugi raz od Tatarów zabitego mieć chcą. Brodziński w przedmowie do Elegii Kochanowskiego, także prawdy się trzymał, ale Autorka Biblioteczki Wrocławskiej podobno też się pomyliła.

Str. 391. *Którego oczy ojcowskie nie widziały...* Podobne słowa znaleźć można w dedykacji dzieł Kochanowskiego Janowi Myszkowskiemu, synowcowi Biskupa, przez Januszowskiego, pod datą 12 grudnia 1585 r. Mówi on tam, że „Jęj Mość Pani (Dorota) Kochanowska żalonna po swym Panie małżonku, wiedząc o tym że sam nieboszczyk zemną o tēm stanowił, zebrawszy część jego rzeczy pisanych i tych co już w druku przedtem były, do mych rąk je posłała, abym wszystkie kosztem swoim wydał. Ja tedy wzięwszy przedsię człowieka tak wielkiego, i rzeczy jego żadnym wiekiem niezrównane, nie chcąc aby tak goło na świat wyszły... ważyłem się W. M-ci je przypisać i ofiarować... Naprzód, dla tego, by się tēj śmierci było w czem w gardle oprzeć, i żeby człowieka tak wielkiego w ziemię ze wszystkim nie grzebla, ale owszem jednemu *posthumowi* „którego oczy jego nie widziały“ powinnym jego i potomnym wzór i pamięć zostawiła... i t. d.“ Tu jest miejsce dodać, że owo wydanie Januszowskiego, miało pokup wielki i przedrukowywane było na wszelkie strony i sposoby. Synowcowie Kochanowskiego—a najpewniej pan Krysztof—zwrócili na to oczy, weszli w układy z Januszowskim, i wyrobili sobie przywilęj drukowania dzieł stryja dla siebie o czem świadczy następne ostrzeżenie na czele późniejszych wydań będące, które dowodzi oraz opieki, jakiej doznawała już w tym czasie u nas własność literacka.

„Za przywilejem JKMcI JMC-Panom Kochanowskim, synowcom sławnęj pamięci pana Jana Kochanowskiego, nikomu nie jest wolno pism żadnych przerzeczonego pana Kochanowskiego stryja JMC-iów przedtem wydanych drukować, bez woli i wyraźnego pozwolenia JMC-Panów Kochanowskich, ani gdzie indziej drukowanych, w państwach JKMcI sprzedawać; ani pod pretextem Kancyonalików na małą frakturę wydawać albo publikować; pod winą pięciuset czerwonych złotych i utracenia wszystkich ksiąg takowych: któręj winy, połowa jedna do skarbu

JKM-ci *irremissibiliter* przypada, a druga stronie ukrzywdzonej; jako szerzej o t $\acute{e}$ m świadczy przywil $\acute{e}$ j JKM-ci dany na sejmie walnym w Warszawie 1611 r.“

Str. 391. *Testament Podlódowskiego...* Podpis Króla panującego nie nadawał u nas nienaruszalności testamentu; zaświadcza to uczoney Czacki. Zygmunt I podpisał w r. 1518, testament Stanisława z Kurozwęk; oburzyła się na to cała szlachta Sandomirska, kiedy po śmierci owego Stanisława odkryło się, że dzieciom własnym nie wiele zostawił, a obcym zapisał majątek. Na skargi szlachty, obiecał Król nie potwierdzać testamentów; i odtąd jeżeli się trafiło Monarsze mniej prawne podpisać, wzruszać je sądowo pozwalano.

Str. 392. *Królowa Anna nadała...* Akt pierwotny tego nadania zaginął jak się zdaje, ale są w Metryce koronnej w Warszawie dwa jego następujące dowody, które wyszukane zostały przy zamianie Jadowa i innych dóbr narodowych za miasto Zamość.

„Dnia 8 Czerwca 1598 r. w Bydgoszczy, Zygmunt Trzeci potwierdza przywil $\acute{e}$ j na wsie: Jadów, Zawieszczyły, Zawady i Wyglądały przez Annę Jagiellonkę Filipowi Owadowskiemu i Ewie z Czarnolasu Kochanowski $\acute{e}$ j małżonkom, na przeżycie nadany.“

„Dnia 6 Lipca 1612 r. w Warszawie Konstancya Austryacka zezwoliła na cessyą dóbr Jadowa przez Filipa Owadowskiego na rzecz Jana Szułapskiego.“

Co zaś do posług, do których królowa Anna używała Filipa, czytamy w Niesieckim pod herbem Łabędź: „Filip Dunin Owadowski, stolnik Sandomirski, od summy Neapolitańskiej, imieniem królewskim prowizye odbierał.“—Jedyna pozostała córka Ewy i Filipa, Zuzanna, wydana została za Sebastyana Wołuckiego, kasztelana Małopolskiego, Starostę rawskiego. Jak podanie niesie brała ślub w t $\acute{e}$ j sam $\acute{e}$ j sukni biał $\acute{e}$ j adamaszkow $\acute{e}$ j co matka, babka i prababka.

Str. 393. *W pocz $\acute{e}$ t ś. patronek Polskich...* Choć ten zamiar nie udał się z Czarnoleską Ludwiną, mamy jednak naszą własną świętą tego imienia, spólczesną tamt $\acute{e}$ j; czytamy w Siarczyńskim:

*Ludwina*, pobożna i błogosławiona, rodziczka z miasteczka Kentów, z ucziwych rodziców, u których w młodości będąc, bydło pasła. Będąc w polu, pielgrzymki do Rzymu idące wzięły z sobą; gdzie ona świętobliwie żyjąc przez lat trzydzieści, stacye rzymskich kościołów obchodząc, groby świętych nawiedzała. Lubo miała habit ś. Franciszka teryarki, jednak najwięcej w kościele zwanym Minerwy, u Dominikanów bywała, żyjąc z jałmużny; przez swoje pobożne uczynki i świą-

to bliwy żywot, błogosławioną się stała: d. 23 Kwietnia 1623 r., mając lat 60, w Rzymie umarła.—Po śmierci, do ciała jej wszystek prawie Rzym z wielkim tłumem przychodził, bo wielom była znajoma jej świątobliwość; trudno ją było pogrześć do dnia trzeciego. Pochowano ją zaś z wielką uroczystością w kościele polskim ś. Stanisława, po lewej stronie ołtarza ś. Jacka, do której uciekający się wiele łask za jej przyczyną doznawają, i za świętą poczytują.—“Nasze panie polskie, które od jakiegoś czasu tak uczęszczają do Włoch, a szczególnie do Rzymu, niechby też były łaskawe dopytać się o grób tej naszej rodaczki, i o jakie pamiątki po niej; a te co sztuce malarstwa się oddają, niechby nam wystawiły obraz owej świętej pasterki.—O! jakby rychło z bogaciły się nasze skarby ojczyste, gdyby każda majetna i utalentowana osoba, bądź podróżując, bądź trudniąc się pięknymi sztukami, obok własnej rozrywki i przyjemności, miała także na celu chwałę narodową! Jakby w krótkim czasie nasze kościoły się ozdobiły, gdyby każda młoda Polka co rysować się uczy, postanowiła sobie dojść kiedyś do tego, żeby choć dobrą kopią pięknego obrazu, Dom Boży na rodzinnej ziemi z bogacić! Stoimy niżej w oświacie od innych ucywilizowanych narodów, ale nigdy nie staniemy w równi z nimi, jeżeli każde z nas nie będzie miało za świętą powinność, dopomódz do przyspieszania tego postępu.

Str. 393. *Pan Krzysztof...* Albrycht Radziwiłł w Pamiętnikach swoich, niedawno wydanych przez hr. Edwarda Raczyńskiego tak pisze: „W Grudniu 1633 r. skończył życie doczesne pan Krzysztof Kochanowski, chorąży koronny, faworyt królewski. Chorążstwo król oddał Koniecpolskiemu, kozienieckie starostwo Kazanowskiemu, dobra królewskie pod Węgrami, Rejowi.“ Jest także dowód jego posłowania do Turcyi a ponieważ nie wiem aby gdzie drukowanym był, tu go mieszczę, lubo zupełnie do dziejów panowania Zygmunta III należy.

„Instrukcyja Urodzonemu Krzysztofowi Kochanowskiemu Chorążemu Sandomierskiemu, Dworzaninowi i Posłowi naszemu, dana w obozie nad rzeką Ganą d. 16 Października 1601.“

Poseł nasz jako najprędzej wyprawić się ma i pośpieszyć do Konstantynopola, a naprzód, widzieć się z JMP. Wojewodą Lubelskim i rozmówić się z nim o rzeczach Wołoskich i Multańskich, w których ma zlecenie najpilniejsze; także i z p. Starostą Kamienieckim, który też miał osobliwie zlecenie nasze o uspokojeniu tumultu Multańskiego; tam w rozmowie zrozumie, jaki już wstęp do tego się uczynił, i jeśli sprawić się może; co, gdzieby mógł przyjąć do rozmowy z Radułą Bozowskim, i z innemi pany Multańskimi za daniem im glejtu, sprawować



będzie z pilnością, albo więc przez kogo inszego człeka pewnego i bacz-  
nego dawszy mu *Credens*, żeby nie przez pismo to się odprawowało dla  
pewnych konsyderacyi; ukazać im naprzód, że to umysł i przedsięwzię-  
cie nasze, jako ziemię Wołoską tak i Multańską w dobrym porządku  
zachować, a do tego przywieść, aby pod obroną naszą i koroną, cie-  
szyli się obywatele ich ozdobami takimi, jako też inne prowincye po-  
dległe nam przeciwko woli naszój; owszem obchodził nas bardzo po-  
stępek, który się stał z Udrą i Negrą pany Multańskimi, opatrz się  
to, aby żaden nie był stanu szlacheckiego takim postępkim uciążony,  
i sądowe sprawy aby porządnie odprawowane były; chcemy do tego  
przywieść rzeczy, żeby na te tam urzędy ziemi Multańskiej nie Woło-  
chowcie, ale jego tam narodu ludzie domów starożytnych, tam wychowa-  
ni, dawani byli, a w tém żeby upośledzani nie byli. Na ten czas aby  
znosili Siemiona, który wedle woli JKM-ci zachować się we wszystkim  
musi. Posyłamy do Cesarza Tureckiego dla zastawienia warownego rze-  
czy tych; gdzieby więc nie mogło być ukojenie i pogodzenie ich sta-  
teczne, starać się aby umówienie między niemi uczynione, zostawione  
było do czasu pewnego, aż zjedzie nazad posłaniec nasz od Cesarza  
Tureckiego; opatrz się to, że na tém miejscu gospodarskiem zawsze  
stawion będzie greckiego nabożeństwa człek, nie narodu greckiego, ale  
narodu i despotów ich; aby cierpliwi byli, przywoździć ich do tego z pil-  
nością.

Do bezpiecznego a rychłego przybycia do Konstantynopola dopo-  
mogą pp. Wojewodowie Wołoscy i Multańscy, kiedy przyjechawszy i otrzy-  
mawszy audyencyą, list nasz odda i powie, acześmy zabawieni tą winą  
przeciw nieprzyjacielowi naszemu, który się targnął na dostojęństwo na-  
sze i prowincją państwa naszego, przeciw któremu z wojskiem posyła-  
my; o czem dowiedziawszy się nieprzyjaciel, lubo przed tem surowie  
się stawił, ustąpił z wojskiem swem; i na tem jesteśmy, abyśmy uspo-  
koili tę zamieszana prowincją; nie zaniechamy jednak obmyśliwania  
o pokoju i bezpieczeństwie inszych prowincyi przyległych państwowi Ce-  
sarza Tureckiego, aby obojgu tak naszym jak jego państwowi na niczem  
nie schodziło, a w tem jak upatrujemy—najwięcej zależy na uspokojeniu  
ziemi Multańskiej, które być może za takim postanowieniem, co się  
wyżej wspomniało o urzędach narodu tegoż, także i sądach, aby bez-  
prawnie nie był nikt skazywan, gdyż łaskawością i sprawiedliwością  
zatrzymywane bywają państwa, tym sposobem zachowana być może  
w dobrym rządzie, jako mająca ludzi szlacheckich więcej niżli ziemia  
Wołoska, przeto też mniej tumultów w niej bywało.

I to też przytem przyłoży, aby dla zachowania statecznej przy-

jaźni, kogobyśmy zalecili nabożeństwa greckiego podawany był na Województwo Multańskie, tegoż i w ziemi Wołoskiej potrzebę być baczymy, aby nikt bez rozsądzania nie był uciążon. Przez kilka poselstw naszych okazywaliśmy Cesarzowi Tureckiemu, jako ziemia Bogdańska albo Mołdawska należy nam i Koronie Polskiej, i Gospodarowie jej hołdownicy Królów Polskich byli; zaszły czasy trudne na koronę i zabawa wojenna z wielą nieprzyjaciołmi, z Prussy, z Moskwą i z Tatary; podczas jeden nie mogąc tój ziemi opatrować, pozwolono Gospodarowi tamecznemu, aby 2,000 cz. zł. Cesarzowi Tureckiemu pozwolił na czas; jest o tem wiele pisma w skarbie naszym o poddaństwie Gospodarów Królom Polskim i trwał ten zwyczaj do panowania Króla Zygmunta Augusta przodka i wuja naszego; zachodziły potém rozmaite postęпки przez ludźie przewrotne, za zbytmi podarkami do oszukiwania i rozlania krwi, okrutnego wspierania się, a zatem do zepsowania i zniszczenia tejsze ziemi; toż przychodzi i na ziemię Multańską.

Przełoży i to jako Michał i Aaron, prze ciwko ojeu Cesarza Tureckiego wojnę podnieśli, zamieszania pełno było, zamki tureckie dobywane, zabierania ludzi, łupy za Donata działy się, ludźie kupieccy tak z cesarskich jako i naszych państw, pobrani z majątności ich i mordowani byli; nie znosiliśmy tego; gdy Cesarz Turecki inszemi wojnami zatrudniony był, posłaliśmy wojsko nasze do Wołoch; tём wojskiem Rozwan, który na Aarona poszedł, wyparty był, i potem gdy się znowu wrócił, porażony, pojmany i na gardle skarany był. Nie ustało to w Wołoszech tak łatwo, że i drugiego roku wojsko nasze przy granicy dla obrony i bezpieczeństwa tój ziemi trzymane być musiało; wszystko to z wielkim kosztem i nakładem naszym i koronnym było. Nastąpił zatem Michał, ziemię tę tem więcej zatrudnił jeszcze aż do Chocimia, ostatniego Wołoskiego zamku wyparł. w Podolskich i Pokuckich krajach dobra niektóre nasze i poddanych naszych ludźie szlacheckich wypładował. My acześmy z inszej strony nieprzyjaciela mieli, wyprawiliśmy jednak zarazem wojsko potężne, któremu nie jedno ziemia Wołoska od tyraństwa Michałowego oswobodzona, ale nieprzyjaciel ten, który przez lat ośm Cesarza Tureckiego państwa trapił i Siedmiogrody zabiwszy Wojewodę posiadł był, a nie to jedno, ale osiędzenie wszystkich inszych monarchii brał przedsię, do Multan zaszedłszy za nim, wojska nasze w miejscu dobrze mocnem między górami, wodami, lasami, poraziły go, obóz jego z armatą odjęty i potem od części wojska tam zostawiony tegoż nieprzyjaciela zebrany ostatek z pogromu ludźie pobitych, i sam z niemi wygnany jest, i prowincya ta uspokojona. Stało się to spr-

wiedliwym sądem Boga Wszzechmocnego, że uchodzić musiał człek zły, tam gdzieby zapłatę za swe złości i karanie odniósł.

To przełożywszy ukaże Poseł zwyczaj monarchów wielkich, że od których bywają w wojnach ratowani szcudrobliwie przeciw takim stać się zwykli. Uczynił to Król ś. p. Zygmunt przodek i dziad nasz, który Margrabi Brandeburskiemu Księstwo Pruskie darował, i potomstwo o jego dotąd z tej szcudroblowości królewskiej weseli się. Uczynił też Zygmunt August przodek i wuj nasz, że Ks. Kurlandzkie i Semigalskie, Gotardowi mistrzowi Krzyżackiemu podał za to, że mu wojny dopomógł. Tedy acz nas Pan Bóg przełożyć raczył zacnym i mocnym narodom, którym królujemy, jako też przodkowie nasi królowali, o takimże umyśle i chęci Cesarza Tureckiego rozumienia i dufności My jesteśmy, który panem wielu królestw jest, jakiej dobrośliwości byli przodkowie nasi przeciw nieprzyjaciołom swym, tak przeciwko nam spodziewamy się i pewni być chcemy, że się nie da przejść w tym wszem Monarchom. Przypomnieć się może Aleksandra Wielkiego Macedońskiego króla przykład, który także własne możne państwa oddawał, nie jedno tym, którym jakokolwiek należały, ale też swe własne, to Rzymianie czynili, nie będąc Królami, tak chętliwemi się stawiali przeciw ludziom sobie sprzyjnym. Sprawa to jest wielkich i wspaniałych monarchów, która im wielką sławę, wielką cześć, i obfitość przyjaciół jedna.

Nakoniec i to przypomnieć, że tem pokazać ma Cesarz światu wszystkiemu, jako poważa przyjaźń naszą, i nie da nikomu przyczyny do zarzucenia tego, że my mając prawo do tej prowincyi Mołdawskiej i wiele kosztów, przewagi i trudów dla niej podjąwszy, żadnej władzy i pożytku mieć byśmy nie mieli i otrzymać jej nie mogli, gdyby nam tej ziemi zupełnie ustąpić nie miał, która tak odległa jest od państw Cesarskich— a nam tej chęci swój w tem nie pokazał. Obrona tej ziemi dobrze więcej nas kosztuje, niżli ten haracz wynosi. Jeżeli się usadzą przy tem upornie, że nie zechcą pozwolić — do czego może przywieść — na tem przestać, nie rozrywając rzeczy. Do tego przełoży, że niektóre zamki Węgierskie są należące do Królestwa Polskiego, których przyglądali przodkowie nasi, z tych przyczyn, iż Królowie Polscy Królmi Węgierskimi a Królowie Węgierscy Polskimi też bywali, i zawsze zachodziły spowinowacenia, i ztąd dufamy że nie zechce Cesarz, aby prawu naszemu ujma jaka miała się w tem stać; napomnieć też, żeby na granicach koronnych wojsko Cesarza Tureckiego, poblizszem byciem i wojowaniem zamieszania jakiego nie uczyniło, z tej miary teraz zwłaszcza, że słyhać o ciągnienu jego pod Koszyce, aby co takiego

nie było, coby Stany Koronne tak blizkiem wojowaniem miało trwożyć. To jest co przekładamy Cesarzowi przez Posła, aby chęci naszych i przyjaźni wdzięcznemi będąc, i onę znając, którą statecznie i szczerze zatrzymujemy, swą też przeciw nam w tém żądaniu naszém pokazał; starać się będzie nakoniec aby jako najlepiej sprawiwszy, do nas powrócił co prędzéj.

Przydatek do téj Instrukcyi.

Pilne staranie czynić Poseł nasz w traktowaniu będzie, aby nam ustąpiono zupełnie ziemi Wołoskiéj; jeźliby do tego rzeczy przywiezione być nie mogły, tedy aby ten haracz który Cesarzowi Tureckiemu dają wiecznym czasem, puszczonej nam i koronie był; a gdyby i w tém trudni byli, wieźć do tego, żeby na lat trzydzieści, co by się otrzymać mogło, nakoniec co wytargano być może, przestać na tém na ten czas.

(Z biblioteki Załuskich, rękopism Jakóba Zadzika).

KOŃIEC TOMU DWUNASTEGO I OSTATNIEGO.





# SPIS RZECZY

W TOMIE DWUNASTYM ZAWARTYCH.

	<i>Str.</i>
Parę słów do czytelnika . . . . .	7
Rozdział I. . . . .	13
— II. . . . .	29
— III . . . . .	41
— IV . . . . .	50
— V . . . . .	68
— VI . . . . .	81
— VII . . . . .	96
— VIII . . . . .	113
— IX . . . . .	128
— X . . . . .	140
— XI . . . . .	167
— XII . . . . .	177
— XIII . . . . .	191
— XIV . . . . .	201
— XV . . . . .	223
— XVI . . . . .	247
— XVII . . . . .	263
— XVIII . . . . .	278
— XIX . . . . .	284

	<i>Str.</i>
Rozdział XX . . . . .	304
— XXI . . . . .	323
— XXII . . . . .	363
— ostatni . . . . .	381
Przypisy . . . . .	395



**INSTYTUT  
BADAŃ HISTORYCZNYCH PAN**

Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-000 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42









F  
1085

12